PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK JEDENASTY. — TOM XLIV.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1894.

KRAKÓW.
Druk Wł. L. Anczyca i Spółki.
1894.

Errata.

Str. 315, w. ostatni,	zamiast:	politizme,	czytaj:	politeizm.
Str. 321, w. 2 od dołu,	„	najdowodniejszym,	„	najdowolniejszym.
Str. 381, w. 4 od dołu,	„	w łonie,	„	w tonie.

SŁOWO O WYSTAWIE LWOWSKIEJ.

Miło jest popatrzyć na dzieło naszego społeczeństwa, przygotowane porządnie, wykonane starannie, a — co najważniejsza — oceniane przez rozmaite głosy tegoż społeczeństwa przychylnie! Rośnie na ten widok w sercu otucha, że przecież możemy coś zrobić bez przeszkadzania sobie jedni drugim, bez waśni i prywaty. Tym razem zrobiliśmy wystawę — może później jeszcze coś zrobimy.

Ale, oprócz tego szczęśliwego nastroju opinii, czy te powszechne pochwały, oddawane wystawie, mają też racyę przedmiotową? Wystawa oczywiście nie jest ponad krytykę, — jak mogłoby się zdawać z wielu sprawozdań — ale jest rzeczywiście i nadspodziewanie udana, dzięki zdolności, poświęceniu, hojności ludzi, którzy stanęli na czele, dzięki też pewnemu postępowi naszego kraju, który sprawił, że było co wystawić. Stąd też i obca prasa z niemałem uznaniem wystawę naszą oceniła; a uznanie to byłoby daleko większem, gdyby Lwów leżał w środku a nie na krańcu Europy.

A najprzód trudno znaleść plac piękniejszy. Miejsca dużo, teren gładki, z lekką tylko pochyłością ku bramie wchodowej, zda się jakby stworzonym na tego rodzaju cele. Że niedawno były tam debry i doły, że musiano zasypywać całe wąwozy i znosić pagórki, o tem pamiętamy tylko, by uczcić zasługę dzielnych pracowników, którzy dzieła tego dokonali, bo dziś tego wszystkiego zaledwie domyśleć się można. Ciągnie się ten

plac wzdłuż, ponad jarem parku Stryjskiego, nad którym góruje terasa pałacu sztuki. Stąd widok najpiękniejszy. Pod nogami biała sieć alei wyciętych w zielonej murawie, a dalej miasto, nad którem z drugiej strony czuwa, jak na straży, góra zamkowa z kopcem Unii lubelskiej.

Plan wystawy ulegał kilkakrotnym zmianom. Gdy temu dwa lata zebrał się komitet wystawowy, wtenczas projekta jego ograniczały się na mniej więcej czterdziestu budynkach prywatnych i komitetowych. Ale niebawem okazały się, przy wzrastającem w całym kraju i nawet poza jego granicami zainteresowaniu się wystawą, ramy te za szczupłe. Rosła ilość pawilonów i zwiększał się plac, rosła też praca organizatorów. Z wczesną wiosną roku 1893 oddano plac do rozporządzenia dyrekcyi. Równocześnie z robotami ziemnemi, kanalizacyą, opatrzeniem placu w wodę i urządzeniem dojazdu, zaczęły się wznosić ściany pawilonów. I stawał jeden budynek za drugim, plac coraz to stawał się za szczupłym, i przypominano sobie wystawę praską, której plany w ciągu urządzenia ośm razy przerabiać musiano. Budynków stanęło przeszło sto dwadzieścia. Byli tacy, którym nie podobało się skupienie pawilonów na lewym brzegu jaru Stryjskiego, i którzy byliby woleli rozciągnąć je w olbrzymiem półkolu po dwóch jego stronach. My tego zapatrywania nie podzielamy; sądzimy, że wobec tak wielkiego pustego placu, budynki wystawy, i tak niezbyt wielkie, wyglądałyby za małe. Nadto, jeszcze większe byłyby odległości do przebycia przy zwiedzaniu; a już dziś one są wielkie, i przydałby się, naszem zdaniem, mały tramwaj, łączący jedną bramę wchodową z drugą, któryby komunikacyę ułatwiał. Zresztą najszczęśliwszym nam się wydaje obecny rozkład, przez naczelnego inżyniera wystawy wprowadzony: trzy miernej wielkości po sobie idące place; naokoło pierwszego skupione budynki dotyczące sztuki i nauki, naokoło drugiego zabawy, restauracye, w środku fontanna świetlana; naokoło trzeciego produkcya: rolnictwo i przemysł. Poza tem dopiero tak zwana wystawa etnograficzna. Rozumie się, że ten rozkład podajemy tylko w przybliżeniu.

Na każdą większą wystawę składają się różne, ile możności

wszystkie gałęzie produkcyi krajowej lub światowej. Pojedyńcze działy są to cegiełki, których zgromadzenie i ustawienie według pewnego z góry powziętego planu, tworzy gmach, czyni z szeregu wystaw pojedyńczych wystawę powszechną. Ale to jeszcze nie wystarcza, trzeba do gmachu stworzyć fasadę, dać mu napis błyszczący, wywiesić krasną chorągiew, któraby z daleka była widzialna. Miała wystawa paryska swoją wieżę Eiffel, a samo to jej hasło przyciągało setki i tysiące, dla których wyraz wystawa niedość jest konkretny, których wyobraźnia potrzebuje jasnej i wyraźnej mety, do którejby się skierować mogła. U nas, chcąc stworzyć coś, coby wszystkich przyciągało, zarówno wszystkim było drogie, stworzono obraz, przedstawiający jedną chwilę z życia tego, co nam najdroższe, z życia ojczyzny. A wybrano jedną z najpiękniejszych chwil i formę najbardziej do jej przedstawienia się nadającą, formę panoramy.

Stoimy na wzgórku, na granicy wsi Dziemierzyc i Racławic; pogoda i spokój na niebie i w naturze. Popołudniowe słońce jeszcze wysoko, schyla się już ku lasom Koniuszy, ale na ziemi ruch i zamieszanie. Z przeciwnych stron płyną ku sobie dwie wrogie fale, a w miejscu, gdzie się te fale spotykają, wre bitwa. Na artyleryę moskiewską uderzyli kosynierzy. W białych sukmanach z kosami w ręku, pędem biegu naprzód pochyleni, już dopadli armat, pierwszy Bartosz Głowacki. Impet ich straszny od razu złamał obce szeregi, nieprzyjaciel rzuca broń, ucieka, i tylko tu i ówdzie broni się jeszcze, oglądając się w tył na nadchodzące posiłki. Nie nadejdą one wczas: już armaty stracone; biała chusta zatknięta na bagnecie, woła o pardon. Ale tu niema pardonu; chłop polski, któremu wróg depce jego ziemie, nie spocznie, dopóki go z niej nie spędzi, i choć w oddali widnieje drugi rząd moskiewskich bagnetów, nie rachuje on, nie rozważa, że jeżeli na lewem skrzydle nie uda się polskim strzelcom odeprzeć ataku woronezkich huzarów, to może być wzięty w dwa ognie, ale pędzi naprzód i naprzód, łamiąc i druzgocąc wszystko, jak huragan. I nie dziwimy się jego zapałowi, bo tam na wzgórku na dziarskim koniu sam naczelnik atak prowadzi. Ku niemu z sztandarem Matki Boskiej Częstochowskiej spieszy drugi od-

dział chłopów, by podtrzymać atak pierwszego. Wróg, jeżeli dalej będzie chciał walczyć, spotka się z podwójnym zastępem. Z drugiej strony parowu i wzgórka, na którym stoi widz, wre walka na bagnety pomiędzy batalionem Wodzickiego a muszkieterami rosyjskimi; obok, po lewej ich ręce, potyka się z sotnią kozacką szwadron jazdy księcia Wirtemberskiego. W oddali z za lasu, poza którym widać palące się Racławice, nadciągają nowe hufce moskiewskie, ale i po naszej stronie są jeszcze świeże siły, stoi w pogotowiu dywizya jenerała Zajączka i reszta jazdy księcia Wirtemberskiego, która się właśnie do boju szykuje. Bitwa jeszcze nie rozstrzygnięta, ale szala zwycięstwa zda się już przechylać na naszą stronę. Za linią bojową prowadzą nasi jeńców wojennych ku wsi Dziemierzycom. Tam obóz Kościuszki, tam też lazaret. Kapłan udziela wiatyku ciężko rannemu żołnierzowi. Wkoło krzyża zebrali się ci, co na walkę nie poszli: kilka kobiet, dzieci i ślepy lirnik, który, jeżeli go jaka zbłąkana kula nie dosięgnie, będzie później śpiewał o rozprawie racławickiej i o dzielnym Bartoszu, o tych co zwyciężyli i o tych co poginęli na chwałę Bogu i ojczyźnie. A jest ich dużo i w żołnierskich mundurach i w chłopskich siermięgach. U drzwi swej chaty leży na ziemi rozciągnięty wieśniak, nad nim klęczy żona. — I z pewną otuchą i wiarą w przyszłość opuszcza człowiek panoramę, wdzięczny tym, co ją stworzyli, i nie dziwiąc się tym, którzy do niej drugi i trzeci i dziesiąty raz wracają.

Naprzeciwko budynku panoramy, spotykamy zaraz gmach, poświęcony sztuce. Poważny rozmiarami, a dość szlachetny kształtem, z tyłu oparty na terasie schodzącej do parku, a frontem zwrócony ku głównemu placowi, panuje nad główną bramą renesansowy pałac sztuki. Sztuce dała wystawa miejsce honorowe, wysunęła ją na czoło, jako swą chlubę i ozdobę. Znaczący to fakt. Malarstwo polskie jest młode, rozwój jego po prostu zadziwiający. W połowie naszego wieku, gdy już ku zachodowi schylało się słońce polskiej poezyi, widniała dopiero zorza polskiego malarstwa. Ale prędko blask jej zajaśniał w całej pełni — sztuka nasza rosła w oczach, ramy kraju były dla niej za ciasne i rozlała się po szerokim świecie, zdobywając

sobie w nim pierwszorzędne stanowisko. Dzięki poświęceniu organizatorów i dobrej woli właścicieli, zdołano zebrać w pałacu sztuki dostateczną ilość płócien, byśmy mogli pojąć i ocenić rozwój naszego malarstwa w ostatnich czasach; a chcąc ułatwić zrozumienie dzisiejszego stanu rzeczy, dać poniekąd jego genezę, powzięto szczęśliwą myśl działu retrospektywnego. Idąc porządkiem chronologicznym, widzimy tam po Polakach: Czechowiczu i Smuglewiczu — Włochów i Francuzów, których skupiał dwór Stanisława Augusta i niektóre domy wielkopańskie. Jest Baciarelli i Norblin — Grassi i Lampi, a dalej znów Polacy, Chodowiecki, którego samych rytów jest na wystawie kilkadziesiąt, i zbiór 60 miniatur Lesserowiczowskich. Jest także najzdolniejszy z uczniów Norblina, płodny rytownik i akwarelista, który jednak i olejnego nie zaniedbywał malowania, Aleksander Orłowski. Ileż życia i werwy, powiedziałbym dowcipu, jest w jego postaciach, tak w karykaturach, jak w „Kozaku“ lub „Tatarze“. Obok współczesny mu Suchodolski, a wreszcie oryginalne i typowe Michałowskiego studya koni i krów. — Z późniejszych, zatrzymują nas przedewszystkiem arcydzieła Grottgera: „Wojna“ i „Lituania“, dalej szkice Chlebowskiego, Kaplińskiego portret hrabiego Jana Działyńskiego, i akwarele Juliusza Kossaka; tuż obok dawniejsze dzieła Rodakowskiego, Grabowskiego, Chełmońskiego, Siemiradzkiego, Brandta. Ale tu już znajdujemy się po części na terenie najnowszego malarstwa, przejdźmy więc do sal wystawy współczesnej, by ogarnąć komplet wystawionych dzieł tych malarzy.

Pierwsza sala największa, ale nie taką jest miara wartości zawieszonych w niej obrazów. Jeżeli pragniemy dojść od razu do tego co najlepsze, skręcamy na lewo do podłużnej sali i szeregu mniejszych pokoi, gdzie skoncentrowawszy naszą uwagę, zaczynamy patrzyć i używać. Bo jest i czego. — Na głównem miejscu wisi wielki obraz Brandta, nazwany „Modlitwą“. Scena historyczna. Z Kamieńca przed Turkami uciekający Ormianie zdołali uprowadzić z sobą cudowny obraz Matki Boskiej. Po długich miesiącach ciężkiej i niebezpiecznej tułaczki po Rumunii i Bułgaryi, dotarli szczęśliwie do granic Rzeczypospolitej. Noc

już zapada, oni stanęli, tu będą obozować. I zapaliwszy światła przed swojem palladyum, cudowną Bogarodzicą, padli na kolana w gorącej modlitwie. Blask latarni i kagańców odbija od zciemniałego już krajobrazu, od mgieł i cieni nocnych, które już wszystko ogarniają. Efekta światła na całym obrazie przepyszne, kto wie nawet, czy nie za dużą grają one rolę, czy nie spychają trochę twarzy samych, postaci ludzkich na ten sam poziom, co otaczającą naturę, co siny horyzont i drzewa i krzaki, które tym mistrzowskim blaskom służą za tło. — W tym samym pokoju wisi obraz, przed którym mimowoli staje się z podziwu, a obraz to mający i treść prostą i sposób wykonania prosty, tą prostotą, właściwą wielkim talentom: „Noc“ Chełmońskiego. Chełmońskiego także „Pocztarek“ w dziale współczesnym, w którym ulewa tak jest wybornie oddana, szczegół każdy taki pełen charakteru i indywidualności, że z żalem odrywamy się od tej ślicznej scenki. Wogóle wszystko, co mamy na wystawie Chełmońskiego, jest znakomitem, wszędzie tryska życie i prawda, wszędzie wielkie i głębokie zrozumienie małych rzeczy, wyciąganie z szmatu zaśnieżonego pola, po którem idzie dziewczyna niosąca wodę, więcej efektu, więcej treści, jak niejeden inny z najszumniejszego tematu.

Innego rodzaju, ale jeszcze większą rozkosz sprawiają nam obrazy Gierymskiego, zawieszone w drugiej sali od wchodu. Żaden może z malarzy polskich nie doprowadził do tego stopnia przejrzystości powietrza, głębokości, że się tak wyrażę, obrazu, co Gierymski. Jego „Święto trąbek“, które tak samo „wieczorem nad Wisłą“ nazwaćby można, jest symfonią przezrocza i przestrzeni. Niezrównaną jest woda, te bursztynowe i liliowe tony mieniącego się w niej światła, a na tle tego złota i zorzy wieczornej ciemne sylwetki Żydów, małe, ale jednak żywe i prawdziwe. Cudnym także jest „Anioł Pański“. Blask porannego nieba jasny, ale nie rażący, tak że wydaje nam się całkiem naturalnem i zupełnie nie twardem wyraźne modelowanie głowy dziewczyny, choć ona od światła odwrócona. Miara doprowadzona do doskonałości, jest cechą tego obrazu. Nęci nas także do dłuższego zatrzymania się jego portret własny, ale pochłania

naszą uwagę wyborny „Polityk“ świeżo zgasłej panny Bilińskiej, i jeszcze piękniejsza tejże „Ukrainka z dzieckiem“ — może najpiękniejsza rzecz na wystawie. Znakomita skala siły w traktowaniu pojedyńczych części obrazu, stosownie do ich ważności, harmonia linij i barw przy zastosowaniu skromnego i bezpretensyonalnego pastelu, a wreszcie te idealnie piękne rysy, tej jednak z krwi i kości prawdziwej Ukrainki — oto przymioty tego arcydzieła, oto powody do najszczerszego żalu, że ten talent już więcej tworzyć nie będzie. Obok „Ukrainki“, śliczne pastele Pruszkowskiego, z których najlepszym zdał nam się „Pochód na Sybir“, również rzewnie poetyczny, choć zupełnie odmienny, jak pochód Grottgera.—W tej samej sali wiszą znakomite akwarele Fałata, bardzo ładne szkice Makarewicza; wreszcie cykl Stachiewicza, przedstawiający Matkę Boską w podaniach naszego ludu. Poezyi tu dużo i jakiś niezwykły urok na całem rozlany dziele, a byłoby go może jeszcze więcej, gdyby w całej kompozycyi panowała jednolitość typu i wewnętrznego nastroju. Ale najmilsze może wspomnienie nam zostawia przepiękna „Madonna“ Krudowskiego, czerwoną kredką rysowana, której można zarzucić, że trochę zbyt rafaelowska (sama tylko Madonna, nie Dzieciątko, które jest oryginalne i śliczne), ale tego odmówić jej nie można, że jest przepiękną i że się o niej słodko marzy.

Już pierwszy rzut oka wystarcza nam do przekonania się, że wystawa nasza należy do sumienniejszych, że zawiera stosunkowo mniej może balastu od niejednej zagranicznej; ale dopiero przy spokojnem rozglądaniu się spostrzegamy, ileby tu właściwie czasu spędzić należało, by wszystko, co warte, obejrzeć i ocenić. Z żalem prawdziwym odrywamy się od tej miłej wędrówki, pomni, że spieszyć się należy, jeżeli mamy choćby pobieżnie zlustrować ważniejsze działy wystawy. Zanim jednak opuścimy pałac sztuki, wstąpmy na prawo do pokoi, w których mieści się wystawa starożytności. Pięknych rzeczy tu dużo, skarbce kościelne i zbiory rodzinne otworzyły się naoścież i przesłały tu, co miały najcenniejszego. Znamy je z wystawy Sobieskiego i z krakowskiej ostatniej, ale zawsze na nowo podziwiamy. Przepyszne hafty, srebra i złotnicze wyroby lwowskie,

krakowskie, gdańskie, a z obcych norymberskie, wspaniałe przedmioty rytualne żydowskie, bronie, porcelany i szkła, cały ten obraz ludzkiego kunsztu z czasów, gdy sztuka była jeszcze siostrą przemysłu, towarzyszy naszej wyobraźni przy zwiedzaniu innych pawilonów i wyrobów nowoczesnych; przyczem mimowoli nasuwają się różne porównania, które nie zawsze na korzyść ostatnich wychodzą.

Tuż obok pałacu sztuki wznosi się drugi jej przybytek, ale poważnym kształtem swoim przypominający sarkofag czy mauzoleum. Tu zgromadzone są razem, piękną i wzniosłą myślą, wiekopomne dzieła zgasłego mistrza, Matejki.

Z ram własnego portretu patrzy na nas smutny i poważny; na ustach uśmiech bolesny, a na twarzy całej rozlany jakiś wyraz zadumy głębokiej, w której myśl odbiegła od wydarzeń dnia i chwili aż gdzieś daleko w krainę jasnowidzenia. A wkoło niego, dzieci jego ducha, te obrazy, w które wlał całą moc swego uczucia, całą swą namiętną miłość do Polski. Nie zdołano ich tu wszystkich zgromadzić, brak najpiękniejszego z nich, „Kazania Skargi“, brak też „Sobieskiego pod Wiedniem“ i „Wernyhory“, niema i innych drobniejszych, ale to, co tu zebrane, wystarcza, by dać dokładne pojęcie o artystycznej działalności mistrza, by przejść całą skalę jego twórczości, porównać Matejkę z nim samym w różnych epokach jego malowania.—W pierwszej sali umieszczono zbiór szkiców, między niemi dziecinną ręką rzucony na papier pierwszy pomysł do „Hołdu pruskiego“ i kilka dzieł poważniejszych, jak „Rzeczpospolita babińska“ i mało komu dotąd znany „Chrystus zmartwychwstały“. W drugiej sali nad drzwiami „Humaniści“, a na prawo i lewo od drzwi utwory mniejsze, po części z pierwszego okresu działalności Matejki. Więc przywieziona z Pesztu idylla miłosna „Zygmunt i Barbara w wileńskim ogrodzie“, a dalej smętna postać Stańczyka, który oparty ręką o stół zamyślił się głęboko. Ci, co żyją wkoło niego, ci, których przez odchyloną kotarę widać wśród tanów i zabawy, myślą tylko o chwili obecnej i na jej świetności polegają; ale jemu nie wolno się łudzić, on ma zrozumienie fatalnej pochyłości, do której brzegu już, już zbliżać się zaczyna

ojczyzna.— I odwracamy się od tego smutnego obrazu; ale wtedy z przeciwległej ściany zda się spoglądać ku nam twarz ta sama, tylko starsza i wiekiem sterana, w której smutku widać więcej łagodności i poddania się woli bożej — twarz mistrza. — Idziemy dalej; naprzeciw „Racławic“, „Dziewica Orleańska“, naprzeciw „Grunwaldu“, „Hołd Pruski“.

Na ścianie przeciwległej drzwiom widzimy jeszcze „Rejtana“ i „Unię Lubelską“ i niedokończone ostatnie dzieło Matejki „Śluby Jana Kazimierza“, a w górze ponad własnym portretem, szereg innych wybornych wizerunków: hr. Stan. Tarnowskiego, Alfreda Potockiego, Zyblikiewicza, Szujskiego i Dietla.

Geniusz Matejki, to jak górski krajobraz, pełen wspaniałych widoków, szczytów kąpiących się w promieniach słonecznych, i przepaści bezdennych. A choć dla nieprzyzwyczajonego pobyt na szczytach jest męczącym, choć na mieszkanie woli zejść na dół, gdzie bielą się domki i zielenią pola, to jednak raz bywszy na górze, tęskni za nią, czuje jej urok niedostępny, ale czysty i wielki. Siła olbrzymia połączona z sercem gorącem, które cierpieć i kochać za wielu umiało, to cykl dzieł Matejki; i cykl ten pozostanie na wieki chlubą imienia, które na sztandarze swej sztuki wypisał, imienia polskiego.

Tuż obok wystawy Matejki wznosi się na wysokim nasypie mała budowla w stylu klasycznym jońskim, która się nazywa pawilonem architektury. Zwykle gmachy w tym stylu w naszych czasach budowane, nie udają się wcale; i tę budowlę różnie oceniono. Nie wahamy się jednak wypowiedzieć zdanie, że się doskonale udała i doskonałe robi wrażenie. A to z dwóch przyczyn: raz że jest mała, a po drugie że stoi na wysokiem w stosunku do swej wielkości podwyższeniu. Tak robili Grecy, a nowożytni budownicy rzadko na te warunki zwracają uwagę.—Jedno tylko temu pawilonowi architektury mamy do zarzucenia, tj. że wszedłszy do wnętrza, żadnej, albo prawie żadnej wystawy architektury nie znajdujemy. Czemuż tu niema przynajmniej projektów p. Prylińskiego do restauracyi zamku na Wawelu, i p. Odrzywolskiego do restauracyi katedry? Jedne i drugie nie są tak świeże, ale tak mało są publiczności znane, a tak żywoby ją intereso-

wały. Czemu niema tylu innych pięknych rzeczy, które przepełniają teki naszych architektów? Chyba ci panowie strejkują przeciwko nam. — Niemile tu, zamiast architektury, spotykamy w lewem skrzydle wystawy wyroby buczackie hr. Oskara Potockiego. Ale niemiłe to uczucie wnet znika, na widok prześlicznych rzeczy wystawionych. Od sufitu do podłogi pokój cały obwieszony makatami o deseniach oryginalnych i krasnych wzorach wschodnich i ruskich. Jedne przetykane złotem, drugie się mienią w srebrnym i stalowym blasku, inne jak nabijane gwoździkami lub nicowane srebrną przędzą; na niektórych gra kilka kolorów; a są i takie, które zdają się być zszyte ze słuckich pasów, lub wykrojone w litej, ornatowej materyi. Próżnoby szukać dwóch równych sobie, każda inna, a trudno oznaczyć, która najpiękniejsza. Zdaje się, że to z powieści Sienkiewicza przeniesiona tu izba Horpyny, w której wszystko gotowe, by Helena mogła w niej spocząć. Śliczne te wyroby znalazły widocznie uznanie wpośród publiczności, gdyż prawie wszystkie noszą już napis „zakupione“.

Na przeciwległej stronie tegoż placu, pierwszy od wchodu stoi pawilon piśmiennictwa. Jak jego nazwa dowodzi, obejmuje on cały zakres publicystyki od dziennika do książki. Dziennikarstwo nie można powiedzieć by się wysadziło. Zebrano i wystawiono numera pism polskich wychodzących w Ameryce (jest ich 81) i w kraju, tj. pod trzema zaborami. Mielibyśmy prawo spodziewać się czego innego, np. retrospektywnej wystawy prasowej, okazów lub kompletów dawnych nie istniejących gazet polskich, z których niejedna jest dziś już bibliograficzną rzadkością. Lepiej przedstawiają się wydawnictwa ludowe, od lwowskich i szląskich do warszawskich i gdańskich. Śliczna i wybornie urządzona jest wystawa drukarni Anczyca i Spółki. Znakomitością wreszcie tego pawilonu są obok wspaniałego zbioru wydawnictw krak. Akademii Umiejętności, liczącego 4370 tomów, jej historyczno-statystyczne publikacye pod postacią map i tablic przeglądowych. Więc olbrzymi grafikon, przedstawiający stan i rozwój piśmiennictwa polskiego, tablice i wykazy badań Akademii na polu fizyografii, archeologii, etnologii i historyi

sztuki. Niejednokrotnie słyszeliśmy życzenie, by Akademia poleciła reprodukować te tak ważne i cenne tablice. — Z wystawą piśmiennictwa bylibyśmy chętnie połączyli dział muzyczny, który niebardzo odpowiednie znalazł miejsce w hali przemysłowej. Dział ten nosi nazwę grupy muzyczno-teatralnej, ale że składa się głównie z zabytków odnoszących się do muzyki, więc drugi tytuł jego śmiało opuścić możemy. Są tu stare kancyonały i antyfonarze, łacińskie, ruskie i ormiańskie, jest wyciąg fortepianowy i pierwotna partytura Halki, i zbiór bogaty instrumentów muzycznych. Obok cytry, która podobno do królowej Marysieńki należała, i starych organków, widzimy skrzypce zakopańskie Sabały i teorban ukraiński, a zawieszone nad niemi portrety i ryciny muzyków i artystów polskich.

Idąc dalej po salach i korytarzach gmachu przemysłowego i błądząc po trochu wśród nagromadzonych towarów bławatnych, żelaznych i chemicznych — żałując, że niema więcej napisów, któreby ułatwiały oryentowanie się — dajemy się mimowoli prowadzić instynktowi estetycznemu. Wiedzie nas on przeto prosto przed dział mebli, reprezentowany tu przez dwadzieścia kilka kompletnych urządzeń. Pierwszy na prawo salonik rokoko, dość ładny. Dalej komnata jadalna, wyrób braci Wczelak we Lwowie, cała wykładana drzewem, meble inkrustowane, odrzwia pięknie z parkietowych wzorów złożone. A potem na prawo i lewo saloniki, buduarki, sypialnie, kancelarye; wszystko to wykonane starannie, widać pracę sumienną, znać, że wyobraźnia twórcy siliła się na zrobienie czegoś oryginalnego, ale niestety pomimo oczywistej najlepszej woli, nie potrafiła ona wznieść się ponad szablon nudnego niemieckiego renesansu. Już zabieramy się do odwrotu, gdy wstrzymuje nas jeszcze instynkt estetyczny w prawym rogu trzeciej sali. Tu jedwabnym sznurkiem od publiczności oddzielony otwiera się salonik średniej wielkości. W białem obramowaniu blado-zielone tapety, w głębi drzwi szklane o małych szybkach, poza któremi widać symetryczną perspektywę ogrodu o strzyżonych bukszpanowych alejach, a w pokoju meble trochę mieszane; foteliki w stylu Ludwika XV., o miękkich zagięciach a bogatem pokryciu z białego jedwabiu, na którym barwne lśnią

się desenie, otaczają śliczny stoliczek z kryształową płytą w stylu jego następcy. Obok odpowiednie krzesło o złoconych poręczach, obite biało-srebrną materyą, na której rozsiane misterne kwiatki, a w rogu cacko prawdziwe, szafka *à la Vatteau*, z bronzu, kryształu i drzewa, na której drzwiczkach w zgrabnie zagiętych ramkach uśmiecha się idylla pasterska. W środku pokoju, za kasetką o toczonych nóżkach, krzesło duże o wysokiem oparciu, stylem o lat sto od tamtych starsze. Całość prawdziwie artystycznie wykonana robi wrażenie francuskiego salonu na wsi, przed rewolucyą, w którym są jeszcze meble po ojcu i dziadku. Ładne to urządzenie pochodzi z pracowni p. Gawrychowskiego z Warszawy. Żałujemy, że dział mebli nie posiada więcej okazów z jego warsztatu, któreby przeciętną mierność wystawionych wyrobów do poziomu artystycznego podnosiły.

Daleko łatwiejszy do przejrzenia, ślicznie urządzony i podnoszący ducha wykazanemi owocami naszych szkół przemysłowych, jest pawilon Wydziału krajowego. Zaraz przy głównych drzwiach widzimy bogate kilimki i makaty krajowego warsztatu tkackiego w Glinianach, a za niemi cały szereg innych warsztatów i szkół tkackich. Wśród materyj i tkanin, zawieszony na ścianie góruje portret Zyblikiewicza nad owocami dzieła, które on tak gorąco popierał. Dzieło to rozwinęło się dziś znakomicie. W roku 1887 liczba szkół przemysłowych i zawodowych wynosiła 32, dziś prawie w dwójnasób się zwiększyła. Wówczas budżet komisyi krajowej, zajmującej się temi sprawami, wynosił 95.480 złr., dziś 142.000 złr., a komisya rozporządza prócz tego funduszem półmilionowym, z którego zasila taniemi pożyczkami poparcia godne przedsiębiorstwa prywatne. Szkółek koronkarskich istnieje obecnie trzy, w Zakopanem, Kańczudze i Muszynie, a wszystkie są na wystawie reprezentowane. Zakopane występuje najliczniej, ma koronki czeskie, weneckie, brukselskie, kapy, wachlarze i t. d. Naprzeciw wyroby z Kańczugi, zakopańskim równe, jeżeli nie lepsze. Wachlarz brukselski, własność prywatna, utkany jak z pajęczyny, w którą wplatają się kwiaty o długim cienkim deseniu, tworząc bordiurę wypukło haftowanego herbu,

to po prostu arcydzieło, którego pozazdrościłaby każda zagraniczna koronkarnia.

Bardzo interesujące są okazy szkół snycerstwa, które wyzyskują wrodzoną zdolność górskiego ludu do tego rodzaju robót. Wogóle widać metodę bardzo dobrą: motywa ludowe, pełne charakteru i do których ręka chłopka wprawia się najłatwiej, obrabiane są i rozwijane umiejętnie, a obok tego wprawia się uczniów do zwykłych, barokowych i innych ornamentów, bo te najłatwiej w szerokim świecie zapewnią chleb. Nie wszystko, rozumie się, równie dobre. Renomowane wyroby szkoły zakopańskiej nie zdają się nam najlepsze; meble zbyt oblizane, a figury zdradzają, że wzory podane uczniom nie były piękne. Rzeźb religijnych, figurek Matki Boskiej, krucyfiksów, wogóle za mało; a teby miały odbyt w kraju ogromny, zwłaszcza gdyby ich wyrabiano dwie kategorye: jedne artystyczne, drugie bardzo tanie, a jednak z pobożnym wyrazem.

Za wyrobami drzewnemi umieszczone są okazy garncarskie. Po jednej stronie korytarza widzimy robotę najprymitywniejszą, przemysł domowy — z drugiej, wyroby ulepszone krajowej szkoły garncarskiej w Kołomyi. Tam robota całkiem surowa, wdzięczna jak kwiaty polne, których wieńce i listki na szarem lub czarnem tle mis huculskich się powtarzają; tu widać wpływ cywilizacyi, ale dobroczynny, motyw ludowy nie usunięty, ale rozwijający się i bez obcej przymieszki stający się pełnym i doskonałym. W tym samym pawilonie znajduje się także oddział poświęcony krakowskiej wyższej szkole przemysłowej. Są tu piękne rysunki, widać kształcenie się na dobrych wzorach, nie zasklepianie w rutynie, ale wytrawne kierownictwo, dające uczniom sposobność kształcenia gustu i wyrabiania techniki na coraz to nowych wzorach z dziedziny wszystkich stylów, od romańskiego i gotyku aż do rokoko. Słyszeliśmy nawet zdanie, że pod wieloma względami trzyma ona prym ponad szkołą lwowską, która tuż obok się rozsiadła, a której okazy, np. koronki lub wyroby ślusarskie, zasługują jednak na rzeczywiste uznanie. — Jak się wyrobom krajowym przysłużyła wystawa, dowodzi fakt, że w samym pawilonie Wydziału krajowego zamówiono lub zapłacono gotówką

w dwóch pierwszych miesiącach trwania wystawy, różnych przedmiotów za przeszło 6000 złr.

Wszystko na świecie jest względnem. Zdanie to uprzytomnić sobie powinniśmy, oglądając w pawilonie Rady szkolnej kartę frekwencyi szkół publicznych ludowych z r. 1893. Stosunki przedstawia nam ona średnie, rezultaty same przez się nie nadzwyczajne — ale gdy rzucimy okiem na drugą mapę, przedstawiającą frekwencyę z r. 1873, wtenczas to, co nam się miernem być zdawało, zdaje się doniosłem i wielkiem, rezultat prawdziwym i imponującym, i mówimy sobie, że dwudziestoletnią pracę nad oświatą ludową przecież znać w kraju poważnie. Postęp widoczny nietylko zciemnieniem barw na mapie w blizkości większych miast, ale i tem, że nawet do najodleglejszych powiatów okolic górskich, osad dotąd od cywilizacyi równie może oddalonych jak wsie Czarnogóry lub Albanii, dotarł ożywczy promyk nauki ludowej. Przeglądając dalej działy szkół średnich, widzimy tu piękne i jasne mapy, wyborne narzędzia do wykładu fizyki i okazy do historyi naturalnej; niełatwo nam jednak sobie zrobić wyobrażenie o tem, o ile szkoły nasze już są w te wszystkie środki opatrzone. W tem jest trudność w urządzeniu wystaw szkolnictwa. Znać jednak wszędzie starania Rady szkolnej i pracę nauczycieli.

Podobne wrażenie odnosimy, zwiedzając pawilon uniwersytecki. Z prawdziwą przyjemnością chodzi się wśród znakomitych zbiorów i preparatów, które nasi uczeni i nasze instytucye naukowe w pawilonie tym umieściły. Jak na obecne czasy przystoi, bakteryologia zajmuje tu pierwszorzędne miejsce. Prace p. Bujwida, wiadomości o wodzie wiślanej lub studniach krakowskich, między któremi na szczególną zasługuje uwagę pewna studnia na Miedziuchu, zawierająca w jednym centymetrze sześciennym wody 10,000 bakteryj, rzucają światło *sui generis* na pole higieny miejskiej. Anatomię i chirurgię reprezentują mianowicie piękne preparaty profesora Teichmana i znakomity atlas ginekologiczny d-ra Marsa. W oddziale Uniwersytetu lwowskiego podziwiamy szczególnie mineralogiczne zbiory prof. Dunikowskiego, i śliczne okazy konserwowanych kwiatów, które ani kształtów, ani barwy swej pierwotnej nie straciły, preparowane przez młodego uczonego

p. Maksymiliana Schoennata. Miłe sprawia wrażenie fakt, że przeważnie zbiory te zawdzięczają swe istnienie pracy osobistej i poświęceniu profesorów. W pawilonie uniwersyteckim znalazła także pomieszczenie, zdaniem naszem całkiem nieodpowiednie, bardzo zresztą ciekawa wystawa gminy krakowskiej, dla której jakby stworzone miejsce w pawilonie architektury, zamiast mebli lwowskich stolarzy i pozłotników.

Rolnictwo posiada swój własny i dość obszerny gmach, ale środek ciężkości działu agronomicznego leży w licznych wystawach specyalnych, np. bydła, koni i t. d., które zawartość wciąż zmieniają. Za to stałym jest dział leśnictwa, który poważnie się przedstawia i na obszerniejsze studyum zasługuje, jak to, które mu dziś poświęcić możemy. Zajmuje on jeden główny pawilon rządowy i kilka prywatnych. W tych ostatnich umieszczono przeważnie okazy *in natura;* w pierwszym — ogromny zasób materyału statystycznego, kart, map, tablic porównawczych, a obok tego i okazy fizyczne. To też dla fachowego znajduje się tam tyle ciekawych zestawień, taka kopalnia różnych dat i cyfr ze statystyki galicyjskiego leśnictwa, że i dni kilka na przestudyowanie tego wszystkiego nie wystarczy. Wybierzmy kilka ważniejszych szczegółów. Z zestawień c. k. inspektoratu lasowego dowiadujemy się, że w Galicyi jest około 2 milionów hektarów lasu, czyli 24.9% przestrzeni całego kraju. Cyfra ta niezbyt duża, gdy zważymy, że np. wyżej pod względem kultury stojące cesarstwo niemieckie ma 25.7% lasu; ale rozdział i położenie lasów galicyjskich jest tak szczególne, że w kraju miernie zalesionym utrzymały się dotąd kompleksy olbrzymie, którym podobne chyba w Rosyi lub węgierskich stokach Karpat znaleśćby można. Spojrzmy na mapę. Na południowym wschodzie, wzdłuż grzbietu Karpat od granicy bukowińskiej do źródeł Sanu, to na mapie jeden ciemny pas, puszcza olbrzymia, ciągnąca się prawie bez przerwy przez górną część ośmiu powiatów, obejmująca 600.000 hektarów czyli sto mil kwadratowych, obszar większy od całego Szląska austryackiego. I widzimy dalej, że ta olbrzymia całość podzieloną jest także na olbrzymie części, na dobra pojedyńcze, z których niejedno ma 100.000 mórg. Administracya obecna lasów rządowych, kon-

rola nad prywatnemi i rozdział inspekcyjny kraju na okręgi, przedstawione nam są dokładnie, jasno i treściwie w tabelach i księgach statystycznych. Spotykamy tam wymowne cyfry, świadczące o tem, jak wielkie postępy powinno jeszcze zrobić gospodarstwo lasowe u bardzo wielu prywatnych posiadaczy. Np. zarządzeń przeciwko niszczeniu lasów wydano w ostatnim dziesięcioleciu przeszło sto tysięcy. Fatalną wydaje nam się cyfra, oznaczająca przestrzeń lasów obciążonych służebnościami i prawem wspólnego używania, gdyż wynosi ona prawie pół miliona hektarów.

Statystyka jest rzeczą suchą i potrzebuje urozmaicenia dotykalnemi przedmiotami. Nie zapomniano o tem w pawilonie rządowym, pamiętano także w budynkach prywatnych. W pierwszym widzimy wielką ilość modeli zabudowań dzikich potoków, szluz i t. d., a w głębi pawilonu malowaną perspektywę szluzy na dzikim Czeremoszu, wśród lasów odwiecznych, nad któremi unosi się hen ku górze orzeł karpacki. I zazdrościmy temu orłowi widoku, który musi mieć tam z góry, na to morze zieloności, regulujące aromatycznym swym oddechem klimat kraju. — Swoją drogą, gdyby ten orzeł wzniósł się ponad zachodnio-galicyjskie Karpaty — widok, któryby mu się przedstawiał, byłby, według tychże statystycznych tabel, mniej pocieszający, gdyż tu nieoględna siekiera zamieniła w nagie pustki niejeden pierwej żyzny, teraz wodą spłukiwany i z ziemi ogołocony pagórek. Jednakże widzimy tu próby poważne zatrzymania ciągłego ubytku lasów w zachodniej Galicyi, cieszą nas śliczne sadzonki, których oby jak najwięcej w ziemi naszej wyrosło, interesują modele zabudowań górskich potoków i mapy zalesienia wydm piaszczystych, które w połączeniu z odpowiedniemi fotografiami, są znakomitą wskazówką, jak z nieużytków znajdujących się w tylu majątkach, szczególnie nad granicą Królestwa, można jednak zrobić przedmiot kultury i zysku.

Ale wróćmy na wschód i przypatrzmy się dwom wielkim przedsiębiorstwom leśnym, mającym swe pawilony na wystawie, tartakom w Wełdzirzu i Skolem. Pierwsze, jak nam objaśniają fotografie i plany, mają 22 gatrów, rżną dziennie 1600 kloców

i zajmują wraz z administracyą leśną około stu dwudziestu stałych urzędników, przeszło trzy tysiące robotników, a w zimie trzysta par zaprzęgów do robót leśnych. Produkta z lasów wełdzirskich rozchodzą się po całym świecie. Żaluzye do okien importują z Galicyi Chiny, pudła i beczki idą na Kaukaz, inne do Francyi, Włoch i Węgier. Niegdyś, dawno już temu, należał Weldzirz do Matkowskich, szlachty polskiej; dziś synowiec dawnego właściciela pełni służbę leśniczego u obecnego posiadacza. Na podobnie wielką skalę urządzone jest przedsiębiorstwo w Skolem. — Prócz lasów górskich przedstawiła i równina piękne okazy z lasów księcia Eustachego Sanguszki, hr. Karola Lanckorońskiego, hr. Romana i Andrzeja Potockich i hr. Badenich. Są tu belki sosnowe, które chyba do arki Noego przydaćby się mogły, maszty wysokie, przekroje sosnowe o średnicy jednego metra, a jest i pusty dąb, „w którego ogromie, wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domie — dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem".

Mniej poważny treścią, ale stosunkowo równie zajmujący jest dział myśliwstwa w pawilonie łowieckim. Już przy wchodzie ogarnia nas uczucie, że tu nie mamy przed sobą czczej zbieraniny okazów, gabinetu przyrodniczego na wielką skalę, lecz kawał życia swojskiego, rodzimego, zajęcia lub zabawy, jak kto nazwać zechce, ale po wojennych zapasach najmilszego dawnym Polakom. Na ścianach wisi ich broń myśliwska: oszczepy potężne, kordelasy ogromne i ciężkie garłacze, w które się garścią proch sypało, a obok broń nowa i najnowsza, strzelby lekkie i cienkie jak laska. Wokoło, w przedziałach, na gzymsach i filarach całe wieńce łbów dzikich, jelenich, las rogów i kłów ostrych a białych. W głębi na prawo żubra łeb olbrzymi, na nim Wojskiego wielki róg bawoli. Dalej Lisowickie trofea, pamiątki po hr. Kazimierzu Wodzickim, który swą miłość do polskiej kniei i polskich łowów, przelał w wdzięczne literackie utwory, wreszcie rysiów całe grono i niedźwiedzi wypchanych. „Rok myśliwca" W. Pola staje przed oczami, gdy na każdy miesiąc, każdą roku porę jest tu dowód sprytu i zajęcia łowieckiego. — Oba te działy, leśniczy i łowiecki, łączą się i dopełniają

nawzajem. Tam praca, tu rozrywka: ale obie pokrewne, bo z dawien dawna bywa, że leśnik każdy chętnie strzelbę w rękę bierze, a prawdziwy łowiec las kocha. To też zwiedzić je należy razem, a ma się obraz dokładny tego, co w lasach naszych rośnie i żyje.

Pomijamy akwaryum, na którego urządzenie nie zanadto zapewnie się wykosztowano, a idziemy, zwabieni świstem i turkotem maszyn parowych, do dużego budynku z żelaza i szkła. Hala maszyn! — te wyrazy, które zwykle na wielkich wystawach osobny wywierają urok, zapowiadają jakieś nieznane dotąd dziwy i nadzwyczajne wynalazki, u nas tej doniosłości nie mają, budzą w nas jednak uczucie bardzo żywe ciekawości, czy i jak kraj w dziale tym jest reprezentowanym. I wszedłszy do wnętrza, rzuciwszy okiem dokoła, widząc tu niemiecki, tam czeski napis, a za jedną polską tablicą znowu czeskie i niemieckie szyldy, ogarnia nas z początku wrażenie, jakby to był budynek obcej wystawy, praskiej lub wiedeńskiej, przeniesiony żywcem na Stryjskie wzgórze. Ale rozglądnąwszy się dokładniej, spostrzegamy, że to i owo niemieckie nazwisko należy do firmy mającej swe fabryki w Białej, która przecież jest miastem galicyjskiem, że połowa całego gmachu zajęta jest przez dział kolei państwowych, a w nim reprezentowane są warsztaty kolejowe w Galicyi i prywatne przedsiębiorstwa budowy maszyn i wozów w kraju; a wreszcie pociesza nas myśl, że i poza halą znajdują się liczne w kraju wyrabiane maszyny, na które tu już miejsca nie było. Przemysł poznański reprezentuje znakomicie, maszynami rolniczemi p. Cegielski i aparatami gorzelnianemi pp. Urbański i Romocki, a nieco dalej już, pod osobnym dachem, widzimy krakowską firmę p. Zieleniewskiego, który wystawił między innemi aparata do gorzelni i cały szereg maszyn i urządzeń kolejowych, przy którychby nas ciekawość dłużej zatrzymała, gdyby nie drugi mniejszy pawilon maszyn, który, chcąc nabrać dokładnego wyobrażenia o tym dziale wystawowym, zwiedzić nam jeszcze wypada. Tutaj przedstawiono nam technikę w usługach drobnego przemysłu, ale i tu nazwisk polskich, wyrobów krajowych mało. Są tu różnorodne maszyny do szycia, przyrządy elektrotechniczne,

motory gazowe, naftowe i t. d. Wiele krajów, jak widzimy, złożyło się na wystawę maszyn; brak tylko jednych, tych, których tu właśnie najbardziej było potrzeba, by zrównoważyć obce produkta polskiemi wyrobami — brak Warszawy i Kongresówki.

Za to czysto galicyjski jest oddział eksploatacyi nafty i wosku ziemnego. Tu już nic od innych części monarchii nie potrzebowaliśmy pożyczać, bo sami jedni posiadamy ten czynnik ekonomiczny, którego rozwój i znaczenie wystawa należycie ocenić nam pozwala. Lat temu pięćdziesiąt, rodziło się nafciarstwo galicyjskie: w roku 1846 podnosił ś. p. Ignacy Łukaszewicz pierwszy kwestyę destylacyi ropy; w sześć lat później oświecono już naftą borysławską szpital powszechny we Lwowie. Odtąd postępy szybkie. W roku 1885 założył Wydział krajowy szkołę wiertniczą; dzięki temu, wykształcił się cały zastęp fachowych wiertników, przeważnie Polaków. Głębokie wiercenie, przeprowadzone na wzgórzu Stryjskiem przez pp. Augusta Gorayskiego i A. Trzecieskiego, jest jedną z najcharakterystyczniejszych ozdób placu wystawy. Wznosząca się na 30 metrów wieża wiertnicza, huk świdra spadającego z regularnym łoskotem w takt parowej maszyny, oraz nadzieja odkrycia dobrej źródlanej wody dla Lwowa, łącząca się z tem przedsięwzięciem, sprawiają, że prócz ludzi fachowych, interesuje się niem szersza publiczność, która także z zajęciem przygląda się obrazom Tadeusza Rybkowskiego, przedstawiającym widoki kopalń w Wietrznie, Równem i Bóbrce. Wielkiem powodzeniem wśród zwiedzającej publiczności cieszy się model kopalni wosku ziemnego w Borysławiu, ciągnący się na trzydzieści metrów w głąb ziemi. Reszta wystawy naftowej obchodzi już tylko specyalistów, ale ci za to znajdują tu prawdziwe muzeum swego fachu. — Jako górniczy, a więc nafciarstwu pokrewny zawód, wystąpiła galicyjska produkcya soli. Wieliczka postarała się o to, by wszystkich zainteresować. Popularny jest model szybu nad brzegiem jaru Stryjskiego; dla znawców, zajmujący zbiór przekrojów rysunków i okazów *in natura* umieszczonych w pawilonie ministerstwa skarbu; a historyk znajdzie w tymże pawilonie bardzo ciekawe dokumenta, dotyczące górnictwa za czasów polskich,

i stare mapy, nieraz bardzo zajmujące, jak np. plan Martina Germana z roku 1638, który swej pracy widocznie nizko nie cenił, kiedy pisze w nagłówku: *opus non unius anni labore consummatum.*

Między dwiema Wieliczkami wznosi się pawilon pracy kobiet. Tu kobiecą ręką ułożono i ugrupowano niewieście roboty z wdziękiem i pełną gustu dekoracyą. Na lewo od drzwi widzimy część gospodarską, kuchnie, przyrządy domowe i rezultaty tych przyrządów pod postacią różnych specyałów, w które zwykła obfitować śpiżarnia polskiej gosposi; na prawo w dziale, który możnaby nazwać pamiątkowym, umieszczony cały szereg wizerunków sławnych niewiast polskich i pamiątek po nich. Główne miejsce zajmuje gablotka, poświęcona pamięci Klementyny z Tańskich Hoffmannowej. Wokoło wizerunki innych kobiet polskich, od Elżbiety Drużbackiej do księżnej Wirtemberskiej, od tej znowu do księżnej Leonowej Sapieżyny.

Robót kobiecych dużo, haftów ręcznych kilka dość udanych, ale niemało ich grzeszy brakiem dobrego gustu. Gdy spojrzymy na śliczne wyroby naszych prababek na wystawie starożytności i porównamy je z dzisiejszemi, żal nam się robi, że piękna ta i w Polsce do tak wysokiego stopnia doskonałości doprowadzona sztuka, coraz bardziej zanika. Cała ta plastyka starożytnego hafciarstwa, która pokrywała dawne ornaty i kapy fantastycznemi splotami mistycznej flory, dziś jakoś zniknęła: nowoczesne wyroby, choć nieraz zgrabne i efektowne, nie mają już w sobie tego uroku wyrobów przeszłości. Wyjątek szczęśliwy stanowią wyroby znakomitej pracowni p. Pydynkowskiej z Krakowa. Za to daleko więcej znajdujemy na polu naukowem. Sympatyczny jest np. produkt umysłu kobiecego, pani Jadwigi Wójcickiej, mapa Królestwa Polskiego w obrazkach. Więc tu strzecha wiejska, tam pałac dumny, tu dymiący komin oznacza fabrykę, obok skały Ojcowa, a dalej lasy zielone, bydło pasące się w polu, wszędzie złota pszenica równin mazowieckich.

Oprócz gmachów komitetowych, znajdują się na wystawie liczne pawilony prywatne, a do kilku zaglądaliśmy już w ciągu naszej wędrówki po wystawie. Niektóre z nich imponują roz-

miarami, świadczą o starannej administracyi i wzorowym porządku w wielkopańskich fortunach; inne, choć mniejsze i skromniejsze, ale także jeszcze pokaźne. Ale tyle ich jest, że ani zajrzeć do nich przy tak krótkiej wędrówce po wystawie nie możemy. Zaglądnijmy przynajmniej na zakończenie na tak zwany dział etnograficzny. Wogóle tego rodzaju działy wystaw wyglądają raczej na zabawkę, niż na rzecz poważną. Tu przynajmniej jest kilka chałup wiernie odtworzonych z ich ubogim wewnętrznym ustrojem. Możeby lepiej wyglądały, gdyby były mniej rozrzucone. Między niemi dworek, w niczem do dworka polskiego nie jest podobny; w jego sieni wiele chłopskich wyrobów, któreby może właściwiej po chałupach były rozstawione. Ale w dalszych, co za prześliczna kolekcya typów ludowych w prawdziwych ludowych strojach z różnych stron Polski! Figury z terrakoty wielkości naturalnej tak dobre i tak żywe, że się na żadnej wystawie tego rodzaju podobnych nie widzi. A ubiory jakie rozmaite, jakie ciekawe w tem zestawieniu! Na pozór przedstawiają tylko pstrą mieszaninę form i kolorów, ale przypatrzywszy im się bliżej, przyrównawszy rodzaj ubioru do charakteru okolicy z której pochodzi, widzimy, że jest on do niej zawsze zastosowany i, w przeciwieństwie do kosmopolitycznych strojów sfer wykształconych, niejako wyrazem i wynikiem swej okolicy. Więc przedmieszczanka na bogatem szląskiem pograniczu nosi stroje przeszywane złotemi nićmi i koronkowe fartuchy. Trochę mniej bogato, ale weselej jeszcze ubierają się dzieci pięknej ziemi krakowskiej; szare i skromne jest pokrycie górala leśnika, ale za to materya mocna i wytrzymała na niewygody i trudy górskiego życia. Wogóle zauważymy, że z południa na północ ubiory ludowe stają się poważniejsze, kolory ciemniejsze. Z Kaszub widzimy tu ubrania, w których wyłącznie prawie czarny kolor panuje. — Jaka szkoda, że ta ogromna, przepyszna kolekcya etnograficzna nie została rozstawiona w daleko większym lokalu, gdzieby się mogła odpowiednio ugrupować i swobodnie dać oglądać!

Ale już zmierzch się robi, po całodziennem oglądaniu wystawy; elektryczne światła się zapalają. Tłum różnobarwny sku-

pia się gęsto na placu środkowym, napełnia go ruchem i życiem. Aż tu fontanna świetlana rzuca swe pyszne blaski na tłumy i gmachy. Powtarzamy sobie z wewnętrznem zadowoleniem, że wystawa się udała. Udała się, nietylko że jest wspaniale urządzona i zewnętrznie okazała, — o okazałość u nas nietrudno — ale głównie dlatego, że wykwitła z wewnętrznej pracy naszego kraju i wykazuje jego oryentacyę ku rzetelnemu organicznemu rozwojowi.

Franciszek Morawski.

PRZEBIEG POJĘĆ RELIGIJNYCH U CHIŃCZYKÓW.

II. Tło religijne ludów rasy czarnej.

Wszystkie ludy na ziemi mają religię. — Religia ludów stojących najniżej pod względem kultury, nie jest obrazem pierwotnej religii. — Tak zwany animizm jest frazesem bez treści. — Niema na ziemi „ludów dzikich". — Wszystkie ludy posiadają charakterystyczną cechę moralności. — Świadectwa uczonych badaczy Howitt'a i Westermarck'a co do moralności ludów murzyńskich. — Ludy afrykańskie mają religię; świadectwo Mackdonald'a. — Afrykanie wierzą w duchy nadziemskie, a wśród nich wyróżniają Najwyższą Istotę: badania Johnston'a. — Jak należy pojmować oddawanie czci bałwanom i fetyszom. — Ludy afrykanskie wierzą w nieśmiertelność duszy, oddają cześć duszom zmarłych przodków. — Ludy australskie uznają Najwyższą Istotę; świadectwo Howitt'a: wierzą również w skuteczną działalność duchów i dusz zmarłych przodków. — Streszczenie pojęć religijnych Minkopów.

Starzy klasycy zapewniali, że w ich czasach nie było ludu bez religii [1]; dziś, po upływie tylu wieków, po odkryciu nowych światów i nieznanych przedtem ludów, stwierdzają to samo uczeni badacze. Kilka dziesiątków lat temu pisał de Quatrefages [2]: „Z powodu umiejętności, jaką się zajmuję, zmuszony byłem badać wszystkie plemiona ludzkie, poszukiwałem ateizmu tak u ludów stojących na najniższym stopniu kultury, jak i u stojących

[1] Ob. Cycero, *De Leg.*, lib. II, c. VIII; Plutarch, *Advers. Coloten.*
[2] *Espèce humaine*, p. 356.

najwyżej. Nie znalazłem go nigdzie, wyjątkowo tylko pomiędzy indywiduami i szkołami w Europie, tak dawniej jak i obecnie... Ateizm istnieje tylko sporadycznie. Wszędzie i zawsze masy ludności uniknęły jego wpływu; nietylko żaden większy szczep ludzki, ale nawet nigdzie większa część szczepu nie podlegała ateizmowi. Taki jest ostateczny wynik moich badań, które mogę nazwać sumiennemi, a które rozpocząłem, zanim jeszcze objąłem katedrę antropologii. Badałem zaś i wnioskowałem nie jako myśliciel wierzący lub filozof z powziętą *a priori* myślą, lecz jako przyrodnik, który przedewszystkiem wyszukuje fakta i stwierdza je". Nie przeczą tym wynikom sami racyonaliści; oto co pisze jeden z nich[1]: „Mniemanie, jakoby znajdowały się ludy lub plemiona pozbawione pojęć religijnych, opiera się na spostrzeżeniach niedokładnych, lub błędnem pojmowaniu. Nie napotkano nigdy ani ludu ani plemienia, któreby nie uznawało istot wyższych; niektórzy wprawdzie podróżnicy twierdzili przeciwnie, lecz późniejsze i dokładniejsze spostrzeżenia sprostowały ich zdanie. Stąd możemy słusznie wnioskować, że religijność jest powszechnem objawem ludzkości".

Zaznaczamy chętnie to wyznanie racyonalisty; od czasu Darwina jest już widoczny postęp, ubył przynajmniej jeden punkt sporny, ale tyle ich jeszcze pozostało!

Racyonaliści, nie przyjmując Pisma św., odrzucają religię objawioną; wychodząc zaś z zasady zwierzęcego pochodzenia człowieka, twierdzą, że pierwotni ludzie nie mieli religii. Rzecz nie jest nowa, wystarczy tu zauważyć, że ci panowie wywrócili tylko kota ogonem: to co Darwin umieścił był w swej przesłance, oni to mają we wniosku, wniosek zaś Darwina jest dla nich przesłanką. Wykazaliśmy gdzieindziej[2] bezpodstawność tego twierdzenia, nie będziemy zatem wchodzić tu w ponowny jego

[1] Tiele, *Manuel de l'hist. des religions*, 1885, Paris, p. 12. — Roskoff w dziele swojem: *Das Religionswesen der rohesten Naturvölker*, Leipzig 1880, zbija doskonale twierdzenia Lubbock'a, który utrzymuje, że niektóre ludy nie posiadają pojęć religijnych.

[2] „Darwinizm", str. 144 i następ.

rozbiór, tem bardziej, że jakiekolwiek byłoby jego rozwiązanie, pozostaje zawsze nietknięte pytanie, jaka była pierwotna religia.

Można się było spodziewać, że racyonaliści zmuszeni faktem, uznanym dziś, powszechności religijnej, przyznają pierwotnym ludom najmniejszą, o ile tylko być może, dozę religijności, jeszcze mniej, a nawet o wiele mniej, aniżeli jej mają obecnie ludy stojące na najniższym stopniu kultury. Tak nakazywały prawa ewolucyonizmu: według tej teoryi, postęp jest konieczny i powszechny, a zatem i religia najniżej dziś stojąca była już wynikiem rozwoju, stąd religia pierwotna o wiele niżej stać musiała. Teorya ta znalazła na razie poklask i uznanie, lecz niebawem rozwiała się wobec praktycznych spostrzeżeń nad ludami murzyńskiemi i orzeczeń badaczy, którzy nie mogli być pomówieni o stronniczość. Tiele pisze[1]: „Nie zgadzam się zupełnie ze zdaniem, że religia dzikich ludów dzisiejszych przedstawia wiernie obraz pierwotnej religii ludzkości. Przeciwnie, ponieważ nic nie stoi na miejscu, religie tych ludów zmieniły się, cofnęły się wstecz“. A nie jest to głos jedyny; dokładne badania ustroju społeczeństw murzyńskich wskazują ich upadek i cofnięcie się. Wobec tych danych racyonaliści zmienili taktykę, miasto dania wyjaśnień o stanie pierwotnym religii, dali mu tylko nazwę — stan pierwotny religii nazwano animizmem. Pochwycili skwapliwie myśl tę wszyscy ci, których podmiotowe zapatrywania nastrojone były w tym samym tonie, i w dziełach swych lub wykładach z katedry głoszą żądnym wiedzy czytelnikom i słuchaczom, że animizm był pierwotną religią ludzkości. Otóż wykład taki nie jest całkiem naukowym, obniża tylko, w głowach myślących, powagę tych, którzy go głoszą. Animizm jest frazesem. Frazesy mają to do siebie, iż o ile są mglistsze, tem więcej mają uroku dla niemyślących, lecz przy lada powiewie rozumowania, znikają jak bańki mydlane[2]. Tak też się stało i w tym wypadku.

---

[1] *Manuel de l'histoire des religions*, p. 16.

[2] Baron Hübner zamieścił w swem dziele: *A travers l'empire britannique* (vol. II, p. 23), rozmowę, jaką miał z jednym z panów hinduskich, i uzu-

Wyraz „animizm“ ani sam przez się, ani w znaczeniu jakie mu nadają, nie odzwierciedla stanu pierwotnego religii. J. Legge słusznie był zauważył [1], że jeżeli animizm może mieć jakieś konkretne znaczenie, to jedynie chyba to, że przedmiot kultu jest duchowy, a w takim razie wszystkie religie dawniejsze i dzi-

pełnił ją swemi uwagami, które rzucają światło na płytkość poglądów i chwiejność przekonań ludzkich, opartych na szumnych frazesach.

Hindus był mahometaninem, nauki odbywał w Paryżu i Londynie; w ciągu rozmowy zagadnął Hübner:

„— Czy wierzysz pan w to wszystko, co religia mahometańska naucza?

— Cywilizacya europejska nie zawiera nic takiego, coby się sprzeciwiało mej wierze.

— To nie jest odpowiedź. Czy wierzysz, że Mahomet był prorokiem posłanym od Boga?

— Tak, dlaczegoby nie? To co nauczał było symbolem prawdy filozoficznej.

— Od tego nie odstępował. — Co myślisz o Bramanach? Czy oni wierzą w swych niezliczonych bogów?

— Nie, oni są zbyt wykształceni, żeby temu wierzyć mogli. Ci, którzy przeszli przez szkoły angielskie, rozumieją dobrze, że bałwany są tylko symbolami prawdy filozoficznej.

„Znowu symbole! Prosiłem go, żeby mi powiedział, co rozumie przez ten wyraz. Napróżno szukał odpowiedzi. Przykre zakłopotanie malowało się na jego obliczu, a o ile wyczytać mogłem, połączone było z wielkiem powątpiewaniem. Powątpiewał o swych symbolach. Zwróciłem rozmowę na inny przedmiot.

„To mi przypomina małe zajście, którego byłem świadkiem w Paryżu, dnia 2 grudnia 1851 r., podczas zamachu stanu. Przechadzałem się po bulwarach. Dochodząc do bramy Saint-Denis, zauważyłem grono skupionych ludzi, wśród których jeden z nich gromkim głosem powtarzał kilkakrotnie te same wyrazy: ‚Bracia, zasiądźmy do uczty przyrody‘. Podchodzę ku niemu i pytam: ‚Bracie, co nazywasz ucztą przyrody?‘ Chciał odpowiedzieć, lecz mu brakło słów, począł coś bąkać, że uczta jest ucztą, i jak w Ameryce... Słuchacze, którzy go dokąd oklaskiwali, nie byli zadowoleni z jego odpowiedzi, poczęli groźno powtarzać mu moje zapytanie: ‚co rozumiesz przez ucztę przyrody‘, i byliby go może wkońcu poturbowali, gdyby, na jego szczęście, nie był nadbiegł w galopie oddział konnicy, który rozpędził zebranych i doraźnie rozciął węzeł gordyjski“.

[1] „What religion, it may be asked, is not animistic, in the sense that its objects of worship are regarded as spirit? But it is not merely because they are spirits that they are worshipped, but because of the relation that they are supposed to sustain to the worshippers, and to te Supreme Spirit, or God“. *The religions of China*, p. 18.

siejsze możnaby nazwać animizmem. Animizm zatem nie przedstawia jakiegoś szczególnego, pierwotnego stanu pojęć religijnych, lecz po prostu je stwierdza; jakie zaś były te pojęcia, można dociec jedynie z dokumentów wierzytelnych, jakie nam przekazały starożytne ludy. Pomniki piśmienne Aryów Wschodnich wykazały nam dowodnie, że pierwotną religią tych ludów była wzniosła jednobożność, lecz co się tyczy badań ludów rasy czarnej, o które nam tu idzie, rzecz nie przedstawia się tak gładko. Ludy murzyńskie nie posiadają żadnych dokumentów piśmiennych; jedynem źródłem do badania ich przeszłości, jest ich obecny stan pojęć religijnych i nader nieliczne i niepewne podania. Wobec tak skąpych źródeł nie możemy sobie obiecywać pożądanych wyników z naszych badań, jednakże to co z nich można wywnioskować, ma tę wartość, że sprzeciwia się apriorystycznym zapatrywaniom racyonalistów i rozjaśnia nieco stan pierwotny religii tych ludów.

Rzecz godna zastanowienia: w miarę dokładniejszych badań etnologicznych ludów stojących na najniższym stopniu kultury, rozwiewają się coraz więcej utarte dawniej mniemania o pierwotnej dzikości człowieka, a co za tem idzie, upada jeden z wrzekomych dowodów jego zwierzęcego pochodzenia.

Dzicy ludzie nie istnieją[1], a ludy tem mianem piętnowane, bliżej i lepiej poznane, nie stoją tak nizko jak sądzono, kierują się w swem życiu i stosunkach społecznych zasadami etycznemi, które nie ustępują w niczem zasadom ludów stojących na wysokim stopniu cywilizacyjnym. Od czasu słynnej wyprawy Stanley'a i innych podróżników, którzy odkryli wnętrze Afryki i zapoznali nas z ludami, które nigdy nie widziały „białych", nie może być mowy o ludach „dzikich"; to samo należy powiedzieć o ludach Australii i Oceanii.

[1] Réville, który jest dziś wyrocznią wśród racyonalistów, nie używa nigdy wyrażenia „dziki", lecz tylko „nie-cywilizowany". Tiele pisze: „....Les religions des peuples non-civilisés (l'expression est du professeur A. Réville et doit, peut-être, être préférée à celle de ‚sauvages')". *Manuel de l'hist. des rel.*, p. 16.

Charakterystyczna cecha moralności pojawia się u wszystkich ludów murzyńskich. „Wstydliwość — pisze de Quatrefages [1] — jest przestrzeganą u wszystkich ludów, nie wyłączając tych, które stoją na najniższym stopniu oświaty. W krajach gorących, w których osłonięcie ciała od zimna jest zbyteczne, ludzie nie noszą odzieży, lecz tak mężczyźni jak i niewiasty używają osłon, idących od bioder do kolan. Osłony te bywają robione zwyczajnie z tkanin, jednakże tam, gdzie przemysł stoi na bardzo nizkim stopniu, wiązki liści stanowią całą zasłonę. Niewiasty z Andamanu używają tylko takich osłon, lecz wstydliwość tak jest przestrzeganą, iż gdy która z niewiast potrzebuje zmienić osłonę, nie czyni tego nigdy wobec innych, lecz udaje się na ustronne miejsce i tam dokonywa swej tualety".

Wśród tuziemców australskich moralność jest ściśle przestrzegana i obwarowana bardzo ostremi przepisami; i tak zięciowi nie wolno jest nawet spojrzeć na swą teściowę [2]. Howitt w pracy swej: *Notes on the Australian Class systems*, przywodzi przepisy, bardzo starannie zebrane, a tyczące się małżeństw u ludów australskich. Rzeczą jest ciekawą, że osoby należące do tego samego *totemu*, tj. spokrewnione z sobą, nie mogą wchodzić w związki małżeńskie. Takie same przepisy istnieją i u innych ludów murzyńskich, a również i w Chinach. Po odczytaniu pracy Howitt'a na posiedzeniu londyńskiego „Stowarzyszenia antropologicznego", przewodniczący, J. Walhouse, wypowiedział mowę, z której przytaczamy tu następujący ustęp: „Od dawna już mniemałem, że zanadto lekceważono sobie rozum, zwyczaje i etyczne przepisy tak zwanych ludów dzikich. Obecnie okazuje się, że ci Australczycy, którzy przez wielu uważani byli za stojących na najniższym szczeblu, zdolni byli rozeznać złe, jakie pociąga za sobą nieograniczona dowolność zawierania związków małżeńskich wśród rodzin pokrewnych, i ustanowili ścisłe prawa.

[1] *Introduction à l'étude des races humaines*, p. 253.

[2] „This stringency is shown by the common expression among these aborigines, ‚A man cannot even look at his wife's mother'. They would regard a connection between the two as a pollution in the highest degree". *Journ. of the Anthrop. Inst.*, vol. XII, p. 503.

ograniczające tę dowolność“ [1]. Te słowa tem większe mają znaczenie, iż wypowiedziane były wśród zgromadzenia, które między swymi członkami liczy Tylor'a, Huxley'a, Lubbock'a, i innych, niezachwianie wierzących w zwierzęcy początek człowieka i w „pierwotne stada“, które miały być zawiązkiem stanu społecznego.

Tym panom daje doskonałą odprawę uczony angielski Westermarck, który przed kilku laty wydał obszerną monografię, pod tytułem: „Historya związków małżeńskich człowieka“. Westermarck zebrał z wielkim mozołem wszystkie szczegóły, odnoszące się do tego przedmiotu, jakie podróżnicy, a szczególnie specyalni badacze, w dziełach swych zamieścili, poddał je krytyce i wierne a bezstronne przedstawił wyniki. Te wyniki na tem większą zasługują ufność, iż nie licują z jego zasadniczemi poglądami [2]. Przedewszystkiem odpiera Westermarck pogląd, jakoby ludzie pierwotni żyli „gromadnie“, nie wchodzili w związki małżeńskie; pogląd ten nazywa: *essentially unscientific,* czyli, innemi wyrazami, herezyą naukową. Nie jest również prawdą, ażeby pierwotna ludzkość przechodziła przez stan, zwany *communal marriage.* Nie przeczy, że wśród niektórych ludów zdziczałych odnaleść się dają te stany, lecz to są wyjątkowe zboczenia; co więcej, wśród ludów cywilizowanego Zachodu te zboczenia są częstsze, aniżeli u ludów zdziczałych, a wreszcie, u tych ostatnich ludów zboczenia spotęgowały się dopiero po zetknięciu z cywilizacyą zachodnią [3].

[1] *Journ. of the Anthrop. Inst.,* vol. XII, p. 511.

[2] Jakkolwiek autor utrzymuje, że ludzkość nie przechodziła przez żadne stany przejściowe, i małżeński związek był stanem pierwszych ludzi, dodaje, że prawdopodobnie ten stan odziedziczyli ludzie od swych przodków-małp: „There has been no stage of human developement when marriage has not existed, and the father has always been, as a rule, the protector of his family. Human marriage appears to be an inheritance from some ape-like progenitor“. *The history of human marriage.* 1891.

[3] „Most anthropologists who have written on pre-historic customs believe, indeed, that man lived originally in a state of promiscuity or ‚communal marriage‘; but we have found that this hypothesis is essentially unscientific. Many of assertions made as to peoples living in promiscuous intercourse have, however, been shown to be erroneous, and the

Pół wieku już temu wypowiedział był to samo znakomity misyonarz czerwono-skórych Indyan. Kiedy razu pewnego w obecności O. de Smet nazwano Indyan dzikimi, misyonarz, który przez wiele lat miał sposobność dobrze ich poznać, odparł: „Co się tyczy mnie, to ja prawdziwie dzikich spotykałem tylko w Nowym Jorku i Saint-Louis, mianowicie tych chrześcijan, którzy zapomnieli i wyparli się Ewangelii". Rzecz ta stwierdzona jest powszechnie.

Historya społeczeństw zadaje kłam hipotezie heglowskiej „postępu koniecznego", cywilizacya nie kroczy zawsze naprzód. Doskonale mówi Robiou [1]: „Postęp rzeczywisty, ogromny, którego jesteśmy świadkami, i którego granic oznaczyć ani przewidzieć nie można, rozpoczyna się dopiero z chrześcijaństwem... Postęp ten nie jest stały, zależny jest od wolnej woli człowieka, a następstwa jego widoczne i dodatnie są tam tylko, gdzie chrystyanizm wywiera swój wpływ, i przez ten tylko czas, kiedy go wywiera". Cywilizacya o tyle jest rzetelną i wzniosłą, o ile opiera się na chrystyanizmie; skoro schodzi z tej drogi, przemienia się w dzikość, która pod względem zasad i praktyk etycznych stoi o wiele niżej od stanu ludów nie-cywilizowanych. Wybryki komunardów i anarchistów są jasnym tego dowodem.

accuracy of the others is, at least, open to question. But even if some of the statements were true, it would be a mistake to infer that these quite exceptional cases represent a stage of development through which all mankind have passed; and it is certainly not among the lowest peoples that sexual relations most nearly approach to promiscuity... Equally unwarranted is the inference of a primitive condition of ‚communal marriage', from the fact that in some parts of the world the sexes may cohabit freely before marriage. There are numerous savage and barbarous peoples, among whom sexual intercourse out of wedlock is of rare occurence, unchastity on the part of the woman being looked upon as a disgrace or a crime. Contact with a ‚higher culture' has proved pernicious to the morality of savage peoples; and we have some reason to believe that irregular connections between the sexes have, on the whole, exhibited a tendency to increase along with the progress of civilization... The most genuine form of it is prostitution, which is rare among peoples living in a state of nature, untouched by foreign influence". E. Westermarck, *The history of human marriage*, 1891.

[1] *Marche des idées religieuses*, p. 63.

Badania nad kulturą ludów murzyńskich doprowadziły również do wniosku, że stan ich dzisiejszy nie jest wynikiem postępu, przeciwnie, takie są widoczne ślady cofnięcia, iż sam Herbert Spencer przyznaje, że przodkowie tych ludów musieli stać na wyższym stopniu oświaty [1].

Drugie charakterystyczne znamię człowieka — „religijność", idzie w parze z „moralnością".

Niema ludu bez religii: oto wynik naukowy, oparty na dokładnych badaniach ludów. Pomimo tej prawdy, powszechnie stwierdzonej i publicznie głoszonej przez największe powagi antropologów [2], niektórzy racyonaliści nie przyznawali Murzynom pojęć religijnych, co najwięcej godzili się, że ludy rasy czarnej praktykują fetyszyzm, który ma jakieś nieokreślone i ciemne związki z religią. Gruntowniejsze badania wykazały błahość tych zapatrywań. „Utrzymywano dawniej, — pisze Mackdonald [3] — a nawet sami teologowie twierdzili, że Afrykanie nie mają zgoła żadnej religii. Otóż rzecz się ma całkiem przeciwnie: całe życie Afrykańczyka urządzone jest na podstawie uczuć religijnych, a jakkolwiek ich pojęcia religijne różnią się od naszych, fakt, że mają religię, jest niezaprzeczalny".

Rzeczą jest stwierdzoną, że wszystkie ludy afrykańskie wierzą w istoty nadprzyrodzone, a przynajmniej nie-cielesne, którym przypisują wpływ na ten świat, na dobrą lub złą dolę

[1] „There are sundry reasons for suspecting that existing men of the lowest type forming social groups of the simplest kind do not exemplify men as they originally were. Probably most of them, if not all, had ancestors in a higher state". Herbert Spencer, *Open Court.*, nr. 205, p. 2896.

[2] De Quatrefages pisze: „En fait, pas une grande race humaine, pas une population occupant une aire étendu, pas une fraction quelque peu importante de ces races ou de ces populations n'est athée.... Partout on croit à des êtres supérieurs, invisibles, pouvant influer en bien ou en mal sur les destinées humaines... Toutes les populations humaines actuelles admettent que l'homme ne meurt pas tout entier". *Introduc. à l'étude des races hum.*, p. 252, 254, 259, 260.

[3] *Manners, Customs, Superstitions and Religions of South African Tribes*, p. 126. Rozprawa zamieszczona w *Journ. of the Anthr. Inst.*, vol. XIX i XX.

człowieka na ziemi, a nawet na jego byt pozagrobowy. Ażeby pozyskać względy tych istot, należy je błagać modlitwami i ofiarami.

Wszyscy antropologowie przyznają, że niema na ziemi ludu, któryby nie zasyłał modlitw do Boga lub bogów i nie składał zarazem ofiar [1]. Modlitwy te są czasami zdumiewająco wzniosłe. Tylor przytacza modlitwę kapłana Gondów, ludu napół-dziko żyjącego w północno-wschodnich Indyach; nie spostrzegł się uczony antropolog, że dał dowód przeciwko sobie. Gonda prosi najprzód o pomyślność, zdrowie, bogactwo, wreszcie kończy temi słowy: „My nie wiemy co jest dobre dla nas, o co prosić mamy. Ty sam wiesz co jest dla nas dobre. To nam właśnie daj". Podróżnicy afrykańscy opisują szczegółowo modlitwy i ofiary, jakie tamtejsze ludy składają duchom.

Duchy ludów afrykańskich są liczne i różnorodne, każdy z nich działa w pewnej sferze, od siebie zależnej; duchy te przebywają w wodzie, w górach, drzewach, skałach, wcielają się w różne przedmioty. Są duchy dobre i złe, wyższe i niższe; wyższe duchy nazywają się bogami [2]. Wśród tych wyższych duchów, czyli bogów, wszystkie ludy wyróżniają jedną osobistość, która jest ponad innemi, a jakkolwiek nie jest ściśle ani jasno określoną, ma jednak wszelkie pozory Najwyższej Istoty [3].

Nazwa, jaką dają tej Najwyższej Istocie, jest zwykle oderwana, lecz często bywa zastąpiona wyrazami, oznaczającemi takie przedmioty, jak „niebo" i „słońce".

Każde pokolenie ma swoją własną Istotę Najwyższą, która jednak nie różni się od Najwyższej Istoty innych pokoleń atrybutami, lecz tylko nazwiskiem. Mitologię plemion afrykańskich opisywali obszernie podróżnicy; O. Pesch S. J. zebrał skrzętnie

[1] „Even among savages, prayer is already found; indeed, nothing could be more natural than that the worshipper should address with respectful words and entreaties for help a divine being". Tylor, *Anthrop.* p. 365.

[2] „Above the commonalty of souls, demons, and nature-spirits, the religions of all tribes recognise higher spirits, or gods". Tylor, *Op. cit.* p. 358.

[3] „Among their gods they frame shemes of lower and higher ranks of deities, with above all the majesty of a supreme deity". Tylor, *Op. cit.*, p. 363.

te opisy i zamieścił je w bardzo cennem, doskonale opracowanem dziełku, przez siebie wydanem, pod tytułem: *Der Gottesbegriff in den heidnischen Religionen der Neuzeit.* Otóż w tej mitologii afrykańskiej, wśród tylu i tak rozlicznych nazw, myśl się gubi, nie można pochwycić wątku: nieraz plemiona sąsiadujące z sobą i widocznie spokrewnione, mają całkiem różnych bogów. Wobec nizkiego poziomu umysłowego tych ludów, niepodobieństwem było dociec i wysnuć z ich opowiadań zasadniczych pojęć religijnych, filologia dopiero porównawcza dorzuciła nieco światła i dozwoliła rozpatrzyć się w tym chaosie. Uczony angielski, Johnston, obznajomiony z narzeczami ludów wschodniej Afryki, poddał analizie językowej wyrazy, których używają te ludy do oznaczenia istot duchowych, i doszedł do nader ważnych wyników.

A najprzód, jakkolwiek nie da się zaprzeczyć, że ludy wschodniej Afryki mówiąc o Najwyższej Istocie używają często wyrazów oznaczających „niebo“ i „słońce“, niemniej jednak prawdą jest, że największa część tych plemion posiada dla oznaczenia Najwyższej Istoty szczególną, oderwaną nazwę, która ma głębokie znaczenie religijne. Wszystkie prawie ludy Bantu, dla oznaczenia Najwyższej Istoty używają wyrazu: *Mulungu, Muungu, Mungo,* który pochodzi od „Mu-n-kulu-nkulu“; otóż przymiotnik „kulu“, który wchodzi w skład tego wyrazu, znaczy „wielki“, „starodawny“; przyrostek zaś „mu“ oznacza osobistość, indywidualność; — stąd wyraz powstały należy brać w znaczeniu „osoba starodawna“ [1]. Wobec tego doniosłego znaczenia wyrazu

[1] Johnston pisze: „The word for God in their (Wa-taita) language is Mulungu, but I more than suspect it is a borrowed term from the coast tribes, and that ‚Eruwa', Sun, is their true conception of an overruling deity. Among the Wa-pare, the Wa-gweno, the Wa-taveita and the Wachaga the word for ‚sun' and ‚God' is identical. Mulungu is in use among the A-nika, and the A-Kamba, and Muungu and Mungo among the Waswahili and the Wa-pokomo. All these variants descend from an original form, ‚Mu-n-kulu-nkulu', which is most closely preserved in the modern Zulu ‚U-nkulunkulu'. The adjective ‚Kulu' in nearly all Bantu tongues has the meaning of great or old. To this was added the ‚n' prefix, then the personal prefix ‚mu', so that finally the combination meant the ‚old, old one', for great and old in this sens are almost synonymous“... *The people of Eastern Equatorial Africa,* w *Journal of the Anthrop. Inst.*, vol. XV, pp. 12 i nast.

„Mulungu“ można słusznie przypuścić, że wyrażenia „słońce“ i „niebo“, których te ludy używają w znaczeniu identycznem z Najwyższą Istotą, są zwykłemi przenośniami; a jakkolwiek wśród tych ludów znajduje się może wielu, którzy identyfikują rzeczywiście przedmiot z osobą, temu nikt ani się dziwić ani przeczyć nie będzie, a dla nas byłby to jeden dowód więcej, że dawne pojęcia religijne zostały obniżone.

Pojęcie o Najwyższej Istocie, często wzniosłe, jakie mają Murzyni, a wogóle pojęcie o istnieniu istot nie-cielesnych, duchowych, które wszyscy i wszędzie przyznają, zdaje się stać w zupełnej sprzeczności z faktem również powszechnym, że wszystkie te ludy oddają cześć bałwanom, tj. przedmiotom materyalnym, przedstawiającym wyciosane lub wymalowane postacie ludzkie, a czasami nawet całkiem bezkształtnym i bez żadnego wyraźnego znaczenia, które nazywamy f e t y s z a m i. Otóż sprzeczność ta jest tylko pozorną. Poganie greccy i rzymscy, którzy tak wysoko stali pod względem kultury, oddawali cześć bałwanom, a swe postępowanie usprawiedliwiali tem, według Minucyusza Feliksa, że duch bożków wcielony jest w te bałwany z drzewa i z kamienia. To samo dzieje się i dzisiaj. Tylor pisze [1]: „Anglik dziwi się, że jakaś istota ludzka, jakkolwiek nieoświecona, może upadać na twarz przed lada kłodą lub bryłą kamienną i składa jej ofiary w pokarmach; jednakże kiedy Afrykanin lub Hindus tłumaczy, że boski duch wcielił się w tę kłodę lub bryłę, wówczas postępowanie to wydaje się całkiem racyonalnem“. I rzeczywiście wszyscy dzisiejsi wykształceni poganie w ten sposób tłumaczą cześć, jaką oddają bałwanom lub fetyszom. Duch nadziemski, według nich, wciela się w przedmiot materyalny, który przez to nabywa atrybutów nadprzyrodzonych; ten duch jednakże nie jest ciągle obecny w tem siedlisku, lecz w niem uobecnia się tylko w pewnych czasach [2]. To samo zu-

[1] Tylor, *Anthropology*, p. 367.

[2] „A Tahitian priest, when asked about his carved wouden idol, would explain that his god was not always in the image, but only now and then flew to it in the body of a sacred bird“. Tylor, *Op. cit.*, p. 367.

pełnie utrzymują, jak to zobaczymy, Chińczycy o swych „tabliczkach przodków".

Ludy południowej Afryki wierzą w nieśmiertelność duszy. Dusza po rozłączeniu z ciałem idzie do nieba, a jak oni mówią, „idzie do domu". Te dusze wiedzą co się dzieje na ziemi i mogą się przyczyniać do pomyślności swych krewnych, zostających na ziemi. W tym celu krajowcy udają się z prośbami do tych dusz, i w swych modlitwach mówią: „Ty co jesteś w górze... coś tam się już dostała...", i składają im ofiary [1].

Nabożeństwo do przodków stanowi główny przedmiot obrzędów religijnych w południowej Afryce. „Jeżeli człowiek — pisze Mackdonald [2] — uniknie jakiego niebezpieczeństwa, które mu

[1] „The departed spirit ascends to heaven, and by so doing ‚goes home'... These departed spirits revisit the world and are interested in all the affairs of men. They bring prosperity or the reverse according as they are revered and obeyed or not". Z rozprawy J. Mackdonald'a, zamieszczonej w *Journ. of the Anthrop. Inst.*, vol. XIX i XX pod tytułem: *Manners, Customs, Superstitions and Religions of South African Tribes*, p. 121.

„Die Ahnenverehrung ist bei den Kaffern so ausgebildet, dass ein flüchtiger Beobachter meinen könnte, die ganze Religion gehe in derselben auf. Die Todten behalten die Gesinnung bei, welche sie im Leben hegten: die guten bleiben gutgesinnt, die bösen aber übelgesinnt. Deshalb nützen die Geister nicht nur, sondern schaden auch. ‚Die Sulustämme leiten ihr ganzes Wohl oder Wehe im täglichen Leben von den Geistern der Todten, besonders verstorbener Häuptlinge her. Die Geisterwelt denken sie sich in unermesslichen Räumen, die sich nie füllen und unter dem Himmel oder unter der Erde existiren, von wo die abgeschiedenen Geister aber auch wieder zu ihnen in die Nähe ihrer Wohnungen kommen, die deshalb lieber verlassen werden, und ihnen nachts im Schlaf oder auch im Wachen erscheinen... Wenn sie von Verstorbenen träumen, bringen sie diesen ein Opfer, um sie zu beruhigen. Die Verstorbenen sollen sogar die Macht haben, den Lebenden jederzeit sichtbar zu erscheinen'". P. C. Pesch, *Op. cit.*, 2 H., p. 50. — P. Gloatz, *Speculative Theologie*, Gotha. 1884, 1, p. 558.

[2] *Op. cit.*, p. 122. Mackdonald przytacza bardzo ciekawy zwyczaj istniejący w południowej Afryce. Jeżeli niewiasta z pokolenia Pondo, czerpiąc wodę spostrzeże centkowanego węża wodnego, wówczas porzuca naczynie i wraca do domu. Powróciwszy, siada, zakrywa twarz rękoma i nie odpowiada na żadne zapytania; jest to znak, że widziała węża. Wówczas przywołują kapłana, który stosownemi obrzędami zdejmuje urok z niewiasty i oczyszcza cały dom. *Op. cit.*, p. 115.

groziło, mówi: ‚dusza mego ojca wybawiła mnie', i składa ofiarę dziękczynną. W razie słabości urządzają ofiarę błagalną, mającą na celu przebłaganie przodków za błędy popełnione i uproszenie od nich zdrowia... Kapłan składający tę ofiarę mówi: ‚Ty, który jesteś w górze, przyjm naszą żertwę i uchyl naszą nędzę'; albo: ‚Ty, który jesteś w górze, przyjm potrawę, jaką ci przynosimy; niech żertwa, którą palimy, będzie ci wonną, i udaruj nas pomyślnością i pokojem'".

Nabożeństwo do przodków rozpowszechnione jest i po innych krajach Afryki [1].

[1] „In Guinea the negroes who regularly bring food and drink to the images of their dead relatives look to them for help in the trials of life, and in times of peril or distress crowds of men and women may be seen on the hill-tops or the skirts of the forest, calling in the most piteous and touching tones on the spirits of their ancestors". E. Tylor, *Anthropology*, p. 352.

„A man worships the spirits of his own ancestors: a village, those of its departed heads: a tribe, those of its chiefs. The names of great warriors are kept long in remembrance... and on whose with depends the destiny of peoples... This is common to almost all Bantu tribes. Worship takes the form of prayer, offering and sacrifice... In the more private devotions of the people of the Nyassa region Mulunga (Najwyższa Istota) does not appear, but a man may not only pray and sacrifice to his own ancestors, but also to the old inhabitants who occupied the country before his forefathers look possession of it". James Mackdonald, *East central African Customs*, w *Journ. of the Antirop. Instit.*, 1892, str. 113.

Hahn, który dziewięć lat przebywał wśród Hotentotów, stwierdza ich wiarę w duchy nadziemskie i zaznacza ich nabożeństwo do przodków. De Quatrefages w ten sposób streszcza jego spostrzeżenia: „Au-dessous de ces divinités principales, les Hottentots placent d'autres dieux secondaires, les uns bons, les autres méchants. Ils croient à une autre vie, et dans leurs afflictions s'adressent à leurs ancêtres, à leurs héros, à leurs saints, dont ils attendent un vrai secours; mais pour en être entendus il faut qu'ils aillent prier sur le tombeau lui-même". *Hist. gén. des races hum.*, p. 262.

Oto co pisze jeden z misyonarzy o kulcie przodków w Wyższej Gwinei: „Ein Missionär fragte einen Fetischpriester, was das für ein grosser, ganz mit Oel übergossener Fetisch sei. ‚Das ist mein Vater', lautete die Antwort. ‚Wie, dein Vater? der ist ja gestorben. Was soll der mit deinem Palmöl machen?' Darauf erzählte der Neger, wie sie das Begräbniss seines Vaters gefeiert hätten. ‚Wir gaben ihm viel Tafia zu trinken, boten ihm schöne Stoffe an, damit er immer einen guten Schurz hätte, schenkten

Do niedawna o ludach australskich małośmy co wiedzieli pewnego, uważano je za całkiem dzikie, odmawiano im pojęć religijnych. Powoli zaczęły się rozwiewać te mniemania. Już Greenways w swej rozprawie [1] zaznaczył, iż Australczycy mają pojęcia religijne, a sądząc z etymologii, samo imię *Bhaiami*, które znaczy „stworzyciel", wiele dawało do myślenia. Wierzą też Australczycy w nieśmiertelność duszy i w jej byt pozagrobowy. W miarę dokładniejszych badań uwydatniały się coraz lepiej pojęcia religijne ludów australskich. Najznakomitszy z badaczy tej części świata, Howitt, którego prace pozyskały powszechne uznanie, wnioskami, do jakich doszedł, wprawił w podziw uczonych i niepomiernie osłabił wartość apriorystycznych zapatrywań racyonalistów.

Na posiedzeniu londyńskiego „Stowarzyszenia antropologicznego", w czerwcu i grudniu r. 1880, dr. Tylor odczytał prace Howitt'a, które następnie były drukowane w Rocznikach tegoż Towarzystwa, a z których podajemy tu treściwe sprawozdanie.

Jakkolwiek każde plemię ma osobną nazwę dla oznaczenia Najwyższej Istoty: Tharamulun, Bundźil, Tha-tha-puli, Tulong, Daint-luk, Nurali i t. d., wszyscy jednak uznają, że j e d e n jest Bóg, który „stworzył mężczyznę i niewiastę", który „dał każdemu pokoleniu osobny język", i rządzi światem, wynagradza czło-

---

ihm Busen (Muschelgeld), um Sklaven zu kaufen, und überreichten ihm einen Säbel und ein Messer. Auch liessen wir ihn das Blut von einem Hahn, einer Ziege und einem Ochsen trinken. Sieh nur, was ich ihm noch täglich gebe. Dieses Oel muss er essen, mit jenem muss er seinen Leib einreiben, um kräftig und gewandt zu bleiben. Da hat er auch Kola (Früchte), Wasser, Busen, alles, was er bedarf, um gut zu leben. Morgens und abends komme ich, ihn zu fragen, was er nöthig habe'". *Die katolischen Missionen*, 1873, p. 59.

[1] „Bhaiami, Baiame is regarded as the maker of all things. The names signify ‚maker' or ‚cutter out', from the verb bhai. He is regarded as the rewarder or punisher of men, according to their conduct. He sees all, and knows all;... Bhaiami is said to have been once on th earth. ...The ‚tohi' (spirit), that which speaks thinks, determines within man, does not die with the body, but ascends to Bhaiami"... Z rozprawy Greenways'a, umieszczonej w *The Jour. of the Anth. Inst.*, vol. VII, p. 242, pod tytułem: *Australian Languages and Traditions.*

wieka i karze go tu na ziemi i na tamtym świecie. Bóg mieszka w niebie ze sprawiedliwymi, źli ludzie po śmierci idą do piekła, gdzie będą „gorzeć w ogniu“ [1].

Imię Boga jest tak święte, iż w zwyczajnej mowie nie bywa nigdy wspominane [2], często zastąpione bywa wyrazami: *Papany* „Ojciec“, lub *Biamban* „Pan“, najczęściej jednak giestem tylko, mianowicie podnoszą palec wskazujący prawej ręki ku niebu [3].

Jeden z sędziwych Australczyków opowiedział Howitt'owi, iż mając lat 10, ojciec jego pewnej nocy wyprowadził go poza koczowisko i wskazując na niebo, powiedział: „Już jesteś podrostkiem, niebawem będziesz mógł polować na kangura i niedźwiedzia, będziesz człowiekiem; widzisz Bundżila tam w górze, on może cię widzieć i wszystko co tu czynisz na ziemi“. Australczyk dodał, a stało się to „zanim biały człowiek ukazał się w Melburnie“ [4].

Nietylko samo imię Boga jest święte, ale wszystko co się tyczy religii, za święte jest uważane. Imię Boga i obrzędy religijne znane są tylko wybranym, niewiasty i dzieci nie mogą

[1] „Tulong is regarded as a powerful spirit, or perhaps a supreme supernatural being. ...He made men and women... In the Ta-ta-thi and its allied tribes there is certainly a belief not only in a future state of existance, but also in a system of rewards and punishment... wicked men were roasted... The spirit of a bad man is sure to fall into the hell of fire. Many of the natives have had their beliefs modified by contact with the whites, and I feel doubtful whether the pit of fire was not of this kind, and questioned my informant very closely on the subject, but he assured me that there was no doubt whatever that the above was the exact belief of his tribe before the settlement of the country by the white men“. *Notes on Some Tribes of New South Wales*, w *Journ. of the Anthrop. Inst.*, vol. XIV, pp. 364, 365.

[2] „This name of Tharamulun is to them so sacred, that even in speaking to me of it when no one else was present but ourselves, the old men have to avoid the word itself, such as ‚He', ‚the man', or ‚the name I told you of'“. *Op. cit.*, vol. XIII, p. 193.

[3] *Op. cit.*, p. 444. Niewiasta z pokolenia Theoddora spytana przez Howitt'a, gdzie jest Tharamulun, odpowiedziała: „On mieszka tam w górze (wskazując na niebo), ja tylko to wiem“.

[4] *Op. cit.*, p. 193.

w nich brać żadnego udziału. W każdem pokoleniu, od czasu do czasu, odbywają się wtajemniczenia, uroczyście obchodzone. Kapłani pouczają wówczas kandydatów o Najwyższej Istocie, o Jej przymiotach i obowiązkach człowieka. Nauki udzielane bywają tajemniczo, w zwartem, odosobnionem kółku, głosem cichym [1]. Obrzędy towarzyszące wtajemniczeniom są niezawodnie symboliczne, niektóre z nich w żywych obrazach przedstawiają przykazania [2]. Tak nauki jak i obrzędy mają na celu, jak się wyrażali Australczycy, „jakimi mają być, aby się podobali Tharamulunowi".

Howitt kończy swą pracę oświadczeniem, że Australczycy nietylko posiadają pojęcia religijne, ale nadto ich przepisy moralne ugruntowane są na sankcyi nadprzyrodzonej [3].

To wzniosłe i jednobożne pojęcie Najwyższej Istoty jest tylko tłem pojęć religijnych Australczyków, na niem dopiero rozwinął się cały szereg przymieszek, jakie bujna wyobraźnia,

[1] „All things belonging to these ceremonies are so intimately connected with Tharamulun that they may not be elsewhere spoken of without risk of displeasing him, and the words which imply these ceremonies, or anything connected with them, are therefore forbiden". *Op. cit.*, p. 443.

[2] Przy obrzędach wtajemniczania nie mogą być obecni ludzie obcy, Howitt jednak tak umiał zjednać sobie tuziemców, iż był przypuszczony do tajemnicy. Jakkolwiek opisy jego są bardzo szczegółowe, nie dają jednak dokładnego wyobrażenia myśli przewodniej; jedyny wyjątek stanowi obrzęd, który on nazywa *The pantomimic representations,* który właśnie uwydatnia „naukę moralną". Czynności i sprawy zakazane są te same co i w naszym „Dekalogu"; autor, który zdaje się nie należeć do wierzących, sam to wyznaje: „That which is thus forbidden I can sufficiently describe by saing that is includes, inter alia, disrespect towards the old men, the interference with unprotected women or the wives of other men, and those offences for which, it is said, the Cities of the Plain were destroyed by celestial fire". *Op cit.*, p. 450.

[3] „I venture to assert that it can no longer be maintained that they have no belief which can be called religions — that is, in the sense of beliefs which govern tribal and individual morality under a supernatural sanction". *Op. cit.*, p. 459. — Należy się rzeczywiste uznanie Tylorowi, który odczytując prace Howitt'a, tak sprzeczne ze swemi zapatrywaniami, ogłoszonemi w *Anthropology,* nie odezwał się z żadnem słowem przygany.

nie powstrzymana objawieniem, nauką, a nawet zdrowym rozsądkiem, wiekami nagromadziła. Australczycy wierzą w mnóstwo duchów, przebywających w różnych przedmiotach materyalnych, wierzą w ich wpływ na losy ludzkie i praktykami zabobonnemi starają się zjednać ich sobie. Wreszcie dla uzupełnienia pojęć religijnych Australczyków należy dodać, że wierzą w nieśmiertelność duszy, życie pozagrobowe, oddają cześć zmarłym.

O religii murzyńskiej posiadamy jeszcze jeden dokument bardzo ważny i bardzo poważny, mianowicie sprawozdania Man'a o Minkopach.

Lud ten żyje na wyspach Andaman, położonych w zatoce Bengalskiej: ziemia pokryta bagnami, nieurodzajna, klimat nadzwyczaj niezdrowy. Minkopi należą do rasy murzyńskiej, osiedlili się tam od czasów niepamiętnych, prawdopodobnie przybyli tam z Indyj, wyrugowani przez szczepy chamickie i turyjskie. Do niedawna Minkopi nie byli znani światu: żadnej nie mieli styczności nietylko z Europejczykami, ale nawet z innemi ludami azyatyckiemi, stąd też cała ich kultura, tak materyalna jak i umysłowa, nie była od innych zapożyczoną.

Wśród tego ludu przebywał urzędnik angielski, Man, lat kilkanaście, poznał dokładnie jego język, zwyczaje i pojęcia religijne, i ogłosił swe badania w *Journal of the Anthrop. Instit.* Praca Man'a pozyskała ogólne uznanie antropologów.

Minkopowie przyjmują dwa pierwiastki odwieczne: dobry i zły. Dobry zowie się *Pulugu*. O Pulugu utrzymują co następuje:

„Jakkolwiek w swej istocie jest jako ogień, jednakże jest niewidzialnym. Nie był nigdy zrodzony i jest nieśmiertelny. Stworzył wszystkie istoty żywotne i nieżywotne, lecz nie stworzył złych duchów. Jest wszystkowiedzącym, zna nawet najskrytsze myśli serca. Nienawidzi grzechu, wspiera uciśnionych. Po śmierci człowieka sądzi jego duszę i wydaje na nią wyrok; dusze dobrych bierze do nieba, złych zaś skazuje do piekła, gdzie jest bardzo zimno. Pulugu stworzył pierwszego człowieka

Tomo, który był czarny, tylko roślejszy i bardziej brodaty, aniżeli dzisiejsi mieszkańcy wysp, następnie stworzył niewiastę. Pulugu wskazał Tomo'wi różne drzewa owocowe, mogące służyć za pokarm, jednakże zakazał używać niektórych podczas pory dżdżystej. Pulugu dał mowę pierwszym ludziom, nauczył ich różnych sposobów przygotowywania pokarmów, ustanowił pewne przepisy, które winni przestrzegać w życiu, i odszedł do nieba“ [1].

Andamani używają wyrazu *jubda* dla oznaczenia występku, grzechu; kłamstwo, złodziejstwo, cudzołostwo, rozbój i morderstwo jest *jubdą* [2]. Ludożerstwo nigdy tam nie było praktykowane. Wolno tylko mieć jedną żonę; małżeństwo między krewnymi jest wzbronione. Andamani w życiu codziennem zachowują ściśle przepisy moralne; skromność, szczególnie wśród niewiast, jest bardzo przestrzeganą [3]. Man zaznacza, że pod tym względem stoją daleko wyżej od ludów ucywilizowanych. Cudzołóstwo jest nader rzadkie, samobójstwo nieznane. Rodzice okazują wielką miłość ku dzieciom. Chorzy i starcy bardzo troskliwie są pielęgnowani przez krewnych i znajomych.

Świat, który stworzył Pulugu, nie będzie trwał wiecznie. Przyjdzie wielkie trzęsienie ziemi, które zniszczy wszystko, a potem pocznie się nowy świat, który już końca mieć nie będzie. Wszyscy ludzie zmartwychwstaną, nie będą nigdy umierać, nie będzie żadnych chorób, nie będą się więcej rodzić. „Z tego

[1] *On the aboriginal inhabitants of the Andaman Islands*, by E. H. Man. *Journ. of the Anthrop. Inst.*, vol. XII, pp. 157, 158, 163, 164.

[2] *Op. cit.*, p. 113.

[3] „Women are so modest that they will not renew their leaf aprons in the presence of one another, but retire to a secluded spot for this purpose; even when parting with one of their böd appendages to a female friend the delicacy they manifested for the feelings of the bystanders in their mode of removing it almost amounts to prudishness. Coarse conversation appears to be of rare occurrence and to meet with little or no encouragement... The self-respect which characterises their intercourse with each other, may even be said to compare favourably with that existing in certain ranks among civilised races“. *Op. cit.*, p. 94.

wszystkiego wynika, — mówi Man[1] — że ci pogardzani dzicy wierzą w życie przyszłe i w zmartwychwstanie ciał". De Quatrefages, po przytoczeniu w swem dziele pojęć religijnych Minkopów, następną kończy je uwagą[2]: „Takie są pojęcia religijne ludu napół-dziko żyjącego w budach chruścianych, nie mającego nic, prócz liści, dla pokrycia swej nagości. Jakże oni stoją niżej od tych Greków i Rzymian, których my stawiamy sobie za wzór! A jednakże jaka różnica w pojęciach bóstwa, o ileż Pulugu jest wyższy od ślepego i głuchego losu *(fatum)* klasycznych ludów europejskich! Ten przykład byłby dostatecznym do odparcia nieuzasadnionego twierdzenia, jakoby religia ściśle była związana z wykształceniem umysłowem, jakoby pojęcia religijne szły w parze z kulturą umysłową. Bardzo wiele mamy przykładów, które dowodzą zupełnej niezależności tych dwóch objawów, jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że w pewnych razach podlegały wzajemnemu wpływowi".

Nakoniec dla uzupełnienia pojęć religijnych Minkopów należy tu dodać, że wierzą w istnienie rozmaitych duchów złych i dobrych, o czem już wspominaliśmy, a nadto mają wielką cześć dla zmarłych przodków, kości ich nanizane na sznurek noszą na szyi jako talizman.

Jeżeli teraz zbierzemy razem, cośmy tu o religii rasy czarnej przytoczyli, wówczas uwydatniają się następujące charakterystyczne jej cechy: Murzyni mają pojęcie o Istocie Najwyższej, a zarazem wierzą w istnienie dobrych i złych duchów. Uznają duszę nieśmiertelną i życie pozagrobowe. Wierzą w działalność istot nadprzyrodzonych, które nagradzają ludzi i wymierzają kary, na tym i na tamtym świecie. Wierzą w skuteczność

[1] „From all this it will be gathered that these despised savages believe in a future state, in the resurrection... The future life will be but a repetition of the present, but all will then remain in the prime of life, sickness and death will be unknown, and there will be no more marrying or giving in marriage". *Op. cit.*, p. 162.

[2] *Introduc. à l'étude des races humaines*, pp. 262, 263.

ofiar i modlitw, za pomocą których można sobie wyprosić od duchów i od dusz zmarłych dobre powodzenie na ziemi; od szkodliwej działalności złych duchów należy się zabezpieczać zażegnywaniem. Religia rasy czarnej, nietylko w swych głównych zarysach, lecz w szczegółach, nie różni się, jak to zobaczymy, od religii rasy żółtej.

Ks. W. Zaborski.

KSIĄDZ KAROL ANTONIEWICZ.

VIII.

Życie tułacze.

Dokąd iść, gdzie się schronić, gdzie szukać spokoju i pracy? pytał Antoniewicz, jak pytał niegdyś po stracie swych najdroższych, po raz wtóry czując się sierotą. „Miałem matkę[1] i kochałem ją nad życie, i byłem od niej kochany! I Bóg pobłogosławił tę miłość, ona mnie zbawiła! Jeśli miłosierdzie boskie przyjmie mnie do chwały swojej, będę mógł powiedzieć z Augustynem św., że ona mi niebo wypłakała! Dopełniła powołania swego i poszła do nieba po nagrodę; i zostałem sierotą bez matki po raz pierwszy! Miałem matkę i kochałem ją nad życie, i byłem od niej kochany. Gdy Bóg poranił najboleśniej serce moje, gdy mnie obtoczył grobami żony i pięciorga dzieci: gdy potargał wszystkie związki serca, gdy oderwał mnie tak gwałtownie od tego, do czego lgnęła dusza całą siłą, gdy rzeczywistość i prawda wypłoszyła wszystkie marzenia i ułudzenia — osierociały w myśli i w uczuciu, osierociały w nadziei, rzuciłem się do stóp krzyża, prosząc o światełko na ciemnej życia drodze: ‚Panie, co chcesz abym uczynił'.

„Zaledwie dzwony pogrzebowe, które zwłokom Zosi do grobu towarzyszyły, przebrzmiały, a już dzwony starowiejskiego

[1] Do ks. Sapieżyny. 10 października 1848 r.

kościoła obiły się o uszy moje, o serce moje! Byłem w domu matki, zakonu — na jej łonie odrodziło się serce moje, dusza moja na nowy żywot. I przyszedł czas nawiedzenia, i świat cały na tę matkę moją powstał, i zarzucał jej zbrodnie, i hańbił jej imię, i lżył i znieważał, i od modlitwy w ogrojcu aż do ukrzyżowania, przeszła ona krwawą, bolesną, krzyżową drogę. Jeszcze żyje, ale żyje na krzyżu i patrzy z krzyża na dziatwę swoją, rozproszoną po całym świecie, zdeptaną, znienawidzoną, wyszydzoną, piętnem hańby napiętnowaną... I zostałem sierotą po raz drugi"...

Dokąd iść, gdzie się chwilowo schronić, czekając co dalej Bóg każe? Z różnych stron, od krewnych, od przyjaciół nadchodziły gorące a serdeczne zaproszenia: „Przybądź do nas!"; jedno z najserdeczniejszych nadeszło z Gräfenbergu, gdzie wielki admirator Antoniewicza, Wojciech Morawski [1], bawił właśnie z rodziną na kuracyi pod opieką głośnego Prysznica. Woda, świeże powietrze, nieomylne prysznicowskie rady — tłumaczył Morawski w energicznych listach, wystosowanych do prowincyała O. Baworowskiego — wywrzeć muszą arcyzbawienny wpływ na osłabione tylu wstrząśnieniami nerwy Antoniewicza, dalszą, tak zbawienną, tak w skutki obfitą pracę misyonarską mu umożliwią; nie ma się więc co długo namyślać, tylko korzystając z czasu i sposobności, im prędzej tem lepiej, ku Gräfenbergowi go skierować. Myśl ta trafiła do przekonania prowincyała; trafiła i do przekonania samegoż Antoniewicza, który nie bez słusznej racyi spodziewał się, że wśród licznej polskiej kolonii, zdającej się Prysznicowi na łaskę i niełaskę dla osiągnięcia zdrowia ciała, niejedno będzie można i dla dobra duszy zdziałać. Puścił się zatem w podróż rzemiennym dyszlem, wstępując po drodze, a nieraz i nie po drodze, do zapraszających go do siebie przyjaciół i krewnych, aby im choć parodniowym, parogodzin-

[1] Wojciech Dzierżykraj Morawski, syn Józefa, referendarza stanu z czasów W. Księstwa Warszawskiego, i Pauliny z Łubieńskich, a synowiec poety. Po śmierci żony, Maryi z Grocholskich, został księdzem. Umarł w sierpniu 1875 r. w majątku swym Oporowie w Poznańskiem.

nym pobytem za dobre serce podziękować, rzuconem w duszę nasieniem miłości bożej się odwdzięczyć.

Odysseę swoją opisuje O. Karol szczegółowo w szeregu listów, składających się jakby w jeden, to smętny, to wesoły, bezpośrednio pod wrażeniem chwili spisywany, dziennik podróżny. Pierwsza stacya przypadła na Uhersko, gdzie mieszkała córka „nieboszczki dobrej siostry mojej [1].

„Smutny był dla mnie wyjazd ze Lwowa, smutniejszy niż kiedy!...[2] I opuściłem tę izdebkę moją, gdzie nigdy promyk słońca nie zaświecił w okno, gdzie nigdy żadnej ptaszyny głosu wiatr nie doniósł, skąd miasto na majową zieloność, na twardy bruk kamienny, miasto na błękit nieba, na brudny dach kapitulnej patrzałem kamienicy. Ujrzałem się w czystem polu: niebo błękitne, ziemia zielona... O 10-tej w nocy wysiedliśmy na poczcie w Wolicy, jedna stacya przed Stryjem, i posławszy po konie, coby nas do Uherska odwiozły, czekaliśmy przeszło pół godziny w ubogiej izbinie starego pocztmistrza i żony jego, niegdyś parafian naszych u św. Mikołaja. Serdeczne i rzewne ich przywitanie i żałosne lamenta nad opuszczonym kościołkiem naszym, pocieszyły mię trochę, bom był bardzo smutny. O jedenastej dopiero zajechaliśmy na podwórzec dworu uherskiego. Wszystko cicho jak w grobie, żaden pies nie zawył, wszystkie światła pogaszone, tylko z oficyny, z izby czeladniej błyszczał płomień kuchenny. Stary kucharz, faworyt siostry nieboszczki, co przed dwoma laty we Lwowie zawsze z jej bilecikami do mnie chodził, wyszedł z latarnią na nasze przyjęcie, a za nim mała psina, którą siostra przed śmiercią tak lubiła... Późno po północy poszedłem spać. W piątek bawiłem cały dzień w Uhersku. Szwagier zajęty był komisyą z chłopami, co mi bardzo było na rękę, bom mógł prawie cały dzień samotnie przepędzić, przechodząc się po tym dużym domu, gdziem będąc jeszcze świeckim, tyle wesołych chwil przepędził z żoną, z matką, z siostrą...

[1] Katarzyny Romaszkanowej.
[2] Do ks. Sapieżyny.

„Wyjechawszy z Uherska[1], wstąpiłem do Kochawiny, gdzie cudowny obraz Matki Boskiej.

„Szczęśliwie[2] przybyłem do Stanisławowa; dobrze mi tu, bardzo dobrze, o ile dobrze być może dziecku, które matkę nad życie ukochaną straciło. Od ludzi tyle odbieram dowodów przyjaźni i przywiązania, ale oni mi nie zastąpią nigdy drogich braci moich; ach! inna to miłość, którą Bóg sam serca powiązał nasze, a ten związek świat rozerwał i niczem zastąpić nie wydoła. Kocham ludzi całem sercem, ale tegoczesne zasady tak mi są obmierzłe, tak czuję się sam na świecie! A kiedy usta, oko się śmieje, serce tak ciężko, gorzko boleje! — Jak tu długo zabawię, nie wiem, sądzę, że jeszcze z 10 dni, poczem przez Lwów udam się dalej... O! Bóg dobry, nieskończenie dobry, a wtedy kiedy ciężko doświadcza, najbardziej czuć i doznawać daje nieskończone miłosierdzie swoje! On jeden może w jednym czasie połączyć łzy z pokojem i swobodą, co tak mocno w tych chwilach czuję!... Napisz mi parę słówek o naszym kościele. To dom mój, to ojczyzna, to niebo moje było na ziemi. O, ileż pociech i łask w tym kościele doznałem! Wszystko się skończyło, i smutna dusza moja aż do śmierci. *Fiat voluntas Dei!*...

„Złamany, zniechęcony, smutny aż w głębi duszy przyjechałem do Nagoszyna[3]; spokojny, pocieszony, wzmocniony wyjechałem stamtąd... Przejeżdżałem przez Wiewiórkę, gdziem tyle miłosierdzia boskiego doznał... Nocowałem o pół mili od Tarnowa w żydowskiej izbinie, ale myślą przeniosłem się między was i dobrze mi było. Jak to wszędzie można sobie świat utworzyć i zaludnić wedle serca swego, i na takim świecie pamiątek dobrze nam być i żyć: Nagoszyn i Wiewiórkę wiozę z sobą w świat“.

„Od Tarnowa tak mi znowu było smutno i ciężko, sam nie wiem dlaczego... Ale i tu Bóg mię pocieszył, bom się zjechał z ks. Perkowskim, który po obiedzie wyjechał z Tarnowa,

[1] Do br. Konopczyny. Stanisławów 14 lipca.

[2] Do Seweryna Morawskiego (dzisiejszego arcybiskupa lwowskiego) 16 lipca.

[3] Do br. Konopczyny. Staniątki, bez daty.

a ja wieczornym szybkowozem. Do Staniątek razem przyjechaliśmy. Jak mi tu dobrze i błogo, nie umię wyrazić, bo jestem między braćmi mymi, bo jestem przy klasztorze"...

Dalsza droga wiodła na Kraków, Cieszyn, Opawę. „Byłem w Krakowie — donosił Antoniewicz do Nagoszyna w kilka dni po zagospodarowaniu się już w Gräfenbergu, a mówiąc dokładniej, w sąsiednim Freiwaldau. — Smutno jak w grobie! U PP. Wizytek miałem Mszę św. — tak ten klasztor kocham... Odprawiłem pielgrzymkę po wszystkich domach zakonnych krakowskich, ale szczególniej u Sióstr Miłosierdzia długi czas bawiłem. Największą miałem pociechę, ale i boleść, w sali podrzutków: 24 kołysek razem — biedne dzieci! Z błogosławieństwem ks. Leszczyńskiego [1], Dominikanina, wyjechałem. Bawiłem dzień w Cieszynie, a dwa dni w Opawie u ks. biskupa Skórkowskiego" [2].

„O przyjęciu u państwa Morawskich nic nie piszę, bo nie byłbym nigdy w stanie wysłowić tyle dobroci. Dobroć ta przygniata mię, upokarza... Nie zasługiwać na nic, odbierać wszystkie łaski, a niczem się nie módz odwdzięczyć — och! to czasem tak ciężko. Czuję się tak niepotrzebnym ciężarem dla siebie i dla drugich. Ale kiedy Bóg tak chce, to cóż robić? Cała moja pociecha ta, że im Bóg za mnie wynagrodzi... Taka miłość tylko w duszach katolickich znajdować się może, w duszach, które Bóg kocha. Nigdy dziecko w domu matki nie mogło doznać większej opieki".

Jak zawsze w życiu, jak szczególnie w wrażliwem sercu Antoniewicza, tak szczególniej jeszcze na tej miłej nieraz i niefrasobliwej tułaczce, ale zawsze tułaczce, ciągle smętne nuty

[1] Jan Gwalbert Leszczyński, znany i bardzo w swym czasie ceniony i kochany filozof, kaznodzieja i asceta, „wiele — jak czytamy w krótkiem wspomnieniu umieszczonem w *Przeglądzie Poznańskim* — dusz oświecił, rozumów naprostował. Był jednym z tych Dominikanów, co przypominali zasługi zakonu, który niegdyś jaśniał u nas świętością ŚŚ. Jacka i Czesława, zalecał się nauką Mościckiego, Bzowskiego, Birkowskiego". Umarł w pierwszych dniach grudnia 1853 r., jako starzec 77-letni.

[2] Karol Wincenty Skórkowski, biskup krakowski, został internowany w Opawie za święcenie orłów polskich. Umarł w r. 1851. Antoniewicz uczcił go mową żałobną, wygłoszoną w Krakowie.

z weselszemi się mieniają; stale na dnie duszy osiadłą tęsknotę wyprzeć usiłuje uśmiech figlarny, ale po chwili znów tęsknota górę bierze, znów wspomnienia niedawnych i dzisiejszych bólów zasłaniają ciemną chmurą zbyt krótko błyszczące jaśniejsze promienie.

„Może też chcesz wiedzieć co ja robię? — zwierza się jednemu z zakonnych braci [1] i sam pokornym pendzlem maluje ten stan złamanego cierpieniami serca. — Niestety! jak zwykle dużo marzenia a mało czynu, dużo postanowienia a spełnienia mało, dużo chęci a dokonania tak niewiele... Jak tu długo zabawię, choćbym ci chciał odpowiedzieć, nie umiem. Jak tu jestem tęsknię za krajem, jak stąd wrócę tęskno mi będzie za temi poczciwemi duszami, które mię tak bardzo ukochały, nie wiem za co. Tak to całe życie moje, to tylko jedną ciągłą było, jest i będzie tęsknotą: na tem szarem tle świat wyszywał wieńce różane i cierniowe, ale to wszystko się skończy“...

Za chwilę zawodzi żartobliwe lamenty nad prysznicowską tyranią, nad gräfenberską aurą: „Przy tej kuracyi woda w sercu, woda w myśli, woda w słowie, woda w piórze, i wszędzie woda i nic tylko woda; ale choć woda w sercu, to przez to nie wyziębnie, nie zdrętwieje w uczuciu, bo miłość, którą Bóg zajął w sercu, to jak kongrewska rakieta i pod wodą się pali... Góry się kurzą, deszcz leje, wiatr zimny, błotno, szaro, mglisto, a o słońcu to tu ani wspomnij! A choć czasem z za chmury zajrzy na ziemię, to tak jakby prosto wyszło z *Sitzbadu*, i blade i zimne. Oj! to nie to nasze polskie słońce, co jak się zaiskrzy nad Tatrami, to aż na dnie duszy jasno się zrobi“.

I znowu w innym liście w głąb serca zaglądając, analizuje panujące w niem uczucia; składa „pod krzyżem“, ofiarowuje w rzewnym wierszu ukrzyżowanemu Zbawicielowi, swe marzenia, pragnienia, cierpienia.

„Dobrze mi tu bardzo, ale dusza smutna i smutna aż do śmierci, bom stracił matkę (zakon) moją i rozłączył się z bracią moją, bom napowrót wrzucony w świat, który kocham w ludziach, ale nienawidzę w zasadach, którego, wyznam szczerze,

[1] Do O. Kiejnowskiego. 21 października 1848.

lękam się. W Bogu cała nadzieja moja i nie będę zawstydzon na wieki".

Cierpię, bom człowiek, w żalu i tęsknocie.
Biedny wygnaniec, jabym szczęścia żądał?
Skazany na to, abym w czoła pocie
Ziemię uprawiał, i... w niebo spoglądał!
Cierpię, bom w złudnym zmysłów mych zapale
Chciał zmusić szczęście, aby mi służyło!
W dziedzinę światła wdzierał się zuchwale!
Cierpię, bom więzień! a to ciała brzemię
Ducha w ognistym wstrzymuje rozpędzie.
Jam chciał na niebo przemienić tę ziemię,
Ale ta ziemia, zawsze ziemią będzie!
Cierpię, bo kocham! życie bez cierpienia
To stok bezwodny, chmura bez jasności,
Twarda opoka; serce bez natchnienia,
To grób co martwe przechowuje kości!
Cierpię, to życia mego powołanie,
Lecz cierpię z Tobą, dla Ciebie jedynie,
Boleść to ciągle serca zmartwychwstanie,
To kwiat niezwiędły na czasu ruinie!
Cierpię, bo tylko kto na krzyżu wiernie
Wytrwał, krzyż w chwałę dla niego się zmieni;
Kto mężnym krokiem deptał życia ciernie,
Temu nadzieją grób się rozpromieni!
Cierpię, lecz jeśli wola Twoja taka,
Chcę, pragnę cierpieć, gdzie i jak rozkażesz
O suchym chlebie, w łachmanach żebraka
Pójdę tą drogą, jaką Ty rozrządzisz,
Tak niech się ze mną, wszędzie, zawsze stanie!
Ja zbłądzić mogę! Ty nigdy nie zbłądzisz,
Bo w Tobie prawda, żywot, zmartwychwstanie!

Dochodzące z Galicyi wiadomości jątrzyły i tak niezagojone rany. Różowe nadzieje, powzięte z nominacyą gubernatorem Galicyi, dobrego z pewnością Polaka i ożywionego najlepszemi chęciami Wacława Zaleskiego, nie spełniały się, bo wogóle w danej chwili, w tej mierze przynajmniej i w tak szybkiem tempie, jak tego sobie życzyły rozgorączkowane wypadkami umysły, spełnić się nie mogły. „Precz stąd Derdydasy!" wołały z zapałem demokratyczne organy w artykułach witających nowego gubernatora[1]; a kiedy upłynęło kilka tygodni,

[1] Por. *Jutrzenkę* z 5 sierpnia 1848.

a Zaleski, nie dopełniając zaleconego sobie programu, wszystkich Niemców z zajmowanych urzędów nie powyrzucał i poza granicę galicyjską nie przepędził; kiedy lękając się nie bez podstawy o nowe rozruchy wstrzymał w Krakowie formacyę gwardyi narodowej i zapomnieć nie chciał, że nie otrzymał bądź co bądź dzierżonej władzy od demokratycznych komitetów, ale od austryackiego cesarza, — taż sama publiczna „opinia", która dopiero co okrzykiwała go zbawcą, okrzykiwała teraz niemniej głośno zdrajcą narodu. Z drugiej strony legiony niemiecko-czeskich urzędników o złotych i niezłotych kołnierzach, wyperswadować sobie nie mogły, że piękne dni Aranjuezu już minęły; czekały z dnia na dzień, kiedy cesarz, jak nadał tak cofnie konstytucyę i wszystko wróci do dawnego „porządku". Do „porządku" wzdychała, czasem jawnie, czasem skrycie, i pewna część szlachty; co prawda, do „porządku" innego rodzaju, na innem polu i z zupełnie innych przyczyn. Przypadające sobie w udziale wolności polityczne brała jako rzecz dobrą i sprawiedliwie sobie należną, natomiast pojąć jej było trudno, jak potrafi obyć się bez przymusowej robocizny, i wskazywała z goryczą na leżące odłogiem łany, na przypatrujące im się z założonemi rękami rozprożniaczone gromady. Istotnie, chłopi oszołomieni wolnością, w której na pierwszem miejscu — jak zawsze i wszędzie w podobnych przejściowych chwilach — widzieli wolność bezkarnego próżnowania, używali jej bez żadnych względów i zastrzeżeń, nie pytając, że w ten sposób otwierają sami naoścież bramę nieprzyjacielowi najstraszniejszemu — głodowi. Niedługo trzeba było czekać na przybycie tego gościa, otoczonego wedle starego swego zwyczaju całym pocztem chorób, sprzymierzonego nadto tym razem z szerzącą się już we wszystkich trzech zaborach a wzbudzającą paniczny strach cholerą. Do próżniactwa, do nędzy, do głodu — złych samo z siebie doradców — dołączyły się niewygasłe wspomnienia „rabacyi", odświeżane agitacyami ludzi bez czci i wiary, głównie drobnych urzędników, tęskniących za dobrze sobie znanemi, arcykorzystnemi łowami w mętnej wodzie. Niepokojące, pół-prawdziwe, pół-fałszywe pogłoski o chłopskich rozruchach rozchodziły się

raz po raz na wszystkie strony; krzyżowały się z nieuchwytnemi opowiadaniami o wykrytych spiskach polskich panów, o wybuchłej, za przykładem Wiednia, rewolucyi w Krakowie i we Lwowie. Wśród tylu, nieraz ze sobą sprzecznych, jobowych wieści niepodobna było na razie rozeznać fałszu od prawdy; co wątpliwości niestety nie ulegało, to, że na nieszczęśliwą Galicyę sprzysięgli się ludzie i żywioły, wrzekomi jej przyjaciele i jawni nieprzyjaciele; cisnęły i w chaos wpychały: głód, zaraza, rewolucya z dołu i rewolucya z góry.

W ten sam dzień, — dzień Zaduszny — w którym we Lwowie austryackie bomby wzniecały ogień i szerzyły spustoszenie — Antoniewicz, jakby bolesnem przeczuciem wiedziony, biadał nad losem powodzią klęsk nawiedzonej ojczyzny:

„Codzień to tak jaśniej to odstępstwo od Boga w smutnych skutkach się objawia[1]; ale czemuż, czemuż nasza biedna Polska dała się porwać tym prądom niedowiarstwa i miotać daje sobą temu nieszczęsnemu, piekielnemu duchowi czasów naszych? Czyż już nie dosyć łez i krwi marnie spłynęło? — ach! nie marnie, ale na to, aby codziennie w głębsze nas wtrącać nieszczęścia! Ludu mój, ludu mój, cóżem tobie uczynił... czyż lżej ci przed wrogiem moim, przed wrogiem twoim, jak przede mną ugiąć kolana swoje?... O! jak często stoi mi przed oczyma jako sen błogi Polska katolicka, Polska nawrócona! Jedno serce, jedna myśl, jedno uczucie w całym narodzie. W tej jedności ogniwem wielkiem Bóg, który zabija i wskrzesza narody, bo jedność każda musi mieć punkt zjednoczenia, z któregoby wychodziła, w którymby się kupić mogła. A gdzież go znajdziemy, jeśli nie w tym, który nie podpadając żadnemu rozdwojeniu, początkiem wszelkiej może stać się jedności? Ach! jeśli wielkich cnót potrzeba aby naród istniał, o jakże daleko większych — aby zmartwychwstał? Cnót nadludzkich, bo takie zmartwychwstanie nadludzką siłą wykonać się musi, a takich cnót nadludzkich sami w sobie nie rozwiniem, jeśli łaska boska nas nie wesprze... A my wszystko czynim, aby tę łaskę odepchnąć, wytępić w sobie, jakby

[1] Do ks. Sapieżyny. 2 listopada.

nam Bóg był zawadą, zaporą naszą: chcielibyśmy i bojaźń i miłość Jego wygłuszyć, wyrugować i z serca i z myśli naszej. Lada światełko zaświeci a my za niem idziemy, a na to światło, które z krzyża okazuje nam drogę zbawienia, oczy zamykamy, i podmuchem dumnego, nędznego rozumu naszego chcielibyśmy je zagasić, aby nam nie świeciło, i kochamy się w ciemnościach ducha. I lada kto zdradziecko rękę wyciągnie, nibyto nam ku pomocy, a my się jej chwytamy. Gdy zaś Bóg do nas wszechwładną wyciąga prawicę, którą cały świat wydźwignąć i obalić może, my ją odtrącamy od siebie... Poświęcim wszystko dla dobrej sprawy: pieniądz, czas, zdrowie, życie, ale siebie nie poświęcim, bo za mało Boga, zanadto siebie kochamy... I dobra sprawa musi paść ofiarą miłości własnej!"...

Im smutniej, im ciemniej było na ziemi ojczystej, tem bardziej dobrego syna do niej ciągnęło, tem żywsza za nią tęsknota w sercu się budziła. „Uczciwa nasza Polska, — wylewa swe uczucia w serdecznym liście do zakonnego towarzysza[1] — a to, co Niemiec i Francuz za grzech jej poczytuje, kiedyś może będzie jej zasługą przed Bogiem. O! jak to ciężko żyć na cudzej ziemi, pomiędzy Niemcami, i ani polskiej nie ujrzeć sukmany — tylko zawsze te nieszczęśliwe fraki. Lepszy kawałek polskiego chleba, jak wszystkie niemieckie *melszpeizy*... Dlaczego Ksiądz nie napisze, co robi?... Bo to wszystko jest nowina, co nam Polskę przypomina...

Co tam w Krośnie dziś się dzieje,
Z której strony wiater wieje,
Co porabia proboszcz stary,
Jak się rządzi ksiądz wikary...
Co tam chłopi mówią, radzą,
Jak się godzą, którzy wadzą.
Krótko mówiąc, każde słowo
Z polskiej ziemi, to aż zdrowo,
Gdy przez ucho w serce wpadnie:
Bo to zawsze brzmi tak składnie,
Polska mowa z polskiej niwy".

[1] Do O. Baczyńskiego, bawiącego w Krośnie.

Z taką siłą odzywało się i wzmagało się to pragnienie zobaczenia polskiej sukmany, przysłuchania się polskiej mowie na polskiej niwie, że nakoniec zwyciężyło, i pewnego listopadowego poranka, zadowolone, że nastręcza się jakaś racya: przywiezienie synka p. Konopczyny na kuracyę do Gräfenbergu, wyprowadziło Antoniewicza ku Tarnowowi, ku Nagoszynowi. „Po coś jeździł do Tarnowa? — tłumaczy się pół na seryo, pół żartobliwie już za powrotem do szląskich kąpieli[1] — ...Oto jeździłem do Tarnowa, bo... chciałem trochę polskiem powietrzem odetchnąć, żeby ta niemiecka atmosfera nie udusiła biednego serca, które na polskiej ziemi bić zaczęło, dla niej zawsze bije, i dla niej pracując oby bić przestało... Przy tej okazyi byłem w Nagoszynie... Wyjechałem w piątek z błogosławieństwem boskiem i nocowałem pod ciemną, niemiecką, zimną Gwiazdą w Nissie: stamtąd omnibusem do Boesdorf, a znowu stamtąd żelazną koleją aż do Krakowa. Migali się ludzie, chmury, lasy, domy, wsie, miasta przed oczyma ciała, ale przed oczyma duszy jeden stał obraz, jasny, piękny, błogi i swobodny: nasz kochany domek i ksiądz superyor krzątający się, myśląc coby tylko komu dobrego uczynić — jak Marta i Marya w jednej osobie — i kochani bracia nasi... i to całe życie nasze tak błogie, swobodne i, mam w Bogu nadzieję, pożyteczne — a teraz domek pusty, kościół pusty, ale puściejsze serce... *Fiat voluntas Dei*[2]. Przyjęliśmy dobre z rąk Jego przyjmijmy i złe!

„Z szumem, świstem, hałasem wleciał pociąg na podwórze dworca kolei. I zadzwoniły dzwony Krakowa. Ach! te dzwony, to jakiś czarodziejski dźwięk mają, bo Kraków z każdą polską duszą jest w harmonii — i wszystko się w sercu ułagodziło...

„I wyjechałem z Krakowa, bo to jest *refrain* wszystkich pociech i utrapień ziemi: p r z y s z ł y i p o s z ł y. Tak też będzie wkrótce i z wyjazdem życia do wieczności, byle tylko za miłosierdziem boskiem i w drodze do nieba nie przyszło się zatrzy-

[1] Do O. Perkowskiego, lwowskiego superyora, który w tym czasie pracował w Opawie.

[2] Dziej się wola Boża.

mywać. Z Krakowa droga do Tarnowa, gdziem był u Biskupa, który bardzo grzecznie i łaskawie mię przyjął... O pół do pierwszej pojechałem wózkiem chłopskim do Nagoszyna. Lepsza chłopska podwódka jak te wszystkie ‚karosy'; to tak swobodnie i wygodnie przy deszczu i słocie, po piasku i błocie jedzie się. Podobnoś łatwiej chłopskim wozem, jak pozłocistym pojazdem do nieba zajechać; ale bo to i na wozie jedzie nieraz pycha, a pokora w karecie. Ach! jak to błogo i rzewnie wjechać do polskiej wioski, a szczególnie pod wieczór szary i do polskiego dworu — ale do polskiego, to jest gdzie Boga chwalą i znają. O! ile ten Nagoszyn ma dla mnie pod każdym względem pamiątek! Wielką poczułem radość ujrzawszy już z daleka wierzchołek kościoła, wyzierający z pośród gęstych lip. Tak miło widzieć te miejsca, gdzie człowiek na chwałę bożą pracował... Każda pamiątka, która jakąkolwiek ma styczność z Bogiem, miła i droga sercu; w inne, to zawsze parę kropel wmiesza się piołunu...

„I wróciłem do Tarnowa i zatrzymałem się w Krakowie, i oto teraz w Freiwaldau kontynuuję kuracyę ciała i duszy przez wody Prisznica i przez ogień miłości Morawskich. O! jak mi ciężko będzie z nimi się rozłączyć!"...

Ciężko było z przyjaciółmi serdecznymi się rozłączyć; ale ciężej jeszcze „nic nie robić, próżnować i próżnować", jak Antoniewicz, im dłużej w Gräfenbergu bawił, im bardziej go tu kochano i większemi staraniami otaczano, tem częściej, z tem większym żalem powtarzał. Wycieczka do Nagoszyna podrażniła tylko bardziej tę tęsknotę za krajem, za pracą. Nie wystarczała mu już praca piórem, której z zamiłowaniem w tym czasie się oddawał, rozsyłając na wszystkie strony prześliczne listy, układając krótkie pobożne rozprawy, które stać się miały jedną z najpiękniejszych pereł ascetycznej naszej literatury; nie wystarczał wpływ wywierany na kupiące się koło „swego misyonarza", „swego ojca", kółko rodaków; w sercu szlachetnem, aż do zbytku delikatnem i czułem, odzywał się jakby wyrzut: „Jak możesz tu tak wygodnie żyć, jak możesz dozwolić, aby na ni-

czem ci nie zbywało, kiedy zakon twój prześladowany, rozproszony, kiedy ojczyznę tyle nieszczęść nawiedziło?“

Więc wracać do kraju? — ale po co wracać? Wszak wszelkie obszerniejsze pole do pracy tam zamknięte, a któż wiedzieć, przewidzieć może, kiedy na nowo się otworzy? Czy nie byłoby może lepiej, czy nie byłoby z większą chwałą bożą, rzucić przynajmniej na czas pewien Europę, i gdy tu nie wolno, to za oceanem, w krainie prawdziwej wolności, zdala od biurokratycznych szykan, od rewolucyjnych zawiści, apostolski bój o dusze prowadzić? Myśli te nie dawały mu zwłaszcza spokoju, od chwili, w której dowiedział się, że prowincyał francuskich Jezuitów, O. Rubillon, zgłosił się za pośrednictwem O. Baworowskiego z gorącem wezwaniem do polskich swych współbraci, aby nie mogąc w drogiej ojczyźnie, szli wespół z francuskimi ojcami rozniecać światło wiary wśród amerykańskich pogan i heretyków.

Wielu mężnych ochotników już się zgłosiło; „czemuż i ja — pytał się Antoniewicz — nie miałbym stanąć w ich szeregu?“ „Tak, — inny znów głos się odzywał i walkę z poprzednim stoczał — więc ojczyznę chcesz opuścić, wtedy gdy tak ciężkie bole przechodzi; czyż wolno dobremu synowi opuszczać matkę chorobą złożoną? cóż to za żeglarz co wśród burzy okręt porzuca?“ Sprzeczne te uczucia, wewnętrzne te boje, których lekkie tylko ślady przechowały się w pozostałych listach i pismach, targały i niepokoiły duszę gorliwego zakonnika-Polaka; przechylały ją raz na tę, raz na tamtą stronę; ostatecznie po żarliwej modlitwie zdecydował się napisać do prowincyała list, w którym ofiarowywał się na amerykańską misyę. „Jeśli Bóg zechce mię w kraju zatrzymać, to i tak zatrzyma“ — powiedział sobie; i uspokojony powziętą, dla każdego niełatwą, dla tak czułego, tak gorąco ojczyznę miłującego serca, prawdziwie heroiczną decyzyą, opuścił Gräfenberg, aby „tam gdzie powołanie i przeznaczenie moje[1], na miejscu smutku i łez modlić się i dla imienia Jezus prześladowanie cierpieć“; aby raz jeszcze, przed długą, długą może rozłęką, powietrzem polskiem odetchnąć; polskie

[1] Do ks. Sapieżyny.

niwy, drogich braci, serdecznych przyjaciół pożegnać. „Pojadę do Sącza, — kreślił na samem odjezdnem plan pożegnalnej tej wyprawy — stamtąd do Starejwsi, pielgrzymkę odbywając do drogich domów naszych, gdzie tyle łask i szczęścia doznałem. Stamtąd nie wiem, czy wprost przez Przemyśl czy na Tarnów, radbym jak najprędzej do Lwowa pospieszyć... We Lwowie tylko parę dni zabawić myślę i wprost pojadę do Stanisławowa. Chciałbym choć dwa lub trzy tygodnie w samotności przebyć, tak dla potrzeby zebrania ducha, jak dla ukończenia niektórych rzeczy, którem pisać rozpoczął“...

Wojciech Morawski odprowadził ukochanego gościa do Raciborza. „Te dwa dni jak sen minęły, — skarży się Antoniewicz [1] — smutno i ciężko mi było, gdym się ujrzał oderwany od Ciebie... Dziś rano byłem na Mszy św. w kościele parafialnym; ciemno jeszcze było i odprawiały się egzekwie za jakąś znaczną osobę. Całe szeregi pań w grubej żałobie jak widma z tamtego świata, zasiadły w stallach. Widok ich tak rzewne i smutne obudził w sercu pamiątki. Pamiętam, jak wobec trumny w czasie misyi 1846 r., podobnie kilkanaście Polek naszych zebrało się w żałobie po zamordowanych mężach i dzieciach. Widok ich tak mię podówczas wzruszył, żem mowę przerwać musiał. Ta chwila tak pamiętna dla mnie stanęła mi żywo przed oczyma i obudziła też same łzy, które cicho w duszę spłynęły. Odwiedziłem i spędziłem przeszło godzinę u Sióstr Miłosierdzia. Ach! mój drogi Wosiu, tak to jasno widzę i czuję, że świat mój w murach klasztornych. Wszystko co mi tylko zakon przypomina, jako płomień w jednem okamgnieniu ogarnia całą duszę moją; inne życie w sobie czuję, tj. wtenczas zdaje mi się dopiero, że żyję, że pojmuję życie. Gdym wszedł do tego ubożuchnego domku i ujrzał się w środku tłumu dziatek, a między niemi, jak anioła z nieba, córkę św. Wincentego: o! jak mi w tej chwili błogo się w duszy zrobiło! Są tu trzy siostry; klasztoru ani kaplicy nie mają — ale Boga w sercu mają, a ten Bóg jest klasztorem, kaplicą, funduszem ich! Dwie Polki i jedna

[1] Do W. Morawskiego. Z Raciborza.

Francuzka, mają już przeszło 60 dziatek w domu, same w jednej ubogiej izbinie się mieszczą, a przytem taki spokój, taka wesołość maluje się na ich twarzach, pojawia się w każdem słówku. O! jakie Bóg cuda czyni dla tych, którzy Go kochają, i tylko Jego, a w Nim wszystkich i wszystko!"...

Z Raciborza wiodła dalsza droga do Królewskiej Huty *(Königshütte)*, stąd pocztą do Piekar, gdzie cudowna Matka Boża nad całą okolicą królowała, jak po dziś dzień króluje; gdzie świątobliwy proboszcz, niezapomniany szląski apostoł ks. Jan Fiecek[1], przygarnął do siebie paru jezuickich wygnańców.

„Przy mroku spadającym[2] stanąłem na podwórzu ubogiego, parafialnego domku. U ks. Fiecka, od czasu rozproszenia naszego, bawi dwóch księży naszych: Lipiński i Peterek. Pierwszy miewa tu kazania, drugi wydaje pismo peryodyczne: *Tygodnik katolicki*[3], dla Stowarzyszenia Maryi, dla ludu, wszystko po polsku. Jak mi było miło tych braci do serca przycisnąć na obcej ziemi, nie potrzebuję wyrazić: z nimi tak miło i smutno wieczór przepędziłem... Teraz ks. Lipiński, który wkrótce ma jechać do Brazylii[4], modli się koło mnie; o! tak mi drogie, zakonne przypomina to życie".

Krótki był pobyt w Piekarach: jeden dzień zaledwie; ale ten dzień, spędzony u stóp cudownej Matki Boskiej, wyrył się niezatartemi głoskami w pamięci Antoniewicza. „Spyta kto: Cóż

[1] Dotąd nie ma jeszcze, niestety! obszerniejszej biografii ks. Fiecka, a wielki, ostatni już czas do zabrania się do tej pracy. Króciutki polski życiorys, wyszły z pod pióra ks. Karola Pressfreunda (Bytom 1864), choć pisany z wielką czcią i serdecznością, nie może odpowiedzieć i skromnym wymaganiom. Pewne szczegóły o ks. Fiecku i wybudowanym przezeń kościele w Niem. Piekarach podaliśmy w broszurze: „Z wycieczki na Górny Szląsk". Kraków 1889.

[2] Do ks. Sapieżyny.

[3] Było to pierwsze peryodyczne pismo polskie na Szląsku pruskim. Po atentacie na króla Fr. Wilhelma IV., zażądano od wydawców złożenia kaucyi, wskutek czego *Tygodnik* przestał wychodzić po dwuletniem zaledwie istnieniu.

[4] Istotnie wyjechał w parę tygodni później i przez lat 20 misyonarzował w niemieckich koloniach w Brazylii. Roku 1870 wrócił do kraju, ale w rok zaledwie umarł w Nowym Sączu.

są te Piekary? — odświeżał sobie te wspomnienia w ślicznym obrazku zatytułowanym: „Jeden dzień w Piekarach“ [1] — Wie o nich dobrze ten, któremu nie jest obcy i w najmniejszych szczegółach ruch życia katolickiego w naszych czasach, który ściga wszędzie ten rozwój myśli katolickiej, która jako myśl Boga, jest zawsze myślą twórczą i rodzi się w dziedzinie ducha i pojawia się zewnętrznym kształtem... Taka myśl katolicka pojawiła się w naszych czasach, pojawiła się tą wspaniałą, potężną świątynią w Piekarach, która jasnym jest dowodem, że wiara żyje w sercach ludu. Trzeba było tej wiary mocnej, która góry przenosi, aby w naszych czasach powziąć tę myśl w kraju nieprzyjaznym Kościołowi, wystawienia tak wspaniałego gmachu wyżebranym groszem wdowim; trzeba było takiej ufności, która ma nadzieję przeciw nadziei, aby tę myśl urzeczywistnić; trzeba było tej miłości i tęgości woli, aby zwalczyć wszystkie przeszkody. Taka wiara, taka nadzieja, taka miłość, taka wola znalazła się w sercu ks. Fiecka, proboszcza w Piekarach, który w przeciągu kilku lat — nie mając innego skarbu, jak tylko skarb miłości Maryi — wyżebraną jałmużną ten kościół wystawił.

„Sława kościoła piekarskiego rozeszła się po całym katolickim świecie i wiele osób z daleka i z blizka pospiesza, aby podziwiać ten gmach tak wspaniały, jakby zaimprowizowana pieśń na cześć i chwałę Maryi... Jest człowiek wśród towarzystwa, który od ośmnastu wieków nigdy nie umiera; sam, bez rodziny idzie samotną i ciężką ścieżką życia. Krzyż nie wychodzi z rąk jego, cierniowej z głowy nie składa nigdy korony... W jego sercu tylko jedno uczucie zajmuje miejsce wszystkich innych — Bóg! Ten go uczy, jak ma kochać i cierpieć... Jemu żaden smutek, żadna boleść nie jest obcą — z krucyfiksem na piersiach, z różańcem przy boku, z ewangelią w ręku, z Bogiem w sercu przechodzi przez ten świat zgryzoty, boleści i nędzy... Patrz na ten domek jego, między życiem a śmiercią, między kościołem a cmentarzem, tak cichy i spokojny; nie ujrzysz tam

[1] „Jeden dzień w Piekarach“. Ustęp z pielgrzymki życia mego. Lwów 1849.

drogich sprzętów: krzyż Zbawiciela i obraz Bogarodzicy najpiękniejszą jego ozdobą. Kilka drzew go ocienia, a na nich spokojnie gnieżdżą się ptaszęta, bo one nie lękają się tych, którzy się Boga boją. Ubogi, bogaty zarówno kołacą u drzwi domku tego: bogaty, aby złożył jałmużnę; ubogi, aby z niej korzystał. Dla niego nie masz północnej godziny, ani burzy, ani gromów, rzek wezbranych i zamieci śnieżnych, upału i zimna; on zawsze i na każde gotów jest zawołanie... Czyś go widział, jako nieraz znużony pracą dzienną, omdlały na siłach, z brewiarzem w ręku, o późnej, wieczornej godzinie przechodzi się po ulubionej wiosce, jego poruczonej pieczy, a gdy przechodzi koło ubogich chat, wszędzie go witają i z ust do ust błogosławieństwo sobie podają, a oko jego łzami się napełnia i serce jego ciągle powtarza tę modlitwę: ‚O Panie! daj, abym ani jednej z tych dusz, od Ciebie pod straż mi oddanych, nie utracił!'...

„Chcesz poznać prawdziwego kapłana Chrystusowego? Pojedź do Piekar.

„Spędziłem dzień jeden w Piekarach, dzień tak błogi, jakich mało naliczyć można, dzień swobodny, szczęśliwy, bez boleści, bez żadnej w wspomnieniu goryczy. Modliłem się i odprawiłem ofiarę Mszy św. przed obrazem Matki Boskiej Piekarskiej, tylu łaskami i cudami od wieków słynnej, pod której opiekę król Jan III., ciągnąc na oswobodzenie Wiednia, z całem wojskiem swojem oddał się...[1]

„Modliłem się[2] w tym kościele, gdzie jeszcze groby ojców naszych, i pisałem w tym samym domku, gdzie oni żyli i pracowali na chwałę bożą. I ich wypędzono i nowi wygnańcy w tym samym domku na jakiś czas przytułek znaleźli. Są tu jeszcze książki, dzienniki ojców naszych; — o! tak miłość do zakonu odezwała się żywo w sercu mojem!... Bardzo, bardzo Bogu dziękuję, żem tu zabłądził...

[1] Por. „Jan III. w Piekarach", przez ks. Z. Bartkiewicza. *Przegl. Tow.* wrzesień 1886 r.

[2] Do ks. Sapieżyny. — W Piekarach znajdował się klasztorek jezuicki, założony w 1678 r., zniesiony w czasie ogólnej kasaty zakonu w r. 1773.

„...Tu człowiek świętą atmosferą oddycha i żyje[1]: tyle ruchu, działania, czynności, a przytem tyle pokoju, swobody i szczęścia; widać, że tu Matka Boska jest gospodynią i panią i matką! Tak błogo pod Jej opieką żyć, pracować, umierać! Ja tu miałem dość do czynienia w konfesyonale, a żadna praca tak nie cieszy, jak praca z powołania... O nie na szczytach gór, ale wyżej, wyżej nad wszystkie skały i obłoki i gwiazdy, tam tylko wolno odetchnąć możemy... u stóp Boga, u stóp Maryi. Ks. Fiecek (piesek Matki Boskiej, jak się sam zawsze zowie) tak serdecznie przycisnął mię do serca swego, jak już dawno nikt! Za co? nie wiem, ale kocha mię, bo jest pieskiem Matki Boskiej, nikim nie gardzi i nad najnędzniejszem dzieckiem ma politowanie“...

(C. d. n.).

Ks. Jan Badeni.

[1] Do p. Konopczyny (?).

LISTY Z PODRÓŻY PO AZYI.

(Część II.: Chiny i Japonia. C. d.).

Tokio, 17 maja 1889.

Muszę wam dla ciekawości opisać przyjęcie, jakie mi w Sendaju zgotował gubernator, istotnie jak panującemu książęciu. W Oginohama, gdzie wysiadłem ze statku wiozącego mnie z Hakodade, czekała na mnie *steam-lunch* rządowa z oficerem policyi i całą eskortą na pokładzie. Wśród odpowiednich ceremonij przewieziono mnie najpierw na ląd, gdzie śniadanie i przebranie się. O 8-mej z rana ruszyliśmy *steam-lunch*'em ku Macuszimie, wszerz przecinając zatokę. — Morze było nieco niespokojne, bałwany chwilami niemiłosiernie tą łupiną rzucały, wszystko trzeszczało; ale rozumie się dla *decorum* trzeba było *faire bonne mine à mauvais jeu*, i udawać spokojnego. Bogu dziękowałem, gdyśmy wpłynęli między wysepki, któremi zasiana zatoka Macuszimy. Jest to duma Japończyków, i słusznie, bo nie można sobie wystawić nic bardziej oryginalnego, nic piękniejszego. Setki wysepek, głazów rzuconych w morze, gdzieniegdzie śliczne sosny japońskie, jak na przekorę wichrom i burzom, zawisły na urwistych ścianach głazów, i otoczone krzewami dzikich azalij, teraz w kwiecie, wieńczą karki i łby tych niby potworów z morza wychylonych. Krocie grot i przekopów między skałami, wyżłobionych przez wodę, gdzie się gnieżdżą miliony ptactwa morskiego; na tle sine góry lądu stałego.

Przybliżamy się nareszcie do Macuszimy. Na wzgórzu, otoczona wiekowemi kryptomeryami, starożytna pustelnia i świątynia buddystów, fundowana przez książąt Sendaju lat 400 temu. Tuż nad morzem śliczny pałacyk potomków owych możnowładców; wszędzie cudowne drzewa, idealna zieloność. W tym pałacyku ofiarują nam śniadanie. Tu zjawia się jeden z wyższych urzędników, wysłany przez gubernatora na powitanie mnie. — O świątyni pisać trudno, bo trzebaby tom spisać. Jest to jeden z najstarszych nietkniętych zabytków. Wkoło świątyni w skale kute groby, oraz mieszkania pustelników i pielgrzymów, bardzo przypominają dziś opuszczone i jako zabytki dawno minionych czasów pokazywane pustelnie i świątynie w Indyach koło Bombaju: Elephante, Karli i t. p. — W świątyni zwróciły głównie moją uwagę trzy statuy pierwszych pustelników, co tu osiedli, i wspaniałe malowidła na jedwabiu, rozwieszone na ścianach, przedstawiające pielgrzymkę któregoś z cesarzów chińskich do jednego z czczonych wielce pustelników. Tu widać też łowy cesarskie; między łowcami Tatarzy, na łbach ogolonych czapki noszą zupełnie takie jak huculy kołomyjskie: czapka spiczasta, czerwona, bramowana szeroko futrem wilczem.

Około 3-ciej z południa ruszamy koleją do Sendaju, stolicy prowincyi. Tu na dworcu oczekuje całe grono urzędników policyi i t. d. Siadamy do *riksy;* przed nami karakuluje drugi sekretarz gubernatora i oficer policyi; za nami cały ogon urzędników w riksach. Tym tryumfalnym pochodem ruszamy do przygotowanego mieszkania w jakimś niby klubie japońskim. Pokój recepcyjny dla mnie przeznaczony, zupełnie europejski. Ledwie mam czas się przebrać, już anonsują się wszystkie władze miasta i okolicy. Nareszcie zjawia się pierwszy sekretarz gubernatora w czarnym surducie, zapięty, w rękawiczkach; po przywitaniu zwykłem, ofiarowawszy mi wśród nieskończonej ilości ukłonów swą kartę wizytową, oświadcza w długiej przemowie, że gubernator cierpiąc bardzo na oczy, nie może mi się osobiście przedstawić i uszanowanie złożyć. Oświadczam przez tłumacza, że boleję dotkliwie nad niedyspozycyą gubernatora, że jednak spodziewam się, że zechce mnie przyjąć u siebie. Nie przetłu-

maczono jeszcze tego mego życzenia, gdy spostrzegam okrutne zaniepokojenie na twarzach wszystkich obecnych honoracyorów; takiego życzenia nie spodziewano się; krótka narada między tymi panami; ów pierwszy sekretarz wśród niezmiernych ukłonów znika; po dobrej półgodzinie zjawia się, i znowu wśród ukłonów i gradu słów pochlebnych a uniżonych oświadcza: że Jego Ekscelencya prosi mnie bym się nie fatygował; rozpacza, że poznać mnie nie może, ale leży w łóżku, więc w żaden sposób przyjąć mnie nie może. Każę znowu powiedzieć, jak niezmiernie boleję nad tą nową przeszkodą i oświadczam tym razem, że rezygnuję z zaszczytu poznania Jego Ekscelencyi. Nowe ukłony; poczem oświadczają mi, że gubernator miał zamiar ofiarować mi ucztę, ponieważ jednak nie mógłby być sam obecnym, prosi bym wybaczył, że mi jej ofiarować nie może. Ja znowu żałuję i oświadczam, że zapraszam wszystkich tych panów do siebie na obiad.

Tymczasem wyrażam żądanie oglądania koni, produktu ogierów amerykańskich i węgierskich (przed paru laty przez Graeckoitza rządowi japońskiemu sprzedanych) i klaczy japońskich. Wśród podobnej więc jak przedtem eskorty, jadę oglądać te konie. Węgierskiego pół-krwi pokazują mi tylko jednego, amerykanów kupę — lichota. To zabiera nam półtorej godziny czasu, tak że ze zmierzchem dopiero wracam do swego mieszkania. O wpół do ósmej obiad. Dziewięciu honoracyorów zasiada ze mną i Hirschem do stołu. Obiad europejski; więc ci panowie z dubeltową radością i zaszczytem zasiadają. Zupa, którą jeść już umieją, spowodowuje jednak hałas podobny do sposobu jedzenia bezrogów. Przy pieczystem wstaję i wznoszę w angielskim języku toast na cześć gubernatora, prosząc obecnego jego zastępcę, by zechciał być tłumaczem moich uczuć wobec swego pana. Drugi toast wznoszę na cześć urzędniczego stanu w Japonii. Japończyki mają nader słabą głowę; to też szampan, którego zaledwie dwie buteleczki wypito, poskutkował nadspodziewanie. Zasypują nas pytaniami, mnie proszą o zdanie o chowie koni w Japonii; ja z miną gęstą palę wykład o koniu w Japonii, jego wadach i zaletach i środkach, za pomocą których podnieśćby

można rasę; naturalnie dowodzę im, że konie amerykańskie są zupełnie do niczego, a tylko nasze mogłyby się przydać. — Na drugi dzień wyjeżdżam, wśród istnej ulewy; na dworcu kolei znowu cała chmara urzędników żegna mnie w imieniu gubernatora. Stojąc w oknie wagonu, żegnam ich protekcyonalnym uśmiechem i skinieniem głowy.

Opisałem ten pobyt, bo był prawdziwie zabawny. Dodać muszę, że to mniej więcej był sposób przyjmowania mnie wszędzie, dzięki listom rekomendacyjnym ministra spraw zagranicznych hrabiego Okuma, które miałem do wszystkich gubernatorów. Sendaj to ciekawe miejsce, tu bowiem przez całe dwa wieki przechowywano w ziemi i kominach owe rozliczne pamiątki katolickie, o których swego czasu pisałem. — Kupiłem fotografie najciekawszych z tych przedmiotów, dziś w muzeum narodowem w Tokio przechowywanych. Z powrotem tutaj nie zastałem, niestety, żadnych wiadomości z domu, — tłumaczę sobie to tem, że nie wiedziano, czy warto jeszcze do Japonii do mnie pisać. Rachuję na pewno na listy w Irkucku, Ekaterynburgu, Moskwie.

Powinien byłem dawno już wyjechać, ale wiedząc, że się nigdy więcej nie ma powrócić w te strony, okropnie żal wyjeżdżać, nie zobaczywszy przynajmniej najpiękniejszych, najciekawszych części. Czuję, że zaczynam najfatalniej bałamucić, czuję, że źle robię, ale jak wsiądą na mnie ci panowie, jak poczną dogadywać, że szkoda nie widzieć tego lub owego, że to lub owo niesłychanie ciekawe i t. d., i t. d., tak mimo wszelkich dobrych zamiarów, mimo wyrzutów sumienia, zostaję się jeszcze dziesięć, jeszcze pięć dni, i tak rośnie ten pobyt w nieskończoność. Tym razem na seryo jednak mam zamiar wyjechać 25 b. m. Czas się nieco uspokoił, wichry wiosenne minęły, lato się zaczyna, truskawki tu jadamy; róże kwitną... Teraz mogę spokojnie i z nadzieją w Bogu zajechania szczęśliwie, puścić się w drogę.

Jutro będę miał konferencyę z tutejszym ministrem rosyjskim, który ma mi dać listy rozmaite i dokładną kartę Chin północnych i Syberyi wschodniej, rzeczy niezbędne do mej podróży. 25-go wyruszyłbym z Kobe, tj. jednego z głównych portów Nipponu *via* Nangasaki do Fusan, stąd do Cien-Cin. Fusan

leży w Korei; chcę tą drogą ruszyć do Chin, by tym sposobem zajrzeć trochę przynajmniej do Korei, i mieć jakie takie o tym kraju pojęcie. — Mnóstwo jeszcze zostaje okolic w Japonii, których nie widziałem i widzieć nie będę; ale darmo! i tak zbyt długo bałamucę. Zresztą już dziś mogę śmiało rzec, że widziałem ten kraj dokładniej niż 99% turystów, bo od południowych do północnych jego krańców. Dodam, że doprawdy chciałbym duszą i sercem być już w domu, módz raz przestać pakować, rozpakowywać! Boże, kiedyż to nastąpi?!

Tokio, 25 maja.

Dziś miałem wyjechać, a jednak jeszcze z Tokio list adresuję! Niech wszystkie gromy spadną na mą zawstydzoną głowę, ale doprawdy szkoda byłoby wyjeżdżać. Najpierw nadto tu pięknie teraz. Maj w Japonii — czyż można coś idealniejszego wymarzyć? w tej Japonii, która pięknością natury, zieloności, doprawdy nad wszystko piękniejsza; jakże ją było opuszczać w chwili, kiedy najpiękniejszą swą szatę przywdziała? Przed paru dniami zrobiłem z Biegelebenem wycieczkę do Kamakura, dawnej stolicy Japonii. Z dawnej świetności tylko parę starych świątyń, tylko prastara, ogromna, potężna statua bronzowa Szaki (Buddy) pozostała; przetrwała burze i pioruny, przetrwała wojny straszne, bo bratobójcze; wszystko wokoło znikło, zmarniało, spłonęło; — sam Budda siedzi spokojny, zapatrzony w nirwanę, i duma, jakby wspominał dawne, lepsze czasy — a może nowych, lepszych czekał.

Dzień był cudowny; po kilkudniowych deszczach, choć majowych, ale smutną szatą ten wesoły kraik oblekających, słońce przedarło chmury i w całej nieopisanej świetności wyszło, by z ziemią gody wiosenne święcić. Drogi, dróżki, gaje zasiane mnóstwem kwiatów; a niemniej barwne od kwiatów, w bujnych, wzorzystych strojach, tłumy wesołego japońskiego ludu wyszły cieszyć się słońcem, światłem, zielonością. Bo też co to za zieloność! Nigdzie, w pięknym nawet Cejlonie, równie pięknej, bo równie rozmaitej a świeżej zieloności nie widziałem. Zwie-

dzając, przychodzimy do prastarej świątyni w XI. czy XII. stuleciu na cześć Buddy wzniesionej. Starych kilkanaście juniperów chińskich, jak dziady kościelne przed świątynią siedzi, koszlawe, a tak piękne, tyle ich się w tym kraju widuje, ale jak słusznie Hübner mówi, nigdy się ich napatrzeć, nigdy ich widokiem nasycić się nie można. Idziemy dalej, mijamy świątynię, wchodzimy do ogrodu wielkiego kapłana. Czemuż nie było tam palety, ale palety mistrza nad mistrzów? czemuż nie było poety, by opisać ten widok? Choć jakiż opis, jaki pendzel jest w stanie opowiedzieć te cuda natury? W dole stawek sztuczny, formy dziwacznej, w nim kilka lilij wodnych, wszystkie okwitły, jedna spóźniona zwraca jeszcze na pożegnanie biały kielich ku prastarej sośnie, co nad nią zwisła. Nad wodą *loro,* tradycyjna latarnia ślicznej formy, w kamieniu tak pięknie a skromnie zawsze ciosana; a nad tem wszystkiem, poza wiotkim bambusem, kilka kryptomeryj, owa stara sosna japońska, co w lilii przez minioną wiosnę na starość się kochała, kiedy tak nizko nad wodą zwiesiła stare konary, i wreszcie młody, piękny dąb skalisty, których tu tak wiele, o liściu, co spodem ciemno, górą jasno-zielony, tak, że się zdaje, jakoby płową miał czuprynę. I to wszystko oświecone słońcem, które, choć z żalem, ten piękny obraz opuszczać musi i za góry się chować. W życiu mojem już chyba takiej gry kolorów, powiedzmy takiego bogactwa odcieni w zieloności nie ujrzę. Co za spokój, co za cisza w tem wszystkiem! Czemuż to nie można, patrząc na takie dziwy, zapatrzeć się na zawsze? O! ta zieloność zdaje się jakieś uroki na mnie rzuciła; w głowie zaczyna zielenieć, wskutek czego wyjeżdżać się nie chce. To jeden wzgląd, czemu jeszcze w nagłówku tego listu „Tokio“ wypisałem! Drugi, niemniej ważny, że teraz zaczynam owoce licznych tu zawartych znajomości zbierać!

Wczoraj ni mniej ni więcej, jak łowy z cesarskimi sokolnikami. Tak jest, dawne, nieznane czasy, wiek XV. i XVI. przed oczyma stanęły, gdyśmy we wspaniałej łodzi zasiedli; około nas trzy inne mniejsze czółenka, a w każdem stał przybrany w starożytny strój japoński łowczy, z pysznym sokołem na ręce. Polowaliśmy na ptactwo wodne, bo to jedyna w tej porze, według

tutejszych zwyczajów, łowna zwierzyna. Raniutko ruszyliśmy z domu powozami o $2^1/_2$ mili od Tokio; ranek cudowny, piękne łowy zapowiadał. Po półtoragodzinnej jeździe stanęliśmy nareszcie na miejscu zboru. Tu czekały nas sokoły, przez wielkiego mistrza ceremonij i wielkiego łowczego koronnego na to polowanie nam najłaskawiej przysłane. Każdy sokół siedział osobno na pięknej macie, zawieszonej na drążku, poprzecznie na dwóch innych leżącym. Każdy jedwabnym, pąsowym sznurem w dwie strony przywiązany. Nie zakrywają im łebków, jak dawniej w Europie, ale tylko na nóżki kładą skórzane pęta, do których ów jedwabny sznur bywa przymocowany; w chwili puszczania sokoła, odwiązuje się ten sznur, a sokół z pętami wzlatuje. U nasady ogona, czyli technicznie wachlarza, przymocowany raz na zawsze dzwonek, w tym celu, by łatwiej w krzewach lub sitowiu odnaleść sokoła. Jednemu tylko największemu gatunkowi sokołów, używanemu do polowania na grubszą zwierzynę, a biorącemu, jak mnie zapewniano, w pojedynkę zająca, zakładają, podobnie jak u nas, kaptur na głowę.

Każdy z sokolników trzyma w trakcie polowania sokoła na lewej ręce, w grubej rękawicy, a mianowicie za owe pęta. Prócz tego każdy nosi małą, czarno lakowaną szkatułeczkę, u prawego boku na szerokim pasie zawieszoną. W niej jest parę kawałeczków wróblego mięsa, i gdy sokół nadto się niepokoi na ręce, lub puszczony, a nie schwyciwszy łupu, nie chce powracać, wówczas owa szkatułka się otwiera. Jest ona nawet umyślnie wewnątrz na czerwono malowana, aby zawsze się zdawało, że jest w niej świeże mięso, nawet gdy go zabraknie; w razach nadzwyczajnych, rzadko się zdarzających, gdy sokół wcale powracać nie myśli, ostatniego używają środka, tj. żywego wróbla. Każdy z sokolników ma w małej torebce kilka żywych wróbli; w razie potrzeby przywiązuje na długim sznurku za nogę wróbla w bliskości miejsca, gdzie sokół siedzi; sokół zobaczywszy wróbla, nie może się oprzeć tentacyi zjedzenia takiego przysmaku, rzuca się na wróbla, którego jednak tymczasem sokolnik przyciąga coraz bliżej do siebie, tak, że wkońcu, w chwili

kiedy sokół istotnie wróbla dostaje w szpony, i sokolnik ma go pod ręką.

Polowanie nasze odbywało się wzdłuż rzeki, my płynęliśmy środkiem; w miarę, jak po jednej lub drugiej stronie sitowie obiecywało zwierzynę, zbliżaliśmy się do brzegu. Nagonka z kilkunastu ludzi, dotrzymywała nam piechotą kroku. Pierwsza zerwała się czapla. Najbliższy sokolnik woła chrapliwym głosem na sokoła i silnym rzutem ręki rzuca go formalnie w powietrze. W paru sekundach sokół był koło czapli; ale cóż? kruk się zjawia i bije na sokoła, broniąc czapli, wśród niesłychanego krakania całej czeredy kruków, kawek i wron, które nam prawie ciągle towarzyszyły, zawsze bijąc na sokoły. Czapla wprawdzie w pierwszym momencie uszła sokołowi, ale z wielkiej emocyi wpadła w wodę, i trzymając się na rozpostartych skrzydłach, wyciągniętym naprzód dzióbem chciała się bronić. Sokół jednak niesłychanie szybkim obrotem dostaje się na jej tył i w mgnieniu oka już jej siedział na karku jedną łapą, drugą na łbie, wbijając szpony w oczy. Zwykle w tym momencie sokół bije dziobem w czoło swą ofiarę; tu jednak sytuacya widocznie wydała mu się za ryzykowną, rozpostarł więc także skrzydła, oparł się niemi o powierzchnię wody, i tak czekał, by go wyciągnięto z nurtów. W jednej chwili był przy nim sokolnik. Z wielkim trudem można było wyciągnąć szpony z karku i łba nieszczęsnej czapli (małej), której serce dostało się natychmiast sokołowi do pożarcia. Dalej kilka batalionów się zerwało; puszczano sokoły; dopiero przy trzecim udało im się wpaść na sposób, jak brać bataliona, który zerwawszy się, chciał zwykle odciągać, spostrzegłszy jednak sokoła zapadał natychmiast w sitowie, tak że go sokół tracił z oczu. Za regułę, zdaje mi się, można uważać, że sokół nie bierze chętnie ptaka inaczej jak w locie; gdy ofiara raz na ziemi się znajdzie, zwłaszcza w sitowiu lub krzakach, nie szuka jej nawet, tylko spokojnie odlatuje.

Ciekawa rzecz odegrała się, gdy raptem na 60 do 80 kroków przed nami porwała się wielka kaczka, coś jak krzyżówka, tylko większa i zupełnie ciemno-brunatna. Kaczka jak kula tuż nad wodą pociągnęła; rzucono sokoła: puścił się za nią jak iskra

szybko; przez kilka sekund gonił, aż nagle, chwilę się zatrzymał, jak gdyby się namyślał, poczem porzuciwszy kaczkę, najspokojniej na najbliższe drzewo odleciał. Nie mogliśmy pojąć, co mogło być przyczyną tego odwrotu: czy bojaźń przed ogromną kaczką? czy inna jakaś refleksya? Stary sokolnik co nam towarzyszył, tłumaczył rzecz tak: sokół nadzwyczaj rozumny i bystry, obrachował, że schwyciwszy kaczkę nad wodą, spadnie wraz z nią; raz schwyciwszy ofiarę szponami nie może ich łatwo wyciągnąć; kaczka spadłszy wraz z nim na wodę, niechybnie nurkuje; a że była rozmiarów potężnych, przeto byłaby go wraz pod wodę wciągnęła. Mądry sokół musiał w swem życiu już spróbować kąpieli, uczuł, że to rzecz nie dla sokoła, i wycofał się z imprezy zawczasu. Niektóre ptaki (wzięliśmy ich 8 czy 9 sztuk), zwłaszcza kurki wodne, w mgnieniu oka dostawały się w szpony sokołów. Niezbitym dowodem macierzyńskiej troskliwości o gniazdo była właśnie owa wielka kaczka. Ledwie uszedłszy szponów sokoła, mimo iż widziała nas, obławę, sokoły, wzbiwszy się wysoko, wracała co chwilę nad miejsce, skąd ją spędzono; nie ujechaliśmy trzystu kroków, już zapadła była z powrotem na swe gniazdo. Chcę koniecznie znaleść dzieło w japońskim języku, z ilustracyami wydane, o sokołach i sokolem polowaniu — niestety, nader trudno je odnaleść. Sokolnicy opowiadali nam, że najlepszych sokołów dostają z gór północnej Japonii i z Jesso. Samczyki jednak są za małe; służą tylko do brania zupełnie małych gatunków ptactwa; samiczek używają do polowania na czaple i t. p. Nasze sokoły były to trzy samiczki w 3-ciem i 4-tem, że tak powiem, polu. Tresura sokołów nader skomplikowana, odbywa się początkowo w nocy i na sznurze; po długich miesiącach nauki dopiero puszczają sokoła wolno. Podobno nie zdarza się, żeby sokół nauczony raz opuścił sokolnika zupełnie. Bardzo w tym względzie praktyczne muszą być owe pęta skórzane, które im zakładają.

Tokio, 28 maja.

Przedwczoraj wielki dzień. Minister wojny, hrabia Ogama, dowiedziawszy się, nie wiem jakim sposobem, że jestem ofice-

rem rezerwowym, postanowił odwdzięczyć się za przyjęcie nader grzeczne i serdeczne, jakiego doznają oficerowie japońscy w Wiedniu, i urządził dla mnie rewię. Najpierw kawalerya, szwadron gwardyi przybocznej cesarza; potem pułk piechoty gwardyi przybocznej, koszary, menaż oficerów i t. d.; wreszcie arsenał tutejszy, uzupełniający arsenał w Osaka, gdzie tylko leją działa, tu zaś tylko broń ręczną. Oprowadza nas dyrektor-pułkownik Kuroda; gdy przechodzimy przez oddział, gdzie toczą kapsle patronów, ofiarują mi ci panowie w ślicznem pudełeczku ułożoną historyę powstania ładunku i kuli — prawdziwy klejnocik. Po zwiedzeniu arsenału przechodzimy do ogrodu obok położonego; tu wśród prześlicznej zieloności, wśród niebotycznych drzew, nad brzegiem małego jeziorka, stoi cudny pawilonik mieszkalny, w którym minister wojny, otoczony całym swym sztabem, daje nam śniadanie. Szampan się perli, toasty, spacer po ogrodzie, miliony grzeczności sobie mówimy. Siebold poczciwy i dwóch oficerów japońskich mówiących po niemiecku, nie mogą gardłami i językami nastarczyć, by tłumaczyć wszystkie grzeczne i piękne rzeczy, które sobie mówimy nawzajem.

Rzeczywiście, przyjęcie królewskie, a co najmilsze, to że ci panowie manier najwyszukańszych, a nader naturalni, umieją być grzecznymi i wesołymi zarazem, nigdy w niczem miary nie przekraczając. Ale wreszcie pytam, kto założył ten najpiękniejszy w Japonii ogród? kto wystawił ten cudowny *jaszke* (pawilon)? kto rzucił przez bystry potok, tędy wśród cieni trzystoletnich drzew płynący, kilka idealnych formą mostów? kto przywiózł owe kamienie dziwaczne, zasadził i wychował te pyszne drzewa? Któżby mógł być inny, jak sajgunowie, rodzina Tokugawów! Zawsze i wszędzie to nazwisko; gdzie spojrzysz, a zobaczysz coś pięknego, coś wielkiego, zawsze i wszędzie Tokugawa. Najpiękniejsze ogrody, najwspanialsze świątynie, najśliczniejsze pałace — zawsze i wszędzie herb Tokugawów, trójlistek koniczyny świeci.

Można sobie więc wystawić, jakie szczęście, jaka radość rozświeciła mą duszę, gdy mi przedwczoraj pan Siebold, sekretarz naszej legacyi, oświadczył, że 27-go o 10-tej rano Jetakane

Tokugawa, brat ostatniego sajguna i tegoż dezygnowany następca, przyjmie mnie w swej letniej willi, w pobliżu Tokio położonej. Z uderzeniem godziny 10-tej nasz *betto* uderzył we wrota, skromnie z naturalnego drzewa wyciosane, ogrodu *jaszke* Tokugawy, dziwnym trafem nie skonfiskowanego. Długi płot żywy, oddzielający i chowający zupełnie wnętrze ogrodu przed zbyt ciekawem okiem, oznajmiał nam już od dawna, że się zbliżamy do celu. Wrota się otwarły, portyer starym zwyczajem rzuca się na ziemię; wjeżdżamy w niewielkie podwórze, u końca którego, pod małym baldachinem, wejście do głównego zabudowania mieszkalnego. Tu już czołem bije inny sługa; uderza mnie skromność i prostota jego stroju; prowadzi nas po schodkach, niestety, pół-europejskich na górę. Tu w jednym z pokojów, wśród zupełnie japońskiego a nader skromnego urządzenia, umeblowanie europejskie, tj. stół okrągły i trzy stołki; koło każdego i przed każdym *hibaski* niezmiernej prostoty. Przyjmuje nas tutaj, ubrany w piękny acz nader skromny strój japoński, widocznie samuraj książęcy; trójlistek Tokugawów błyszczy na jego stroju. Na ścianach parę obrazów: widoki Mito, ziemi rodzinnej Tokugawów, książąt Mito.

Nie mogę zaprzeczyć, że emocya mnie przejęła nielada. Przez trzy miesiące pobytu w Japonii, gdzie spojrzałem, wszędzie ów trójlistek Tokugawów mnie witał, gdzie tylko coś wielkiego widziałem, zawsze to imię o me uszy się obijało. Miałem podobne uczucie, jakiegobym zapewne doznał, gdybym np. po zwiedzeniu Wersalu miał za chwilę stanąć przed którymś ze zmarłych Burbonów. Cała historya ostatnich trzystu lat tego kraju, czasów największej bądź co bądź świetności, cała wielkość tego rodu, co tak gwałtownie ze szczytu potęgi i świetności runął w otchłań zapomnienia i bezsilnej bezczynności, uczucie litości na widok człowieka, co temu lat 22, bo w 1867 r. przyjmowany przez cesarza Napoleona i królowę Wiktoryę z honorami należnemi panującemu, mieszkał w jednym z pałaców cesarskich w Paryżu, gdzie miał pozostać czas dłuższy dla kształcenia się, a w parę miesięcy potem, gdy w kraju wybuchła rewolucya, musiał cichaczem powracać, by na wieczną bezczynność skazany,

przez dorobkiewiczów dzisiaj Japonią rządzących, z niechęcią, zawiścią i obawą traktowany, rozpamiętywać minione niepowrotnie świetności czasy — uczucia takie mną miotały, wyznaję, gdy po chwili w progu zjawił się sam książę.

Nizkiego wzrostu, rysów nieregularnych a jednak niesłychanie typowych, o ogromnem, wysokiem czole; jeszcze młody, lat około 34-ch liczy; oczy, choć nieco w skos, pełne inteligencyi, przenikliwości, ale i smutku; wyraz twarzy rozumny, ale również łagodny, niezmierne cierpienie duszy zdradzający. Typ raczej, powiedziałbym, mongolski, bardzo śniady; głos cichy, niezmiernie miękki, prawie kobiecy. Figura niesłychanie dystyngowana, ręka arystokratyczna, stosunkowo silna i wielka. Ubrany, niestety, wbrew zwyczajowi rodziny, po europejsku, zupełnie czarno. Maniery wielkopańskie, więcej powiem: maniery księcia krwi, nader łaskawego. Wszedł, stanął u progu i czekał na powitanie Siebolda, który po zwykłej formułce przywitania, począł rozpowiadać po japońsku, kto ja jestem. Z niesłychaną grzecznością mnie przyjął, najpierw ukłonem, potem podaniem ręki. Grzecznym frazesem kazał mnie przeprosić, że nie mówi po francusku; tyle lat minęło, nie ma już w użyciu tego języka; więc konwersacya toczy się za pomocą tłumaczenia Siebolda. Najpierw zwykłe frazesy, ale nie tak banalne, jakie zwykłem od tych panów słyszeć; wszystko co mówił, o co pytał, było rozumne, widać było człowieka bardzo ze sprawami Europy obeznanego. Dodał, że czytał w gazetach o rewii, którą minister wojny dla mnie urządził, i zapytał, czy nie śmieszną mi się wydała kawalerya japońska, ów niepotrzebny a kosztowny sprzęt; bo kiedyż w Japonii, kraju górzystym, do tego wśród pól ryżowych, będzie mogła kawalerya jakąkolwiek grać rolę? Wszak w Kochinchinie, a zwłaszcza w Tonkinie przekonano się, jak artylerya i kawalerya francuska gubiła konie, wozy, armaty, ba, nawet buty w bagnach, na których ryż rośnie. Wyznaję, że zdumiałem na te słowa z ust Japończyka! Po chwili książę sam napomknął, że kuzyn jego jest ambasadorem japońskim w Rzymie przy Kwirynale; stąd przeszła rozmowa na Rzym, na poselstwo książąt Sendaju do Rzymu, na pamiątki po chrześcijanach w Japonii.

Tu Siebold przypuścił pierwszy atak, prosząc księcia, by nam pokazać raczył podobne pamiątki, znajdujące się w rękach rodziny Tokugawów. Początkowo książę się wymówił; nie wie gdzie te rzeczy są obecnie schowane. Po chwili Siebold drugi raz prosić zaczyna; samuraj książęcy przywołany, daje odpowiedź, że paka owa jest w godawnie, możnaby ją znaleść; książę zezwala by ją szukano. Po półgodzinie przynoszą starą, japońskim stylem nieco zeuropeizowanym krojoną paczkę: u starego zamku wisi napis japoński; książę wskazuje nań i powiada, że tej relikwii po przodkach nikomu nigdy pokazać nie wolno, egzystencyi jej nawet nie zdradzać. Otwierają ją; wyznaję, że mi serce biło potężnie: stanąć nagle wobec pamiątek po męczennikach z przed laty trzystu! Ornat kompletny wraz z całym przyborem do Mszy, książki japońskie, drukowane w r. 1600 w Japonii, literami łacińskiemi. (Oto tytuł jednej: *Doctrina Christiana* [katechizm po japońsku] *in collegio japonico Societatis Jesu, cum facultate ordinarii* [wydarte miejsce] *anno 1600).* Zbiór obrazków świętych z epok rozmaitych; mnóstwo szkaplerzy, krzyżyków, medalioników, różańców; obraz Matki Najświętszej na blasze malowany, znakomitego pendzla, niestety, bardzo uszkodzony; dyscyplina z powroza, z kilkoma gwiazdkami żelaznemi u końca, i widocznemi śladami krwi! Krucyfiks drewniany, roboty wcale pięknej; wreszcie w formie obrazu japońskiego *(kakemono)* trzy obrazy święte: Biczowanie, *Ecce homo* i Św. Michał, a pod tem, charakterem poematów japońskich pisane, dziesięcioro Bożych przykazań. Te przykazania prosiłem, by mi przetłumaczono, chcąc tym sposobem księciu dać pojęcie choć w przybliżeniu o naszej religii. Tłumaczenie szło niezmiernie trudno, musiano przywołać nadwornego sekretarza; ten łamał sobie głowę przez dobre pół godziny; książę sam niesłychanie się zainteresował; uderzyło go niezmiernie dziewiąte przykazanie. Tak przeleciało dwie godziny, ani wiedziałem kiedy. Dziękowałem księciu za honor, że pozwolił mi poznać siebie, dziękowałem jeszcze bardziej za uszanowanie, jakiem otacza te nasze święte relikwie. W tych dniach napiszę do niego błagając, by i nadal nie dał bezcześcić tych świętych przedmiotów;

może się uda kiedyś przenieść je na właściwe im miejsce, tj. do skarbca tutejszej katedry. Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie mi jeszcze na odjezdnem zostawił. Stał na progu swego domu, obok niego klęczało z głowami o ziemię dwóch jego sług; ten mały człowieczek jakże pańsko wyglądał!

Ciemno zaczyna się robić, a ja jeszcze piszę, więc trzeba kończyć ten list, gdzie, choć bardzo źle pisany, pół mej duszy siedzi, gdzie wzruszenie i radość jednem słowem objęte, a nieraz tak głębokie, zdaje mi się, że życie na zatarcie ich nie starczy. Wyjeżdżam z Japonii definitywnie 8 czerwca. W Pekinie będę około 19-go, poczem w przyspieszonych marszach lecę ku domowi. Przed końcem jednak sierpnia nie mogę stanąć w kraju. Ściskam milion razy...

Paweł Sapieha.

Z ARCHIWUM KARMELITÓW BOSYCH
NA CZERNEJ.

(Dokończenie).

Lata 1671 i następny nader są pamiętne w dziejach klasztoru. Kończono reszty zabudowań klasztornych, wybudowano wspaniały, dziś zniszczony, most nad głębokim jarem św. Eliasza, dzielącym wzgórza czerneńskie od paczołtowickich, i ułatwiono tem samem komunikacyę między klasztorem a jego włościami, wymurowano w lesie otaczającym klasztor kapliczki, których zaledwie kilka dziś istnieje, a wreszcie otoczono pustelnię murem na 2000 sążni długim [1].

Dla wprowadzenia wzorowej karności wśród poddanych klasztornych i umoralnienia ich ustanowiono kodeks karny, odczytany im 7 maja 1672 r. wobec zgromadzonych dostojników duchownych i przełożonych zakonu [2]. W początkach maja odbyła się wizytacya klasztoru jeneralnego wizytatora Karmelitów Bosych w Polsce i Litwie, O. Maurycego od św. Teresy. Że archiwum nie zostało pominięte, poświadcza wyżej wspomniane jego rozporządzenie, dotyczące głównego kopiaryusza klasztoru. Widnieje z tego wszystkiego myśl uporządkowania wszystkich spraw klasztoru. Nie dziw zatem, że w tych latach i kodyfikatorska praca w archiwum klasztornem jest tak obfita. Ten sam

[1] Louis str. 42.
[2] Cfr. Louis str. 146.

kodyfikator niezawodnie, który ułożył urzędowy ów kopiaryusz. i to na podstawie, jak sam wspomina, „zbutwiałych i przez mole po części zniszczonych, autentycznych jednak kartek i starych skryptów papierowych“ — ten sam zajął się uporządkowaniem tychże. Zebrał je i zeszył w kilka woluminów głoskami *A*, *B*, *C*, *D* oznaczonych. Już w indeksie kodeksu głównego, dnia 7 maja 1672 r. sporządzonym wspomina jego autor: *Haec vide in volumine jurium authenticorum sub A*, co świadczy o istnieniu już w tym czasie tych woluminów. Przeglądałem ich trzy, wolumina *A*, *B* i *D*. Woluminu *C* mimo poszukiwań nie zdołano mi na razie odnaleść. Są to kodeksy półfolio w skórę oprawne, przy kodeksie *D* pozostały ślady rzemyków, jakiemi je związywano.

II. Kodeks *A* ma na okładce wierzchniej napis: *Authentica villarum eremi Jura ab anno 1508 ad annum 1597 compacta die 5 Martij 1672.* Poniżej cokolwiek znajduje się drugi napis: *Index omnium hujus Voluminis in calce maxime Granicierum cum DD. Pisarski et aliis Pag. 129, 205, 219 dislimitarum;* na dole samym sygnatura *A*; na tylnej okładce uwaga, nie mająca nic z tekstem do czynienia: „Bibliey Ś. prócz psalmów 150 jest 3 ksiąg inszych, rozdziałów 1229. W roku dni 365. Rozdział na dzień 1 czytając, trzeba ją czytać przez lat całych 3, niedziel 18, dni 7 albo 8, jeśli będzie przybyszowy“. Kodeks ma stronice numerowane, zawiera 423 str.; w tyle znajduje się chronologiczny indeks aktów w nim zawartych, spisany 12 marca 1672 r., a za nim osobny indeks aktów, odnoszących się do „rozmiaru granic między Siedlcem a Pisarami, między Paczołtowicami a Dupiem odprawowanego z IMP. Stanisławem Pisarskim urzędownie z obu stron“. Jest to spis siedmiu aktów, z których dwa na str. 219–231 są urzędowo potwierdzone i zaopatrzone podpisem notaryusza Piotra Oraczowskiego, a mieszczą dwa rozejmy dotyczące granic wymienionych [1]. Jeden z nich (str. 219—223) odbył się w r. 1580 we środę po Wielkiej Nocy [2], drugi w r. 1586 w poniedziałek

[1] Kopie tych dokumentów spotkaliśmy już w „Kodeksie głównym“. Ob. wyżej pod I, str. 143 (str. *Przeglądu* z września 389 i 394).

[2] 6 kwietnia.

przed św. Bartłomiejem [1]. Inne cztery akta, dotyczące spraw granicznych, umieszczone na str. 205, 210, 239 i 244, są tylko kopiami nieurzędowemi. Akt wreszcie na str. 129 zawiera „spisek 22 kopców granicznych Dupskich, Paczałtowskich y Siedleckich, sypanych w r. 1581 w środę w wilią św. Piotra i Pawła“ [2]. Kodyfikator dlatego rejestruje akta te osobno, chociaż i w pierwszym indeksie je był umieścił, albowiem jeszcze w r. 1672, a nawet później, jak to poniżej zobaczymy, kwestya granic od strony Pisar nie była załatwiona. Dlatego też taki nacisk na odnośne dokumenta kładzie klasztorny archiwaryusz i pod drugim indeksem dodaje: „Troiste są pisma koło tych granic, jedne tylko autenticzne. Tych się trzymać *in casibus necessitatis*, da Bóg“. Na stronie następnej dodał: „Wszystkich tu munimentów *in hoc columine* jest numerów 58“. Akta te są w przeważnej części urzędowemi kopiami i zawierają, jak to napis łaciński powiada, wszelkie tranzakcye, sprzedaże, cesye, zapisy, procesy, odnoszące się do dóbr paczołtowickich i ich dziedziców w ciągu XVI. w. i jako takie rzucają ciekawe światło na ówczesne stosunki społeczne w ziemi krakowskiej.

III. Kodeks ze sygnaturą *B* jest dalszym ciągiem poprzedniego; ułożony i oprawiony został 26 marca 1672 r.; zawiera zaś: *Jura autentica ad villas hujus Conventus Carmelitici*, jak to napis na okładce przedniej opiewa, *maxime ad dislimitationem pertinentia Granicierum ab a. 1514—1677*. Stronice są również numerowane, jest ich 439; na końcu jest chronologiczny indeks, obejmujący 101 numerów, z tych 45 pochodzi z XVI., reszta zaś z XVII. wieku.

IV. Kodeks ze sygnaturą *D* wreszcie zawiera wedle napisu: *Jura varia autentica Conventum eremiticum Carm. discalce. concernentia cique servientia tam spiritualia quam temporalia ab a. 1496 usque ad a. 1669 continuantur in hoc columine die 7 mai compacto 1672*. Na początku, w przeciwieństwie do poprzednich kodeksów, umieszczony jest indeks sporządzony 11 czerwca 1672 r. Kodeks

[1] 18 sierpnia.
[2] 28 czerwca.

obejmuje 555 stronic. Pierwsze 13 mieszczą drukowany: „Zbiór Praw kościelnych na dowód wolności Duchownym od ciężarów wojennych, Podatków y Chleba zimowego, przez Monarchy, Xiążęta y króle Polskie nadanych ect. na Seym według constitutij Anno 1662 i 1667 dla informacyey Stanom Rzeczypospolitej krótko złożony Anno D. 1669". Dalsze stronice mieszczą znowu akta autentyczne lub kopie tychże, począwszy od r. 1496 do 1685. Aktu w indeksie pod r. 1690 umieszczonego, a mającego się na str. 555 znajdować, w kodeksie niema. Stronica ta jest niezapisana. Snać nie zapisał go lub nie wszył do kodeksu ówczesny archiwista klasztorny. Akt ten zaś zatytułowany jest w spisie: *1690 In vigilia st. Andreae Apost.*[1] *Decretum Tribunalis fisci Palatinatus Cracoviensis obtentum pro parte conventus in arce crac. ratione agrorum desertorum et abjuratorum in villa nostra Paczołtowice fol. 555*[2]. Stronice 513—533 są wyrwane, a zawierały, jak się dowiadujemy z indeksu, dwa akta dotyczące sumy 10.000 zł. na dobrach Iwanowice, przez fundatorkę klasztorowi zapisanej. Suma ta przeniesiona została na dobra Krzeszowice, Czerną i Miękinię[3] w r. 1669 w czwartek po Trzech Królach[4], a w r. 1681 po święcie Nawiedzenia N. M. Panny[5] przez Jana Opalińskiego, podczaszego królewskiego, na dobra Jakuba i Ludwika Rojowskich, Łyszkowice[6]. Akta więc wspomniane są późniejszemi dodatkami po r. 1672 w kodeksie umieszczonemi. Reszta stronic mieści około 137 aktów. Jeden z nich jest nieurzędową kopią aktu datowanego z dnia 17 czerwca r. 1496, w którym Andrzej, dziedzic Żbika, obowiązuje się przed konsystorzem krakowskim płacić plebanowi krzeszowickiemu 6 zł. węgierskich *et tres fertones minus uno grosso pecuniarum;* jeden akt, pochodzący z XVI. w., jest również kopią nieurzędową, reszta

[1] 29 listopada.
[2] Cfr. Louis str. 121.
[3] Miejscowości w sąsiedztwie Czernej.
[4] 10 stycznia.
[5] 2 lipca.
[6] Niedokładnym jest Louis co do tego faktu (ob. str. 43, przypisek). Łyszkowice, wieś w powiecie miechowskim.

zaś pochodzi z XVII. w. i jest po części urzędowemi pieczęciami i podpisami opatrzona.

W kodeksach wyżwymienionych spotkaliśmy tylko wyjątkowo jakiś akt sądowy. Te akta bowiem znalazły pomieszczenie w osobnych woluminach. Tylko jeden z nich, a musi ich być więcej, mieliśmy w ręku. Jest to V) kodeks pół-*folio* z okładką z grubej tektury. Zawiera 281 stronic numerowanych, a mieści wyłącznie akta sądowe z pierwszej mniej więcej połowy XVII. w. (od r. 1608—1659), dotyczące procesów dziedziców dóbr paczołtowskich przed sądem ziemskim krakowskim i trybunałem lubelskim.

W początku XVIII. w. okazała się potrzeba założenia ogólnego inwentarza dóbr nieruchomych i ruchomych klasztoru. Zawiera go VI) kodeks *in folio* w skórę oprawny w głównej części, spisany jedną ręką, nierównocześnie. Pismo jest czasami więcej, czasami mniej staranne, zawsze jednak czytelne. Kodeks powstał w każdym razie po r. 1701, w którym to roku, jak opiewa końcowy ustęp zawartego w nim pod nr. 3 inwentarza włości i praw, odbywa się dislimitacya gruntów nad wielkim stawem między IMP. Michałem Pisarskim, dziedzicem dóbr, a Wiel. O. Janem Kantym, wtedy przeorem eremu. Otóż autor współczesny temu wypadkowi dodaje: „O tem wszystkiem Intercyzya et Complanatio juridica jest w grodzie krakowskim aktykowana. Orginał ma być między munimentami spraw z PP. Pisarskimi in archivo Conventi nostri Eremitici, który konserwować pilno trzeba, bo już była nowa ImCi Pana Michała Pisarskiego pro nunc dziedzica Pisar retrogressio i na nową disquizycyą gruntów compellatio". Na pierwszej stronicy jest: *Regestrum omnium rerum in hoc libro contentarum:* a mianowicie: 1) *Erectio Fundationis eremi s. Pr. Eliae.* 2) *Summae censuales cum plenariis informationibus, Inscriptionum, Territorii, Anni, Possessoris.* 3) *Inventarium Praediorum et Jurium.* 4) *Inventarium Arcae duarum clavium Conventus Eremi.* 5) *Inventarium Sacristiae.* 6) *Inventarium Bibliothecae.* Na końcu dodaje ten sam pisarz: *Harum omnium Rerum in hoc libro connotatarum extant exemplaria autentica et extractus juridici, partim in Arca duarum clavium conventus hujus s. Eremi, partim in Archivo*

Provinciae nostrae Polonae Cracoviae apud SS. Michaelis et Joseph conventum. Nr. 5: *Inventarium Sacristiae* późniejszą ręką jest wykreślone i na czele pod nr. 1 położone, co odpowiada obecnie rzeczywistemu stanowi rzeczy w kodeksie, gdyż inwentarz przyborów kościelnych umieszczony jest w kodeksie na początku. Mieści się on na 23 kartkach nieliczbowanych, a zawiera spis sprzętów i aparatów kościelnych, nie obojętny dla archeologów i badaczy sztuki. Następuje na 4 kartach nowszą ręką spisana kopia fundacyi eremu. Na dalszych 3 stronicach jest spis sum zapisanych na klasztor przez fundatorkę; ciekawy jest, prócz wyżej pod nr. 6 wspomnianego, legat 3000 zł. na wykup niewiast z niewoli tatarskiej, drugi legat 7000 zł. na wykup jeńców w ogólności z tejże niewoli, zabezpieczony na Sierakowie [1], należącym do Łukasza z Bnina Opalińskiego, podkomorzego poznańskiego, spadkobiercy Agnieszki. *Inventarium Praediorum et Jurium* zajmuje 7 kartek i było dlatego bardzo ważne dla klasztoru, iż zawiera nowe akta dwuwiekowego blizko sporu między dziedzicami dóbr paczołtowskich, a buńczucznymi panami Pisarskimi, klasycznym przykładem złych sąsiadów, i to nietylko w rodzaju męskim, lecz nawet żeńskim [2]. Inwentarz arki o dwóch kluczach zajmuje tylko jedną kartkę, mimo to jest dla badacza archiwum nieocenionej wartości, dając mu wyobrażenie o stanie archiwum klasztornego z początkiem XVIII. w. i najlepszą wskazówkę, co ze źródeł klasztornych w arce złożonych przed r. 1701 zginęło w czasie zawieruszeń, a co ocalało. Inwentarz ten obejmuje 23 numery: kopiaryusze, rękopisy różne, księgi wizytacyj, gospodarcze, instrukcye i t. d. [3]. *Inventarium Bibliothecae* wreszcie zajmuje 13 kartek i jest katalogiem biblioteki klasztornej, wedle treści książek ułożonym. Bibliograf znalazłby tu niejedno, coby go zajęło, nietylko w katalogu ale i na półkach wcale pokaźnej i obecnie biblioteki klasztornej.

Zdaje się, że inwentarz ogólny został przed r. 1718 ułożony, gdyż z tego właśnie roku posiada archiwum klasztorne

[1] Miasteczko na zachód od Poznania w W. Ks. Poznańskiem.
[2] Cfr. Louis 163/4.
[3] Ob. „Dodatek".

katalog biblioteczny o wiele dokładniejszy, również wedle treści lecz w pojedyńczych działach alfabetycznie ułożony. Tworzy on osobny kodeks *in folio*, zatytułowany: VII. *Cathalogus Librorum Bibliothecae Conv. Erem. st. Eliae Proph. Carmelitar. Discalce. conscriptus sub A. R. P. N. Gaudentio a Spiritu Sanct. pro tunc Priore Anno 1718.* W drugiej części tego kodeksu również: *Inventarium sacristiae conscriptum propter faciliorem rerum inventiam alfabetice*, za rządów wyżwymienionego przeora r. 1719. Inwentarz ten w przeciwieństwie do poprzedniego nie jest w języku łacińskim lecz polskim spisany, pismem niezmiernie starannem. Względy te dowodzą, iż inwentarz ogólny jest starszy i pochodzi z lat 1702—1718, skoro okazała się potrzeba zastąpienia pewnych jego części nową, lepszą i praktyczniejszą redakcyą.

W klasztorze o tak surowej regule, podlegającym ścisłej kontroli wizytatorów, musiały istnieć dokładne rachunki dochodów i rozchodów. Wspomina o starych rachunkach gospodarskich wsi Paczołtowic Louis i z nich korzystał[1]. Otóż wśród kodeksów do przeglądania mi podanych znalazłem kodeks in 4°, w skórę oprawny, pod tytułem: VIII. *Liber acceptorum et expensorum ab a. 1734 usque ad a. 1765 m. Maji inclusive.* Kodeks nosi liczbę III, zdaje się, że to trzeci z rzędu kodes rachunków gospodarczych. Na lata od fundacyi po rok 1733 *incl.* przypadałoby tych ksiąg dwie, ile zaś kwartantów po roku 1765 wypełniły rachunki klasztorne, nie umiemy powiedzieć. Księgi rachunkowe kontrolowali i potwierdzali wizytatorowie jeneralni. W r. 1751 17 sierpnia odbył także skontro O. Anastazy od Św. Trójcy, i konstatuje, iż od 1 czerwca r. 1750 po dzień skontra miał klasztor dochodów 11.566 tynfów[2] 9 gr.; rozchodów 11.389 tynf. 16 gr., pozostaje w arce 179 tynf. 22 gr. Księga ta zamknięta została 19 czerwca r. 1765 przy jeneralnej wizytacyi i miała być „odrzucona — jak opiewają końcowe w niej słowa — *ad arcam trium clavium*". Nowy zatem klucz przybył do arki *duarum clavium*, skarbca klasztornego, przechowującego archiwum. Ra-

[1] Cfr. str. 7 i 37.

[2] Tynf = 1 zł. 6 gr.

chunki te dla ocenienia stosunków ekonomicznych XVIII. w., a mianowicie poznania cen pojedyńczych płodów rolniczych, bydła i t. d., są nieocenione, przekonywamy się zarazem z nich, że w pierwszej połowie tego wieku główną pozycyą dochodu są t. zw. olbory z łomów marmurowych.

Są to opłaty pojedyńczych mistrzów kamieniarskich, którym klasztor, nie mogąc snać mimo usiłowań, w tym celu robionych, na własną rękę wydobywania marmurów i obrabiania ich prowadzić, wydzierżawiał swe łomy za pewną sumę, zależną od ilości wydobytego materyału. Ponieważ dzierżawców takich było więcej i od każdej sztuki obrobionej płacili czynsz [1], po trzy grosze od dziesięciu w tynfach dobrą białą monetą a nie szelągami, więc potrzeba było osobnej księgi rachunkowej, zawierającej detaliczny spis wyrobionych przez kamieniarzy przedmiotów i należnego za nie klasztorowi olbornego. Księgę jedną taką miałem w ręku. Jest to kodeks *in folio,* w skórę oprawny, z r. 1691, zatytułowany: IX. *Connotationes mensuarum marmoris (vulgo olborae) extraditi a Magistris in Dembnik Arendariis Montium seu fodinarum marmorearum.* Rachunki olbornego z łomów marmurowych prowadzą się od czerwca r. 1691 do r. 1710. „W r. 1691 zawarł klasztor ugodę z dwoma mistrzami, z P. Michałem Pomanem i P. Jakóbem Bielawskim, którzy płacili czynsz za marmur wydobyty t. zw. olborne". Czynsz ten przynosił Karmelitom pokaźne sumy zrazu. W roku np. 1695 otrzymali oni od Pomana 1640 flor., od Bielawskiego tylko 300 flor.; w r. 1698 — od Pomana 2000 flor., od Bielawskiego 800 flor., wogóle od Bielawskiego przez 6 lat 3040 zł. 15 gr. Jednakże w następnych latach olborne niezmiernie maleje. Tak otrzymuje klasztor w r. 1700 od Pomana 600 flor., od Bielawskiego 94 tynfów; w r. 1705 od Pomana 192 tynfy, od Bielawskiego 75 tynfów (groszy 4 na tynfie!?). W r. 1706 zmieniono kontrakt z tymi mistrzami, „którzy mają płacić jak dawniej bywało od łokcia po złotych trzy dobrą monetą bez naddatku". W roku tedy 1707 zapłacił Poman 233 tynfów, Bielawski zaś w roku następnym zaledwie 25 tyn-

[1] Cfr. Louis str. 100.

fów. Olborne zatem nie powiększyło się; czy to burze wojenne stały na przeszkodzie rozwojowi przemysłu marmurowego, czy też mistrzowie uchylali się od obowiązku — dość, że „klasztor odebrał im góry dla różnych przyczyn, a przedewszystkiem, bo olbornych nie umieli czynić"; zdaje się więc, że nie umiano w klasztorze mistrzów kontrolować. Jakoż znów bierze klasztor łomy we własny zarząd w marcu r. 1710, „dla wyrozumienia, co też więcej może konwentowi przyczynić intraty, czyli olbora według dawnego zwyczaju, czyli sam marmur odebrany na konwent". Dlatego też od r. 1710 nowe prowadzą się rachunki w tej samej księdze; olbora, którąby klasztor przy wydzierżawieniu był otrzymał, „dla lepszego wyrozumienia zapisuje się jak poprzednio na pierwszej karcie, na drugiej zaś idą ‚accepta i expensa'". W październiku tegoż roku przychodzi kasyer klasztorny do przekonania, że dochody wynoszą 3550 tynf. 1 gr., olbora 252 tynf. 3 gr., wydatki 1515 tynf. 3 gr., „zatem więcej nad olborę wziął klasztor 1753 tynfów i 17 gr." W ciągu dwóch następnych lat „ponad dochody olbory otrzymał klasztor 4890 fl. i 13 gr., ponieważ jednak na robotników wydano 500 fl., zostaje zatem czystego zysku 4390 fl. 13 gr." Na tem się urywają rachunki dochodów i rozchodów z łomów marmuru dembnickiego. Podpisuje takowe: Fr. Augustinus a St. Gerardo i Fr. Johannes Baptista a St. Elisaeo. Niedługo jednak widać ta gospodarka na własną rękę potrwała. W latach 1734—1765, jak to widać z księgi rachunkowej wyżej pod nr. VIII. opisanej, znowu olbory, pobierane od dzierżawców, stanowią najznaczniejszą pozycyę dochodów klasztornych. Rachunki te olborów są ciekawym dokumentem naszego przemysłu artystycznego w XVII. i XVIII. w. Wskutek wojen i rozruchów, mimo usiłowań króla Stanisława Augusta, pragnącego przemysł w łomach tych podnieść, podupadł on zupełnie i dziś zaledwie wegetuje. Ciekawy jest dla badacza sztuki przegląd przedmiotów, jakie podówczas z marmuru wyrabiano. Dowiadujemy się z tych rachunków dokładnie, kiedy i do jakiego kościoła robiono ołtarze, krzyże, chrzcielnice, gradusy, posadzki i t. d.; dowiadujemy się o obstalunkach na trumny, nadgrobki, dowiadujemy się o wyrabianiu stołów, balasek, waz

i t. d. dla dworów wielkich panów; tak tedy pośrednio rachunki te są cennym przyczynkiem do historyi pewnych kościołów, posłużyć mogą jako nekrologi znaczniejszych osobistości, i są świadectwem wystawności i przepychu, jaki panował na dworach naszych królewiąt magnackich. We wrześniu np. 1691 r. czytamy: „Sztuka nagrobku IMP. Starosty Małogoskiego długa łokci 1, cali 16, szeroka cali 15“. W r. 1692 ks. Kardynał (Radziejowski arcybiskup gnieźnieński) częste robi obstalunki. Pod rokiem 1694 w czerwcu: „Posadzki dla IMPana Wojewody sandomierskiego i stolik mały. Dla IMCi Pana Podskarbiego koronnego 2 kominy“. W r. 1695: „dla IMCi P. Wojewody ruskiego 2 stoły, każdy długości 2 łokcie 12 cali, 2 balasy długie po 1 łokciu 8 cali, 2 cekuły każdy łokci 1 cal 1, 7 kropielniczek po 14 cali, 20 gałek po 9 cali, 1 dunica długości 18 cali“. W marcu tegoż roku pracuje mistrz Poman dla Króla Jegomości. Przedewszystkiem kościoły krakowskie stałymi są odbiorcami przedmiotów marmurowych. To robi się coś do kościoła Panny Maryi, to do Bożego Ciała, to na Bielany, to do św. Barbary, to do św. Piotra. W latach 1693 i 1694 robi mistrz Bielawski dla OO. Jezuitów u św. Barbary posadzki, tryanguły i t. d. i t. d.; w lutym i czerwcu r. 1695 do św. Piotra gradusy 3, epitaphium, trumnę i t. d. Jakaś kaplica włoska[1] marmurem się wykłada w styczniu tego roku; w marcu, czytamy znowu, „do PP. Włochów posadzki białej spiczastej“. „Dla Panien Francuzek[2] stolik i tablica“ w czerwcu r. 1695. „Roku 1701 w październiku dla OO. Francuzów[3] marmury brane“. „W r. 1697 w lutym robiło się dla Jego Mości X. Biskupa Wrocławskiego 3 epitaphia i stół“. Przytoczyliśmy urywkowo parę pozycyj, by wykazać, jak ciekawe są te zapiski. Jak wymownie świadczą one o skrzętnem wyzyskiwaniu tych bogatych skarbów złożonych ręką Opatrzności na naszej ziemi, które dziś leżą prawie odłogiem i niszczeją wskutek zaniedbania! Mając własny marmur, który zdobił świą-

[1] Przy kościele OO. Franciszkanów.
[2] Siostry Miłosierdzia czy też Wizytki.
[3] Księży Misyonarzy.

tynie całej Polski, wychodził do Wrocławia i Wiednia[1], dziś sprowadzamy marmury z zagranicy, bogacąc cudze kieszenie.

Pozostałe trzy rękopisy, przeglądane przeze mnie, dotyczące ściśle spraw wewnętrznych klasztoru i ascezy klasztornej, mniej mogą ogół interesować, dlatego dla skompletowania naszego przeglądu wymieniamy je tylko po tytule. Są to dwa małe rękopisy w 8-ce: X. *Notata de Cerimoniis huius sacri deserti applicata usui PP. Eremitarum cerimonias rite observare studentium.* XI. *Exercitia vitae spiritualis de praerogativis Professionis ac Status religiosi in decem dies disposita commoditati aspirantium ad S. professionem, nec non iis, qui jam Statum religiosum Professi exposita.* XII. Kwartant wreszcie, oprawny w tekturę, zawiera od str. 1—54 przepisy ceremonij podczas świąt kościelnych i klasztornych w ciągu roku; od str. 57—106 mieści: *Ordinationes Visitatorum generalium* z drugiej połowy XVII. i całego prawie XVIII. wieku[2]. Ostatnie przepisy datowane są z dnia 9 maja r. 1785. W tym właśnie rękopisie znaleźliśmy wspomnianą na wstępie zapiskę z życia fundatorki klasztoru. Dowiadujemy się nadto z niej o losach jej córek, które, jak było wspomniane, do klasztoru Benedyktynek w Chełmnie[3] wstąpiły. Otóż jedna z nich, Zofia, została ksienią klasztoru; druga, Izabella, jako prosta zakonnica tamże również żywot swój zakończyła.

Na tem wyczerpaliśmy przejrzany przez nas materyał archiwalny, odnoszący się do klasztoru czerneńskiego i dóbr jego, nie wyczerpaliśmy jednakże całego materyału. Z 23 numerów inwentarza archiwalnego[4] z początku XVIII. wieku, zaledwie trzy mieliśmy sposobność oglądać; reszta, z wyjątkiem może nr. 10 i 11, które prawdopodobnie są identyczne z kodeksami, pod l. X. i XI. przez nas omówionemi, pozostaje do zbadania i, wedle zapewnień

[1] Cfr. Louis 86.

[2] Jest to niezawodnie odpis z foliantu podanego w *Inventarium arcae duarum clavium* pod nr. 7, a zawierającego prócz rozporządzeń wizytatorów jeneralnych także rozporządzenia kapituły jeneralnej i definitorów jeneralnych i prowincyonalnych. (Ob. „Dodatek“).

[3] Nie w ziemi lubelskiej, jak błędnie podaliśmy na str. 384, przyp. 2, *(Przegląd* z września), lecz w Prusach królewskich; nie Krystyną, lecz Izabellą zwie źródło klasztorne drugą córkę Firlejowej.

[4] Ob. „Dodatek“.

ojca bibliotekarza, przeważnie znajduje się jeszcze w posiadaniu klasztoru. Ponieważ nadto wspomniany inwentarz nie wyczerpywał bynajmniej materyału źródłowego, przechowywanego w klasztorze, pozostaje nam zatem, jakeśmy się o tem przy drugim naszym pobycie w klasztorze naocznie przekonali, dość spora ilość kodeksów rękopiśmiennych do zbadania. Może do przeglądania najciekawszych i najważniejszych nie mieliśmy ani czasu ani sposobności po temu, że wymienimy tylko wspomniany przez nas wyżej kodeks karny, ciekawy przykład sądownictwa dziedziców nad poddanymi, zwłaszcza wymiaru sprawiedliwości, praktykowanego po wsiach nietylko duchownych ale zapewne i świeckich, niezmiernie cenny dla historyka prawa polskiego. Z kodeksu tego ciekawsze i drastyczniejsze ustępy, zestawione jednak jednostronnie i nie dające dokładnego wyobrażenia o całości, podał Louis[1] w swej monografii. Chwilowo znajduje się kodeks ten w ręku najwłaściwszych, w ręku tak rzutkiego badacza prawa polskiego, jakim jest prof. Ulanowski. To też spodziewać się należy, iż cenne to źródło do sądownictwa włościańskiego w publikacyach Akademii Umiejętności ujrzy niebawem światło dzienne. Cenniejszem może źródłem, nietylko do dziejów klasztoru lecz do dziejów XVII. wieku wogóle, jest kronika klasztorna, znajdująca się w tym samym woluminie co kodeks karny. Treść jej to głównie dostarczyła wątku do barwnej i zajmującej monografii Louisa. Bliższe jednak szczegóły o tych i poprzednich źródłach musieliśmy sobie zachować na przyszłość, zwłaszcza, że tak ciekawe źródło, jakiem jest kronika klasztorna, osobnego wymaga sprawozdania.

Na razie pozostaje nam do omówienia jeszcze dział źródeł obcych, w archiwum czerneńskiem się znajdujących, a pochodzących z innych klasztorów wyłącznie prawie karmelickich. Jakim sposobem się one na Czerną dostały? Odpowiedź na to znajdujemy w aktach męczeńskich narodu i Kościoła w porozbiorowej Polsce. Klasztory, jako główne twierdze katolicyzmu, a poniekąd, trzeba przyznać, i narodowości, zwłaszcza klasztory karmelickie,

[1] Ob. str. 146—156.

co wydały bohaterską postać O. Marka [1], nie mogły znaleść łaski w oczach wrogów i wszystkie z małemi wyjątkami uległy kasacie. Jak jodła, sterczącą samotnie w zaciszniejszem miejscu na górskiej polanie, świadczy o istnieniu lasu zniszczonego gwałtownych wichrów siłą, tak klasztor czerneński, dzięki sprzyjającym okolicznościom, jedynie ocalały z tak bujnie na ziemi polskiej krzewiącej się ongi winnicy Karmelu, stał się schroniskiem dla wyganianej braci zakonnej, spadkobiercą ich skarbów duchowych i stróżem ich wspomnień przeszłości.

Już przed trzema laty na podstawie materyału źródłowego, przechowywanego w klasztorze czerneńskim, publikowaliśmy z d-rem Konecznym w łamach *Przeglądu* „Sprawozdanie z archiwum Karmelitanek Bosych w Wilnie". Obecnie przystępujemy do zdania sprawy z okruchów źródłowych, pochodzących z klasztorów Karmelitów Bosych w Krakowie, i to konwentu nowicyatu Niepokalanego Poczęcia N. M. Panny i konwentu śś. Michała i Józefa, konwentu św. Józefa w Poznaniu, konwentu lubelskiego, klasztoru Karmelitanek Bosych w Warszawie i wreszcie nowicyatu OO. Jezuitów przy kościele św. Szczepana w Krakowie.

Najstarszym klasztorem Karmelitów Bosych w Polsce był, nie, jak twierdzi Louis (str. 31), klasztor pod wezwaniem śś. Michała i Józefa, lecz konwent nowicyatu od Niepokalanego Pocz. N. M. Panny, dzisiejszy szpital i kościół św. Łazarza. Ze źródeł tego klasztoru, przechowywanych w Czernej, przeglądałem trzy dokumenty i dwa woluminy rękopiśmienne. Dokumenty pochodzą z pierwszej połowy XVI. wieku. Są to oryginały na kartach pargaminowych spisane i dotyczą pewnych nieruchomości, wchodzących później w skład posiadłości klasztoru. Najstarszy z nich pochodzi z r. 1525. Jest to 11) przywilej Zygmunta I. dla szlachetnego Jana Bethmana, syna zmarłego Bethmana Sygfryda, mieszczanina krakowskiego, w którym temuż i jego sukcesorom pozwala z Prądnika brać wodę dla swej potrzeby i do sadzawek swych zaprowadzić rynnę nie szerszą i wyższą jednak nad

[1] Był Karmelitą Bosym w Berdyczowie, jak to wynika z kazania O. Marka. (Ob. „Biblioteka kaznodziejska", tom I, str. 663).

pół czwartej części łokcia i dwa palce. Poleca dalej król Seweryнowi Bonarowi, żupnikowi i burgrabiemu krakowskiemu, jeneralnemu prokuratorowi i jego następcom, by nie zakazywał w ten sposób używania wody Bethmanowi. Dan w Krakowie we wtorek przed św. Egidyuszem r. 1525[1]. Przywilej wydany przez ręce Krzysztofora Szydłowieckiego, wojewody i jeneralnego starosty i kanclerza królestwa, którego też podpis figuruje na lewej stronie karty. W środku na czerwono-zielonym sznurku jedwabnym przymocowana jest pieczęć królewska w czerwonym wosku wyciśnięta, przedstawiająca orła polskiego, otoczonego wiankiem jedenastu tarczy herbowych. Napis w otoku zniszczony i nieczytelny. Na drugiej stronie pargaminowej karty podana treść dokumentu.

12) Dokument drugi nosi datę 1538 *feria sexta post Dominicam conductus pasche*[2]. W nim przed ławnikami miasta Krakowa, pod przewodnictwem wójta Kaspra Cziskera, sławetny Mikołaj Jaskier, notaryusz miejski, pełnomocnik WP. Seweryna Bonera, kasztelana żarnowskiego, żupnika, burgrabiego, wielkiego prokuratora krakowskiego, oświęcimskiego, zatorskiego, i rabsztyńskiego starosty, zrzeka się imieniem tegoż gruntów, położonych w Prądniku między gruntami Katarzyny, żony doktora Piotra, i Magdaleny Fogelwerderowej z drugiej strony, do których gruntów miały pewne prawa dzieci Seweryna z pierwszej żony Zofii spłodzone, Stanisław i Zofia, na rzecz Elżbiety Bethmanowej, wdowy po Janie Bethmanie, wuju owych dzieci. — Ławnicy są w dokumencie wymienieni, a mianowicie: Piotr Czuppeck, Jan Wunsam, Erazm Schillingk, Andrzej Fogelwerder, Franciszek Boner, Jan Morstein, Henryk Pernas, Jerzy Schillingk, Jan Aichler, Wolfgang Glokniczer, Grzegórz Przybilo. Rezygnacya ta spisana została na karcie pargaminowej 35 cm długiej, 30 cm szerokiej, w języku łacińskim, jak wszystkie te dokumenta, pięknem pismem gotyckiem. W środku u dołu na skrawkach pargaminowych wisi wielka pieczęć woskowa, w dwóch trzecich częściach zniszczona. *A tergo* znajduje się napis: *Super praedio in*

[1] 29 sierpnia.
[2] 3 maja.

Prądnik Domine Elisabet Betmanowa lre (?) Resignationis 1538 ab heredibus Severini Boner.

13) Ostatnim wreszcie z dokumentów jest przywilej Zygmunta Augusta dla Stanisława Bonara z Balic, starosty bieckiego i czchowskiego, sekretarza królewskiego, w którym król ogród tegoż za kościołem św. Mikołaja przy Prądniku, dotykający wsi Grzegórzki naprzeciw młyna królewskiego, wyjmuje z pod juryzdykcyi miejskiej, a podaje takowy pod juryzdykcyę ziemską szlachecką. *Datum* w Warszawie na sejmie 2 stycznia r. 1557. Jako świadkowie wymienieni są na dokumencie: arcybiskup Mikołaj Dzirszowski, biskupi: Andrzej Zebrzydowski krakowski, Jan Drojewski kujawski, Andrzej Czarnkowski poznański, Hozyusz, Uchański; ze świeckich między innymi Jan Tarnowski, kasztelan krakowski, Stanisław Tenczyński i t. d. Na lewo umieszczony własnoręczny podpis króla, na prawo podpis podkanclerzego Jana Przerębskiego, dziekana i t. d., w środku u dołu znajduje się czerwono-biały sznurek jedwabny, pieczęć jednakże jest urwana.

Dwa kodeksy tego klasztoru, przejrzane przez nas[1], są do siebie podobne niezbyt grube kwartanty. Jeden z nich oprawny w białą skórę nosi tytuł: XIII. *Liber continens Fundationem, Contractus, Jura et Bona stabilia Conv. Crac. Noviciatus. Immac. Conc. B. V. Mariae Carm. Disc. pro archivo Provinciae secundum constitutiones nostras conscriptus Anno 1703.* Na pierwszych 18 stronicach spisana jest w języku łacińskim kronika klasztoru w 8-iu rozdziałach. Trzy pierwsze rozdziały zajmują się sprowadzeniem Karmelitów Bosych do Polski, dalsze cztery fundacyą pierwszego ich klasztoru w Krakowie r. 1605, ostatni wreszcie zawiera opis pierwotnych zabudowań klasztornych tegoż konwentu. Na 9-ciu dalszych stronicach mieści się rejestr aktów sądowych, odnoszących się do gruntów klasztornych, pod tytułem: *Summarium causarum circa fundus Conv. Noviciatus I. C. B. V. M. C. D.* Następnych 18 stronic poświęconych jest sprawie gruntów prądnickich, o które

[1] Jest ich kilka, że wspomnę tylko *Liber Bonorum C. N. Crac. I. C. B. M. V.*, spisany r. 1702 za przeora O. Cypryana od Jezusa Maryi, zawierający ciekawe szczegóły dla topografii miasta Krakowa.

Karmelici i ich dawniejsi posiadacze z opatem tynieckim musieli się prawować. Dlatego też ułożono w klasztorze dokładny spis aktów, dotyczących tych gruntów i procesu o nie, od r. 1252—1683, wykończony 31 października r. 1701. Na dwóch dalszych stronicach mamy sumaryusz przywilejów królewskich dla posiadłości konwentu od r. 1440—1693. Reszta stronic zawiera inwentarz sum zapisanych konwentowi i akta odnoszące się do tych zapisów. Końcowe kartki kodeksu są niezapisane.

XIV. Drugi kodeks, nieoprawny dzisiaj, jakkolwiek pozostały ślady tej oprawy, zawiera w pierwszej swej części tę samą treść co poprzedni, i jest zapewne jego pierwszą redakcyą. W drugiej połowie mieści się najpierw: *Ordo electionum Priorum et Subpriorum, qualiter poterant inveniri in actis Capituli conventualis,* spis przeorów i podprzeorzych od r. 1622—1700, a następnie rocznik klasztorny pod tytułem: *Ad notantur aliqui eventus ab irruptione Suecorum in Urbem facta.* Są to współczesne wypadkom zapiski, odnoszące się do wojny północnej, a rozpoczynają się z rokiem 1700. Ciekawe szczegóły z teatru wojny są tu poprzeplatane wiadomościami ściśle klasztornemi. Do r. 1715 rocznik ten jest bardzo obszerny i dokładny. W partyi tej dadzą się dwa charaktery pisma rozróżnić. Do roku 1710 sięgają zapiski pierwszego autora, do 1715 drugiego. Z tego roku pochodzi zapiska trzecią ręką zaciągnięta. Dalej następują obszerne zapiski po rok 1723 czwartego kontynuatora, zapewne w r. 1727 spisane, odnoszą się bowiem do zasług przeora Augustyna, który właśnie w maju tegoż roku ustąpił ze swego urzędu przeora. Dalsza część kroniki jest pisana w języku polskim. Pochodzi ona z r. 1780, gdyż pod tą datą zaciągnięta jest ostatnia wiadomość rocznika, dotycząca reparacyi murów koło ogrodu klasztornego. Autorem tej części jest przeor ówczesny konwentu O. Maciej, jak to potwierdzają jego własne słowa na końcu kroniki: *Haec notata sunt per Fr. Mathiam a S. Casimiro Priorem indignum huius Conventus.* O. Maciej, nawiązując do ostatniej zapiski z r. 1727 o O. Augustynie, opowiada jego dalsze losy, następnie zaś opisuje konfederacyę barską i pierwszy rozbiór Polski na 15 stronicach. Cenne te wiadomości, przez naocznego świadka podane,

dotychczas nieznane publiczności, zasługują, aby się niemi obszerniej w osobnem sprawozdaniu zająć, co też w przyszłości, da Bóg, uczynić nie omieszkamy.

Do najstarszych i najgłośniejszych klasztorów Karmelitów Bosych w Polsce należał konwent śś. Michała i Józefa, w r. 1610 ze składek zebranych przez O. Brzechwę przy pomocy Tęczyńskich i biskupa krakowskiego Jana Zadzika w Krakowie fundowany [1]. Klasztor ten był siedzibą prowincyała, tu też znajdowało się, wedle wzmianki umieszczonej w inwentarzu głównym czerneńskim [2], prowincyonalne archiwum Karmelitów Bosych. W początkach naszego wieku rząd austryacki klasztor ten skasował i na więzienie zamienił, które wraz z sądem karnym po dziś dzień się w pokarmelickim gmachu mieści; zakonników przesiedlono oczywiście na Czerną. Przy tej sposobności miało bogate archiwum prowincyonalne zaginąć [3]. Tem się też tłumaczy, że w klasztorze czerneńskim niewiele źródeł z klasztoru śś. Michała i Józefa się przechowało. Pokazywano mi parę kodeksów i jeden dokument, w którym-to tylko bliżej się rozpatrzyłem. Jest to 14) kopia urzędowa, z akt grodzkich krakowskich wyciągnięta, podpisana i pieczęcią zaopatrzona przez Mikołaja Zebrzydowskiego, wojewodę krakowskiego i śniatyńskiego starostę. Zawiera akt darowizny domu zwanego „Malowany dwór", na ulicy Kanonnej w Krakowie, uczynionej Karmelitom Bosym przed trybunalskiemi sądami w Lublinie przez Andrzeja, pana na Tenczynie, kasztelana wiślickiego i starostę horodelskiego. Akt darowizny spisany został w łacińskim języku r. 1610 w poniedziałek przed św. Egidyuszem [4] w Krakowie, kopię zaś z grodu wydano w sobotę przed św. Łukaszem [5] tegoż roku. Pod tekstem na lewo znajduje się podpis Mikołaja Zebrzydowskiego, na prawo: *ex actis castr. Crac. extractum et per Johannem Gorazdowski correctum*,

[1] Louis str. 31.

[2] Ob. wyżej nr. VI.

[3] Chełmecki, „O kościele św. Michała niegdyś Karmelitów Bosych w Krakowie", str. 31, przypisek. Kraków 1860.

[4] 30 sierpnia.

[5] 16 października.

i podpis: *Melchior Michałowski de Michałów notarius castr. Cracov.* W środku karty u dołu przywieszona pieczęć grodu krakowskiego na biało-złotym sznurku jedwabnym. *A tergo* jak zwykle podana treść dokumentu. Że należał do konwentu śś. Michała i Józefa, potwierdza ta okoliczność, iż właśnie na miejscu „Malowanego dworu“ wzniósł się niebawem klasztor i kościół Karmelitów pod wezwaniem tych Świętych.

Z konwentu Karmelitów Bosych w Poznaniu pod wezwaniem św. Józefa, znajdującego się przy placu Działowym, skasowanego przez rząd pruski i zamienionego obecnie na koszary i kościół garnizonowy protestancki, przechowuje archiwum czerneńskie jedno brewe papieskie i obszerną kronikę tegoż konwentu.

15) Karta pargaminowa, około 40 cm długa, a 18 cm szeroka, zawiera brewe Piusa VII., nadające odpust zupełny tym, którzyby w dzień Zaduszny i oktawę po nim odwiedzili kościół św. Józefa K. B. w Poznaniu i na intencyę Kościoła się pobożnie modlili. Datum w Rzymie *apud st. Mariam Majorem* 31 lipca 1791 roku, pontyfikatu szesnastym. Po lewej stronie karty znajduje się licencya publikowania odpustu, dana przez Józefa Glaubicza z Rokosowa Rokosowskiego, kanonika katedry gnieźnieńskiej, archidyakona śremskiego, wikaryusza *in spiritualibus* i oficyała poznańskiego, rycerza orderu św. Stanisława.

XV. Kronika konwentu poznańskiego, fundowanego r. 1618 przez Katarzynę z Leszczyńskich małżonkę Adama Sędziwoja z Czarnkowa, jeneralnego starosty wielkopolskiego i wojewody łęczyckiego, mieści się w sporym woluminie *in quarto* w skórę oprawnym. Kronika obejmuje 246 stron. Mieści zaś zapiski współczesne, prowadzone od roku fundacyi po rok 1758 miesiąc maj na str. 342-giej, poczem się urywa. Jedna stronica pozostała próżna; następują dalej dwie kartki zapisane następującą uwagą na czele: *Per plurimos annos in hoc libro nil est annotatum, quamvis plurima notatu digna occurrerunt, sequentia autem libuit connotare, et si tempus et opportunitas suppetent de cetero aliqua supplebunt.* Ostatnie te zapiski nie są opatrzone datą. Ponieważ jednak wspominają o kasacie zakonu Jezuitów, nadto o liście jeneralnego

prowikaryusza misyj malabarskich z r. 1773, pochodzą z ostatnich lat dziesiątek XVIII. wieku. Co do treści kroniki, to jakkolwiek w pierwszej linii odnosi się ona do klasztoru i spraw zakonnych, jednak znajdują się tam szczegóły i dla historyi kraju i miasta Poznania nieobojętne. Dokładniejsze atoli sprawozdania krytyczne z kroniki poznańskiej musimy, kończąc słowy kronikarza, *si tempus et opportunitas suppetent*, zachować sobie na przyszłość.

Z konwentu lubelskiego Karmelitów Bosych[1] znaleźliśmy w archiwum czerneńskiem: *a)* kopię indultu papieskiego, *b)* protokół dyspyty religijnej i *c)* kodeks rękopiśmienny. Co do kopii, jest ona 16) urzędową kopią indultu papieża Grzegorza XV., datowanego z 1621 r. 21 października, dla wszystkich Karmelitów Bosych, iż Msza przez nich odprawiona za duszę zmarłego ma mieć moc uwalniającą od kar czyścowych. Kopię tę sporządził w 1624 r. 7 marca w Lublinie Jerzy Wolski, *dioecesis Crac. sacra et apostolica autoritate notarius publicus*. Pod aktem znajdują się podpisy świadków obecnych przy weryfikacyi kopii. Z pieczęci na papierze wyciśniętej pozostały tylko ślady. Mały zeszyt *in quarto* z 10-ciu kartek złożony zawiera 17) protokół urzędowy, po łacinie spisany, dysputy religijnej między Karmelitami Bosymi, a dyssydentem Janem Statoryuszem, odbytej w Lublinie r. 1634 wobec licznej publiczności *de connaturali divinitate Filii Dei*. Na końcu protokółu na 7-mej kartce znajduje się urzędowe potwierdzenie protokółu temi słowy: *Ego Nicolaus Żurawski notarius quondam civitatis Lublinensis juratus advocatialis ad hunc actum specialiter rogatus, testor ita fuisse disputatum me praesente, sicut scriptum est. In quorum praemissorum majorem fidem manu mea subscripsi et sigillo proprio comunivi praesentes.* Poniżej tych słów wyciśnięta jest pieczęć. Na dalszych stronicach tego fascykułu przyłożyli swe pieczęcie i podpisali się obecni przy dyspucie świadkowie: *Johannes comes ab Ostroróg, palat. Posnaniensis,*

[1] Fundowany za zezwoleniem Piotra Iżyckiego, biskupa krakowskiego, r. 1610 przez Jana Mikołaja Daniłowicza i mieszczan lubelskich tuż przy bramie krakowskiej, spalony r. 1803 i przebudowany obecnie na gmach magistracki. (Zieliński, „Monografia Lublina“, tom I. Lublin 1878, str. 84 i 176).

Nicolaus Firlej in Dambrowica, castel. Biecensis, captaneus Lublinensis, Joannes Nowodworski a Nowidwor succamerarius Ravensis (?); Nicolaus Potocki de Potok palatinides Braclaviensis, Joann. Ernin Wolski deput. palatinatus Ravensis, Johannes a Conopat., Adam Leśniowolski Cap....., (Da)niel Domaracki, abbas Pardis., Albertus Sydlowskij, custos eccl. cath. Cracov., canonicus Vladisl. ptus Radlowensis, secretarius S. R. Majestatis, Paulus Garliński, canon. Crac. Wladislaviens. protonotarius St. Sed. Aplicae, Secret. S. Reg. M. ect.

Co do XVI. kodeksu rękopiśmiennego wreszcie, jest to wolumen *in quarto,* w skórę oprawny. Na pierwszej stronicy czytamy następujący napis: *Originale ac Labor V. P. N. Andreae a Jesu in saeculo vocati Brzychwa, Primi Provinciae nostrae Polonae S. Spiritus Carmelitae Discalceati Poloni, quod a Patribus nostris senioribus habui; hoc depono ad arcam huius s. deserti S. P. N. Eliae pro memoria ac veneracione istius V. Patris Nostri Die 16 Aprilis 1751. F. Gregorius a Pia Sent. B. V. Mariae Disc. protunc Prior hujus s. Deserti indignus.* Zawiera kodeks ten w języku łacińskim opis różnych relikwij, w klasztorze lubelskim Karmelitów Bosych przechowywanych. Relikwie te w przeważnej części z Belgii przez Karmelitę O. Peregrina do Polski 1618 r. 13 sierpnia przywiezione, z polecenia O. Macieja, pierwszego prowincyała Karmelitów Bosych w Polsce, przeznaczone zostały dla klasztoru lubelskiego, aby tam w ognisku aryanizmu i protestantyzmu od napływającej na trybunały szlachty większej czci doznawały. Autor opisuje dokładnie te relikwie, podaje skąd pochodziły, jakie miały świadectwa autentyczności, przytacza legendy odnoszące się do nich. Księgę spisał z polecenia przełożonych w r. 1622 w Poznaniu O. Andrzej a Jesu, dawniej Brzechwa, pierwszy Polak w zakonie Karmelitów Bosych, za którego staraniem, jakeśmy to widzieli, stanęły pierwsze karmelickie klasztory. Kończąc, poleca świątobliwy Brzechwa na przyszłość lubelskim zakonnikom cześć tych relikwij, dodając: „O mnie także ubogim pisarzu, który księgę tę z posłuszeństwa jakkolwiekbądź skleiłem, proszę, w waszych modłach nie zapominajcie“.

Z klasztoru Karmelitanek Bosych w Warszawie pochodzi oryginał czyli też 18) kopia listu króla Jana Kazimierza, „do

Wielebnej w Bogu przeoryszy zakonu Karmelitańskiego w konwencie warszawskim". W liście tym dziękuje król „za przysłany mu podczas choroby ciężkiej nabożny prezent, czapeczkę y bindalik Wielebnej y Świątobliwej sługi Boży Przełożonej miejsca tego, to jest W. Matki Teresy od Pana Jezusa i odsyła go godny rozumiejąc pilnego chowania, któremu przy łasce Boży odzyskane przyznawa zdrowie". W końcu „poleca tej świątobliwej zakonnicy przyczynie siebie i całe królestwo". „Dan w Wyszkowie[1] dnia 18 września r. 1652 panowania naszego Królestwa Polskiego IV. a szweckiego V. roku". Kopia ta spisana na poczerniałej od starości ćwiartce papieru, pozlepianej płótnem na tylnej stronie. Na lewo u góry znajduje się adres cytowany; poniżej kopia listu, pod nią wyrazy nieczytelne. List ten lub kopię tegoż dlatego tak starannie w klasztorze przechowywano, że zakon, jak się zdaje, czynił lub zamierzał czynić zabiegi około beatyfikacyi zmarłej *in odore sanctitatis* Karmelitanki. Treść listu nadto, jakkolwiek całkiem prywatnej natury i drobnostkowa, rzuca pewne światło na charakter tego króla, o którym w historyi dziś panują najsprzeczniejsze sądy.

W jaki sposób dostał się dokument nowicyatu OO. Jezuitów przy kościele św. Szczepana na Czerną, nie umiemy powiedzieć. Czy może za pośrednictwem Karmelitów na Piasku, do których kościoła przeniesiono parafię zburzonej świątyni św. Szczepana? Jest to 19) oryginalny dokument, na karcie pargaminowej spisany, wydany przez Piotra Myszkowskiego, biskupa krakowskiego, datowany w Krakowie dnia 14 czerwca r. 1585. W nim Szymon Bylnia Wolski, kanonik sandecki, altarzysta kapliczki śś. Mateusza i Macieja w Krakowie, na cmentarzu św. Szczepana, odstępuje OO. Jezuitom *domum probationis ad st. Stephanum habentibus* tęż kapliczkę, z zastrzeżeniem jednakże, że po przeniesieniu ołtarza śś. Mateusza i Macieja do kościoła św. Szczepana będzie on i jego następcy pobierał dochody do tegoż ołtarza przywiązane. Na co biskup Myszkowski się godząc, przenosi altaryę wspomnianą do ołtarza Przenajświętszego Sakra-

[1] Gub. płocka.

mentu z wszystkiemi obowiązkami i dochodami. Działo się to w obecności kanoników Marcina i Stanisława Skarszewskich, Krzysztofora Karsznickiego, Andrzeja Cieklińskiego, kanoników krakowskich, wobec Zygmunta i Piotra Myszkowskich, Alberta Strzemeskiego, Sebastyana Łaczkiego. Na lewo pod tekstem znajduje się podpis własnoręczny biskupa; pieczęci dziś niema, cztery dziurki jednakże na dole karty pargaminowej świadczą o jej niegdyś istnieniu.

Z jakiego klasztoru wreszcie pochodzi oryginalny dokument z r. 1534, spisany na karcie pargaminowej około 25 cm długiej i tyleż szerokiej i opatrzonej dwiema pieczęciami, nie mogliśmy dociec. Charakter pisma jest pobieżny i nieczytelny, nagłówek zaś, jak zwykle *a tergo* podany, jest po części zatarty. Jest to 20) akt rezygnacyi Elżbiety Potencyany Sieniewskiej, zakonnicy z klasztoru PP. Augustyanek na Stradomiu, zrzekającej się dóbr Woli Glińskiej [1] pod Grolewkiem i udziału we wsi Przegorzały, sprzedanych przez Wiktoryna z Sienna, kasztelana małogoskiego, dziedzica Gruszyna [2], W. Justowi Ludwikowi Decyuszowi w r. 1528 w poniedziałek po niedzieli *Reminiscere* [3]. Akt ten rezygnacyi miał miejsce w Krakowie r. 1534 w piątek po niedzieli *Reminiscere* [4], a potwierdzony został przez sędziego Mikołaja Taszyckiego i Jana Słabosza, podsędka krakowskiego. Pieczęci sędziego i podsędka ze zwykłego wosku są przymocowane na pargaminowych paskach i zachowały się w całości. Ze wsi Przegorzały, wymienionej w dokumencie, a leżącej tuż pod Krakowem, możnaby wnioskować, iż dokument pochodzi z jednego z klasztorów krakowskich Karmelitów Bosych. Ponieważ w regestach dokumentów nowicyatu karmelickiego w Krakowie o dokumencie tym niema wzmianki, należałoby go odnieść do klasztoru śś. Michała i Józefa. Są to jednak przypuszczenia na bardzo kruchych opierające się podstawach, dlatego powstrzymaliśmy się od przydzielenia go któremukolwiek

[1] Czy w powiecie mieleckim w Galicyi?
[2] Gruszczyn, wieś w powiecie włoszczowskim, woj. sandomierskiem.
[3] 9 marca.
[4] 6 marca.

klasztorowi; nawet czy należał do Karmelitów Bosych wogóle, nie śmiemy orzec, jakkolwiek przypuszczenie to ma wiele prawdopodobieństwa za sobą.

Ile materyału źródłowego wogóle w klasztorze czerneńskim się jeszcze znajduje, nie umiemy powiedzieć. W każdym razie już źródła przez nas przejrzane dostarczyłyby dostatecznego i niepośledniego materyału, czy to do *Acta historica res gestas Poloniae illustrantia*, czy to do *Scriptores rerum Polonicarum*. Wprawdzie na razie o systematycznem wydawnictwie „Monumentów wieku XVII.“ niema mowy, gdy jednakże na nie kolej przyjdzie, *Archivum Czernense* wśród innych publikacyj niepośledne zajmie miejsce. Nie mogliśmy wprawdzie stwierdzić, czy archiwum czerneńskie przechowało się w komplecie, to jednak skonstatowaliśmy, iż nosi na sobie dawne ślady zaniedbania i opuszczenia. — Oderwane lub połamane pieczęci, luźne kartki wyrwane z jakichś nieznanych nam kodeksów, to znowu luki w przeglądanych foliantach, brak pojedyńczych tomów w księgach np. gospodarskich, są wymownem świadectwem burz i wstrząśnień, jakie i cichą pustelnię w ustroniu czerneńskiem nie ominęły. Katastrofa polityczna narodu wraz z zamieszkami stąd wynikłemi przy końcu zeszłego i na początku obecnego wieku, przeobrażenie zupełne wszystkich stosunków, oddziałały szkodliwie, jak na tyle innych instytucyj naszych kościelnych czy świeckich, tak i na fundacyę Agnieszki Firlejowej. Erem czerneński, przeznaczony pierwotnie tylko dla tych zakonników obojga prowincyj Karmelitów Bosych w Polsce, którzy czasowo w pustelniczem odosobnieniu jeszcze bardziej wewnętrzne, jeszcze więcej umartwione chcieli prowadzić życie — ze zniesieniem karmelickich klasztorów jako pustelnia stracił racyę bytu: przeobrażony zatem na zwyczajny klasztor, stał się jedynym przytułkiem dla wygnanej z ojczyzny naszej rodziny Karmelu. Osamotniony na ziemi polskiej klasztor, odosobniony od swej zwierzchności, rezydującej w Rzymie, pozostawiony sam sobie, wiele ucierpiał pod względem karności klasztornej i ducha zakonnego, a stan ten smutny przetrwał aż po rok 1875. Wobec tego doprawdy dziwić

się tylko można, iż archiwum w nie gorszym znajduje się stanie, i że w przeważnej części ocalało.

Odkąd jednak klasztor, tuląc się pod opiekę sąsiedniej prowincyi austryacko-węgierskiej św. Leopolda, zaczerpnął stąd ożywczego ducha, nowa dlań era zawitała. W ciągu kilkunastu lat na każdym kroku daje on dowody reorganizacyjnej pracy, czy to w odrestaurowaniu klasztoru i zabudowań klasztornych, czy to w podniesieniu gospodarstwa, czy to we wzorowem uporządkowaniu biblioteki klasztornej. Dziś klasztor stał się znów jak dawnemi czasy szafarzem łask bożych dla coraz liczniej i tłumniej z dalekich stron przybywających tu wiernych, a założywszy przed rokiem nowicyat i filię swą w Wadowicach dla kształcenia młodzieży polskiej w duchu i tradycyach zakonu, daje tem samem najwymowniejszy dowód życia i rozwoju. To też obecnie i zabytki przeszłości i archiwum klasztorne, nietylko otoczone są najtroskliwszą opieką, lecz i nowemi bywają zasilane nabytkami. Naśladując zaś światły przykład Jego Świątobliwości Leona XIII., otwierającego swe watykańskie zbiory dla nauki, przełożeni obecni nie zamykają przed badaczami źródeł klasztornych, ułatwiając i umożliwiając tem samem w swoim zakresie swemi pomnikami wszechstronne wyświetlenie prawdy dziejowej.

Dr. K. Krotoski.

DODATEK.

Ze względu na ważność inwentarza archiwum klasztornego z pierwszego dziesiątka lat XVIII. wieku, przechowywanego w skrzyni „o dwóch kluczach", podajemy katalog ten w całości, zaznaczając przytem tłustym drukiem te numera, któreśmy mieli w ręku i przeglądali.

Inventarium arcae duarum clavium.

1. Privilegia Fratrum Disc. B. Mariae V. de monte Carm. Liber in 4o in pergamine albo.
2. Erectio Fundationis hujus st. Eremi, script. 4o.
3. Liber Visitationum generalium.
4. Liber Visitationum provincialium.
5. Liber antiquus censuum et proventuum perennium 4o.
6. Constitutiones Regni in folio Anni 1679.

7. Ordinationes Visitatorum generalium et Capituli general. et Deffinitorii general. et provincialis in folio.
8. Inventarium general. Fundationis et Liber acceptorum et expensorum ab initio fundationis in 4o.
9. Biblia sacra typo antiquo impressa in 4o.
10. Instructiones in octavo.
11. Instructiones st. Eremi.
12. Ordinarium nostrum.
13. Inventarium Sacristiae st. Eremi.
14. Libellus in duodecimo propria manu scriptus Venerabilis Patri(s) nostri Ioannis a Jesu Maria.
15. Venditio Medietatis Sielca Felici Czerski a Ioanne Barzy cum sigillis.
16. Medietatis Sielca Donatio Czerskiemu a Barzy (cum duobus sigillis).
17. Venditio Bonorum Siedlec pro 350 aureis 1511.
18. Libelli sive historia st. Ignatii.
19. Przywilej J. K. M. Jana Kazimierza na uwolnienie kamieniarzów w Dembniku od cechowych Mistrzów.
20. Przywilej J. K. M. Jana Trzeciego na tychże kamieniarzów na uwolnienie od Mistrzów cechowych.
21. Ordynacye sparsim zwinione.
22. Manuscripta in 4o cujusdam.
23. Manuscriptum Venerabilis Patris nostri Iohannis a Jesu Maria servandum in arca nec extrahendum sub poena excommunicationis ut obligavit praecepto Vnble Definitorium generale.

Nadmieniamy, iż przy ostatnim krótkim pobycie naszym na Czernej w sierpniu r. z. pokazano nam księgę protokółów inwentarskich, spisywanych co trzy lata przy obejmowaniu urzędu przez każdorazowego przeora, a zawierających dokładny spis między innemi przedmiotów i rękopisów, złożonych w arce o dwu kluczach. Inwentarz zatem archiwum klasztornego ustawicznie się w tych protokółach powtarza. Bawiąc zaledwie parę godzin, nie mogliśmy w cennem tem źródle bliżej się rozpatrzeć. Zwracamy jednak uwagę, iż najważniejsze kodeksy przez nas przeglądane, pochodzące z XVII. w., nie znajdują się w podanym spisie inwentarskim, że zatem około r. 1705 nie przechowywano ich w arce o dwóch kluczach, lecz zapewne w celach przeora lub podprzeorzego. (Ob. nr. I.—V.).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Studya historyczno-krytyczne. *Szymon Askenazy.* Kraków. Nakład G. Gebethnera i Spółki. 1894.

Na książkę tę złożyły się studya umieszczane od kilku lat w czasopismach warszawskich. Pierwsze, pisane w r. 1885, w setną rocznicę śmierci Mably'ego, nie jest właściwie studyum, lecz wspomnieniem tylko o sławnym kiedyś, a teraz zapomnianym autorze „Prawa publicznego Europy". Mably, urodzony w Delfinacie, wzięty w opiekę przez panią de Tencin, matkę d'Alemberta, zostaje sekretarzem kardynała de Tencin, zrzeka się jednak wkrótce karyery dyplomatycznej, nie przyjmuje ofiarowanego sobie miejsca nauczyciela Ludwika XVI., usuwa się w spokojne życie prywatne (1746). Mably różni się od współczesnych pisarzy brakiem wykwintnego stylu, i tem, że oddaje się jedynie sprawom społecznym i politycznym. Do roku 1746 pozostaje pod wpływem Monteskiusza, od tego czasu następuje przełom w jego zapatrywaniach. Na całokształt przekonań Mably'ego złożyły się: „optymistyczny pogląd na świat starożytny, pesymistyczny na świat spółczesny".

Początkowe prace: „Uwagi o Grekach" (1749), „O Rzymianach", słabe.

W „Prawie publicznem Europy" (1748—1764) daje Mably obraz polityki państw europejskich od r. 1648—1763. Doczekało się ono słusznie wielkiego uznania.

W „Zasadach negocyacyi" (1757) domaga się wprowadzenia do

polityki pierwiastku etycznego, i to ze względów nie jakichś moralno-religijnych, lecz utylitarystycznych.

W „Prawach i obowiązkach obywatela“ stanowi przeznaczeniem państwa szczęście obywateli, jeżeli tego celu nie osiąga, może być obalone: występuje tu również przeciw wszelkiej władzy dziedzicznej.

W „Rozmowach Focyona“ (1763), tłumaczonych na polskie przez ks. Chróścikowskiego (1770), spostrzegamy dążenia komunistyczne, powstawanie przeciw własności, chociaż wspólność dóbr, o której marzy, wydaje mu się fantazyą, szaleństwem.

W „Powątpiewaniach, ofiarowanych ekonomistom“ (1768), występuje stanowczo przeciw własności ziemskiej, uznając tylko „osobistą“, tj. prawo rozporządzania swoją osobą.

W r. 1770, po pobycie na Wołyniu u Michała Wielhorskiego i z jego podniety pisze „O rządzie i prawach polskich“, w następnym roku dodaje do nich objaśnienia: w druku ukazały się dopiero w r. 1781 w Londynie. Streszcza tu p. Askenazy bardzo krótko rady Mably'ego: żałować wypada, że się nad niemi dłużej nie zatrzymał, nie wskazał podobieństwa między niemi a żądaniami Staszyca, Kołłątaja i innych. Następna poświęcona Polsce książka, „Położenie Polski“, wątpi o jej ocaleniu.

W r. 1776 wydaje: „O prawodawstwie, czyli zasadach praw“. Prawa, któremi się społeczeństwa winny rządzić, są stałe, oparte na duchowych, wspólnych wszystkim ludziom własnościach. Te własności powinien prawodawca badać. Pierwotne instynkta społeczne wyrodziły się z powodu nierówności między ludźmi, nierówność zaś powstała skutkiem własności osobistej. Pierwotnego jednak ustroju idealnego z własnością wspólną przywrócić się nie da, ale da się ograniczyć chciwość i ambicya, które z posiadania osobistego wynikają.

Państwo powinno przedewszystkiem ograniczyć chciwość własną, zmniejszyć podatki, — za to urzędnicy bezpłatni — ustanowić prawa przeciw zbytkom, agraryjne, ograniczające *maximum* ziemi posiadanej, spadkowe. Toby zapobiegło chciwości. Przeciw ambicyi środki następujące: zrzeczenie się zdobyczy terytoryalnych, ustanowienie większej ilości urzędów, ale o mniejszej kompetencyi i o krótkiem trwaniu — urzędów obieralnych w jawnem głosowaniu. Powinna być jedna izba poselska. Religię uważa za podporę władzy, ateiści i deiści powinni być karani, również jak wszyscy sekciarze religijni. Książkę tę przetłumaczył na polskie W. Skrzetuski (1783).

Jako historyk pisze Mably „Uwagi nad dziejami Francyi“ (1765):

obejmują one historyę Francyi od najdawniejszych czasów aż do rządów Ludwika XIV.

Wydane w r. 1778 „O studyowaniu historyi“ uważa historyę za szkołę moralności i polityki. O Polsce wyraża się ostro, przepowiadając jej upadek, zachwyca się mylnie ustrojem Szwecyi przed Gustawem III.

„Wspomnienie“ to o Mably'm, dla samej swej krótkości, „studyum“ nazwanem być nie może; jest to artykuł okolicznościowy, napisany ze znajomością rzeczy, raczej jednak dla szerokiej publiczności, niż dla ograniczonego koła uczonych, którzy nic nowego z niego się nie dowiedzą.

Po Mably'm następuje rozprawa p. t.: „Polityka Encyklopedystów“. Poczyna autor od dwóch broszur Roussa: „O naukach i sztukach“ i „O nierówności“, twierdząc, że były napisane z namowy Diderota i że nie należy ich łączyć, jak to robią Villemain, Hettner, Mohl, Janet, z następnemi utworami, bo w ten sposób paczy się ducha jego pism politycznych. Rousseau cofa się w następnych pismach ze stanowiska zbyt krańcowego a niczem nieuzasadnionego, jakie zajął w tych dwóch pierwszych rozprawach. Mówiąc o „Umowie społecznej“, zaznacza p. Askenazy, że nie stanowiła ona części obszerniejszej całości, jak zapewnia Rousseau w *Confess.* l. X. Tłumaczy dalej i streszcza „Umowę“, wykazując jej wpływ na ustawodawstwo rewolucyjne, ocenia i sądzi ją.

Po „Umowie“ zwraca się autor do „Uwag o rządzie polskim“, pisanych w r. 1772, tłumaczonych na polskie przez Karpa (1789). Rousseau nie przygotował się należycie (nie tak jak Mably) do zadania, jakiego się podjął, i skutkiem tego nie mogły mieć jego „Uwagi“ ani naukowej ani praktycznej wartości; ważne są jednak skutkiem podniesienia idei narodowości, której zachowania żąda w odzieży, zwyczajach, wychowaniu. „W dwudziestym roku życia każdy Polak ma być nie człowiekiem w ogólności, lecz właśnie Polakiem“.

Pan Askenazy zastanawia się szczegółowo nad tą broszurą, wykazując jej wpływ na uchwały Sejmu Czteroletniego, ukazując jej związek z „Umową“, podnosząc zawartą w „Uwagach“ obronę stanu włościańskiego i mieszczańskiego.

Drugim tutaj omawianym encyklopedystą, jest Dyonizy Diderot, właściwy twórca encyklopedyi; z niej też przedewszystkiem czerpać należy wiadomości o przekonaniach politycznych autora „Synowca Rameau“.

Według Diderota, władza państwowa ma swój początek albo w przemocy, albo w umowie; w pierwszym razie jest despotyczną i złą, w drugim, bez względu na swą formę, prawidłową i dobrą. Rząd nie jest sługą narodu (Rousseau), lecz jednym kontrahentem — drugim jest naród. Diderot jest przeciwnikiem dziedziczności tronu. Co do głosowania, odmiennie od Roussa, sądzi, że „znaczenie głosów winno wzrastać w prostym stosunku do posiadanej własności, bo własność czyni obywatelem".

Wogóle przekonania polityczne Diderota środkują między poglądami Monteskiusza i Roussa. Państwo ma prawo znoszenia stowarzyszeń, fundacyj, na co się w r. 1789 powołują w konstytuancie. Diderot, ateista, oświadcza się za zupełną wolnością religijną, rozwodami (uwzględnione przez prawa z lat 1792—1794).

Poglądy polityczne Helwecyusza oparte są na gruncie psychologicznym. Z interesu powstaje ugoda społeczna, ustanawiająca własność. Monarchę uważa za pełnomocnika narodu. Żąda wolności bezwzględnej prasy, ograniczenia obszaru własności ziemskiej, zniesienia pieniędzy a przynajmniej zaprowadzenia monety żelaznej i t. d. Helwecyusz waha się między wiarą a deizmem, żąda konfiskaty fundacyj kościelnych, ale na rzecz ubogich, nie państwa.

W następnym ustępie mamy przedstawione bardzo zwięźle filozoficzne zapatrywania autora *Système de la nature*. Człowiekiem rządzi fatalizm, jednak nie znosi on poczytalności. Moralność, według przekonania Holbacha, jest tylko rachunkiem. Zły człowiek, to zły rachmistrz, „i jeżeli go w końcu powieszą, będzie to jeno sprostowaniem jego błędnego rachunku, w którym zapomniał uwzględnić szubienicę". Moralność jest tylko jedna, bo natura ludzi jest ta sama.

Człowiek zawiera na wyższym stopniu oświaty ugodę społeczną; jeżeli z niej niezadowolony, wolno mu państwo opuścić. Nierówność i własność musi i powinna istnieć w państwie. Rządów złych nie należy usuwać gwałtownie, lecz powolnie poprawiać reformami. Naród ma władzę karania swych monarchów i t. d. Różni się Holbach od współczesnych tem, że nie idealizuje Greków i Rzymian. Jest on ateistą „bardziej dogmatycznym od Diderota". Kult „Rozumu", to skutek jego wpływu.

Condorcet, ostatni z encyklopedystów, zostawał pod wpływem Turgota. W wydanych w r. 1781 „Rozmyślaniach o niewolnictwie" żąda zniesienia niewolnictwa bez indemnizacyi. Podstawą jego poglądów są studya matematyczne. Do wybuchu rewolucyi jest umiarko-

wany, potem żąda pozbawienia króla prawa zakładania *veto*, pragnie jednej izby, peryodycznej rewizyi konstytucyi, praw politycznych dla kobiet i t. d. Szlachetny — staje w obronie mniejszości przeciw liczebnej większości głosów, broni emigrantów. Razem z Żyrodystami układa niedoszły do skutku projekt konstytucyi republikańskiej. Condorcet jest stanowczym przeciwnikiem kary śmierci — głosuje przeciw ścięciu króla. Co do religii, jest zupełnym sceptykiem.

W rozdziale o Encyklopedystach mamy bardzo zwięźle i bardzo krótko zebrane to, o czem wielu spisało tomy. Każdy z omawianych tutaj pisarzów posiada liczną literaturę, o nim traktującą, a rozdział ten wygląda, jak gdyby zapiski i notatki z tej literatury; wśród nich spotykamy tu i ówdzie oryginalne, drobne zresztą uwagi p. Askenazego. „Z korespondencyi pruskiej“ jest sprawozdaniem wydanych przez ces. Towarzystwo histor. w Petersburgu relacyj posła pruskiego hr. Solmsa i odpowiedzi na nie królewskich; obejmują one lata 1763—1774. Sprawozdawca zwraca uwagę na sprawę małżeństwa Katarzyny, na elekcyę Stanisława Augusta, przeszkody, na jakie natrafiała np. ze strony Turcyi i t. d.

„Z korespondencyi rodzinnej“ jest to wzmianka i uwagi, jakie się autorowi nasunęły z powodu wydanych „Listów ks. Izabelli Czartoryskiej do starszego syna Adama“. Spotykamy się tu z niezbyt pochlebnym wizerunkiem ks. Izabelli w jej młodszych latach.

„Paryż przed stu laty“ jest niedokładnym, trochę zagmatwanym obrazem tego miasta, jego salonów, klubów, teatrów i t. d.

Na podstawie pamiętników i korespondencyj daje p. Askenazy studyum: „Talleyranda początki“.

Dzieciństwo Talleyranda smutne, pełne chłodu i oschłości; obojętność okazywana mu przez rodziców „zmroziła mu i wysuszyła duszę na zawsze“. W czwartym roku życia wywichnął nogę, dlatego przeznaczony z „racyi rodu“ do stanu duchownego, do którego nie czuł najmniejszego powołania. Jako opat w Reims, kocha się gorąco i szczerze w księżniczce Montmorency, stara się o uwolnienie od ślubów duchownych i powiada, że gdyby nie rewolucya, starania jego byłyby uwieńczone szczęśliwym skutkiem. Nielubiany od dworu, szczególnie od Maryi Antoniny, wiąże się z Orleanami, pomaga im — ostrożnie — w knowaniach przeciw panującej rodzinie. Zostawszy biskupem, gromadzi w swym domu dużo ludzi, między nimi Polaków, gra na giełdzie, wiąże się z Mirabeau i sprawia, że rząd wysyła Mirabeau do Berlina z misyą dyplomatyczną. Talleyrand daje mu instrukcye, od-

bierа od niego depesze i przedkłada królowi: to pierwsza robota dyplomatyczna Talleyranda. Następnie skandaliczna historya zerwania stosunków między nim a Mirabeau. W Stanach generalnych bierze udział jako deputat duchowieństwa swojej dyecezyi. Początkowo postępowanie jego chwiejne, sprzyja więcej dworowi, już jednak z końcem czerwca 1789 r. łączy się ze stanem trzecim i wybrany jest do komisyi ustawodawczej. Następnie ratuje budżet państwa wnioskiem przyjętym 2 listopada 1789 r. o zaborze dóbr duchownych, daje ich dokładny spis i projekt ich uruchomienia. Za to w r. 1790 obrany prezydującym w konstytuancie; wyświęca później kapłanów konstytucyjnych, za co ulega ekskomunice: „podaje się o dymisyę biskupstwa". Po rozwiązaniu konstytuanty jedzie jako ambasador do Londynu, tam stosunki jego bardzo przykre. Po drugi raz wyprawiony do Londynu przez Dumouriera, po trzeci raz przez Dantona. Umieszczony na liście proskrypcyjnej, siedzi w Londynie bez funduszów i zajęcia, w pogardzie u emigrantów. W r. 1794 wydalony z Anglii wyjeżdża do Ameryki, w r. 1796 postarał się, że mu pozwolono wrócić do Francyi.

Rozprawa o Talleyrandzie jest właściwie sprawozdaniem tylko, bardzo sumiennem i należycie opracowanem z pamiętników tego sławnego człowieka. Nie robimy z tego zarzutu p. Askenazemu, bo pisał tylko „o początkach Talleyranda", ale kiedy tu i ówdzie wdawał się w charakterystykę biskupa z Autun, to należało podnieść jeden przymiot, jedną cnotę, jaką zdaniem naszem przyznać mu należy; to jest przywiązanie prawdziwe do swej ojczyzny; jest to zdaje się jedyna dodatnia strona w charakterze „księcia Benewentu".

Bardzo zajmującym jest artykuł o Carlyle'u, napisany dla sprostowania o nim sądów, jakie się pokazały w czasopismach polskich z powodu tłumaczenia „Bohaterów". „Carlyle'a nigdy w Anglii nie sławiono, jako uczonego, jako historyka lub działacza społecznego. Unoszono się nad nim jako poetą i wieszczem". W Europie zawdzięcza swą sławę Niemcom, a to za to, że chwalił ich literaturę i politykę pruską.

P. Askenazemu nie wydaje się Carlyle „ani zbyt imponującym, ani miłym, ani nawet ciekawym". Zajmuje się nim tylko jako historykiem i politykiem. Zdaniem p. Askenazego jest Carlyle nieszczerym, napuszonym moralistą, każącym na trzy tematа: „hipokryzyi ludzkiej, braku poświęcenia, braku posłuszeństwa i pokory dla zesłanych przez opatrzność bohaterów". Prawdziwy charakter Carlyle'a odsłonił się po wydaniu jego wspomnień i listów jego żony. Widać z nich, jak

Carlyle był złym, brutalnym mężem i nielepszym przyjacielem dla J. St. Milla (z którego pomocą napisał „Dzieje Rewolucyi francuskiej“, „Kromwella“), dla de Qincey'a, od którego wziął popęd do pisania o literaturze niemieckiej. Macaulay ignorował Carlyle'a, Carlyle Macaulaya nienawidził, nazywał go „nędzną kreaturą“, „gadułą“, chociaż w poufnym dzienniku uznaje i czuje jego wielkość. Taki, jako człowiek, jako historyk „porywa często, zapala — pewności nie daje nigdy“. Jego dzieła, jak „Rewolucya francuska“, należą raczej do beletrystyki, niż do historyi. „Kromwell“, nieco lepszy, jest właściwie apologią protektora.

„Historya Fryderyka W.“ z samego założenia, że Fryderyk był prawdomównym, nie miał nic w sobie z hipokryty i szarlatana, nie może być dobrą. O Polsce wyraża się tu z drwinami.

Carlyle nienawidzi i pogardza katolickimi Francuzami, Irlandczykami, Polakami, podziwia Niemców, zachwycony klęską pod Sedanem, za co potem otrzymuje order pruski, gratulacye od Bismarka. Torys czuje cześć dla Rosyan, „którzy mają za sobą naturę i Boga wszechmocnego“. Gladston za dążenia ku równouprawnieniu Irlandczyków wydaje mu się „jednym z najpodlejszych ludzi, jakich widział kiedykolwiek“. Przedtem jeszcze oburzał się z powodu zniesienia niewolnictwa murzynów.

Studyów o Ranke'm i Taine'm nie streszczamy, zaznaczamy tylko, że są one najlepsze z całej książki. Pracy o Taine'm jedno najsłuszniej można zarzucić: Autor zamierza dać nam pełną, chociaż treściwą charakterystykę Taine'a, a tymczasem podaje nam przedewszystkiem spis wszystkich a przynajmniej bardzo licznych błędów i usterek, jakich się dopuścił Taine w swem rozumowaniu. Usprawiedliwia to p. Askenazy tem, że przed tak wielkim pisarzem ostrzegać należy, bo w zachwycie nad nim, ujętym przez jego styl i przez rzeczywistą wartość jego studyów, bardzo łatwo uwierzyć we wszystko, co twierdzi. Wprawdzie te ujemne strony łagodzi p. Askenazy podnoszeniem stron dodatnich, ale robi to w bardzo krótkich słowach, tak „mimojazdem“, raczej w ogólnych pochwałach, niż dowodach, tak że ten, co o Taine'm wie bardzo mało, poweźmie bardzo fałszywe przekonanie o autorze „Literatury angielskiej“, „Inteligencyi“ i t. d. Równomiernego rozdzielenia świateł i cieni przestrzegać należy bardzo, szczególnie w naszem piśmiennictwie, wśród naszego społeczeństwa, które bardzo chętnie chwyta wszystko co ujemne, a nie umie należycie ocenić zasługi; tem bardziej zrobić to należało, gdy się miało i zaznaczyło wy-

raźnie zamiar scharakteryzowania pełnego Taine'a, jako „człowieka, krytyka i estetyka, psychologa, wreszcie historyka“. Poza tem oddajemy wszelkie pochwały gruntowności i znajomości prawdziwej przedmiotu, jakie okazał p. Askenazy w tej rozprawie.

Streszczając tu nasz sąd o całej książce, musimy, wyłączając prace o Ranke'm i Taine'm, powiedzieć, że jest ona zbiorem raczej artykułów informacyjnych o tem lub o tym, co w danej chwili odpowiedniem było dla pouczenia, przypomnienia publiczności, niż oryginalnych, samoistnych studyów, z którychby w danym razie mógł korzystać uczony. Rozprawy te spełniają jednak doskonale swój cel informacyjny. Wkońcu kilka uwag o stylu i języku autora. Te nas zupełnie zadowolnić nie mogły. W rozprawach tego rodzaju powinno się wyrażać poprawnie i jasno, co się autorowi nie zawsze udaje, jednak wogóle miejsc takich jest niewiele; za to język, pojedyńcze wyrażenia albo tłumaczone żywcem z niemieckiego, albo wprawdzie polskie, ale złe. Kilka z nich wyliczamy: „zaś natomiast“, „ustawnie“, „z ledwością(!)“, „tani“ *(billig)* zamiast „łatwy“, „owocny“ i t. d.

Dr. A. M. Karpiel.

Dzieje powszechne ilustrowane. Na podstawie najnowszych badań i dzieł historycznych opracowali przystępnie: *prof. Czesław Pieniążek, dr. Henryk Sawczyński, Alfred Szczepański.* Pod kierunkiem *prof. d-ra Ludwika Kubali.* Tom I. Czasów starożytnych część I. Od czasów najdawniejszych aż do zawiązków historyi greckiej. Według wydawnictwa Spamera opracował *prof. Czesław Pieniążek.* Z przeszło 200 ilustracyami i 22 kartonami. Wiedeń. Nakładem Franciszka Bondego. (W 4-ce, str. II i 314).

Od kilku miesięcy wychodzi nowe, popularne opracowanie dziejów powszechnych, zakrojone na wielkie rozmiary, bo mające objąć dwanaście tomów.

Tom pierwszy, który mamy pod ręką, jest przeróbką odpowiadającej mu części dwunastotomowej *Illustrierte Weltgeschichte* Spamera.

Książka ta pod względem formy zewnętrznej nic nie pozostawia do życzenia. Nakładca nie żałował trudu i kosztów na upiększenie jej licznemi ilustracyami, kartonami kolorowemi, podobiznami i mapami pięknie i dobrze wykonanemi. Papier i druk również czynią zadość wymaganiom czasu; za to korekta na pierwszych paru arkuszach nieco zostawia do życzenia, ale w dalszym ciągu się poprawia. Treść tego pierwszego tomu przedstawia się w następującem ugrupowaniu: Wstęp

do historyi, Chiny, Indye, Egipt, Babilonia (aż do połowy XII. w. przed Chr.), Assyrya (aż do początku XI. w. przed Chr.), Syrya, Fenicya, Izraelici, Armenia, Azya Mniejsza i jej ludy, Dalszy ciąg historyi babilońskiej, Dalszy ciąg historyi assyryjskiej, Medya, Persowie, Grecya (aż do wędrówki Dorów włącznie). Wykład jest jasny i przystępny, styl przejrzysty i gładki, jak wszystko co z pod pióra p. Pieniążka wychodzi. Dzieje polityczne i kultury każdego narodu traktowane są równomiernie. Gdzieniegdzie tylko może poglądowi na całość szkodzi przeładowanie opisu szczegółami.

Szczegółowa ocena podanego w tej książce materyału, nie może być zadaniem niniejszej recenzyi, zwłaszcza że aparat naukowy i bibliograficzny ze względu na cel dzieła opuszczono. Kto choć trochę z blizka przypatrzył się żywemu ruchowi, jaki od lat kilkudziesięciu zapanował na polu badań nad tajemniczemi a wielce ciekawemi dziejami starożytnego Wschodu, wie dobrze, ile tu punktów, a raczej ile obszarów jeszcze ciemnych, ile zagadnień nierozwiązanych, ile poglądów i zdań odmiennych. Każdy dzień nowe przynosi odkrycia, nowe szczegóły, nowe poglądy, zatwierdzające lub obalające dawniejsze. To też obraz życia dziejowego starożytnego Wschodu dalekim jeszcze jest od ostatecznego wykończenia, a na teraz trzeba się zadowolnić tą mozaiką faktów, jaką nam zdołała dotychczas skonstruować oryentalistyka.

Że autor nasz nie zapuszcza się, z drobnemi wyjątkami, w przedstawienie i ocenę różnych na jeden i ten sam fakt poglądów, gdzie taka różność zdań zachodzi, lecz wprost jedno z nich wybiera, nie bierzemy mu za złe, gdyż inaczej dzieło to nie byłoby popularnem. Ale pozwolimy sobie zarzucić brak ogólnego filozoficznego poglądu na dzieje ludzkości, które nawet w dziele popularnem, a może najwięcej w takiem, powinneby znaleść miejsce. Pragnęlibyśmy dowiedzieć się z takiej książki, jaką rolę w wielkim pochodzie ludzkości odegrał każdy z przesuwających się przed naszemi oczyma narodów, jakie były jego cele i dążenia, jakie miał do spełnienia zadania dziejowe. Radzibyśmy się przynajmniej we wstępie dowiedzieć, jakie znaczenie ma starożytność, w szczególności Wschód w ogólnym rozwoju ludzkości.

Ten filozoficzny pogląd na dzieje łączy się, jak każdemu wiadomo, z poglądem religijnym, z uwzględnieniem stosunku dziejów do religii, i stanowi tak zwanego ducha danej książki. Jakiż jest duch tego tomu historyi powszechnej? Kwestya to podwójnie ważna, kiedy chodzi o dzieło popularne, a delikatna i niepodobna do wyminięcia,

kiedy idzie o historyę powszechną starożytności, obejmującą same początki, kolebkę rodu ludzkiego. Radzibyśmy widzieć na początku książki przedmowę, jasno określającą stanowisko autora pod tym względem. Natomiast znajdujemy przynajmniej w prospekcie wydawcy zapowiedź, że dzieło to będzie uwzględniało „dążności narodowe i religijne polskiego społeczeństwa"; co musimy sobie tłumaczyć w ten sposób, że będzie zgodne z przekonaniami katolickiemi, tak w ogólnych poglądach i ocenach, jak i w tych szczegółowych punktach i faktach, w których nauka historyi spotyka się z chrześcijańskiem objawieniem. Otóż pod tym względem niemało, jak wiemy, czytelników już się zraziło do tej książki. Z niezadowoleniem czytali we Wstępie (str. 3): „Zadaniem historyi powszechnej jest badanie i poznanie rozwoju ludzkości od chwili, gdy człowiek rozpoczął działać na ziemi i ślady czynów swoich pozostawił. Historya szuka tych czynów wszędzie, nie pomija nikogo i niczego, ale też nie sięga poza granice faktów, które jej wiarogodne podania przekazały, a które poznać i ocenić mogła". A nieco niżej: „Długie, bardzo długie okresy czasu upłynęły od stworzenia ziemi, rozliczne rodzaje zwierząt powstawały i ginęły, zanim pojawił się człowiek, istota odmienna, doskonalsza od wszelkiego stworzenia, obdarzona potęgą ducha. Zamieszkał on w jaskiniach i na rozmaity sposób sporządzał sobie pożywienie" i t. d.; — skąd wnoszą, że, podług autora, nauka wiary o błogim stanie pierwotnych ludzi jest wręcz wykluczoną, a opowiadania Pisma św. o upadku pierwszych rodziców, o klęsce potopu, o pierwszych krokach ludzkości na drodze dziejowej, nie należą nawet do „podań wiarogodnych". Dalej, niemniej przykro ich uderza, że w historyi Izraelitów pominięte są całkiem wydarzenia cudowne, które przecież nie są wcale podrzędne, ale tłumaczą wyjątkowe losy tego ludu i wpływ ogromny, jaki wywarł na religijny rozwój ludzkości. Pominięcie więc tych wydarzeń przedstawia się owym czytelnikom jako ich negacya i dążność do radykalnego przerobienia dziejów Izraela na sposób Renana.

W gruncie, rzeczy nie stoją znowu tak źle, jak się owym czytelnikom wydaje. W książce tej nie brak wypowiedzenia chrześcijańskich przekonań, ale też nie brak, jak widzieliśmy, dyssonansów. Dysharmonia ta pochodzi z błędnego i, naszem zdaniem, niewykonalnego założenia. Autor wziął za podstawę (nie wiem o ile mu ona przez wydawcę narzuconą została) książkę zakutego pozytywisty. Spamera, i jął ją naciągać do „dążności religijnych polskiego społeczeństwa". Opuszczał więc to i owo, w czem spostrzegał sprzeczność

z nauką wiary, a wtrącał tu i ówdzie zdanie własne, katolickie — jak naprzykład w historyi początków: że „człowiek jest istotą odmienną od reszty stworzeń, potęgą ducha obdarzoną“ — albo w historyi Izraelitów, że „u nich istniała wiara w prawdziwego Boga, że tam Zbawiciel świata przelał krew swoją, by dźwignąć ludzkość, uzacnić ją, uszlachetnić i utworzyć nową dla niej erę“. — Metoda ta, mimo najlepszych chęci autora, nie mogła oczywiście stworzyć jednolitej całości, a tem mniej chrześcijańskiego poglądu na całość; jak w palimpseście, pod wykreśleniami grunt pozytywistyczny musi gdzieniegdzie przeglądać; piękne zdania wtrącone nie zawsze licują z otoczeniem; nie zawsze udało się opuścić zdania, które opuścić należało, jak owo, że człowiek pierwotny mieszkał w jaskiniach i t. p. — co *notabene* nie jest bynajmniej „dla historyi faktem ani wiarogodnem podaniem“, tylko hipotezą, dla pozytywizmu dogodną [1]. Również mylnem jest zdanie, nieuważnie przez autora przejęte, że wszystkie wogóle religie ludów starożytnych, z wyjątkiem Egipcyan, Babilończyków i Izraelitów, były od razu wielobożnemi. Nie da się to pogodzić z pewnikiem wiary o pierwotnem Objawieniu, rodzajowi ludzkiemu udzielonym, a swoją drogą nie ma żadnej naukowej podstawy; owszem, nowsze gruntowne badania najstarszych pomników do wręcz przeciwnego prowadzą wniosku: wszelkie formy politeizmu okazują się jako degeneracye pierwotnego monoteizmu.

Słowem, pasowanie się chrześcijańskiego autora z podkładem dzieła pozytywistycznego, nieszczęśliwym było pomysłem. Gdyby był wziął do ręki takiego zawołanego oryentalistę i autora najlepszej „historyi starożytności“, jak Franciszek Lenormant, byłby zobaczył na pierwszych jego kartkach, jak można pogodzić stanowisko uczonego historyka, nawet fachowego oryentalisty, z przekonaniami katolika, w poglądzie na początki rodzaju ludzkiego; byłby się dowiedział, jak odkrywane dziś pomniki najdawniejszych ludów Azyi przychodzą potwierdzać punkt po punkcie „podania biblijne“. — Rozumiemy, że dzieło Lenormanta było zbyt obszerne, aby mogło być wzięte za podstawę książki popularnej, ale mogło służyć do oryentacyi, a lepsza podstawa, niż Spamera, mogła być wybrana.

---

[1] Fakta u starożytnych ludów, które najlepiej znamy (Egipt, Assyrya, Izrael, Iran, Indye, Chiny), świadczą jedynie o stanie cywilizacyi, jakkolwiek daleko w głąb czasów sięgają, a nie świadczą o poprzednim stanie dzikości. Podania zaś wszystkich niemal ludów mówią o pierwotnym Edenie, nie o jaskiniach.

Osądziliśmy ten punkt może trochę surowo, bo mniemamy, że tej surowości trzeba na tym punkcie, kiedy idzie o dzieło popularne. Przypominamy jednak, że braki te tylko w niektórych miejscach się przejawiają i nie każde oko je wypatrzy. Całość zaś dzieła p. prof. Pieniążka jest, jakeśmy na początku powiedzieli, bardzo cenną, miłą i pożyteczną.

H. Libiński.

Krótka historya rozwoju partyi socyalistycznej w Galicyi (od 1 maja 1890 do 1 maja 1894). Z dodatkiem dziejów t. zw. „niezawisłych“ lwowskich. Napisał *Żegota*. Lwów 1894.

Socyaliści galicyjscy uznali się już dość potężnymi, aby poczuć potrzebę spisania i ogłoszenia dotychczasowej swej historyi, swych tryumfów; wdzięczni im za to jesteśmy, bo bądź co bądź historya ta nie jest bez interesu, dla każdego niejedna nauka z niej wypływa, łatwiej i wygodniej odczytać w krótkiej broszurce dotychczasowe dzieje i programy socyalistycznej partyi, niż wyławiać je mozolnie z przerzedzonych licznemi konfiskatami, ale zawsze jeszcze dość grubych roczników *Naprzodów*, *Prac*, *Robotników*. Urzędowy historyograf, kryjący się pod dość przezroczystym pseudonimem „Żegoty“, zna doskonale dzieje, które opisuje; sam „wielką częścią“ w nich był i jest; niektórzy utrzymują, że właściwie nietylko w nich jest *magna pars*, ale i *omnis pars*, a w każdym razie właściwy stan rzeczy zna gruntownie, i byle chciał, mógłby z pewnością odmalować go szczerze i dokładnie. Czy chce, czy na podane przezeń fakta, opisy, spuścić się można? Oczywiście, od przywódcy jakiegobądź stronnictwa żądać prawie niepodobna, aby historyę tegoż stronnictwa pisał zupełnie zimno, przedmiotowo; nie żądamy też tego od p. Daszyńskiego, owszem, chętnie gotowiśmy przyznać, że, czy z rozumnej taktyki, czy z powodu większej od innych „towarzyszów“ towarzyskiej ogłady, czy może po prostu ze względu na prokuratora, styl „Krótkiej historyi“ różni się bardzo korzystnie od stylu i inwektyw, do których przyzwyczaiły nas *Naprzody* i *Przedświty*; — powiedzielibyśmy prawie, że styl to i sposób przedstawienia „arystokratyczny“, „burżuazyjny“. Tylko, niestety! jak nie zawsze i nie we wszystkich „burżuazyjnych“ gazetach, pod stosunkowo przyzwoitą formą, prawdziwa treść się kryje; tak i tu mamy powody do podejrzenia, że urzędowy dziejopisarz galicyjskiego socyalizmu spisywał jego historyę podobnie, jak dawni do boku królów dodawani dziejopisarze niejednokrotnie spisywali niebotyczne ich czyny, niebywałe

zwycięstwa. Dlaczego np. autor, opisując przebieg zgromadzenia z 30-go kwietnia 1893 r., dyplomatycznie opuścił treść przemowy p. Daszyńskiego (tj. swojej własnej), w której, sądzić chcemy że szczerze, prosił swych stronników o przyzwoite i spokojne zachowanie się? czemu nie przyznał w swej broszurze, co przyznał, czem w każdym razie wtedy się tłumaczył, że nad raz poruszonemi tłumami zupełnie stracił władzę? Dlaczego, omawiając stosunek socyalizmu do patryotyzmu, tak całą tę kwestyę nie wyjaśnia, lecz zaciemnia; przemilcza o tylokrotnych urzędowych „wyznaniach wiary", w których wszelki patryotyzm wprost jest wyśmiany i zdeptany? dlaczego na poparcie swego zdania odwołuje się na londyński *Przedświt*, kiedy mu wiadomo, że socyalistyczne pisma polskie w Paryżu, Londynie, zajęły w tej kwestyi odmienne stanowisko, niż pisma we Lwowie, Krakowie, i że przeto najpiękniejsze nawet patryotyczne artykuły *Przedświtu*, czy *Pobudki*, w niczem a w niczem wpłynąć nie mogą na sąd o przekonaniach galicyjskich socyalistów? Dlaczego tak nielitościwie znęca się nad „krwawym" stylem niezawisłych socyalistów, kiedy przerzucając roczniki *Naprzodu*, *Robotnika*, krakowskie listy umieszczone w *Gazecie Robotniczej* — o londyńskim *Przedświcie* już nawet nie wspominając — znaleść może w każdym numerze daleko „krwawsze" i — zabawniejsze okazy? Ileż jeszcze wypisaćby można takich: „dlaczego!?" — a na wszystkie owe „dlaczego?" jedna tylko możliwa i wszystko tłumacząca odpowiedź: „Krótka historya" pisana jest dość zręcznie, ale nie z myślą o tem co jest prawdą, tylko o tem co najlepiej przydać się może *ad usum* stronnictwa.

Zrzędzenia. Przez *Henryka Glińskiego*. Wiązanka pierwsza. Petersburg. Druk S. Kornatowskiego. 1894.

Nielitościwy jest pan Gliński; zrzędzi — ba! żeby zrzędził tylko, wali obuchem w „powszechnie uznane" literackie znakomitości, nikogo nie oszczędza, mówi bez ogródek, kiedy mu się ktoś lub coś nie podoba, choćby ten ktoś był naszym „najsympatyczniejszym", „ogólnie znanym i cenionym", a owe „coś" uznanem jednogłośnie „przez całą poważną krytykę arcydziełem". Prus np. — zaręcza nam „Zrzęda", głośny Prus, którego talentowi oddać skądinąd należy zasłużone hołdy — jako kronikarz wypisał się zupełnie; z wybornego humorysty chciał się przekształcić w dowcipnisia — dobrze, i Bogu raczej dziękować, że metamorfoza ta się nie udała! Przechwalone przez przyjaciół utwory pana Gamastona, przez publiczność na wiarę „przysięgłych panów krytyków" w krótkim czasie wyczerpane, „są po prostu jedną wielką

obrazą już nietylko dobrego smaku, ale zdrowego rozsądku", są „i niesmaczne i trywialne i pretensyonalne". Talent panny Rodziewiczównej — „niewątpliwym jest talentem, ale rozczochranym, nie ujętym w karby, niedbałym, nie liczącym się z niczem, dającym się powodować własnej a szybującej po manowcach fantazyi, zbytnio wierzącym w moc swą i siłę", i dlatego — twarde to, ale logiczne z tych przesłanek następstwo — „talent ten nic a nic dobrego nie spłodził". Z kolei biorą arcyzasłużone cięgi brukowe kalendarze; brukowe, na urząd obstalowane, arcyniedowcipne dowcipy, których tyle a tyle łokci dostarczają panowie wydawcy rokrocznie coraz mniej wybrednej publiczności; biorą równie zasłużone cięgi gazetki i kuryery, co całemi miesiącami o niczem innem nie pisały, jak tylko o Eusapii Palladino, rozgłaszając jej imię i działane przez nią dziwy między wszystkiemi kucharkami, służącemi; każąc o niej kilkuletnim dzieciakom dysputować. „Sprowadzenie Eusapii do Warszawy — konkluduje „Zrzęda" — miało charakter antrepryzy, z której prasa zastrzegła sobie prawo korzystania ku uciesze swych czytelników".

Dla tych zwłaszcza, którzy współczesną, i piękną i dziennikarską literaturą, którzy współczesnymi literatami i dziennikarzami żywiej i bliżej się zajmują, „Zrzędzenia" przedstawiają niemały interes. Nie na wszystkie może zdania się zgodzą; odniosą może czasem, nie wiemy o ile usprawiedliwione wrażenie, że pewne osobiste niechęci domieszały trochę żółci do kałamarza; ale w wielu, bardzo wielu razach przyznają „Zrzędzie", głośniej lub pocichu, najzupełniejszą słuszność. W każdym razie, czy kto w jakim szczególe z autorem się zgadza, czy nie zgadza; czy kogo jego książka zaciekawi, całą uwagę do siebie przykuje; czy — tytuł usprawiedliwiając — trochę lub porządnie wynudzi; — każdy musi mu hołd ten złożyć: co i jak czuł i myślał, to i tak napisał, na żadne poboczne względy się nie oglądając!... Niemała to z pewnością pochwała w dzisiejszych czasach i stosunkach, w których, niestety! zdrowa, sumienna krytyka cofać się musi na coraz dalszy plan przed paszkwilem z jednej, przed reklamą z drugiej strony.

B.

Z dziejów Warszawy. Grobowiec Carów Szujskich. Przez *A.* W Krakowie 1894. (W oktawce, 29 stron i 5 ilustracyj).

Dokonywająca się obecnie przebudowa pałacu Staszica w Warszawie i niedawne odkrycie „kaplicy moskiewskiej" *(capella Moscovi-*

tica), która w pobliżu tego pałacu się znajduje i stanowiła niegdyś mauzoleum Szujskich, dało powód autorowi do napisania tej broszurki. Na podstawie tego szczupłego materyału źródłowego, jaki posiadamy odnośnie do pobytu Szujskich w niewoli polskiej, odtworzył pan A. dzieje cennego jako pamiątka historyczna grobowca, oraz ostatnie koleje życia tych, których ciała w nim przez lat 20 spoczywały. Szczegóły, zestawione przez autora, są nader ciekawe, rzecz cała wdzięcznie jest napisana, a zrozumienie jej wielce ułatwiają dołączone ryciny. Polecamy tę broszurkę każdemu, kto się szczerze interesuje zabytkami naszej przeszłości.

H. L.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Lourdes. Par *Emile Zola.*

Już nietylko o każdej powieści Zoli, ale o każdym projekcie powieści cały świat wiedzieć musi. „Zola będzie pisał o Lourdes!“ — głoszono przed rokiem; „Zola jedzie do Lourdes! Zola wszystko ogląda w Lourdes!“ — powtarzały nawet katolickie gazety we Francyi, z takim tonem, jak gdyby to był zaszczyt lub zysk dla religii!

Na nas ta wiadomość bolesne od razu wywarła wrażenie! Jakto! — mówiliśmy sobie — ta sama brudna i gruba ręka, która kreśliła *L'assomoir* i *La terre*, będzie się nam dotykała naszych świętości, naszej Matki Boskiej! będzie nam gmyrała w najdelikatniejszych uczuciach serca wierzącego, o których wyobrażenia nie ma!... I cóż za rezultat być może? Z talentem opisowym, jaki posiada, opisze on znakomicie miejscowość, obchody, wielkie tłumy w ruchu, zwłaszcza wielkie nędze i cuchnące rany; z pretensyą do naukowości, jaką się zawsze popisuje, opowie nam kilka odpowiednio skomponowanych uzdrowień histeryczek, które przypisze wstrząśnieniu nerwów — i te poda jako typ cudów zdarzających się w Lourdes; rzuci jeszcze na to wszystko, swoim zwyczajem, kilka tłustych plam zmysłowości; — i wyjdzie z tej roboty brzydka karykatura jednej z najpiękniejszych rzeczy, jakie są w naszym wieku; — i setki tysięcy ludzi, którzy przeczytają tę książkę, od Francyi aż do Australii, będą myśleli, że to prawda, i że to jest dopiero naukowe wytłumaczenie wiary i cudów katolicyzmu.

Niestety, rzeczywistość odpowiedziała zupełnie naszemu oczeki-

waniu. Zoli zależało na tem, aby ten przedmiot po swojemu obrobić. W długim szeregu swych powieści nie skreślił on wprawdzie, jak zamierzał, „historyi naturalnej jednej rodziny“, ale skreślił w pewnej mierze historyę naturalną swego wieku, unaocznił cały szereg ważnych czynników społecznego życia: pracę fabryczną i pracę rolną, wielki handel i ruch kolei, życie rozpusty i twórczość artystyczną, wir pieniędzy i mordy wojny. Cykl swoich Rougon-Maquart'ów zamknął z Doktorem Pascal'em, ale spostrzegł, że cyklu wielkich czynników społecznych wcale nie skończył, że brakuje szczególnie jednego, na który dotąd wcale nie zwrócił uwagi — tj. religii [1]. Znakomity obserwator wszystkiego co się dzieje zewnątrz, ale nie znający serc i dusz, Zola byłby zapewnie całkiem zapomniał o istnieniu religii i prześlepił ogromny wpływ, jaki wywiera na sprawy ludzkie, gdyby nie to, że ona występuje we Francyi głośnemi i na wielkie rozmiary urządzonemi objawami. Szczególnie musiało mu się podobać jako temat Lourdes, gdzie w XIX. jeszcze wieku ludzie cudów szukają, gdzie doroczne „pielgrzymki narodowe“ sprowadzają po kilkadziesiąt tysięcy ludzi naraz, a między nimi mnóstwo nędz, chorób, ran. Co za pole do „wystudyowania“ (w Zolowskiem tego słowa znaczeniu) tej dziwnej, cudacznej, a przecie potężnej rzeczy, jaką jest wiara.

Pomysł powieści, według zwykłej maniery Zoli, którą opisałem zdając sprawę z *Débâcle* [2], jest bardzo prosty: na pierwszym planie kilka dość pospolitych indywiduów; w głębi wielkie tłumy, które są istotnym powieści i opisowego talentu autora objektem. Pierwszego dnia jedziemy z Paryża do Lourdes, pociągiem wiozącym chorych na wielką pielgrzymkę narodową; przez trzy dni następne zwiedzamy Lourdes z temi kilkoma osobami, któreśmy w wagonie poznali, oglądając obchody i miejscowości: piątego dnia wracamy z Lourdes do Paryża,

[1] Mogłoby się zdawać na pierwszy rzut oka, że już powieść *Le Rêve* była obrobieniem uczucia religijnego. Istotnie jednak inna była myśl Zoli. Po brudach i brutalnościach zapełniających powieść *La terre*, które wywołały nietylko oburzenie krytyków, ale nawet odstępstwo grona jego uczniów, z Maupassant'em na czele, Zola chciał pokazać światu, że umie też czyste i delikatne przedmioty traktować, chciał zrobić powieść dziewiczą. Po uczuciu zaś religijnem, które mu nasuwał temat, przeleciał tylko powierzchownie, nie próbując go zgłębić. Zresztą wywiązał się z nieodpowiedniego sobie zadania niezgrabnie i niesmacznie, nie wyzbywając się dosyć swych właściwości ujemnych, a tracąc pole do rozwinięcia swych stron dodatnich.

[2] Ob. *Przegląd Powszechny* z r. 1892, październik, str. 97.

z temiż osobami w tymże wagonie — i na tem koniec; opowiadanie spostrzeżeń tych kilku osób w ciągu tych pięciu dni wypełnia ów spory tom.

Opisanie, w pierwszym dniu, tej podróży chorych jest, jak zwykle co z pod pióra Zoli wychodzi, silnie realistyczne — ale niekoniecznie miłe do czytania. Wszelkie brzydoty najwstrętniejszych chorób i ran, wszystko co może razić wzrok, słuch, powonienie naszej wyobraźni, roztacza się tu aż do ostatniego szczegółu, aż do zmęczenia i obrzydzenia. Autor właśnie szuka tego „efektu“ i osiąga go w pełni za pomocą drobiazgowości, długości, systematycznego powtarzania najwięcej dających na nerwy zwrotów. A to wszystko jeszcze się powtarza *da capo* w szpitalu w Lourdes, i znów przy cudownej Grocie, i jeszcze w wagonie z powrotem. W ciągu tegoż pierwszego dnia podróży poznajemy życie Bernadety według pomysłu Zoli, wprowadzone w ten sposób, że podróżni opowiadają je sobie dla zabicia nudów. Bernadeta, którą Zola poznał trochę z dokumentów, rozbraja go wdziękiem swej prostoty; nie śmie jej pomawiać o żadne oszukaństwo, ale naturalnie robi z niej politowania godną histeryczkę, w której chorym mózgu otrzymane niegdyś nauki religii przerabiały się w uporczywe hallucynacye.

Poznajemy też różne osoby w tym wagonie jadące, z ludu i z burżuazyi; jedne i drugie są typami pospolitości w swoich warstwach. Jest tam, oprócz tego, zakonniczka, nieźle, jak na Zolę, naszkicowana; jest pani z wyższego świata, z poświęcenia chorym usługująca; ale jest też druga pani, która po to tylko jedzie, aby pod osłoną religijnej pielgrzymki oszukać męża. Wreszcie są dwie główne postacie powieści: panna Marya de Guersaint, która ma być typem osób cudownie uzdrowionych w Lourdes, i ksiądz Piotr Froment, który — rzecz szczególna — ma być tłumaczem myśli i filozoficznych poglądów samego autora.

Marya jedzie w opłakanym stanie, zbolała, bezwładna; lecz autor opowiadając okoliczności jej zasłabnięcia i konsultacyę przed samym wyjazdem, z góry nam daje do poznania, że organiczne jej uszkodzenia już dawno się naprawiły, a to co zostaje jest tylko newrozą, histeryą — więc wszystko gotowe do uleczenia przez silne wrażenie.

Ksiądz Piotr, jest najstaranniej opracowaną, a najmniej udaną figurą, najlepiej dowodzącą, jak mało autor rozumie wszystko co sfery wiary i religii dotyczy. Młody ten księżyna ma być najszlachetniejszą duszą; stracić jednak musiał wiarę, bo przeczytał pośmiertne pisma swego ojca — o chemii *(sic)* — i to mu oczy na świat otworzyło! Nie prze-

staje on jednak pełnić funkcyj kapłańskich „z urzędowej wierności". Nie rozumie tego Zola — tak mało ma wyrobiony zmysł moralny — że jeśli kapłan straci wiarę a zachowa prawość i szlachetność duszy, to nie będzie dalej pełnił funkcyj, które byłyby komedyą i oszukiwaniem. Tenże ksiądz doznaje w Lourdes wyrzutu sumienia, że tego dnia mszy nie odprawił. Mniejsza o to, że Zola nie wie, iż kapłan nie ma obowiązku codzień mszę odprawiać, ale powinienby instynktem sumienia odgadnąć, że dużo gorzej jest odprawiać mszę bez wiary, niż wcale jej nie odprawiać. Tenże sam ksiądz, który jest *notabene* prawością samą według Zoli, powiada kobiecie, oddającej się wiarołomnej i obłudnej rozpuście: „Rozgrzeszyć cię wprawdzie nie mogę, ale szanuję cię nieskończenie". Takich grubych pomyłek etycznych, mówiąc w nawiasie, wiele jest w tej książce, źle świadczących o wyobrażeniach etycznych autora.

Jedzie więc ksiądz Piotr do Lourdes, żeby towarzyszyć Maryi, którą się trochę tkliwie interesuje, a głównie dlatego, żeby spróbować, czy mu się nie uda odzyskać utraconej wiary, spotykając się z cudem. Pod tym kątem przypatruje on się ciekawie wszystkiemu, co się tam dzieje, wszędzie niby szuka cudu, a wszędzie — jak się należało spodziewać — tłumaczy sobie to co widzi „naukowemi sposobami": egzaltacyą, wyobraźnią, nerwowem podnieceniem, histeryą, newrozą, hypnozą... I gdy na końcu Marya przed Grotą powstaje nagle ze swej lektyki, czując się zupełnie uzdrowioną, on jeszcze przypomina sobie, że któryś z lekarzy paryskich, skonstatowawszy u niej histeryę, takie właśnie wyleczenie przepowiedział. Zola przez usta ks. Piotra dogmatyzuje śmiało — jak może dogmatyzować człowiek nie znający ani wiary, ani (jak mi pisze uczony lekarz) medycznych nauk.

W czasie trzydniowego pobytu w Lourdes, znajomi nasi aż do śmieszności ciągle się kręcą, do wszystkich kątów zaglądają, co krok, powtarzającym się trafem, kogoś znającego zakulisowe sprawy spotykają — bo Zoli chce się pokazać, że wszystko dobrze obejrzał, i spożytkować wszystkie zapiski, jakie na tych różnych miejscach porobił. Przyczem jest sposobność do opowiadania pozbieranych małomiejskich skandalików: kłótni między starem miastem a nowem, zbudowanem koło cudownej Groty; kłótni między zgromadzeniem zakonnem, które Grotą zawiaduje, a probostwem w Lourdes: zawiści między handlarzami pobożnych przedmiotów i t. d. Nie darowałby też sobie Zola, gdyby wśród tych objawów religijnych nie wetknął choć trochę zwierzęcości — *la bête humaine*. Więc długo i przesadnie opowiada,

jak ci pobożni pątnicy obiadują, puszczając wodze żarłoczności; i znowu z upodobaniem opisuje, jak wspomniana wyżej pani przez te trzy dni w kryjówce z zwierzęcym szałem oddaje się rozpuście. Jest to, mówi sam Zola, odwet zwierzęcości ludzkiej przeciw religijnemu nastrojowi miejsca i obchodu.

Zresztą pióro Zoli jest tak tłuste i brutalne, że i mimowoli co tknie to wala, nawet postacie, które chce najczyściej przedstawić, nawet Maryę de Guersaint, nawet ową zakonniczkę usługującą chorym, nawet uwielbianą Bernadetę — nie żeby im co złego przypisywał, ale że nie może mówić o ich płci, o ich dziewictwie, bez ubliżenia im jakąś brutalnością, albo obrzydliwem politowaniem.

Najpiękniej jeszcze opisane są same obchody, tłumy cisnące się do groty, olbrzymie procesye z pochodniami, na przepysznem tle granitowych budowli i pirenejskich szczytów. To jest najwłaściwszy teren dla talentu Zoli. I te nawet obchody jedynie co do zewnętrznego wyglądu dobrze są opisane; bo zresztą nastrój tych tłumów modlących się, sam ton ich śpiewów, to wszystko jakoś wygląda wymuszenie, dziko, jak musiały wyglądać pochody Saliów lub Fakirów wyjących; tchnie to, nie pobożnością, lecz namiętnością życia.

W powrocie do Paryża, goście naszego wagonu są przerzedzeni: jeden umarł w drodze, dwóch przed samą Grotą umarło, jedna suchotnica, która w Lourdes krzyczała że jest uzdrowioną, bo namiętną żądzą w siebie to wmówiła, teraz przy powrocie na nowo straszliwie zapada. Jedna, której twarz pożerał szkaradny *lupus*, teraz jest w pełnej konwalencyi, wskutek autosuggestyi i trzydniowego płukania wodą — co z punktu medycyny, sądzę, nie jest możliwem, więc z punktu Zoli źle jest skomponowanem. Jedyna ze znajomych nam Marya, wraca zupełnie uzdrowiona, wiemy jaką sztuczką. — Ksiądz Piotr zaś nietylko że nie jest wyleczony ze swej niewiary, ale całą drogę w najlepsze rezonuje, roztrząsa co widział, i roztacza cały pogląd na religię, na życie, na wszechświat — słowem, całą filozofię pana Zoli. — A nędzna doprawdy jest to filozofia! Ta naiwna wiara w wszechpotęgę nauki, która w pewnych sferach panowała temu ćwierć wieku, kiedy Zola pisać zaczynał, zachowała się do dziś dnia u niego nieskazitelnie. Ani spostrzegł, że świat uczony już dawno poszedł dalej, wytrzeźwiał, uznał skromnie względność nauki i nieprzebyte dla niej granice. Dla pana Zoli wystarcza przeczytać byle jaką książkę przyrodniczą, aby mieć „ewidencyę“ (tego słowa używa), że niema Boga. — A cóż jest poza wszystkiem? Czy może znak zapytania, czy Nieznajome, jakby

wielu współczesnych powiedziało? — Nie: jest po prostu Natura (przez wielkie N pisana), jak mawiali prawowierni materyaliści przed stoma laty. Ta natura wszelkie możliwe zagadnienia „jasno“ tłumaczy: rozum aż kapie się w świetle!

Religia przeciwnie wymaga przedewszystkiem zaparcia się, uśmiercenia rozumu. Tego wyraźnie, podług Zoli, uczono księdza Piotra w seminaryum. Gdyby się Zola dowiedział, jak w seminaryum uczą, że zaparcie się rozumu jest herezyą, a wprawiają do rozumowej krytyki powodów wiary i rozumowego rozbioru jej treści, to chyba osłupiałby ze zdziwienia. — Ale czemże jest, w myśl Zoli, ta religia sama w sobie? skądże się ona bierze w duszach ludzkich? Dzisiejsi myśliciele, którzy nie wiedzą jeszcze, że religia przychodzi z góry, szukają przynajmniej jej źródła w najgłębszych tajnikach duszy, uznają ją za pierwiastek ogólno-ludzki. Zola nic o tem nie wie; uczucie religijne, któremu widocznie po raz pierwszy przypatruje się w pociągach zwożących tłumy chorych do Lourdes, wydaje mu się być tylko imaginacyjnym wytworem istot upośledzonych, cierpiących. Na tle jest jedynie namiętna żądza życia; kiedy zaś prawa natury sprzeciwiają się tej żądzy, przez chorobę, nędzę lub śmierć, wtenczas reaguje ona, usiłując sobie wyobrazić jakąś wyższą potęgę, którąby zdolna była te nieubłagane prawa natury na jej korzyść dowolnie kruszyć. Początkiem rozmaitych religij bywają z reguły majaczenia jakichś chorych pasterek, budzące w biednym tłumie nadzieję, że znajdą tę cudowną potęgę, która będzie dla nich prawa natury łamała. I zgodnie z tem określeniem wydaje się też Zoli, że nowa religia zaczyna się w Lourdes. Co więcej, bezdenna jego nieznajomość stanu dusz nowożytnych do tego dochodzi, iż wystawia sobie, że gdyby Bernadeta nie była się z pokorą do klasztoru usunęła, mogła była za życia siedzieć na tronie zamiast Matki Boskiej w Lourdes i szafować łaski i cuda spływającym z całego świata tłumom!

To zadziwiająco płytkie pojęcie religii u Zoli jest przecież w ścisłym związku z jego pojęciami o zadaniu życia, o dobrem i złem. Żądza ziemskiego życia i używania życia, występuje pod jego piórem zasadniczo jako najwyższe człowieka zadanie, a więc też najwyższa norma do sądzenia jego czynów. Kobieta, nie znajdująca szczęścia w małżeństwie, „na nieskończony zasługuje szacunek“, kiedy go szuka poza małżeństwem. Dziewictwo jest największem upośledzeniem. Bernadeta uszczęśliwiła tysiące, ale sama została panną — i dlatego politowania

jest godną. Takie morały nietylko wynikają z osnowy powieści, ale wypowiadane są niedwuznacznie przez samego autora.

Jest to koniec końcem książka zła, podkopująca moralność, wroga religii, bo dążąca do negacyi, nietylko cudów w Lourdes, które wcale do wiary nie należą, ale wszystkiego wogóle co nadprzyrodzone; przytem książka wstrętna, irytująca i nużąca zarazem, pozbawiona wielu przymiotów, do których autor był się wzniósł w *Argent* i *Débâcle*.

Ks. M. Morawski.

En famille. Par *Hector Malot*. Paris. Ernest Flammarion, éditeur.

Młodzi, a nawet i starsi czytelnicy nie zapomnieli z pewnością rozkoszy, dostarczonych im pełnem wdzięku opowiadaniem o sierocych dziejach gromadki opuszczonych dzieci, zamieszczonem w dwutomowej książce zatytułowanej: *Sans famille*. Zachęcony zapewne powodzeniem, a może zniewolony do dostarczania własnej dziatwie przygodnej rozrywki, znany powieściopisarz francuski, Hektor Malot, postanowił dać poniekąd odpowiedni *pendant* do dawniejszej a szczęśliwej próby. W *Sans famille* głównym bohaterem był chłopczyk, w *En famille* bohaterką dziewczynka. Tam uczona małpeczka, Joli-Coeur, wybitną odgrywała rolę — tu poczciwy osiołek, Palikare, ulubionym towarzyszem małej Perriny. Jej to ciężkie koleje wypełniają dziś gruby a prześlicznie ilustrowany tom opowieści Malota. Bogaty przemysłowiec, Wulfram Paindavoine, poróżnił się z jedynym synem, nie chcąc się zgodzić na jego małżeństwo z Hindostanką. Po latach, gdy go zgnębiła starość i utrata wzroku, zapragnął odszukać jedynaka, zerwane nici zawiązać na nowo, a może i przywieść syna do wyrzeczenia się znienawidzonych przez rodzica związków. Ale za późno! Wydziedziczony i odtrącony darmo szukał chleba, w walce z losem stracił zdrowie, a niebawem i życie, polecając żonie i córce, aby spróbowały uzyskać przebaczenie i zdobyć sobie miejsce w sercu i domu zagniewanego ojca. Jadą tedy dwie biedaczki wozem, ciągnionym przez wiernego Palikara, jadą bez końca w kierunku Francyi, Paryża, sławnych w Marancourt warsztatów i fabryk. Aż tu w drodze i kwiat lotusu, indyjska piękność, gaśnie i więdnie w chłodzie północy, zostawiając córeczce w spadku akt ślubny i zalecenie, aby bądź co bądź dostała się do dziadka i dała mu się poznać. Ale dziewczynka za wiele słyszała o gniewie twardego starca, aby się nań wystawić. Powoli chce sobie zdobyć i miłość i stanowisko przynależne wnuczce. Zwalczając rozpacz i piętrzące się tru-

dności, które bez mała ją o śmierć głodową przyprawiają, dociera do celu, i zalicza się do najmłodszych pracownic w warsztatach rodzinnych. Choroba angielskiego urzędnika fabrycznego wywodzi ją z ukrycia, znajomością potrzebnego w handlowych transakcyach języka postępuje na tłumacza, zbliża się do pryncypała, taktem, delikatnością, uczynnością, zdobywając sobie szacunek i miłość zagniewanego dziadunia. Uprzednio wykwintną z natury swej dziewczynkę raziło zbyt poufałe obcowanie dziewcząt zajętych w fabryce, duszne przytułki nocne, wspólne posiłki niemiłą wrzawą zamącane. I oto zaradnością własną umiała sobie wytworzyć iście robinsonowe życie, do którego wracała, w godzinach wolnych od roboty, a które aż nadto zachwycić gotowe młodych czytelników. Stopniowanie podboju twardego dziadunia, dokonane serdecznie przez oddającą się całkiem na jego usługi dzieweczkę, ślicznie tu jest opisane. Nietylko poświęca się ona zupełnie ociemniałemu starcowi, ale tyle nad nim pozyskuje wpływu, iż tenże nie zadawalniając się, jak dawniej, suchą tylko i chłodną sprawiedliwością, zaczyna w czeladzi swej upatrywać jedną rodzinę, myśleć o ich duchowych potrzebach, zakładać szkółki, ochrony, szpitale, zawsze za dobroczynną podnietą dziewczynki, w której się nie domyśla dziecka ukochanego syna, bo obawiając się wywołać burzę przypomnieniem powodu rozłąki i zerwania rodzinnych stosunków, nie odważa dać się poznać. I oto dopiero policyjne poszukiwania oświecają zaciętego starca o utracie syna, o wartości jego towarzyszki, a zarazem wyjaśniają mu, iż sierota, która mu się stała niezbędną i całe jego serce zdobyła, jest własną jego wnuczką...

Acz utwór ten nie równa się z poprzednim, *Sans famille*, to przecież *En famille* jest bardzo ładną i miłą powieścią, uczącą przedewszystkiem zaradności i odwagi w próbach życia. Ale i tu jak tam uderza i razi zupełne wytrącenie Boga z rządów ludzkich przeznaczeń. Dzieci p. Malota dają sobie radę z najcięższemi trudnościami, kosztują ostateczności niedoli i rozpaczy, nigdy w górę o pomoc nie spoglądając, nigdy nie składając rąk do prośby o chleb powszedni, nigdy nie wzywając Opatrzności, czuwającej nad światem. Nie widać tu wprost zaprzeczenia Boga, ale niema o Nim wzmianki. Jest coś groźnego w tem pominięciu i umyślnem zapomnieniu, gotującem światu odchrześcijanienie od kolebki pokolenia. Stara Malachiaszowa przepowiednia nazwacza dla idących niebawem panowań papieskich złowrogie miana: *Religio depopulata, Fides naufragata*. Na to wyplenienie religii i rozbicie wiary, kto wie ile wpływu wywrze sama literatura dla dziecięcego

przeznaczona wieku, jeszcze nie otwarcie bezbożna, ale obywająca się bez Boga i upornie o Nim milcząca. Z tem jednem zasadniczem zastrzeżeniem przyjmować należy najnowsze płody tak bujnej gałęzi piśmiennictwa francuskiego, nie zawierzając jej bezwarunkowo w wychowaniu dziatwy naszej, lecz dopełniając tem skwapliwiej niedostatki, które we Francyi już groźne wydały owoce.

M.

West-Grinstead et les Caryll. Étude historique et religieuse sur le comté de Sussex en Angleterre, par *Max de Trenqualéon*. Paris, chez M. Torré.

Autor mógłby był swojej księdze nadać tytuł „historyi katolickiej osady w Anglii", i dziejów jednej wioski, która jak wyspa ocalała i zachowała wiarę przodków wśród powszechnego zalewu reformacyi. Jakiż wpływ, jaka pomoc niezwykła stała się onego cudu przyczyną? co obwarowało te strzechy od zwycięskiego nowinek podboju? Sumienny badacz, czerpiąc obficie, podobno zbyt obficie ze spuścizny przeszłości, wykazuje nam, jaką tarczą i dźwignią dla zagrożonej wiary stać się może światła, wytrwała opieka pobożnych panów i właścicieli ziemskich, udzielona maluczkim i prostaczkom, młodszej braci, w Kościele Bożym.

West-Grinstead jest osadą położoną w południowej części Anglii. Wyjątkowym sposobem, katolicyzm przetrwał tam nawałność ucisku i prześladowań Henryka VIII., Elżbiety, Cromwella, i wiele, wiele innych, sięgających niemal aż po dni nasze. Otóż wierność tę niezwykłą mieszkańcy Grinstead zawdzięczają przykładom i energii rodu Caryllów.

Pochodzeniem Irlandczycy, przeszczepieni na ziemię angielską, skoligaceni z królewskim domem Plantagenetów, Caryllowie nie zniżyli się do kapitulacyi z sumieniem, gdy tego samowładny zażądał despota. Chroniąc się zdala od dworu we własnych włościach, jęli owszem silnego poparcia udzielać wywołanej religii, ukrywać prawowiernych kapłanów w zamku swoim, bronić wiejską ludność wobec rosnącego ucisku i prześladowania królewskich wysłańców i siepaczy, wyzyskując nieraz skutecznie wysokie swe stanowisko i wpływy, byle osłonić poddanych, próbując nawet prawnego oporu wśród ogólnego bezprawia. Co więcej, z własnej krwi oddawali oni Kościołowi dzielnych sług ołtarzy, z których niejeden życiem przypieczętował swe apostolskie poświęcenie.

Oczywiście, niejednokrotnie przychodziło zacnym Caryllom z West-Grinstead opłacać ciężko swą żarliwość w wierze. Przez długie wszelako lata udało im się dotrwać na wskazanym sobie od Boga posterunku i obronić wysuniętą wśród kacerstwa placówkę katolicką. A gdy ich nie stało — szlachetny ten bowiem ród wygasł pod koniec minionego wieku, w 1788 r. — znaleźli się nowi opiekunowie dla cisnącej się dokoła ludności katolickiej, a w pierwszym rzędzie książę Norfolk. I oto, jak dawniej tak i dzisiaj, owi prostaczkowie postępują wiernie w ślady nieznanych przodków, którzy im wśród wielkiego ucisku dochowali skarbu prawdy i spadek ten wiary św. swym potomkom przekazali.

Może zbyt długo rozpowiedział nam autor dzieje wiejskiej angielskiej osady. Uniesiony nadmiarem źródeł i dokumentów, rozszerzył też nad miarę sumienną i ciekawą monografię, której objętość gotowa mniej cierpliwych odstraszyć. Nie straciła ona atoli dlatego na wartości, a uczy wymownemi przykłady, co w danym razie może dla ludu poświęcenie klas przewodnich i opieka dzielnej a poczciwej szlachty, ludzi nietylko urodzeniem, lecz i usposobieniem szlachetnych, pędzących życie użyteczne i uczciwe, co im zapewnia wpływ niezawodny na całe otoczenie i okolicę. Człowiek z ludu, wieśniak, prostaczek, łatwo się da przestraszyć rynsztunkiem prawnym ucisku religijnego, i gotów stracić od razu serce wobec narzędzi prześladowania; ksiądz z natury rzeczy, jako przesłaniec pokoju, nie może gwałtownie występować, zmuszony nieraz czekać na męczeństwo, zamiast się rwać do zwycięstwa. Społeczności chrześcijańskiej potrzeba tedy koniecznie raz po raz takich znakomitych świeckich zapaśników, którym wolno żwawiej stawiać czoło bezprawiu, używając w potrzebie własnego znaczenia, dostatków i znajomości praw i spraw doczesnych, aby osłonić maluczkich, zagrożonych ostatecznością ucisku, osaczonych zbrodniczemi intrygami, i ocalić ich od zaprzysiężonej im przez złośników zguby. Trudno zmierzyć wielkość dobrego, w danym razie przez ludzi podobnych zdziałanego, trudniej ocenić ogrom złego, które może się spełnić, gdy oni zejdą z placu lub wyraźnego poniechają obowiązku. Wystarczy tu jeden przykład, nie zaczerpnięty w Anglii, lecz na własnym gruncie naszym. I my przecież mamy naszych Caryllów, którym nie zbrakło sposobności wychowania i zgotowania całych pokoleń wyznawców. Gdy nadeszły ciężkie dni ucisku na Podlasiu, zauważano, iż włościanie majątków hr. Wandy z Potockich Kaboga odznaczali się nad innych wiernością i wytrwałością w wierze. Siew zacnej pani

wszędy wschodził żniwem zbawienia. Czemże tedy być musi wpływ wieloletni, czasem wielowiekowy dobrych panów, dbałych o dusze swego ludu, którzy słowem i przykładem, opieką i podnietą ku dobremu, uczą poddanych nad inne skarby strzedz i szanować skarb ojców wiary, i niczem się nie dać oderwać od jedności z Kościołem.

N.

La bas du pavé parisien. Par *Guy Tomel*, avec de nombreuses illustrations. Paris 1894.

Jakaby to mogła być ciekawa, jaka pouczająca książka, gdyby ją pisał ktoś gruntownie obeznany z podziemnem paryskiem życiem; ktoś, co łącząc w sobie spryt policyjnego ajenta z piórem fejletonisty, wiedzę uczonego z sercem prawdziwego chrześcijanina, umiałby dotrzeć do samych głębin kryjówek, w których gnieździ się nędza paryska; dotarłszy, potrafiłby ją odczuć, zrozumieć, odmalować. Takiego talentu p. Guy Tomel nie posiada; brak mu nawet dość wyostrzonego obserwacyjnego zmysłu, aby podpatrzyć nowe jakieś, a przynajmniej stosunkowo nieznane rysy, czy sceny; brak, ale to już zupełny, wyższej umysłowej zdolności do pewnego uporządkowania nagromadzonych szczegółów i szczególików, do wyprowadzenia z nich ogólnych wniosków. Kto zna parę tego rodzaju studyów, a zwabiony tytułem, p. Tomela się chwyci, tego czeka niemiły zawód.

Stosunkowo najciekawsza może jeszcze część pierwsza, opisująca różne przemysły i oryginalne rzemiosła, których w braku lepszego zarobku chwytają się paryscy biedacy i ulicznicy. Jeden biegnie za dorożką kilka kilometrów, aby podać podróżnemu walizkę i w nagrodę otrzymać niejednokrotnie szorstkie: „Idź precz! — nie ruszaj!“ Inny robi sobie imię, jeśli nie fortunę, puszczając się na łowy za królującemi po paryskich kanałach szczurami; inny na nietoperze poluje i odprzedaje gabinetom historyi naturalnej za możliwie słoną, ale w gruncie rzeczy zawsze bardzo niesłoną cenę. Jeszcze inny zarabia na kawałek chleba odprowadzając do domu podpitych i z trudnością na nogach trzymających się mieszczuchów. Trudno wszystkie te profesye wyliczyć, tem bardziej, że niektóre z nich wcale a wcale nie są estetyczne; w każdym razie zapoznać się z niemi jeszcze warto. Za to dobiegłszy do końca pierwszej tej księgi, spokojnie już można całą książkę na bok odłożyć. Różnego rodzaju kajdany, kajdanki, łańcuchy, łańcuszki, które autor w długim szeregu przed oczami przesuwa; różne sposoby czesania się, ubierania i przebierania pewnych znakomitych

złodziejów; różnorodne wytrychy i klucze, któremi do cudzych mieszkań i szaf się dobijali — dla zupełnego profana opisane są za lakonicznie, dla posiadającego pewne elementarne wiadomości w tym kierunku, za szczegółowo; dla jednego i drugiego, z pewnością za nudno.

Błąd to niemały, tem większy, że cała praca p. Guy Tomela miała zdaje się raczej za zadanie zabawić, niż pouczyć; tak przynajmniej sądzićby należało z licznych obrazków, z których niejeden podobno w innej już książce się wysługiwał i do zrozumienia rzeczy niewiele się przyczynia; tak zwłaszcza sądzićby należało z bardzo a bardzo powierzchownego prześlizgiwania się po poruszonych przedmiotach. Tymczasem książka ta ani wiele pouczyć, ani też zabawić nie może.

Ks. J. B.

Der Einfluss des tonischen Accentes auf die melodische u. rhythmische Structur der gregorianischen Psalmodie. Von den *Benedictinern zu Solesmes.*

Ktokolwiek jako-tako obznajomiony jest z właściwościami gregoryańskiego śpiewu, wie, jak ważną w nim rolę odgrywa akcentuacya. Jeśli się nie ma na względzie tego momentu, niepodobna jest zrozumieć gregoryańskiej melodyi, gdyż śpiew liturgiczny jest śpiewaną mową.

W jednym z ostatnich poszytów monumentalnego dzieła *Paléographie musicale,* wydawanego przez Benedyktynów z Solesmes, fundamentalna ta zasada muzyki kościelnej znajduje umiejętne swoje udowodnienie. Przy tej sposobności porusza ta praca jeszcze i inną niemniej ważną kwestyę, mianowicie, że podstawę całego śpiewu gregoryańskiego tworzy psalmodya.

Uważny czytelnik znajdzie w tej rozprawie pouczające, odnośnie do dwu tych zasad, wskazówki i objaśnienia.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Kongres katolików niemieckich w Kolonii. — Wiec starokatolicki. — Skandal w Cempuis. — Neapolitańska mowa Crispiego. — „Polsko-amerykański kościół niezależny".

KONGRES KATOLIKÓW NIEMIECKICH W KOLONII.

Kiedy w roku 1848 zebrali się katolicy niemieccy na pierwszy katolicki wiec w Moguncyi, nie przewidywali, jak wielkiemu dziełu dają początek, do jakiego znaczenia z biegiem lat wiece te dojdą. Świetne były ostatnie kongresy w Würzburgu, Moguncyi, Koblencyi, zwróciły na siebie uwagę całego świata; odbyty świeżo w ostatnich dniach sierpnia wiec w Kolonii, czterdziesty pierwszy z rzędu, przewyższył je jeszcze, jeśli nie doniosłością podjętych kwestyj, jeśli nie entuzyazmem zebranych uczestników, to w każdym razie ich liczbą i zewnętrzną wspaniałością urządzanych na cześć wiecowników manifestacyj, uroczystości. Płatnych biletów wstępu, uprawniających do udziału we wszystkich obradach, wydano 3558, więcej niż kiedykolwiek dotąd; na publicznych zgromadzeniach cisnęło się około siedmiu tysięcy. Zgromadzonych witał imieniem miasta nader serdecznie burmistrz A. Becker, wyrażając życzenie, aby wszystkie wiecowe obrady i rezolucye przyczyniły się istotnie do rozszerzenia chwały bożej, wyszły na dobro kraju i pożytek

cierpiących współbraci. Niemniej serdecznie i gorąco witała ich miejscowa ludność, tak że cały wiec robił i robić musiał wrażenie olbrzymiego tryumfu katolickiej sprawy.

Kwestya rzymska, szkolna, socyalna, kwestya powrotu Jezuitów do Niemiec, rozszerzenia i podniesienia katolickiej prasy, stanowiły, jak z natury rzeczy na tego rodzaju wiecach wynika, główną oś obrad i uchwał. Jaka najlepsza, najostrzejsza broń przeciw socyalizmowi? pytali mówcy, i odpowiadali zgodnie: „Katolicki związek ludowy“ [1]. Związek ten — zdawał sprawę z jego rozwoju i działalności mecenas dr. Trimborn — wzrósł w ostatnim roku o 25.189 członków, tak że obecnie liczy 170.000 członków. W r. 1893 odbyło się za jego staraniem 600 zebrań ludowych, a w przeciągu ostatnich trzech lat, około 2000. Czasopismo związkowe drukuje się obecnie w 175.000 egzemplarzy. Broszurę, zawierającą mowę posła Karola Bachema o socyalistycznem państwie przyszłości, rozszerzono w ilości półtora miliona egzemplarzy; broszurę przeciw bezbarwnej prasie, w 900.000 egzemplarzy. Wogóle rozrzucił Związek od początku swego istnienia około siedm milionów egzemplarzy różnych broszur; nadto wydaje przeznaczoną dla poinformowania gazet *Socyalną korespondencyę,* którą rozsyła do 230 pism. W Würzburgu i Nisie urządził w roku zeszłym t. zw. „kursa socyalne“, na które zapisało się w pierwszem z tych miast 784, w drugiem 548 uczestników. Również niezmiernej wagi są zakładane przez Związek „biura ludowe“, w których robotnik, wieśniak, rzemieślnik, znajduje bezpłatną poradę we wszystkich publicznych sprawach, podatkowych zawikłaniach, możliwych sekaturach ze strony zbyt gorliwych poborców, urzędników i t. p.

Dr. Lieber korzystając z cyfr podanych przez swego poprzednika, wyciągał z nich praktyczne wnioski: „Związek liczy obecnie 170.000 członków. I cóż to znaczy wobec 1,700.000 głosów oddanych w czasie ostatnich wyborów na socyalistycznych posłów? Starać się musimy szczerze i na seryo, abyśmy również

[1] Obszerniej o „Związku“ tym pisał ks. K. Czaykowski w artykule p. t.: „Związek ludowy przeciw socyalizmowi w Niemczech“ *(Przegląd Pow.* z lipca 1893).

doszli do takiej samej cyfry. O liberalizm zbytecznie już dziś nie potrzebujemy się kłopotać; anarchizm jest bez wątpienia niebezpieczniejszym nieprzyjacielem, ale co się go tyczy, to poseł do parlamentu, Winterer, ma z pewnością słuszność utrzymując, że socyalizm jest o wiele groźniejszy od anarchizmu, ponieważ wyrywa z serc ostatnie ślady wiary, miłości do Boga i ludzi. Musimy zatem, musimy koniecznie organizować się, aby odeprzeć szturmy tych Hunnów naszego wieku na chrześcijanizm i wiarę w Boga. Gdzie słuchać nie chcą głosu proboszcza i misyonarza, tam powinien walczyć człowiek świecki, tam obowiązkiem każdego robotnika wystąpić do walki z apostołami niewiary. Wszystkie stany, cały kraj złączyć się musi w tej wspólnej pracy; propagandzie nienawiści przeciwstawić sojusz miłości. Katolicki nasz Związek ludowy niech będzie przykładem dla naszych niekatolickich braci, niech będzie natarczywem wezwaniem, aby szli za naszym przykładem... Opuszczając Kolonię, poweźmy silne postanowienie: ‚Na najbliższym naszym wiecu, będzie nas w Związku ludowym co najmniej 1,700.000!“...

Entuzyastyczne oklaski, przeplatane wesołym śmiechem, wywołała wyborna, oryginalnym humorem zaprawiona mowa Holenderczyka, profesora Schaepmana, o położeniu Kościoła, w szczególności zakonów w Holandyi, a w Niemczech. W Holandyi używa Kościół najzupełniejszej wolności. Biskupów mianuje wyłącznie Papież; proboszczów mianują biskupi, a nawet im nie przychodzi na myśl pytać rządu, czy będzie z nich kontent. Państwo nie miesza się ani do wielkich, ani do małych seminaryów; zostawia w spokoju i nie miesza się do katolickich szkół ludowych. Zakony używają niczem nieograniczonej wolności; równie miejscowym jak zagranicznym zakonnikom wolno pracować gdzie i jak im się podoba. Jezuici francuscy, włoscy, niemieccy przebywają w Holandyi i w jej koloniach, pracują w kościele i szkole, po parafiach, konwiktach, gimnazyach, seminaryach. Ani państwo się ich nie boi; ani protestanci w religijnych swych uczuciach nie czują się urażeni; ani pokój wyznaniowy nie doznaje uszczerbku; ani policyi nie potrzeba podwajać. Rząd nie ma na swe usługi w całym kodeksie ani

jednego paragrafu, który mógłby być skierowanym przeciw krajowym lub zagranicznym Jezuitom... I Holenderczyk umie być nietolerantnym, ale na jedno wszyscy się zgadzają: w kraju, którego mieszkańcy należą do różnych wyznań, myśleć nie można o prawdziwym i uczciwym pokoju religijnym, jeżeli władze, prawa i rząd nie będą się kierować względem wszystkich bez wyjątku najściślejszą bezstronnością. Małe państewka umieją niejednokrotnie lepiej ocenić i zastosowywać w praktyce wielkie zasady, aniżeli państwa grające na pierwszych skrzypcach w europejskim koncercie. Holenderczyk ze zdziwieniem się przypatruje, jak sąsiednie państwa: Francya, Niemcy, obchodzą się z Jezuitami... Przyjdzie, z pewnością przyjdzie czas, w którym i katolicy niemieccy ujrzą spełnione swe życzenia. Cały świat katolicki stoi w sprawie zakonów po waszej stronie. Stójcie tylko wiernie i silnie przy żądaniu waszem: „Musimy mieć wolność Kościoła"; przy haśle: „Oddajcie nam Jezuitów!".

Kongres koloński bardzo ważny ze względu na liczbę uczestników, na swe obrady i uchwały; ważniejszym jeszcze jest jako ponowna manifestacya niczem nie nadwątlonej jedności, łączącej w ściśle katolickich sprawach wszystkich niemieckich katolików. Doświadczony szermierz, br. Schorlemer-Alst, któremu zbyt wojownicze, czy zbyt oryginalne usposobienie wypłatało w ostatnich czasach niejednego figla, wrócił do dawnych, pięknych tradycyj, i przestawszy z ukosa spoglądać na kierowników Centrum i wpływy w niem górujące, brał żywy udział w pracach kongresu. Prawda, że jak w każdem wielkiem stronnictwie, tak i w Centrum, oprócz głównej armii, odróżnić można jeszcze dwa skrzydła: jedno idzie dalej w kierunku demokratycznym, drugie obstaje silniej przy dawnych rodowych czy majątkowych tradycyach i przywilejach; ale różnice te w pewnych zapatrywaniach co do pewnych, głównie społecznych zagadnień, nie przeszkadzają w niczem do jednomyślnego działania wszędzie i zawsze, gdzie i kiedy interesa Kościoła są w grze. Nowym a bardzo silnym dowodem w tym względzie jest właśnie kongres koloński. Przed jego otwarciem, niektóre postępowe, protestanckie gazety wyrażały

w dość jawnych słowach miłą dla siebie nadzieję: katolicy się pokłócą; wielmożni agraryusze: von Schorlemer, von Hoensbroech, von Loë, skruszą kopię z Bachemami i Lieberami — i dnie wielkiego, zgodnego Centrum policzone! Po zamknięciu kongresu wyznać musiały, że grubo się przerachowały w swych przewidywaniach i nadziejach.

WIEC STAROKATOLICKI.

Parodyę katolickich wieców, bardzo zabawną, gdyby z drugiej strony tak znów smutną nie była, urządzili starokatolicy w Rotterdamie. Honorowe miejsca zajmowali: „starokatolicki biskup“ Reinkens, „chrześcijańsko-katolicki biskup“ Herzog z Berna, „administrator“ Cech z Wiednia; były kanonik w rzymskim kościele św. Piotra, apostata hr. Campello, tytułujący się dla odmiany „prezydentem“ włoskich starokatolików; anglikański biskup Herte, protoprezbiter Janyszew z Petersburga, rosyjski jenerał Kirijew, paru protestanckich pastorów. Oryginalni ci „katolicy“, oryginalne toczyli rozprawy. Jeden z obecnych luterskich pastorów wzniósł pochwalny hymn na cześć wspólnej wiary, wspólnych celów, wspólnych ideałów łączących starokatolicyzm z reformacyą. „Są — przyznawał — pewne różnice ale różnice te powinniśmy starannie usuwać na drugi plan; w ten sposób dopełniamy zarazem patryotycznego obowiązku, ponieważ ultramontanizm podkopuje fundamenty państwa i uniemożebnia zgodne pożycie odrębnych wyznań“. — „Biskupi administrator“ Cech, wygłosił referat o nowoczesnych torturach, na które są skazani austryaccy starokatolicy; o zewnętrznym wzroście i wewnętrznem wzmacnianiu się starokatolickiego kościoła. Janyszew zakomunikował życzenia i błogosławieństwo petersburskiego archireja, i w jego imieniu wyraził słodką nadzieję, że prędzej czy później przyjdzie do unii między prawosławiem a starokatolicyzmem. — Dla dodania wszystkim tym życzeniom, postulatom, propozycyom, jeszcze oryginalniejszego piętna, kończono każdodzienne obrady odśpiewaniem nie pobożnej jakiejś pieśni, lecz narodowego hymnu holenderskiego, Marsylianki i *Wacht am Rhein.*

SKANDAL W CEMPUIS.

Jeżeli, mniejsza o to kiedy i gdzie: we Włoszech czy we Francyi, w Niemczech czy w Austryi, wyszły na jaw w szkole, kierowanej przez księży, zakonników, zakonnice, jakie mniejsze lub większe, mniej lub bardziej sprawdzone nieporządki — grzmiała i piorunowała regularnie cała antykatolicka prasa na obu półkulach, szły w parlamentach interpelacye po interpelacyach, szło od kraju do kraju hasło: „Oto skutki wyznaniowej szkoły!“ Francuska loża przodowała zazwyczaj w tej kampanii; dziś właśnie we Francyi, skąd wychodziły główne pociski, najczarniejsze oszczerstwa na szkoły klasztorne, katolickie, pokazało się na dobitnym a nie dającym się zaprzeczyć przykładzie, czem jest i jakie skutki przynosi szkoła wolnomularska, pogańska. Śledztwo, dokonane, nie przez katolików, nie przez wrogów dzisiejszego rządu i systemu, ale przez redakcye dzienników najszczerzej republikańskich: *le Matin* i *le Temps*, wykryło, tuż obok Paryża, w Cempuis, wielki, z funduszów publicznych utrzymywany zakład wychowawczy, który właściwie był publicznym zakładem bezbożności, najgrubszej niemoralności i anarchii. Dyrektor tego zakładu, p. Robin, doprowadził zasady przyjęte dziś przez szkolne prawodawstwo francuskie do ostatnich logicznych konkluzyj; w praktyce pokazały się te konkluzye tak straszne, że najzaciętsi obrońcy panującego wszechwładnie we Francyi szkolnego systemu bezwyznaniowego przyznać się do nich nie chcieli i pierwsi rzucili kamieniem na zbyt, na nieroztropnie logicznego dyrektora. We „wzorowym“ tym zakładzie, obliczonym na 150 chłopców i dziewcząt w wieku od czterech do siedmnastu lat, już nietylko nie wykładano nauki religii, ale wykładano, że religia jest „zbiorem przesądów stojących niejednokrotnie w sprzeczności z uczynkami, nakazanemi przez wyższą moralność; jest zbiorem błędów, potępionych przez naukę“. Owa „wyższa moralność“ nie zna żadnego wstydu; przeciwnie, całe wychowanie, łączące na każdym kroku: w szkole przy zabawie, w kąpielach i t. d., chłopców z dziewczętami, do tego z umysłu jest skierowane, aby zatrzeć, zniszczyć wszelki cień wstydu. Nie zna też naturalnie i miłości ojczyzny. „Walczymy — przyznał się bez ogródek p. Robin — z przesądami

narodowemi, jak walczymy z przesądami religijnemi... Gdyby przyjść miało do wojny, to moi chłopcy krzyczeliby tak jak ja sam krzyczałem w roku 1870: ‚Nie chcemy wojny z Prusami!"; w danym razie opuściliby szeregi, tak jak jabym je przy pierwszej sposobności opuścił. O szowinizm nikt nas tu nie może podejrzywać!"...

Czy nie piękne to owoce zainaugurowanego z takim patosem w imię cywilizacyi, oświaty, „wyższej moralności" i „wyższego patryotyzmu", bezwyznaniowego systemu szkolnego? A czyż może tylko na francuskim gruncie z zatrutego nasienia zatrute owoce się rodzą?

NEAPOLITAŃSKA MOWA CRISPIEGO.

Trudno oczom wierzyć, czytając przemowę, któr Crispi wypowiedział 10 września w Neapolu, przy odsłonięciu tablicy, mającej uwiecznić męstwo króla Humberta, jakiego złożył dowody przed dziesięciu latami, odwiedzając szpitale cholerycznych. Stary spiskowiec, zacięty wróg Kościoła, twórca tylu praw, tylu rozporządzeń przeciw religii wymierzonych, rozpłynął się najprzód w pochwałach „gorącej wiary i ducha dobroczynności", ożywiającego neapolitańskiego kardynała San Felice, a następnie mówił dosłownie:

Społeczeństwo przebywa dziś, niestety, epokę krytyczną. Więcej niż kiedykolwiek odczuwamy konieczność, aby obie powagi: świecka i religijna, postępowały ze sobą w zgodzie dla sprowadzenia napowrót zbłąkanego ludu na drogę sprawiedliwości i miłości. Z ponurych jaskiń wynurzyła się potworna sekta, nosząca na swych sztandarach napis: „Precz z Bogiem, precz z głową państwa!" Dziś, przy tej pamiątkowej uroczystości ścieśniamy nasze szeregi dla zwalczenia tej poczwary. Na sztandarze naszym wypiszmy: „Z Bogiem i królem za ojczyznę!" Nie jest to nowa formułka; jest ona tylko logicznem następstwem hasła wydanego przez Mazziniego po plebiscycie z 21 września 1866 r. Podnieśmy w górę ten sztandar i okazujmy go ludowi jako znak wybawienia: *In hoc signo vinces!*

Co mogło słowa takie w usta Crispiego włożyć; słowa, jakim choć z daleka podobne nie padły jeszcze nigdy z ust włoskiego ministra? Czy zawdzięczać je należy utworzeniu nieza-

leżnej od francuskiego prymasa Afryki, prefektury apostolskiej w Erytrei; czy ostatecznemu uregulowaniu zbyt długo ciągnącej się kwestyi obsadzenia weneckiego patryarchatu i całego szeregu włoskich biskupstw? Zapewne, szczęśliwe rozwiązanie obu tych spraw mogło włoskiemu prezydentowi ministrów ułatwić złożone w Neapolu oświadczenie, mogło stać się do niego bezpośrednią okazyą, ale wierzyć trudno, aby miało być wyłączną, a choćby główną przyczyną. Przyczyną tą — jak z samych już słów Crispiego wypływa — jest po prostu bojaźń przed wzmagającemi się anarchistycznemi prądami, strach przed socyalną rewolucyą, której gorzki przedsmak dał się niedawno temu odczuć w Sycylii. Tylko wzywając Kościół do pomocy w tej walce, należy przedewszystkiem uwolnić go z kajdan, które mu się własnoręcznie nałożyło; inaczej wezwanie wyglądaćby łatwo mogło na szyderstwo, inaczej dziwićby się nie można, gdyby nie przyniosło, gdyby przynajmniej w całej pełni nie przyniosło oczekiwanych skutków.

„POLSKO-AMERYKAŃSKI KOŚCIÓŁ NIEZALEŻNY".

Przed kilku miesiącami pisaliśmy o nieszczęśliwych rozterkach, które wybuchły w kilku polskich parafiach amerykańskich [1]; o paru odszczepieńcach, którzy nie chcąc poddać się swemu biskupowi, ogłosili, że założą nowy „niezależny kościół katolicko-polsko-amerykański". Farsa ta, okrywająca wstydem imię polskie, już się odgrywa. Znany nam Kołaszewski, najprzód usunięty z probostwa w Cleveland, następnie wyklęty imiennie z Kościoła przez biskupa Horstmana, zbudował sobie osobny zbór, któremu miał czoło nadać nazwę kościoła Serca Matki Boskiej, i ściąga do tego kościoła nieoświeconych polskich prostaczków. Ceremonii poświęcenia zboru dokonał — podobno za 500 dolarów — niecny szarlatan, niejaki Vilatte z Green Bay, który tytułuje się arcybiskupem katolickim, chociaż nigdy biskupiej sakry nie otrzymał. Oto, jak chicagowska *Gazeta Katolicka* wstrętną tę komedyę opisuje:

[1] Por. *Przegląd Powszechny* z maja, str. 295 np.

W niedzielę (19 sierpnia) odbyło się zapowiadane poświęcenie. Oszusta z Green Bay przywieźli do zboru Kołaszewski, redaktor plugawej *Jutrzenki* Chrostowski, i niejaki Jan Knioła. W pochodzie do kościoła wzięło udział około 300 (razem z dziećmi i kobietami) otumanionych rodaków naszych. Zbór przystrojony w amerykańskie kolory, nawet stylem nie różni się od zborów protestanckich. Nad drzwiami, na rozciągniętem płótnie widnieje napis: *Welcome dear boleved bishop* (Witaj najukochańszy biskupie). Po pokropieniu kościoła zabrał się Vilatte do odprawienia „sumy“ — w licznej asystencyi. Asystował bowiem Kołaszewski, Dębski z Chicago i kilku drabów za księży przebranych. W przemowie do ludu zaznaczył Vilatte, że jest arcybiskupem katolickim, chociaż są tacy, którzy go za biskupa nie uznają. Lecz na to zważać nie powinni, bo i Chrystusa Pana, gdy na świat dla zbawienia ludzi przybył, Żydzi za Odkupiciela nie uznawali. Słowa jego wyrzeczone po angielsku powtórzył Kołaszewski po polsku. Po południu odbyło się poświęcenie nowego cmentarza, a we wtorek ma się rozpocząć schyzmatycka konwencya, na której zebrani warcholi wybiorą, jak słychać, Kołaszewskiego na biskupa, a święceń udzieli mu Vilatte. Gazety tutejsze donoszą także, że dziś lub jutro jakichś trzech urwiszów wyświęconych być ma na księży nowej sekty. Kołaszewski wciąż powiada, że jest księdzem katolickim, tylko nie uznaje władzy biskupiej nad sobą i nie wierzy w nieomylność papieża. Takim księdzem katolickim był także Marcin Luter, który jeden artykuł wiary po drugim odrzucał, jeżeli mu się nie podobał. Takimi katolikami jak Kołaszewski i jego poplecznicy: Vilatte, Dębski, Barszcz, Chrostowski i Karwowski z Buffalo, byli wszyscy odszczepieńcy, którzy dla plugawego swego życia z Kościoła Chrystusowego wyklęci zostali... Do owczarni Kołaszewskiego, oprócz Chrostowskiego i Skarupskiego, którzy w parafii rej wodzą, należy sam prosty nasz ludek, który nie jest w stanie zdać sobie sprawy ze swych czynności i widząc księdza ubranego po katolicku i odprawiającego ceremonie po katolicku, zupełnie się tem zadawalnia. Oby Bóg, nieoświecony ale uczciwy nasz ludek sprowadził na drogę prawą!...

Nowemu „biskupowi“ Kołaszewskiemu dopomaga wiernie niejaki W. Dębski, który niegdyś, przybrawszy sobie tytuł „biskupa podolskiego“, zakładał kamień węgielny pod kościół stawiany w Detroit przez również, zbyt niestety! znanego Kolasińskiego. W rozrzuconem przez siebie piśmie wzywa Dębski lud

polski do zrzucenia z siebie papieskiego jarzma i tworzenia „narodowych kościołów niezależnych“, w ślady Kołaszewskiego. Ktoś inny opętany, czy obłąkany, tak wierszami się odzywa „do braci Polaków w Cleveland“:

Podłość biskupów, ucisk, samowola,
Ich despotyczny parafiami rząd,
To jak moskiewska sromotna niewola,
Której się, bracia, pozbyć musim stąd...

A więc się ocknij, ty ludzie lechicki,
Nie daj swej pracy Ajryszom [1] na łup,
Stawiajcie kościół polsko-katolicki,
Więc z ks. Kołaszewskim weźcie trwały ślub!...

Zacytowaliśmy te wiersze, aby dać w przybliżeniu poznać, w jaki sposób przemawiają apostołowie „niezależnego“ kościoła; dosadniejszych, o wiele dosadniejszych zdań i wyrażeń nie brak w nowej tej ewangelii, ale w porządnem piśmie niepodobna ich przytaczać. Biedni! — powtórzyć tu tylko jeszcze raz musimy za katolickim organem chicagowskim — biedni, i bardzo widać nieoświeceni ziomkowie nasi, którzy dają się schwycić na taki lep, podawany im przez takich agitatorów!

Ks. Jan Badeni.

Z życia kościelnego w Rosyi.

Hierarchia kościelna prawosławno-rosyjska. — Porównanie jej z hierarchiami innych samoistnych kościołów wschodnich. — Konserwatywny publicysta o rosyjskim klerze zakonnym i jego pracy misyonarskiej. — Misyonarska działalność w Rosyi w sprawozdaniach noworocznych *Moskow. Wiedomosti.* — Ideał kleru parochialnego w marzeniach ober-prokuratora św. Synodu, a rzeczywistość w okólniku konsystorza wołyńskiego. — Osobliwsze obyczaje kościelne w gubernii kurskiej. — Obrazek z życia kościelnego w Saratowie podczas cholery w r. 1892. — Antoniusz, władyka czernihowski, wobec podejrzanych politycznie. — Ucisk narodowości gruzińskiej i seminaryum duchowne w Tyflisie. — Rosyjska literatura historyczna w roku 1893.

Prasa klerykalno-rosyjska uskarża się dość często na obszary swych dyecezyj, jako na jedną z najsłabszych stron życia kościelnego

[1] Irlandczykom.

w Rosyi. W tym względzie w dzienniku *Jużnyj Kraj*, wychodzącym w Charkowie, znajdujemy nader zajmujące dane. W Rosyi — według informacyj tego dziennika — istnieje 34.000 parafij prawosławnych, 58.000 cerkwi, kaplic i domów modlitwy, a 50.000 popów. Wszystko to razem dzieli się na 63 dyecezyj *(eparchie)* i 34 wikaryatów. Przeciętnie zatem na każdą dyecezyę przypada przeszło milion prawosławnych. W sześciu dyecezyach jest ich przeszło dwa miliony, w siedmiu przeszło $1^1/_2$ miliona, w dwudziestu pięciu przeszło milion, w ośmnastu około miliona, w piętnastu mniej niż $^1/_2$ miliona; w dyecezyach zaś kamczackiej i turkestańskiej po 100.000 wiernych. W żadnym ze samoistnych *(autokefalnych)* kościołów wschodnich nie ma tak rozległych dyecezyj, a tak małej stosunkowo ich liczby, jak w prawosławno-rosyjskim. W Grecyi, liczącej zaledwie dwa miliony mieszkańców, jest około 40 dyecezyj, a więc na każdą z nich przypada po 50.000 mieszkańców. Kościół serbski, liczący niespełna 2 miliony wyznawców w królestwie serbskiem, składa się z sześciu dyecezyj. Wogóle wszystkie samoistne kościoły wschodnie poza granicami Rosyi (bez egzarchatu bułgarskiego) liczą 120 dyecezyj i blizko 160 władyków. Wskutek takiej nadzwyczajnej rozległości dyecezyj rosyjskich, są tam — jak zapewnia *Jużnyj Kraj* — miejscowości, w których ludzie rodzą się i umierają, nie widząc nigdy swych archijerejów i władyków.

Na podstawie sprawozdania ober-prokuratora św. Synodu za rok 1890, podaje *Prawìtielstwiennyj Wiestnik* niektóre również ciekawe wiadomości o stanie cerkwi prawosławnej. Parafij, albo związków cerkiewnych, tworzących odrębne jednostki cerkiewne, na początku r. 1890 było w Rosyi 34.699. Na każdą z tych parafij, przy 70 milionach wyznawców cerkwi prawosławnej, wypadało przeciętnie 2000 wiernych. Budynków cerkiewnych liczono: sobornych 666, parafialnych 34.699 i kaplic 15.355; wszystkich wogóle budynków, przeznaczonych do odbywania nabożeństw, było wówczas 50.720, a więc na każdy z nich przypada po 1400 osób.

Na brak zatem kleru lub miejsc do modlenia się Rosya prawosławna uskarżać się chyba nie może. Zbywa jej tylko na duchowieństwie dobrem i sumiennem w wypełnianiu swych obowiązków, na brak którego uskarżają się najpoważniejsze organa zachowawczej opinii publicznej, jak miesięcznik *Russkij Wiestnik*, wychodzący niegdyś pod redakcyą Katkowa, a broniący z zasady interesów cerkwi prawosławnej. Literat E. Markow umieścił niedawno w *Russkim Wiestniku*

zajmujący i nader obrazowy opis swych wrażeń z podróży po Azyi środkowej, zdobytej w początkach drugiej połowy naszego stulecia przez Rosyan. Podnosząc żyzność i bogactwo niektórych prowincyj tego obszernego kraju, autor ubolewa, iż niema komu nieść tam cywilizacyi rosyjsko-chrześcijańskiej. Serce boli — pisze z tego powodu — gdy się przypomni apatyę naszego licznego a zamożnego duchowieństwa zakonnego, które jakby całkowicie utraciło już swe sławne tradycye historyczne i apostolskie, kontentując się obecnie życiem bezcelowem w bogato przyozdobionych i we wszystkie potrzeby obficie zaopatrzonych etatowych monasterach Rosyi wewnętrznej, w takim np. Petersburgu, Kijowie lub Moskwie, gdzie samo istnienie pustelni i monasterów jest czemś nienaturalnem i niemożliwem, zacierającem charakter tych świątobliwych instytucyj, poświęconych samotności, zaparciu się i dobrym uczynkom. Tymczasem nietylko katolicka Francya i Włochy, lecz nawet protestanckie Niemcy i protestancka Anglia wysyłają, jako pionierów swej cywilizacyi i swych przyszłych zdobyczy politycznych, księży, mnichów, misyonarzy i członków różnych kongregacyj. W Saharze wpośród Tuaregów, w Senegambii i Dahomeju, w Afryce wewnętrznej, otwartej światu przez Livingstonów i Stanley'ów, w Tonkinie, Birmie, Chinach i Japonii — wszędzie pracuje z zapałem, nie szczędząc ani zdrowia, ani nawet życia samego, energiczny misyonarz europejski. Nasi Kirgizi i Turkomani, nie mający prawie żadnej wiary, zarówno muzułmanie, jak i poganie-fetyszyści, przedstawialiby bez wątpienia nadzwyczaj wdzięczne pole dla zaszczepiania wśród nich prawd wiary Chrystusowej i cywilizacyi chrześcijańskiej, zwłaszcza iż Rosyanom przywykli oni wierzyć więcej, niż innym Europejczykom, i że Rosyanie jakoś łatwiej zżyć się potrafią z dzikimi Azyatami i łatwiej skłonić ich umieją do pożycia ze sobą. Śmiesznie jest powiedzieć, — pisze dalej p. Markow — iż na całą Turkomanię, Bucharę i prowincye: Samarkandę, Syr-Daryę i Ferganę — nie utworzono dotąd nawet osobnej dyecezyi, lecz przyłączono je do dyecezyi, zwanej wprawdzie turkestańską, lecz utworzonej dla Siemirecza. Widocznie, iż w Rosyi nie znalazł się archijerej, którego możnaby posłać do tych obszernych państw muzułmańskich, zaludniających się z dniem każdym coraz bardziej narodem prawosławno-rosyjskim, podczas gdy Papież tworzy setkami biskupie stolice i dyecezye nawet *in partibus infidelium*, w krajach, gdzie znajdzie się zaledwie kilkudziesięciu katolików.

Wbrew skargom p. Markowa na lenistwo kleru prawosławnego,

dla których znalazło się miejsce na szpaltach konserwatywnego *Russ. Wiestnika*, tryumfalnie prawie brzmią roczne sprawozdania ze stanu cerkwi prawosławnej, podawane w *Moskowskich Wiedomostiach*, w przeglądach noworocznych. Posłuchajmy, jaka jest treść ostatniego z tych sprawozdań: „Praca misyonarska u nas wzmacnia się i rozrasta. Razkoł słabnie, dzięki szerzeniu się oświaty i konferencyom misyonarzy, odbywanym z wiernymi, niezależnie od służby bożej. W roku minionym było kilka wypadków nawracania się całemi rodzinami; we wsi Troickoje, w powiecie orenburskim, przeszło z razkołu na prawosławie w pierwszej połowie roku 11 rodzin, liczących razem 45 osób; w samym tylko miesiącu sierpniu, w dwóch wsiach tegoż powiatu, połączyło się z cerkwią prawosławną 322 razkolników. W Łodzi przeszło z katolicyzmu na prawosławie dziewięć rodzin czeskich w liczbie 31 osób. Od 1-go października 1892 roku odbywają się w Wilnie konferencye z Żydami o Mesyaszu i zasadach wiary prawosławnej. Odbywa je misyonarz eparchii litewskiej, Paweł Dreisen. Jest to oczywiście nowością w sprawach misyonarskich". Wobec tego tonu tryumfującego o postępach prawosławia w obrębie państwa rosyjskiego, jakim się odznaczają ostatnie noworoczne sprawozdania *Moskow. Wiedomosti*, dziwnemi wydać się mogą skargi wyżej cytowane współpracownika *Russkiego Wiestnika* na apatyę i lenistwo kleru prawosławnego do pracy misyonarskiej. Sprzeczność ta jest li tylko pozorną. Kler rosyjski nie podejmuje się misyj dalekich i trudnych, narażających na trudy, niewygody, a niekiedy i niebezpieczeństwa osobiste. Nigdzie się nie spotka misyonarza rosyjskiego w krajach azyatyckich, pośród ludności mongolskiej, nawet w podbitym przez oręż rosyjski Turkestanie. Natomiast do robienia prozelitów w obrębie Rosyi europejskiej, pod osłoną policyi i żandarmeryi, znajdzie się niemało chętnych, wynagradzanych później awansami przez wyższe władze duchowne. Poza obrębem Rosyi europejskiej i Syberyi, misyonarzy prawosławno-rosyjskich napotykamy tylko w Japonii, która obecnie pracom misyonarzy chrześcijańskich nie stawia wogóle żadnych przeszkód, i w Stanach Zjednoczonych, gdzie bez wielkich trudności nawracają na prawosławie wychodźców ruskich z Galicyi i Węgier.

Kiedy przed laty dziesięciu powołano do życia tak zwane szkoły cerkiewno-parafialne, a przed kilku laty postanowiono utworzyć szkoły piśmienności *(gramotnosti)*, jakby niższy, przygotowawczy szczebel dla tamtych, cały ciężar kierowania i jednemi i drugiemi, a nauczania w pierwszych, włożono na barki duchowieństwa prawosławnego, nie

zaopatrzywszy je nawet w odpowiednie na ten cel fundusze. Posłuchajmy, jaki to budujący obraz działalności popa prowincyonalnego malowały wówczas organa klerykalno-prawosławne: „Gęstą siecią — pisze jeden z nich — pokryją szkoły te obszerną powierzchnię Rosyi. Nauczyciele — z pośród piśmiennych i bogobojnych synów włościańskich — zawsze się znajdą; książki szkolne — w składzie przy cerkwi; kler parafialny — katechetą tych szkół i inspektorem; biblioteka parafialna z czytelnią i chór miłośników śpiewu kościelnego również przy cerkwi; niedzielne konferencye w cerkwi, a odczyty w szkole. Parafia staje się zaprawdę żywą jednostką cywilizacyjną. Lepsi uczniowie ze szkół piśmienności będą następnie uzupełniać swą wiedzę w jedno- lub dwu-klasowych szkołach cerkiewno-parafialnych, w których uczą tylko osoby stanu duchownego". Najwięcej takich szkół cerkiewno-parafialnych założono na Ukrainie polskiej (gub. kijowska), Wołyniu i Podolu, celem wzmocnienia tamecznej ludności prawosławnej w wierze z obawy przed wpływem katolicyzmu z jednej, a propagandy sztundy z drugiej strony. Na Ukrainie polskiej niemasz dziś wsi, gdzieby nie było albo szkoły cerkiewno-parafialnej, albo szkoły piśmienności. Św. Synod mniemał, iż ma wszelkie prawo domagać się od duchowieństwa prawosławnego tych prowincyj większej gorliwości w tej mierze, ponieważ należy ono, jak i wogóle w guberniach litewsko-ruskich, do najlepiej uposażonych w całej monarchii rosyjskiej. Jakkolwiek pozornie stało się zadość życzeniom św. Synodu, w rzeczywistości jednak duchowieństwo bardzo niedbale spełnia nowe te obowiązki, jak o tem możemy się przekonać z cyrkularza prawosławnego konsystorza wołyńskiego. Odnośny ustęp brzmi w sposób następujący: „Według doniesienia jednego z tych, co mają baczenie na szkoły cerkiewno-parafialne, niektórzy duchowni ociągają się z umysłu od komunikowania potrzebnych wiadomości dla sprawozdań inspektorskich, aby nie obarczać się zbyteczną pracą zbierania informacyj i wiadomości. Tak np. jeden z parochów na zapytanie, ile w parafii dzieci w wieku szkolnym, nie uczęszczających do szkoły, odpowiedział: liczby dzieci prawosławnych, nie pobierających wcale nauki, oznaczyć niepodobna. Aby podobne niedbalstwo ze strony duszpasterzy względem doniosłej sprawy oświaty ludowej więcej się nie powtórzyło, konsystorz oświadcza, iż gorliwych pracowników w szkołach cerkiewno-parafialnych będzie nagradzał, a niedbałych karał". Ten ostatni argument będzie podobno skuteczniejszy, jak wszystkie ze strony p. Pobiedonoscewa odezwy do duchowieństwa prawosławnego, czynione w imię jakiegoś wyższego,

kapłańskiego poczucia swych obowiązków względem społeczeństwa. Kler prawosławny wogóle jeszcze nie dorósł do tego ideału parocha, jaki powyżej nakreślił jeden z organów św. Synodu petersburskiego.

Narzekano dawniej w prasie prawosławnej na indyferentyzm religijny klas wyższych. Obecnie spotkać się można z objawami indyferentyzmu religijnego coraz częściej wśród ludności wiejskiej. Podobny objaw zaznacza dziennik *Noworosijskij Telegraf* (nr. 5701) w całej południowej Rosyi, będącej równocześnie widownią szerzenia się sztundyzmu. „Skądby — zapytuje ten dziennik — do masy prostego ludu, odznaczającego się zwykle religijnością, mogły się dostać podobne poglądy, nietylko nie licujące z jego stanem duchownym, lecz wprost z nim sprzeczne? Rozpatrzywszy się w poruszonej kwestyi, przychodzi się do wniosku, iż w tym wypadku działają zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne przyczyny. Do rzędu pierwszych zaliczyć należy zaraźliwość w stopniu najwyższym, jaką wywiera zły przykład; im przykład gorszy, podlejszy, tem szybciej przyjmuje się i szkodliwiej działa w tej sferze. Wzorów religijnego indyferentyzmu dostarczają naszemu włościaninowi podejrzane indywidua, które, należąc do odpadków cywilizowanego społeczeństwa, z woli losu dostają się do naszych wsi i osad". Z dalszego ciągu tego artykułu dowiadujemy się, iż tym szkodliwym żywiołem na wsi są pisarze gminni i pokątni doradcy. Podzielić ich można na dwie kategorye: na bardzo szkodliwych i mniej szkodliwych. Pierwsi pozują na panów, w dni postne jadają z mięsem, publicznie szydzą z obrzędów wiary i sług ołtarza, a z chłopem rozprawiają o „ważnych materyach"; drudzy mają do czynienia przeważnie z kieliszkiem, więc wpływ ich na włościan jest tylko zewnętrzny, działający więcej na obyczaje, niż na religijne przekonania ludu.

Możnaby do powyższego artykułu dodać jeszcze wiele innych przyczyn, osłabiających wiarę w narodzie prawosławnym, gdyby tu było miejsce po temu. Czasopismo *Russkaja Żiźń*, opisując obyczaje cerkiewne w kilku powiatach gubernii kurskiej, przedstawia nam wybornie tło, na którem nietylko już indyferentyzm, ale wprost niewiara krzewić się może, idąca najczęściej w parze z brakiem poważania dla duchowieństwa. W sobotę przed św. Dymitrem — dowiadujemy się stamtąd — lub w inne dni, przeznaczone dla nabożeństw za dusze zmarłych, schodzą się kobiety do cerkwi z zapasami żywności i obfitym zasobem gorących napojów. Wysłuchawszy liturgii, niewiasty szykują się w szeregi, a paroch chodzi pomiędzy niemi i od zamożniejszych z pośród nich odbiera dary; za jego przykładem idzie dyakon (wikary),

a resztki od najuboższych zabiera służba kościelna. Podzieliwszy się następnie na grupy, jedne z nich (najbogatsze) idą do parocha, drugie do dyakona, a inne, najuboższe, do djaków. U każdego z nich uczta stypowa już przygotowana: stoły nakryte białym obrusem, a na każdym stole stoją flaszki z wódką. Po wejściu do mieszkania, baby wiejskie najpierw się modlą, a następnie, na wezwanie *batiuszki* i *matuszki* (popadyi), siadają przy stole i wykładają nań przyniesione ze wsi wiktuały. Wkrótce potem nadchodzą i chłopi, a każdy z nich z butelką wódki. I wówczas to zaczyna się stypa na dobre, podobna raczej do jakiejś orgii pijanej. Po wypiciu tego, co przyniesiono, mężczyźni dobywają worki z pieniędzmi i składają się na pół wiadra, a niekiedy i na całe wiadro wódki, i hulatyka trwa do wieczora. Późnym dopiero wieczorem cała ta pijana kompania rozłazi się po domach. Rzadko kiedy, naturalnie, kończy się ta stypa bez skandalu: zdarzają się wypadki nawet wybijania szyb na probostwie! Na drugi lub trzeci dzień po tej uczcie stypowej, duchowieństwo parafialne w całym komplecie jeździ po chatach włościańskich i zbiera tak zwaną *otdaczę* (oddanie), która bywa prawie zawsze obfitą. Oprócz wyżej przytoczonego, są jeszcze i inne obyczaje w tej gubernii: za odprawianie liturgii płaci się nietylko pieniędzmi, ale i wódką (powiat grajworoński); bywają uczty coniedzielne na plebanii z libacyami (powiat koroczański); ogólny traktament kleru w większe święta cerkiewne (powiat biłgorajski); obfite libacye wespół z popami przy poświęceniach nowo zbudowanych domów (powiat obojański) i t. p. Autor powyższych obrazków z życia ludu stwierdza w końcu swego artykułu, iż do rozrostu pijaństwa wśród ludności wiejskiej bardzo czynnie się przykłada sam kler prawosławny. Z takimi przedstawicielami cerkwi panującej nieprędko parafia stanie się, w myśl p. Pobiedonoscewa, „żywą jednostką cywilizacyjną!“

W jaki sposób podobne obyczaje oddziaływają na stosunek ludu wiernego do swych duchownych przewodników, najlepiej można się przekonać z wypadku, opowiedzianego w *Saratowskich eparchialnych wiedomostiach*, jaki miał miejsce dnia 28 czerwca 1892 roku w gubernialnym Saratowie, w cerkwi *Pokrowa*. Archijerej saratowski ogłosił list pasterski do duchowieństwa, w którym polecał mu, aby obznajamiało naród ze wszystkiemi środkami antycholerycznemi. Przed nabożeństwem — powiada pop, odprawiający wówczas liturgię — miałem do ludu odpowiedniej treści naukę. W ciągu tejże byłem zdziwiony niezwykłemi uwagami, jakie czynili moi słuchacze. Gdym mówił, iż dla

chorych na cholerę urządzono osobne szpitale, stojący obok mnie starzec zapytał głośno: „a na co chwytają ludzi?“ — Kiedy kapłan mówi w cerkwi, słuchać należy — rzekłem zwrócony do niego. „Dobrze, dobrze, pomówimy o tem później“ — otrzymałem w odpowiedzi. Gdym wspomniał o tem, iż w szpitalach opiekują się chorymi i lekarze, i felczerowie, i straż sanitarna, i siostry miłosierdzia, usłyszałem z tłumu głos: „wcale się o nich nie troszczą“. Spojrzawszy w tę stronę, rzekłem tonem podniesionym: „wiem o tem dobrze, iż nimi gorliwie się zajmują“. Skoro zaś oświadczyłem, iż należy wykonywać rozporządzenia władzy, — z tłumu dał się słyszeć głos ironiczny: „władzy, władzy...“ Liturgii natomiast wysłuchano w spokoju: lud padał na kolana, z wielu stron dochodziły westchnienia, łkania lub głośno powtarzane prośby do Boga. Kiedy nabożeństwo się kończyło, a lud zbliżał się dla ucałowania krzyża, podchodzi do mnie syn mój, słuchacz medycyny, który tylko co właśnie wrócił ze szpitala cholerycznego, i z cicha rzecze: „czyby, ojcze, nie dało się ludu zatrzymać w cerkwi?“ — Cóż zaszło takiego — pytam. „Ot tam w mieście, powiada, tłum dopuszcza się ekscesów i już popełnił morderstwo“. — W jakiż sposób lud mogę zatrzymać? — „Powiedz im jakąś naukę moralną, byle zyskać na czasie“. Okazało się później, iż w całym Saratowie, w tymże czasie, wybuchły rozruchy. Tegoż samego dnia po rozruchach wezwał archijerej parocha cerkwi *Pokrowa* i nakazał mu, aby na drugi dzień, tj. 29 czerwca st. st., podczas liturgii miał kazanie odpowiedniej okolicznościom treści. „Miałem również zamiar wystąpić z kazaniem — odrzekł archijerejowi paroch — ale odeń odstąpiłem, skorom się dowiedział o zachowaniu się ludu podczas dzisiejszej przemowy w cerkwi batiuszki W.“. — „Duchowieństwo w podobnych razach milczeć nie powinno; ono powinno iść śmiało przeciwko prądowi; któż będzie w stanie udowodnić ludowi jego nierozum? mówcie!“ — „Zastosuję się do woli najprzewielebniejszego pasterza“. Na drugi dzień paroch przemawiał do licznie zgromadzonego ludu. Dopokąd mówił o obowiązkach duszpasterzy nauczania i dawania rad wiernym, a tych ostatnich słuchania i wykonywania takowych, słuchano go uważnie. Skoro zaś przeszedł do rozruchów dnia minionego, spostrzegł w narodzie poruszenie, a gdy zaczął mówić dalej, powstał w cerkwi hałas. Wówczas kaznodzieja, zwracając się do parafian, oświadczył, iż jego obowiązkiem mówić, a ich słuchać. Mówił więc dalej, a w cerkwi tymczasem wzmagał się szum i hałas. „Tak być nie może, — rzecze znowu do parafian — wysłuchajcie, co się wam mówi, a potem przyjdźcie do mnie

i pogadamy o tem na innem miejscu". Kazanie rozpoczyna się na nowo, a w cerkwi równocześnie rośnie hałas i nareszcie dają się słyszeć głośne krzyki: „my nie potrzebujemy obrońców doktorów!" Nareszcie podchodzi do kaznodziei jeden z obecnych i domaga się zakończenia kazania, ponieważ nastrój ludu bardzo niedobry. Paroch kazanie przerywa...

Jak lud prawosławny może w swych duszpasterzach widzieć co innego, jak narzędzia rządu, coś w rodzaju duchowno-moralnej policyi, skoro duchowieństwo samo zniża się dobrowolnie do tego stanowiska, przewyższając niekiedy wykonawców woli rządowej swą służbistością i brutalnością? Podobny wypadek zaszedł właśnie w roku minionym, w Czernihowie zadnieprzańskim. Dnia 20 września, wskutek rozkazu z Petersburga, zrobiono rewizyę i aresztowano tam następujące osoby: Wierę Dejszównę, pannę Reutowską, Bazylego Andrejewskiego i Nowodworskiego, seminarzystów. Wierę Dejszównę zatrzymano w areszcie domowym, w mieszkaniu jej matki, dyrektorki szkoły żeńskiej dyecezalnej, przez wzgląd na ciężką chorobę tejże, grożącą każdej chwili katastrofą. Później jednak nadszedł nowy rozkaz z Petersburga, polecający wszystkich aresztowanych w Czernihowie natychmiast odesłać do Petersburga, więc i Dejszównę zabrano z mieszkania chorej matki. Przy tej sposobności odegrała się przykra scena, z której się okazało, iż żandarmerya rosyjska bywa niekiedy bardziej ludzką od hierarchów prawosławnych. Władyka czernihowski, Antoniusz, jak się tylko dowiedział o aresztowaniu Dejszówny, nietylko zażądał, aby ją wzięto od umierającej matki do więzienia, ale chciał wyrzucić i samą matkę, zajmującą posadę dyrektorki szkoły żeńskiej dyecezalnej, z budynku, będącego własnością kościelną. Żandarmi usilnie przedstawiali, iż jest to rzeczą niemożliwą, aby córkę zabrać od umierającej matki, której nie będzie komu pielęgnować; iż matka życiem to może przypłacić, a zresztą córce niezmiernie żal matki i t. d. Na te wszystkie wywody żandarmów władyka odpowiadał: „Gdy jej żal matki, to niechże ją zabiera ze sobą do więzienia". A gdy mu żandarm zrobił uwagę, iż to przyspieszy śmierć ciężko chorej, władyka odrzekł: „Umierać zawsze potrzeba; dziś lub jutro, u siebie w domu czy w więzieniu". Komentarz wszelki tutaj zbyteczny. Powiadają, iż samo nawet aresztowanie alumnów było dziełem protopopa Markowa, rektora seminaryum duchownego w Czernihowie. Zamianowany rektorem w roku 1887, oświadczył tenże, iż „wykurzy całkowicie z seminaryum ducha małoruskiego". W pierwszym zaraz roku swego urzędowania wygnał dwu-

dziestu seminarzystów z czwartego roku, których rząd natychmiast porozsyłał, „w drodze administracyjnej“, w różne strony obszernego państwa. Odtąd każda rewizya i każde aresztowanie seminarzysty — jak zapewniają — następuje wskutek szpiegowania i denuncyacyi — protopopa Markowa!

Widownią bardzo smutnych objawów stało się w początkach roku bieżącego seminaryum duchowne w Tyflisie. Z nich można się przekonać, czem jest i czem może być rosyjski kościół urzędowy pod względem narodowym nawet w stosunku do tak blizkich siebie samoistnych kościołów wschodnich.

W pierwszej połowie grudnia roku minionego wybuchł w seminaryum tyfliskiem bunt alumnów, w następstwie którego seminaryum zamknięto, a 87 alumnów zeń wydalono bez prawa wstąpienia do jakiegokolwiek innego seminaryum. Bunt ten był wynikiem systemu rusyfikacyi, wypisanego na sztandarze dzisiejszej urzędowej Rosyi, a dającego się srodze we znaki wszystkim narodowościom nierosyjskim. Usiłowania rusyfikacyjne w Gruzyi zaczęły się już od lat stu, od czasu dostania się tego kraju pod panowanie rosyjskie. Cała administracya, całkowity kierunek oświaty publicznej przeszły w ręce rządu rosyjskiego, a miały prowadzić najprostszą drogą do wynarodowienia kraju. Można i należy wyrazić społeczeństwu gruzińskiemu dobrze zasłużone uznanie, iż przeciwko wynarodowieniu walczyło ze wszech sił. W walce tej przodowała szlachta, a z pośród niej wyszli najgorętsi i najzasłużeńsi obrońcy narodowości gruzińskiej. Dosyć tylko wspomnieć imiona: ks. Orbeliani, ks. Eristowa, p. Kitiani, p. Borataszwili, ks. Czawczawadze, Kazbeka, ks. Certele, aby w każdym Gruzinie wywołać żywe wzruszenie i wyrazy wdzięczności dla tych koryfeuszów i mecenasów ruchu narodowego w kraju Zakaukazkim. Z drogiej spuścizny narodowej po przodkach udało się im tylko zachować: odrębny obrządek kościelny, szkołę ludową, teatr i literaturę. Lecz i w te dziedziny ducha narodowego zaczął ostatniemi czasy wkraczać moloch rusyfikacyjny. Literatura i teatr doznawały wszelkich możliwych przeszkód w swym rozwoju ze strony cenzury, a nauczanie w szkołach ludowych już ma tylko na celu rusyfikacyę dziatwy. Szkoła ludowa istnieje prawie wyłącznie dla nauki języka rosyjskiego. Wkońcu ofiarą systemu rządowego paść miał i odrębny obrządek Gruzinów, należących do kościoła wschodniego. W bursach gruzińskich i seminaryum duchownem w Tyflisie, mającem wychowywać księży dla narodu gruzińskiego, zaprowadzono całkowicie wykład rosyjski, a na naukę języka i literatury ojczystej przeznaczono

zaledwie tylko jedną godzinę w tygodniu. Że w tej jednej godzinie niewiele można się było nauczyć, to rzecz jasna. Nawet Pismo św. czytano i objaśniano po rosyjsku, a wykład liturgii odbywał się w języku cerkiewnym. Cała starszyzna duchowna w seminaryum, wszyscy profesorowie są Rosyanami (Gruzinów tylko dwóch), a głównem ich zadaniem jest tłumić wszelkie objawy narodowe wśród młodzieży duchownej i okazywać pogardę dla wszystkiego, co gruzińskie. Taki stosunek pomiędzy starszyzną a wychowańcami seminaryum wywołał już dawniej fakt niesłychany: seminarzysta Łagiew zamordował rektora seminaryum, protopopa Czudieckiego! Rezultat tej polityki rusyfikacyjnej, przeniesionej na grunt kościelny, był taki, iż młodzi duszpasterze nietylko nie byli w stanie sumiennie wypełniać obowiązków duchownych wśród swego narodu, lecz nawet odprawiać z należytem zrozumieniem i przejęciem się liturgii, ponieważ językiem liturgicznym jest jeszcze u nich język gruziński. Na tę okoliczność zwracano już uwagę rządu ze strony hierarchii gruzińskiej. W roku 1889 władyka kutaiski, Gabryel Kikodze, pisał w tym względzie do egzarchy Gruzyi, a więc głowy samoistnego kościoła gruzińskiego, a równocześnie robił przedstawienia zarządowi seminaryum duchownego w Tyflisie. Ale wszystko to nietylko położenia rzeczy nie zmieniło na lepsze, lecz owszem spotęgowało jeszcze prąd rusyfikacyjny i samowolę zarządu seminaryjnego. Książki i czasopisma gruzińskie całkowicie usunięto z seminaryum, a używania języka gruzińskiego nie dozwolono nawet w stosunkach towarzyskich pomiędzy alumnami. Razu pewnego zaszedł taki np. wypadek. Jeden z alumnów pisał list do matki, oczywiście w języku macierzystym. Wchodzi tymczasem na salę pomocnik inspektora, zagląda do skryptu i pyta: „Co ty piszesz?“ — List do matki! — „Dlaczego piszesz tą błazeńską mową?“ — Bo moja matka innej nie rozumie! — „To niech poszuka sobie tłumacza, skoro nie zna języka rosyjskiego!“

Podobne wypadki zdarzały się dosyć często i wkońcu wywołać musiały jednomyślny protest ze strony wszystkich alumnów narodowości gruzińskiej. Na zwołanem w tym celu zebraniu, ułożyli petycyę do rektora, w której prosili o zmianę przepisów i zarządzeń, krępujących używanie języka gruzińskiego, i domagali się utworzenia katedry historyi Gruzyi, literatury gruzińskiej i wykładania liturgiki również w języku ojczystym. Było to w r. 1890. Rektorem seminaryum był wówczas archimandryta Mikołaj, obecnie już władyka aleucki (w Azyi). Nie chcąc doprowadzać rzeczy do ostateczności i wystawiać na szwank

swej karyery duchownej, obiecał uczynić zadosyć życzeniom seminarzystów. Wezwał profesora języka gruzińskiego i polecił mu, aby w ciągu tej jednej godziny tygodniowo wykładał historyę i literaturę Gruzyi, a zarazem dawał potrzebne objaśnienia do liturgii i obrządku kościelnego gruzińskiego. Na razie sprawa na tem stanęła. Archimandryta Mikołaj awansował wkrótce na władykę aleuckiego, a seminarzyści byli zadowoleni z drobnych ulg, jakie im poczyniono w czytaniu książek i prenumerowaniu czasopism gruzińskich. Lecz z ulg tych niedługo korzystali. W r. 1891 inspektorem seminaryum zamianowano mnicha Izydora, protegowanego ówczesnego metropolity petersburskiego Palladiusza. Nowy inspektor powziął szczególniejszą nienawiść do swych wychowańców, krajowców, wyrządzał im wszelkie możliwe przykrości, powtarzając nieustannie: „Moim celem jest doprowadzić do zamknięcia seminaryum tyfliskiego". Lecz na szczęście przeniesiono go na inspektora petersburskiej duchownej akademii (stamtąd wydalono go ze służby duchownej za grube przekroczenia przeciwko moralności i kazano wyjechać do Palestyny), a dla seminaryum tyfliskiego zdawało się, iż nastaną lepsze czasy. Tymczasem rektorem seminaryum został archimandryta Serafin, wyborny typ, rzec można, mnicha-serwilisty i rusyfikatora. Urzędowanie swoje zaczął on od zakazu czytania książek gruzińskich, a przedewszystkiem czasopism, i nawet zabronił mówić po gruzińsku. Zniesiono nawet ów jednogodzinny wykład historyi i literatury gruzińskiej. Dotychczas liturgię w kaplicy seminaryjnej, chociaż odprawiano w języku cerkiewnym, to jednak pewne jej części czytano po gruzińsku; rektor Serafin usunął i ten ostatni ślad narodowości z narodowego obrządku gruzińskiego. Kierownikowi zaś chóru kościelnego gruzińskiego zaproponował, aby do słów gruzińskich zastosował melodyę kościelną rosyjską, a usunął melodye gruzińskie. Lecz kierownik chóru na to nie przystał. Oburzony rektor nie skąpił wcale rosyjskich epitetów dla swych wychowańców, a język ich nazwał *sobaczim* (psim). Znosić podobnego postępowania dłużej było niepodobna. I oto dnia 13 grudnia roku minionego seminarzyści wnieśli skargę do egzarchy Gruzyi, w której, przytaczając cały szereg poważnych powodów i dowodów, żądali usunięcia rektora seminaryum, jego pomocników i profesora Bułgałowa; upraszali zaś naczelnika swego kościoła o zaprowadzenie katedry historyi i literatury gruzińskiej, a przywrócenie języka gruzińskiego w liturgii. Wkońcu oświadczyli, iż dotąd nie będą uczęszczać do seminaryum, dopokąd ich życzeniom nie stanie się zadosyć. W odpowiedzi na powyższą skargę wydalono

niektórych przywódców ruchu narodowego z seminaryum tyfliskiego, poczem inni seminarzyści przyznali się również do winy i prosili o wydalenie z zakładu. Wówczas seminaryum zamknięto, a sprawozdanie przesłano św. Synodowi. Dnia 13 stycznia zapadł wyrok synodalny następującej treści: 1) seminaryum tyfliskie z powodu nieporządków, zaszłych od 13—16 grudnia, zamyka się do początków roku szkolnego 1894/5; 2) 68 alumnom (przeważnie narodowości gruzińskiej) pozwolono przenieść się do innego seminaryum; 3) 87 alumnów (wszyscy Gruzini i jeden Małorusin) usunięto na zawsze ze wszystkich seminaryów duchownych i zabroniono mieszkać w Tyflisie; 4) wszystkim innym pozwolono zapisać się na nowo do seminaryum tyfliskiego od początku przyszłego roku szkolnego.

Dla dokładniejszego zbadania tej sprawy udał się do Tyflisu p. W. Sabler, towarzysz ober-prokuratora św. Synodu. Wyrok powyższy nie został jednak złagodzony. Słychać, że istnieje zamiar utworzenia w kraju Zakaukazkim dwóch seminaryów duchownych: jednego w Tyflisie, a drugiego w Kutaisie, aby oddzielić Gruzinów od alumnów innych narodowości wyznania prawosławnego, którzy ulegali wpływowi narodowej propagandy gruzińskiej, jak się o tem miał przekonać p. Sabler. Z powyższego przedstawienia, opartego na źródłach rosyjskich i korespondencyi z Tyflisu do lwowskiego *Diła*, wynika jak najdowodniej, iż polityka rosyjska narodowo-kościelna, wobec innych wyznań i narodowości, jest jednakową, zarówno na kresach zachodnich, jak i wschodnich państwa.

Ponieważ w wydawnictwach historycznych rosyjskich z roku minionego jest dużo cennego materyału do historyi kościoła prawosławnego, podaję przeto krótką wiadomość o historycznej literaturze rosyjskiej z r. 1893. Z pośród licznych opracowań i wydawnictw zasługują przedewszystkiem na uwagę: „Historya kanonizacyi świętych rosyjskich“ *(Istoria kanonizacii russkich światych)*, studyum p. Wasiliewa, poświęcone wyjaśnieniu kwestyi, kiedy ten lub ów święty był kanonizowany, na jakiej podstawie i według jakiej modły, kto i kiedy napisał jego żywot. „Kwestya bałtycka w XVI. i XVII. wieku“ *(Bałtijskij wapròs w XVI. i XVII. wiekach)*, praca p. Forstena, w której znajduje się mnóstwo ciekawych wiadomości, zaczerpniętych z archiwów szwedzkich i duńskich, o wzajemnych stosunkach czterech mocarstw północnych (Polski, Moskwy, Szwecyi i Danii), usiłujących zdobyć przewagę na północy przez opanowanie ziem Kawalerów Mieczowych. „Rada państwa w Rosyi, zwłaszcza za panowania Aleksan-

dra I.“ *(Gosudarstwiennyj sowiet w Rossii, w osobiennosti w carstwowanie Aleksandra I.)*, obszerne studyum profesora W. Szczegłowa, poświęcone historyi rady państwa w Rosyi, w porównaniu z podobnej kategoryi instytucyami w innych państwach europejskich. „Monety rosyjskie, bite dla Prus, Gruzyi, Polski i Finlandyi“ *(Russkija monety, czekaniennyja dla Prussii, Gruzii, Polszi i Finlandii)*, zeszyt szósty, odznaczający się bogactwem treści, przepychem i artyzmem wydawnictwa, podjętego kosztem w. księcia Jerzego Michajłowicza. „Spuścizna ojczysta“ *(Zawieszczanie otieczeskoje)*, drugie wydanie głośnej pracy Pososzkowa, uzupełnionej drugą częścią, którą odszukał w archiwum synodalnem p. Prileżajew. Jest tam nader cenny materyał do charakterystyki społeczeństwa rosyjskiego w końcu XVII. i w początkach XVIII. wieku. Tom II. „Rosyjskich zabytków historycznych“ *(Russkija istoriczeskija drewnosti)* profesora W. J. Sergiewicza, poświęcony dokładnemu badaniu i wyjaśnieniu, jakie było prawne stanowisko kniazia i wiecu w okresie podziałów Rusi. Drugi zeszyt „Rosyjsko-bizantyńskich fragmentów“ *(Russko-wizantijskich otrywkow)* profesora W. G. Wasilewskiego, gdzie autor występuje z nową hipotezą pochodzenia Rusi, wysnutą ze szczegółowego badania żywotów św. Stefana Surożskiego i św. Jerzego Amastridzkiego. „Prowincyonalny i lokalny zarząd w państwie litewsko-ruskiem“ *(Obłastnoje i miestnoje uprawlenie Litowsko-Russkawo gosudarstwa)* M. Lubawskiego; jest to praca gruntowna, oparta przeważnie na materyale archiwalnym, w której przedstawiono podział państwa litewsko-ruskiego na prowincye w czasie wydania pierwszego Statutu litewskiego i skreślono obraz samorządu miejscowego. „O stosunkach kleru małoruskiego z rządem moskiewskim za panowania Aleksego Michajłowicza“ *(O snoszeniach małorosijskawo duchawienstwa z moskowskim prawitielstwom w carstwowanie Aleksieja Michajłowicza)*, studyum W. Einhorna, wysnute z materyału archiwalnego, a rzucające wiele światła na tę ciekawą kwestyę, dotąd prawie nietkniętą przez historyków. „Historya stosunków ekonomicznych Wielkiego Nowogrodu“ *(Istoria ekonomiczeskawo byta Wielikawo Nowgoroda)* A. J. Nikitskawo, przedstawiająca obraz przemysłu, handlu i wogóle położenia ekonomicznego bogatej rzeczypospolitej nowogrodzkiej od czasów najdawniejszych do początków XVI. wieku. „Historya arcybiskupstwa mińskiego od r. 1793—1832“ *(Istoria minskoj archiepiskopii)* S. Runkiewicza, oparta na źródłach urzędowych i cerkiewno-prawosławnych, a rzucająca dosyć światła na te intrygi i podstępy, jakich chwytali się rząd rosyjski i cerkiew prawosławna, w celu podkopania unii ko-

ścielnej. „Żywot Józefa Siemaszki, metropolity litewskiego“ *(Żizń Josifa Siemaszko, mitropolita litowskawo)* G. Kiprianowicza. W pracy tej, nie przekraczającej granic kompilacyi, zebrał autor dużo szczegółów do charakterystyki osoby i działalności wielkiego grabarza unii brzeskiej, pomijając oczywiście wszystko to, co świadczyćby mogło o nim niekorzystnie. Tom 39 „Archiwum kniazia Woroncowa“, w którym znajdujemy listy, pisane do kniazia M. S. Woroncowa, przez gubernatora odeskiego Lewszina, przez posła rosyjskiego w Konstantynopolu Buteniewa i głośnego jenerała owych czasów Sabaniejewa. Siódmy tom „Życia i prac M. P. Pogodina“ *(Żizń i trudy M. P. Pogodina)* przez Barsukowa, w którym życiorys głośnego panslawisty doprowadzono do r. 1846. Jak w poprzednich, tak i w tym tomie jest dużo ciekawych szczegółów, wybornie niekiedy uwydatniających rosyjskie stosunki literackie i społeczne owych czasów. — W ciągu roku minionego wyszły: 84, 85, 86 i 87 tomy „Zbornika cesarskiego Towarzystwa historycznego“ *(Sbornik Imperatorskawo Istoriczeskawo Obszczestwa)*. Tom 84 zawiera protokóły, dyaryusze i ukazy najwyższej tajnej rady od dnia 1 lipca do grudnia 1728 r.; tom 85 — raporty i inne dokumenta ambasadorów angielskich przy dworze rosyjskim od r. 1740 do marca 1741; tom 86 — korespondencyę dyplomatyczną wice-kanclerza hr. Ostermanna z kardynałem Fleury i komunikaty urzędowe posła francuskiego w Rosyi, margrabiego Chetardy, z lat 1738—1740; tom 87—korespondencyę polityczną Katarzyny II. z lat 1768 i 1769. W osobnem i znacznie rozszerzonem wydaniu wyszły „Zapiski F. F. Wigela“ i „Wspomnienia akademika A. W. Nikitenki“, zawierające masę w najwyższym stopniu zajmującego i różnorodnego materyału do historyi życia społecznego i politycznego Rosyi w pierwszej połowie wieku bieżącego. O „Wspomnieniach akademika Nikitenki“ zdawał już obszernie sprawę p. Lisicki w *Przeglądzie polskim*. Wyszedł także w nowem wydaniu „Nakaz imperatorowej Katarzyny II.“, wydany przez p. Bezgina, a zaopatrzony licznemi uwagami i komentarzami.

Z godniejszych uwagi artykułów, drukowanych w ciągu r. 1893 w rosyjskich czasopismach historycznych, są następujące: „Wspomnienia sewastopolca D. W. Ilińskiego“ *(Russkij Archiw)*, gdzie się znajduje wiele cennych danych do poznania stanu wewnętrznego armii rosyjskiej w czasie kampanii krymskiej i charakterystyki wybitniejszych wodzów. „Zapiski senatora K. N. Lebiediewa“ *(Russkij Archiw)*, rzucające wiele światła na stan społeczeństwa rosyjskiego przed reformami Aleksandra II. Ciąg dalszy „Zapisków N. N. Murawiewa-Kar-

skiego“ *(Russkij Archiw)*, w których opisuje tenże początek wojny rosyjsko-tureckiej w r. 1828. „Graf T. T. Berg, namiestnik Królestwa Polskiego“ *(Russkaja Starina)*. Jest to obszerna biografia namiestnika z czasów najsmutniejszych dla Kongresówki, opowiedziana obszernie lecz tendencyjnie przez p. Anuczina, jednego z żarliwszych rosyjskich *diejatieli*, z której ciekawsze ustępy podał podpisany, w roku przeszłym, w *Przeglądzie Powszechnym*. „Zapiski A. A. Sołtanowskiego“ *(Kijewskaja Starina)*, gdzie mnóstwo ciekawych, aczkolwiek tendencyjnie przedstawionych, rysów społeczeństwa polskiego i sfer urzędowych rosyjskich na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, w latach 1861—1863, z któremi podpisany częściowo obznajamiał już czytelników *Przeglądu Powszechnego*. „Wspomnienia W. A. Połtorackawo“ *(Istoriczeskij Wiestnik)*, kreślące barwnie obrazy z życia kolonii rosyjskiej na Kaukazie i akcyi wojennej tamże w piątem i początkach szóstego dziesięciolecia naszego wieku. „Wspomnienia N. P. Brusiłowa“ *(Istoriczeskij Wiestnik)*, aczkolwiek nieobszerne rozmiarami, lecz nader cenne dla historyi stanu społecznego i towarzyskiego Rosyi w ostatnich latach panowania Katarzyny II. i w początkach panowania Aleksandra I. „Wspomnienia W. N. Pogożewa“ *(Istoriczeskij Wiestnik)*, zasługujące z tego głównie względu na uwagę, iż odtwarzają drobne, lecz charakterystyczne szczegóły z życia średniej klasy społeczeństwa rosyjskiego w pierwszej połowie naszego wieku.

A. Szarłowski.

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków.

W poprzek transformizmu.

Las to formalny obecne poglądy ewolucyjne. Najdziwniejsza rzecz, że do tego lasu nikt naprawdę nie wchodzi ani zeń nie wychodzi; żyjemy wszyscy i obracamy się w głębi lasu, jeden w gąszczach, drugi na młodym zrębie, nikt na łanach złocistych, co może gdzieś poza lasem szeroko się rozciągają, bo nikt właściwie nie wie, gdzie się ten las kończy, a gdzie się zaczyna.

Ewolucyonizm dzisiejszy nie jest wcale określony. Nieokreślonych rzeczy, jak nieokreślonych charakterów zazwyczaj nie lubimy. Nie dziw więc, że każdy określa sobie i ogranicza ewolucyę jak mu się podoba; ponieważ nadto wbrew powszechnemu twierdzeniu *de gustibus non est disputandum*, właśnie o gustach i upodobaniach najczę-

ściej się rozmawia i dysputuje, nie dziw też, że i o gustach ewolucyjnych toczą się ożywione dysputy, rozprawy i spory naukowe, czasem swary i kłótnie do naukowych mało podobne, pono trochę niełądne, ba! zdarza się nawet, co stwierdza niedawno w Niemczech zaszły wypadek, że obie strony ewolucyonistyczne stają przed kratki sądowe i zostają *ad metalla* w naszem znaczeniu skazane. (Historya Haeckla i Hamanna).

Cóż robić. *Quot capita tot sensus.* Różni są ludzie, różni też ewolucyoniści być muszą. Są np. jedni, co, jak sami twierdzą, nie na to mają oczy aby widzieli, ani na to rozum, by rozumnie rzeczy pojmowali, — jednem słowem darwiniści ateleolodzy, lub krócej jeszcze haeckliści. Tym się nikt dziwić nie powinien, jeśli konsekwentnie raczej bujną fantazyą niż rozumem się posługują. Podług nich, a przynajmniej podług ich zasad takby sobie można ewolucyę przedstawić.

Było sobie kiedyś wielkie absolutne nic. Od wieków było, ale oczywista nic nie robiło. Panowały wtedy okropne nudy. Ni stąd ni zowąd zaszła raz chwila bardzo brzemienna—owo nic porodziło pierwszy atom pierwotny, zdaje się atom eteru. Nudziło się jeszcze temu atomowi w swej samotności, więc począł wydawać inne podobne atomy. Tym sposobem namnożyło się ich okrutnie wiele i dopiero zaczęły bujać a dokazywać na świecie. Pewnego razu zderzyło się przypadkiem więcej praatomów z sobą i ze zdumieniem spostrzegło, że nie są w stanie oderwać się od siebie — był to pierwszy atom jakiegoś elementu może wodoru. Przypadki zaczęły chodzić po praatomach, obchodziły coraz częściej różne pierwiastki materyi narodziny swoje. Następnie przez wiele milionów lat atomy pierwiastków zbierały się w różne drobiny, układały się z nich mgławice solarne i planetarne, i nie było już żadnych urodzin, jeno proste, monotonne przekształcania mechaniczne, dynamiczne i chemiczne. Na naszej ziemi nastały zabójcze gorąca i upały, a choć pojawiło się ciepłe pierwotne morze i w wielu miejscach wystąpiły prawyspy, zdawało się, że wszystka materya bezustrojowa zasnęła snem wiecznym, i że znowu zanosi się na nudy straszliwe. Aż tu przypadkiem pewnego pięknego poranku — a było to pod koniec okresu azoicznego, kiedy słońce purpurowe oblało rzęsistemi pękami promieni nagą powłokę ziemi i odbiło się od wód jej i dzikich skał wybuchowych w stutysiącznych kolorach — na jakimś oblanym nieco wodą praoceanu gnejsie czy prałupku znalazło się połączenie węgla, wielkie rokujące nadzieje. I nastąpiło w pamiętnym onym dniu sławne *salto mortale* — ukazała się na ziemi naszej

pierwsza monera, maleńka, bezkształtna, bez wszelkiej struktury wewnętrznej grudka białka, ale zasadniczo zdolna już do odżywiania się i rozrodu, do czucia i ruchu. Co za szkoda, że owa monera nie miała mózgu ni fantazyi niektórych ludzi z naszego stulecia! Ileż to szczęścia, uniesień i zachwytów byłby doznał ten pierwszy rodzic wszech żywin na świecie! Jak śmiałby się serdecznie, a serce jego skakałoby z radości! Byłby widział przed sobą, jak pierwsze zaraz dzieci jego rozdzielą się na dwie wielkie gałęzi, jedne dbać będą więcej o stronę wegetatywną i przejdą w jakieś bakterye, glony, grzyby, paproci, aż do palm, buków i dębów; drugie bardziej pielęgnować będą stronę sensytywną i rozpoczną łańcuch królestwa zwierzęcego. Z niezwykłem zadowoleniem i miłością zastanawiałby się nad losem drugiego rodzaju dzieci, jak przyjmują formy amebowate i innych pierwoszczaków, jak po wielu nadaremnych próbach i usiłowaniach zdobywają się wreszcie na podskoczenie od form jednokomórkowych do wielukomórkowych, jak następnie raźnym krokiem pędzą naprzód przez różne kształty jamochłonów, gdzie szczęśliwym trafem otrzymują zaczątki gęby i jelita, docierają do robaków, do słupów Herkulesa u progu zwierząt kręgowych, kiedy pojawia się w ich organizmie daleki zaczątek kręgosłupa t. zw. wyziga czyli struna grzbietowa. I w tem miejscu zdjęłaby litość praojca pierwszego nad wnuczętami swemi, bo widziałby, jak osłupione stoją na rozstajnych drogach i zadają sobie kłopotliwe pytanie: dokąd pójdziesz Heraklesie? Wnet atoli odmalowałaby się radość na obliczu jego, bo przekonałby się, że część prawnucząt przedziera się śmiało naprzód, a wiedziona najpomyślniejszym trafem, otrzymuje wkrótce rdzeń pacierzowy. Potomstwo to na tym szczeblu nie ma wprawdzie jeszcze mózgu i czaszki, pomału jednak i te przypadkiem dostaje, i w niewielu już milionach lat przechodzi formy najrozmaitszych ryb i płazów, od których znowu pewnej części udaje się przeskoczyć od razu do ssaków. Tutaj rozczulenie pramatki-monery wybuchłoby już spazmatycznie; bo i jakżeż nie rozczulać się, kiedy dzieciakom szczęście i przypadek do tego stopnia sprzyja, że przechodzą cało najrozmaitsze kształty ssaków, dochodzą do małp, małpoludzi, aż niektóre ni stąd ni zowąd zaczynają gadać i stają się *homines*. Najmłodsze to potomstwo pramonery jest z początku okrutnie biedne i głupie, zwolna atoli rozwija się, nabiera doświadczenia, przychodzi do bardzo rozwiniętego rozumu, który wreszcie w XIX. stuleciu, w niektórych głowach staje jako wszechwładne, jedyne bóstwo.

Prawda, że wcale niebrzydka powiastka; może nawet ładniejsza

od dyalektycznych łamigłówek heglowskich. Z nie-bytu rodzi się byt, z nie-życia życie, z nie-czucia czucie, z nie-rozumu rozum, z nie-boga rodzi się bóg — oto jej nić przewodnia i zasadnicza idea. A trzeba wiedzieć, że w powiastce tej sam tylko początek dorobiony jest do oryginału, chociaż ile możności w tym samym stylu.

Tak pojmuje ewolucyę i takie jej słupy wyznacza graniczne dzisiejszy monizm ateleologiczny ze swoim gorącym apostołem na czele, prof. Ernestem Haecklem. Do tego monizmu zbliża się najbardziej szkoła ewolucyjna agnostyczna, która ma licznych zwolenników w Anglii przedewszystkiem i Francyi, a której przewodzi sławny jej twórca, znany powszechnie filozof darwinizmu, Herbert Spencer. I dla spencerowskiej szkoły tak życie roślin ze swoją wrażliwością, z całą rozmaitością objawów morfologicznych i fizyologicznych, jak życie zwierząt z przedziwną organizacyą i funkcyami systemu nerwowego, z wszystkiemi cierpieniami i przyjemnościami zmysłowemi, jak wreszcie życie umysłowe człowieka z nieskończonym zakresem pojęć ogólnych i zasad, praw i prawd konkretnych i oderwanych, z całym obszarem dobra i porządku moralnego, z wszystkiemi rodzajami piękna i artyzmu, jest tylko czystem przeniesieniem, przekształceniem i przemianą energij, których siedliskiem są drobiny i atomy. Jednej jednak rzeczy Spencer nie wciąga w to zaklęte kółko rozwojowe, mianowicie Boga, który jest dla niego „Niepoznawalny", podobnie zresztą jak istota materyi, siły, i wszystko, co tylko nie jest fenomenem kantowskim.

Nie wszyscy jednak przyrodnicy i filozofowie przyrody idą ślepo za poglądami filozofa angielskiego; zdaje mi się, że większa część mniej lub więcej ścieśnia zakres ewolucyi. Przedewszystkiem, co się tyczy człowieka, wielu nakłada więzy ewolucyjne tylko na ciało jego, duszę zaś wyjmuje z pod tej konieczności. Znany w Niemczech z podręczników swoich przyrodnik, Benedyktyn Marcin Gander, twierdzi, że są katoliccy uczeni i księża, którzy tego się właśnie zdania trzymają. Przeważna jednak część katolickich przyrodników wyklucza człowieka zupełnie z cyklu ewolucyjnego tak pod względem duszy jak ciała, do czego zresztą skłania się bardzo wielu przyrodników, którzy skądinąd nie objawiają wcale uczuć katolickich, a nawet znakomity badacz angielski Wallace, właściwy współzałożyciel darwinizmu, domaga się bardzo energicznie tego zupełnego odłączenia człowieka od reszty żywin ziemskich. Tak samo wielka część przyrodników odrzuca samorodztwo nietylko w czasach historycznych, ale i podczas pierwszego pojawienia się życia na ziemi, i przyjmuje bardzo rozumnie, że pierw-

sze organizmy żyjące, więc pierwsze ogniwa łańcucha rozwojowego, muszą być dane. Nie inny początek ewolucyi przyjmował Darwin w pierwszem epokowem dziele swojem; co później twórca descendencyi utrzymywał, trudno osądzić, kiedy zuchwała śmiałość młodego „Darwina jenejskiego“ przejmowała go trwogą, lecz nigdy nie wywołała słów zaprzeczenia lub potępienia. Z listów jego po śmierci wydanych wynikałoby, że właściwym ateuszem nigdy nie był, lecz bardzo się skłaniał na starość do agnostycyzmu. Prócz tego wielu filozofów i pewna część przyrodników uznaje za rzecz pewną lub przynajmniej bardzo prawdopodobną, że zwierzęta i rośliny różnią się między sobą zasadniczo, i że tę różnicę stanowi władza czucia właściwego; ci konsekwentnie przyjmują, że prawdopodobnie osobny początek musiał być dany dla zwierząt a osobny dla roślin. Wreszcie niektórzy filozofowie i przyrodnicy, wcale nawet poważni, uważają za rzecz fizycznie niemożliwą, aby wszystkie zwierzęta lub wszystkie rośliny mogły się rozwinąć z jednej formy zasadniczej; niezmierna rozmaitość postaci i kształtów tak w państwie roślinnem jak zwierzęcem naprowadza ich na myśl, że można zestawić w obu królestwach kilkanaście lub kilkadziesiąt typów, których formy zasadnicze musiałyby być dane na początku ewolucyi życiowej i stanowiłyby główny substrat a materyał przeróżnych postaci każdego typu. Jak każdy widzi, dużo jest w tem zapatrywaniu poglądu ewolucyjnego, lecz jest też trochę starej opinii o stałości gatunków. Ostatecznie bowiem możnaby owe typy uważać za gatunki i obstawać przy twierdzeniu, że przejście z jednego gatunku w drugi jest niemożliwe i że ewolucya ma tylko miejsce w granicach gatunku. Mówią, że prawda jest w pośrodku; jeśli faktycznie tak się rzecz ma, to pogląd ten może najwięcej zbliżałby się do prawdy i możnaby mu wróżyć na przyszłość i wielkie powodzenie i rozpowszechnienie niemałe. Dzisiaj niewielki jest hufiec obrońców tego poglądu. Na polu botaniki dzielnym wodzem jego jest Antoni Kerner von Marilaun, który w pięknem dziele swojem *Pflanzenleben* przyjmuje dla roślin 88 typów tego rodzaju.

Zostawmy już na uboczu kwestyę zakresu pojęcia ewolucyi, a przejdźmy do treści tego pojęcia albo raczej do różnych sposobów, jakiemi ewolucyę jestestw żyjących wytłumaczyć próbowano lub jeszcze próbują.

Trzy głównie kierunki ewolucyonistyczne zaznaczyły się, do których inne częściowo przynajmniej sprowadzić można: lamarckizm, darwinizm, naegelizm. W lamarckizmie główną dźwignią zmienności form

jest przystosowanie do środowiska i używanie lub nieużywanie organów, które wedle tego albo coraz bardziej się doskonalą, albo też zwolna zanikają. Do lamarckizmu da się po części sprowadzić zapatrywanie Geoffroy St. Hilaire'a, który przekształcanie się organizmów składał prawie wyłącznie na karb wpływów otoczenia. W darwinizmie zasady lamarckizmu zajmują więcej podrzędne stanowisko, a główną rolę odgrywa sławna selekcya naturalna. Wreszcie według naegelizmu do wytłumaczenia ewolucyi nie wystarczy ni lamarckizm ni darwinizm, ale konieczne są do tego wewnętrzne przyczyny ustrojów, t. zw. pierwiastek doskonalenia się *(Vervollkommnungsprincip)*. Pomijam teoryę migracyi Wagnera, nagły rozwój Köllikera, jak również znany już czytelnikom *Przeglądu* pogląd ewolucyjny Hamanna — wszystkie bowiem są albo tylko dodatkowemi modyfikacyami niektórych szczegółów w prądach powyższych, albo dadzą się w pewnej mierze pod nie podciągnąć.

Wszystkie owe trzy prądy można i w ostatnich latach odnaleść. Darwinizm uśmiecha się najwięcej synom Albionu i Niemiec, lamarckizm podoba się bardziej w ojczyźnie Lamarcka. Najbardziej bez wątpienia rozpowszechniony jest darwinizm, choć przyznać trzeba, że nie każdy, co się do darwinizmu przyznaje, jest zwolennikiem Haeckla lub Spencera; owszem dodać warto, że nie można znaleść prawie dwu darwinistów, coby darwinizm tak samo pojmowali i tak samo tłumaczyli. A przecież mimo tak ogromnego rozpowszechnienia darwinizmu, nie można powiedzieć, żeby to wytłumaczenie ewolucyi życia na ziemi było dość głębokie i prawdziwie filozoficzne. Prawda, że nie wszystko, co się gada na darwinizm, jest zupełnie słuszne, atoli bardzo dużo rzeczy, które darwinizmowi zarzucano, jest jak najsłuszniejszych i najprawdziwszych, które przez nowsze badania nietylko nie utraciły mocy swojej, owszem jeszcze większej nabrały. Zdaje mi się natomiast, że głęboko myślący botanik Naegeli pojął ewolucyę najlepiej i najfilozoficzniej, chociaż może trochę koszlawo i nieco za ciasno myśl swoją rozprowadził. Ostateczna redakcya myśli Naegeli'ego pojawiła się w grubej książce przed dziesięciu laty. Naegeli atakował silnie wywody i tłumaczenia darwinizmu, stąd nie mógł wiele liczyć na przychylność jego wielbicieli. Prócz tego pierwiastek doskonalenia się Naegeli'ego przypominał przyrodnikom starą siłę żywotną, która nie wiadomo czemu straciła kredyt u bardzo wielu. Mimo to głębsze umysły od początku uznawały wyższość naegelizmu nad darwinizmem, a teraz w ostatnim czasie zaczynają się znowu głosy podnosić za tłumaczeniem i pojmowaniem ewolucyi w duchu Naegeli'ego. Tak np. berliński prof. Frank

oświadcza na końcu pierwszego tomu swojej najnowszej „Botaniki", jako po dokładniejszej rozwadze przychodzi do przekonania, że darwinizm sam nie jest w stanie wytłumaczyć powstania świata roślinnego w całej wspaniałości, rozmaitości i doskonałości, że do tego trzeba przyjąć koniecznie za Naegelim jakieś wewnętrzne dążenie ustrojów do udoskonalenia. Podobnie, lecz o wiele obszerniej i wyraźniej odezwał się przed kilku miesiącami Juliusz Sachs w niemieckiem czasopiśmie *Flora*. Najpoważniejszy ten może i wiekiem i zasługami botanik nie żywi również wielkich sympatyj do hipotezy selekcyi naturalnej. Rozwój państwa roślinnego pojmuje Sachs w sposób następujący. I on stawia więcej grup w systemie naturalnym, o każdej zaś przyjmuje, że wyszła z formy bardzo prostej i bardzo małej, a następnie zwolna doszła do form wysoce wyróżnionych i bardzo doskonałych. Każda grupa atoli trzymała się ściśle podczas tego rozwoju właściwego sobie prawa plastycznego, które już na początku było jej nadane przez wewnętrzną naturę form pierwotnych; każda nadto kształciła się samodzielnie i zupełnie niezależnie od rozwoju innych grup. Głównym zatem bodźcem ewolucyi, jedyną niejako jej sprężyną jest ów wewnętrzny pęd plastyczny, który, nie zważając na inne wpływy, pcha ustawicznie organizmy naprzód, by się coraz wyżej wyróżniały i coraz lepiej doskonaliły. Obok tej dążności wewnętrznej stawia Sachs jeszcze do pomocy niektóre ogólnie działające przyczyny plastyczne fizyologicznej natury, które we wszystkich prawie grupach wywołują pewne równolegle występujące objawy. Polegające na tem procesy plastyczne nazywa mechanomorfozami. Taką mechanomorfozą np. podług Sachsa jest wpływ wielkości właściwej ustroju na strukturę wewnętrzną i zewnętrzne uczłonkowanie. Istota tej mechanomorfozy polega na tem, że w obrębie wszystkich grup fylogenetycznych formy prosto zbudowane są jednocześnie małe i że ze wzrostem wielkości wzrosło również wyróżnienie budowy i członków zewnętrznych.

Należy tu wspomnieć jeszcze o tem, że niektórzy dzisiejsi przyrodnicy zbijają poglądy Naegeli'ego, odrzucają nawet z pogardą jego pierwiastek ewolucyjny, a mimo to sami starają się ewolucyę do przyczyn wewnętrznych sprowadzić. W taki sposób, zdaje mi się, postępują np. Kerner i Weismann. Kerner, nie zgodziwszy się w swojem *Pflanzenleben* na żadne tłumaczenie ewolucyi, stawia własną teoryę krzyżowania *(Vermischungstheorie)*; Weismann broni wprawdzie selekcyi Darwina, wysuwa jednak na pierwszy plan bardzo głośną w ostatnim czasie ciągłość plazmy zarodkowej *(Continuität des Keimplasmas)*; obaj

zatem widzą ostateczne wytłumaczenie ewolucyi w strukturze jaja zapłodnionego, co przecież należy do przyczyn wewnętrznych.

Tak się mniej więcej przedstawia pojęcie ewolucyi w najogólniejszych zarysach. Z dotychczasowego rozwoju tej idei wynikałoby, że, jak na teraz rzeczy stoją, nie można ewolucyi stosować do całego ogółu jestestw na ziemi żyjących, tylko do pewnych grup naturalnych, których mamy poddostatkiem i w królestwie zwierzęcem i roślinnem; że nadto tylko to tłumaczenie ewolucyi ma przyszłość przed sobą, które nie zapomina o wewnętrznych, to jest właściwych przyczynach rozwoju.

Gdybyśmy teraz od tych kilku rysów ogólnych chcieli przejść do szczegółów, spotkalibyśmy się dopiero z prawdziwie nieskończoną rozmaitością sądów, opinij, niepewności. Wystarczy wziąć jedną rzecz na uwagę — dziedziczność. Bez dziedziczności żadna hipoteza transformistyczna ostać się nie może, potrzebuje jej koniecznie i stary pogląd o stałości gatunków. Dlatego każdy, kogo transmisya i rozwój życia na ziemi obchodzi, z kwestyą dziedziczności zetknąć się musi. Dzisiaj zwłaszcza, kiedy liczne i piękne badania nad wewnętrzną budową komórki i istotą zapłodnienia dostarczyły filozofowi dziedziczności podkładu realnego, o który wywody abstrakcyjne zaczepić można, interesują się żywo wszyscy tem wielkiej wagi zagadnieniem biologicznem. Rej wodzi w obecnej chwili bezsprzecznie prof. August Weismann, którego teorya dziedziczności, opierająca się na architektonice plazmy zarodkowej, jest na porządku dziennym. Ma ta teorya swoich przyjaciół, ale ma też przeciwników. Równocześnie z Weismannem zastanawiało się nad tem prawem życiowem wielu innych; każdy pojmował rzecz z własnego punktu widzenia, zależnego zatem od subjektywnych zapatrywań i kierunku specyalnych studyów autora, cóż dziwnego, że nie każdy do tych samych dochodził rezultatów. Krom tego wielu przyzwyczaiło się do pewnego poglądu ewolucyonistycznego, od którego się im odstąpić nie chce, a którego z weismannizmem pogodzić nie można. Wreszcie i zapatrywania Weismanna nie we wszystkich punktach opierają się na bezpośredniej obserwacyi zmysłowej. Wywiązuje się stąd ciekawa walka. W zwartym szeregu przeciwników stają do groźnych zapasów: stary Spencer, Romanes, Haacke, Hertwig, Driesch, Wilckens, Buckman, Emery i wielu innych.

Cały weismannizm jak i walka z nim jest pod wielu względami i bardzo zajmujący i wielce charakterystyczny. Sądzę, że warto kiedy-

indziej zjawisku temu dokładniej się przyjrzeć. Na dziś i ta krótka wzmianka wystarczy.

Z tych kilku uwag o obecnych prądach transformistycznych sens moralny taki: Jakkolwiek pogląd ewolucyjny jest w oderwaniu pod wielu względami najzupełniej uzasadniony i całkiem słusznie w filozofii biologicznej coraz się więcej przyjmuje i ustala, to jednak przyznać trzeba, że naprawdę nikt dziś jeszcze ewolucyi wytłumaczyć, nikt jej granic faktycznych wyznaczyć nie umie. Są to wszystko po wielkiej części marzenia i filozofowania, które tem są śmielsze i tem pewniej do podmiotowych zachcianek naciągane, im chwiejniejszy grunt pod sobą mają. Oczywista jest również, że w tych właśnie podstawowych rzeczach nie umiemy jeszcze stawiać pytań przyrodzie, albo, co gorsza, często na odpowiedź czekać nie chcemy. Przyroda zapytana odpowiada zazwyczaj, lecz niestety taka odpowiedź często gęsto zamiast rzecz rozjaśnić, wikła ją i zaciemnia jeszcze, bo pytanie było niedobrze postawione. Zdarza się znowu, że przyroda zaczyna właśnie odpowiadać; uradowani odchodzimy z kawałkiem odpowiedzi. Trzeba było czekać; bylibyśmy usłyszeli w drugiej części negacyę tego sądu, któryśmy z pierwszej tryumfalnie wysnuli.

Zupełnym jednak sceptykiem podobno być nie trzeba i nie można — miejmy więc nadzieję, że prędzej czy później kierunek ewolucyjny, który jednocześnie i dużo złego i bardzo wiele dobrego na wszystkich polach nauki zdziałał, i sam wreszcie nabierze kształtów i rysów wyraźnych i pewnych, dobrze oświetlonych i wyświeconych.

J. Nuckowski.

Jubileusz ks. Józefa Dąbrowskiego w Detroit.

Tak ciągle smutne tylko wieści, o bujnie rozwijających się na amerykańskiej ziemi naszych wadach narodowych, odbieramy, że ze skwapliwością chwytamy coś przecie z tej sfery pocieszającego.

Alluzya to do nieszczęsnego wichrzyciela, ks. Kołaszewskiego *et consortes* (o którym patrz wyżej w „Sprawach Kościoła"), i najzacniejszego, prawdziwie polskiego kapłana, ks. Dąbrowskiego, założyciela seminaryum polskiego i polskich Felicyanek w Ameryce.

Otóż obchodzi on w tym roku 25-ciolecie swego kapłaństwa i jednoczesnej prawie działalności swej i zasług dla katolickiej Polonii w Ameryce.

Niedziela amerykańska w n-rze 31 obszernie obchód ten opisując

o telegramie Ojca św. tak mówi: „Szczery zapał i wdzięczność synowską obecnych wywołała dla Głowy Kościoła depesza nadesłana od Jego Świątobliwości Leona XIII. Depesza ta opiewa: *Jubilarem benedicit peramanter Leo Papa*“. I dalej: „Żywą radość wywołał telegram nadesłany z Woerishofen z Bawaryi, od ks. Kneippa, którego czcigodny Jubilat jest wielkim zwolennikiem“. Nadto wymienia *Niedziela* dwadzieścia kilka depesz z Ameryki od księży, redakcyj gazet i osób prywatnych.

Jużto największą przyjemność sprawiły czcigodnemu Jubilatowi Jego, że się tak wyrazimy, córki i wnuczęta duchowne, tj. Felicyanki ze swemi wychowankami. Dzieci te tworzyły szpaler na drodze z gmachu seminaryum polskiego do kaplicy Sióstr Felicyanek.

„Najprzewielebniejszy ks. biskup Foley — pisze *Niedziela* — odmówił z Jubilatem u stopni oltarza *Introit* i z tronu wysłuchał Mszy świętej“. Kazanie miał ks. Radziejowski.

Pamiętamy, kiedy *Misye katolickie* z r. 1882 drukowały rzewne nadzwyczaj listy amerykańskie Matki Kajetany, która z Matką Moniką w roku 1874 pierwsze lody łamała. Nie wiadomo było prawdziwie, czyją odwagę i poświęcenie więcej podziwiać, czy ks. Dąbrowskiego, który im w ówczesnych okolicznościach tę misyę zaproponował i zrobił możebną, czy też ich, że się na nią odważyły. Bóg ci to zaiste dał swego ducha obojej stronie. A ten też Bóg dobry dziwnie temu nasionku gorczycznemu pobłogosławił, bo oto przed kilku miesiącami, jakby na uczczenie Jubilata, mogła taż sama Matka Kajetana towarzyszyć do Ameryki wizytatorce M. Brunonie. Tak się bowiem na tej dziewiczej ziemi amerykańskiej Felicyanki rozmnożyły, że trzeba je było na dwie prowincye podzielić.

W tym samym n-rze *Niedzieli* czcig. ks. Dąbrowski zamieszcza serdeczne i długie podziękowanie za stosunkowo niewielki dar 200 dolarów od parafian z Lemontu, „którzy pierwsi spieszą w imię miłości chrześcijańskiej z pomocą temu zakładowi... Jest to pierwszy większy datek, jaki tego roku otrzymuję... Ofiara ta bardzo na czasie, bo... młodzież garnie się do seminaryum a funduszów niema“... Oby i w sercu Polski europejskiej te słowa czcigodnego Jubilata znalazły serdeczny a skuteczny oddźwięk. Tego i my Mu wraz z błogosławieństwem boskiem *ad multos annos*, całem sercem życzymy!

Ks. H. P.

Druk ukończony 26 września 1894 r.

INDUKCYA U ARYSTOTELESA I PERYPATETYKÓW.

Odkąd Kopernik wymierzył śmiertelny cios starożytnej mechanice, odtąd badacze zjawisk przyrody ujrzeli przed sobą wdzięczne pole do pracy. Przedtem spoglądali na zmiany stanu ciał, na ruch ich albo spoczynek, jako na objawy wewnętrznej siły, którą opatrzone żywioły torują sobie, mimo przeszkód, drogę do swoich miejsc samowładnie. Taki pogląd nie nasuwał przyrodnikom myśli, że możnaby opanować świat widzialny; zdobywczych zamysłów nie budzi w niczyim umyśle samodzielna potęga, silniejsza od zewnętrznych wpływów, ani nieulegająca obcym rozkazom, nietykalna w swojej samowładzy. Kopernik usunął tę zastawę z drogi, którą badacze przyrody odtąd raźnym krokiem ruszyli w pochód na podbój bezwładnej przyrody i kazali jej posłusznie służyć potrzebom człowieka. Zapał ogarnął umysły jeden po drugim odkrywca dawał wymowne dowody, że pojęcie przyrody bezwładnej mieści w sobie zarodek poglądów żyznych dla nauki i sprowadza ją na właściwą drogę do prawdy.

Ale krzewiciele nowych poglądów, zapatrzeni w świat dotąd nieznany, tak zaprzątnęli umysł wynalazkami, które zdzierały zasłonę z tajemnic przyrody, że nie widzieli nic poza obrębem wypadków doświadczalnych: w nich kazali szukać ostatniego słowa wiedzy ludzkiej i całego postępu na drodze do prawdy. Dla umysłowej pracy poprzednich myślicieli nie szczędzili słów pogardy, a najmniej cenili sobie zdobycze ubiegłych wieków na polu filozofii. Prawda, że filozofia perypatetyczna niejedną

zasadę wywodziła ze starożytnego poglądu na ruch, jako wynik samowładnego popędu ciał do właściwego im miejsca; rzeczywiście opierała pojęcie samowładnego ruchu na swej nauce o istotnych składnikach ciał; ale ostatecznie w tych szczegółach swojej nauki uznała potrzebę zmiany i oczyściła ją w świetle prawdy, odkrytej przez Kopernika; ani w tych pojęciach nie broniła Arystotelesa, kiedy postęp nauk przyrodniczych przekonał umysły, że ciała nie zmieniają samowładnie miejsca w przestrzeni. Przecież zmiana tylko niektórych zasad w filozofii Arystotelesa, choćby ważnych, nie dogodziła jej przeciwnikom. Ci żądali więcej: nie częściowej naprawy przedawnionych pojęć w starej budowie, tylko jej zagłady doszczętnej i wzbudzenia nowej filozofii, zupełnie wyzwolonej z pod opieki powag i ksiąg średniowiecznych. Zapowiadali, że ten najdalej zajdzie po drodze do prawdy i posunie naprzód rozwój filozofii rzetelnej, kto najmniej krępuje umysł takiemi więzami nauki, jakie u perypatetyków uchodziły za filozofię [1].

Wśród powszechnej wrzawy, wywołanej w świecie uczonym przez założycieli wyzwolonej filozofii, najdonioślejszy głos zalatywał do uczelni z cichego zakątka werulamskiego, gdzie kanclerz Bakon, skołatany życiem, poświęcał wolne chwile pracom naukowym. Główną treść swoich poglądów zawarł w dziele *Novum Organon*, gdzie (ks. I., 63) tak ocenia filozofię Arystotelesa:

„Arystoteles dostarcza najjaskrawszego przykładu, jak można z sofizmatów utworzyć filozofię. Swoją dyalektyką spaczył filozofię przyrody, bo zbudował sobie świat z kategoryj... przyrodę obładował różnemi dodatkami własnego wymysłu, nigdzie nie zadaje sobie trudu, żeby dojść do prawdy rzeczywistej, a za to wszędzie troszczy się o to, jakby zawikłać przeciwnika w rozprawie i kuciem wyrazów pokryć nieuctwo... w jego fizyce rzadko kiedy słyszymy co więcej, prócz brzęku dyalektyki.. A nie może nikogo dobrze usposobić dla Arystotelesa nawet widok jego dzieł niektórych, zapełnionych szczegółami doświadczalnemi. Już z poglądem zawczasu ułożonym Arystoteles badał zjawiska i, za-

[1] Cartesii, *Princ. Phil.*, 7 i 12; tegoż: *Discours sur la méth.*, 6.

miast z prawd doświadczalnych wywodzić zasady i pewniki, nadużywał zmysłu spostrzegawczego, żeby do praw i wyroków samowolnie narzuconych zjawiskom, naciągać wypadki doświadczalne, które przywodzi tak nagięte do poglądów z góry usnutych, jakby zwoływał niewolników skrępowanych pętami"... (82): „Każdy głębszy badacz, słusznie przerażony, spostrzeże, że jeszcze nikt na świecie nie dbał o to, żeby wytknąć i utorować do ludzkiego umysłu z wiedzy nabytej przez zmysły, drogę należycie ubitą i zaopatrzoną"... (122): „Gdyby zasadnicze błędy nie tkwiły w pierwszych podstawach nauki perypatetycznej, to możnaby spaczone pojęcia zastąpić rzetelnemi. Ale kiedy błędy służą za drogoskaz, kiedy wszyscy o przyrodzie już nietylko błędnie i opacznie rozumują, ale nawet nic o niej nie wiedzą, ani jej nie badają, to niema dziwu, że nie dochodzą do kresu, do którego nie dążą".

Żeby wydźwignąć nauki z upadku, Bakon upatruje przyczynę ich ówczesnego stanu w zasadniczym braku indukcyi, zaniedbanej całkowicie, jak twierdzi, przez całą szkołę Arystotelesa, nietylko przez perypatetyków poszczególnych. Więc sam zadał sobie pracę, żeby zbadać istotę indukcyi i jej prawidła, a zadowolony plonem ciężkich trudów, ogłasza ich wynik, jako zadatek pomyślnego postępu wiedzy w każdym zakresie.

Za Bakonem powtórzyli liczni przeciwnicy Arystotelesa ten sam sąd o jego filozofii. Nie poprzestali na zarzucie, że czasem ścieżki, po których Arystoteles szukał prawdy, prowadziły na manowce. Sami perypatetycy mogli to wytknąć swojemu wodzowi, i w samej rzeczy wytykali nieraz za przykładem św. Tomasza z Akwinu, ani nie myśleli więzić prawdy poglądami Arystotelesa, sprzecznemi z jakąbądź prawdą, czy to objawioną w Składzie wiary, czy niezbicie udowodnioną w fizyce późniejszej albo w innej gałęzi wiedzy. Ale naśladowcy Bakona w jego pogardzie dla filozofii Arystotelesa twierdzili, że perypatetycy wcale nie zaspakajają umysłu żądnego prawdy, ani nie wykładają żadnej filozofii umiejętnie, bo swoją filozofię wysnuli z pojęć oderwanych i zawiłych ogólników, albo w najlepszym razie, kiedy opierali ją na podstawach doświadczalnych, nie umieli

czytać w księdze przyrody, bo nie znali klucza do jej zagadek: indukcyi.

Ten zarzut padł na cały obóz perypatetyczny, nie na poszczególnych uczniów Arystotelesa. Gdyby zwolennicy Bakona oskarżali tylko niektórych perypatetyków o wyłączną wiarę w syllogizm, a niedbanie o indukcyę, w takim razie dzieje oświaty świadczyłyby za oskarżycielami. O niejednym perypatetyku, osobiście odpowiedzialnym za wybór błędnej drogi, można dowodnie wykazać, że nie lubił czy nie umiał używać indukcyi, albo niezupełnie pojął może, co znaczy indukcya, ten dowód a raczej wykaz, który z poszczególnych prawd doświadczalnych wnosi prawdę ogólną, przeciwnie aniżeli syllogizm, który ze znanych prawd ogólnych prowadzi do szczegółów nieznanych. Tak znajdujemy określoną indukcyę we wszystkich prawie logikach perypatetycznych, opartych na Arystotelesie. Od razu widzimy, że indukcya, określona tak ogólnie, więcej w sobie zawiera, niż indukcya bakońska, i odpowiada temu, co Stuart Mill nazywa indukcyą: mianowicie i Arystoteles i Mill indukcyą nazywają każdy przechód myśli z prawd poszczególnych, zmysłowo doświadczalnych, z uchwytnych wypadków i zjawisk, do prawd powszechnych, do ogólnych praw przyrody i bytu, do zasad naukowych i czysto rozumowych: więc nie poprzestają na prawach fizyki, jak Bakon, nietylko do nich potrzebują indukcyi, ale do każdego pewnika naukowego, do każdej prawdy oderwanej i zasadniczej. Jak wszędzie, tak i w szkole Arystotelesa można znaleść marzycieli, których indukcye nudzą, bo z syllogizmem im wygodniej wysnuwać cały układ pomysłów z rozbioru własnych pojęć, opierać oderwane dowody na pewnikach doraźnie stawianych i bujać w mgle nadzmysłowych poglądów, żeby z góry spoglądać na świat rzeczywisty i według praw własnego wynalazku sądzić o biegu zjawisk w przyrodzie. O tego rodzaju umysłach nie można zaprzeczyć, że pracę swoją, nieraz głęboką, marnowały bez pożytku dla postępu filozofii, ale ich osobiste wady i błędy nie tyle szkodzą szkole, do której należeli, żeby warto było obszerniej rozprawiać nad rozmiarem ich winy i jej następstwem.

Daleko więcej zaważyłby na szali dziejów oświaty błąd powszechny, w który popadłby był Arystoteles z całą swoją szkołą, gdyby był zasadniczo chybił przy wyborze drogi do prawdy. Ale czy istotnie Arystotelesowi i perypatetykom przyświecało wyłącznie światło syllogizmu, a indukcya nie świadczyła ważnych usług w pochodzie ich myśli?

Choć Bakon tak dosadnie karci średniowieczną filozofię całą, a Arystotelesa szczególniej, za brak doświadczalnej drogi w ich filozofii, za aprioryczne syllogizmy wszędzie i zapoznaną potrzebę indukcyi, jednak istnieją po dziś dzień pisma Arystotelesa i perypatetyków na świadectwo, jak powierzchownie sądził o nich Bakon. Możnaby o tem wątpić, czy te pisma zawierają dokładne prawidła indukcyi i ściśle określają jej użytek; możnaby filozoficznie rozprawiać o sile dowodów, rozrzuconych po tych pismach; ale jeżeli uważamy je tylko za źródło do dziejów filozofii, wtenczas nie badamy, o ile ich pisarze szczęśliwie wyłożyli potrzebę indukcyi i wyczerpali jej istotę swojemi prawidłami. Choćby tylko jako dziejowe świadectwo te pisma mogły Bakona przekonać, że na długie wieki przed jego wynalazkiem, indukcya u Arystotelesa i perypatetyków miała cenę wysoką i uchodziła za źródło prawdy równorzędne z syllogizmem.

Żeby to sprawdzić, wystarczy zestawić ustępy pism Arystotelesa o indukcyi z ich wykładem, wybranym z dzieł św. Tomasza i innych perypatetyków średniowiecznych, z którymi zgodnie naukę Arystotelesa rozumie wielu najnowszych dziejopisów filozofii [1].

---

[1] Por.: Rud. **Agricola** (*De inventione*, Coloniae 1563, str. 341); **Albert** W. (*In 2 Pr. Anal.*, tract. VII, cap. 4); **Algazel** Arab (*Logica et Phil.*, Venetiis 1506, ark. 1, str. 2; ark. 2, str. 1); **Albumazar** Arab (*De syllogismo*, cap. 16); Franc. **Arrentinus** (*Expl. 1-i et 2-i Post. Anal.*, Venetiis 1608, str. 130); **Arriaga** (*Cursus Phil.*, Paris 1637, str. 28); **Boetius** (*De differ. top*, Migne t. 64, str. 1183—1185); **S. Bonaventura** (*Opera Aquis Claris prop*, Florent. 1887, str. 322); J. Fr. **Burrana** *Sup. Pr. Resol. Arist.*, Venetiis 1557, str. 1036); Fr. **Cagni** *Theoremata*, Venetiis 1541, str. 7); Andr. **Caesalpinus** (*Qq. peripat.*, Attrebati 1588, str. 363—165); Th. **Campanella** *Logic.*, Paris 1537, str. 360, 400); J. **Case** oxoniens. (*Summa in dial. Arist.*, Francofurti 1589, str. 26); Coll. **Complutense** Fr. Disc. (*Artium Curs.*, Lugd. 1670, t. I, str. 11, 470, 471); **Conimbricens.** S. J. (*Comm. in univ. logic.*, Coloniae 1604, t. II, str. 158, 172);

W świetle tych dzieł można zdać sprawę z perypatetycznej nauki o indukcyi. Żeby ją wyłuszczyć, wystarczy odpowiedzieć na dwa pytania:

1) Do czego indukcya służy według Arystotelesa i perypatetyków?

2) Jakim prawidłom indukcya podlega u tych filozofów?

Odpowiedź na pierwsze pytanie wymaga rzutu oka na spór między Arystotelesem i Platonem o źródło, z którego czerpiemy prawdy pierwotne; dlatego wypada pierwej przedstawić tło nauki wspólnej Arystotelesowi i jego mistrzowi, z której w dalszym ciągu wynikła różnica ich poglądów, a następnie bliżej określić stanowisko zajęte przez każdego przeciwnika, i przytem zaznaczyć, jak z powodu tego sporu Arystoteles wyłożył

Drobisch (*Logik*, Leipz. 1863, § 147, 148); R. M. **Egidius** roman. (*In Pr. Anal.*, Venet. 1516, str. 72a, 78b, 79a); Mat. **Flacius** (*In org. Arist.*, Francof. 1593, str. 568, 570, 700); Dom. de **Flandria** O. P. (*In D. Th. comm. sup. Post. Anal. Arist.*, Venet. 1600, str. 91, 92); P. **Fonseca** S. J. (*In libr. Metaph.*, Coloniae 1615, t. I, str. 94a, b, 848, 899); M. **Gerardus** (*Logic.*, Colon. 1565, str. 592); Mag. Johann. **Glogowiensis** (*Libr. Post. Anal.*, Lips. str. 189, 191); M. K. **Gothofred** (*Logic. arist. et rameae synops.*, Herbornae Nassov. 1602, str. 179—181); **Goudin** O. P. (*Philos.*, Monachii 1735, t. I, str. 220—228); Guil. **Hilden** (*Organ.*, Berlin 1585, str. 424, 571...); **Hoppe** (*Logik*, Paderb. 1868, str. 545—552, 717—783); **Hospinianus** (*Dialect.*, Antverp. 1585, str. 242—245); **Hurtodo** S. J. (*Philos. Logic.*, Lugd. 1622, str. 41); Chr. **Javellus** Canap. O. P. (Lugd. 1579, str. 524); **Joannes** de S. Th. O. P. (*Artis logic.*, p. I, Duaci. str. 105—111, 365—368; **Jodocus** Wilichius (*Libr. 3. Erothemath. dialect.*, Argentorati 1561, str. 191—195); **Keckermann** (*Syst. Logic.*, Francofurti 1628, str. 452—455); Colonie in bursa **Lauretana** (*Reparationes*, Coloniae 1500, ark. H karta III; ark. K karta VI, VII; ark. P karta II, III); G. H. **Lewes** (*Gesch. d. Phil.*, Berlin 1871, t. I); **Lotze** (*Logik*, Leipz. 1874, § 101, 102, 251—263); De **Mauronis** (*In 1-m dist. Prol.*, qq. 14, 17, 19, 20, 1 dist. q. 1); De **Maria** S. J. (*Logic. min.*, tr. 3, cap. 2, art. 1 et 2, *log. maj.* q. 4, tota); **Marsilius** (*In Pr. Anal.*, Venet. 1516, str. 35a—36b); **Masius** O. P. (*In logic.*, Moguntiae 1621, t. II, str. 205, 206, 382—384, 462—464, 469—476); **Mastrius** (*In organ.*, Venet. 1646, pars I. nn. 87—89. 94—97); **Matthisius** (*In logic.*, Coloniae 1565, str. 484—487, 592); Phil. **Melanchton** (*Dialecticae praeception*, Lips. 1545, str. 113—115; *Erotemata dialect.*, Wirtemb. 1550, str. 184—186); A. B. de **Mirandula** (*Instit. in univ. logic.*, Basileae 1545, str. 34, 49, 251, 337); Phil. **Mocenicus** (*Instit.*, Attrebati 1588, str, 76); P. **Molineus** (*Element. logic.*, Raphelengi 1603, str. 30); Didac. **Ortiz** O. P. (Brixiae 1650, str. 114, 116); **Pacius** a Beriga (*In Organ.*, Aureliae Allobr. 1605, str. 257. 258, 314,

swoje pojęcia o indukcyi i jej potrzebie; nakoniec zwrócić uwagę na to, jak Arystoteles w swoich pismach pamiętał na własne zasady o indukcyi, których bronił przeciw Platonowi.

Czego zgodnie uczyli Arystoteles i Platon o prawdzie pierwotnej?

Co przedstawia nam to samo pojęcie „prawda"? Kiedy prawdę nazywamy „pierwotną"? Poruszamy te pytania, bo one wywołały pierwszy wykład indukcyi.

Istotnie w odpowiedzi na te pytania słyszymy jeszcze Arystotelesa zgodnego z Platonem; ich wspólną naukę można tu streścić za św. Tomaszem z Akwinu, który ją jasno zestawił z różnych ustępów ich dzieł.

Co odpowiada naszemu pojęciu prawdy? Czy czerpiemy z przyrody rzeczy rzeczywistą treść tego pojęcia? Czy urabiamy

---

345—349); **Philippoponus** (*In Arist. Post. Anal.*, Venet. str. 56, 116—118); Joan. **Picus** de Mirandula (Opera Basileae 1601, t. II, str. 746—753); **Rabus** (*Logik*, Erlangen 1868, str. 249—267); H. **Ritter** (*Gesch. der Phil.*, Hamburg 1831, cz. III, str. 97—116); Th. **Rixner** (*Gesch. d. Phil.*, Salzbach 1829, t. I, str. 237); Ant. **Rocci** (*In Arist. Logic.*, Venet. 1637, str. 339—341); Ant. **Ruvius** S. J. (Colon. Aggr. 1615, str. 436, 504—506); J. **Sanchez** O. P. (*Qq. ad univ. togic.*, Mogunt. 1616, str. 836—839); M. Erasm **Sarcerius** Annae montanus (*Dialect.*, Lipsiae 1539, str. 83); Hierom. **Savanarolla** O. P. (*Philos.*, Wirtemb. 1596, str. 118); Joan. Duas **Scotus** (*In libr.* I. Post. qu. 16); **Schmid** (*Erkenntnissl.* 2. Bd. *Die Induction*); **Schwegler** (*Gesch. d. gr. Phil.*, Tuebing 1859, str. 170); Chr. **Sigwart** (*Logik*, Tuebing 1878, t. II, str. 359); Fr. **Soto** O. P. (*In Porph. et Arist. comm.*, Venet. 1573, str. 492—494); Alb. **Stoekl** (*Gesch. d. Phil. d. Mittelalt.*, Mainz 1865, t. II, cz. I, str. 484); J. **Sturm** (ΣΧΗΜΑΤΙΣΜΟΙ 1561, str. LXIII, 139); **Suarez** S. J. (*Metaph. disp.* I sect. VI, nn. 24—28); P. **Tattareti** (*In summ. Petri Hisp. cura Nicolai Wolff*, Allemani 1506, str. 34; *in Porph. et Arist.*, Venet. 1515, kart. 77, 83, 84); W. G. **Tennermann** (*Gesch. d. Phil.*, Leipzig 1801, t. III, str. 45—62); Fr. **Thomas** Aquinas de Nativ. Carmel. (*Institut. phil.*, Venetii 1760, str. 221); **Trendelendenburg** (*Logisch. Untersuchung.*, Berlin 1840, str. 252—256); Ph. du **Triev** S. J. (*Dialect.*, 1641, str. 155); **Trozler** (*Logik*, Stuttg. u. Tuebing. 1846, cz. III, str. 381—387); Corn. **Valerius** (*Tabul. dialect.*, Lovanii 1560, str. 87, 88); Gasp. **Villalpand** (*In l. d. Post. Resol. Arist.*, Complut. 1558, str. 74); Th. de **Vio Cajetan** O. P. (*In Porph. Arist. Comm.* Venet. 1567, str. 140, 209—212); **Ueberweg** (*Logik*, Bonn. 1868, str. 364—366); **Ulrici** (*Logik*, Leipzig 1852, str. 553—579); Ch. **Waddington** (*Essays de logiq.*, Paris 1857, str. 200—214); Jac. **Zabarella** (*Logic.*, Basileae 1594, str. 887—891, 1262—1283).

je bez rzeczywistej podstawy i gonimy tylko urojony twór własnych myśli, kiedy dążymy do prawdy?

Gotową odpowiedź nastręcza nam stan nasz własny, jakiego doświadczamy mimowolnie, kiedy uderza nas prawda, a zupełnie inny stan wtenczas, kiedy doznajemy zawodu. Zetknąwszy się z prawdą wyraźną, nasz umysł niezależnie od nas samych, uważa swoją pracę za skończoną, i zaspokojony w swoich potrzebach, spoczywa jakby u kresu drogi, żeby używać zebranej zdobyczy. Nic podobnego nie spostrzegamy w sobie, kiedy kto usiłuje w nas wmówić, że wykreślił koło trójkątne, albo że zaznał takich przygód, jak bohaterowie z 1001 nocy; w podobnych razach czujemy, że kłamstwo nie nasyca naszego umysłu, i mówimy o niem: to nieprawda, to wymysł i urojona mrzonka, i kiedy tą nazwą piętnujemy czczą igraszkę wyobraźni, wyrażamy właśnie jej przeciwieństwo do prawdy. Słowem, odróżniamy w rzeczach prawdę, którą witamy jak cennego gościa, od niebywałych pomysłów, których nie przyjmujemy za wiarogodne [1].

Więc pojęcie prawdy rzeczywistą treść czerpie z przyrody rzeczy, w przeciwieństwie do mrzonek bezpodstawnych; rzeczywiście prawda jest czemś w świecie zewnętrznym i posiada w nim swój byt istotny, nie urojony. Stąd powstał powszechny zwyczaj, który wszędzie panuje, że słówkiem: „tak jest", „istotnie", „rzeczywiście" i t. p. potakujemy, chcąc przez to wyrazić, że „to prawda", o czem mowa. A przeciwnie, mówimy „nie jest", zamiast odpowiedzieć „nieprawda", na pytanie np.: „czy człowiek jest cegłą?" [2].

Prawda więc posiada jakiś byt w przyrodzie rzeczy, ale

---

[1] Św. Tom. lect. penult. in ΠΕΡ. ΜΕΤΑΦ., ks. IV, r. 29, na słowa: Πράγματα μὲν οὖν ψευδῆ οὕτως λέγεται ἢ τῷ μὴ εἶναι αὐτὰ, ἢ τῷ τὴν αὐτῶν φαντασίαν μὴ ὄντος εἶναι.

[2] In lib. VI, Metaph. lect. IV: „Philosophus... dicit ergo, quod ens quoddam dicit quasi verum, idest, quod nihil aliud significat, nisi veritatem. Quum enim interrogamus, si homo est animal, respondetur, quod est; per quod significatur, propositionem praemissam esse veram. Et eodem modo ‚non ens' significat quasi falsum. Quum enim respondetur: non est, significatur, quod proposita oratio est falsa".

co to za byt? Kiedy wodzimy oczyma po świecie zewnętrznym, spostrzegamy przedewszystkiem na tle przyrody różnorodne jestestwa i zjawiska: byt ich tkwi w przyrodzie całkowicie wykończony, nie zależy od nas ani nie nosi na sobie piętn, wyciśniętych przez pracę rozumu ludzkiego. Te jestestwa i zjawiska należą do zakresu nauk przyrodniczych, ale nie wyczerpują wszelakiego bytu, który, jakby w zawiązku, spoczywa także w świecie zewnętrznym. Spoglądamy dalej: spotykamy smutnych i wesołych, uczonych i prostaczków, dzielnych i niedołęgów, prawdomównych i oszustów... Czy tak niezależnie od nas istnieje smutek, nauka, niedołęstwo albo oszustwo, jak od nas nie zależy byt tworów przyrody? W rzeczach zewnętrznych widzimy podstawę tych pojęć: smutku, nauki, oszustwa i t. d., nie tworzymy ich jedynie pracą umysłu albo wyobraźni, doznajemy ich skutku nieraz dotkliwie: więc spostrzegamy ich byt poza umysłem naszym, ale nie całkowicie wykończony w przyrodzie tych rzeczy, którym te pojęcia odpowiadają, ich byt wykończony ostatecznie powstaje dopiero w umyśle naszym, jako utwór naszych władz poznawczych. Perypatetycy przypisali jestestwom i zjawiskom przyrody byt, nazwany „przyrodzonym", a odróżnili byt np. nauki, nazwą „umysłowego" [1].

Do jakiejże odmiany bytu Platon z Arystotelesem zaliczyli „prawdę"? Nie załączali jej do rzędu jestestw samoistnych w przyrodzie, bo oczywiście wiedzieli, że „prawda" nie istnieje na świecie jako samoistne jestestwo. Ani nie uważali jej za zjawisko przyrody, bo o zjawiskach donoszą nam wprost zmysły, a „prawdy" zmysłem nie dostrzeżemy. Stąd przypisali jej byt nie „przyrodzony", tylko „umysłowy", i to nie urojony, tylko oparty na rzetelnej podstawie, więc rzeczywisty [2].

---

[1] In libr. IV, metaph. l. 4: „ens est duplex: ens scilicet rationis et ens naturae. Ens autem rationis dicitur proprie de illis intentionibus, quas ratio adinvenit in rebus consideratis". 3. d. 6. q. 2. a. 2. c.: „Esse duobus modis dicitur... Modo dicitur esse, quod pertinet ad naturam rei, quod dividitur secundum decem genera, et hoc quidem esse est in re... Modo... non est in re, sed in mente".

[2] Tamże: „Eorum enim, quae dicuntur voce, quaedam sunt in rebus extra animam, quaedam sunt in anima tantum... Posset autem aliquis cre-

Jakimże sposobem powstaje w umyśle ten wykończony byt „prawdy“?

Umysł ludzki zdobywa „prawdę“ przez władze poznawcze: nabywa ją, kiedy poznaje, co jest w rzeczy samej, pomija ją i błądzi, kiedy bierze za nią jej błahy pozór, któremu nic nie odpowiada w rzeczy samej. Widzimy to, kiedy w codziennej mowie temu przyznajemy prawdę, kto pokazuje, że poznał rzecz zgodnie z jej stanem właściwym; wątpimy o prawdzie, kiedy przypuszczamy, że ktoś za nią wziął jej pozór. Słowem, zgodę sprawy poznawczej z tem, co jest w rzeczy zewnętrznej, nazywamy „prawdą“ [1].

Dlatego średniowieczni perypatetycy uważali, że dostatecznie jeden z nich, Żyd Izaak, skreślił treść pojęcia „prawdy“ słowami: „Prawda jest zgodą rozumu z rzeczą“.

Na takiem pojęciu prawdy jeszcze nie poprzestawał Arystoteles, i bliżej badał, przez którą mianowicie sprawę poznawczą umysł, jak mówili jego uczniowie, rodzi w sobie słowo prawdy?

Rozum ludzki wykonywa dwojaką sprawę poznawczą: jedną pojedyńczą, kiedy wnika w istotę przedmiotu poznanego i urabia o nim pojęcie, drugą poniekąd złożoną, właściwie porównawczą, kiedy ocenia stosunek między dwoma pojęciami i urabia o nich sąd, że to pojęcia zgodne albo sprzeczne ze sobą [2].

Otóż, kiedy rozum urabia pojęcia pojedyńcze, nabywa, według perypatetyków, podobieństwa umysłowego z przedmiotem zewnętrznym, tak jak zmysłowi, np. oku, przedmiot barwny udziela

---

dere, quod verum et falsum sint etiam in rebus, sicut bonum et malum... sed ipse (Arist.) hoc negat, dicens quod verum et falsum ‚sunt tantum in mente‘, id est in intellectu“.

[1] 1. q. de Ver. a. l. c.: „convenientiam entis ad intellectum exprimit hoc nomen ‚verum‘... quae quidem correspondentia adaequatio rei et intellectus dicitur et in hoc formaliter ratio veri perficitur... Ergo secundum id, quod formaliter rationem veri perficit, dicit Isaac, quod veritas est adaequatio rei et intellectus“.

[2] 1 d. 19. 9. 5. a. 1. 1-m: „quum sit duplex operatio intellectus, una consistit in apprehensione quidditatis simplicis, alia consistit in compositione vel divisione“; (Ib. c.): „quum autem in re sit quidditas ejus et suum esse“... (Ib. 1-m): „prima operatio respicit quidditatem rei, secunda respicit esse ipsius“.

swojego obrazu na siatkówce. Ale to umysłowe podobieństwo władzy poznawczej z kresem jej sprawy nie wystarcza, żeby rozum wymówił słowo „prawdy“. Bo treść „prawdy“ polega na zgodzie rozumu z rzeczą; a o zgodzie między dwojgiem wtenczas nie mówimy, kiedy oboje występują jako jedno i to samo: nie mówimy np. o zgodnym wpływie pisarza i jego książki, kiedy pisarz przez książkę wywiera cały swój wpływ. Zgoda nastać może dopiero wtenczas między dwojgiem, kiedy między niem zachodzi jakaś różność, i jedno może odrębnie bez drugiego działać. Więc o „prawdzie“ może być mowa dopiero przy tej sprawie poznawczej, w której rozum występuje z czemś odrębnem i właściwem sobie, czego w rzeczy nie znalazł całkowicie, ale tylko tego podstawę, i sam dopiero wykończył to swojemi siłami. A kiedy rozum urabia pojęcie rzeczy, wtenczas nic nie nabywa więcej, prócz podobieństwa z tą rzeczą, której istotę pojął; nie potrzebuje nawet wiedzieć o tem, że nabył tego podobieństwa, ani tego podobieństwa nie przypisuje jeszcze rzeczy, ani nic nie sądzi o niem. Dopiero kiedy zaczyna sądzić o rzeczy pojętej, wtenczas jego sąd tworzy coś wyłącznego i odrębnego w rozumie, do czego rzecz dostarczyła zaledwie podstawy; rozum nabywa już, prócz podobieństwa do rzeczy, także wiedzy o tem podobieństwie i porównuje je z rzeczą poznaną; tę sprawę poznawczą wyraża, kiedy podmiotowi przypisuje orzeczenie. Dlatego dopiero w tej drugiej sprawie, porównawczej między dwoma pojęciami, powstać może albo prawda, albo błąd; sąd zgodny z rzeczą mieści w sobie prawdę, sąd przeciwny tworzy błąd [1].

Słowem, według tej nauki „prawdę“ określić można, jako

[1] 1. q. de Ver. a. 3. c.: „Veri enim ratio consistit in adaequatione rei et intellectus; idem autem non adaequatur sibi ipsi, sed aequalitas diversorum est. Unde ibi primo invenitur ratio veritatis in intellectu, ubi primum intellectus incipit aliquid proprium habere, quod res extra animam non habet, sed aliquid ei correspondens, inter quae adaequatio attendi potest. Intellectus autem formans quidditates non habet, nisi similitudinem rei existentis extra animam; sed quando incipit judicare de re apprehensa, tunc ipsum judicium intellectus est quoddam proprium ei, quod non invenitur extra in re“.

„zgodę sądu z rzeczą“. Arystoteles „prawdę“ tak wyłącznie uważał za przymiot sądu zgodnego z rzeczą, że nie uznawał jej w żadnej sprawie poznawczej, którą odbywamy bez sądu. Dlatego nie uważał za prawdę świadectwa zmysłów, póki o niem rozum nie wyda sądu [1].

Stąd także Arystoteles, odwrotnie, wyklucza błąd ze świadectwa zmysłów i z pojęć umysłowych, dopóki rozum nie wystąpi ze sądem, w którym odnosi świadectwo zmysłu albo umysłowe pojęcie do rzeczy zewnętrznych. Przed tym sądem, zgodnym z rzeczą albo z nią sprzecznym, rozum zachowuje bierne stanowisko badacza, który spostrzega rzeczywiste zjawiska, ale nie wydaje o nich wyroku, nim wyczyta w nich jakąś myśl i zda sobie z niej sprawę. Tak samo przed sądem o rzeczy, rozum może słyszeć rzeczywiste świadectwo zmysłu i osądzić, że zmysł doznał wpływu od rzeczy zewnętrznej, ale póki przestaje na sądzie, że zmysł coś czuje, póty nie może błądzić [2].

To samo powiedzieć można o pojedyńczem pojęciu, które rozum mieć może w sobie przed sądem o rzeczy zewnętrznej; może sprawdzić, że pojął coś, ale w tej mierze nie może doznać zawodu: albo nie nabył pojęcia, i wtenczas nic nie poznał, albo je nabył, i wtenczas nie błądzi, kiedy je spostrzega [3].

Nauka Arystotelesa o „prawdzie“, jako o zgodzie sądu z rzeczą, przetrwała wszelkie walki filozofów w przebiegu dwu-

[1] In VI. Metaph. jak wyżej: „Licet autem in cognitione sensitiva possit esse similitudo rei cognitae, non tamen rationem hujus similitudinis cognoscere ad sensum pertinet, sed solum ad intellectum, et ideo, licet sensus de sensibili possit esse verus, tamen sensus veritatem non cognoscit, sed solum intellectus; et propter hoc hic (ab Aristotele) dicitur, quod verum et falsum sunt in mente“.

[2] Summa p. I. q. XVII. a. 2. ad 1-m: „sensum affici est ipsum ejus sentire. Unde per hoc, quod sensus ita nuntiant, sicut afficiuntur, sequitur, quod non decipiamur in judicio, quo judicamus nos sentire aliquid“.

[3] II. T. METAΦ. ks. VIII, r. ostatni: ἔστι... τὸ μὲν θιγεῖν καὶ φάναι ἀληθές... τὸ δ' ἀγνοεῖν μὴ θιγγάνειν“. Na to św. Tomasz (lect. ultima): „Attingere enim mente ad ipsum simplex, ut scilicet apprehendatur quid est, et ‚dicere‘ id est significare vere ipsum simplex, hoc est verum... sed non attingere mente ipsa simplicia, est ea penitus ignorare. Quicumque enim non attingit ad quidquid est rei simplicis, penitus ignorat ipsam: non enim potest aliquid ejus scire et aliquid ignorare, eo quod non est compositum“.

dziestu kilku wieków i do naszych czasów doszła w różnych szkołach filozoficznych. Tak Kremer w „Logice“ (§ 164) innemi słowami to samo twierdzi: „zwykle mówimy, że prawda jest świadomością naszą o tem, czem rzecz jest; że jest zgodnością, czyli jednością świadomości naszej, jako podmiotu i przedmiotu“. Ale Kremer za wielu innymi filozofami prawdę tak określoną uważa tylko za prawdę względną: „prawda takowa jest tylko prawdą dla nas. A jeżeli idea będzie przytomną w naszej świadomości, jeżeli idea w niej się ocuci i w niej przyjdzie do siebie: wtedy świadomość będzie w rzetelnej jedności z przedmiotem — wtedy będzie prawdą bezwzględną“.

Można Kremerowi przyznać, że perypatetycy określili prawdę „względną“, jeżeli Kremer wyraża „wzgląd“ na naszą władzę poznawczą. Każdy z nas poznaje prawdę władzą skończoną i z tego „względu“ jeden z nas głębiej poznaje prawdę, drugi powierzchowniej, na ile każdego stać, bo w jednej i tej samej rzeczy można rozumieć nietylko jedną jej stronę, ale różne jej przymioty i stosunki z innemi: stąd zdołamy jeden od drugiego wielostronniej poznawać prawdę, ale każdy z nas tylko względnie: wszechstronnie i bezwzględnie przenika ją dopiero umysł nieskończony. Ale perypatetycy mieli na myśli nietylko skończone umysły nasze, które sądzą o rzeczach „względnie“ do naszych sił skończonych; choć nam przyświeca prawda ledwo „względnie“ poznana, jednak sama w sobie zaspokoić zdoła władzę nieskończenie poznawczą, która ją „bezwzględnie“ ogarnie. I perypatetycy określili prawdę, w sobie samej poznawalną wszechstronnie; więc prawdy, określonej w jej bycie przedmiotowym, uważać bynajmniej nie można za coś „względnego“. Prawda sama w sobie nie podlega zmianom ani nie może innej treści przedstawiać jednemu, innej drugiemu, ani nikt nie poznałby innej treści prawdy, niż drugi, o tej samej rzeczy, bo gdyby poznawał treść inną prawdy, niż właściwą, błądziłby, a nie rozumiałby prawdy [1].

[1] De Carit. a. 3. 1-m. „quum veritas constet in adaequatione intellectus et rei, si consideretur veritas secundum rationem aequalitatis, quae

Do dalszego wykładu trzeba jeszcze uważać, czy prawda tak przedstawiona, jak ją określali perypatetycy, wyraża dostatecznie swój pierwiastek przedmiotowy, czy przeciwnie, można zarzucić z Kremerem („Wykł. system." § 95), że: „Dawniejsza logika uważa, jakoby sąd był sprawą li naszego myślenia, jak gdybyśmy to mieli w myśli ogólne pojęcia, do których dopiero stosujemy przedmioty pojedyńcze, nasuwające się w rzeczywistości... atoli wiemy, że związek między pojęciami, czyli między pierwiastkami pojęcia, stanowiącemi sąd, tkwi w rzeczy samej i jest w niej bez przyłożenia się naszego". Nie zaprzeczali perypatetycy, że istnieje w przyrodzie rzeczy związek między jestestwem, wyrażonem przez podmiot, a jego zjawiskiem, któremu odpowiada pojęcie orzeczenia; owszem, dlatego właśnie nazywali prawdę zgodą sądu z rzeczą *(adaequatio intellectus componentis vel dividentis cum re),* że sąd prawdziwy kojarzy podmiot z orzeczeniem zgodnie z porządkiem rzeczy w przyrodzie, w której także tkwi związek między jestestwem i jego zjawiskiem, a sąd błędny kojarzy pojęcia wtenczas, kiedy w przyrodzie rzeczy brak związku odpowiedniego między jestestwem i jego zjawiskiem. Więc logika perypatetyczna uważała sąd za sprawę rozumu, który łączy ze sobą dwa pojęcia, ale nie z własnego doboru je łączy, tylko zmuszony widokiem związku rzeczywistego, jaki w przyrodzie rzeczy odpowiada sądowi prawdziwemu. Jeżeliby rozum łączył samowładnie pojęcia, o których związku nic nie świadczy przyroda, w takim razie wypowiada

---

non recipit magis et minus, sic non contingit aliquid magis et minus verum"... (1 q. 85 a. 7. c.): „sic, quod ly m a g i s determinet actum intelligendi e parte rei intellectae, et sic non potest unus eandem rem magis intelligere, quam alius, quia si intelligeret eam aliter, quam sit, vel melius, vel pejus, falleretur et non intelligeret. Alio modo potest intelligi ‚aliquem intelligere unam et eandem rem magis quam alium', ut determinet actum intelligendi e parte intelligentis, et sic unus alio potest eandem rem melius intelligere, quia est melioris virtutis in intelligendo", (4 d. 49. q, 2. a. 5. 1-m), „in una enim re est multas rationes intelligere, sicut diversas ejus proprietates et habitudines ad res alias, et possibile est, quod eadem re scita communiter a duobus, unus alio plures rationes percipiat".

osobisty pogląd, może przypadkiem prawdziwy, może od prawdy daleki [1].

Tak odpowiadali perypatetycy na pytanie o istocie prawdy. Którąż prawdę nazywali pierwotną?

Według ich nauki trzeba najprzód rozróżnić prawdy doświadczalne od prawd naukowych, potem między naukowemi odróżnić pierwotne od pośrednich.

Prawdę naukową brali perypatetycy w szerszem znaczeniu, niż dzisiaj zwyczajnie; nie przeciwstawiali jej prawdom nadzmysłowym, ale prawdom przypadkowym.

Różnicę między prawdą naukową a doświadczalną poznajemy łatwo, i nowsze poglądy filozoficzne w rzeczy samej nie odstępują w tej mierze od podziału perypatetycznego, choć zmieniły słownictwo.

W niektórych prawdach spotykamy podmiot tak ściśle złączony z orzeczeniem, że nie rozumiemy, jakby można wątpić o związku tych pojęć, albo je od siebie oddzielać. Każdy spytany np., czy żąda dla siebie szczęścia? — przyzna, że żąda, i zdziwiony doda: czyż można o tem wątpić? jakżeżby miało być inaczej? I taką samą odpowiedź dostaniemy na wiele pytań innych: czy dwa a dwa cztery? Czy kłamca zasługuje na ślepą wiarę? Czy cały las większy od jednej gałęzi? I bez liku podobnych prawd znamy, o które spytani, może nie chcemy nawet odpowiadać, bo nas dziwi, po co tu się pytać, gdzie niema o czem wątpić i każdy wie, że to prawda i prawdą być musi.

Innym prawdom brak koniecznego związku między podmiotem a orzeczeniem. Że pan Jan zgubił pieniądze, albo kupił majątek, że pan Henryk przyjął wybór na posła, albo zmokł na deszczu — i długi rząd podobnych wypadków nie stanowi nic koniecznego, niekoniecznie musi być prawdą.

W prawdach pierwszego rodzaju orzeczenie, jak mówili

---

[1] 1 q. de Ver. a. 3. c.: „ibi primo invenitur ratio veritatis in intellectu, ubi primum intellectus incipit aliquid proprium habere, quod res extra animam non habet, sed aliquid ei correspondens, inter quae comparatio attendi potest". 6. L. Metaph. l. 4: „Invenitur ei quidem in rebus aliqua compositio".

perypatetycy, odpowiada „przez się“ podmiotowi; w drugim, zostaje w związku z nim „przypadkowo“ [1].

Arystoteles zgodnie z Platonem wyłączył z zakresu nauk prawdy drugiego rodzaju, czyli przypadkowe. Obj twierdzili, że nauka szuka prawd stałych i opartych na prawach wiecznych przyrody, albo samego bytu wszechrzeczy. O przypadkowym związku między podmiotem a orzeczeniem wiemy już ze świadectwa zdrowych zmysłów, ani nie potrzebujemy do niego dochodzić dopiero drogą naukową. Za kres tej drogi uważał Arystoteles prawdy, które panują wszędzie, dokąd sięga przestrzeń, i trwają zawsze, póki wieki płyną. Stąd prawda konieczna, jako wieczna i powszechna, uchodzi u perypatetyków za naukową, prawda miejscowa i przejściowa należy do wiedzy wprost doświadczalnej [2].

Choć w każdej prawdzie naukowej istnieje „przez się“ związek między podmiotem a orzeczeniem, jednak ten związek może zachodzić dwojako. Kiedy fizyk np. twierdzi, że ciała zajmują przestrzeń, wtenczas łączy z podmiotem orzeczenie, nietylko „przez się“ z niem związane, ale nawet w jego pojęciu zawarte, bo ciało z samego pojęcia swojego potrzebuje mieć części jedne poza drugiemi, to znaczy, zajmuje miejsce. Z tą prawdą można porównać inną, także fizyczną, np. że ciało rzucone ukośnie odbywa drogę paraboliczną: tutaj orzeczenie takie należy do podmiotu „przez się“, a nie przypadkowo; jednak fizyk tego orzeczenia nie odkrywa w pojęciu podmiotu; przez rozbiór podmiotu fizyk znajduje związek między ciałem rzuconem ukośnie a jego drogą, i tę drogę obliczy w poszczególnych wypadkach, ale wyrazić tej drogi wzorem ogólnym nie umie bez

[1] In l. Perih. lect. XIII: „divisio enuntiationum secundum materiam... attenditur secundum habitudinem praedicati ad subjectum, nam si praedicatum per se insit subjecto, dicitur esse enuntiatio in materia necessaria. Si vero praedicatum... nec per se repugnet subjecto, nec per se insit, dicitur enuntiatio in materia possibili seu contingenti“.

[2] ANAL. ΥΣΤ., ks. I, r. 4: Ἐπεὶ δ' ἀδύνατον ἄλλως ἔχειν, οὗ ἔστιν ἐπιστήμη ἁπλῶς, ἀναγκαῖον ἂν εἴη τὸ ἐπιστητὸν τὸ κατὰ τὴν ἀποδεικτικὴν ἐπιστήμην. Tamże r. 30 i 31: Τοῦ δ' ἀπὸ τυχῆς οὐκ ἔστιν ἐπιστήμη διὰποδείξεως... Οὔδε διαίσθήσεως ἔστιν ἐπίστασθαι.

matematyki. Ta wyrabia ogólne wzory, pod które podciąga poszczególne liczby, znajdowane bezpośrednio, czy to przez rozbiór pojęć, czy na polu doświadczalnem; oparty na matematyce fizyk, rozbiera ogólne wzory i w jednym z nich znajduje prawo tych liczb, któremi przedstawia drogę ciała rzuconego ukośnie: więc w świetle matematyki widzi drogę tego ciała między innemi drogami parabolicznemi, a nie odwrotnie: tj. samo pojęcie ciała w ruch wprawionego siłą jakiegobądź rzutu nie mieści w sobie pojęcia żadnej drogi krzywej; do takiej drogi ciało potrzebuje jeszcze wpływu siły ciągłej, prócz chwilowej siły rzutu. Więc w tej przytoczonej prawdzie fizycznej sam podmiot nie mieści w sobie orzeczenia [1].

Podobnie w wielu innych prawdach znajdujemy w orzeczeniu podmiot, a nie w podmiocie orzeczenie. Stąd podział prawd naukowych: w jednych podmiot zawiera w sobie orzeczenie, w drugich przeciwnie, orzeczenie w sobie mieści podmiot [2].

Podług perypatetyków, rozum niejednakowo poznaje obie

[1] Po całym rozbiorze drogi, odbytej przy rzucie ukośnym, otrzymujemy tylko równania, że odległość ciała od początku drogi, tj. $y = ct$, że droga odbyta pod wpływem siły ciężkości, tj. $x = gt^2 : 2$, i poza temi dwoma równaniami nic nie znajdziemy w podmiocie. Przeciwnie, przy rozbiorze równania paraboli $y^2 = 2px$, łatwo spostrzedz, że współczynnik 2p może wyrażać różne ilości, choćby i tę: $2c^2 : g$, więc że równaniu paraboli można dać postać $y^2 = x\,(2c^2 : g)$, a do tego równania dojdziemy, jeżeli wyrugujemy współczynnik czasu z równań, które odpowiadają drodze ciała rzuconego ukośnie.

[2] In Post. lib. I, lect. IX: „sicut autem haec propositio ‚per se' designat habitudinem causae, quando aliquid extrinsecum est causa ejus, quod attribuitur subjecto, ita quando subjectum vel aliquid ejus est causa ejus, quod attribuitur ei, et hoc significat ‚per se'. 1-us ergo modus dicendi ‚per se' est, quando... praedicatur deffinitio de aliquo deffinito vel aliquid in definitione positum... 2-us modus dicendi ‚per se' est, quando subjectum ponitur in deffinitione praedicati, quod est proprium accidens ejus... Deinde... ‚per se' significat aliquid solitarium... Deinde ‚per se' designat habitudinem causae". Tamże lect. 33: „Ponit (Arist.) duos modos praedicandi ‚per se'. Nam 1-o quidem praedicantur ‚per se' quaecunque insunt subjectis in eo, quod quid est, scilicet, quum praedicata ponuntur in deffinitione subjecti; 2-o quando ipsa subjecta ponuntur in deffinitione praedicatorum... Alii autem modi, quos supra possuit, reducuntur ad istos".

odmiany prawdy naukowej. Kiedy nauka łączy podmiot z orzeczeniem w niem zawartem, wtenczas wystarczy głębszy rzut oka na pojęcie podmiotu, i już bez dalszej pracy spostrzedz można w nim zawarte orzeczenie. Prawdę, że ciała zajmują przestrzeń, od razu przyznać musi każdy, kto rozumie, co jest ciało; tem samem już rozumie, co znaczy mieć części poza częściami, czyli zajmować przestrzeń, i widzi związek między podmiotem a orzeczeniem w niem zawartem. Taką prawdę naukową nazywali perypatetycy bezpośrednią albo bezpośrednio oczywistą dla każdego, kto pojmuje wyrazy w niej zestawione. Tak samo następcy Leibnitza określają prawdę, którą nazywają analityczną, chociaż nie odróżniają prawd, w których podmiot zawiera w sobie orzeczenie, od tych, w których orzeczenie zawiera podmiot [1].

Takie prawdy od razu oczywiste służą w nauce do tego, żeby w ich świetle i za ich pośrednictwem poznawać prawdy, w których nie od razu wpada w oczy związek między podmiotem a orzeczeniem. Dlatego prawdy naukowe, bezpośrednio oczywiste, noszą u Arystotelesa miano ἀρχαί, pierwiastków wiedzy albo prawd pierwotnych, πρῶται, a prawdy pośrednie dostały nazwę wyników, συμπεράσματα [2].

Kiedy poznajemy prawdę, której orzeczenie mieści w sobie podmiot, wtenczas, prócz pojęć podmiotu i orzeczenia, jeszcze potrzebujemy, według Arystotelesa, znać dokładnie przymioty i piętna właściwe podmiotowi, choć nie należne do jego istoty, ale z niej wynikłe. Tak, nie do istoty rzutu ukośnego należy wpływ ciągłej siły ciążenia, pod którym to wpływem ciało zbacza z drogi prostej, nadanej mu przez rzut ukośny; to wynika z cięż-

[1] In Post. lib. 1, lect. 4: „Quaelibet propositio, cujus praedicatum est in ratione subjecti, est immediata et per se nota". Tamże lect. 6: „immediata non per aliquod medium extrinsecum cognoscuntur, sed per cognitionem propriorum terminorum. Scito enim, quid totum et quid pars, cognoscitur, quod omne totum est majus sua parte, quia in talibus propositionibus, ut supradictum est, praedicatum est in ratione subjecti".

[2] Tamże lect. 34: „et quaecumque accipiuntur ut media, sunt principia conclusionum mediatorum, quae per ea concluduntur. Nihil enim aliud sunt elementa sive principia demonstrationum, quam propositiones immediatae".

kości ciała rzuconego ukośnie. Za pośrednictwem ciężkości albo innych piętn, nie istotnych, choć właściwych podmiotowi, a znalezionych w treści orzeczenia, spostrzegamy w orzeczeniu zawarty podmiot i łączymy oba pojęcia. Dlatego prawdę tego rodzaju uważa Arystoteles za pośrednią, za wynik dowodu, ułożonego z praw pierwotnych [1].

Taką więc prawdę naukową poznajemy za pośrednictwem prawd pierwotnych, a pierwotną poznajemy, kiedy rozumiemy jej pojęcie. Ale i na tem jeszcze nie poprzestali ani Platon ani Arystoteles; obu zastanowiło pytanie: skąd to pochodzi, że w prawdach pierwotnych dość rozumieć wyrazy, żeby dojrzeć związek pojęć?

Prawda pierwotna, jak każda inna według pojęć już wyłożonych, musi w przyrodzie rzeczy pierwej tkwić, jak gdyby zarodek, nim z tego stanu zawiązkowego dojdzie w umyśle do bytu wykończonego. I nietrudno spostrzedz ten związek przedmiotowy w prawdzie doświadczalnej. Kiedy oko odbija w sobie obraz zielonej murawy albo nieba błękitnego, ucho drga na słowa mówcy albo głos śpiewaka, lub inny zmysł składa przed nami świadectwo z dziedziny prawdy, do której ma dostęp: zawsze widnieje związek rzeczywisty przedmiotów, którym odpowiadają pojęcia łączone w umyśle; nigdy zmysł nie donosi czy to o barwie — o zieleni albo błękicie, istniejących w przestworzu bez trawnika albo stropów niebieskich — czy to o głosie samoistnym, nie wydawanym przez nikogo, czy to o innem zjawisku bez podmiotu,

[1] In Post. L. 1. l. 1: „Id, cujus scientia per demonstrationem quaeritur, est conclusio aliqua, in qua propria passio de aliquo subjecto praedicatur". Tamże lect. 12: „Sciendum autem est, quod quum in demonstratione probatur passio de subjecto per medium, quod est deffinitio, oportet quod 1-a propositio, cujus praedicatum est passio, et subjectum deffinitio, quae continet principia passionis, sit ‚per se' in 4-o modo. 2-a autem, cujus subjectum est ipsum subjectum, et praedicatum ipsa definitio; in 1-o modo. Conclusio vero, in qua praedicatur passio de subjecto, ‚per se' in 2-o modo". Tamże L. 11, lect. 2: „Manifestum est enim, quod principia, quae continet deffinitio subjecti, sunt principia passionis. Non ergo demonstratio resolvet in primam causam, nisi accipiatur ut medium demonstrationis deffinitio subjecti". Tamże lect. 8: „quum enim subjectum est causa passionis, necesse est, quod definitio passionis demonstretur per deffinitionem subjecti".

któryby przezeń dawał znać o sobie. Tym sposobem umysł, uwiadomiony o podmiocie łącznie z orzeczeniem, łączy te pojęcia na mocy odpowiedniego związku przedmiotów. Ale gdzie dostrzega rzeczywistą podstawę, na której opiera związek pojęć, skojarzonych w prawdzie pierwotnej?

Jeżeli doświadczalnie nie spostrzegł nic w świecie odpowiedniego związkowi tych pojęć, skąd wie, co jego sądowi odpowiada rzeczywiście? Jakiem prawem przypuszcza nawet, że jakaś podstawa prawdy pierwotnej tkwi w przyrodzie rzeczy? Tu nie wystarczała Arystotelesowi i Platonowi odpowiedź, że rozum dostrzega orzeczenie w pojęciu podmiotu, bo czyż świadectwo zmysłów tak nam dostarcza pojęcia podmiotu, że podsuwa zarazem orzeczenie koniecznie związane z podmiotem? Konieczny związek z orzeczeniem leży także w pojęciu podmiotu pośród jego znamion; ale, jeżeli zmysł rozumowi poddaje pojęcie tej treści, że wyłuszcza różne piętna i znamiona podmiotu, tylko o tem znamieniu nie uwiadamia, na którem polega związek podmiotu z orzeczeniem: w takim razie, dlaczego rozum mówi o znamieniu podmiotu, o którem zmysł milczy? Jeżeliby zmysł nadmienił coś o tym związku, toby rozum posiadał dostateczną wskazówkę; ale czyż zmysł zdoła zabrać głos w tej sprawie?

Platon wcale nie dopuszczał zmysłu do głosu o związku pojęć w prawdzie pierwotnej. Myślał, że dusza ludzka oglądała te prawdy odwiecznie w widoku Bóstwa, zapomniała o nich na tym świecie połączona z ciałem, a przez świadectwo zmysłów o prawdach doświadczalnych obudzona, odzyskiwała uśpioną pamięć i uobecniała sobie w rozumie prawdy pierwotne.

Na tę myśl naprowadził Platona widok zmienności, jaka panuje w przyrodzie. Zmysł spotyka znikome jestestwa i spostrzega ich zjawiska przelotne: jakimże sposobem zmysł może nas upewnić, że coś nie przypadkowym podlega kolejom bytu albo życia, ale słucha praw stałych? Do zmysłów świat dostrzegalny przemawia tylko urywanemi słowami, a kryje ich związek nieraz przez setki lat. Doświadczalnie poznajemy ustawiczne zmiany w jestestwach, wiemy o ciągłych przeszkodach w prawi-

dłowym biegu zjawisk, o zagadkowych ruchach i na pozór sprzecznych ze sobą objawach sił czynnych w przyrodzie. Na tem oparty Platon uważał księgę przyrody za nieczytelną dla zmysłów, które odgadują w niej ledwo wiązankę urywków bez wątku, chwytają z niej opisy poszczególnych wypadków i dorywczo poznają prawdy miejscowe i przejściowe, ale nie wyświadczą żadnej usługi rozumowi, kiedy ten dąży do umiejętnego poglądu na świat, usiłuje przewodnią myślą związać pojedyńcze zjawiska, określić prawa ich ruchu i bytu i po wiekach wytrwałej pracy przenika tajemnice, wyraża je prawem ogólnem, tworzy zasady oderwane i urabia sądy zupełnie różne od świadectwa zmysłów.

Arystoteles przyznawał Platonowi, że umiejętny pogląd na świat zawiera w sobie podkład prawd, zupełnie odmiennych od zakresu prawdy czysto doświadczalnej, dostępnej dla zmysłów. Prawda czysto doświadczalna (czyli, jak ją dziś nazywają, syntetyczna, bezpośrednio oczywista) może nawet przybrać rozmiary bardzo ogólne; dość dla niej, żeby w danej chwili i w oznaczonem miejscu mogła objąć wiele podmiotów jednem orzeczeniem. Tak podczas zarazy mogliśmy rozumować, że wszyscy przyjezdni podlegają na dworcu kolejowym oględzinom lekarskim, a nasz znajomy jest przyjezdnym, więc podlegał tym oględzinom; w takim dowodzie opieramy wynik na prawdzie ogólnej, wszakże nie koniecznej ani nie naukowej, tylko zamkniętej obrębem pewnego czasu i miejsca; prawda naukowa nigdy i nigdzie nie zależy od przypadku, i, nawet kiedy dopuszcza wyjątek, w tym także razie podlega prawom stałym, ściśle obliczalnym [1].

W tem także Arystoteles wykazywał istotną różnicę między doświadczalną prawdą a naukową, że w doświadczalnej orzeczenie, choćby należało do najliczniejszych podmiotów, wszakże nie odpowiada im „jako takim“: choćby np. wycieczkę odbyli wszyscy mieszkańcy miasta o milionowej ludności i wszyscy szli

[1] ΑΝΑΛ. ΥΣΤ. ks. 1, r. 4: „Κατὰ παντὸς μὲν τοῦτο λέγω, ὁ ἂν μὴ ἐπί τινος μὲν, τινὸς δὲ μή, μηδὲ ποτὲ μεν, ποτὲ δὲ μή... Σημεῖον δέ· καὶ γὰρ τὰς ἐνστάσεις οὕτω φέρομεν, ὡς κατὰ παντὸς ἐρωτώμενοι, ἢ εἰ ἐπί τινι μὴ ἢ εἴ ποτε μή“.

przy błyskawicach, mimo to wszyscy uczestnicy wycieczki nie „jako tacy“ szli przy błyskawicach, bo nie przez ich wycieczkę błyskało: zaszedł tu tylko przypadek. Przeciwnie, kiedy po bitwie śmiertelnie ranni żołnierze umierają, śmierć spotkała rannych jako takich, a nie przypadek zrządził, że śmiertelnie ranny właśnie z ran umiera. W ten sposób przy prawdach naukowych orzeczenie należy do podmiotu „jako takiego“ [1].

Skądże więc rozum poznaje konieczny związek podmiotu z orzeczeniem w zasadach naukowych, jeżeli przyroda dostarcza nam tylko prawd doświadczalnych? W czem rozum upatruje przedmiotowy pierwiastek prawdy pierwotnej?

W odpowiedzi na to pytanie Arystoteles odbiegł od nauki swojego mistrza, z którym dotąd szedł zgodnie.

(C. d. n.).

Ks. K. Czaykowski.

[1] Tamże dalej: „τὸ μὲν δὶ αὑτὸ ὑπάρχον, ἑκάστῳ καθ' αὑτό· τὸ δὲ μὴ δὶ αὑτό, συμβεβηκός, οἷον εἰ βαδίζοντος ἔστραψε, συμβεβηκός· οὐ γὰρ διὰ τὸ βαδίζειν ἔστραψεν, ἀλλὰ συνέβη, φαμήν, τοῦτο. Εἰ δὲ δὶ αὑτό, καθ' αὑτό, οἷον εἴ τι σφαττόμενον ἀπέθανε καὶ κατὰ τὴν σφαγήν, ὅτι διὰ τὸ σφάττεσθαι, ἀλλ' οὐ συνέβη σφαττόμενον ἀποθανεῖν Τὰ ἄρα λεγόμενα ἐπὶ τῶν ἁπλῶς ἐπιστητῶν καθ' αὑτὰ οὕτως ὡς ἐνυπάρχειν τοῖς κατηγορουμένοις ἢ ἐνυπάρχεσθαι δὶ αὑτά τέ ἐστιν καὶ ἐξ ἀνάγκης. Οὐ γὰρ ἐνδέχεται μὴ ὑπάρχειν ἢ ἁπλῶς ἢ τὰ ἀντικείμενα“.

KSIĄDZ KAROL ANTONIEWICZ.

VIII.

Życie tułacze.

(C. d.).

Parę dni zabawił nasz pielgrzym w Krakowie. Spotkał tu wiele miłości, wiele pociechy, ale i goryczy Bóg mu nie oszczędził; przeszkody, jakie mu z pewnych stron do pracy stawiano, napełniły serce bólem i wzmocniły poprzednio powzięte postanowienie popłynienia do szczęśliwszych krajów, „gdzie wolno nietylko cierpieć, ale i pracować.

„Ten Kraków[2] tak piękny, tak błogi, który zawsze tak rozpromieniał, rozjaśniał mą duszę, dziś tak dziwnie tęskny wpływ na nią wywarł... Widzę, że tu wszystko stanie mi na przeszkodzie, tj. do pracowania, ale do kochania nie. Niech pracę zastąpi cierpienie, a może to cierpienie Bóg przyjmie z dobrą chęcią moją. Widzę i tu, jak nienawiść ku nam mocna i wkorzeniona. Oj! jak to ciężko dźwigać nienawiść całego swego narodu; ale im ciężej, tem lepiej, byle Bóg dał sił do dźwigania...

„Byłem dziś u Popielów, Grocholskich, Krasińskich, Russanowskich, Siemińskich i t. d.; wszędzie bardzo łaskawi dla mnie — i jakże ja nie mam kochać ludzi z całego serca... Ach! to pewna, że ja miłując ludzi, żadnej, najmniejszej w tem nie mam zasługi“.

[2] Do ks. Sapieżyny. Z Krakowa.

Nazajutrz, w niedzielę, „odprawiwszy Mszę św. poszedłem na zamek [1], aby być na kazaniu ks. Kajsiewicza, i wyjechałem po drugiej... Cała ta droga z Krakowa do Staniątek ma dla mnie nadzwyczajny urok, a szczególnie dziś to czułem, bo ta urocza niedzielna cisza dziwnie słodko do duszy przemawia... Są ludzie na świecie, są miejsca takie, które jakiś dziwny, niepojęty wpływ wywierają na nas. Zbliżysz się do tych ludzi, a pomimowolnie i serce się uspokoi... i pokój powraca do duszy; wjechać w takie miejsce, to wszystko wokoło nas zaraz inną przybiera postać. Dlaczego? Bo w sercach tych osób mieszka Bóg, bo te miejsca Bogu poświęcone, Boga nam przypominają. Takie uczucie było zawsze w sercu mojem, gdym się zbliżał do Staniątek; takiegom i dziś doznał... Przyjechałem tu pod wieczór, wysiadłem przed domkiem, gdzie mieszkają księża nasi, tak serdecznie od wszystkich przywitany... W tej chwili dzwonek klasztorny do chóru wołając się odzywa. O! ten głos dzwonka klasztornego był zawsze dla mnie najsłodszą muzyką, był głosem Boga, do wypełnienia woli Jego mię wzywającym; — pomimowolnie i dziś serce mocniej uderzy na ten głos, ale dziś ten głos dla mnie, to jak głos z raju utraconego“...

Zakonni bracia, obowiązkową pracą zajęci, zostawiali drogiemu gościowi niejedną wolną chwilę; korzystał z niej, by się modlić w ukochanej sobie od dawna kaplicy Matki Boskiej Bolesnej, by następnie, poetycznemu natchnieniu ulegając, ująć tę modlitwę, odmalować uczucia, pragnienia w sercu wzbierające, w płynących z głębi duszy strofach. I przeszłe bóle w nich zamknięte i teraźniejsze obawy i plany na przyszłość, taką niepewną, za czarnemi chmurami ukrytą; biedny pielgrzym-poeta składa przed Matką najlepszą swe żale, wątpliwości, nakreśla w szczegółach plan dalszego życia i o błogosławieństwo dlań prosi; z dziecinną ufnością pyta i prosi [2]:

Matko, Ty doradź, Matko wskaż mi drogę,
Bez Ciebie myśleć ni kochać nie mogę.

[1] Do ks. Sapieżyny. Ze Staniętek.

[2] „W kaplicy Matki Boskiej Bolesnej w Staniątkach“. Drukiem I. Heera w Piekarach 1848.

Powiedz, czy w obce mam się udać strony,
Gdzie mi już polskie nie zahuczą dzwony?

Czy mam przeprawić mą łódkę przez morze,
Gdzie mi już polskie nie zaświeci zorze,
Czy też w ojczysty mam wrócić zakątek,
W kraj tęsknych marzeń i łzawych pamiątek?...

O Matko! przemów, przemów do mej duszy,
Bo ją świat mroźnem swem tchnieniem wysuszy!
Myśli jak wichrem pędzone obłoki
Błądzą, a z myślą błądzą wątłe kroki.

Dziś mię przywiodły w te mury klasztorne,
W ten raj pokoju...

Czym na to przyszedł, by po raz ostatni
Polskę powitać, posłyszeć głos bratni?
Po raz ostatni ten głaz ucałować,
Rzewnie zapłakać i wstecz powędrować?...

I było ciemno, tak ciemno dokoła,
Lampa się tylko w kościele paliła;
A dusza, jakby w objęciu anioła,
Z goryczy życia, rzewną słodycz piła!

I cisza wewnątrz i zewnątrz tak błoga,
Byłem szczęśliwy, jak gdyby w zachwycie,
I czułem blizkość — blizkość mego Boga,
I czułem nowe w sercu mojem życie!

Jako pod wieczór błękit się rozchmurza,
I szum wzburzonej ucisza się fali,
Tak się i w duszy uciszała burza,
Jakby głos jaki przemawiał z oddali!

To głos Maryi, Królowej Polski, która swemu rycerzowi pole przyszłych zapasów wskazuje, uczy walki, zapewnia zwycięstwo:

Bierz za kij twój — bo czas drogi,
Spiesz do pracy kornie, śmiało,
Żniwo wielkie — żeńców mało
W czasie smutku, łez i trwogi!

Bierz za kij twój — przyspiesz kroku,
Nie trać czasu nadaremnie;
Bo nie idziesz sam bezemnie,
Bo ja będę przy twym boku!

Matkę dzieciom przypominaj,
Mów o śmierci, zmartwychwstaniu,

Mów o sądzie, zlitowaniu,
Mów i błagaj, proś, zaklinaj!

Mów, że Bóg chce Polskę zbawić,
Choć ją ciężkim krzyżem gniecie;
A lud polski, boskie dziecię,
Będzie Matka błogosławić.

Idź i mów do mego ludu,
By pod krzyżem zgiął kolana!
A przebłaga zemstę Pana,
Miłosierdzia dozna cudu!

Gdy się z wiarą siła sprzęgnie.
I moc ducha, z ostrzem stali;
Skra miłości pierś rozpali,
Przed nią wroga moc ulęgnie!

Polski ludu, nowy Jobie,
Piłeś gorycz z pełnej czary,
Poznaj kornie boskie kary,
Boś żył długo w grzechów grobie!

Wróć do wiary, wróć do cnoty,
Dawnych grzechów zatrzyj ślady,
W sercu uduś jędzę zdrady,
A powróci twój wiek złoty.

Z ojców wiarą, ojców chwała,
Szczęście, wolność, do nas wróci!
A czas próby Bóg ukróci,
Zmartwychwstanie Polska cała!

Choć cię obelg przyjmą gradem,
Z krzyżem w ręku, w sercu z Bogiem,
Stań przed każdym polskim progiem,
Idąc Zbawiciela śladem!

Kiedy taka wola Boża, to:

Będę, jak żebrak, ubogi, wzgardzony,
Który po żeńcach nikłe zbiera kłoski,
Łzami polewał ojczyste zagony,
I słowo boskie niósł z wioski do wioski.

I w kole biednych, będę uczył dziatek,
Jak mają chować boskie przykazanie,
I będę mówił do ojców i matek,
Jak wielkie, święte jest ich powołanie!

Że miłość kraju jest z miłością Boga
Tak ścisłym węzłem od wieków spojona;

W niezgodzie ludu cała siła wroga,
A jedność ludu tę siłę pokona!

Gdzie prawdy niema, tam niema jedności,
A prawdy niema tam gdzie niema wiary;
Gdzie niema Boga, tam niema miłości,
I rozdrobnione przepadną ofiary!

I będę krzyża moc i chwałę głosić:
Że nie wart szczęścia, kto nie znał cierpienia,
Że o to ciągle mamy Boga prosić,
Aby nas drogą prowadził zbawienia.

I będę wielbił, Maryo, Twe imię,
Kto Tobie ufa, ten wiecznie nie zginie,
I to, co dzisiaj w głębi serca drzymie,
Za Twą pomocą w życie się rozwinie.

Lecz jeśli smutny wyrok przeznaczenia
Wzgardzi mą pracą, i działać zabroni,
Będę ze łzami, z boleścią milczenia
Za kraj się modlił w samotnej ustroni.

Poeta pytał: „Czy mam przeprawić mą łódkę przez morze?“ Zaledwie pytanie postawił, zaledwie z modlitwy wstał, otrzymał nie podlegającą dalszym wątpliwościom, bo przez posłuszeństwo podaną odpowiedź. Chciałem do Was jechać — donosił krótko jeszcze ze Staniątek do Krasiczyna — „aby Wam dać ostatni raz krzyżyk, i polecić się modlitwom Waszym, ale wczoraj odebrałem list ks. Prowincyała, który mi nie pozwala wyjeżdżać z kraju“.

Więc w kraju — powtórzył sobie słowa modlitwy, wyśpiewanej u stóp Matki Bożej — pracować będę:

Będę; jak żebrak, ubogi, wzgardzony,
Który po żeńcach nikłe zbiera kłoski,
Łzami polewał ojczyste zagony
I słowo boskie niósł z wioski do wioski.

Niedawno temu mniemał i pisał Antoniewicz: pospieszę do Sącza, do Lwowa z braćmi się pożegnać przed zaoceańską wędrówką; spieszył tam teraz, aby wespół z nimi pług misyonarski ciągnąć.

„Jadąc z Wiśnicza [1] do Limanowy tak mi błogo było w du-

[1] Ze Sącza. Do W. Morawskiego (?).

szy, noc była tak cicha, ciepła, spokojna, księżyc świecił i gwiazdy iskrzyły się nade mną, droga z góry na górę, ponad przepaści i potoki wężykiem snuła się tą przecudną okolicą.

„Szczęśliwy, żem prostą naszą furką mógł jechać!... O, przez tę całą drogę nad wyraz błogo mi było, tak ciemno wokoło mnie, tak jasno nade mną, i ta jasność z nieba, tę ciemnotę ziemi rozwidniała. Ach! tylko ta jasność, która z nieba pochodzi, od Boga wypływa, wpływa w duszę naszą i rozwidnia ciemnotę życia naszego. Obcy pielgrzym wróciłem do domu matki mojej. Dom pusty, opuszczony, i z licznego niegdyś grona, znalazłem tylko paru braci, co ze łzami mnie przywitali.

„Przyjechawszy tu, powitałem sercem, myślą i duszą ten cichy, błogi, spokojny Sącz, ten utracony raj mój, gdziem najpierw obowiązki kapłańskie pełnić począł, gdziem przeżył cztery lata życia, o jak błogiego życia! Tu każde drzewko, każdy dom, zaledwie nie każda twarz ludzka znaną mi jest, i stanąłem przed koszarami, i zamiast brata furtyana, żołnierz mnie wpuścił; krzyk, gwar po dziedzińcach i korytarzach, gdzie niegdyś tak błoga, święta panowała cisza. W jednym zakątku starego domu, odgrodzeni od domu nowego, mieszkają Nasi: trzech księży i dwóch braci! w małych, ubogich izbinach zaledwie mieścić się mogą. Jednego zastałem w łóżku, a dwóch w kościele spowiedzi słuchało. Paru braci z okolicy przybyło na święto Najświętszej Panny, i dziewięciu siadło nas do stołu; to są pociechy wygnańców...

„Nigdym się nie spodziewał, bom nigdy nie zasłużył na tak łaskawe, rzewne, serdeczne przyjęcie, jakiegom od wszystkich tu doznał. Chcę trochę popracować, aby się stać godniejszym tych oznak przywiązania... Schodzę właśnie z ambony, a to w dzień tej Matki naszej Niepokalanej, na samym prawie wstępie do kraju, w tym kościołku, gdziem tyle łask od Maryi odbierał, wolno mi było mówić o Niej!—Po czterech miesiącach wstąpiłem na nowo na ambonę, i w taki dzień i na takiem miejscu! Nie uwierzysz, z jakiem wzruszeniem mówiłem, serce całe w słowa się przelało...

„W sobotę[1] wyjechałem do Starego Sącza ze Mszą świętą u ołtarza św. Kunegundy, do której jakieś szczególniejsze czuję przywiązanie. Nie masz może w całej Galicyi uczciwszego, swobodniejszego miasteczka nad ten Stary Sącz, tak widocznie opieka matki nad dziećmi tu czuwa. I jakże czuwać nie ma, kiedy ta miłość do świętej Kunegundy tak żywa, rzewnie i czynnie żyje w sercach tego ludu, i z tego miasteczka sięga aż do szczytów i połonin tatrzańskich! Tu tak, jakby święta Kunegunda dopiero przed parą laty opuściła tę ziemię. Ale bo ona jej nie opuściła, bo cuda i łaski jej codziennie się ponawiają, dla wszystkich, którzy ją kochają!...

„Z jak dziwnie błogiem uczuciem wszedłem do tego kościołka, przystąpiłem do tego ołtarza... Stary mieszczanin i jedna babka klęczeli u stopni ołtarza: zimno było w kościołku, jasno było w duszy — jasno, dobrze, spokojnie pod błogosławieństwem Kunegundy świętej. Po Mszy św. udałem się do parlatoryum. Polskie klasztory kobiece mają coś szczególniejszego w sobie. Jest może dużo błędów i niedoskonałości (z łaski rządu, który wszystko rozprzęga), ale ta miłość, szczerość, otwartość polskiego, katolickiego serca, jeszcze się utrzymuje w całej świeżości i wonności swojej...

„Na obiedzie byłem u jednego staruszka, księdza naszego, co tu mieszka; mieszczanin jeden sądecki przyjął go w dom swój, a w klasztorze i kościele klasztornym pracuje na chwałę boską. Poobiedzie całe strawiłem w klasztorze, kościele, przy źródle św. Kunegundy... Przez cały czas świąt będę w Sączu naszym pomagać, gdyż w przeciągu dwóch tygodni wypada siedm kazań, a lud miastowy i okoliczny tłumnie do spowiedzi się zbiera. Z księży naszych dwóch słabych, a trzeci jeszcze do mówienia niewprawny"...

...„Bardzo jestem zajęty — pisze parę dni później[2]. — Dziś od rana do południa słuchałem spowiedzi, pełnych pociechy i boleści; bo jakże nie ma boleć w głębi duszy, widząc jak wszyscy,

---

[1] Do ks. Sapieżyny.

[2] Do ks. Sapieżyny. Z Nowego Sącza.

jakby się na to usadzili, aby lud nasz biedny do reszty obałamucić; założywszy tło nieprawości w r. 1846, na tem tle snują niegodziwości, a serca ludu za podłe narzędzie podłych zabiegów używają... O! tak miło koło tego ludu pracować! Widzę, szczerze wyznam, że nawet ci, co mu chcą dobrze, nieraz tak niezgrabnie się biorą do dzieła; osobliwie ci, co chcą nasz lud uczynić polskim ludem, nie starają się pierwej o to, aby go uczynić uczciwym ludem. Jeśli narodowość chcą budować na nieprawości i narowach ludu biednego, to ta cała budowa runie wśród łez i krwi! Nie wiem, skąd mam to wewnętrzne przekonanie, że Bóg żąda zupełnego poświęcenia się ludowi naszemu, abym dla niego żył, pracował i umierał: tak we wszelkiem zajęciu koło ludu jakieś dziwne czuję błogosławieństwo boskie. Tegom po tylu miesiącach doznał dzisiaj! Ach! bo kocham ten lud, kocham całem sercem — jednak nie ślepo, nie z uprzedzeniem; widzę, jak niestety! wszystko złe, zaszczepione w serce jego, owoce przynosi; ale to serce jeszcze nie jest zgangrenowane. O! jeszcze tak łatwo dalszemu zepsuciu zapobiedz można! Dziś przyszedł chłop prosząc o Mszę świętą; pytany o intencyę, odrzekł: ‚Dziecko nam się narodziło z ogromnym gardzielem, ujrzawszy to ofiarowaliśmy się dać na Mszę świętą: i w tej chwili ten gardziel zniknął'. Tak to Bóg ma jeszcze w szczególniejszej opiece ten lud, i broni nadzwyczajnemi łaskami od niedowiarstwa, które chcą źli ludzie wlać w serce jego, a potem myślą, że serce utraciwszy i wiarę, dobrem, polskiem sercem zostanie!...

...„Wszedłem znowu zupełnie w to życie zakonne [1], w to życie nad wszelki wyraz błogie i spokojne. Kiedy tak wieczorem, przy bladem świetle lampy, w nędznej, ciasnej, sklepionej celce ks. Ciechanowieckiego, zbierzemy się dzieci jednej matki, pięciu biednych rozbitków, tak mi to dawne przypomina życie,— tylko jakby obraz smutku powłoką był obleczony. I mówimy o przeszłości, i mówimy o przyszłości; wspomnieniem pierwszej

[1] Do Morawskich (?) 24 grudnia 1848.

się cieszymy, na widok drugiej się nie lękamy — Bogu za wszystko dziękując. Skromny, bardzo skromny obiadek tak się smacznie i wesoło pożywa, i odprawiamy wieczorem nabożeństwo jak dawniej, i kochamy się jak dawniej... O! jakie uczucie błogie i serdeczne napełniło duszę moją, gdym usiadł po czterech latach do tego samego konfesyonału, w którym po raz pierwszy spowiadać począłem, i w którym mi Bóg łaską swoją tak błogosławił. Wczoraj i dzisiaj od rana do późna ludzie cisnęli się do spowiedzi. Ach! bo to polski nasz lud — i nie tak to łatwo, jak się komu zdaje, oderwać go od Boga — a jednak, to aż rozpacz bierze, jak się o to starają... To boli, i człowiekby rad krew swoją dał, aby inaczej było! O! niech nas gnębią, prześladują, jak chcą; — niech na całe gardło krzyczą, że my Polskę zgubili i gubimy — tylko niech nam pozwolą o kawałku żebranego chleba pracować dla kraju i ludu zbawienia. Kiedyś wszystko będzie jasne, kto tę biedną Polskę kochał — dla Boga, a kto ją kochał dla siebie... Będę pracował, pokąd ostatnia żyłka w piersiach nie pęknie.

...„Jak Biskup wizytę robił, to mu gromady nie dawały spokoju, za nami prosząc. Między innymi było dwunastu wójtów w Sączu u Biskupa, a najstarszy, siwy już człowiek wystąpił, mówiąc: Ja posiwiał i nicem o Bogu nie wiedział; aż dopiero od wnuczki mojej, co się u Jezuitów nauczyła, nauczyłem się katechizmu. — Był jeden człowiek, który po rozproszeniu naszem i słysząc to wszystko, co o nas rozsiewano między ludem, aby go odciągnąć od nas, miał szkrupuł chodzić się do nas spowiadać, ale teraz powrócił: ‚bo odkąd poprzestałem chodzić do dobrodziejaszków, to mi się już nie wiodło'... — Nas tu zostawiają, ale na jak długo? Bóg to raczy wiedzieć. Ostatni fundusz, cośmy tu mieli na utrzymanie siebie i kościoła, Niemcy zabrali...

„Dziś Wilię sprawili nam poczciwi Sandeczanie. O! tak mi to miło było. Każdy kawałek chleba podany miłosierdzia ręką, tak smaczny, bo z błogosławieństwem boskiem!...“

Miło i szybko przepłynęły na ciągłej pracy święta Bożego Narodzenia:

„Oto przeżyłem dwa dni piękne [1], błogie, zbawienne, dwa dni jezuickie. Jakie to okropne w naszych czasach słowo, czy się go nie lękasz? Tak jest, dwa dni jezuickie, to jest dni boleści i radości, dwa dni pracy nieustannej, od piątej rano do nocy... Miałem także kazanie w naszym kościołku. Z miasta i ze wsi zebrało się ludzi wiele, kościołek był napełniony; Pan Bóg pobłogosławił, bo słowa bez przygotowania z serca płynęły. I mówiłem do szlachty naszej, która licznie się zebrała, i mówiłem do ludu biednego, który tak chętny i rad słucha, gdy rozumie; i mówiłem o Bogu i po bożemu, jak Bóg dał; i mówiłem po polsku i o Polsce, jak serce szeptało...

„Nie masz nauki, pociechy, zasilenia moralnego, upokorzenia, nadziei miłosierdzia boskiego większej nigdy, jak słuchając spowiedzi, gdzie cały świat duszy się rozwija jak w pojedyńczych obrazach, — a na tle złości ludzkiej świeci miłosierdzie boskie. O! jak słuchając spowiedzi człowiek się uczy kochać Boga, kochać ludzi i poznawać, a tem samem nienawidzieć siebie! O ileż wysłuchałem tajemnych westchnień, — ile łez po kratkach konfesyonału, od Boga tylko widzianych, spłynęło! O! ileż to wielkich, świętych serc bije pod siermięgą i sukmaną. Ja tak przekonany jestem, że z połowę nieba polscy chłopi zajmą! O! wierzaj, że po większej części grzechy ludu naszego, to są grzechy nasze, grzechy księży i szlachty, grzechy niedbalstwa, zaspania, może i złego przykładu. Oj! my za lud Bogu odpowiemy“...

Stary rok — tylu zawiedzionemi nadziejami, tylu bólami w sercu zapisany, rok 1848, zakończył Antoniewicz przy grobie bł. Kunegundy...

„Do św. Kunegundy dziś w gościnę zajechałem [2]; nie przyjęła mię w swój pałac królewski, ale ubogiej wdowy strzechę naznaczyła mi na nocleg, za co jej bardzo wdzięczny jestem. Tak czuję blizkość tej dobrej Świętej naszej... Biedna wdowa, gospodyni nasza, tak uradowana przybyciem mojem; krząta

[1] Do Morawskich. W ostatnich dniach grudnia.
[2] Do W. Morawskiego. 31 grudnia.

się, aby mi wygodę sprawić, i rybkę na kolacyę z Dunajca u św. Kunegundy dla mnie wyprosiła i już oznajmiła mi, że ma na jutro dla mnie kawałek zająca, którego od dwóch tygodni chowa w tej nadziei, że, da Bóg, w gościnę przyjadę. O! jak to wszystko rzewne, polskie, drogie! — a wszystko dzięki św. Kunegundzie, która tak czuwa nad tem miastem...

„Wczoraj — pisze w dzień Nowego Roku 1849 [1] — miałem w klasztornym kościele kazanie; modliłem się tak szczerze! Odwiedziłem klasztor, a po kazaniu i obiedzie wróciłem do Sącza... Dziś tu miałem kazanie w kościele naszym... Pozostanę tu do Trzech Królów; w dzień po Trzech Królach zaraz do Lwowa wyjadę... Moja przyszłość bardzo niepewna; — o! bylem mógł pracować wedle nędznych sił i zdolności moich, abym się nie miał wstydzić przed Bogiem! Walczyłem z myślami, co z sobą uczynić, aby nie plątać się, nie zawadzać na świecie... W Sączu znalazłem kącik odpowiedni życzeniom moim, jednak i tu różne względy dłużej bawić nie pozwalają“...

W każdym prawie liście z tych tygodni i miesięcy odzywa się ta gorzka nuta: „Plączę się, zawadzam tylko, bezużytecznie żyję“. Wedle używanego niejednokrotnie przez siebie samego porównania, był Karol, z drogiego klasztoru wyrzucony, jako zraniony ptak, co z gałęzi na gałąź przelatując, daremnie szuka ukojenia. Pracował wedle sił i nad siły, piórem, na ambonie, w konfesyonale, ale praca ta na własną rękę — do pewnego przynajmniej stopnia — podejmowana, dorywcza, w jednolity system nie ujęta, nie napełniała serca wewnętrznem zadowoleniem, podsuwała dręczące pytanie: Czy się to na co przyda? Dawniej, przed dekretem rozwiązującym jezuickie klasztory w Austryi, zakonne posłuszeństwo wskazywało mu dzień po dniu, gdzie i jak ma bożą chwałę szerzyć, brało niejako na siebie odpowiedzialność za wszystkie czyny i kroki; obecnie, gdy z natury zaszłych smutnych stosunków, przełożeni, od podwładnych swych oddaleni, wytykać im mogli zaledwie ogólne linie działania; gdy często nie znając dokładnie terenu, na który

[1] Do ks. Sapieżyny. Z Nowego Sącza.

losy ich rzuciły, przesyłać im musieli, zamiast wyraźnego rozkazu, ogólną instrukcyę: „Sam zastanów się i zdecyduj!“ — trudno, bardzo trudno nieraz było decyzyę tę powziąć. Trudno zwłaszcza Antoniewiczowi, którego nawskróś poetyczne usposobienie przechodziło nazbyt szybko i łatwo z jednego bieguna na drugi: od dziecinnej wesołości do głębokiego smutku, od okrzyku podzięki: „Dzięki Ci Panie, że tyle, z takim skutkiem pozwalasz mi dla imienia Swego pracować!“ — do załamania rąk, do wpijającej się w serce wątpliwości: „Czy tu będąc, nie szukam raczej siebie niż Jezusa; czy gdzieindziej może — gdzie z taką usilnością wzywają mię dusze głodne słowa bożego — pożyteczniej, skuteczniejbym nie pracował?“ Stan ten duszy, wciąż w przeciwnych kierunkach rwanej, był i bardzo przykry i sam w sobie niezdrowy; później, gdy już wzburzone fale uspokoiły się i zbawcze posłuszeństwo znowu z całą siłą ster łodzi ująć mogło, wyznawał niejednokrotnie sam Antoniewicz, że było to doświadczenie ciężkie, jedno z najcięższych. Tak mówił pokorny zakonnik. Inni, bystrzej i prawdziwiej podobno patrzący, nie przeczyli, że w kilkunastomiesięczną tę ciągłą tułaczkę popchnęły Antoniewicza nietylko bolesne wypadki, ale też w części własne usposobienie, ludzkie prośby i przyjaźń; nie przeczyli, że ktoś inny, obdarzony innym charakterem, mniej żywą wyobraźnią i mniej żywo a gorąco bijącem sercem, potrafiłby sobie inaczej życie uregulować; ale zarazem wielbili i dziękowali czuwającej z góry bożej Opatrzności, że nie w jednem miejscu rzucać słudze swemu kazała nasienie przykładu i nauki, że w rękę mu włożyła pielgrzymi kij, aby śladem apostolskim przebiegał prowincye, wsie i miasta, zapalając wszędzie światło bożej wiary, wzniecając wszędzie ogień bożej miłości.

Na pożegnanie drogiego Sącza, na przywitanie Nowego Roku, puścił w świat, tak serdecznie kochający, tak dobrze znający lud misyonarz, krótką broszurę: „Szczere życzenia dla ludu wiejskiego przy zbliżającym się Nowym Roku 1849“ [1]. Odbijają

[1] Pierwsze wydanie wyszło w Bochni nakładem i drukiem W. Pisza; ostatnie, piąte z rzędu, w książeczce: „Z pism O. Karola Antoniewicza T. J.“. Kraków 1883.

się tu żywem echem przewodnie myśli wygłoszonych w ostatnich tygodniach kazań, udzielanych w konfesyonale nauk; występuje na jaw gryząca serce troska, czy przypadkiem „nie wolności dotąd człowiek“, lecz „wolności wstało zwierzę?“ — odzywa się szczere życzenie, pragnienie gorące, by odtąd już polski lud szedł razem z polską szlachtą.

„Bracia wieśniacy! — przestrzega i zaklina — jesteście dziś wolnymi, ale biada wam, jeśli tej wolności nadużywać będziecie, jeśli ta wolność wyrodzi się w swawolę, jeśli do próżnowania i rozpusty ta wolność doprowadzi! Jesteście bogatszymi, ale biada wam, jeśli przez to zubożejecie na duszy waszej; jeśli tych pieniędzy na złe, na pijaństwo, na rozpustę używać będziecie, jeśli bogactwo uczyni was dumnymi, zuchwałymi i do pracy leniwymi... Ludu katolicki, ludu polski! okaż się godnym tej łaski, którą cię Bóg uszczęśliwił... O! nie słuchaj, nie słuchaj tych, którzy bałamucą serce twoje i myśli twoje odwodzą od Boga i od prawdy i chcą cię wtrącić w przepaść zbrodni i zatruć wyrzutami sumienia życie twoje, i duszę twoją wydać na potępienie wieczne. O! nie słuchaj tych, którzy Boga nie słuchają!... Żyj w jedności, w zgodzie i pokoju ze wszystkimi: lepiej tobie cierpieć od innych, jak żeby inni od ciebie cierpieć mieli; lepiej tobie być skrzywdzonym, jak pokrzywdzicielem innych. Ludu katolicki! zbliż się sercem do Boga twego! Ludu polski! zbliż się sercem do panów twoich!“...

Na pierwszy dłuższy popas na drodze do Lwowa, zatrzymał się Antoniewicz w starem Krośnie, aby uścisnąć, pogawędzić z pracującym przy farnym kościele, znanym już i nam, O. Teofilem Baczyńskim.

„Wczoraj — pisał nazajutrz po Trzech Królach[1] — późnym wieczorem pożegnałem kochanych braci moich sądeckich i drogą celkę moją i Sącz poczciwy — i to minęło, ten ustęp życia zakonnego wśród życia światowego; tych kilka chwilek życia wewnętrznego, zebranego wśród życia zewnętrznego, tak rozstrzelonego. O! jakbym chętnie tam pozostał — kto wie, czy powrócę,

[1] Do Morawskich, 7 stycznia 1849. Z Krosna.

raz wyjechawszy — lecz Bóg inaczej rozrządził! Jeden przepłacze, drugi przeskacze; jeden przesiedzi, drugi przepielgrzymuje życie swoje... Przyjazd mój do Lwowa z dnia na dzień się ociąga, — i chciałbym już tam być i boję się; ale raczej ani chcę, ani się boję, bo szczęścia nie chcę, krzyża się nie lękam — i jedno i drugie z równą przyjmę wdzięcznością z rąk dobrego Boga"...

Parodniowy pobyt w Krośnie, poetyczne dźwięki krośnieńskich dzwonów, rzewne dźwięki kolend, głęboko zapisały się w wyobraźni, w pamięci poety-pielgrzyma; naszkicował on je w kilku listach do gräfenberskich przyjaciół; odmalował w prześlicznym obrazku, zatytułowanym: „Wieczór w Krośnie" [1]:

„Burza jesienna wyła na dworze, unosząc tumany śniegu przez puste, wązkie, brudne ulice i uliczki Krosna. Mrok wieczorny zapadał; mrok smutku i tęsknoty — duszę ogarnął... W ubogiej izdebce domu proboszcza stałem przy oknie, i milcząc patrzałem w ten świat w konwulsyjnych miotany drganiach, a mróz jakby dla urągania i szyderstwa, zwarzywszy i wymroziwszy wszystkie kwiaty po polach i górach naszych, począł na szklanem tle okien malować lodowate — bezbarwne — bezwonne kwiaty swoje, jak to wielu naszych nowoczesnych pisarzy romansów i poezyj, którzy wymroziwszy w dziewiczych sercach kwiat niewinności i serdecznego czucia — na białej karcie papieru kłamią sztuczną tkanką czczych wyrazów te uczucia, jakich brudne ich serce nigdy nie doznawało, aby z martwej książki w żyjące przesnuły się serca! Ale to wszystko czarodziejskim wymowy urokiem tak się lśni i błyszczy — jak te lodowate na szklanych szybach kwiaty.

„I wicher wzmagał się coraz silniej, i wieczór coraz bardziej ciemnieć począł; stare lipy, co otaczają cmentarz przy kościele krośnieńskim, jak kościotrupy trzeszczały suchemi konarami, ucierając się z burzą północną! Wtem, ktoś nieśmiały do drzwi izdebki mojej zakołatał. Dwóch chłopaków w przyprószonych śniegiem kapotach wchodzi do izby, ze zwykłem po-

[1] *Dzwonek*, tom II, str. 3—10.

zdrowieniem tak pożądanem i zrozumiałem dla każdego katolickiego serca, na które każdy tak ochoczą i radosną ma zawsze odpowiedź wyrazami: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — O! nie raz już jeden to pozdrowienie w smutnej życia chwili zakołatało do serca naszego; o! nie raz jeden może odrzekło to serce: Bądź pochwalony, o Jezu! Panie mój, wejdź do serca mego, a z Tobą wstąpi spokój i pociecha, ucisz tę burzę, co świat obudził w duszy mojej — bo smutno i bolesno dziś w tym świecie, który o Tobie zapomniał, który się wstydzi imienia Twego. A Ty, o Jezu! chodzisz w pośrodku nas i kołaczesz łaską Twoją do serc naszych, a mało takich, którzyby Ciebie przyjąć chcieli do przybytku serca swego — mało takich, którzyby z uczniami Twymi wyrzekli: ‚Panie, pozostań z nami, bo już się dzień ma ku wieczorowi!‘ Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — bo w chwale Jego jest chwała nasza na wieki.

Żyć na świecie to tak nudno,
A umierać to tak trudno!
I w tem życia zwrotnem kole
Lotne szczęście — trwałe bole;
Bo to życie — nie zabawa,
Ale praca — gorzka, krwawa!
A choć młodych lat poranek
Wije dla nas marzeń wianek,
Choć, gdy miłość pierś rozgrzewa,
Ta rozkoszy pieśń wyśpiewa;
To i wianek ten opadnie,
Gdy go świat owionie zdradnie,
To i pieśń tę w głębi duszy,
Fałszu brzmieniem świat przygłuszy!
Serce ciągle coś utraca,
Ciągle w bole się zbogaca,
Szczęście świata, para marna,
Prawda świata, chmura czarna,
Która wówczas się rozświeci,
Gdy z niej zgubny grom wyleci!
Żadna miłość — chwała, radość,
Nie uczyni sercu zadość.
Z nieba w ziemię przesadzona,
Dusza ciągle tęskni — kona,
I do szczęścia nie powróci,
Aż tę ciała bryłkę zrzuci.

„Jeden z chłopaków trzymał w ręku sztucznie z kolorowanych papierów wylepioną potężną gwiazdę, która za pomocą sznurka szybkiem obracała się kołem; a drugi, stojąc opodal, rozświecał gwiazdę blaskiem latarni na żerdce umocowanej! Miało to być obrazem tej gwiazdy, która Mędrców Wschodu do betleemskiej przywiodła stajenki. Ta tajemnica, jedna z najświętszych i najwięcej niosąca nam pociechy, tajemnica powołania narodów do wiary — przedstawiona tą lepianką papierową w ręku dwojga dziatek — tak rzewnie i serdecznie do duszy przemówiła: ‚Z ust dzieci i ssących uczyniłeś sobie chwałę'. O! jak to wszystko co z wiary jest i wiarę nam przypomina, potrąca o tę strunę, którą ręka boska nastroiła w duszy naszej; zardzewieć, zamilknąć może, ale nigdy rozstrojoną nie będzie; nigdy ona nie pęknie; a gdy wszystkie inne struny, które świat naciągnął, w dysharmonijnych zadzwonią akordach, ta jedna zachowa zawsze dźwięk swój jasny, czysty, bo — boski!

„Nie spodziewałem się takich u siebie powitać gości. Dumni ze swego arcydzieła, nie spuszczali ócz ze mnie, chcąc się przekonać i odgadnąć, czyli całą misterność ich pomysłu godnie i należycie oceniać umiem. Zadowoleni pochwałą moją, uczynili nizki pokłon, a krząknąwszy, uśmiechnąwszy się, spojrzeli tajemniczym po sobie wzrokiem, i wdzięcznym, dziecięcym głosem, przy migających się gwiazdy obrotach, rozpoczęli serdecznie kolendować: ‚W żłobie leży', ‚Lulajże, lulaj', ‚Zagrzmiała, runęła' i t. p. — Komuż z nas nie znane, i od dzieciństwa nie ukochane kolendy nasze!... Wszystko się dziś zmieniło, ale jednak urok tych kolend ciągle się utrzymuje, a jeśli nie obudza ich słuchanie podobnych uczuć radosnych w duszach naszych, obudza przynajmniej uczucia żalu i tęsknoty, że tych tak czystych i niewinnych pociech i zabaw ojców naszych podzielać już i nie chcemy i nie umiemy!

„Odśpiewawszy zadanie swoje, ci mali mędrcy krośnieńscy powędrowali z gwiazdą przewodniczką do poblizkich domów, i pozostałem sam w izdebce i wiatr coraz przeraźliwiej świstał po ulicach, i szyby iskrzące się od mrozu coraz silniej dzwoniły; i zdjąłem z piersi koronkę — tę nieodstępną towarzyszkę

wędrówek, boleści i radości moich... a przycisnąwszy z miłością i uszanowaniem ten krzyżyk koronki, nad życie mi drogi, do ust i serca mego — rozpocząłem pacierze za dusze zmarłych, na tych poświęconych paciorkach.

„Zaledwiem parę ‚Zdrowaś Marya' odmówił, wśród wyjącej burzy, jasnym, czystym, srebrnym głosem dzwony krośnieńskie na ‚Anioł-Pański' dzwonić poczęły! — Sławne były zawsze dla dźwięku swego te krośnieńskie dzwony — po całej polskiej ziemi; bo też i rzadko się kiedy zdarzy posłyszeć podobne harmonijne, powietrzne dźwięki; gdy stary Urban z wysokiej dzwonnicy huczeć pocznie, jako głos Boga rozgniewanego; Jan i Maryan srebrnym dźwiękiem, jakby żebrząc o miłosierdzie, płaczem i jękiem mu wtórują!...

„O iluż to łzom i boleściom one wtórowały! iluż to już smutnym pogrzebnym przydzwaniały obrzędom! Ale dźwięk ich przez tak rozmaite przechodząc tony, zawsze ten sam, jasny, rzewny i czysty — tak jak głos duszy, która przez rozmaite przechodząc boleści i radości, zawsze tęż samą pieśń chwały i dziękczynienia składa Bogu swemu w ofierze. A któżby nie kochał dzwonów naszych katolickich, które całemu pokoleniu i każdemu z nas, jako echo z innych światów towarzyszą po wszystkich krzyżowych życia drogach; które podzielają nasze troski i wesela, bo te dzwony chrzest przyjęły — bo te dzwony serce mają!... Dzwońcie, dzwońcie! dzwońcie dzwony nasze, przy waszem brzmieniu lżej jakoś i zapłakać i podumać. Jeśli serce nasze o Bogu zapomni, żałośnie i boleśnie przemówcie do nas; a jeśli powstaniemy przeciw Bogu naszemu, zahuczcie groźno jak grzmot nieba w samą głąb duszy naszej! Nie zamilczcie tylko patrząc na złość naszą. Dzwońcie nam nadzieją, dzwońcie nam wiarą, dzwońcie nam miłością! Niebo i ziemia was słucha. Mówcie niebu o boleściach, ziemi mówcie o chwale nieba. W wieczór, w południe i rano, głos wasz jest głosem anioła co przemówi do nas, że Marya jest Matką naszą.

„Rano, w południe i w wieczór głos wasz ugina kolana ludu wiernego, tysiąc rąk składa do modlitwy, bo mówi dzieciom o Matce ich! O! gdy po raz ostatni, dzwonie katolicki,

serce twoje dla mnie uderzy, oby głos twój tę prawdę objawił: Jedna dusza więcej w niebie, garść prochu przybyła na ziemi!"...

Za blizko od Krosna kolebka zakonnego życia, ukochany starowiejski kościół i klasztór, aby nań choć z drogi okiem nie rzucić, cudownej Matce Bożej się nie pokłonić. Przed dawną furtą zakonną stał rosyjski szyldwach, broniąc wstępu do klasztoru zamienionego w szpital dla ranionych w węgierskiej wojnie rosyjskich żołnierzów; trzech staruszków Jezuitów: OO. Sacher, Łaszkiewicz, Stibel i zapobiegliwy braciszek zakonny Antoni Plaski, tuliło się w dwóch wilgotnych izdebkach starej organistówki, i tu z otwartemi rękami przyjęli drogiego gościa. Kilka godzin upłynęło jak jedna chwila na rzewnych wspomnieniach, serdecznej pogadance. Antoniewicz część jałmużny, udzielonej sobie przez hojnych dobroczyńców, zostawił biedniejszym braciom, i pomodliwszy się przed łaskami słynącym obrazem, przed którym ostatni raz w życiu klęczał, podążył bez przeszkód już i bez dłuższych popasów do Stanisławowa, gdzie siostra od dawna z upragnieniem go oczekiwała, gdzie w ormiańskim kościołku czekała go niezbyt nużąca, ale bardzo pożyteczna praca w konfesyonale.

(C. d. n.).

Ks. Jan Badeni.

ŻYDZI POLSKO-ROSYJSCY W LONDYNIE.

Kwestya żydowska, tak samo jak wszystkie inne zagadnienia polityczno-społeczne, nie może być rozstrzygniętą z dogmatyczną ścisłością. Wchodzi w nią tyle różnoskładowych czynników, zależną jest tak wielce od etnograficznych, rasowych, religijnych, politycznych i ekonomicznych stosunków danego społeczeństwa i danej chwili, że prawdziwie zdumiewać się trzeba nad lekkomyślnością i płochością tych, którym podoba się obcesowo i doraźnie ją rozwiązywać.

Oczywista rzecz, że inaczej zapatrują się na nią Francuzi, którzy wśród 38-milionowej ludności liczą 300.000 Żydów, albo Anglicy, którzy przy takiejże ludności mają zaledwie 67.500 Żydów w Londynie, a 25.700 w całej reszcie kraju, a inaczej znowu w Rosyi, gdzie ilość Żydów, dochodząca 4 milionów, stanowi 11%, a w niektórych miejscowościach aż 35% całej ludności. Wiemy dobrze, że owa gwałtowna antysemicka kampania, która w ostatniej ćwierci wieku zakłóciła pokój społeczny w Niemczech i innych krajach środkowej Europy i znalazła echo nawet tam, gdzie jej przewidywać nie było można, nie płynęła jedynie z religijnego ferworu, albo też z troski o zachowanie plemiennej czystości, lecz po części z rozbudzonej pożądliwości cudzego dobytku i z innych, równie mętnych a ujemnych źródeł. Podczas kiedy pseudo-historyczni marzyciele podobają sobie

w fantastycznym planie przesiedlenia jednorazowego i przymusowego wszystkich Żydów do Palestyny i odbudowania tam ich państwowego organizmu, podczas gdy oburzeni prześladowaniami, jakie plemię ich znosi, współwyznawcy-milionerzy pragnęliby znaleść dla nich, gdzieś na drugiej półkuli, spokojne jakie przytulisko, i częściowo filantropijne to przedsięwzięcie urzeczywistniają — żaden umysł poważniejszy i praktyczny złudzeń sobie nie robi co do doniosłości i skuteczności tego rodzaju solucyi. Środki te nie przekroczą nigdy charakteru i rozmiarów paliatywów. To samo powiedzieć można z religijnego stanowiska o nawróceniu ogółu Żydów na chrześcijanizm. Nawet gdyby dwadzieścia wieków ery chrześcijańskiej już same przez się nie dawały pod tym względem ujemnej odpowiedzi i nie wykazywały niezwalczonej trudności zadania, to nie ulega wątpliwości, że duch tolerancyi i wstręt do prześladowań, jakie coraz głębiej świat współczesny przenikają, takiemu nawracaniu ryczałtowemu nie sprzyjają. Statystyka potwierdza sceptyczne te przewidywania. W Anglii, gdzie misyonarski prozelityzm nie ostygł jeszcze, Żydzi uważani są jako najtwardszy do zgryzienia orzech. *The Society for the propagation of the Gospel amongst the Jews* przyznaje, że jego usiłowania żadnym praktycznym nie uwieńczone są owocem. Zdarza się, iż pojedyńcze osoby, czy z przekonania, czy z interesu, nawracają się na chrześcijanizm, ale rasa jako taka stoi przy swej religijnej tradycyi. We Francyi śluby cywilne i ogólna atmosfera sceptycyzmu, pozbawia wprawdzie Żydów, bardziej niż w innych krajach, wyłączności religijnych, ale Kościół jako taki niewiele na tem zyskuje.

Gdy się te i inne liczne fakta tego samego nastroju weźmie pod uwagę, to nie dziwnem się wyda, iż społeczności i narody europejskie muszą spoglądać na żywioł żydowski jako endymiczny, trwale w ich organizmach istniejący, i że się z nim rachować powinny. Czy za kilka albo kilkanaście wieków owych kilka milionów Żydów, którzy dotąd plemienną swą odrębność przechowali, takową zatracą i zleją się z rasami, wśród których żyć będą, jest naturalnie tajemnicą przyszłości, którą każdy

z nas może odgadywać według osobistego zapatrywania. Ale nawet zadanie dnia dzisiejszego, polityka chwili bieżącej, inaczej pojmowaną bywa w jednych, inaczej w drugich krajach. We Francyi Żydzi od stu lat z górą są cywilnie i politycznie równouprawnieni z resztą narodu, i coraz bardziej społeczne i towarzyskie ich różnice tam się zacierają. W Anglii, chociaż polityczna emancypacya Żydów jest późniejszą, została już usankcyonowaną przez społeczeństwo. Nie można tego powiedzieć o Niemczech i Austryi, bo nawet gdy prawo znosi tam istniejące uprzednio zapory, społeczeństwo dobrze świadome istniejących różnic i nie pokonawszy zakorzenionych uprzedzeń, przeciwko nowemu stanowisku Żydów protestuje.

Stanowisko Rosyi w tej kwestyi jest inne, i wypada mi zatrzymać się nad niem chwilkę, ażeby uczynić zrozumiałem dla czytelnika położenie Żydów polsko-rosyjskich, szukających przytułku na ziemi angielskiej. Europa zachodnia, tak często błędnie na stosunki rosyjskie się zapatrująca, przypisywała ryczałtowe wypędzenie Żydów z południowo-zachodnich prowincyj Cesarstwa religijnemu prześladowaniu, i zaprotestowała w imię tolerancyi i humanitaryzmu przeciwko gwałtom i wybrykom, które *exodus* gromadny nacechowały. Nie zapomniano dotąd deputacyj i adresów wysyłanych z Anglii, tchnących szlachetnem oburzeniem, deputacyj i adresów, które rząd rosyjski przyjmował z wzgardliwem lekceważeniem. Nie przychodzi zapewne nikomu na myśl bronić słynnego a osławionego prokuratora św. Synodu, p. Pobiedonoscewa, którego fanatyczne prześladowanie katolicyzmu wycisnęło na jego historycznej fizyognomii niezgładzone piętno. Lecz nie można robić zeń kozła ofiarnego w tej sprawie: inna myśl kierowała polityką rządu rosyjskiego. Chociaż pragnie uczynić z prawosławia jednoznacznik narodowości rosyjskiej, jednak byłby zostawił i nadal Żydów w tym względnym spokoju, którego używać mogą jednostki, grupy i plemiona wśród organizmu caratu, gdyby nie był uznał za właściwe zużytkować ich jako narzędzia przeciwko narodowości polskiej. Ta *delenda Carthago* rosyjskiego rządu nie powinna być nigdy spuszczana z uwagi.

Zniszczenie żywiołu polskiego, oto klucz do polityki rosyjskiej w kwestyach, które pozornie nic z nią nie mają wspólnego.

Żadnej wątpliwości ulegać nie może, że przedsiębiorąc krucyatę przeciwko Żydom, rząd rosyjski chciał zadać cios żywiołowi polskiemu w zachodnich prowincyach cesarstwa, na Litwie i w Królestwie. Żydzi, zamieszkali w południowych prowincyach, całkiem już zruszczeni, zostali skazani albo na banicyę, albo na osiedlenie się na Litwie i w Królestwie Polskiem, gdzie przyłożyć się mieli do zruszczenia swych współwyznawców, dotąd nienawistną polskością przesiąkniętych: jakąkolwiek powzięliby decyzyę, byłaby zawsze korzystną dla polityki rosyjskiej. Nie potrzeba zapewne polskiemu czytelnikowi przypominać, że polityka historyczna Polski a Rosyi była całkiem odmienna względem Żydów. Rzeczpospolita otwierała im swoje granice, dawała bezpieczny przytułek w epokach, gdy ich srogo prześladowano w krajach ościennych, a przy braku i niedostatecznem rozwinięciu stanu mieszczańskiego, Żydzi weszli w posiadanie, niemalże wyłączne, wielu stron ekonomiczno-finansowego gospodarstwa. W walce, jaka się toczyła pomiędzy możnowładztwem szlacheckiem a Koroną, ta ostatnia stale znajdowała po swej stronie Żydów, którzy usiłowali wytargować na niej zawsze nowe przywileje handlowe. Rosya przeciwnie, wykluczała systematycznie Żydów ze swego obrębu, i gdy królowie polscy w traktatach z nią zawieranych w XVI. i XVII. wieku starali się pozyskać dla swojej żydowskiej klienteli prawo osiedlania się w Rosyi, zawsze napotykali nieprzezwyciężony opór. Dopiero z rozbiorem Polski, Rosya wraz z jej mieszkańcami, posiadła i żydowskich, a z polskich prowincyj rozlali się oni z biegiem czasu i na rosyjskie. Łatwo atoli zrozumieć, że Żydzi, zamieszkali z dawien dawna wśród polskiego społeczeństwa, ulegli w pewnej mierze jego wpływowi. Językiem, zwyczajami, sympatyami i uczuciami nie do Rosyi, ale do Polski byli skierowani. Wypadki 1863 roku ujawniły ten wewnętrzny nastrój Żydów polskich i rząd rosyjski w gwałtownej reakcyi, która potem nastąpiła, i ich także wytępić postanowił. Rusyfikacya Żydów na Litwie i Białej Rusi przedsięwziętą została systematycznie przez Mu-

rawiewa i jego następców. Dokładnie z dzisiejszemi stosunkami Litwy i wszystkich zabranych prowincyj obznajmieni przyznają, że trzydziestoletnia polityka rządu rosyjskiego przyniosła już widoczne następstwa, i że ludność żydowska po miastach, a szczególnie inteligencya żydowska, przestała być polską. Gwałt, przemoc, prześladowania, tak samo jak działanie biurokracyi czynowniczej, dopięły tedy celu. Za jakie drugie lat trzydzieści, mógł się rząd rosyjski spodziewać wychowania pokoleń żydowskich, nic z polską narodowością wspólnego nie mających.

Ale było mu za długo na to czekać. W celu przyspieszenia tej rusyfikacyi postanowił wydalić z wnętrza i z południa Rosyi całą masę tolerowanych tam jedynie Żydów. Bez względu na wywołaną przez taki krok despotyczny ekonomiczną perturbacyę, a mniej jeszcze się troszcząc o indywidualne niewygody lub cierpienia skazanych na przesiedlenie lub wygnanie, rząd rosyjski plan powzięty wykonywać zaczął. Łatwo mu było przewidzieć, że owo mrowie żydowskie, w większej części do proletaryatu należące, nie będzie posiadało materyalnych środków do emigracyi za morza albo na zachód Europy, i że będzie wolało przesiedlić się do zostawionych im otworem prowincyj zachodnich, tj. Litwy i Królestwa. Ponieważ Żydzi, przybywający z głębi Rosyi, mówią żargonem rosyjskim i ze społecznością polską jako taką w żadnym nie pozostają związku, ponieważ dalej znajdują w zruszczonych na Litwie współwyznawcach żywioł pobratymczy, którego za polski uważać już nie można — rząd słusznie przewiduje, że w przyszłości zrobi się amalgamat Żydów napół jeszcze polskich z Żydami wyłącznie rosyjskimi, w którym z powodu naturalnej selekcyi z jednej strony, a wytrwale i systematycznie prowadzonej akcyi władz z drugiej, żywioł rosyjski stanowcze odniesie zwycięstwo. Owoce tej taktyki na Litwie i Białorusi niedługo dadzą na siebie czekać, we właściwem Królestwie będą dojrzewać powolniej, ale i tam rząd na nie rachuje. Czysto rosyjskie usposobienie Żydów w ostatnich paru latach z głębi Rosyi do Warszawy i innych miast polskich przybyłych, stwierdzone zostało przez kompetentnych sędziów, i uważane za jeden z najniebezpieczniejszych czynników, z któ-

remi tylokrotnie zagrożona nasza narodowość ma już obecnie, a będzie miała jeszcze więcej w przyszłości do walczenia. Gdybyśmy się tedy z czysto narodowego stanowiska zapatrywali na wydalanie Żydów z prowincyj rosyjskich za granice kraju, nie mielibyśmy powodu na nie sarkać. Ale w każdem sercu polskiem, prześladowanie narodowości wywołuje instynktowne nieledwie, żywe współczucie, i jesteśmy skłonni zapomnieć o groźbie i niebezpieczeństwie, jakiem ci Żydzi staćby się dla nas mogli, a widzimy w nich tylko nieszczęśliwych, bezbronnych wygnańców, nad którymi znęca się oprawca. Gdy spotykamy na ziemi angielskiej Żydów przez rząd rosyjski wygnanych, wraz przypominamy sobie, iż są oni jego ofiarami, i uczuwamy dla nich sympatyę i pobratymstwo, do czego skądinąd nie znalazłoby się wystarczających powodów.

Nie dziwota, że ci Żydzi, co zamiast do polskich prowincyj się przesiedlić, woleli raz na zawsze Rosyę opuścić, zwrócili się do Anglii. Ameryka odstraszała wielu nietylko odległością i kosztami podróży, którym proletaryat żydowski podołać nie mógł, ale i trudnościami, jakie władze miejscowe stawiały napływowi niepożądanych przybyszów. Wśród wszystkich europejskich narodów jedna Anglia tylko używała dobrze zasłużonej sławy gościnności dla cudzoziemców i obconarodowców, a na szerokiej podstawie jej publicznych swobód, nie było miejsca dla żadnych prześladowań i szykany. Olbrzymi rozwój angielskiego przemysłu i handlu dozwalał spodziewać się Żydom polsko-rosyjskim, że ich specyalne pod tym względem uzdolnienie znajdzie tam praktyczne zastosowanie, a konkurencya życiowa, jakkolwiek zastraszająca, nie mogła powstrzymać tych, którym prześladowania rosyjskie odebrały możność wyboru. Do Anglii tedy przybywali tłumnie, i jeżeli nie urzeczywistniła ona wszystkich nadziei wygnańców i nie odpowiedziała ideałowi ziemi obiecanej, to wszelako, wspominając piekło, z którego uszli, i biorąc na uwagę ekonomiczne warunki, w których pracują i na życie zarabiają najniższe warstwy krajowego proletaryatu, z którym jedynie mierzyć się mogli, Żydzi uczynionego wyboru żałować nie mają powodu. Przekonamy się o tem niżej i skądinąd.

Tłumne napływanie Żydów polsko-rosyjskich wywołało wśród warstw robotniczych angielskich obawę współzawodnictwa w podaży pracy, a zatem zmniejszenia raty zarobkowej. Zdawało się im, że od razu miliony proletaryatu żydowskiego wygnanego z Rosyi osiedlą się w Anglii, a chociaż cyfry, które podane tu będą, są wobec tych pesymistycznych przewidywań drobnemi, wystarczyły one jednakowoż do zniżki cen zarobku w tych gałęziach wytwórczości, do których przedewszystkiem wzięli się przybysze. Mimo tego, agitacya za utrudnieniem przybycia do Anglii i osiedlenia się cudzoziemców-biedaków, a mianowicie nałożeniem na nich podatku, któryby działał odstraszająco, nie przybrała ani na chwilę większych rozmiarów, i zamkniętą została w kołach protekcyonizmu, znajdującego poparcie zaledwie w drobnej narodowej mniejszości. Anglik jest tak głęboko przeświadczony o swej wyższości nad wszelkie ewentualne współzawodnictwa, że im państwową swą arenę bez wahania otwiera na roścież; a pogwałcenie prawa przytułku dla wygnańców uważaneby było przez masę narodową jako skaza na tarczy Wielkiej Brytanii. Zapatrywanie to potwierdzają wypadki chwili obecnej. Właśnie gdy te kartki kreślimy (lipiec 1894 r.), Lord Salisbury, urzędowa głowa zachowawczego stronnictwa i przywódca opozycyi, przedłożył Izbie Lordów bill, proponujący środki zaradcze przeciwko osiedlaniu się na terytoryum angielskiem obconarodowych anarchistów, przybłędów i nieposiadających kapitału robotników. Chociaż artykuł odnoszący się do anarchistów mógł posłużyć jako paszport do zamknięcia kraju dla biednych cudzoziemców, to obie propozycye znalazły więcej niż chłodne przyjęcie. Rząd, parlament i cała liberalna prasa z oburzeniem zaprotestowały przeciwko nim, i niema najmniejszego widoku, ażeby ten bill otrzymał prawodawczą sankcyę. Żydom już osiedlonym w Anglii, jak się samo przez się rozumie, nowa ta ustawa, nawet gdyby weszła w życie, nie zrobiłaby żadnego uszczerbku: ale jest to pewne zadowolnienie wiedzieć, że nic też nie dotknie tych co z biegiem czasu swe kroki tutaj skierują.

Liberalne dla Żydów usposobienie angielskiego społeczeństwa nie zagraża zresztą temu ostatniemu najmniejszem niebezpie-

czeństwem: pozostaną oni nadal tem czem byli w przeszłości — podrzędnym składowym czynnikiem organizmu narodowego. Wynika to z historycznego stanu rzeczy: z wyjątkiem garstki holenderskich i portugalskich Żydów, dopuszczonych do osiedlenia się za Cromwella, nie było ich w Anglii po banicyi dokonanej za Edwarda I. aż do epoki Karola II. W 1760 r. było ich wszystkiego 8000, znajdujących się pod specyalnym nadzorem i zarządem londyńskiego *Committee of Deputies of British Jews:* uważani jako cudzoziemcy wykluczeni byli ze sfery prawnej i organizmu narodowego. Liczba ich nie wzrosła w ciągu stu trzydziestu lat w znacznych rozmiarach, skoro przy obliczeniu całkowitej ludności Wielkiej Brytanii w 1891 r. było wszystkiego 198.113 cudzoziemców, a w przybliżeniu nie więcej jak trzecia część należała do ich rasy i narodowości, Rosyan zaś i Polaków podaje ten wykaz na 26.742. Wyszły w tych dniach raport biura statystycznego o immigracyi obconarodowej do Anglii, raport, o wiarogodności którego świadczy powaga jego odpowiedzialnego autora p. Giffen'a, przypomina, że przy obliczeniu ludności 1891 r. liczba obconarodowego proletaryatu, znajdującego się w Anglii, nie przekraczała 12.000, że rok 1892 miał ich 11.500, a rok 1893—6000. Przyjmując cały ów proletaryat jako żydowski, co jest oczywista przesada, nie znajdziemy ubóstwa tego więcej jak 35.000. Inne przybliżone oszacowania, udzielone mi ustnie przez ludzi gruntownie z żywiołem żydowskim polsko-rosyjskiego pochodzenia obeznanych, podają ich cyfrę na jakich 50.000 w Londynie i kilku wielkich miastach angielskich.

Choćbyśmy nawet podwoili tę ilość Żydów polsko-rosyjskich osiedlających się w Anglii, jest widocznem, że byłaby ona tylko podrzędnym składowym czynnikiem w całym narodowym organizmie angielskim, i z tego stanowiska na nich się zapatrując, żadnych obaw żywić nie można. Szumne frazesa *jingów*, deklamujących o Wielkiej Brytanii dla czystej brytańskiej rasy, nikogo w błąd wprowadzić nie powinny. Ludzie istotnie kompetentni, opierający swe wnioski na ścisłych i gruntownych badaniach, jak Karol Booth, autor pomnikowego dzieła *Life and Labour*, do tego rodzaju przesady się nie posuwają. Ale i ów

nawet zataić nie może, że ten napływ żydowskiego proletaryatu, ześrodkowawszy się w tych właśnie dzielnicach Londynu, gdzie ludność jest najgęstsza, warunki życiowe najtrudniejsze, walka o zarobek najzaciętsza — wywołał i wywołać musiał perturbacyę, której następstwa nie znikną tak prędko. Nie z narodowo-angielskiego, ale z ekonomicznego tylko stanowiska kwestya przybyszów żydowskich powinna być rozbieraną.

Byłoby także błędem rozpatrywać ją z municypalnego stanowiska, jak to się nieraz u źle poinformowanych zdarza. Uskarżają się oni, że jest niesprawiedliwością, ażeby podatek, płacony przez każdą parafię na utrzymanie biednych, obracany bywał na utrzymywanie przybyszów. Niema nawet cienia podstawy w tym argumencie. Wiadomo jest, iż podatek opłacany na utrzymywanie biednych obraca się jedynie na wspomaganie tych, którzy w parafii się urodzili, i że do zapomogi tej nikt inny najmniejszej pretensyi rościć nie może. Żydzi polsko-rosyjscy nie otrzymali z tego źródła złamanego szeląga. Podtrzymuje ich materyalnie, i opieką swą otacza prywatne stowarzyszenie dobroczynne: *Jewish Board of Guardians*. Ono jest prawdziwą opatrznością Żydów polsko-rosyjskich, i niema wątpienia, że pozbawieni tej centralnej a potężnej organizacyi, przybysze zostaliby pochłonięci przez odmęt olbrzymiego miasta i nie potrafiliby stawić czoła jego potężnej fali. Biuro opiekuńcze Żydów, w początkach przeznaczone do utrzymywania czystości wiary i obrządków religijnych, stało się z biegiem czasu coraz przeważniej, coraz wyłączniej instytucyą filantropijną. Centralizuje ono w swych rękach ofiary i datki dobroczynne, nadsyłane przez zamożnych Żydów, i obraca corocznie znacznemi kapitałami. Jest zasługą tego ciała, iż jałmużny biedakom są bardzo oględnie rozdawane, a natomiast szczodre są zaliczki i zapomogi, udzielane robotnikom i rzemieślnikom do rozpoczęcia przedsiębiorstwa na własną rękę i jego rozszerzenia. Robią nawet nieraz zarzuty temu biuru opieki żydowskiej, że za daleko idzie w tym kierunku i że przyczynia się do sztucznego wytwarzania drobnych warsztatów, w których godziny pracy, nadzór i higieniczne warunki nie są należycie przestrzegane. Nie ulega także wątpliwości, że z kasy

tego towarzystwa udzielają się nieraz pożyczki, które służą na sprowadzanie nowych rodzin żydowskich: ale niema środka powstrzymania tej solidarności, nawet gdyby się do represyjnych kroków chciano uciec. Inną instytucyą pomocniczą jest *Poor Jews Temporary Shelter*, która żywi i wynajduje mieszkania dla świeżo przybywających przez pierwsze dwa tygodnie ich pobytu. Na 1500 Żydów rozciągała się przed kilku laty dobroczynność tego towarzystwa: obecnie przepołowiło się jego działanie, co jest nowym dowodem, że napływ żydowskiej emigracyi już się zmniejszył.

Nieraz już opisywano, w drastycznych barwach i z nietajonem rozrzewnieniem, te rodziny żydowskie, opuszczające hamburski okręt, na którym obchodzono się z niemi gorzej jak z trzodą bydlęcą, i wylądowujące z bachorami i tobołkami, wśród wilgotnej mgły londyńskiej, na obcej ziemi. Widok to istotnie przejmujący, i nie zapomni go nikt, kto raz spostrzegł te typy dla nas nie obce, ale nabierające tragicznej wyrazistości wskutek rozpaczy i osłupienia, co się na ich wynędzniałych obliczach maluje i w gorączkowych ruchach uwidocznia. Znajdują się zawsze faktorzy i dobrowolni agenci, którzy hałaśliwie pomoc swą narzucają i przez labirynt uliczek prowadzą przybyszów bądź na Leman Street, gdzie się znajdują biura *Poor Jews Temporary Shelter*, bądź do samego środka dzielnicy Whitechapel, gdzie jak atomy toną wśród wiecznie ruchliwego mrowiska. Szczęśliwsi są ci przybysze, którzy w dawniej już osiadłych rodzinach i krewniakach znajdują pomoc i wskazówkę, co począć i gdzie zarobku szukać należy. Ci, co zostawieni są sami sobie, udają się na Peter Lane, albo na sąsiednie uliczki, gdzie się odbywa codziennie rodzaj targu na niewolników i gdzie oczekują o chłodzie i głodzie długie godziny, a nieraz dnie całe na zarobek. Gdy się zjawia pośrednik, faktor, *middleman*, łatwo zrozumieć, że przybysz nie targuje się o korzystne warunki, ale przyjmuje pierwsze lepsze, jakie mu są dawane. Nieraz pracuje bez żadnej płacy a po prostu za żywność, ograniczającą się do kawy z mlekiem i chleba. Wyzyskiwanie tych nowicyuszów, czyli *greener*'ów, jak ich w potocznym języku nazywają po-

wszechnie, jest rzemiosłem korzystnem. Przybywający tutaj Żydzi nie przynoszą z sobą zazwyczaj żadnego kapitału. Ufają w swą pracowitość, spryt i zdolność do zarobkowania tam, gdzieby dla robotników innej rasy i innego społecznego stanowiska nic do zarobienia nie było. Zadawalniają się okruchami spadającemi ze stołu zamożnych biesiadników; ich pokora, niewymagalność i ta straszna nędza, której są ucieleśnieniem, przemawiają za nimi. Gdy raz wejdą na tor, są w stanie szybko przebiegać jedne po drugich słupy drogowe aż do mety, którą w miarę sukcesu sami odsuwają.

Ale początki są wogóle nadzwyczaj trudne. Wzbudzając swym dziwacznym, nieznanym tutaj ubiorem, odpychającym brudem i smrodem, pogardę i odrazę wśród robotników miejscowych, do innego życiostanu przywykłych, a nie znając ani języka krajowego, ani zwyczajów, nie mogą Żydzi pretendować do czego innego jak tylko do najniższych gałęzi pracy w każdym z obranych przez siebie zawodów. A liczba tych zawodów jest niewielka. Praca, wymagająca energicznych fizycznych wysiłków, jest wstrętną dla tej rasy skarłowaciałej, wycieńczonej spadkobierczą nędzą. Gdy uciułają grosza, będą się brali do handlu, ku któremu lgną przez atawistyczne instynkta, lecz tymczasem pozostają im gałęzie rzemieślnicze, nie wymagające innych przymiotów jak pracowitości, cierpliwości i wytrwałości. Krawiectwo, szewstwo, garbarstwo, wyrób papierosów, stoją w pierwszym rzędzie, a do nich dodać można następnie kapelusznictwo, wyrób lasek i parasoli, introligatorstwo, złotnictwo i t. d.

Jako typowe rzemiosło polsko-rosyjskich Żydów uważać można krawiectwo. Więcej niż połowa ich jemu się poświęca. Londyn jest wielkim produkcyjnym rynkiem, wyrabiającym ubrania na wywóz. Nie mówimy, samo się przez się rozumie, o wielkich krawcach wytwornych, eleganckich części miasta. Ci pracują tylko na obstalunek, wyrabiają ubrania doskonałe, i ich robotnicy zarabiają po 5 do 7 pensów za godzinę pracy, co im daje tygodniowy zarobek 2 funtów szterl. i 10 szyl. w czasie wiosennych miesięcy, a od 1 do 2 funtów przez resztę roku. Ale jest inna część miasta, Whitechapel, gdzie na przestrzeni mili

kwadratowej usadowiła się tandeta krawiecka, produkująca ryczałtowo tanie i źle szyte ale przyzwoicie na oko wyglądające ubrania. W 1881 r. było tam 41.221 robotników, tj. 22.744 mężczyzn a 18.477 kobiet, zatrudnionych w tej gałęzi pracy. Więcej niż 30.000 są Żydami. Jest to jedna z najuboższych dzielnic Londynu i najgęściej zaludniona: 227 osób przypada tam na akr. W jednej izbie mieszczą się rodziny całe w zaduchu, brudzie i ostatnim stopniu nędzy. Często robotnik pracuje u siebie, i ubrania, które szyje, tarzają się na barłogu, który zastępuje łóżko. Inspektorowie zdrowia ponure raporta zdają o tych żydowskich mieszkaniach-warsztatach. Ale nie mogą o najmniejszym dobrobycie marzyć te rodziny żydowskie. Wzięty do żydowskiego krawieckiego przedsiębiorcy, który jedynie na ilości dostawionego ubrania sam zyskać może, pracuje przybysz przez kilka miesięcy zupełnie darmo, a pracuje od 13 do 15 godzin dziennie, i to właśnie przy najcięższych, najniewdzięczniejszych częściach ubrania. Dopiero po odbytym nowicyacie ma widok zarobku dziennego od 3 do 5 szylingów, a następnie 6, za 13 do 15 godzin pracy. Istnieje cała drabina pośredników, pośredników-przedsiębiorców. Wynajmują oni ohydne domy i tam po kilkunastu, czasami po kilkudziesięciu robotników pracuje w dusznej atmosferze gazu i strasznych wyziewów. Jeżeli ci osławieni *sweaters* wyzyskują robotnika, to położenie jego nie jest lepsze gdy pracuje u drobnego przedsiębiorcy-majstra, zatrudniającego kilku tylko czeladników. Majster sam pracuje, a godziny pracy są tam nieprawdopodobnej długości. Zarobek dzienny nie przenosi jednego, albo półtora szylinga, kobiety stosunkowo zarabiają mniej jeszcze. Przedsiębiorcy *sweater*'owi nie zależy bynajmniej na posiadaniu dobrego robotnika, bo tego drożejby musiał płacić: czem mniej umie, tem łatwiej go wyzyskiwać i tem jest dlań uleglejszym. Bez organizacyi, pozbawiony wszelkiej siły oporu, poddaje się robotnik warunkom nadzwyczaj ciężkim bez szemrania, podtrzymywany jedynie nadzieją, że lepsze czasy nadejdą i dla niego. Krawiecki zawód nie jest wyjątkowo ciężki — przeciwnie; głównym jego ujemnym warunkiem jest konkurencya, jaką czynią sobie robotnicy, konkurencya, wywołująca przez

olbrzymią podaż obniżenie zarobku. Szewcy pracują dłużej jeszcze, bo aż do 18 godzin dziennie, a zarabiają mniej jeszcze. Jedynym ich przywilejem jest, że praca idzie bez przerwy, podczas kiedy w tandecie krawieckiej są miesiące bezrobocia.

Same cyfry, jakkolwiek małe, nie są w stanie dać pojęcia o warunkach bytu tej żydowskiej kolonii. Trzeba osobiście w nie wejrzeć, ażeby zgrozę ich zrozumieć. Mówiliśmy już o mieszkaniach. Rażą one bardziej jeszcze Anglików, do cywilizowanego wyglądu robotniczych domów przywykłych, aniżeli nas, którzy wiemy, w jakich norach i w jakiem niechlujstwie Żydzi ci żyli przedtem: cierpią oni z tego powodu prawdopodobnie mniej i tylko przez porównanie z dobrobytem dawniej tu osiadłych swych rodaków. Ale są rysy, odnośnie do wyzyskiwania ich i do katuszy, które ponoszą, wywołujące dreszcz przerażenia, i przypominające obrazy dantejskiego piekła. Jeden starczy za wiele innych: Skóry dzikich zwierząt rozmiękczają się najłatwiej potem ludzkim. Jak odkrycie to uczyniono, zgadnąć trudno. Ale u kilku garbarzy londyńskich tą specyalnością się zajmujących używają tego systematu wyprawy. Skóry znajdują się na dnie beczki i na nich ustawiany bywa robotnik. Jest on nagi, bo koszula, zawiązana tylko pod szyją, okrywa beczkę, czyniąc z niej rodzaj dzwonu. Robotnik nie ma nic innego do czynienia, jak przebierać nogami i deptać skóry. Izba jest silnie ogrzana, oprócz tego dają mu pić ciepły napój pobudzający pot. Płynie on też strumieniem ze zmęczonego ciała robotnika i oddziaływa na skóry zwierzęce. Mniej korzystnie działa na robotnika, który po dziesięciogodzinnym ruchu mechanicznym i poceniu się, mdleje. Nazajutrz ta sama operacya się powtarza! Nie opisujemy tutaj fantastycznego wypadku: został on stwierdzony przed komisyę parlamentarną, ustanowioną dla badania *Sweating system*. Zdarzył się nawet z tego powodu wypadek, który charakteryzuje sam przez się usposobienie Żydów. Jeden z rodaków naszych, który opiekuje się polskimi Żydami i z godnem uznania poświęceniem podtrzymuje w nich polskiego ducha, chciał własnym kosztem wytoczyć proces garbarzowi za okrucieństwa popełniane nad robotnikami. Ale gdy wszystko było do procesu gotowe i świad-

kowie zeznania obiecali, sam Żyd, ofiara właśnie tego nadużycia, zniknął i znaleść go było niepodobna! Uwiadomił on tylko po kilku miesiącach swego filantropijnego opiekuna, iż wolał procesu nie wytaczać, gdyż w sprawiedliwość nie wierzy, a jest natomiast silnie przeświadczony, że pracodawcy znaleźliby sposób zemszczenia się i na nim osobiście i na jego współwyznawcach.

Możnaby przytoczyć długi korowód rysów, charakteryzujących trudności materyalne, jaki ten proletaryat żydowski ma do zniesienia w pierwszej epoce swego pobytu w Anglii, pomimo solidarności rasowej i stałej pomocy, jaką znajduje u swych współwyznawców. Ale, z małym nader wyjątkiem, trudności te stopniowo zwycięża, byt swój polepsza i do dobrobytu a nawet bogactwa dochodzi. Dzieje się to prawie zawsze jednym i tym samym porządkiem rzeczy. Pracuje darmo i jak wół w jarzmie, dopóki się na siłach nie czuje, aby jarzmo to zrzucić. Tak jak wszedł do majstra zwerbowany z ulicy, bez żadnego uprzedniego przygotowania, tak samo milcząco i bez uprzedniego wypowiedzenia darmochy jednego pięknego poranku go opuszcza, gdy znajduje korzystniejsze warunki u innego wyzyskiwacza. Szczebel po szczeblu, dochodzi do zrozumienia ekonomicznych warunków produkcyi i zbytu, i albo sam staje się przedsiębiorcą i ma czeladników i robotników, którzy dla niego pracują jak on pracował dla innych, albo też staje się pośrednikiem i dostawcą towarów dla przedsiębiorcy na wielką skalę. Na powierzchowności ich widać, jak zaczynają porastać w pierze. Żyd zrzuca długie pończochy i pantofle, a przywdziewa buty, obcina pejsy, a zamiast długiego chałatu, nosi europejski paltot; jarmułka zastąpiona bywa najprzód okrągłym a niezadługo jedwabnym kapeluszem. Żydówka zaczyna od zrzucenia atłasowej peruki, pod którą ukrywały się jej włosy, a kokieterya wrodzona kobiecie przeistacza młode ich córki na eleganckie nieraz panny. Zdumiewającą jest ta metamorfoza, i młode pokolenie nie ma już najmniejszych cech odrażającej powierzchowności naszych Żydów. Mieszkanie jednocześnie takim samym ulega zmianom, i najprzód czystość i porządek, a niebawem i angielski komfort do niego przenikają.

Powodzenie, jakie żywioł żydowski sobie po kilkoletnim pobycie wywalczył, uważać można za główną przyczynę niechęci i polemiki, jaką przeciwko niemu zamanifestował świat robotniczy i jego powołani i niepowołani rzecznicy. Oskarżenia, jakie ciążą na polsko-rosyjskich Żydach, są różnorodne. Te, które się tyczą ich niechlujstwa i zacofania pod względem towarzyskiej przyzwoitości, nie wytrzymują krytyki. W miarę jak znajduje środki utrzymania, Żydek ten z dawnego swego plugastwa się wyzuwa i środowisko, które go otacza, wywiera na niego wpływ cywilizacyjny, któremu ani może, ani pragnie się opierać. Nie wpływają bynajmniej ci przybysze na obniżenie cywilizacyjnego poziomu klasy społecznej, do której wchodzą. Zarzut, że nawet przyjąwszy zewnętrzne cechy angielskie, w gruncie serca pozostają raz na zawsze cudzoziemcami, nie może być traktowany poważnie. Potrzeba będzie lat długich, zanim pod tym względem można będzie stanowcze zdanie wypowiedzieć. Ale jeżeli się weźmie jako punkt wyjścia i porównania obywatelską działalność, jaką rozwijają Żydzi, którzy z innych krajów przybyli i od kilkudziesięciu lat w Anglii osiedli, używając praw i przywilejów narodowych, to nie należy się obawiać, żeby i polsko-rosyjscy żydowscy osadnicy w te same nie mieli wstąpić tropy.

Na bliższą uwagę zasługuje natomiast oskarżenie, że proletaryat żydowski, zadawalniając się nizkim zarobkiem, obniża tak zwane *living wages*, tj. minimalny zarobek, niezbędny do utrzymania życia. Ryczałtowy napływ polsko-rosyjskich Żydów ma tedy przeszkadzać robotnikowi angielskiemu znaleść robotę i następnie być za nią należycie zapłaconym, i wogóle jest on odpowiedzialny za system *sweating*, który zaczyna od nich, a następnie i miejscową warstwę robotniczą w sieć swą pajęczą zaciąga. Czytelnik, mający w pamięci wyżej podane cyfry, od razu zda sobie sprawę, że ta garstka Żydów polsko-rosyjskich nie mogła sama przez się takiego ekonomicznego fenomenu wywołać. Nie można zaprzeczyć, że w kilku gałęziach wytwórczości, konkurencya żydowskich robotników wywołała przechodową zniżkę ceny zarobkowej. Ale najprzód trzeba wziąć na uwagę,

że ci przybysze podejmowali się pracy, którąby miejscowy robotnik uważał za niegodną siebie, a następnie, że system okrutnego wyzyskiwania robotnika istniał w Anglii w epoce, gdy o immigracyi Żydów z naszego kraju mowy nie było; i że do dziś dnia istnieje jeszcze w wielu gałęziach wytwórczości, do których oni pracy swej nie ofiarowali. Wyzyskiwanie pracy przez kapitał było następstwem nieuniknionem gospodarstwa fabrycznego w pierwszej jego epoce rozwojowej, i doktryna *laissez-faire* manchesterskiej szkoły niezaprzeczenie tego raka we wnętrznościach swoich nosiła. Dopiero od czasu gdy interwencya państwowa stanęła w obronie masy robotniczej w imię sprawiedliwości, gdy przez ustanowienie nadzoru nad warunkami higienicznemi pracy po fabrykach i warsztatach, przez opiekę nad kobietami, niedorostkami i dziećmi, przez prawne ograniczenie godzin pracy i t. d., samowola pracodawców ukróconą została — dopiero wtedy *sweating* na wielką skalę i cynicznie prowadzony zmniejszać się i znikać zaczyna. Wiele jeszcze zostaje pod tym względem do uczynienia. Ogólna uwaga zwróconą została na haniebne wyzyskiwanie robotników żydowskich w Whitechapel. Od parlamentarnej ankiety, która na nadużycia tamtejsze jaskrawe rzuciła światło, wiele skandalów już ustało, mnóstwo innych się zmniejszyło. Reformy idą żółwim krokiem, gdy je humanitaryzmem naszym mierzymy, i można nad tem ubolewać, ale każdy dzień nowy jedną ranę dawniejszą goi, i to, z otuchą w przyszłość spoglądać pozwala. Żydzi byli ofiarami *sweating*'u daleko więcej aniżeli jego sprawcami. Jeżeli jest rzeczą słuszną, ażeby z całym rygorem prawa ścigano i karcono tych żydowskich przedsiębiorców, którzy dopieroco sami z piekielnych czeluści się wydostawszy, bezbronnych swych współwyznawców tam popychają, to nie należy zapominać, że na jednego takiego niesumiennego wyzyskiwacza są setki, tysiące wyzyskiwanych i uciśnionych. Solidaryzować jednych z drugimi nie można.

Jeżeli przeciętne powodzenie polsko-rosyjskich Żydów, przeciwnicy ich usiłowali przypisać niemoralności, chytrości, podstępowi i t. d., to mniej ochotnie za to szukano dla tego powodzenia dodatnich warunków. A przecież takowe istnieją, uderzają

w oczy najpowierzchowniejszego nawet spostrzegacza. Wymienić tu najprzód trzeba oszczędność i wstrzemięźliwość. Podczas gdy robotnik angielski przywykł wydawać do ostatniego szeląga swój zarobek, Żyd oszczędza ile tylko może, ciuła, składa grosz do grosza i wytwarza sobie drobny kapitalik, który jest dla niego w danej chwili archimedesową dźwignią. To życie ciche, skromne, pełne ciągłego zaparcia, musi go zbliżać do ściganego celu. Wstrzemięźliwość Żydów jest drugim szczeblem na ich drabinie. Pijaństwo jest plagą robotnika angielskiego. Miss Beatrix Potter, dzisiejsza pani Sydney Webb, znana autorka w dziedzinie socyalistycznej, powiedziała w swem zeznaniu przed parlamentarnem *Sweating Committee:* „Chrześcijanin zarabia pieniądze, aby je przepić, Żyd — aby je zaoszczędzić". Ze wstydem do tej niższości przyznać się musimy.

Ale jest jeszcze inny, etyczny powód wyższej natury: jest nim duch religijny i idealizm leżący w głębi natury Żyda. Czytelnik nie będzie nas o paradoksalność pomawiał, gdy sam w istotę rzeczy wejść zechce. Jak ptactwo zaskoczone burzą gromadzi się w kupę i chroni pod słomiane poszycie dachu, tak rozproszone przez zawieruchę dziejową żydowskie plemię zbiera się we wnętrzu synagog. Czytając i odczytując bez przerwy Talmud i Stary Testament z jego podniosłym nastrojem i wspaniałemi obrazy, znajdując w nich swoje prawo, swój kodeks cywilny i moralny, swą encyklopedyę wiedzy, swoją literaturę i poezyę, nawskróś tym duchem się przejmuje[1]. Naród żydowski nie przestał się uważać jako naród wybrany, jako naród lewitów. Bądź w urzędowej organizacyi swego kościoła Ashkenazytów, bądź w stojących poza nią stowarzyszeniach kościelnych — Chevras — wszędzie ten sam duch religijny panuje. Sceptycyzmu, obojętności religijnej niema śladu. Prześladowania, cierpienia, nędza, egzaltują jedynie i rozpłomieniają w nich to religijne uczucie. Najuboższy nawet, najbardziej upośledzony Żydek wyrobił w sobie przez to skupienie religijnego ducha intellektualne

[1] Zastrzedz się musimy przeciwko zdaniu autora, jakoby Talmud korzystnie pod względem religijnym lub moralnym na Żydów wpływał. *(Przyp. Red.).*

siły, które stają się bodźcem do praktycznej działalności. Dyscyplina religijna, w której wzrastają i wychowują się, uzbraja ich i krzepi do walki. Nie dziwota, że mając cel jasno przed sobą zakreślony i nie spuszczając go z oka ani na chwilę, znajduje życiową podstawę tam, gdzie jej pozyskać nie może chwiejna, pozbawiona religijnego idealizmu, rządząca się instynktami, masa krajowych robotników.

Położenie Żydów polsko-rosyjskich tak się więc przedstawia: dobroczynna pomoc komitetów miejscowych ułatwia mu pierwsze chwile i daje nić Aryadny, bez której zgubiłby się w londyńskim labiryncie. Solidarność plemienna, duchowa pomoc czerpana w religii, przymioty rasie żydowskiej właściwe, jak oszczędność, wstrzemięźliwość, zamiłowanie domowego ogniska i tradycyonalnych zwyczajów i t. d., pozwalają mu, mimo wyzyskiwania, jakiego staje się ofiarą w początkach, i mimo nędzy, w której jest pogrążony, przebyć szczęśliwie te lata nowicyatu. Umiejąc zastosować się do okoliczności, obdarzony jakby dodatkowym jakimś zmysłem, który mu pozwala znaleść źródło zysku niedostrzegalnego dla innych, steruje swą łodzią wśród skał podwodnych, aż ją do portu zaprowadzi. Często rozłakomiony możliwością zysku, robi fałszywą spekulacyę i traci od razu kapitalik mozolnie uciułany, ale tyle jest elastyczności w tych nerwowych temperamentach semickich, że ich ta katastrofa nie miażdży: z nową wytrwałością i nową energią zabierają się do odbudowania ruin.

Gdy raz jako rzemieślnik albo drobny przedsiębiorca stanowisko regularne dla siebie znajdzie, Żyd spieszy się wyjść z odosobnienia, w którem z konieczności dotąd się znajdował, i zaciąga się do unii robotniczej swego fachu. Nikt lepiej od niego nie rozumie potęgi, jaką stowarzyszenie daje robotnikom. Słysząc, jak olbrzymie kapitały posiadają unie robotnicze angielskie, zdaje mu się to zrazu czarodziejską jakąś baśnią, ale nie waha się przyłożyć ręki do wytworzenia ich swoją koleją, dla zasłaniania się tarczą unii, która otrzymuje dlań i lepsze warunki pracy, i wyższy zarobek, i dostarcza rozmaitych drugorzędnych materyalnych korzyści. Można postawić jako nie da-

jącą miejsca na wyjątki prawdę, że robotnik żydowski, po wejściu do unii swego zawodu, zostawił już poza sobą, jak się zostawia senną zmorę po ocknięciu, wszystkie męczarnie, cechujące jego byt pierwotny. Garnie się pod skrzydła swego stowarzyszenia i jest dumny ze stanowiska, jakie ono mu nadaje jako członkowi. Jest kilkanaście unij, złożonych z żydowskich robotników polsko-rosyjskiego pochodzenia. Osobiście znamy sześć następujących: *Cape Makers Union* na Greenfield street, noszącej nazwę *Duke of Clarence*, przewodniczący jej Żyd polski, A. Shur; *Cabinet Makers Union* na ulicy Hanbury, przewodniczący J. Shavelson; *Bakers Union* na Black Lion Yard, przewodniczący Hyam Goldberg; *Boot Makers Union*, która odbywa swe zebrania w *Duke of Clarence; Slipper Makers Union* i *Upper Machinists Union*, odbywające swe zebrania na Fieldgate street; *Mantle Makers Union* na Whitechapel Road, przewodniczący rosyjski Żyd Gitkarow.

Zazwyczaj tygodniowe i miesięczne zebrania unij żydowskich odbywają się w soboty popołudniu, albo w ich własnych lokalach, albo w salach na ten cel najmowanych. Po załatwieniu rachunków i obradach ściślejszych, prowadzonych przez zarząd stowarzyszenia, po gorliwie prowadzonych dyskusyach nad dobrobytem uczestników, zebranie przybiera charakter ogólniejszy. Zazwyczaj zaproszony mówca miewa rodzaj odczytu, w którym traktuje ekonomiczne, socyalne zagadnienia, bezpośrednio odnoszące się do interesów robotniczych, a często nawet kwestye oderwane ze sfery etycznej, politycznej, albo naukowej. Samo się przez się rozumie, że dyskusya i odczyt toczą się w żargonie żydowskim, owej mieszaninie hebrajskiego i niemieckiego języka, z dodatkiem zepsutych i wykoszlawionych wyrazów, zaczerpniętych z rosyjskiej albo polskiej mowy. Jest wiele różnic pomiędzy temi żargonami. Najbardziej zepsuty ma być ten, którym się posługują Żydzi litewscy. Istnieją także kluby, czytelnie i teatry żydowskie. Przysłuchując się, głośno i z południową wyrazistością prowadzonym rozmowom członków, można spostrzedz różnice wyznawanych opinij, uwarunkowanych dawniejszem miejscem zamieszkania i otoczenia. Jeżeli nienawiść do caratu, jako do prześladowcy typowego, jest powszechna, to nie da się zaprze-

czyć, że młodsze pokolenie żydowskie jest zrusyfikowane więcej i głębiej, niż samo sobie wyobraża. Czytają oni gorliwie i komentują dzienniki rosyjskie, otrzymywane w klubach. Kilku rodaków naszych, którzy podjęli się patryotycznego zadania rozdmuchania w sercach tych przybyszów iskry polskości, przyznają, że Syzyfowa to praca. Niema wśród nich tęsknoty do ziemi, z której wygnani zostali bez litości, a która zaznaczyła się w dawniejszem ich życiu prześladowaniami, jakich już na angielskiej ziemi nie doznają. O powrocie do tej gehenny nie marzą, nawet gdyby on im był dozwolony; przeciwnie, przyciągnąć stamtąd jak najprędzej swych krewnych i powinowatych jest najgorętszem ich życzeniem. Ci, którzy sądzili, że wygnańcy żydowscy staną się rozsadnikami doktryn socyalistycznych albo anarchicznego nihilizmu, udowodnili przez to tylko swoją niedostateczną znajomość ich duchowego nastroju. Być może, że wśród prześladowań rosyjskiego czynownictwa, propaganda nihilistyczna mogła werbować wśród nich zrozpaczonych adeptów, ale raz wkroczywszy w sferę normalnego państwowego organizmu, wciągając w swe piersi powietrze swobód publicznych, nie okazują najmniejszego popędu do agitacyi rewolucyjnej. Ich zachowawcze tendencye są nawet jedną z przyczyn niechęci, okazywanej im przez krańcowe stronnictwa angielskie.

Tak samo, jak zdaje się niepodobieństwem wypowiedzieć ostateczne zdanie o kwestyi żydowskiej w jej syntetycznej całości, tak nie można o położeniu polsko-rosyjskich Żydów, osiadłych i osiedlających się w Anglii, wygłosić ogólnego sądu. Jest tu tyle różnic, ile indywidualności i rodzin nieledwie. Piszący przyznaje się otwarcie, że zabierając się do szczegółowego zbadania ekonomicznego ich stanowiska, miał opinie *a priori* powzięte, które znacznej ulegały zmianie, w miarę jak pojedyńcze fakta i dane stosunki ścisłej i osobistej poddawał ankiecie. Położenie nowoprzybywających jest trudne, nieraz straszne, ale gdy się porówna Żydów przybyłych tu przed kilku laty z przybywającymi obecnie, to nie można mieć najmniejszej wątpliwości, że ich pobyt tutejszy przeistacza, cywilizuje i na wyższy szczebel człowieczeństwa podnosi. Nie można wprawdzie zamy-

kać oczu na tę smutną prawdę, że obok niezaprzeczonego powodzenia wielu, niejedno życie zmarniało, niejedna ofiara bezimienna zginęła w bezdennej przepaści, co grzebie proletaryat od wieków, ale wiemy, że życie ludzkości przez ciernistą drogę wznosić się tylko może na jasne polany. Skoro Żydom polskim lepiej tutaj aniżeli pod rosyjskim knutem, ich własne i nasze osobiste interesa kojarzą się w życzeniu, ażeby się tutaj i nadal osiedlać i stanowisk dorabiać mogli. Nie potrzeba zapewne dodawać, że gwałty, dokonywane przy eksmisyi Żydów przez władze rosyjskie, zasługują na bezwarunkowe potępienie, i że nowe osiedlenia Żydów o tyle tylko będą mogły przynosić korzystne owoce, o ile będą się działy cząstkowo i nieledwie niepostrzeżenie.

Marek Łza.

PRZEBIEG POJĘĆ RELIGIJNYCH U CHIŃCZYKÓW.

III. Obecny stan religii w Chinach.

Chińczycy mają religię. — Religia chińska rozpada się na trzy sekty: Konfucyanizm, Taoizm i Buddhyzm. — Szczególne i wyłącznie przez cesarza chińskiego spełniane obrzędy ku czci Szang Ti. — Wspólne wszystkim sektom nabożeństwo do przodków; starożytność tego nabożeństwa; Tabliczki chińskie. — Na czem polega Konfucyanizm, czyli religia Piśmiennych; ubóstwianie mężów stanu; antropomorfizm chiński. — Druga sekta chińska: Taoizm; Lao-ce nie jest jego założycielem; błędne pojęcia o księdze Tao Teh King; wpływ pojęć religijnych Hindów na utworzenie tej sekty; Taoizm jest religią pogańsko-bałwochwalską. — Buddhyzm chiński; Buddha hinduski został chińskim Fo; Buddhyzm chiński nie różni się wiele od Taoizmu; chińskie przysłowie: „trzy nauki są jedną tylko". — Główne tła pojęć religijnych rasy żółtej i czarnej są identyczne.

Wielu pisarzy europejskich zajmowało się szczegółowem badaniem religii Chińczyków, lecz w swych ostatecznych wynikach nie godzili się z sobą: niektórzy doszli do wniosku, że Chińczycy nie mają zgoła religii; inni sądzili, że Konfucyusz położył pierwszy podstawy religii chińskiej; inni wreszcie, inne a całkiem różne dawali poglądy na religię Chińczyków. Wiele przyczyn składało się na tę różnorodność poglądów: niema wątpliwości, że podmiotowe zapatrywania pisarza ważny tu stanowiły czynnik, lecz przedewszystkiem sama zawiłość przedmiotu i brak wskazówek ze strony głębszych myślicieli chińskich utrudniały wyświetlenie prawdy. Istnieje wprawdzie w Chinach

bardzo wiele dzieł, które mają łączność z religią, głównie jednak rytuały, zawierające przepisy obrzędowe, specyalne rozprawy, obejmujące drobnostkowe szczegóły, odnoszące się do obrzędów, lecz niema żadnych ksiąg teologicznych, któreby się zajmowały istotą rzeczy. W ostatnich dopiero czasach sinolodzy europejscy, zaznajomieni dokładnie z klasykami chińskimi, po długoletnim pobycie w Chinach i pilnem badaniu rzeczy krajowych, przedstawili religię chińską w właściwem jej świetle. Otóż, opierając się na pracach tych uczonych mężów, postaramy się nakreślić tu obraz pojęć religijnych Chińczyków w obecnej dobie.

Cała kultura Chińczyków, we wszystkich swych gałęziach, nosi na sobie charakterystyczną, swojską cechę, która tak w całości jak i w szczegółach różni się od kultury naszego Zachodu — religia też chińska idzie w parze z tą kulturą. Chińczycy mają swoją własną religię, całkiem odrębną od religij innych ludów, i z tego powodu można ją słusznie nazwać r e l i g i ą c h i ń s k ą.

Przedewszystkiem należy się dobrze porozumieć co do znaczenia, w jakiem używamy wyrażenia: „religia chińska“.

Rzeczą jest pewną, że Chińczycy mają pojęcie o istotach wyższych, duchowych, o życiu pozagrobowem, zanoszą modły i składają ofiary — mają tedy religię, lecz religia ich nie stanowi jedności, określonej ścisłemi dogmatami. W Chinach, pod względem wiary panuje zupełna dowolność, a tem samem ogromna różnorodność. Każdy Chińczyk, można powiedzieć, ma swoją własną religię; jednakże, ponieważ wszyscy Chińczycy mają bardzo wiele wspólnych pojęć religijnych i obrzędów, które stanowią tło ich wiary, a które wyróżniają się od pojęć i obrzędów innych ludów, stąd ich religię można nazwać religią chińską. A dalej, ponieważ w pojęciach i obrzędach Chińczyków dadzą się rozróżnić wybitniejsze, około których grupują się pojedyńcze przekonania jednostek, dlatego powszechnie wyróżniają w Chinach trzy sekty: *Dżu-keaou,* czyli sekta „Piśmiennych“, *Tao-keaou,* czyli „Taoiści“, i *Fo-keaou,* tj. „Buddhyści“.

Każdy Chińczyk, mniej lub więcej należy do jednej z tych sekt, a stąd sekty te rzeczywiście przedstawiają religię chińską,

jednakże nie dają one jeszcze zupełnego obrazu tej religii. Władca w Chinach, jakkolwiek, według swych osobistych zapatrywań, sprzyja tej lub owej sekcie i do jednej z nich chętnie się zalicza, jednakże jako panujący sprawia pewne obrządki religijne, których żaden z jego poddanych wykonywać nie może, a które z żadną z trzech sekt nie mają związku. Na całej kuli ziemskiej jedyny to jest przykład w Chinach, że panujący składa wyznanie wiary i sprawuje obrzędy, w których poddani jego nie biorą udziału, nie znają ich znaczenia, a nawet nie mają pojęcia o wierze, jaką wyznaje i głosi w ich imieniu i zastępstwie. Otóż o tej wierze i tych obrzędach pomówimy przedewszystkiem szczegółowo, albowiem, z jednej strony, uzupełnią nam one obraz religijnych pojęć Chińczyków, a z drugiej, ponieważ, jak to zobaczymy, przeszłością swoją sięgają najdawniejszych historycznych czasów, stąd posłużą nam do odszukania i wyświetlenia pierwotnych pojęć religijnych tego ludu.

Wśród mnóstwa różnorodnych świątyń, jakie istnieją w Pekinie, wspaniałością swoją, a szczególnie swem przeznaczeniem, wyróżniają się przedewszystkiem dwie: *Tien-tang* i *Ti-tang*, tj. „świątynia Nieba“ i „świątynia Ziemi“; w tych świątyniach sam tylko cesarz, a nikt inny, ma prawo i obowiązek zasyłać modły i składać ofiary. Te świątynie wyróżniają się jeszcze tem, że na wewnątrz nie mają żadnych obrazów ani posągów, przedstawiających bóstwa, jakiemi zwyczajnie przyozdobione są świątynie chińskie. Jedynym znakiem, który wskazuje, że sala ta jest świątynią i zwiastuje zarazem początek nabożeństwa, jest tak zwana Tabliczka, wywieszona w tym celu.

„Tabliczka“, jest to po prostu mała prostokątna deska, na której wypisane jest nazwisko bóstwa, ku czci którego ma się odbyć nabożeństwo. Wszyscy Chińczycy używają takich „Tabliczek“ w swych różnorodnych obrzędach, lecz co jest godnem zastanowienia, utrzymują oni, że podczas nabożeństwa, bóstwo, wypisane na desce, w c i e l a s i ę w „Tabliczkę“.

Dwa razy do roku odbywają się uroczyste nabożeństwa

w tych świątyniach, mianowicie podczas przesilenia jesiennego dnia z nocą w Tien-tang, a podczas przesilenia wiosennego w Ti-tang; oprócz tego i w innym czasie cesarz, stosownie do swego uznania, lub orzeczenia „Trybunału Obrzędów“, odprawia tamże nabożeństwa. Treściwy opis tego nabożeństwa znajdujemy u Douglas'a[1]: „Najokazalszą świątynią w państwie jest Tien-tang w Pekinie; w niej właśnie najwyższy przedmiot nabożeństwa w Chinach bywa czczony podniosłemi obrzędami. Cesarz, jako przedstawiciel państwa, sam osobiście sprawuje obrzęd, w którym niema żadnego śladu bałwochwalstwa. W przeddzień uroczystości, w towarzystwie książąt i ministrów, we wspaniałej kolasie, ciągnionej przez słonia, udaje się do ‚pałacu postu‘, i tam przebywa całą noc na modlitwie i rozmyślaniu, nie przyjmując żadnego posiłku. Z brzaskiem dnia następnego udaje się do ołtarza, który zbudowany na pagórku, składa się z trzech okrągłych, marmurowych stołów, wznoszących się jeden nad drugim. Przebywszy dwadzieścia siedm schodów, które prowadzą do ołtarza, cesarz upada na twarz przed ‚Tabliczką‘, na której wypisane jest słowo: Szang Ti, i która ma przedstawiać bóstwo Szang Ti, składa tam ofiary i zanosi modły“.

Przedewszystkiem cesarz wygłasza następującą mowę[2]:

Na początku był wielki chaos, wszystko było w ciemności i bez kształtu. Pięć pierwiastków było jeszcze w powiciu, nie jaśniał jeszcze ani księżyc, ani słońce. Nie było jeszcze ani kształtu, ani dźwięku... Ty, duchowny Władco, przybyłeś wówczas w całej potędze i oddzieliłeś cząstki czyste od poślednich. Tyś uczynił niebo; Tyś uczynił ziemię; Tyś uczynił człowieka. Wszystkie rzeczy otrzymały byt wraz z siłą mnożenia się.

O Ti! skoro nadałeś materyi możność działania, dzieło twoje było uczynione. Ty! o duchu, uczyniłeś słońce i księżyc, i pięć planet; czyste i piękne było ich światło. Powstało wówczas sklepienie niebios, które jako zasłona spoczęło na kwadratowej ziemi, i wszystkie istoty były szczęśliwe. Ja, twój sługa, ośmielam się korne ci złożyć dzięki, i przez to nabożeństwo uznać i nazwać cię, o Ti, swoim Władcą.

[1] *China*, p. 310.

[2] Mowy i cały obrzęd wzięte są z dzieła Legge'a pod tytułem: *Notions of the Chinese*, pp. 25—31.

Następnie cesarz ofiarowywa różne drogie kamienie i jedwabie, i mówi:

Raczyłeś, o Ti, nas słuchać, ponieważ postępujesz z nami jako nasz ojciec. Ja, twoje dziecię, nieudolny i nieoświecony, nie umiem ci okazać swoich uczuć. Dziękuję ci, żeś raczył przyjąć moje oświadczenie. Niechaj będzie czczone twoje wielkie imię...

Następuje ofiarowanie różnych potraw ze stosowną modlitwą, w której mówi się między innemi:

Przyjmij wdzięcznie, o Ti, tę ofiarę, i niech cały lud będzie szczęśliwy. Ja, twój sługa, otrzymując twe względy, jestem rzeczywiście szczęśliwy.

W dalszym ciągu cesarz trzykrotnie ofiarowywa napój, przyczem mówi:

Wielki i dostojny Jedyny zsyła nam tu swe łaski i względy, których my nie jesteśmy godni z powodu naszej nikłości. Ja, twój prosty sługa, w czasie tego nabożeństwa ośmielam się podać czarę tobie, którego lata nie mają końca.

Kiedy Ti, Pan, tak postanowił, wówczas powołane zostały do istnienia trzy władze. Pomiędzy niebem i ziemią ustalił osobno ludzi i rzeczy i rozprzestrzenił je we wszystkich niebiosach. Ja, twój mały sługa, upraszam cię o światło, ażebym po wsze czasy mógł przebywać z tobą, w wysokiem niebie.

Wszystkie liczne drużyny żyjących istot zawdzięczają tobie swój byt. Z miłości, o Ti, przeznaczyłeś ludzi i istoty do nieba. Wszystkie żyjące istoty czują twoją dobroć... Ty jeden, o Panie, jesteś prawdziwym rodzicem wszystkich rzeczy....

Po skończonem ofiarowaniu idą pieśni wraz z muzyką, poczem cesarz odzywa się:

Skończyły się pienia, lecz to wszystko nie wyraziło dostatecznie naszych uczuć. Twoja dobroć najwyższa jest nieskończona... Nadzwyczaj łaskawie przestajesz z nami i pomimo naszej niegodności udarowywasz nas życiem i pomyślnością.

Teraz należy się pożegnać z duchem, który, według Chińczyków, przytomny był przez cały czas w „Tabliczkach". Po spaleniu ofiar przeznaczonych, cesarz przemawia:

Spełniliśmy nasze nabożeństwo ze czcią należną; i ty, panujący duchu, raczyłeś je przyjąć... Udziel, o Ti, swego błogosławieństwa

memu domowi... Duchy i ludzie cieszą się wspólnie oddając cześć Ti, Panu. Czyż może być położona granica czci, jaka się należy jego wielkiemu imieniu? Od wieków zamieszkał on wysokie niebiosy i ustalił tę twardą ziemię. Jego rządy są odwieczne. Ja, nędzny sługa, skłaniam swoją głowę, leżę w pyle, pogrążam się w jego łasce i chwale.

Cały ten obrzęd i modlitwy, wygłaszane przez cesarza, podniosłością swoją są bardzo blizko chrześcijańskich. Cesarz oddaje cześć najwyższą Szang Ti. Kto jest ten Szang Ti?

Dzisiejsi Chińczycy w nabożeństwach swych nie wspominają nigdy imienia Szang Ti, lud nawet nie zna tego imienia, uczeni zaledwie wiedzą coś o niem. Inaczej bywało niegdyś. W swojem miejscu postaramy się dowieść, że w prastarych czasach Chińczycy Najwyższej Istocie, prawdziwemu Bogu, dawali nazwę Szang Ti. Otóż to samo przebija się ze wszystkich modlitw, wyżej przytoczonych: według słów cesarza, Szang Ti jest prawdziwym Bogiem. Rzecz ta, na którą godzą się wszyscy znakomitsi sinologowie [1], nie ulega wątpliwości tem bardziej, że cesarz nietylko podczas dwóch uroczystości, o których mówiliśmy, wyznaje Szang Ti Najwyższą Istotą, ale też i w innych nabożeństwach, które, jak to zobaczymy niebawem, są bezsprzecznie bałwochwalskiemi, przyznaje Szang Ti atrybuty Najwyższej Istoty. I tak w Rytuale chińskim z czasów dynastyi Ming (1368—1642) czytamy [2], że podczas nabożeństwa do „duchów", cesarz zanosi następującą modlitwę:

Ja, cesarz Wielkiej i Świetnej dynastyi, przygotowałem uniżoną tę mowę, ażeby oznajmić — duchowi słońca; duchowi księżyca; duchom pięciu planet, z konstelacyi zodyaku, i duchom wszystkich gwiazd na całem niebie; duchom chmur, deszczu, wiatru i grzmotów; duchom, które mają powierzone obowiązki nad całem niebem; duchom pięciu wielkich gór; duchom pięciu opiekuńczych pagórków; duchom pięciu

[1] „The emperor, for himself and his line, and as representing all the millions of his subjects, gives in it solemn expression of their obligations to God, and of their purpose to rule so as to secure the objects intended by Him in the institution of government". Legge, *The Religions of China*, pag. 56.

[2] Legge, *Notions of the Chinese concerning God and Spirits*, pp. 34, 35. Edkin, *Religion in China*, pp. 18, 19.

pagórków: Czi-jun, Hsiang-szang, Szan-lieh, Tien-szan i Szun-teh; duchom czterech mórz; duchom czterech wielkich rzek; istotom rozumnym, którym powierzona jest opieka nad ziemią; wszystkim duchom niebieskim pod obłokami; duchom ziemskim pod obłokami; duchowi czuwającemu nad bieżącym rokiem; duchom kierującym dziesięcioma miesiącami i wszystkiemi dniami; i duchowi będącemu na służbie tego gruntu w obrębie ołtarza.

W pierwszy dzień bieżącego miesiąca, przyprowadziliśmy z uszanowaniem naszych urzędników i lud, ażeby uczcić wielkie imię Szang Ti, który przemieszkiwa w najwyższych niebiosach. Przedewszystkiem prosimy was, wszystkie duchy niebieskie i wszystkie duchy ziemskie, ażebyście wpływem swoim zechcieli zawiadomić Szang Ti o naszym pokornym zamiarze, i wyprosili nam łaskawe jego przyjęcie...

Waszem jest zadaniem, o duchy, dawać baczenie na chmury i deszcz, wzniecać i zsyłać wiatry, ponieważ jesteście ministrami Szang Ti. Wszyscy ludzie zawdzięczają dobrodziejstwa waszym usługom.

Waszem jest zadaniem, o duchy, według otrzymanej z nieba władzy i rozkazu, rozciągać opiekę nad każdem miejscem, ponieważ jesteście ministrami wielkiego Robotnika i Przekształciciela, i dlatego lud korzysta z waszych dobroczynnych usług.

I w tych mowach cesarz wyznaje, że zastępy „duchów", do których się modli, których Chińczycy uznają za bożków, mają stanowisko zależne, są sługami Szang Ti, wykonawcami jego woli. Inna rzecz, jakie cesarz przywiązuje pojęcie do słów, które głosi; prawdopodobnie nie rozumie rzeczywistego ich znaczenia, i praktycznie, jak wiemy z historyi, każdy cesarz skłania się lub należy do jednej z trzech sekt wyżej wymienionych, o których dajemy tu treściwe sprawozdanie.

Jakkolwiek sekty religijne w Chinach różnią się między sobą, wrogo są wzajemnie usposobione i często zachodzą nawet krwawe zajścia między ich zwolennikami, jednakże główne tło ich pojęć religijnych i najważniejsze obrzędy są jedne i te same — wszyscy Chińczycy modlą się do „duchów".

Rzeczą udowodnioną jest już dzisiaj przez antropologów, że niema ludu na ziemi, któryby nie wierzył w nieśmiertelność

duszy [1], a co więcej, wszystkie ludy rasy czarnej i żółtej, lub z niemi spokrewnione, oddają cześć „duchom"; widzieliśmy dawniej [2], że religia Kohlów i Sonthalów na tej czci głównie polega: toż samo dzieje się w Chinach.

Nabożeństwo do „duchów" w Chinach, pod wpływem obcych pojęć religijnych, wytworzyło trzy główne sekty, które jakkolwiek różnią się między sobą w szczegółach, schodzą się jednak na jednem, wspólnem polu, mianowicie w nabożeństwie do „zmarłych przodków" — wszyscy Chińczycy modlą się do „zmarłych przodków".

Nabożeństwo do „zmarłych przodków" napotyka się w najdawniejszych czasach u Chińczyków. Czytamy w Szu King [3], że cesarz Szun, a więc w XXIII. wieku przed Chr. zalecał swemu ministrowi Po-i, ażeby sprawował świątobliwie obrzędy w „Świątyni Przodków". W temże samem dziele, mianowicie w księdze pod tytułem: „Mowa z Kan", która jest wierzytelnym dokumentem z r. 2194 przed Chr., i jak przyznaje Legge, współczesnym pomnikiem z tego czasu, otóż w tej księdze czytamy, że drugi cesarz z dynastyi Hia (Hsia) w okólniku, który przesłał do swych poddanych, pisze: „Wy, którzy jesteście posłuszni moim rozkazom, będziecie wynagrodzeni w obliczu moich przodków, wy zaś, którzy nie usłuchacie moich rozkazów, będziecie zabici przed ołtarzem ducha kraju". Otóż, według ogólnego rozumienia, wyrażenie: „w obliczu moich przodków", odnosi się do „Tabliczek", a stąd wnosić należy, że nabożeństwo do „zmarłych przodków" odbywało się już wówczas, i to w takiej samej formie jak dzisiaj.

Późniejsze dokumenty, bardzo liczne, całkiem wierzytelne, nie pozostawiają żadnej wątpliwości i stwierdzają, że nabożeństwo do przodków ciągnęło się bez przerwy do naszych czasów.

W obecnej dobie wszyscy Chińczycy, do jakiejkolwiek zaliczają się sekty, sprawują obrzędy ku czci zmarłych przodków:

[1] Ob. „Religie Aryów Wschodnich", str. 292.
[2] Tamże, str. 405 i następ.
[3] Legge, *The Religions of China*, p. 73.

cesarz, książęta, wszyscy urzędnicy, wyżsi i niżsi, ścisłemi przepisami obowiązani są do tych obrzędów, cały lud skrupulatnie je spełnia.

Chińczycy nie modlą się za zmarłych, lecz do zmarłych, a nietylko uznają dusze zmarłych za święte, lecz przypisują im nawet wpływy nadzwyczajne, sądzą mianowicie, że mogą szkodzić żyjącym lub też przyczyniać się do ich pomyślności, a stąd należy je błagać ofiarami i modlitwami. O zależności tych dusz od Istoty Wyższej, czy Najwyższej, niema nigdzie wzmianki, ani w modlitwach wygłaszanych, ani żadnego śladu w obrzędach: dusze zmarłych są po prostu bożkami.

W Chinach istnieją oddzielne świątynie, w których praktykują się obrzędy, poświęcone czci dusz zmarłych; zwyczajnie każda rodzina zamożniejsza posiada własną świątynię, cesarz i książęta mają ich nawet więcej, ubodzy przeznaczają na ten cel jedną izbę w swych chatach.

Obrzęd rozpoczyna się od ustawienia „Tabliczek".

„Tabliczki" są takie same jak i w innych obrzędach chińskich, z tą tylko różnicą, że w nabożeństwie do zmarłych wypisuje się na deszczułce nazwisko tego przodka rodziny, ku czci którego sprawuje się obrzęd. Tabliczki przechowywane są w skrzyniach, na ten cel przeznaczonych, przed zaczęciem dopiero nabożeństwa zawieszają się na ołtarzu. Od tej chwili i przez cały czas trwania obrzędu, dopóki te Tabliczki zostają na ołtarzu, Chińczycy utrzymują, że duchy przodków są przytomne a nawet wcielają się w Tabliczki, dlatego skoro tylko Tabliczki zostały umieszczone na ołtarzu, wszyscy obecni padają na kolana i oddają głęboki pokłon. Następnie, zawsze klęcząco, odmawiają się modlitwy, przepisane rytuałem. Dalej, składają się ofiary: różne mięsiwa, ryby, ryż, jarzyny i inne potrawy, a nadto wino i herbata; przytem palą się wonne kadzidła. Przepisy rytualne są nader drobiazgowe, a ponieważ od ich skrupulatnego spełnienia ma zależeć cała ich wartość i szczególnie skutek, stąd nabożeństwo ciągnie się długo. Pod koniec obrzędu wszyscy obecni opuszczają na jakiś czas izbę, w której zastawione są potrawy, ażeby „duchy" mogły je spożywać bez przeszkody. Niebawem

wracają, żegnają się z „duchami“ i odnoszą Tabliczki do zwykłego schowku. Nabożeństwo skończone, następuje uczta. Ponieważ „duchy“ zadowolniły się wonią tylko i nie tknęły potraw, biorący udział w nabożeństwie wyręczają chętnie „duchów“ i zjadają zastawione potrawy.

Nabożeństwo chińskie do zmarłych przodków tak się było zżyło ze zwyczajami tego ludu, że nawet Chińczycy nawróceni na wiarę chrześcijańską, nie mogli przywyknąć do jego zaniechania, zasłaniali się głównie tem, że i religia chrześcijańska nakazuje miłość ku rodzicom, że i w religii chrześcijańskiej praktykują się nabożeństwa za zmarłych [1]. Misyonarze katoliccy mieli wiele kłopotu z temi obrzędami i podzielili się na dwie partye: jedna, ze względów oportunistycznych zezwalała, a przynajmniej przez szpary patrzała na te obrzędy, sprawowane przez nawróconych, druga bezwzględnie ich zabraniała. Żywe i długie spory toczyły się między stronami, wreszcie Stolica św. położyła im koniec: różni papieże, a ostatecznie Benedykt XIV., konstytucyą *Ex quo singulari* zakazał tak zwanych „obrzędów chińskich“ [2].

Nie ulega wątpliwości, że nabożeństwo chińskie do zmarłych jest pogańskie i bałwochwalskie; i tak, te duchy przodków, do których Chińczycy zanoszą modły i błagają o pomoc, mają

---

[1] Jakkolwiek Chińczycy nadzwyczaj są przywiązani do obrzędów, jakie są przepisane dla uczczenia przodków, jednakże w życiu praktycznem nie okazują przywiązania do swych rodziców, i jeden misyonarz anglikański zapewnia, iż nie zna kraju, w którymby synowie okazywali takie lekceważenie woli ojca, jak w Chinach.

„Of all the people of whom we have any knowledge, the sons of the Chinese are most unfilial, disobedient to parent, and pertinacious in having their own way“. Dr. Yates, *Essay on ancestral worship*, Shang-hâi, 1877.

[2] „Propterea non esse permittendum Christianis, in templis seu aedibus Progenitoribus dicatis, oblationes, minus solemnes eisdem facere, nec in illis ministrare aut quomodolibet inservire, vel alios Ritus et Ceremonias peragere“.

„Item, nec esse permittendum praefatis Christianis, oblationes, Ritus et Ceremonias hujusmodi coram Progenitorum Tabellis in privatis domibus, sive in eorumdem Progenitorum Sepulcris, sive antequam defuncti sepulturae tradantur, in eorum honorem fieri consuetas, una cum Gentilibus,

mieć jakąś moc nadprzyrodzoną i niezależną od nikogo, w modlitwach wygłaszonych niema żadnej wzmianki o Istocie Najwyższej, a tem samem o zależności tych duchów; są to po prostu jacyś bożkowie, którym oddaje się cześć najwyższą. Bałwochwalstwo uwidocznia się szczególnie w czci oddawanej „Tabliczkom", w które wrzekomo wciela się „duch", stąd też używanie tych „Tabliczek" zostało zakazane [1]; stypy też, kończące nabożeństwo, przypominają obrzędy pogańskie z pierwszych wieków naszej ery, a jak wiemy, Apostołowie zabraniali wiernym jeść patraw ofiarowanych bożkom. Ta cześć bałwochwalska uwydatnia się całkowicie w obrzędach sekty Dżu-Keaou, o której zaraz mówić będziemy, a w której jest brak już zupełny tego „płaszczyka", jakim Chińczycy chcą pokryć swe bałwochwalstwo, mianowicie miłości rodzicielskiej.

Dżu-Keaou jest właściwą, samorodną religią chińską; niektórzy pisarze europejscy dają jej nazwę „Konfucyanizmu", albo „religii Konfucyusza", lecz całkiem niesłusznie. Konfucyusz nie

---

vel seorsim ab illis peragere eisque ministrare aut interesse; immo praedicta omnia, utpote quae, perpensis hinc inde defunctis, necnon diligenter ac mature discussis omnibus, ita peragi comperta sunt, ut a superstitione separari nequeant, christianae Legis cultoribus ne quidem permittenda esse, praemissa publica, vel secreta protestatione, se, non religioso, sed civili, ac politico, tantum cultu erga defunctos illa praestare, nec ab eis quidquam petere, aut sperare". Constit. Bened. XIV., *Ex quo singulari.*

[1] „Demum permittendum non esse Christi fidelibus, Tabellas defunctorum Progenitorum in suis privatis domibus retinere juxta illarum partium morem, hoc est cum inscriptione Sinica, qua Thronus, seu Sedes Spiritus, vel Animae N. significetur; immo nec cum alia, qua Sedes, seu Thronus, adeoque idem, ac priori, licet magis contracta, inscriptione, designari videatur. Quo vero ad Tabellas solo defuncti nomine inscriptas, tolerari posse illarum usum, dummodo in eis conficiendis omittantur omnia, quae superstitionem redolent, et secluso scandalo, hoc est, dummodo qui christiani non sunt arbitrari non possint, Tabellas hujusmodi a christianis retineri illa mente, qua ipsi illa retinent, necnon adiecta insuper declaratione ad latus ipsarum Tabellarum apponenda, qua et quae fit christianorum de defunctis fides et qualis Filiorum, ac Nepotum in Progenitores pietas esse debeat, enuncietur". Const. Bened. XIV., *Ex quo singulari.*

był założycielem, ani też reformatorem żadnej religii, nie był również „bezwyznaniowym", jak niektórzy utrzymują [1].

Konfucyusz z wielką pilnością spełniał wszystkie obrzędy przepisane rytuałem, lecz nie wierzył w ich doniosłość lub skuteczność: składał ofiary cieniom zmarłych i różnym duchom, pytany jednak przez uczniów o ich znaczenie, wyrażał się o nich oględnie wprawdzie, ale z całem niedowierzaniem. I tak, spytany czy duchy zmarłych wiedzą cokolwiek o tych ofiarach, odpowiedział: „Nie powiem, że wiedzą, albowiem żyjący potomkowie zrujnowaliby się na sprawianie im wspaniałych ofiar; nie powiem, że nie wiedzą, bo synowie nawet nie chcieliby grzebać swych rodziców". Na pytanie, co się dzieje z duszą po śmierci, rzekł: „Jeżeli ty nie wiesz nic z tego co się odnosi do życia, jakim sposobem możesz wiedzieć coś o śmierci?"

Legge streszcza swe zdanie o Konfucyuszu w kilku słowach: „Nie mogę uważać Konfucyusza ani za wielkiego człowieka, ani za wielkiego filozofa. Nie był wyższym nad swój wiek, choć niewątpliwie był wyższym od innych urzędników i myślicieli swego czasu. Nie podniósł ani nie wyświecił żadnej kwestyi, którąby obchodziła ludzkość. Nie zajmował się religią. Wpływ jego był ogromny, jest jeszcze dzisiaj, lecz sądzę, że nie potrwa" [2]. W dziełach swych Konfucyusz nie zajmuje się religią, są jednakże ustępy, z których się pokazuje, że i sam

---

[1] Między innemi pisze misyonarz anglikański Macintyre: „Confucius was a sceptic, who deemed it his duty to conceal his scepticism out of deference to the ancient sages and traditional opinions". *The China Review*, vol. VIII, I, p. 363.

Na podstawie własnych słów Konfucyusza streszcza Legge swe poglądy o nim, odnośnie do jego zapatrywań religijnych: „What he claimed for himself was to be a ‚transmitter, and not a maker, believing in and loving the ancients'; that ‚he was fond of antiquity, and earnest in seeking knowledge there'. *(Confucian Analects*, VII, I, 19). What his grandson claimed for him was that ‚he handed down (the doctrines of) Yao and Shun, as if they had been his ancestors, and elegantly displayed (the regulations of) Wan and Wu, taking them as his models'. *(Doctrine of the Mean*, XXXI)". Legge, *The religions of China*, p. 4.

[2] Legge, *The Chin. Clas.*, vol. I, Prol., p. 113.

wierzył w to, w co wierzyli jego praojcowie, i tę wiarę zalecał swym uczniom.

Nazwa „religii Piśmiennych“, jaką niektórzy dają tej sekcie, odpowiada więcej rzeczywistości. I w istocie, cała religia Dżu-Keaou polega na spełnianiu pewnych, ściśle określonych obrzędów, przepisanych rytuałem, potwierdzonym przez rząd; przepisy te obowiązują wszystkich urzędników, tak wyższych jak i niższych, i ściśle są po dziś dzień wykonywane: otóż, ponieważ wszyscy urzędnicy chińscy muszą posiadać stopnie akademickie, czyli, jak nazywają, być „Piśmiennymi“, stąd i ich religia słusznie nazywaną jest „religią Piśmiennych“.

Jakie są dogmata tej religii? Trudno jest odpowiedzieć na to pytanie; wspomnieliśmy wyżej, że Chińczycy nie posiadają teologii dogmatycznej; Konfucyusz nie zajmował się tym przedmiotem, a na pytania zasadnicze, tyczące się religii, jakie zadawali mu uczniowie, odpowiadał wymijająco. Toż samo można powiedzieć o innych filozofach chińskich. Są jedynie rytuały obrzędowe.

W *Li-Ki,* czyli „Zbiorze obrzędów“, czytamy: „Syn Nieba (cesarz) ofiarowywał Niebu i Ziemi; czterem stronom świata, duchom pagórków i rzek; sprawował również pięć obrzędów domowych, i to w ciągu jednego roku. Wasalowie ofiarowywali opiekunom swych dzielnic; duchom pagórków i rzek, a nadto sprawowali pięć domowych obrzędów — wszystko w ciągu jednego roku. Inni urzędnicy sprawowali obrzędy odnoszące się do zmarłych przodków“. Te przepisy obowiązują po dziś dzień i skrupulatnie są spełniane. Jakkolwiek *Li-Ki* pochodzi dopiero z II. lub III. w. przed Chr., rzeczą jest pewną, że te obrzędy były spełniane i dawniej; co do cesarza przynajmniej mamy pewność historyczną. Dowiadujemy się z Szu-King, że Jao, który panował w XXIV. wieku przed Chr., zdał rządy państwa na Szun'a w świątyni „Doskonałego Przodka“ [1]; Szun, po objęciu steru, „złożył ofiary szczególne, lecz zwykłym sposobem Szang Ti; ofiarował sześciu świętościom; złożył odpowiednie ofiary pagór-

[1] Pt. II, Bk. I, Ch. III, n. 4, 6, 7.

kom i rzekom, a również zastępom duchów“ [1]. Czytamy dalej, że Szun objeżdżał swe państwo i w różnych stronach składał ofiary, mianowicie „całopalenie Niebu i ofiary pagórkom i rzekom“ [2]; z powrotem do stolicy przybył do świątyni „Wykształconego Przodka i złożył ofiarę z byka“ [3].

Rzeczą jest pewną, że główne rysy religii chińskiej, jaka jest dzisiaj, są identyczne z zasadniczemi podstawami religii, jaka tam istniała czterdzieści trzy wieków temu: takie jest zdanie najgruntowniejszych naszych sinologów i godzą się na to nawet uczeni Chińczycy [4]; jednakże nie ulega również wątpliwości, że w ciągu tego czasu nastąpiły pewne zmiany, które przyczyniły się do wyrobienia dzisiejszego stanu religii. O tych zmianach pomówimy na właściwem miejscu; obecnie zajmiemy się pojęciami religijnemi, jakie od trzydziestu wieków zapanowały w Chinach.

Ludy chińskie i wogóle ludy zaliczające się do rasy żółtej, lub z nią spokrewnione, wierzą w istnienie „duchów opiekuńczych“: duchy te mają pieczę nad „pagórkami i rzekami“, każda dzielnica, a w niej każda miejscowość podlega władzy „ducha“, który może sprowadzić pomyślność lub klęskę na te okolice, stąd też dla zaskarbienia sobie ich względów, należy im oddawać cześć, składać ofiary. Duchom potężniejszym poświęcone są osobne świątynie lub ołtarze, inne muszą się zadawalniać wizerunkiem malowanym lub rzeźbionym. Przedewszystkiem jednak sekta Piśmiennych praktykuje nabożeństwo do przodków w szerokiem znaczeniu tego słowa.

Każda rodzina obchodzi w swem kółku święta swych najbliższych przodków, lecz Piśmienni obowiązani są do obchodzenia świąt niektórych dawniejszych panujących, i mężów którzy

[1] Pt. II, Bk. I, Ch. III, n. 4, 6, 7.

[2] Tamże, n. 8.

[3] Tamże, n. 8.

[4] „A very intelligent Chinese gentleman, now in Europe, said to me, not very long ago, ‚We have nothing in China the roots of which are not to be found in the Canons of Yao and Shun‘“. Legge, *The religions of China*, pag. 24.

położyli zasługi około dobra państwa lub prowincyi. W pierwszym rzędzie stoi święto Konfucyusza. Konfucyusz ma liczne świątynie w Chinach. Cesarz, wszyscy urzędnicy, kilka razy do roku, odprawiają tam swe nabożeństwa; akademicy, po otrzymaniu stopnia naukowego, tam zanoszą modły i składają ofiary.

Lecz Konfucyusz nie jest jedynym „świętym“ chińskim. W XII. wieku przed naszą erą zaszły znaczne zmiany nietylko w liturgii, ale i w wierze chińskiej. Książę Czeu (Chau, *v.* Chow, *v.* Tcheou) zobowiązał swych poddanych do oddawania czci swoim zmarłym przodkom. Mamy na to świadectwo Konfucyusza, czytamy mianowicie w Czun-jung[1]: „Książę Czeu nadał królewskie tytuły Tae i Ke i składał im ofiary według obrzędu cesarskiego. Rozciągnął ten przepis (tj. nakazał ten obrzęd) do książąt, wielkich urzędników, uczonych i ludu“. Oto początek antropomorfizmu chińskiego, nieznanego dawniej w tym kraju[2]. Od XII. wieku przed Chr. po dziś dzień cesarze chińscy, od czasu do czasu, wydają edykty, mocą których poddani ich bywają zobowiązywani do czci różnych osobistości; rządcy prowincyi czynią to samo w podwładnym swej władzy kraju. Liczba tych „świętych rządowych“ jest bardzo wielka, lecz zarazem i zmienna. Każda dynastya, jeżeli nie każdy cesarz, ma swoich uprzywilejowanych „świętych“, a zdarzało się, że niektórzy dawniejsi zostali zdegradowani przez cesarza. Prócz tych ubóstwionych mężów stanu w panteonie chińskim są inne jeszcze osobistości symboliczne; i tak w dzisiejszych czasach wśród „świętych rządowych“ wyróżniają się następujący[3]: „Ojcowie Medycyny, tj. Fu-hsi i dwaj jego koledzy; Kuan-Ju, bóg wojny, protegowany szczególnie przez dynastyę Mandżurską; Uan-Czang, bóg piśmiennictwa, bóstwo gwiazdziste, mające siedzibę w konstelacyi Wielkiej Niedźwiedzicy... ci są przedniejsi bogo-

[1] Legge, *The life and teaching of Confucius*, p. 295.

[2] Tak uczeni chińscy jak i sinologowie europejscy godzą się na takie tłumaczenie powyższego ustępu z Konfucyusza. Ob. Legge, *The religions of China*, p. 79 i 80.

[3] Cały ten ustęp bierzemy dosłownie z dzieła prof. Legge, *The religions of China*, p. 182, 183.

wie rządowi; liczba zaś innych podrzędniejszych, jest bardzo wielka" [1].

Legge, który, mówiąc nawiasem, jest nadzwyczaj względny dla Chińczyków, i chciałby wymówić Konfucyanizm od bałwochwalstwa, nazywa jednak te osobistości b o g a m i, albowiem sami Chińczycy dodają im przydomek Ti, który tę godność oznacza. Jeżeli teraz zauważymy, że świątynie, w których odbywają się nabożeństwa rządowe, są przepełnione obrazami i statuami, którym oddaje się cześć boska, że same obrzędy tchną pogańską religijnością, a więc nie są świeckiemi li obchodami, jak to niektórzy dawniejsi misyonarze utrzymywali — wówczas łatwo pojmiemy, dlaczego Stolica św. zabroniła chrześcijanom uczestniczyć w tych nabożeństwach [2].

Taka jest religia urzędowa Piśmiennych, czyli Konfucyanizm: wielobożność i bałwochwalstwo są jej cechami, jednakże te zimne obrzędy nie były zdolne zadowolnić ani wymagań rozumu, ani pragnień serca samychże Chińczyków, i temu głównie przypisać należy powstanie i szybki rozrost Taoizmu [3].

---

[1] Prof. Douglas przyznaje, że Konfucyanizm zapożyczył sobie wiele bogów od Taoistów: „The concessions thus made were met by corresponding concessions on the part of Confucianists, who have practically adopted into their cult the worship of many of the gods which were invented by the Taouists". *China*, p. 316.

[2] „Ad haec nullatenus, nullaque de causa permittendum esse Christi fidelibus, quod praesint, ministrent, aut intersint solemnibus Sacrificiis, seu oblationibus, quae a Sinensibus in utroque aequinoctio cuiuscunque anni Confucio et Progenitoribus defunctis fieri solent, tamquam superstitione imbutis. Similiter, nec esse permittendum, quod in Aedibus Confucii, quae Sinico nomine Miao appellantur, iidem Christi fideles exerceant ac peragant Caerimonias, Ritus et oblationes, quae in honorem eiusdem Confucii fiunt tum singulis mensibus in Novilunio et Plenilunio a Mandarinis, seu primariis Magistratibus, aliisque Officialibus et Litteratis; tum ab eisdem Mandarinis seu Gubernatoribus ac Magistratibus, antequam dignitatem adeant, seu saltem post eius possessionem adeptam; tum denique a litteratis, qui postquam ad gradus sunt admissi, e vestigio ad templum seu Aedem Confucii se conferunt". Const. Bened. XIV., *Ex quo singulari.*

[3] Sinolodzy europejscy podzielają to zdanie; Legge pisze:

„Unable to observe the ancestral worship as prescribed in the Confucian literature, finding it too cold and too exacting, they have thrown

Drugą z kolei sektą w Chinach jest *Taoizm;* powstał on i rozwinął się w ostatnich wiekach dawnej ery.

Kto był założycielem tej sekty — nie wiadomo; niektórzy przypisują jej założenie filozofowi chińskiemu, Lao-ce'mu, lecz jak zaraz zobaczymy, całkiem niesłusznie, chociaż rzeczą jest prawdopodobną, że uczniowie Lao-ce'go, a przynajmniej jego późniejsi zwolennicy rzucili pierwsze zarody tej sekty.

Lao-ce, żyjący w VI. wieku przed Chr., napisał księgę pod tytułem *Tao-Teh-King.*

Tao-Teh-King jest zbiorem maksym filozoficznych: mała ta książeczka rozmiarami, zawiera bowiem coś tylko trochę więcej nad 5000 wyrazów [1], bogatą jest w treść, podnosi nadto najwznioślejsze zadania rozumu ludzkiego. Nie ulega wątpliwości, że Lao-ce był głębszym myślicielem od współczesnego sobie Konfucyusza: podczas gdy ten ostatni zajmuje się człowiekiem jako jednostką należącą do państwa i przepisuje mu obowiązki odnoszące się do tego stanowiska, Lao-ce sięga wyżej, rozwiązuje a przynajmniej stawia zadania tyczące się przyczyn bytu, początku wszechrzeczy, zmienności i końca istot. Uczeni, tak chińscy jak i europejscy, w wielkiem mają poważaniu tę księgę, która też niejednokrotnie była tłumaczoną na języki europejskie [2].

Dawniejsi misyonarze, OO. Prémare, Amiot i inni, spostrzegali w Tao-Teh-King wzniosłe prawdy religijne, które mogły być tylko pozostałościami z pierwotnego Objawienia, między innemi widzieli tam ślady pojęć o Trójcy Przenajświętszej. Dokładniejsza znajomość języka chińskiego rozwiała te zapatrywa-

---

themselves into the arms of the Tâoists and Buddhists, becoming the victims especially of Tâoist superstition". *The religions of China*, p. 87.

„Aber ohne einen eigentlichen Priester-Stand, ohne Dogmatik, ohne Mythologie blieb das religiöse Bedürfniss der Menge unbefriedigt. Weder über den Ursprung der Welt, noch die Natur der Geister und der Seele, noch über die Fortdauer nach dem Tode gewährte sie irgend eine zuversichtliche Einsicht, wie die Menge sie will". Dr. I. H. Plath, *Die Religion und der Cultus der alten Chinesen*, p. 959.

[1] Legge w księdze wydanej w Szangaju naliczył 5330 znaków.

[2] Dokładne zapiski bibliograficzne, odnoszące się do Tao Teh King, podał p. prof. Straszewski w „Zarysie dziejów filozofii", str. 258.

nia, chociaż trudności stylowe i zawiły wykład sprawiają, że i dziś najbieglejsi sinolodzy europejscy nie zgadzają się z sobą w tłumaczeniu.

Nie będziemy rozbierać tutaj tego całego traktatu: najprzód dlatego, że rozwiązanie zasadniczych zadań filozoficznych jest tak ciemno przedstawione, że niepodobna z niego wysnuć żadnego pozytywnego wniosku; powtóre, że te zadania, w pojęciach przynajmniej Lao-ce'go, nie mają związku z religią. Jako przykład jednak przytoczymy tu ustęp z charakterystycznego rozdziału 25-go:

Istniało coś chaotycznego i zupełnego przed narodzeniem się nieba i ziemi. Jakże spokojnem ono było i bezkształtnem, samotne, niezmienne, wnikające wszędzie, niczem nie zagrożone. To coś możnaby uważać za rodzicielkę wszechrzeczy.

Nie znam jego nazwy, oznaczam je przez Tao; a usiłując dać mu imię, nazywam je Wielki.

Wielki, ciągle się porusza, w nieustającej przemianie; poruszając się (tem samem) oddala się; po oddaleniu wraca napowrót.

Dlatego Tao jest wielkim; niebo jest wielkie; ziemia jest wielka; król jest także wielkim. W rzędach istot znajdują się cztery wielkości, a król jest jedną z nich.

Prawem dla człowieka jest ziemia, dla ziemi niebo, dla nieba Tao; prawem zaś dla Tao jest jego własna samoistność.

Co chciał wyrazić Lao-ce przez Tao — nie wiadomo. W zwyczajnym języku „tao" znaczy „drogę", „cnotę", „metodę". Niektóre pojęcia Lao-ce'go o Tao zdają się wskazywać, że ma na myśli Najwyższą Istotę, inne jednak wyraźnie temu przeczą. Douglas pisze [1]: „Lao-ce nic nie wiedział o Bogu osobowym, jak to wnosić można z jego traktatu... rzeczywiście wiara w taką Istotę byłaby w sprzeczności z duchem jego filozofii". Jakkolwiek Legge stara się bronić Lao-ce'go przed zarzutem bezwyznaniowości, przyznaje jednakże, że w Tao-Teh-King niema mowy o religii [2].

---

[1] *Confucianism and Tâoism*, p. 211.

[2] „But while the existence of God is not denied, there is no inculcation of religion in the book". *The rel. of China*, p. 229.

Lao-ce tedy nie był założycielem nowej sekty, lecz jego filozoficzne zapatrywania przyczyniły się poniekąd do jej powstania, a sama nazwa sekty — Taoizm — wzięła nazwę od tytułu jego książki. Właściwej jednak genezy Taoizmu należy szukać gdzieindziej.

Jakkolwiek oprócz Baków, czasowych i częściowych wtargnień Mongołów, żaden inny lud, w większej liczbie, nie przedostał się do krajów chińskich, jednakże przedostawały się tam pojęcia ludów południowej i zachodniej Azyi. Ocean, oblewający wschodnie brzegi państwa, był dogodną drogą dla śmiałych żeglarzy morza Erytryjskiego. Sabejczycy i Hindowie w wieku VII. przed Chr. założyli sobie przystań w odnodze Kiao-czu i nazwali ją „Lanka“, po chińsku „Lan-ga“, na pamiątkę Lanki hinduskiej, tj. Cejlonu. Tą drogą przychodziły wyroby i płody południowe i zachodnie, tędy przedostał się do Chin sezam z Sumatry i pigwa z Medyi; owoc ten tak został ulubionym przez Chińczyków, iż doczekał się nawet ody w Szi-King na swoją pochwałę; tą szczególnie drogą przedostały się pojęcia religijne Hindów, które wielki wpływ wywarły na szersze koła współczesne.

Filozoficzne maksymy, zawarte w Tao-Teh-King, nad któremi dotąd w Chinach nigdy się nie zastanawiano, dają pierwszy domysł, że one przedostały się skądinąd. Jeżeli zaś bliżej się przypatrzymy pojęciom, jakie zawierają, spostrzeżemy ścisłe pokrewieństwo i podobieństwo z pojęciami hinduskiemi.

A najprzód, jak się dobrze domyśla p. prof. Straszewski, pojęcie, jakie Lao-ce daje o Tao, jest całkiem podobne do pojęć hinduskich o „atmanie“.

Dalej, pojęcie Hindów o „Trimurti“ jest dość wyraźnie zaznaczone w XIV. rozdz. księgi Lao-ce'go. I tak czytamy tam:

Ten, który jest jakby był widzialny a nie może być widzianym, zowie się *Khi*.

Ten, którego my słyszeć nie możemy i który nie mówi do naszych uszów, zowie się *Hi*.

Ten, który jest jakby namacalnym, lecz którego dotknąć nie możemy, zowie się *Wej*.

Takie tłumaczenie dał O. Amiot i domyślał się w niem

śladów Objawienia pierwotnego o Trójcy Przenajświętszej. Jeszcze dalej poszedł sinolog francuski, Rémusat. Z trzech głównych dźwięków, mających stanowić imię tej Istoty, I, Hi, Wej, wyprowadził on wyraz hebrajski Jehowa. Dzisiejsi sinologowie odnoszą ten ustęp do „Trimurti“ hinduskiej.

Wreszcie, pomijając wiele innych ustępów z Tao-Teh-King, jakie odnaleść się dadzą w Bramanach [1], pojęcia przedewszystkiem samego Taoizmu dowodzą, że z Indyj do Chin przeniesione, a raczej przeszczepione zostały. Pień, tj. główne tło sekty zostało chińskie, a na nim dopiero zaszczepiono hinduskie pojęcia. Uczeni chińscy pełnemi garściami czerpali pojęcia religijne w Upaniszadach; wszystko, co one mówią o Bramie, wszystkie aberacye umysłowe Hindów Taoiści żywcem przenieśli na swój grunt i przyczepili do swych dawnych pojęć religijnych; tym sposobem powstał Taoizm. Tak zresztą działo się i gdzieindziej, mianowicie w Indyach. Aryowie i Chamici hinduscy nie wyznają tejże samej religii, chociaż jedni i drudzy przyjmują Bramę; każdy z tych szczepów wyobrażał sobie Bramę, zgodnie z pojęciami, jakie wśród wieków wyrobiły się w jego łonie, i stąd Brama wśród Aryów hinduskich przedzierzgnął się w Wisznu, wśród Chamitów zeszedł na Siwę, nic więc dziwnego, że w Chinach na pojęciach Bramy wyrobił się Taoizm.

Taoiści przyjmują istnienie samoistnego, pierwotnego pierwiastku *Khi*, który wszystko co jest wyprowadził z siebie. Khi sam przez się jest niewidzialny i niepoznawalny, uwidocznia się dopiero w istotach. Wszystkie istoty z niego wychodzą i do niego napowrót wracają. Khi nie zajmuje się światem, powierzył tę czynność różnym duchom: każde ciało niebieskie i ziemskie, gwiazdy, słońce, księżyc, góry, wody, lasy, są rządzone przez specyalne duchy; każdy objaw meteorologiczny podlega oddzielnemu duchowi; są duchy: wojny i pokoju, piśmiennictwa, rze-

[1] „La doctrine de Lao-tze ressemble en bien des points à celle des brahmanes, le Tao-te-king, concorde d'une manière frappante avec l'exposé philosophique qui commence les lois de Manou. Il y a donc de grandes probabilités que l'auteur du Manuel lao-tïen ait cherché des inspirations dans l'Inde“. Harlez, *Les religions de la Chine*, p. 177.

miosł, zdrowia i chorób — od nich wszystko zależy, one sprowadzają klęski na kraj i na ludzi, one też czynią ludzi szczęśliwymi. Skoro tak jest, nie ma co uciekać się do Khi, i do niego też Taoiści się nie uciekają, ani o nim nie myślą, lecz zwracają się do duchów.

Taoiści oddają cześć tak dobrym, jako i złym duchom; dobrym, ażeby wyprosić sobie u nich pomyślność, złym, ażeby zabezpieczyć się od ich gniewu.

Wszystkie dawne duchy opiekuńcze Chińczyków zostały w Taoizmie „bogami", i stąd dodaje się im przydomek *Ti;* przybyła nadto cała rzesza nowych bogów, którym dają się nazwy „najwyższych bogów", „niebieskich bogów", „wielkich bogów", „boskich rządców" [1]. Bożkowie są dwupłciowi, są bogowie i boginie; ten obłęd nie był znany w Chinach, widocznie zapożyczony został z Indyj.

Stare nabożeństwo Chińczyków do zmarłych przodków nie zostało naruszone, a nawet, pod wpływem pojęć Awatary, uległo ewolucyi: duch zmarłego wciela się nietylko w Tabliczki, ale wciela się w żyjącego członka rodziny. Co więcej, pod wpływem pojęć Awatary, wytworzyło się w Chinach mniemanie, że „duchy" mogą się wcielać nietylko w człowieka, ale i w zwierzęta, drzewa, kamienie, nawet i w ich obrazy, dlatego w świątyniach chińskich spotyka się niezmierną liczbę bałwanów, mających postać ludzką lub zwierzęcą. Istnieją osobne kaplice i ołtarze, poświęcone: smokowi, wężowi, małpie, lisowi, zającowi i t. d.; tym bałwanom Chińczycy oddają cześć boską. Taoizm jest religią pogańską i bałwochwalską, w najszerszem słów tych znaczeniu [2].

W świątyniach taoistów uderzają przedewszystkiem trzy obrazy, czasem posągi, które się zowią *San-Czing,* tj. „trzy świętości". Pierwsza nosi nazwę „Jedyny święty doskonały", druga „Jedyny najwyższy święty", trzecia wreszcie „Jedyny największy

[1] „Taoism has many more ‚gods', ‚supreme gods', ‚celestial gods', ‚great gods', and ‚divine rulers'. The name Ti, or God... is given to scores of the Tâoist deities". Legge, *The rel. of China,* p. 170.

[2] „No polytheism could be more pronounced, or more grotesque, with hardly a single feature of poetic fancy or aesthetical beauty". *Ibid.*

święty". Każda z tych osobistości ma tytuł *Tien-Czun*, tj. „Niebieski Pan", albo Szang Ti.

Pierwsza osobistość zowie się również *Pan-ku*, tj. „Chaos". Według mniemań ludu, jest to „pierwszy człowiek, który zaprowadził ład w niebie i na ziemi". Drugą osobistością jest „najwyższy książę Lao". Trzecia wreszcie osobistość jest właściwy patryarcha Taoizmu, pierwszy z rodziny Czang.

Trimurti hinduskie jest tu bardzo widoczne.

Taoiści nader charakterystycznie przedstawiają tego Pan-ku. Postać karłowata, włochata, podobna bardziej do niedźwiedzia aniżeli do małpy, dźwiga ogromny młot i dłuto, służące do ukształtowania ziemi [1]. Jest to rzekomo pierwszy człowiek, nasz Adam. Rzecz ciekawa, jak nasi pozytywiści i racyonaliści zgodne mają zapatrywania z Taoistami!

Te „Trzy świętości" jednakże, pomimo swych wysokich tytułów, odgrywają w Taoizmie rolę drugorzędną, a przynajmniej w obrzędach religijnych są zupełnie pomijane; miejsce ich zastąpiła osobistość konkretna, mianowicie jeden z patryarchów Taoizmu, z rodziny Czang, który żył w VII. wieku naszej ery. Ten Czang został ubóstwiony przez Taoistów pod imieniem *Ju Huang Szang Ti*; sprawy ziemskie są zakresem jego działalności i do niego też Taoiści uciekają się w swych potrzebach [2].

Wreszcie Taoizm zapożyczył sobie z Indyj pojęcie o piekle albo czyśćcu i o napoju nieśmiertelnym.

Starzy Chińczycy utrzymywali, że wszystkie dusze zmarłych idą do nieba, stąd powstało nabożeństwo do przodków;

[1] „Pan-ku is spoken of by the common people as ‚the first man, who opened up heaven and earth'. It has been said to me in ‚pidgin' English that ‚he is all the same your Adam'; and in Tâoist picture-books I have seen him as a shaggy, dwarfish, Hercules, developing from a bear rather than an ape, and wielding an immense hammer and chisel with which he is breaking the chaotic roks". Legge, *The relig. of China*, p. 168.

[2] „Next to them is Yu Hwang Shang Ti, the ‚gemmeous sovereign, God', who has in a great measure displaced the others from the public mind, superintending, as he is supposed to do, all human affairs, and also exercising a control over the physical world". Legge, *The religions of China*, pag. 169.

pod wpływem pojęć hinduskich Taoiści twierdzą, że niektóre dusze skazane są na męki, z których można je oswobodzić stosownemi modlitwami i ofiarami.

Wiadomość o Somie hinduskiej obudziła na kilka wieków przed naszą erą niezwykłe zajęcie w Chinach, cesarze wysyłali za Himalaje posłów, którzy mieli sprowadzić to nadzwyczaj cenne lekarstwo na śmierć. Od czasu powstania Taoizmu nie potrzeba go już tak daleko szukać. Taoizm zaprowadził kapłaństwo, nieznane dotąd w Chinach, a ci kapłani właśnie znają tajemnicę przyrządzania tego napoju.

Ta rzekoma umiejętność kapłanów Taoizmu zjednywała im wielką wziętość w oczach Chińczyków; a jeżeli nadto, jak sami zapewniali, oni jedynie posiadali tajemnicze zaklęcia do wydobycia dusz zmarłych z piekła, oni jedynie są zdolni do zdejmowania uroków i czarów i mają dar przepowiadania przyszłości, łatwo można pojąć, że byli pożądanymi i poszukiwanymi ogólnie, a stąd i ich doktryny snadny znalazły przystęp do umysłów nieoświeconych i łatwowiernych. Główna jednak przyczyna powodzenia i szybkiego rozrostu Taoizmu w Chinach leży niezawodnie w tem, że ten system religijny pozostawiał nietknięte dawne dogmata Chińczyków, i uzupełniał je pojęciami, błędnemi wprawdzie, lecz odpowiadającemi pragnieniom serca ludzkiego.

Pragnienia serca nie zawsze dostrajają się do wymagań rozumu, a jeżeli gdzie, to w Chinach te ostatnie nie są uwzględniane. Najniedorzeczniejsze zabobony i gusła biorą się tam za dobrą monetę; praktyki dziecinne, śmieszne, uznawane są za obrzędy religijne. Magiczne i spirytystyczne sztuczki są tam na porządku dziennym; Taoiści wyprzedzili Europę pod tym względem o kilkanaście wieków: „media“, „ołówki piszące“, jakiemi niebezpiecznie bawiono się u nas kilka dziesiątków lat temu, znane i praktykowane były w Chinach przed naszą erą[1]. Wreszcie brak jest tam całkiem zmysłu krytycznego: podania, wytworzone niezdrową wyobraźnią o życiu Lao-ce'go

[1] Douglas, *China*, p. 272 i następ.

i innych rzekomych patryarchów Taoizmu, przyjmują się za prawdy historyczne [1].

Taoizm jest religią uznaną przez rząd. Kapłani zostają pod zwierzchnictwem najwyższego kapłana; urząd ten przechodzi dziedzicznie z ojca na syna w rodzinie Czang, począwszy od I. wieku naszej ery. Tytuł jego urzędowy jest „Niebieski Mistrz“ [2].

Jedno jeszcze pytanie na zakończenie. Kto wyznaje Taoizm w Chinach i ilu liczy on tam zwolenników? Otóż żaden wykształcony Chińczyk nie śmiałby się przyznać do Taoizmu, chociaż niema może takiego Chińczyka, któryby, choć pokryjomu, nie udawał się do kapłanów o pomoc w różnych przypadkach życia. Lud chętnie bierze udział w uroczystościach Taoistów, odwiedza ich świątynie, modli się tam i składa ofiary, a przedewszystkiem ucieka się do kapłanów w celu odwrócenia zagrażających niebezpieczeństw, lub dowiedzenia się o swej przyszłości, lecz nie uznaje się jednak wyznawcą Taoizmu. Chińczycy jednakową ufnością obdarzają tak dobrze mnichów buddhystycznych, jak i kapłanów Taoizmu; statystyki chińskie nie podają liczby zwolenników Taoizmu, podać jej bowiem nie są w stanie.

Wreszcie należy nam pomówić o Buddhyzmie w Chinach; rzecz tę w niewielu zamkniemy słowach: raz dlatego, że o samym Buddhyzmie mówiliśmy dość obszernie gdzieindziej [3], powtóre, że Buddhyzm w Chinach liczy, stosunkowo do ludności, bardzo mało zwolenników.

Jakkolwiek pierwsze wiadomości o Buddhyzmie doszły do Chin w roku 120 przed Chr., w roku dopiero 65 naszej ery, według źródeł chińskich, za panowania cesarza Ming-ti nadeszły

---

[1] C. de Harlez, *Les religions de la Chine*, p. 192.

[2] Dr. Edkins miał *inteview* z Niebieskim Mistrzem w Pekinie; w ciągu rozmowy zagadnął go Edkins: „Od jakiego czasu przodek jego otrzymał tytuł Ju Huang Szang Ti?“... Niebieski Mistrz odpowiedział bez zająknienia: „Od początku świata“. Ob. Dr. Edkins, *Essay*. Shanghai 1877.

[3] „Religie Aryów Wschodnich“, str. 386 i następ.

z Indyj Sutry buddhyjskie i przetłumaczone zostały na język chiński. Na razie Buddhyzm nie znalazł powodzenia wśród Chińczyków. W V. dopiero i VII. wieku naszej ery uczeni chińscy, Fah Hian i Hiuen Czang, po długim pobycie w Indyach, zapoznali dokładnie swych ziomków z nauką Buddhy: wydali opis swych podróży po słynnych miejscowościach buddhyjskich, przywieźli z sobą mnóstwo ksiąg i przetłumaczyli je na język krajowy. Odtąd właściwie rozpoczął się większy ruch buddhystyczny w Chinach, choć nie przybrał nigdy szerszych rozmiarów, pomimo, że niektórzy cesarze byli jego zwolennikami.

Przyczyna niepowodzenia Buddhyzmu w Chinach leżała głównie w tem, iż z jednej strony Konfucyanizm zapuścił już tam był głębokie korzenie, był religią narodową, popularną, i Chińczycy przy niej stali statecznie; z drugiej zaś strony, w tym właśnie czasie Taoizm uzupełnił już był braki zimnych obrzędów i doszedł do najwyższego szczebla swego rozkwitu. Nie było tedy miejsca dla Buddhyzmu w Chinach, i gdyby nie to, że krzewiciele jego umieli zręcznie przeistoczyć Buddhyzm hinduski na modłę chińską, mianowicie zmienili jego właściwą nazwę na chińskie *Fo*, pozostawili dawne opiekuńcze duchy, przykrajawszy je nieco, a nadto nie naruszyli w niczem starego nabożeństwa do przodków — nigdyby Buddhyzm nie znalazł zwolenników w Chinach.

Zresztą Buddhyzm, jaki poznali podróżnicy chińscy w Indyach, nadawał się Chińczykom. W wieku VII. naszej ery Buddhyzm w Indyach, jak to wiemy skądinąd, został już całkiem zhinduzowany, tj. przekształcił się w bałwochwalską wielobożność; a ponieważ w tym czasie w Chinach tak Konfucyanizm jak i Taoizm były religiami bałwochwalsko-wielobożnemi, stąd i Buddhyzm, przystrojony w szatę chińską, mógł niepostrzeżenie zająć miejsce obok nich, i rzeczywiście też zajął.

Na czele Buddhyzmu, tak w Indyach jak i w Chinach, stoją mnisi, których pisarze europejscy zowią Bonzami. Mnisi buddhyjscy w Chinach dzielą się na dwie różne gałęzie: jedni, znani pod nazwą *Ho-szang*, są przedstawicielami właściwego Buddhyzmu; drudzy zowią się *Lama* i należą do sekty buddhystycznej, zwanej

Lamaizmem. Ta sekta powstała w Tybecie, gdzie i dziś jest jej główna siedziba, choć i w Mongolii bardzo się rozpowszechniła. We właściwych Chinach Lamaizm ma zaledwie kilka małych Lamazaryj czyli klasztorów.

W dzisiejszych czasach z trudnością można rozróżnić świątynie buddhyjskie w Chinach od świątyń innych sekt chińskich. W świątyniach Buddhystów uderzają przedewszystkiem trzy wielkie obrazy, zwane *San-Pao,* tj. „Potrójny klejnot". Te trzy obrazy przedstawiają *Try-ratna,* znane z Buddhyzmu hinduskiego [1]. Buddhyjskie San-Pao takie ma podobieństwo z taoistycznem San-Czing, iż na pierwszy rzut oka niepodobna ich rozróżnić [2]. Inne posągi, obrazy i symbole, jakie przyozdabiają świątynie Buddhystów w Chinach, są w większej części te same, jakie znajdują się po innych świątyniach chińskich: wzajemne przyswajanie sobie cudzych bożków i świętych jest ogólne w Chinach, Taoiści umieszczają posąg Buddhy obok posągów innych swych bogów.

Obrzędy religijne, dokonywane przez Buddhystów, nie różnią się również od obrzędów, przedewszystkiem Taoistów. Nabożeństwa do zmarłych przodków są zupełnie te same; lecz co więcej, ponieważ Buddhyści chińscy wraz z Buddhyzmem zhinduzowanym przyjmują piekło, stąd odprawiają w swych świątyniach nabożeństwo, mające na celu wyswobodzenie stamtąd dusz zmarłych; otóż te obrzędy muszą być podobne do odpowiednich obrzędów Taoistów, skoro je wspólnie z tymi ostatnimi, przy jednym odprawiają ołtarzu [3]. Lecz i w innych obrzędach, zaklęciach, zażegnywaniach, wróżbach i tym podobnych guślarskich sztukach, Buddhyści idą ręka w rękę z Taoistami [4], co zresztą jest rzeczą natu-

[1] Ob. „Religie Aryów Wschodnich", str. 403.

[2] „You go now into a Tâoist temple, and are immediately confronted by three vast images, which you mistake at first for the precious Buddhas". Legge, *The relig. of China*, p. 167.

[3] Legge był świadkiem tego nabożeństwa i pisze: „Special services, often very expensive, may be held also either by Buddhist monks or by Tâoist, or by both together as I have often seen, to deliver the soul from purgatory". *The relig. of China*, p. 201.

[4] „The shaven representatives of Buddhism, and the wearers of the ‚yellow caps' of Tâoism, are now constantly seen associated in the same service". Legge, *Ibid.* p. 181.

ralną, gdyż jedni i drudzy czerpali swe nauki w Tantrach hinduskich.

Wreszcie, wspólnem charakterystycznem znamieniem wszystkich trzech sekt jest to, że żadna z nich nie wyznaje Najwyższej Istoty. Buddhyzm teoryczny z zasady był bezbożnym; Buddhyzm zhinduzowany dostarczył chińskiemu całego panteonu bożków, lecz mu nie dał, czego sam nie miał, Najwyższej Istoty. Taoizm posiada ogromną liczbę bogów, lecz wszyscy są „wielkimi bogami", „najwyższymi bogami". Konfucyanizm nakoniec używa wprawdzie wyrazów Ti i Szang Ti, ale jako przydomki tylko ubóstwionych przez siebie królów i mężów stanu.

Różnice teoryczne, jakie istnieją między sektami chińskiemi, są znane tylko uczonym, ogół nie ma o nich pojęcia; a ponieważ dzisiaj świątynie rządowe Konfucyanizmu są powierzone Taoistom, stąd różnice między trzema sektami religijnemi w Chinach jeszcze bardziej się zatarły. Oto co pisze doskonały znawca stosunków w Chinach, prof. Douglas: „Z tego cośmy wyżej powiedzieli pokazuje się, że nie istnieją w Chinach wybitne granice między trzema sektami. Każda z nich przyswajała sobie właściwości dwu innych, tak iż dzisiaj rzeczą jest wątpliwą, czy istnieje jaki czysty Konfucyanizm, czysty Buddhyzm albo czysty Taoizm. Konfucyanizm założył podstawy moralne, na których opiera się narodowy charakter Chińczyków, Buddhyzm i Taoizm uzupełniły je pierwiastkami nadnaturalnemi, których niedostawało temu systemowi. Ogólnie mówiąc, religia chińska jest mieszaniną trzech wielkich sekt, które dzisiaj tak są z sobą ściśle połączone, iż niepodobna jest ani sklasyfikować, ani zlokalizować, ani też policzyć zwolenników żadnej z tych sekt" [1]. Chińczycy zresztą sami to przyznają; utarte jest tam przysłowie: *San kiao i jen*, tj. „trzy nauki (religie) są tylko jedną".

Taka jest religia chińska w dzisiejszym swym rozwoju; jednakże, jeżeli z pojęć religijnych Chińczyków oddzielimy obrzędy, dokonywane przez cesarza w świątyniach Tien-tang i Ti-tang,

[1] Douglas, *China*, p. 328, 329.

jako nie mające nic wspólnego z ogółem ludu; jeżeli nadto wyłączymy napływowe pojęcia religijne z Indyj — wówczas rzeczywiste tło religii chińskiej sprowadza się do dwu głównych objawów: Chińczycy wierzą w istnienie duchów opiekuńczych, którym oddają cześć najwyższą, i modlą się do dusz zmarłych. Te pojęcia i odnośne obrzędy istnieją dzisiaj i istniały już przed czterdziestu kilku wiekami, jak to wyżej widzieliśmy. Otóż, jeżeli teraz przypomnimy sobie, że główne tło religii murzyńskiej polega identycznie na tych samych objawach i pojęciach, wówczas nasuwa się koniecznie myśl ściślejszego pokrewieństwa między rasą żółtą i czarną, a zarazem otwiera się większa przepaść między temi rasami a rasą białą, potomkami Noego. Przodkowie ludów należących do rasy czarnej lub żółtej, prawdopodobnie najwcześniej oddalili się od Boga, a niezawodnie najdalej, bo zatracili pojęcie Boga. *Rzeczy uczynione* [1], przez które miały być *poznane moc i bóstwo* Stwórcy, *bezrozumne ich serce* zamieniło na samoistne potęgi, tym sposobem *odmienili chwałę nieskazitelnego Boga w podobieństwo obrazu człowieka śmiertelnego, i ptaków, i czworonożnych i płazu.*

Wniosek ten, jakkolwiek ważny i rzucający światło na przebieg pojęć religijnych pierwotnej ludzkości, nie wyjaśnia jednak ściśle przebiegu tych pojęć w Chinach dlatego, że w treściwym poglądzie, jaki daliśmy o religii chińskiej, wspomnieliśmy tylko pobieżnie o obrzędach dokonywanych przez cesarza ku czci Szang Ti, i mimochodem również zaznaczyliśmy doniosłość pojęć religijnych, jakie przebijają się z mów wygłaszanych przez cesarza; otóż, ponieważ ta kwestya ma pierwszorzędne znaczenie musimy o niej pomówić obszernie i z całą ścisłością.

Ks. W. Zaborski.

[1] Św. Paweł „Do Rzymian", I, 21, 22, 23.

CUDOWNY KRZYŻ TRYBUNALSKI

W KATEDRZE LUBELSKIEJ,

według współczesnego rękopisu.

Prawą nawę katedry lubelskiej kończy maleńka, lecz piękna kapliczka, starożytną żelazną kratą od reszty nawy oddzielona. W ołtarzu tej kaplicy, na tle złotem znajduje się dosyć duży krzyż z rzeźbionem z drzewa wyobrażeniem Chrystusa Pana. Na wierzchu krzyża, nad napisem: I. N. R. I., umieszczono wotum — półłokciową tablicę srebrną z napisem BĄDŹ WOLA TWOJA, a po całem tle, na którem krzyż się znajduje, pozawieszano mnóstwo innych wotów srebrnych i złotych, wyobrażających serca, ręce, nogi, osoby klęczące i t. p. Wreszcie framuga ołtarzowa, stanowiąca ramę krzyża, u góry kończy się tablicą z następującym napisem:

KRZYŻ TEN
cudami słynący
za dawnych czasów zostawał
w Trybunale Lubelskim
r. 1794[1] przeniesiony do
Kollegiaty Ś. Michała
1832 w tej kaplicy umieszczony
Jezu Chryste zmiłuj się nad nami.

[1] Jak się niżej przekonamy, data ta jest mylna; właściwa data jest rok 1727. Trybunały lubelskie były rozwiązane 1793 r. i tą zapewne okolicznością kierował się autor napisu, oznaczając datę przeniesienia tego krzyża.

Jak więc powyższy napis świadczy, jest to krzyż cudowny, z dawnego lubelskiego trybunału przeniesiony, a stąd powszechnie trybunalskim zwany i przez wszystkich największą czcią otaczany. Do dnia dzisiejszego mieszkańcy Lublina i okolic w swych nieszczęściach przed nim gorące zanoszą modły, przed nim składają Bogu dziękczynienia za otrzymane dobrodziejstwa, i prawie każdy Lublinianin zapytany opowie o nim następującą, na tle przedajności sądów, która w ostatnich czasach istnienia Rzeczypospolitej tu i ówdzie się przejawiała, osnutą legendę.

Dawnemi czasy w ziemi podlaskiej, w sąsiedztwie z pewnym magnatem, mieszkała uboga wdowa, posiadająca jedyną lichą wioszczynę. Magnatowi podobała się wioseczka wdowy, a że inaczej nabyć jej nie mógł, wytoczył wdowie proces o nieprawne posiadanie i, podkupiwszy członków lubelskiego trybunału, pomyślny dla siebie wyrok uzyskał. Gdy ten wyrok ogłoszono, nieszczęśliwa wdowa, oburzona niesprawiedliwością, zawołała wobec sędziów: „gdyby mnie nawet byli djabli sądzili, sprawiedliwszyby od was wydali wyrok“. Ponieważ sumienie kłuło sprzedajnych deputatów, pomimo publicznej obrazy trybunału, nie zapozwano jej na roki, lecz wszyscy sędziowie udali, że słów jej nie słyszeli i rozeszli się spokojnie do zajmowanych przez siebie mieszkań; pozostał tylko sam pisarz ziemi podlaskiej, który miał wyrok do ksiąg zaciągnąć. Praca widocznie nie musiała mu iść sporo, gdyż jeszcze północ zastała go w sali trybunalskiej. Zaledwie ostatnie echo dzwonów zegara, ogłaszającego dwunastą, w oddali skonało, pisarz, pracujący w sądzie, usłyszał turkot kilku zatrzymujących się przed trybunałem karet, a następnie zbliżające się ku drzwiom sali sądowej kroki kilkunastu ludzi. Wreszcie drzwi sali otworzyły się i weszli jacyś nieznani panowie, jedni w kontuszach, drudzy we frakach, wszyscy suto i bogato ubrani, tylko że z rogami na głowach i z ogonami, które się im z pod sukien dobywały. W sali zajęli krzesła: jeden marszałka, drugi prezydenta, inni deputatów — pisarzowi zaś kazali pozostać na miejscu i jak podczas obrad sądowych trzymać pióro. Wtem nowy marszałek nakazał wprowadzić sprawę owej pokrzywdzonej wdowy, której wyrok sądowy właśnie w tej

chwili pisarz zaczął do księgi zaciągać. Przystąpiło zaraz do kratek dwóch djabłów prawników, jeden *pro*, drugi *contra*. Zaczęto roztrząsać na nowo sprawę wdowy, przyczem djabeł prawnik, broniący sprawy strony uciemiężonej, z dziwnym dowcipem i praw naszych znajomością obalił wszystkie kruczki strony przeciwnej, odsłaniając przytem najrozmaitsze nieuczciwe sztuczki, jakie na niekorzyść owej wdowy były użyte. Po ukończonych debatach sąd wydał wyrok, przyznający słuszność wdowie i rozkazał pisarzowi zaciągnąć go do ksiąg zamiast wyroku trybunalskiego; poczem marszałek, prezydent i deputaci, wypaliwszy pod wyrokiem w miejscu podpisów i pieczęci swe kurze łapki, opuścili salę trybunalską. Podczas tej dziwnej sprawy krzyż ten znajdował się w sali posiedzeń trybunału i przybity doń Pan Jezus ze zgrozy, iż djabli sprawiedliwszymi byli, niż trybunał lubelski, w Imię Jego wszystkie sprawy sądzący, zasmuconą twarz swoją odwrócił od ludzi, i oblicza swego narodowi nie pokaże, jak to było objawione pewnemu pobożnemu Bazylianinowi lubelskiemu, dopokąd naród nie pozbędzie się przedajności w sądach i innych trapiących go występków. Następnego dnia cały trybunał oglądał ten czartowski wyrok i podziwiał sumienną bezstronność, z jaką został wydany, a obawiając się, aby ci panowie z czem gorszem nie przybyli po raz drugi, rozpoznał powtórnie sprawę wdowy i wyrok djabelski potwierdził[1].

Taką legendę opowiada sobie lud o tym krzyżu. Dlaczego ją do krzyża tego przyczepiono, w to tutaj nie mamy zamiaru wchodzić, ale chcieliśmy, co jest rzeczą prawie nieznaną, na podstawie dokumentów nieulegających wątpliwości[2], wyjaśnić

---

[1] Przytoczoną legendę czytałem kilkakrotnie drukowaną w rozmaitych pismach i słyszałem ją z ust ludu; obecnie mam ją w kalendarzu lubelskim z r. 1870, wydawanym staraniem i nakładem M. Kossakowskiej.

[2] Jest to rękopism z XVIII. w., zawierający kopię urzędowych, zaprzysiężonych zeznań świadków, w sprawie cudowności tego krzyża badanych, prawdopodobnie przez kapitułę b. kolegiaty lubelskiej przed odesłaniem oryginału zeznań biskupowi krakowskiemu sporządzony. Obejmuje on XVIII i 53 stron *in folio*, tytuł zaś nosi: „Zeznania trzydziestu dwóch świadków wobec Delegowanych Komisarzów przez Andrzeja Stanisława Kostkę Załuskiego, Biskupa Krakowskiego, o Cudownym Krzyżu Trybu-

rzeczywistą przyczynę, dla której krzyż ten uważany jest za cudowny.

Znajdował się on w sali „ustępowej“, tj. w sali, do której na czas naradzania się trybunału nad wyrokiem w sali posiedzeń, wychodziły strony z adwokatami i publicznością. Wisiał nad drzwiami do izby sądowej [1] jeszcze na ratuszu drewnianym [2], budowanym przez Jana Zamojskiego, hetmana W. i kanclerza, lub przez syna jego Tomasza [3], i pomimo, że od najdawniejszych czasów woźni trybunalscy lampę przed nim palili [4], do 1727 r. niczyjej na siebie nie zwracał uwagi. Zainteresowano się nim dopiero z następującego powodu. W roku 1727, dnia 9 maja, gdy w Lublinie odbywał się trybunał pod laską marszałkowską Franciszka Salezego na Złotym Potoku Potockiego, wówczas jeszcze starosty bełskiego [5], podczas „ustępu“, tj. naradzania się sędziów nad wyrokiem, woźny trybunalski, Chadorowicz, szepnął coś oczekującemu w sali ustępowej na wprowadzenie swej sprawy [6], ks. Byszewskiemu, kanonikowi poznańskiemu, a ten, spojrzawszy na wiszący krucyfiks, zaraz „tubalnym głosem“ do otaczających zawołał: „Mości Panowie, oto Krucyfiks płacze“, a następnie, „zakołatawszy mocno do Izby Sądowey, ze wszystkiemi prawie Arbitrami *sive* Pacyentami wpadł y sam naypierwszą czynił relacyą Prześwietnemu Trybunałowi“ [7]. „Relacya“ ta ks. By-

---

nalskim w r. 1753 złożone i krótką wiadomością historyczną o tymże Krzyżu cudownym, dawniej w Kościele św. Michała, obecnie w Kościele Katedralnym św. Jana w Lublinie przechowanym — w r. 1878 napisaną — poprzedzone“. Wiadomość historyczną, zeznania poprzedzającą, napisał ks. A. W. — W niniejszej rozprawce jedynie na ten rękopism powoływać się będziemy.

[1] Józef Nieprzycki: „Widziałem... na ratuszu podczas ustępu w przysionku nade drzwiami Izby Sądowey Krucyfix Ukrzyżowanego Jezusa in Anno 1727“, str. 18; St. Sośnicki, str. 19.

[2] Bobrzykowicz: „Krucyfix od dawnych lat będący jeszcze w drewnianym Ratuszu“, str. 34.

[3] Str. III.

[4] Sośnicki, str. 19; ks. Rajski, str. 33.

[5] Ks. Janowski, str. 10.

[6] Dunin Karwicki, str. 8.

[7] Ks. Janowski, str. 10; Sośnicki, str. 19; Nieprzycki, str. 46, i prawie wszyscy inni.

szewskiego sprawiła ogromne zamieszanie w sali obrad. Marszałek z deputatami pospiesznie opuścili swe miejsca i wybiegli do sali ustępowej, by się naocznie przekonać o rzeczywistości komunikowanego zdarzenia [1]. Tu wszyscy ze zdziwieniem ujrzeli, że z oczu Ukrzyżowanego Zbawiciela płynęły łzy, spadając na Ciało Jego święte [2], — „w kąciku zaś oka prawego błyszczała łza duża jak wielogroch y iasna iak dyament“ [3].

Wieść o tem cudownem zdarzeniu, które trwało przez pewien dosyć długi przeciąg czasu, z izby trybunalskiej przeniknęła na ulicę i lotem błyskawicy obiegła miasto. Lud, wołając, „że Pan Jezus, na ratuszu lubelskim nad drzwiami, przy Sądowey Prześwietnego Trybunału Koronnego Izbie, iak niegdy nad miastem Jerozolimą płacze“ [4], zaczął się zbiegać pod trybunał i cisnąć do sali, by na własne oczy oglądać cud dotąd niewidziany [5]. Tymczasem członkowie trybunału i obecni, po ochłonięciu z pierwszego wrażenia, nie chcąc od razu przyjąć faktu, może z naturalnych wypływającego przyczyn, za cudowny [6], postanowili zbadać go w najdrobniejszych szczegółach. Rozkazali więc przynieść drabiny i po nich, jak sami, tak i obecni wchodzili do krzyża i z blizka płynącym łzom się przypatrywali [7]. Wreszcie ks. Kamecki, kustosz i deputat krakowski, wszedłszy na drabinę,

---

[1] Ks. Janowski, str. 10: „Cały Prześwietny Trybunał wyszedł na salę ustępową“; Sośnicki, str. 19: „Wszyscy zbiegli się do Krzyża“.

[2] Ks. Janowski, str. 10: „Y widział (cały trybunał) *Guttas Lacrymarum per Corpus scatentium*“; Dunin Karwicki, str. 8: „Ia sam, iakom przysiągł, tak przyznaię *corde puro et conscientia recta*, żem widział w prawem oku łzy, iako iakie dyamenty świecące się y od spadaiących łez widziałem y oglądałem ścieżki na samym Ciele Krucyfixa, między prochem y kurzem wydrążone“; Bogatko, str. 16; Tarkowski, str. 17, i inni.

[3] Jeliński, str. 28; Leszczyński, str. 21.

[4] Ks. Burnet, str. 28.

[5] Ks. Czabajski, str. 23.

[6] Ks. Czabajski, str. 23: „Wkrótce zaś wokowani byliśmy na Ratusz, gdzie był I. O. Trybunał, przypatruiący się tey Wizyi, różne dając sentymenta“.

[7] Jakubowski, str. 30: „Niedowierzaiąc z dołu (łzom widzianym), wszedłem na drabinę, która stała przy Krucyfixie, a pilnie się przypatruiąc, toż samo widziałem“; ks. Janowski, str. 10.

otarł puryfikaterzem płynące łzy [1] i rozkazał, „aby ślusarze czyli kowale od muru krzyż odbili“, lecz „ci, położywszy swoie instrumenta, pokornie wymawiali się, że my znamy się być niegodnymi, niech kto inszy na siebie tę funkcyą weźmie, my damy czego do tego potrzeba. Iakoż tak się stało, bo dali młotów y inszych żelaz, do tego należących; I. W. Imci Xiądz Serakowski rzekł do Imci Xiędza Chlebowskiego, który był Archidyakonem y Deputatem z Kapituły Chełmskiey na ten czas: Mości Xięże Chlebowski, WMości Pan tu iest gospodarz, niech kto z Ichmościów Xięży młodszych idzie na drabinę“ [2]. Na skutek rozkazu ks. Chlebowskiego weszli na drabinę księża Czabajski i Piotrowski, obaj wikaryusze kolegiaty lubelskiej, powyciągali gwoździe, któremi krzyż do ściany był przytwierdzony i, zniósłszy go z największem uszanowaniem na dół, złożyli w ręce księży deputatów [3]. Okazało się, że krzyż cały okryty był grubą warstwą kurzu i pajęczyny, i że na twarzy i piersiach Chrystusa znajdują się wyżłobienia w kurzu, które, spadające z oczu i płynące po ciele, łzy poczyniły [4]. Przedewszystkiem wszyscy obecni [5] obejrzeli owe wyżłobienia, następnie zaś z największą ścisłością zaczęto badać najprzód ścianę, na której wisiał krucyfiks, czy nie przepuszcza wilgoci, a później głowę Ukrzyżowanego, czy nie mieści w sobie jakiej maszynki do wydawania łez; lecz ściana była sucha, a w głowie nic nie wykryto. „Oglądał cały Trybunał, wszyscy Pacyenci y co tylko mogło bydź na ten czas ludzi na Ratuszu, ieżeli zkąd iakiego humoru nie było aplikowanego, ale uznawszy za rzecz cudu niepoiętego, obtarszy z prochu, tenże Krzyż wniesiono do Kaplicy Ratuszney

[1] Bogatko, str. 16; ks. Czabajski, str. 23: „Puryfikaterz ten zwilżony wielu świadków oglądało, lecz gdzie podziano, nie wiemy“.

[2] Ks. Czabajski, str. 23.

[3] Ks. Czabajski, str. 23.

[4] Ks. Jankowski, str. 10: „Cały Krucyfix *alias Corpus* kurzem wielkim, *alias* prochem y paięczyną był mocno przykurzony, tylko *in Corpore signa,* to jest *rivuli,* ktore *scatentes guttae* poczyniły“; Tarkowski, str. 17; Dunin Karwicki, str. 8, i inni.

[5] Ks. Jankowski, str. 10: „ktory (krucyfiks) sprowadzony na dół oglądaliśmy“; Tarkowski, str. 17; ks. Burnet, str. 29.

za zamek dobry y gruntowny, w którey Kaplicy był dni kilka“ [1]. „Cały Prześwietny Trybunał oglądał y *respective* rewidował *totum Corpus* y Głowę Krucyfixa, ale żadnego nie uznał artyficialnego akkomodowania ludzką ręką do tey tak straszney wizyi, y owszem ten Krucyfix był wielce paięczyną y kurzem, *alias* prochem mocno przykurzony“ [2]. Otóż wskutek tych badań wszyscy obecni uznali, że łzy te w cudowny sposób były wywołane; księża więc obecni, gdy nic innego pod ręką nie mieli, swemi płaszczami krzyż z kurzu i pajęczyny obtarli [3], i ze czcią przenieśli go do kaplicy trybunalskiej, opatrzonej mocnemi zamkami, a umieściwszy go w ołtarzu i zapaliwszy lampy i świece przez lud przyniesione, odmówili pewne modlitwy [4]. W kaplicy tej krzyż cudowny zaledwie dni kilka pozostawał, a to z tej przyczyny, że świeckie duchowieństwo kolegiaty lubelskiej, chcąc uprzedzić zakonników, starających się u trybunału o pozwolenie przeniesienia tego krucyfiksu do jednego ze swych kościołów, zabrało go do kolegiaty św. Michała. Przeniesienie to odbyło się w następujący sposób. Kapituła kolegiaty lubelskiej pomiędzy deputatami trybunału miała życzliwych sobie: Jacka Stoińskiego, sędziego ziemskiego, Felicyana z Targowiska, podsędka ziemskiego, i Kazimierza Suffczyńskiego, pisarza ziemskiego, pod zarządem których zostawała kaplica trybunalska i którzy klucz od niej przechowywali. Ci tedy panowie oddali klucz od kaplicy ks. Mikołajowi Antoniemu Janowskiemu, kanonikowi łuckiemu, dziekanowi i oficyałowi lubelskiemu, oświadczając, iż nic nie mają przeciwko temu, by krzyż przeniesiono do kościoła św. Michała, jak tylko deputaci trybunalscy opuszczą Lublin [5]. Zbliżająca się uroczystość Zielonych Świątek rozproszyła wielu deputatów, a przez to samo przyspieszyła wykonanie zamiaru kapituły kolegiackiej. Dnia 13 maja, tegoż 1727 roku, ks. Walenty Chlebowski, proboszcz chełmski, archidyakon kolegiaty lubelskiej,

[1] Tarkowski, str. 17.
[2] Dunin Karwicki, str. 8; Bogatko, str. 16; Burnet, str. 29, i inni.
[3] Ks. Czabajski, str. 24.
[4] Leszczyński, str. 22; Czabajski, str. 24.
[5] Ks. Janowski, str. 11.

wówczas deputat na trybunał z kapituły chełmskiej, wraz z ks. Janowskim o świcie zebrali duchowieństwo kolegiackie do skarbca kościoła św. Michała i tu ks. Chlebowski oświadczył zebranym, że w danej chwili jest najdogodniej zabrać cudowny krucyfiks do kolegiaty, gdyż zakonnicy zbyt naprzykrzają się o niego członkom trybunału, i że na to posiada właściwe pozwolenie [1]. Następnie tenże ks. Chlebowski rozkazał wziąć parę kościelnych obrusów i pójść z sobą na ratusz. Gdy tam wszyscy zebrani przybyli, ks. Janowski otworzył kaplicę posiadanym przez się kluczem, zdjęto krzyż z ołtarza, owinięto w przyniesione obrusy, ks. Czabajski wziął go pod pachę i w towarzystwie reszty księży przeniósł do kolegiaty, bardzo blizko od trybunału położonej. Po przeniesieniu najprzód umieszczono krzyż ten w ołtarzu Pana Jezusa Miłosiernego, dokąd zaraz ks. Czabajski wyszedł ze Mszą świętą, prymaryą zwaną, a w jakiś czas później w ołtarzu św. Elżbiety, w kaplicy złotników lubelskich, gdzie pozostawał aż do chwili fundowania dlań pięknego, w całości złoconego ołtarza, przez Jana Fryderyka na Kodniu Sapiehę, późniejszego W. kanclerza W. Ks. Litewskiego [2].

Gdy tylko rozeszła się wieść o przeniesieniu cudownego Pana Jezusa trybunalskiego do kolegiaty św. Michała, lud tłumnie zbierać się tu zaczął, szczególnie zaś zbiegali się ci, którzy mieli w trybunale sprawy dobre ale zawiłe i wskutek tego niepewne. Oblegając ołtarz, błagali oni Zbawiciela, by umysły sędziów oświecić raczył, wskazując im, po czyjej stronie znajduje się słuszność. I widocznie uzyskiwali to, o co prosili, skoro utrwaliło się między współczesnymi przekonanie, że byle sprawa była słuszna, złożywszy jakąś ofiarę na lampę, płonącą przed ołtarzem tego krucyfiksu, można było być pewnym wygranej [3]. Nabożeństwo do krzyża trybunalskiego jeszcze bardziej się wzmogło, gdy Chrystus Pan modlącym się przed tym Jego wizerunkiem zaczął obficie łaski swe szafować. Tu przybywa schorowany

[1] Ks. Czabajski, str. 24.
[2] Ks. Janowski, str. 12—13; ks. Czabajski, str. 24—25.
[3] Ks. Bobrykowicz, str. 35.

książę Teodor Lubomirski, wówczas starosta spiski, a później wojewoda krakowski, i powraca cudownie uzdrowiony, zawiesiwszy na ołtarzu piękne złote wotum [1]. Tu odzyskuje zupełnie zdrowie Jan Fryderyk na Kodniu Sapieha, W. kanclerz W. Ks. Litewskiego, i buduje na znak wdzięczności prześliczny ołtarz, cały złocony, dla tego krzyża [2]. Modlitwa do Chrystusa, słynącego cudami w tym krucyfiksie, przywraca władzę w uschłej nodze ks. Janowskiemu [3]. Jęk niedawno cudownie uzdrowionej matki Teresy Kaszuckiej: „Ukrzyżowany Iezu, który iesteś Cudowny przy Kollegiacie, iakom ia z łaski Twoiey Nayświętszey z śmiertelney choroby moiey zdrowa wstała y żyię, tak Ci to dziecię moie ofiaruię y żebrzę miłosierdzia Twego, abyś mu życie raczył przywrócić“ [4] — wskrzesza już zmarłe dziecko. Woźny trybunalski, Chadorowicz, przed ołtarz tego cudownego krzyża niesie dwóch zarażonych powietrzem członków swej rodziny, i gdy polecił ich Panu Jezusowi i ślub pewien uczynił, zdrowych do domu prowadzi [5]. Michał Babicki, ławnik lubelski, niesie do kaplicy tego krzyża, oślepłego wskutek ospy i niepewnego życia syna, a po odprawionej na jego intencyę Mszy św. odnosi do domu zdrowego i widzi go później kapłanem [6]. Tu w oczach księdza Michała Antoniego Niewęgłowskiego ślepy od urodzenia, podczas Mszy św., na jego intencyę odprawionej, odzyskuje wzrok w zupełności [7]. Tu wreszcie dzieją się inne liczne cuda

---

[1] Ks. Janowski, str. 13.

[2] Tenże, str. 13. Ołtarz sprawiony przez Sapiehę dla cudownego krzyża, w dniu 26 sierpnia 1832 r. przeniesiony został wraz z krzyżem z kolegiaty dawnej do obecnego kościoła katedralnego. Ponieważ jednak krzyż cudowny umieszczono w ołtarzu w kaplicy dawniej św. Stanisławowi Kostce poświęconej, ołtarz Sapiehowski wstawiono do kaplicy dawniej Matki Boskiej, gdzie są pomniki Klonowicza i W. Pola, i umieszczono w nim obraz św. Michała Archanioła. Wreszcie, kiedy w 1876 r. dokonywano wewnętrznej restauracyi katedry, ołtarz ten przeniesiono na drugą stronę kaplicy i umieszczono w nim obraz Matki Boskiej.

[3] Ks. Janowski, str. 14.

[4] Teresa Kaszucka, str. 30.

[5] Ks. Bobrykowicz, str. 35.

[6] Babicki, str. 29.

[7] Ks. Niewęgłowski, str. 37.

już nawet w ciągu lat kilkunastu, bo od r. 1727 do 1753, przez świadków pod przysięgą przytoczone, a opuszczone przez nas, by nie rozszerzać zbytecznie tego opowiadania. Nic więc dziwnego, że biskup krakowski, ks. Andrzej Stanisław Kostka Załuski, wydelegował dnia 10 sierpnia 1753 r. komisyę, by zbadała cudowne zdarzenia i przekonała się, czy rzeczywiście, jak o tem powszechnie mówiono, przy krzyżu tym zaszły jakie cudowne uzdrowienia. Komisya ta, złożona z dygnitarzy kościelnych [1], zebrawszy się w dniu 1 grudnia 1753 r. w kolegiacie lubelskiej św. Michała, po odśpiewaniu Mszy do Ducha Św. w przytomności trybunału i tłumów ludu wiernego, przystąpiła najprzód do zrewidowania krzyża, a następnie do zbadania trzydziestu dwóch, wszystkich prawie naocznych świadków [2] opowiadanego przez nas zdarzenia. Zeznania te spisawszy, przesłali biskupowi krakowskiemu, do którego dyecezyi wówczas należał Lublin.

[1] Delegowani byli: 1) Rajmund Jezierski S. T. D. biskup bakkowski, kanonik lwowski; 2) Ks. Hieronim Wielogłowski O. P. D. kanonik krakowski; 3) Ks. Aleksander Trębiński O. P. S. T. D. kanonik lwowski, prepozyt i oficyał chełmski, infułat zamojski, archidyakon lubelski; 4) Ks. Ignacy Święcicki O. P. S. T. D. prepozyt kolegiaty lubelskiej.

[2] Świadkowie badani pod przysięgą: 1) Józef Kajetan Dunin Karwicki, regent kancelaryi królewskiej, marszałek trybunału; 2) Ks. Mikołaj Antoni Janowski, kanonik łucki i oficyał lubelski; 3) Dominik Stoiński, sędzia ziemski lubelski; 4) Wojciech Bogatko, sędzia grodowy winnicki; 5) Maciej Tarkowski, sędzia grodowy nowogrodzki; 6) Michał Kruczkowski, vice-gerens łukowski; 7) Józef Nieprzycki, miecznik żytomirski; 8) Urodzony Stanisław Sośnicki; 9) Wojciech Gołębiowski, vice-gerens grodowy łukowski; 10) Tomasz Leszczyński, vice-gerens grodowy drohicki; 11) Ks. Kazimierz Czabajski, mansyonarz i kanonik lubelski; 12) Szlachetny Michał Kloss, rajca i pisarz J. K. M. Lublina; 13) Szl. Antoni Moradowicz, rajca lubelski; 14) Szl. Józef Jeliński, rajca lubelski; 15) Ks. Ludwik Burnet, kantor kolegiaty lubelskiej, prepozyt Św. Ducha; 16) Michał Babicki, ławnik lubelski; 17) Szymon Jakubowski, ławnik lubelski; 18) Szlach. Augustyn Baur, rajca Lublina; 19) Teresa Kaszucka, obywatelka Lublina; 20) Franciszek Cyryna, sędzia ziemski nowogrodzki; 21) Michał Jaślikowski, stolnik czernichowski; 22) Grzegorz Potoczyński, regent grodowy stężycki; 23) Józef Sięgniew Słotwiński, skarbnik owrucki; 24) Ks. Michał Jan Bobrykowicz, archidyakon chełmski, kanclerz lubelski, prepozyt w Łęczny, proboszcz w Kijanach; 25) Ks. Wawrzyniec Rajski, mansyonarz zamkowy, kanonik lubelski; 26) Aleksander na Suchodołach Mężyński, chorąży żytomirski; 27) Szlach. Grzegorz Faruchowicz, burmistrz miasta J. K. M. Lublina;

Jakie było w tym względzie zdanie biskupa krakowskiego, nie wiemy, gdyż rękopis nasz oprócz powyższych zeznań świadków i jednego jeszcze dokumentu oryginalnego, o którym wspomnimy niżej, nic więcej nie zawiera. Autor przedmowy[1] do tego rękopisu twierdzi, że gorliwsi kapłani i osoby świeckie z powodu coraz nowych cudów, jakie przy krucyfiksie się działy, powzięli zamiar starać się u Stolicy Apostolskiej o uznanie publiczne cudowności trybunalskiego krzyża; że poczyniono nawet w tym celu pierwsze kroki, lecz że, czy to ówczesny niepomyślny stan kraju, czy też inne jakie przyczyny, sprawę tę puściły w odwłokę. Przez lat kilka nawet krzyż, chociaż i zawieszony w ołtarzu, pozostawał zasłonięty i dopiero na prośby kapituły kolegiaty lubelskiej, ogółu duchowieństwa i ludności katolickiej miasta Lublina, Kajetan Ignacy Sołtyk, biskup krakowski, w dniu 21 stycznia 1763 roku wydał rozporządzenie, by zdjąć z krzyża zasłonę, przez jego poprzednika, dla pewnych, wówczas istniejących powodów, nakazaną[2]. Co to były za powody, nie wiemy; lecz ta okoliczność, że żaden ze świadków, opisując najdrobniejsze szczegóły, nie mówi nic o tem, nad wyrokiem czyjej sprawy naradzał się trybunał, gdy Pan Jezus do krzyża tego przybity płakał, zdaje się naprowadzać na myśl, że „powodem“ owym do usunięcia z przed oczu publiczności cudownego krucyfiksu, był sam trybunał. Być może, że gdy się stał cud, trybunał lubelski, wówczas już przedajny, jak świadczy rękopiśmienna satyra z owego czasu, wydawał jakiś wyrok niesprawiedliwy; być może, że lud po tym cudzie zaczął głośno mówić o sprzedajności i niesprawiedliwości deputatów trybunalskich; być może, że nawet wówczas powstała legenda, którąśmy na początku przytoczyli, a to wszystko razem mogło

28) Ks. Michał Niewęgłowski, kanonik lubelski, pisarz apostolski i konsystorza lubelskiego, pleban bystrzycki oraz pisarz obecnej komisyi; 29) Ks. Kazimierz Kowalski, wikaryusz kolegiaty lubelskiej; 30) Mikołaj Nieprzycki, cześnik i pisarz grodowy lubelski; 31) Szlachetny Leon Dachnowski, rajca lubelski; 32) Anna Zabieszowiczowa, obywatelka lubelska.

[1] Ks. A. W.

[2] Rękopis, str. 53.

skłonić trybunał, który, jak wiadomo, był wówczas potęgą, do wymuszenia na biskupie krakowskim, by rozkazał krzyż zasłonić i do przeszkodzenia ludziom dobrej woli, w uzyskaniu w Rzymie publicznego uznania krzyża trybunalskiego za cudowny.

Tak więc cudowność tego krzyża jawnie i publicznie przez Kościół uznaną nie była, ale nie wyszedł też żaden dekret, obalający ją, lub w wątpliwość podający. To też lud zawsze oddawał mu cześć, jako cudownemu, i widocznie otrzymywał i dotąd otrzymuje łaski, o które przed nim prosi, skoro i dziś nietylko mieszkańcy Lublina, ale i okolicy, w swych strapieniach i nieszczęściach zwykli u jego stóp błagać Zbawiciela o miłosierdzie.

K. Rawicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Odrodzenie Szląska. Sylwetka pracy narodowej na Szląsku Cieszyńskim, oraz programu na przyszłość... Skreślił *B. K. Świda*. Cieszyn. C. i k. nadworna drukarnia Karola Prochaski. 1894.

Czy kto uważa to za rzecz naturalną, z którą niema co walczyć i po co się gniewać; czy przeciwnie przekonany jest, że trzeba się gniewać, walczyć trzeba; czy komu miło to, czy nie miło — kwestya szląska istnieje już dziś w Austryi, i nie trzeba być prorokiem, aby przewidzieć, że z rokiem każdym stawać się będzie aktualniejszą, ostrzejszą. A kiedy istnieje, kiedy, choćbyśmy nawet chcieli, to do grobu jej nie wtłoczymy, czemuż mamy sobie na nią oczy zamykać; czemuż udawać, że nas nie zajmuje? Niemców, Czechów zajmuje ona bardzo; piszą szeroko o każdej nowopowstałej na Szląsku polskiej szkółce, nawołują do większego zapału i większej ofiarności dla szkół, dla stowarzyszeń czeskich, niemieckich, wrzekomo zalewanych, terroryzowanych przez polską agitacyę; — nam, co najmniej, wiedziećby przynajmniej należało, jakie postępy robi na polskim Szląsku niemiecka i czeska propaganda; zdawać sobie sprawę, czy, co i jak robi się tam z polskiej strony dla ochronienia polskiego żywiołu.

Dotąd — uderzmy się w piersi — wiemy o tem bardzo mało. Więc dowiedzieć się trzeba; — ale skąd? Czy z broszury, której tytuł wypisaliśmy w nagłówku, i która dała nam okazyę do wypowiedzenia paru powyższych uwag? Gdyby broszura ta spełniała, co w tytule zapowiadać się zdaje, byłaby nieocenionej wartości; niestety! choć nie wątpimy, że p. Świda najlepiej znać może stosunki szląskie, przedstawić ich dość jasno a zarazem wyczerpująco nie umiał. Kto skąd-

inąd już wiedział coś o akcyi zainaugurowanej przez Stalmacha i jego towarzyszów, kto spotykał się ze szląskiemi pismami, z broszurami, z kalendarzami wydawanemi w Cieszynie, temu obraz nakreślony przez autora, może ostatecznie posłuży do pewnego uregulowania na chybił-trafił zebranych poprzednio wiadomości. Lecz wieluż takich szczęśliwych? Wieluż z tych nawet, co o miedzę ze Szląskiem mieszkają, widziało kiedy *Gwiazdkę Cieszyńską*, spotkało się z „Posłem związku szląskich katolików", słyszało o istnieniu „Towarzystwa pomocy naukowej dla Księstwa Cieszyńskiego", o działalności „Dziedzictwa błog. Jana Sarkandra"? Teraz dowiedzą się od p. Świdy tytułów tych pism, nazw tych stowarzyszeń, ale też niewiele więcej od nazw i tytułów. Dowiedzą się, że na cieszyńskim Szląsku walczą ze sobą czeskie, niemieckie i polskie wpływy; ale napróżno staraliby się zasięgnąć dokładniejszego języka o początku tych walk, dziejach ich i kolejach. Niejeden nadto, doczytawszy się pewnych, nieco dziwnie brzmiących, a przynajmniej bardzo zawiło wyrażonych, społecznych teoryj autora, których w każdym razie najlepiejby było w tego rodzaju broszurze zupełnie nie poruszać, kładzie i tam znak zapytania, gdzie skądinąd kłaśćby go zupełnie nie potrzebował. Niejeden znowu, zrażony nudnym sposobem przedstawienia rzeczy, niezgrabnym, a co gorsza pretensyonalnym i stąd czasem wprost niezrozumiałym stylem, odkłada na bok broszurę z uczuciem zawodu, które, bez wątpienia nie logicznie, ale zbyt łatwo z formy przechodzi na treść, z książki na sprawę.

Czy pomimo wszystkich tych braków p. Świda nie ma żadnej zasługi, czy lepiejby było, gdyby swej broszury nie wydał? Bez wątpienia — nie! To co na sąsiednim Szląsku się dzieje, tak mało nam jest znane, kwestyą szląską tak mało się kto u nas zajmuje, że każdy najdrobniejszy przyczynek w tej mierze, nie jest bez znaczenia, bez ceny. Tylko powiedzieć sobie trzeba, że świeżo wyszła broszura jest istotnie drobnym przyczynkiem, i że nikomu z tych, którzyby mogli i chcieli podać nam jakie wiadomości o Szląsku cieszyńskim, wymawiać się nie wolno: Już taka praca istnieje!

Dzieła dramatyczne Williama Shakespeare. W dwunastu tomach. Przekład *L. Ulricha*, z objaśnieniami J. I. Kraszewskiego. Tom I. Wydanie nowe, z rycinami tytułowemi. Kraków. G. Gebethner i Sp. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1895. (Str. 367).

Dotąd Szekspir był u nas drogim i rzadkim specyałem. Kto po angielsku nie umiał i w oryginale czytać go nie mógł; komu zimno

się robiło na samą myśl o studyowaniu angielskiego poety w tak nieraz niepoetycznych, niedokładnie właściwą myśl oddających tłumaczeniach niemieckich, francuskich; komu z drugiej strony nie zanadto wypchana portmonetka ani marzyć nie dozwalała o wspaniałem tłumaczeniu polskiem, dokonanem przez Koźmiana, Paszkowskiego, Ulricha — ten w pokorze ducha zadowolnić się musiał wiadomościami czerpanemi z drugiej ręki. I Bogiem a prawdą, niemała część zupełnie wykształconych ludzi, dość często nawet o Szekspirze mówiących, cytujących czasem niektóre jego zdania, zaczerpnięte zeń przysłowia, zadawalnia się takiemi wiadomościami z encyklopedyj, z dziennikarskich sprawozdań, dobrze, jeśli z poważniejszych przeglądów, literaturze poświęconych książek. Teraz, kto rości sobie prawo do nazwy człowieka wykształconego, kto o Szekspirze mówi, a może o nim i sądy wydaje, nie będzie już mógł mieć wymówki, jeśli nie zapozna się choć z kilkoma najznakomitszemi jego utworami. Nowe wydanie, którego pierwszy tom mamy pod ręką, czyni zadość wszelkim potrzebom i wymaganiom. O wartości tłumaczenia rozwodzić się nie potrzebujemy, boć tłumaczenie to nie nowe, a jego piękność i wierność wielokrotnie przez kompetentnych sędziów została uznana. Na co zwracamy uwagę, to że druk i papier bardzo przyzwoity, ryciny tytułowe, położone przed każdym dramatycznym utworem, wcale niezłe, a co najważniejsza, cena bardzo przystępna i dla mniej zamożnych kieszeni. Wszystkie dzieła, obrachowane na 12 tomów, kosztować będą — jak dowiadujemy się z ogłoszenia w *Przewodniku bibliograficznym* — tylko 8 złr.; nadto wydawcy robią to niemałe ułatwienie, iż każdy tom kupować można osobno po cenie 1 złr. W całem więc słowa znaczeniu jest to wydanie „popularne“, które, nie wątpimy wprawdzie, że i materyalnie się opłaci, ale którem, w każdym razie, krakowsko-warszawska firma dobrze się polskiemu społeczeństwu zasłużyła.

B.

Kościuszko. Życiorys z dokumentów wysnuty przez *K.* Odbitka z tomu IV. „Albumu Muzeum Narodowego w Rapperswylu“. Kraków 1894. (Str. 691).

W setną rocznicę powstania z r. 1794 otrzymaliśmy obszerną monografię naczelnego wodza narodu, usiłującego z orężem w ręku ratować się przed zagładą polityczną. Rok ten obchodów smutnego ostatecznie wypadku nie poszedł na marne, nie przebrzmiał bez echa i trwalszych następstw w poważnej dziedzinie wiedzy. Pan K., zdra-

dzający w swej pracy wytrawnego historyka, obdarzył społeczeństwo nasze rzeczą, osnutą na wszechstronnem zbadaniu źródeł, na jakiej dotąd zbywało naszym dziejom porozbiorowym. Najpoważniejsi historycy zatrzymywali się przed tą epoką łez i niedoli, jakby rażeni ogromem piętrzących się trudności do jej gruntownego i wszechstronnego zbadania. Na niwie, nietkniętej prawie poważnem piórem dziejopisa, rozwielmożniły się natomiast szeroko pamiętnik i pamflet, z których krytyka historyczna tylko z wielkim mozołem będzie wydobywać ziarna prawdy.

Pan K. rozpoczął szereg badań z najnowszego okresu dziejów naszych od tej pięknej postaci, którą nazwać możemy „arką przymierza między dawnemi i nowemi laty". Urodzony wśród drobnej szlachty litewskiej, żyjącej jeszcze tradycyami epoki saskiej, uczuciami i wyobrażeniami swemi należał Tadeusz Kościuszko do Polski nowej, podnoszącej się z upadku moralnego i politycznego, a gdy usiłowania te pozostały bezowocnemi, umiał wytrwać niezachwianie w wierze w lepszą przyszłość narodu, wespół z najdzielniejszymi przedstawicielami pokoleń porozbiorowych.

Życiorys „Kościuszki" składa się z dwunastu rozdziałów, a oprócz tego znajdujemy tam jeszcze osobny rozdział, poświęcony „dowodom i dodatkom", dalej rodowód Kościuszków, siedm *facsimiliów*, dziewięć map i planów i trzy ryciny. Jednem słowem książka wyposażona we wszystko, co się tylko przyczynić może do wyjaśnienia i zrozumienia tekstu opowiadania. Wyjątkową prawie łaską losu, przechował się obfity materyał archiwalny do historyi rodu Kościuszków-Siechnowickich, jakiego brak częstokroć do poznania przeszłości rodów o wiele możniejszych i zasłużeńszych w Rzeczypospolitej. Z niego to korzystał autor „Kościuszki" w całej pełni, aby pojąć i przedstawić należycie „fizyczną i duchową naturę bohatera ginącej Polski". Pierwsze trzy rozdziały poświęca on rodowi, rodzicom i ojcowiźnie Tadeusza Kościuszki, aby na tem tle o wiele wyraziściej, ze wszystkiemi właściwościami duchowo-moralnemi i fizycznemi zarysowała się postać najsławniejszego z rodu Kościuszków-Siechnowickich. Widoczne w tem naśladownictwo H. Taine'a, który, chcąc poznać geniusz i poczucie estetyczne „wielkiego budowniczego" nowożytnej Francyi, sięgnął w odległe wieki, do jego antenatów włoskich w linii męskiej i żeńskiej.

Aczkolwiek znającemu nieco dokładniej przeszłość szlachty litewskiej, ruskie pochodzenie Kościuszków nie było czemś nowem, to jednak niezbite tego dowody złożył dopiero pan K. w odnośnym roz-

dziale swej książki. Protoplastą rodu i dawcą nazwiska był Konstanty, syn Fedora, sędzia i horodniczy kamieniecki, zwany po rusku Kostiuszkiem Fedorowiczem, o którym są wzmianki w aktach wielkoksiążęcych z r. 1509 i 1546. Otrzymał on od Zygmunta I. wieś Siechnowicze i nazwał się Siechnowickim, herbu *Roch tertio*. Wieś Siechnowicze w tych rozmiarach, w jakich otrzymał ją Konstanty Fedorowicz, nie stanowiła oczywiście fortuny magnackiej, lecz szlachecką. Obecnie obszar ten rozdzielił się na pięć wsi, z których dwie tylko: Czuryłowszczyzna i Zielenkowszczyzna są jeszcze w posiadaniu tejże rodziny. Z bojara ruskiego stał się zatem Konstanty (Kostiuszko) Fedorowicz szlachcicem polskim, a wdzięczni potomkowie zachowali w swem nazwisku jego imię chrzestne. Polityka Zygmunta Augusta, polonizująca szybko Litwę, okazała się nader skuteczną na rodzie Kościuszków-Siechnowickich.

Nie będziemy tutaj wraz z autorem zastanawiać się nad szeregiem przodków Tadeusza Kościuszki i kolejami, jakie przechodziła ich fortuna, zwłaszcza, że — pomimo całego uznania dla przyjętej od Taine'a metody — nie możemy dopatrzeć się tego wpływu, jaki ruskie pochodzenie lub otoczenie mogły wywrzeć na charakter lub przekonania bohatera ginącej Polski. W r. 1746 z ojca Ludwika Tadeusza, miecznika brzeskiego, i Tekli z Ratomskich, urodził się we wsi Mereczowszczyźnie Andrzej Tadeusz Bonawentura Kościuszko, naczelnik narodu w ostatniej walce o zachowanie bytu politycznego. Większy zapewne wpływ od całego szeregu przodków wywrzeć nań musieli rodzice: pożycie ich małżeńskie było bardzo dobre, a rządność i gospodarność niezwykła, jak na czasy drugiego Sasa. Ojciec trzymał od Piotra Sapiehy w zastawie Mereczowszczyznę, gdzie się mu prawie wszystkie dzieci urodziły, a następnie odkupił połowę dziedzicznych Siechnowicz. Miecznik brzeski cieszył się powszechnem poważaniem w swem województwie, używany był do pośredniczenia w różnych interesach, a żadne brudne wspomnienie nie łączy się z jego imieniem z czasów ówczesnego smutnej pamięci sejmikowania. Dom rodziców Naczelnika był gościnny i licznie nawiedzany. Dzień, miejsce i okoliczności zgonu ojca Tadeusza Kościuszki nie są wcale znane. Do bajki, puszczonej przez Leonarda Chodźkę, a powtarzanej później niejednokrotnie, jakoby był zabity przez swych poddanych, pan K. wiary żadnej nie przywiązuje, jak wogóle wobec wszystkich tych legend, czepiających się zarówno osoby Kościuszki, jak i tylu innych zasłużonych ludzi, zachowuje się nader sceptycznie. W aktach mówi się

o ojcu Tadeusza, jako w „Bogu zeszłym", a legata, od których synowie płacili procenta, świadczą dowodnie, iż pozostawił jakiś testament. Uczciwość ojca — powiada autor — osłoniła przed oczami Tadeusza Kościuszki demoralizacyę polityczną szlachty, a przykład ojca obudził w nim upodobanie do zawodu wojskowego. Wdowa po mieczniku brzeskim wzięła się energicznie do prowadzenia interesów; prawa zastawu na Mereczowszczyźnie, sprawiające jej tyle kłopotów, sprzedała Flemingowi. Po wydaniu zamąż i wyposażeniu córek, wiodła w dziedzicznych Siechnowiczach żywot spokojny. Wpływu matki na syna autor nie może się jednak nigdzie dopatrzeć. Zdaje się, iż czulszą była dla starszego syna Józefa, pomimo to — według świadectwa jednego z krewnych — „równie i przezornie ich oporządzała".

Nie w ciasnem otoczeniu familijnem i sąsiedzkiem stał się jednak Tadeusz Kościuszko tem, czem go później widzimy. W stronach rodzinnych upłynął mu wiek dziecinny i pacholęcy. Uczył się najprawdopodobniej u OO. Jezuitów w Brześciu Litewskim, gdzie Ojcowie utrzymywali szkołę z kursem filozofii i teologii; dowodów jednak na to nie mamy, ani nawet żadnej wzmianki piśmiennej o jego pobycie w szkołach brzeskich nie znajdujemy. Ojciec Tadeusza utrzymywał dobre stosunki z Jezuitami: był sodalisem Maryi, w pobliżu ich kolegium w Brześciu posiadał domek, a w testamencie wyróżnił korzystnie OO. Jezuitów, zapisując im 2500 złp., podczas gdy innym zakonom zapisał tylko po 1000 złp. Wpływów wychowania w kolegium brzeskiem w dalszem życiu nie znać wcale. Może uwielbienie dla Tymoleona, o którem sam wspominał w latach późniejszych, jako pochodzącem z lat dziecinnych, wyniósł z czasów pobytu w tamecznem kolegium. Więcej wspomnień pozostało w pamięci Kościuszki z korpusu kadetów w Warszawie, do którego wstąpił w 19 roku życia, a opuścił go po czterech latach pobytu. Kierunek wychowania w tym zakładzie, patryotyczny z jednej, a postępowy w pojęciu wieku XVIII. z drugiej strony, wpłynął na urobienie charakteru i pozostawił niezatarty ślad na umyśle.

Pan K. przechodzi w porządku chronologicznym wszystkie koleje życia Tadeusza Kościuszki, szukając dla nich głębszej podstawy, jakiegoś tła szerszego, na którem lepiej mogłoby się uwydatnić nietylko jego stanowisko lub tryb postępowania w pewnych wypadkach, lecz zarazem serce i charakter. To też nietylko uwzględnia wszelkie możliwe stosunki współczesne, lecz się cofa niekiedy w oddaloną przeszłość. Na tę ostatnią zapatruje się z oryginalnego punktu widzenia, częstokroć dyametralnie przeciwnego poglądom historyków, objętych

nazwą szkoły krakowskiej czyli właściwiej mówiąc krytycznej. Ze szkołą krytyczną ma pan K. wspólną niechęć do wszystkich objawów anarchii polskiej, wiodących nas stopniowo do utraty bytu politycznego; lecz niewytłumaczonem prawie przeciwieństwem żywi najczęściej niechęć ku tym, którzy szukali na złe środków zaradczych. Przedmiotem jego zgryźliwych uwag są takie postacie dziejowe, jak królowa Marya Ludwika, jak przywódcy stronnictwa familii, jak Ignacy Potocki, ks. Adam Czartoryski *(junior)*, jak wogóle ci wszyscy, co próbowali zrobić coś dla ojczyzny, garnąc się pod sztandary Napoleona lub wchodząc w plany Aleksandra I. Autor „Kościuszki“ radby widzieć w nich tyle przezorności i doświadczenia politycznego, ile ich chyba dzisiaj mieć można, wyniósłszy takowe „z doświadczeń powodzi“. Pan K. stawia właśnie Kościuszkę dlatego tak wysoko, iż nie uwierzył na słowo ani genialnemu zdobywcy i pogromcy królów, ani dał się pochwycić na mamidła i obiecanki przebiegłej polityki Aleksandra. Wyznać jednak musimy, iż ogółem poglądy jego na przeszłość naszą odznaczają się trzeźwością i krytycznością, a tylko w ocenie pewnych objawów i pewnych postaci z przeszłości idzie zbyt wyraźnie, niekiedy nawet tendencyjnie, za głosem swych osobistych sympatyj lub antypatyj.

Dużo miejsca (od str. 109—176) w życiorysie Kościuszki poświęca pan K. jego pobytowi w Ameryce i walce w obronie niepodległości amerykańskiej, której historyę wplata w tok opowiadania. Przypisuje jej bowiem wpływ decydujący na sposób myślenia Kościuszki, któremu w dalszem życiu pozostał całkowicie wiernym. Poglądy Naczelnika narodu — według pana K. — były skojarzeniem pojęć i przekonań odziedziczonych, tradycyjnie polskich, z amerykańskiemi. Uznawał np. formę rządu republikańską za najlepszą, byle tylko republika nie była ani królewską, ani szlachecką. Tron, pompa monarsza, nie miały dlań żadnego uroku, a wracający do pługa najwyższy urzędnik narodu stał się dla niego ideałem. Wolność pozostała dogmatem, ale dobro narodu, dobro ojczyzny górowało nawet nad wolnością. Niewola murzynów obudziła w duszy jego silne, żywotne, nigdy nie słabnące współczucie dla nich i dla wszystkich ludzi bez różnicy skóry i rasy, a więc tem bardziej dla współziomków chłopów, spętanych więzami poddaństwa. „Nie uznawał — kończy autor swą charakterystykę Kościuszki — przymusu w rzeczach wiary, a więc i Kościoła panującego, czyli inne wyznania gnębiącego *(sic!)*. Nie zapuszczając się w teologiczne rozprawy o szczęściu pośmiertnem, widział najwyższe zadania

urządzeń społecznych w uszczęśliwieniu człowieka tu, na ziemi, wedle I. artykułu deklaracyi kongresu amerykańskiego o niepodległości".

Najwięcej miejsca (od str. 289—454) zajmuje — jak inaczej i być nie mogło — najwyższe naczelnictwo Kościuszki w powstaniu narodowem, które pan K. traktuje z wyczerpującą gruntownością, popierając takową nietylko mapami i planami bitew, lecz drobiazgowemi nieraz obliczeniami, przed każdą znaczniejszą bitwą, siły zbrojnej stron obu. Chociaż przyczynia się to w wysokim stopniu do wyjaśnienia przebiegu i wyniku bitwy, to z drugiej strony wymaga od czytelnika wielkiej cierpliwości w czytaniu. Możeby i lepiej było, aby niektóre z tych obliczeń dały się przenieść do przypiska lub dodatków na końcu książki; poczytność jej mogłaby tylko na tem zyskać, nie roniąc nic ze swej gruntowności. W tekście radzibyśmy widzieć wyniki mozolnych badań, a w dodatkach — cały proceder i wszystkie aparaty naukowe, użyte przy ich osiągnięciu.

Czy ujęty przymiotami serca i wysoce szlachetnym charakterem swego bohatera, nie idzie pan K. za daleko w ocenie jego dziejowego znaczenia? Czy trafnem i wogóle możliwem jest porównanie Tadeusza Kościuszki z „bohaterem wieku" i „bogiem wojen", na którem pierwszy wyszedł oczywiście lepiej od Napoleona? Czyż nie grzeszy pewną przesadą twierdzenie (str. 544), iż Kościuszko posiadał „jedyny od lat dwustu zdrowy, a raczej uzdrowiony mózg polski"? Czyż nareszcie uwzględnianie przedewszystkiem pobudek moralnych, jako kryteryum do oceny wielkich ludzi i doniosłych wypadków politycznych, nie wiedzie do fałszywych wniosków, naruszających równowagę sądu historycznego? Oto są myśli, które nam się nasuwały i zapewne nasuną się każdemu przy odczytywaniu ostatnich rozdziałów „Kościuszki".

Pomimo pewnej jednostronności i pewnych predylekcyj, będących wynikiem zbyt może wybujałego subjektywizmu, książka pana K. jest nader cennym wkładem do naszej literatury historycznej i godnem uczczeniem setnej rocznicy powstania roku 1794.

A. Szarłowski.

Kornel Ujejski. Zarys biograficzno-krytyczny. Napisał *Antoni Bądzkiewicz*. Kraków. Petersburg 1893.

Siedmdziesiąta rocznica urodzin Kornela Ujejskiego, obchodzona w przeszłym roku tak solennie w tej części Polski, gdzie tego rodzaju uroczystości są dozwolone, wywołała kilka prac o autorze „Chorału", o którym w ostatnich czasach nikt nic większego nie napisał, którego

znano, czczono, którym jednak od lat kilkunastu z powodu jego usunięcia się od życia politycznego, z powodu zamilknięcia prawie zupełnego na polu twórczości poetyckiej — mało się zajmowano. Z prac tych i z całej powodzi odczytów, obszernością swoją, a bardziej jeszcze gruntownem i sumiennem obrobieniem, odznacza się i zwraca na siebie uwagę książka p. Bądzkiewicza, znanego literata warszawskiego.

W rozdziale pierwszym swej pracy podaje nam p. Bądzkiewicz życiorys Ujejskiego, przeplatany tu i ówdzie oceną niektórych pism, jakoteż wystąpień publicznych poety.

Trzy były żywioły, pod których wrażeniem rozwijały się w młodości umysł i serce Ujejskiego: Bóg, rodzina i natura, i dla nich zachował on przez całe życie miłość i wierność: jest wierzącym silnie i prawo; rodzinnym uczuciom, rodzicom, matce, siostrze, wujowi, żonie i synowi poświęca swe poezye, w cichem kółku rodzinnem znajduje spokój, ukojenie, do niego się cofa w pewnej epoce swego życia, w niem obecnie przebywa, z niego czerpie często natchnienie do prześlicznych, rzewnych obrazków. Piękna przyroda okolicy, w której ujrzał światło dzienne, nie pozostała również bez wpływu na wyrobienie zmysłu artystycznego poety, pociągnęła go do siebie, zmusiła na siebie patrzeć i stąd te piękne porównania, stąd obrazy natury, malowane krótkiemi a wiernemi, drobnemi a cudownemi pociągnięciami pióra.

Ujejski, urodzony w Boremianach, do szkół chodził początkowo w Buczaczu, potem we Lwowie, gdzie „niegorliwie brał się do nauk; może głównie wskutek wstrętnego ówczesnego systematu edukacyjnego w Austryi“. Rodzice, dbali o wykształcenie syna, nie ograniczali się do nauki szkolnej, lecz przybrali do pomocy nauczycieli domowych, między którymi znajdował się K. Szajnocha. Już w tym pierwszym okresie życia (do roku 1839) pisze młody Kornel drobne wierszyki, które potem sam niszczy. W następnym okresie (do roku 1846) wchodzi Ujejski w świat literacki i towarzyski lwowski, wśród którego spotyka i zaznajamia się z Augustem Bielowskim, Leszkiem Borkowskim i Wincentym Polem; ostatni nazywa go „Benjaminem“, a Kornel odpłaca się autorowi „Pieśni Janusza“ miłością i czcią synowską, wpływu jednak trwałego na twórczość Ujejskiego Pol nie wywarł. W tej epoce powstają, drukowane później (1848—49), „Kwiaty bez woni“ i „Zwiędłe liście“, nacechowane byronizmem i mistycyzmem. Niektórzy, piszący o Ujejskim, nie widzą byronizmu w jego początkowych poezyach; jesteśmy w tym względzie zdania p. Bądzkiewicza; nie przynosi to na-

turalnie ujmy Ujejskiemu, niemożliwem prawie było, aby młody poeta wybił się zupełnie z pod grasującej wówczas choroby.

Opowiadając o pobycie młodego Kornela w Warszawie, nie wspomina p. Bądzkiewicz o przykrem i smutnem wrażeniu, jakie Ujejski z tego pobytu odebrał.

Zwiedza podówczas przyszły psalmista Czarnolas, Zwoleń, aby u grobu swego poprzednika „zaczerpnąć jedynie potrzebnej siły ducha i potęgi natchnienia, by zdołał się dostroić do owego wzniosłego kamertonu rymów Dawidowych Kochanowskiego".

W roku 1845, na literackim wieczorze u Kłodzińskiego we Lwowie, „święcił przyszły śpiewak Skarg jeden z najpiękniejszych swych tryumfów". W 22 roku życia napisał i wówczas na tym wieczorze odczytał utwór „Maraton", który dał go poznać, dotychczas znanego z jednego tylko romansowego wiersza „Gdyby", jako poetę prawdziwie zdolnego.

Z uczuć religijnych, wyniesionych z domu, z „tęsknoty i smutku", z pism Kochanowskiego, Woronicza, Mickiewicza, Słowackiego — wypłynęła w trzeciej epoce życia (r. 1846—58) poezya liryczno-biblijna. Skutkiem rzezi powstaje, po odegranym w Zboiskach pod Lwowem chorale Nikorowicza: „Z dymem pożarów" i przerobienie „Skarg", prozą jeszcze przed posłyszeniem chorału pisanych, na układ zwrotkowy.

Pan Bądzkiewicz zastanawia się, doszedłszy do tej chwili w życiu Ujejskiego, nad przyczyną tego olbrzymiego rozgłosu, tego entuzyastycznego przyjęcia, jakiego ten utwór doznał. I znajduje ją nie w formie, która niczem nadzwyczajnem nie uderza, ale „w niezmiernej sile uczucia, przy wielkiej powściągliwości słowa". Należałoby w tem miejscu, czego autor, wydając swą książkę w Petersburgu, zrobić nie mógł, powiedzieć kilka słów o roli, jaką ten chorał odegrał w dziejach naszych przed i wśród powstania.

W roku 1847 tłumaczy Ujejski „Antygonę", z której znamy mały tylko fragment. W tymże roku następuje podróż do Paryża, zaznajomienie się z A. Czartoryskim, Mickiewiczem, Zaleskim, Chopinem, serdeczny stosunek ze Słowackim, ogłoszenie „Skarg", zajęcie się bardzo żywe ówczesnym ruchem politycznym we Francyi (wiersz *La république*), który musiał zapewne stanowczo wpłynąć na demokratyczne pojęcia poety. W roku 1848 wraca poeta do kraju, w 1849 żeni się z hr. Komorowską. W 1852 roku wychodzą „Melodye biblijne", które spotkały się z krytyką Szajnochy i Szujskiego. W roku 1858 bierze Ujejski w dzierżawę od magistratu lwowskiego majątek Zubrzę, gdzie

mieszka przez lat 20, starając się swoje ideały praktycznie urzeczywistnić, kształcąc włościan, z którymi się stykał, i pisząc artykuły dziennikarskie. Między rokiem 1857 a 60 powstają „Tłumaczenia Chopina“. W roku 1860 drukuje „Listy z pod Lwowa“ w *Dzienniku literackim*. Uzupełniamy tutaj wiadomość o liście trzecim, o którym pan Bądzkiewicz z lekka tylko czyni wzmiankę. Artykuł ten był skierowany przeciw wileńskim literatom, którzy w roku 1858 ofiarowali „Album“ Aleksandrowi II., nazywając go „budownikiem Królestwa Bożego“.

Nad listem zatytułowanym: „O Januszu i o Panu Wincentym Polu“, nie rozszerzamy się tutaj, bo rzecz jest dobrze znana. Ocena tych listów jest zupełnie sprawiedliwa. Zapewne z powodów cenzuralnych za małą zwraca p. B. uwagę na „Marsz polski“, będący niejako pobudką do powstania. W roku 1864 powstaje „Ostatnia strofa“, której znaczenie nie zostało tak, jak na to zasługuje, podniesione i uwydatnione.

W roku 1868 zamieszcza Ujejski w *Dzienniku literackim* ustęp: „Polska demokratyczna“; w tym samym roku drukuje we Lwowie „Odpowiedź na list otwarty jego przyjaciół“, która wywołała replikę w *Przeglądzie katolickim* p. t.: „Zapędy reformatorskie Kornela Ujejskiego“.

W roku 1877 wybrany posłem do Rady państwa, składa mandat wkrótce z powodów wyjaśnionych w sprawozdaniu przed wyborcami. Nie zatrzymujemy się nad tem dłużej, bo p. Bądzkiewicz do tego, co wiemy ze sprawozdania, znanego obecnie ogólnie z wydania przemyskiego, nic od siebie nie dodaje.

W roku 1880 porzuca Ujejski dzierżawę, która narażała go na oszczerstwa, i przenosi się do Pawłowa, majątku syna. W roku 1884 drukuje „Ptasie gniazdo“, podkłada słowa do sonaty Beethowena „Largo“. Nie wspomina wcale p. Bądzkiewicz o bardzo ciekawej „Drugiej części Skarg Jeremiego“, które mu znane być nie mogły, drukowane bowiem były w tym roku, kiedy książka p. B. wyszła. Pan Bądzkiewicz operuje tylko na materyale, jakiego mu dostarczyło wydanie Brockhausa z roku 1866 i osobno drukowane utwory.

W drugim rozdziale zaznacza autor tego studyum, że „zamiarem jego nie jest ocena całkowitej produkcyi literackiej Ujejskiego, ale jedynie jego twórczość poetyczno-liryczna“. Ocenia więc „Pieśni Salomona“, „Kwiaty bez woni“, „Zwiędłe liście“, wykazuje w nich wpływ Mickiewicza „bądźto w samych rzutach myśli poetycznej, bądź w uję-

ciu formy, powtarzają się nawet niekiedy też same zwroty poetyczne, w zmienionym nieco kształcie wypowiedziane".

Zastanawia się następnie nad „Rozbitkami", „Smokiem siarczystym" i „Samsonem".

Przeglądając krytycznie resztę utworów Ujejskiego, zawartych w wydaniu Brockhausa, dzieli je pan B. na temata liryczno-epickie, czysto liryczne ludowe, rodzime, erotyczne, treści mieszanej, biblijno-społeczne i religijne. Za bardzo udatne opracowanie uznać należy szczególnie to, co powiedział o wierszach, których tematem rodzina; przy omawianiu erotycznych poezyj zauważył autor słusznie, — do naśladowania dla nowoczesnych poetów — że u Ujejskiego „nie spotykamy żalów subjektywnych, owego nudnego kwilenia na temat zawiedzionej miłości: erotyki jego, dziwnie bogate treścią i pełne różnostronnych a żywych barw, są obrazowaniem uczuć, po większej części nie swoich, lecz obcych". Melodye pod względem artyzmu stawia pan B. słusznie wyżej od „Skarg". Ścierając się z Szujskim trochę za długo i trochę niepotrzebnie o znaczenie liryki — tu głównie psalmów — i dramatu, daje krótki przegląd literatury psalmistycznej w Polsce, za mało jednak uwzględnia tu i w ostatnim rozdziale wpływ Krasińskiego. Jest to naturalnym wynikiem upodobania, zakochania się w opracowywanym poecie. Podaje p. Bądzkiewicz na str. 94 ustęp z „Aktu wiary", nie wspominając o jego uderzającem podobieństwie do „Przedświtu". To, co mówi pan B. na str. 160 i 161, że Ujejski i Krasiński doszli do tych samych pojęć, tylko Krasiński drogą rozumowania, Ujejski — miłości, to przeważnego wpływu Zygmunta na Kornela nie wyklucza, bo, nie mówiąc już o podobieństwie wyrażeń nawet, trudno przypuścić, ażeby młody poeta, skutkiem ograniczonego widnokręgu doświadczeń, mógł pojmować bez danego z góry popędu, kierunku, zadania przyszłości naszego społeczeństwa w ten sam sposób, jak autor „Przedświtu". Słowa Krasińskiego drogę mu wskazać musiały, utrwaliły zapewne przeczuwane, odgadywane środki, jakich nam się na przyszłość w pracy społecznej jąć należy.

W naszej literaturze krytycznej nowością, którą z całem uznaniem podnosimy i na którą uwagę naszych krytyków, jako na rzecz godną naśladowania zwracamy, jest rozdział III. o języku, stylu i wersyfikacyi utworów Ujejskiego. Ustęp ten, który kosztował autora niemało zmudnej pracy, mówi o „żywiole małopolskim", o języku Ujejskiego, o uchybieniach językowych z powodu nadużywania licencyi

poetycznej i nietrafnych neologizmów, wylicza użyte typy i figury, zastanawia się nad budową i muzykalnością wiersza, podaje jego rozmaite gatunki.

– W rozdziale IV. mowa głównie o stosunku Ujejskiego do Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Na wnioski autora, z wyjątkiem tego cośmy wyżej powiedzieli o wpływie Krasińskiego, zgodzić się można bezsprzecznie; znajdujemy tu jedną rzecz nową, dotychczas, zdaje się, przez nikogo nie zaznaczoną a trafną, mianowicie określenie wpływu Kochanowskiego na śpiewaka „Skarg i Melodyi“, który „wypowiedział się nietylko w wyborze kształtu poetyckiego psalmodyi, ale nawet w języku i stylu Ujejskiego, a niekiedy w pomyśle artystycznym“.

Zamykając sprawozdanie o tej pracy, której zalety przy streszczeniu wykazać mieliśmy sposobność, wyrazilibyśmy żal, że p. Bądzkiewicz nie chciał się zająć, z powodów nam nieznanych, przedstawieniem i oceną działalności polityczno-społecznej Ujejskiego.

To, co autor mimochodem o tej stronie (politycznej) twórczości Ujejskiego tu i ówdzie wypowiedział, świadczy o niezupełnem jeszcze uspokojeniu się w Warszawie umysłów, wprawionych we wrzenie z powodu zwrotu polityki po roku 1864, jaki wywołał Szujski.

Dr. A. M. Kurpiel.

Rys dziejów gospodarstwa krajowego w zestawieniu z obyczajami narodu. Skreślił *A. J.* Tom I. Kraków. Wydawnictwo młodzieży imienia Adama Mickiewicza. 1893.

Lessing powiedział, że dzieła dobre należy krytykować surowo, gorsze — słabiej, a liche zupełnie milczeniem pomijać. Stosując się do powyższej zasady, należałoby nic nie mówić o pracy pana A. J., lub najwyżej krótką o niej podać wzmiankę. I istotnie takbyśmy postąpili, gdyby autor nie był Polakiem i nie zapomniał o tem, że dla Polaków pisze; trudno jednak milczeć, kiedy ktoś stara się poniżyć, co dla nas wielkie, zbezcześcić, co święte.

Każdy łatwo wyrozumie, że po wydawnictwie redagowanem przez ludzi młodych, rozpoczynających zawód pisarski, nie można się spodziewać prac pod każdym względem doskonałych, mogących mierzyć się z płodami duchowemi mężów, którzy już poważną część wieku swego strawili na ścisłych studyach fachowych, i rozgłośne w nauce zdobyli sobie imię. Każdy początkujący autor zawsze znajdzie uznanie

u czytającej publiczności, jeżeli pracę jego będzie cechowało gruntowne, fachowe wykształcenie, poważny sposób myślenia, sumienne badanie i (jak na pierwszy występ) pewna doza talentu w przedstawieniu traktowanego przedmiotu; ale nader przykrego czytelnik doznaje wrażenia, gdy wpadnie mu w ręce elaborat młodzieńczy, którego autor porywa się na nibyto naukowe opracowanie poważnego przedmiotu, nie posiadając o nim nawet najniezbędniejszych, elementarnych wiadomości fachowych.

Istotnie, niepodobna napisać coś o dziejach gospodarstwa narodowego, nie zapoznawszy się należycie i gruntownie z zasadami ekonomii społecznej, socyologii i prawa, i nie nauczywszy się poprzednio metody badania historycznego, tudzież krytycznego spożytkowania źródeł. Sam autor książki, z której zdajemy tu sprawę, żąda za Stawiskim, by dzieje ekonomii narodowej dotykały „socyalno-prawno-administracyjno-rolniczych stosunków w przeszłości“ narodu, określając tem samem zakres wiadomości przedwstępnych, jaki uważa za potrzebny do napisania historyi gospodarstwa narodowego.

Tymczasem w rzeczywistości pan A. J. nie starał się bynajmniej przyswoić sobie gruntownych wiadomości fachowych, zanim przystąpił do opracowania przedmiotu, który dla tęgich i wyćwiczonych głów nawet przedstawia rozliczne i poważne trudności. Na co się dotąd uczeni z zawodu nie poważyli dla braku dostatecznej ilości prac przygotowawczych, tego postanowił jednym zamachem dokonać autor bez fachowego wykształcenia, któremu, jak to łatwo z książki poznać można, powierzchowna lektura kilku lub kilkunastu dzieł ekonomicznych i historycznych starczyła za całe przygotowanie naukowe. Drugi główny zarzut dotyczy metody autora. Zamiast zastosować ścisłą metodę indukcyjną, która jedynie tu mogła prowadzić do rzetelnych wyników, postawił sobie autor z góry jako pewnik nie jakąś maksymę ekonomiczną, lecz — twierdzenie, że dzieje narodu polskiego nie są niczem innem, jak tylko nieprzerwanem pasmem krzywd wyrządzanych włościaninowi, w którym wedle pojęć autora mieści się najlepszy, najszlachetniejszy pierwiastek człowieczeństwa. Historya Polski, to jeden ciągły grzech „kasty szlacheckiej“ przeciw „braciom w siermiędze“. „Nie szlachta rycerska wytwarzała bogactwa, lecz rękami niewolnemi zdobywały się one przeważnie, z gorzką krzywdą pracowników“, jakkolwiek „lud był jedyną siłą prawną, a nie szlachta“ (str. 14). Rycerstwo od zaranku dziejów stopniowo, coraz bardziej „nadwereża prastarą

równość". Oto teza, w różnych wyrażona formach, której uzasadnieniu poświęca pan A. J. całą książkę.

Wiemy, że się w pewnych czasach u nas źle obchodzono z ludem wiejskim, że nie brakło okresów ucisku i gwałtów, że szlachta względem włościan wiele zawiniła swoim egoizmem stanowym, — ale twierdzenie, jakoby dzieje Polski od początku po dni nasze były historyą bezprzerwnej tyranii, wywieranej przez szlachtę na włościanach, jest co najmniej zdumiewającem, chyba że całe dziejopisarstwo nasze podaje nam nie prawdziwy, ale kłamliwy obraz przeszłości.

Ale może autor uzasadnia należycie swoje poglądy, może przytacza nowe źródła, z których niezbicie wypływa słuszność jego tezy? Bynajmniej! Bez wyboru cytuje on autorów kompetentnych i niekompetentnych, nie zdając sobie wcale sprawy z krytycznej ich wartości. Długosz, Kromer, kaznodzieje, poeci i satyrycy, Bielscy, Naruszewicz, Lelewel, Szajnocha, Maciejowski, Winnicki, Szujski, Bogusławski, Czacki, *Volumina legum*, Spasowicz i t. p. — wszyscy dostarczają mu równie dobrego materyału, a co gorsza, wyjmuje on z nich to tylko, co mu do gustu przypada, a co zwykle wcale nie określa ogólnych zapatrywań danego autora. O zużytkowanie źródeł najważniejszych dla historyi gospodarstwa narodowego, jakiemi są akta dyplomatyczne, akta sądów grodzkich i ziemskich, inwentarz dóbr, publikacye archiwów familijnych i t. p., autor niewiele się troszczył, a mniej jeszcze studyował nowszą literaturę monograficzną w zakresie historyi i prawa polskiego.

Nic też dziwnego, że autor na str. 15 powiada: „Nawet w ostatnich czasach, pomimo widocznego zwrotu ku lepszemu pod względem obnażania prawdy historycznej, autorowie dziejów naszych napletli moc zdumiewających niedorzeczności, zamiast oświecać, jakby dla obałamucenia ostatecznego ogółu potomków tych przodków, którzy kraj przewrócili w ruinę... Nieszczęsny to atawizm ducha, łudzący pokolenia ku ich zgubie!"

Z właściwą dyletantom arogancyą żąda autor, by mu za to „wszystko co było przykrem i upokarzającem", a co umieścił „w cudzysłowie mistrzów lub ze źródeł wiarygodnych", przyznano „szczerość i mozolne szukanie prawdy dziejowej, w celu zrobienia zbawczego wrażenia na społeczeństwie, by się przeistoczyło zasadniczo w duchu i w czynie" (str. 16). Ufa on, „że czytelnik zgłębiwszy z dobrą wiarą *(sic)* pracę niniejszą, zrozumie, że jej autor odrzuciwszy utarte formułki apologii, badał sumiennie *(sic)* przeszłość".

Zamiast pracy, opartej na rzetelnych, samodzielnych i wszechstronnych badaniach, któraby nam choć w głównych zarysach odtworzyła obraz rozwoju naszej gospodarki narodowej, uwydatniła główne jej czynniki i kierunki, podniosła strony dodatnie i ujemne, tudzież wzajemne oddziaływanie między nią a innemi stronami życia narodowego — powstała nędzna, niedołężna kompilacya, pozbawiona wszelkiej wartości naukowej, śmieszna apoteoza „naszej braci w siermiędze", brudny paszkwil na szlachtę, panów i duchowieństwo.

Lichym, iście studenckim stylem odmalował autor tak okropnie czarny obraz naszej przeszłości, że gdybyśmy chcieli w prawdę jego uwierzyć, musielibyśmy przodków naszych uważać za bandę złoczyńców, za stado drapieżnych wilków, nie za naród, który przy nieuniknionych błędach, wielkie i wzniosłe posiadał cnoty. Już od epoki przedhistorycznej zaczyna „rycerstwo nadwerężać prastarą równość" (str. 33). Jednakże wtedy to „jeszcze Polacy *(sic)* byli między sobą równymi obywatelami *(sic)* i nie mieli przewodniczących z urodzenia, tylko z zasługi"... Stan lechicki (w przeciwieństwie do kmiecego — teorya Lelewela) od zaranku dziejów wzniecał niesprawiedliwość (str. 34). Stopniowo gmin staje się „pastwą szlachty, bo szlachta nie miała znikąd dostatecznego hamulca" (str. 35)... a złe pogarsza się z postępem czasu z „nieubłaganą konsekwencyą".

Nie będziemy tu wypisywali wszystkich zjadliwych zwrotów i uwag, jakie pan A. J. robi na każdej niemal stronicy swego elaboratu. Z wzrostem wyraźności i jaskrawości czernidła, wzrasta wielkość autora; nie zadawalnia się już cytowaniem, lecz z całą zajadłością rzuca się na poważanych historyków za to, że byli bezstronnymi, że czarne nazywali czarnem, białego zaś nie starali się czernić.

Dostała się chłosta historykowi włościan, Maciejowskiemu, i zasłużony Kallimach nie podoba się panu A. J., gdyż chwali Polskę w liście do papieża Innocentego VIII.

Spotykamy się w powyższem dziele z twierdzeniem, jakoby szlachta starała się utrzymać chłopa w ciemnocie, by tym sposobem łatwiej go gnębić. Zważywszy, że zdanie to odnosi się do stosunków wieku XV., kiedy szlachta na równym prawie stopniu „ciemnoty", co chłop, stała, pytamy, skąd jej się wzięła taka logika?! To chyba może zrozumieć tylko tak poważny historyk, jak p. A. J., który Unię lubelską z r. 1569 każe nam uznawać za hańbę narodu. Dalej (str. 116), powszechnie uznaną tolerancyę religijną w Polsce autor podaje w wątpliwość, i na dowód skwapliwie wyszukuje pojedyńczych, rzadkich faktów inkwizycyi,

by i na tym punkcie zbezcześcić przeszłość. Nietolerancya religijna, jaka była w Polsce, według słów autora, to niegodziwy zamach szlachty przeciw braciom w siermiędze.

Z temi i tym podobnemi absurdami polemizować zbyteczna, gdyż gdybyśmy takie twierdzenia chcieli zbijać, a przeciwne dowodami popierać, byłoby to to samo, jak gdyby ktoś udowadniał prawdziwość pewnika matematycznego.

Zaciekawia nas, jakim duchem przejęty, jaką kataraktą moralną nawiedzony jest autor, że nie widzi cnót w naszej przeszłości, skoro z drugiej strony najmniejszy błąd ojców nie uszedł jego uwagi; zapytamy również, z jakich źródeł powziął autor wiadomość, jakoby w Krakowskiem jeszcze w XIII. wieku istniało prawo korzystania z dziewictwa wieśniaczek (str. 51). W tych bowiem źródłach, które p. A. J. przytacza, — są to Długosz i Czacki — całkiem co innego można znaleść. Długosz wspomina pod r. 1238 tylko gołosłownie, że Henryk Brodaty zniósł *virginale, viduale et pomocne,* Czacki zaś wyraźnie określa *virginale* i litewską „kunicę“ jako podatek, opłatę. Gdyby się autor był lepiej rozejrzał w nowszych dziełach historycznych (nie mówię już źródłach starych), byłby się mógł dowiedzieć, że dziewczęta i wdowy osad chłopskich w pierwszych wiekach Polski chrześcijańskiej (a podobnie i na Litwie) opłacały się przy zamążpójściu zwykle garncem miodu, i tę powinność nadzwyczajną, a nie co innego, nazywano „wdowiem“ i „dziewiczem“. Mógł to być podatek wstrętny dla ludności wiejskiej, ale „sromotnego prawa“ nikt rozsądny w tym zwyczaju się nie dopatrzy.

Panu A. J. zdarza się i to, że pisząc o stosunkach Polski, czerpie niejednokrotnie ze źródeł, omawiających stosunki Francyi.

Dla jeszcze dokładniejszego obeznania czytelników z tą nową naszą historyą, podajemy tu kilka „cenniejszych“ z niej ustępów:

1) „Niema więc co na Niemców składać, że rozpoili Polskę, uprawiała ona bowiem kult Bachusa od zaranku dziejów“. (Tu mamy podane przykłady kilku bohaterów naszych i najsławniejszych królów, którymi się szczycimy, a z których autor zrobił opilców nałogowych).

2) „Wiemy, że gdzieindziej nie były też w tym czasie wzorowsze stosunki, ale sprawiedliwość każe wyznać, iż zbiorowy duch szlachty prześcignął demoralizacyą inne narody europejskie, więc cudzoziemcy opowiadają o niej z podziwem i grozą“. (Str. 227, wiersz 16—20).

Na innem miejscu przyznaje autor, że wszystko złe płynęło do Polski z zagranicy — gdzież więc konsekwencya? Co więcej, fałszem

jest historycznym, jakoby w Polsce byt chłopa był gorszy niż za granicą.

3) „Zauważmy, iż Żydzi, chociaż odegrali brzydką rolę względem ludu, byli jednak niejednokrotnie sami przedmiotem czyhającego drapiestwa świeckich i duchownych“. (Str. 280, wiersz 9—11).

Powyższy ustęp w połączeniu z ustępem, którego nie przytaczam, a w którym autor wyznaje, iż jest daleki od antysemityzmu, w połączeniu następnie z ustępem na str. 289, wiersz 14—19, gdzie się mieści oskarżenie szlachty o oszukańczy handel a wyraźna obrona Żydów: powyższy ustęp — powtarzamy — daje nam chyba dostateczne świadectwo, jakie to nowe dzieło wzbogaciło literaturę naszą.

Gdyby za kordonem nieszczęśni bracia nasi, jęczący pod batogiem tyrana, przeczytali powyższe lub podobne jemu dzieło, nie zadziwiliby się, choć może łząby je oblali. Nie zadziwiliby się, boby je poczytali za nową chłostę i chęć pognębienia polskości. „Rzut oka na gospodarstwo“ mógłby być strawą moralną dla naszego chłopka, ale dawaną mu przez rząd rosyjski. Z takich i tym podobnych dzieł, lud nasz nieoświecony uczyłby się kochać ojczyznę tak, jak chcą wrogowie, byśmy ją kochali; u nas w Galicyi lud tego dzieła czytać nie będzie, co najwyżej może ono przytłumić uczucie szacunku dla nieszczęsnej ojczyzny w sercu młodego Polaka więcej oświeconego, może w tem sercu być pierwszym posiewem do wybujania kosmopolityzmu i socyalizmu.

Czy warto było rozpisywać się tak szeroko nad książką pana A. J.? Książka zapewne na to nie zasługuje; chcieliśmy tylko dać przykład czytelnikom naszym, jak nędzną i zepsutą strawę duchową mieszczą w sobie nieraz prace w szumny zaopatrzone tytuł i pisane w celu „przeistoczenia [to znaczy, rozumie się: przewrócenia] społeczeństwa naszego w duchu i w czynie“.

Witold Koszutski.

Modlitewnik Nawojki. Studyum językowe. *Dr. Franciszek Křcek.* Nakładem Akademii Umiejętności. Kraków 1894.

O jednym z najdawniejszych zabytków naszego piśmiennictwa, o książeczce do modlitwy, zwanej dawniej książeczką św. Jadwigi, dziś zaś nazwanej „Modlitewnikiem Nawojki“, pojawiła się praca, której tytuł powyżej zacytowaliśmy. Nie jest to praca skończona; część jej, drukiem obecnie ogłoszona, zajmuje się treścią „Modlitewnika“ i sprowadza zawarte w nim modlitwy do czterech kategoryj: *a)* modlitw ma-

ryańskich, *b)* modlitw przy Mszy św., *c)* przy Sakramencie pokuty i *d)* przygodnych, do których autor zaliczył modlitwę św. Grzegorza i św. Augustyna. Tekst „Modlitewnika“ porównywa autor nader sumiennie ze źródłami, większość modłów sprowadza do wzoru niemieckiego, mniejszość do czeskiego „tekstu pośredniego wywnioskowanego“. Ponieważ „w Niemczech szukać oryginału... to rzecz za żmudna“, postanawia autor na str. 59 szukać go „w Czechach, które pośredniczyły w dostarczeniu nam przekładu“; rezultatem zaś tego szukania jest twierdzenie, wyrażone na str. 72: „Modlitewnik Nawojki nie jest kompilacyą, ale przekładem modlitewnika czeskiego redakcyi niemieckiej, pochodzącego najwcześniej z lat po r. 1415“. Umiejętne wyzyskanie literatury i licznych rękopisów, daje rękojmię, iż twierdzenie to nie jest efektowną tylko hipotezą. W przedmowie do tej pracy przyznaje autor, że mu się nie udało odszukać pierwowzoru „Modlitewnika Nawojki“, tego jednak, czego autor pragnął, dokonał też swą rozprawą, tj. sprowadził badania tego zabytku na nowe tory, wykazując jego blizkie pokrewieństwo z takiemiż zabytkami staroczeskiemi. Sąd wyczerpujący o tej pracy da się dopiero wtedy sformułować, gdy do rąk naszych dojdą dalsze jej części.

L. M. Dziama.

Przygotowanie do pierwszej spowiedzi dzieci do szkoły nieuczęszczających, zawarte w 24-ch katechezach. Zebrał i ułożył *Ks. Władysław Sarna*, pleban szebieński. Gródek 1894. Nakładem autora. Do nabycia tamże w Szebniach, p. Moderówka. (W małej 8-ce, str. 189).

Duch Boży wieje z tej książeczki. Zwłaszcza przedmowa jest taka serdeczna, tak przejęta miłością dziatwy wiejskiej i znajomością jej potrzeb, że od razu chwyta za serce.

W samym wykładzie znać i wielkie zamiłowanie przedmiotu, i wielką umiejętność i praktyczność w uczeniu dzieci, jakoteż oczytanie i wykształcenie w tym kierunku. Wykształcenie to jednak po większej części czerpane z dzieł niemieckich, podległo też cokolwiek ich wpływowi. I tak, władze duszy wymienione są tylko dwie, o pamięci niema mowy, a jednak katechizmy nie wzorowane na niemieckich zawsze ją podają. Pierwsza też ta władza zwraca na siebie uwagę dziecka; a lud nawet całą umysłowość pod nią podciąga: mówią np.: „ten chłopiec ma pamięć“, to znaczy: jest zdolny umysłowo. Nie z niemieckich zaś wzorów, ale nie wiadomo skąd wkradło się nieostrożne

zdanie, „że przez grzechy powszednie łaska Boża się umniejsza“ (str. 142); co jest niedokładnie, a przynajmniej niejasno powiedziane; bo choć grzechy powszednie uchylają pewne łaski uczynkowe, jednak zdobytego już stopnia łaski poświęcającej nie umniejszają, według przyjętej powszechnie nauki. Także co do grzechu śmiertelnego, niebacznie szan. autor podsuwa dzieciom myśl, że np. ukraść 10 centów to już grzech śmiertelny. I inne, jeszcze mniej uchwytne grzechy każe zaraz rachować; a wiadomo, jak takie przyzwyczajenie utrudnia dziecku spowiedź, albo czyni ją powierzchowną, niekiedy aż śmieszną z powodu dokładności tych liczb, nieraz wielkich.

Pod względem językowym możnaby zarzucić, że np. nazwa: „Sakrament ołtarza, to niemieckie *Altarssacrament*, po polsku: Ciało i Krew Pańska albo Najświętszy Sakrament. Także: „Kim to było to Dziecię“, zamiast: Co to było za Dziecię (str. 53); „Trzej Mędrcy“, zamiast utartego: Królowie; „Naraz“ w znaczeniu: *Wtem!* lub *Aż tu!* „Te dwa imiona nazywają się Jezus Chrystus“ (str. 44) i t. p. drobiazgi.

Pod względem układu, to tylko brak spisu rzeczy musimy zaznaczyć.

Pominąwszy te małe usterki, książka to niezmiernej użyteczności nietylko dla katechetów, ale i dla matek. Uczy ona bowiem dzieci prawd wiary nadzwyczaj konkretnie, obrazowo, a przytem zajmująco, szybko i pobożnie.

Całem sercem życzymy nietylko szan. autorowi, ale i wszystkim prawdziwie kochającym dzieci, aby to „Przygotowanie do pierwszej spowiedzi“ doczekało się wielu coraz poprawniejszych wydań.

Ks. H. P.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Russische Censur und Presse. *J. W. Nagradow.* Verlag von Siegfried Cronhelm. Berlin 1894.

Po książce Kennana, po licznych polskich publikacyach, zdawaćby się mogło, że dalsze wiadomości z kraju knuta i niewoli muszą się stać monotonne i znudzić wkońcu czytelnika zwłaszcza zagranicznego, nas bowiem zawsze one zająć potrafią. Tymczasem za każdym nowym głosem z Rosyi lub o Rosyi dochodzimy bardziej do przeko-

nania, że choć społeczeństwo i stosunki tamtejsze przesiąknięte są barbarzyństwem, to jednak nie cechuje ich bynajmniej prostota, właściwa ludom pierwotnym, i dadzą się one z różnych stron badać i oświetlać. To też z ciekawością otwieramy świeżo wyszłą książkę p. Nagradowa, której sam tytuł: *Russische Censur und Presse*, wielce jest obiecujący. Słowa poety: *Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen* — jeżeli gdzie, to tu zastosować trzeba, bo zaraz na wstępie skarży się autor na sąd płytki i powierzchowny, który wydaje publicystyka Zachodu, o wewnętrznych sprawach „mátuszki“ Rosyi, przedewszystkiem zaś o prasie, która w kraju cenzury z natury rzeczy giętką i dwuznaczną być musi. Prasa ta jest liczna, rozchodzi się w wielkiej ilości egzemplarzy; a choć z jednej strony, wskutek wiszącego nad nią miecza Damoklesa, stanowi, szczególnie jej liberalny odcień, podług pojęć zachodnich polityczne zero pod względem wpływu na rząd to z drugiej znowu przyznaje jej autor poważne i wielkie znaczenie dlatego, że jest jedynym głosem publiczności, jedynym objawem życia w kraju martwoty administracyjnej. Ale głos ten jest cichy i ostrożny, by nie obrazić drażliwych uczuć władców przy zielonym stoliku, a chcąc go usłyszeć wyraźnie i nie w półtonach, trzeba wniknąć głęboko w tajniki rosyjskiej duszy.

Właściwym wyrazem idei społecznej w Rosyi nazywa autor „czynownictwo“. Liczne, silne i przewrotnie mądre wzrosło ono na ciele narodu jak olbrzymi pasorzyt, który zapuścił niezliczone korzenie we wszystkie warstwy, ciągnie z nich żywotne siły i obraca na swoje cele. To też wszystko w Rosyi, nawet prasa, zgina przed niem kolano. Panslawistyczna prawica w dziennikarstwie chwali je i wtóruje mu bezwzględnie; liberalny odcień prasy krytykuje od czasu do czasu wybryki urzędników w wewnętrznych guberniach, wykrywa jakieś zbyt oburzające nadużycia, ale za to z zapałem popiera napływ niszczącej falangi czynowników do polskich lub niemieckich części państwa, może dlatego, że w pewnym stopniu jest to odpływ najgorszych elementów z właściwej Rosyi. Fakt to znamienny i przez autora z naciskiem zaznaczony, że ilekroć chodzi o ścieśnienie resztek swobód i ostatnich objawów narodowego życia w prowincyach bałtyckich lub w Kongresówce, cała prasa, bez różnicy odcieni, co sił pomaga rządowi, popycha go nawet do tego i wykrywa rzekome „polskie konspiracye“, dolewając przez to oliwy do ognia. Dowiadujemy się, że humorystyczne pismo *Strekoza*, wychodzące pod redakcyą Wasilewskiego, oświadcza z zadowoleniem, że złodziei niema w Rosyi, bo wszyscy poszli do

Polski. To też wszelkie nadzieje dobrowolnego zmniejszenia ucisku uważa autor jako płonne wymysły polskich lub niemieckich marzycieli, bo w Rosyi nawet liberalne rządy zmianyby w tym względzie nie przyniosły. I ta jedność w nienawiści wszystkiego co nierosyjskie, szczera i wcale nie udana, myli, zdaniem p. Nagradowa, nieraz zagranicę, która nie umie czytać między liniami i nie dostrzega, że obok szowinizmu narodowego są inne kwestye wewnętrzno-rosyjskie, w których jest i żyje opozycya przeciw obecnemu ustrojowi rzeczy. Opozycya ta w dziennikarstwie bardzo jest subtelna, i trzeba być nader biegłym znawcą stosunków rosyjskich, a nawet — jak autor mówi — mieszkać w Petersburgu lub Moskwie, by rozumieć półsłówka i alluzye organów stołecznych, które często ustnemi wiadomościami w odpowiednich kołach trzeba uzupełniać. Podobnie jak bożek Janus, ma i liberalna prasa w Rosyi dwa oblicza: jedno — zewnętrzne, śmiejące się głupim śmiechem, i drugie — smutne, odwrócone od patrzących a tylko dla wtajemniczonych zrozumiałe.

Stosunki te są naturalnym wynikiem niewesołej doli prasy rosyjskiej pod ostatnimi carami. Autor żywo i barwnie opisuje to w pierwszym rozdziale.

Mikołaj był autokratą kosmopolitycznym, czuł się powołanym od Boga do tego, by w Europie bronić absolutyzmu, a prasa musiała mu w tem dopomagać. Trzymano się zwykle metody pedagogicznej. Wypadki zagraniczne, niemiłe rządowi, pomijano milczeniem. I tak np. w chwili wybuchu rewolucyi 1848 roku donosiło pismo *Otjèczestwiennyje zapiski* w korespondencyi z Paryża, że... kapelusze damskie noszą tam przeważnie w kształcie śpiczastym; za to obszernie pisano o stłumieniu rewolucyi w Wiedniu przez Windischgraetza.

Za Aleksandra II. zmieniły się cokolwiek pozory, w gruncie rzeczy jednak prasa niewiele na tem zyskała. Przeciwnie, strzeżono pilnie, by jakiegokolwiek wpływu na naród nie miała. Tak np. projekt zniesienia poddaństwa trzymano w największej tajemnicy, z obawy, by prasa tą kwestyą się nie zajęła i nie stała się popularną. Najlepszą miarą liberalizmu Aleksandra II. jest sławny ukaz o zmniejszeniu cenzury, z dnia 6/18 kwietnia 1865 roku, którego znaczenie wyjaśnia nam autor. Ulgi są, i to znaczne, ale do każdej z nich przywiązany jest haczyk, który całą jej wartość niszczy. Weźmy np. § 140 ustawy t. zw. „Łonginowa“. Na mocy tego paragrafu ministeryum ma prawo zawieszać „na jakiś czas“ wydawnictwo pisma, w którem odkryto niedobre tendencye, i to jedno już wystarcza, by prasę zupełnie skrę-

pować. Dalej, gdy się pokazało, że sądy zwykłe niedość ostro sądzą przewinienia prasowe, nadał car ministerstwu prawo wyrokować według własnego uznania, z pominięciem sądów. Słowem, to zmniejszenie cenzury równa p. Nagradow z jej obostrzeniem we Francyi za Napoleona III. Wszystko to takie prawdziwie bizantyńskie, że obcego łatwo zmylić może. Myślisz, że to liberalna reforma, a to tylko zabawka dla zagranicy. Niczego w Rosyi sądzić nie można z jednej strony, bo tam rzecz każda ma jak rżnięty kamień niepoliczoną ilość stron i powierzchni, z których każda rzeczywista, ale żadna nie jest decydującą. Jak kot z myszą, tak duch rosyjski bawi się z ciekawością Zachodu. To też nadzieje, które ten naiwny Zachód do reform aleksandrowskich przywiązywał, prędko zostały zawiedzione. Ulgi pozostały na papierze, a cenzura w codziennem użyciu. Była jednak chwila, w której i ona wielkiem niebezpieczeństwem była zagrożona, a mianowicie w r. 1878, po zamordowaniu Mezencewa, szefa żandarmeryi, jak nam zaręcza autor, gdyż wtenczas zastanawiano się zupełnie na seryo w najbliższem otoczeniu cara, czy nie byłoby najlepiej po prostu skasować wszystkie gazety w Rosyi, za czemby i cenzura ustać musiała.

Niejedną anegdotę przytacza nasza książka z czasów t. zw. wolności prasy w Rosyi. W roku 1878 *Nowoje Wremja* skarży się na nadużycia uriadników, czyli policyi wiejskiej. Nazajutrz gazeta urzędowa ogłasza, że wdzięczną będzie za wszelkie informacye prasy w tej sprawie, równocześnie jednak we wszystkich redakcyach odebrano poufne ostrzeżenie, że pod karą skasowania gazety ani słowa o tem pisać już nie wolno. W roku 1880 pewna gazeta podała statystykę zesłań politycznych do Syberyi. Zaraz przyszło grzeczne zapytanie do redaktora z departamentu prasowego, czy w następnym numerze podane cyfry odwołać zamierza, gdyż w razie przeciwnym zesłanie go do wschodnich gubernij niezwłocznie nastąpi. Można sobie wyobrazić, z jakim zapałem biedny redaktor wszystko odwoływał. Jeden *Kołokoł* Hercena, wychodzący w Genewie, czytywany przez samego cara, mógł zaczepiać z pewnym skutkiem rząd i rządowe figury. Bano go się też trochę z początku, ale dowcipny pewien dygnitarz, którego nadużycia *Kołokoł* karcił, wpadł na genialny koncept drukowania numeru *ad hoc*, oczywiście z opuszczeniem niebezpiecznego ustępu, i podsuwania tak przyprawionej strawy carowi.

Wybuch bomby 13 marca zniweczył resztki nadziei, że prasa rosyjska rozwinie się po europejsku. Z początku koła rządowe ogarnęło zamieszanie. Autor podaje nam ciekawy fakt, o którym dowiedział

się, co prawda, ze źródeł nihilistycznych, że Aleksander III. skłaniał się do podpisania konstytucyi, proponowanej przez Loris-Melikowa, a mającej za sobą większość w ministerstwie. Ale czuwał nad matuszką Rosyą jej duch opiekuńczy... Pobiedonoscew. Spostrzegłszy, że to nie żarty, że konstytucya gotowa wejść w życie, zatelegrafował po Katkowa do Moskwy, że syn jego, uczeń jednej ze szkół petersburskich, ciężko zachorował. Katkow przybył, a dowiedziawszy się o prawdziwym powodzie zawezwania, zaraz pospieszył do cara i z płaczem rzucił mu się do nóg, wołając: „Batiuszka, nie gub ojczyzny!“ Batiuszka popłakał się, Katkowa uściskał, i... święta Rosya została uratowaną. Od tej chwili rozpoczyna się zwrot stanowczy. W przekonaniu, że wszelkiego złego były powodem pseudo-liberalne reformy Aleksandra II., wrócono do autokracyi, ale nie kosmopolitycznej — jak za Mikołaja, lecz narodowej, moskiewskiej. Prasa oczywiście pierwsza odczuła skutki nowej ery. Bardziej szczery od swego poprzednika, nowy car wypisał na czele swego programu godło dantejskiego piekła, a rząd postarał się o to, by wykurzyć gruntownie z głowy liberalnych marzycieli wszelkie ślady mrzonek, któreby w nich jeszcze się znajdowały. Zaczęto od szykan. Wkrótce po zamachu *Gołos* przedrukował z gazet francuskich mowę Gambetty, która się w rządzących sferach nie podobała. Pociągnięto do odpowiedzialności Bilbasowa, współredaktora tego pisma, który jednakże wyszedł z całej sprawy obronną ręką, gdyż udowodnił, że przed *Gołosem* umieściła ów artykuł gazeta urzędowa. W roku 1883 *Gołos* został ostatecznie skasowany. Ten sam rok widział koniec miesięcznika *Słowo*. W roku 1884 padło ofiarą cenzury 125 publikacyj, między innemi *Stranà* (Kraj) Leonidasa Polonskiego. W roku 1886 znikło nagle *Dieło* Szulgina, a te pisma, którym pozwolono egzystować, spotykały od czasu do czasu ojcowskie napomnienia z trzeciego departamentu. Uważa też autor jako całkiem naturalny objaw, że w ostatnich latach ton prasy liberalnej stał się jeszcze bardziej przytłumionym, zdania jej ostrożniejsze i z bizantyńską sztuką rzeczywista myśl rozpuszczona w fali frazesów i słów, z której dopiero prawdziwy a skryty sens wyłowić trzeba. Niektóre temata uważa on jako szczególnie niebezpieczne, i utrzymuje, że z góry zaostrzają oko cenzora, mianowicie dział polityki wewnętrznej i wiadomości o domu panującym. Znaną jest przygoda Korsza, redaktora *Północnej poczty*, któremu skasowano gazetę dlatego, że opisał, jak car w Liwadyi dzień spędza, a nie przedłożył swego artykułu ministrowi dworu do potwierdzenia. Za to pozostawiono dziennikom pewną wolność w oma-

wianiu kwestyj finansowych i w artykułach o Polakach lub Niemcach nadbałtyckich: bo tu opinia publiczna idzie ręka w rękę z rządem.

Równomiernie z zanikaniem samodzielności w prasie liberalnej, kreśli p. Nagradow wzrost dumy i zarozumiałości w reakcyjno-panslawistycznych organach t. zw. prawicy. Pobiedonoscew i Katkow święcili tryumf na całej linii. Pycha Katkowa takie przybrała rozmiary, że o sobie i o carze mówił zawsze: „my". Redagował on *Moskiewskie Wjedomosti*, których naczelnym redaktorem jest obecnie p. Pietrowski. Ton tego dziennika, który zresztą od śmierci Katkowa stracił na znaczeniu, był zawsze nadzwyczaj gwałtowny. Często jednak propaganda jego wręcz przeciwne ma skutki od tych, które osięgnąć zamierza. Tak np. nihilista Szelabow, po zamordowaniu Aleksandra II. zapytany, jakim sposobem pozyskał dla swej sprawy Rysakowa, oświadczył: „Dawałem mu do czytania *Moskiewskie Wjedomosti*". Równie, a nawet jeszcze więcej reakcyjnym i konserwatywnym jest *Graždanin*, pod kierunkiem ks. Meszczerskiego. Bezwzględne chwalenie wszystkiego co rosyjskie, wynoszenie autokracyi jako ideału, który wszystkich Słowian pod berłem cara połączyć powinien, a równocześnie udana czy nieudana pogarda dla zgniłego Zachodu — oto cechy wspólne obu wymienionym organom; ale gdy *Moskiewskie Wjedomosti* odzywają się głosem pełnym namaszczenia o Francyi, wyróżniając ją wpośród zgniłego Zachodu, *Graždanin* zredukował do *minimum* swe sympatye dla Trzeciej republiki.

Jako trzecią z rzędu w panslawistycznej hierarchii, a stanowczo najlepiej redagowaną, wymienia autor *Nowoje Wremja* pana Suworina. Mniej przekonany, a tem samem i mniej zażarty od poprzednich, dba p. Suworin przedewszystkiem o powodzenie, ubiega się o łaski i wyraża chętnie myśli sfer rządzących, ale nie pali nigdy za sobą mostów, i pomny, że nic na świecie trwałem nie jest (a więc że i obecny system zmienić się może), zostawia on sobie otwartą furtkę do odwrotu. *Nowoje Wremja* jest to doskonałe przedsiębiorstwo handlowe, przynoszące wysokie procenta.

Te trzy organa czytywane są przez cara i niezaprzeczony wpływ na niego wywierają, a tem samem stoją na pierwszem miejscu w dziennikarstwie rosyjskiem. One też reprezentują zagraniczną politykę rządu.

Od czasów Mikołaja, pan Nagradow konstatuje wiele zmian: Rosya pozostała autokratyczną u siebie, ale uważa, że co dobre dla niej, tego szkoda dla drugich. To też prasa z zadowoleniem notuje każdy fakt dowodzący, że w „zgniłym" Zachodzie wszystko się chwieje,

że u bliższych lub dalszych sąsiadów porządek społeczny się przeżył: bo stąd konkluzya bardzo naturalna, że w jednej tylko Rosyi spoczywa przyszłość i odrodzenie. Poczucie to swej wielkości dochodzi nieraz w sferach rządzących do śmiesznych rozmiarów. Tak np., gdy liberalna *Niedjela* w dowcipno-ironicznym artykule oświadczyła, że Rosya nic o zgniłej Europie wiedzieć nie chce i woli być porównaną z Chinami lub Syamem — wówczas, z wyjątkiem *Nowego Wremieni*, które się na ironii poznało, wszystkie reakcyjne organa zachwycały się trafnością tego porównania, a przedewszystkiem *Graždanin*.

Ciekawą jest rola niemieckiego *St. Petersburger Herold* pod redakcyą d-ra Geselliusa. Organ ten przy każdej okoliczności wychwala błogosławionej pamięci cara Mikołaja, za którego Niemcom tak dobrze było w Rosyi. Dziś dr. Gesellius jest w miłem położeniu człowieka, którego biją, a który oprawcy przytakiwać musi. Po francusku redagowany *Journal de St. Petersbourg* jest organem ministerstwa spraw zewnętrznych, i jako taki nie ma żadnych własnych opinij.

Dawniej podobno istniał projekt założenia polskiej gazety rządowej, której syreni głos miał rodaków naszych wabić pod skrzydła prawosławia; ale dziś zaniechano tego projektu, zaznaczając z cyniczną otwartością, że przeznaczonego na zatratę i wytępienie żywiołu polskiego nawracać już nie warto i nie potrzeba.

Łaskawszym jest rząd na zgubione owieczki rosyjskiej narodowości. Tak np. znalazł u niego przebaczenie jeden z obecnych prowodyrów autokracyi, Lew Tichomirow, swego czasu razem z P. Ławrowem redaktor wychodzącego w Genewie radykalnego tygodnika. Tichomirowa ułaskawił car w r. 1888, ale zdaje się, że marnotrawny syn, wróciwszy na łono rodziny, zostawił za granicą swój talent i swą fantazyę, bo obecnie płodzi on tylko nudne apologie zasług różnych dygnitarzy. Niepiękne jest światło, które rzuca nasza książka na sposób dowiadywania się o wypadkach bieżących a praktykowany przez wiele reakcyjnych dzienników. Jako przykład tego daje nam warszawskiego korespondenta do *Nowego Wremieni*, który jest ni mniej ni więcej tylko urzędnikiem policyjnym, będącym w czynnej służbie, pod rozkazami p. Kleigelsa, oberpolicmajstra warszawskiego.

Tego rodzaju umundurowaną publicystykę uważa autor jako objaw całkiem naturalny w kraju, w którym hr. Tołstoj był równocześnie najwyższym szefem żandarmeryi i prezesem cesarskiej Akademii nauk, aż do swej śmierci w r. 1889. Policyjna ta atmosfera przesiąknęła nawskróś reakcyjne organa. Niedawno dziennik pewien skarżył się na

pierwszej szpalcie, że w Niemczech niema wolności politycznej, a w tym samym numerze chwali łagodność pewnego naczelnika ziemstwa, który zamiast 100, kazał dać tylko 90 nahajek jakiemuś przestępcy.

Jedynem większem pismem codziennem, którego ton nawet, gdy o Polakach mówi, jest trochę bardziej umiarkowany, są *Nowosti* pana Notowicza, który swój organ bardzo zręcznie, jako konkurencyę *Now. Wremieni*, prowadzi. Stoi też po niej na drugiem zaraz miejscu pod względem ilości abonentów. Z miesięczników najpoczytniejszy jest *Wjestnik Jewropy*, organ liberalny.

Obok prasy stołecznej kwitnie w obrębie caratu liczne dziennikarstwo, którego poziom moralny jeszcze niższy, a ataki na wszystko co nierosyjskie jeszcze są gwałtowniejsze. Przedewszystkiem wychodzi w caracie około pięćdziesiąt różnych *Jeparchialnych Wjedomosti*, których zadaniem jest szerzyć i utrzymywać ducha pobożności wśród owieczek pojedyńczych archirejów. Opowiadają więc np. często o cudach, które tu i ówdzie za dotknięciem prawosławnego obrazu lub figury się wydarzają. Dla urozmaicenia zamieszczają też inne artykuły, tak np. dyalog między dwoma osobami: Kto założył prawosławie i był pierwszym popem? — Odpowiedź: Jezus Chrystus. By zaś liberalna prasa nie drwiła sobie z tego rodzaju piśmideł, pilnuje cenzura, która wszelkiej polemiki z teologicznem dziennikarstwem surowo zabrania.

Z gazet politycznych, nie wychodzących w stolicy, wymienia książka mianowicie *Warszawski Dniewnik* p. Wsiewołoda Krestowskiego, organ Hurki, bezwstydnie napadający na każdy objaw polskiego życia. Polskiej prasie poświęca autor tylko kilka słów, zaznaczając jej nadzwyczaj ciężkie położenie i ciągłe szykany ze strony policyi i cenzury, która np. nawet biurom redakcyjnym utrudnia odbiór zagranicznych gazet. Podobnem nazywa p. Nagradow położenie uczciwych niemieckich dzienników w prowincyach bałtyckich, gdzie prócz tego rząd z własnych funduszów utrzymuje osobną prasę gadzinową, szerzącą między chłopstwem nienawiść do niemieckich baronów. W zeszłym roku podczas cholery rozpowszechniano wiadomość, że chorobę tę sprowadzili baronowie, by wygubić biednych Łotyszów.

Najłagodniejszą, a nawet zupełnie łagodną jest cenzura teatralna. Byle nie było mowy o polityce, wolno każdemu bawić się, jak mu się podoba. Wspaniałomyślność rządu dochodzi tu do takiego stopnia, że daje nawet subwencyę teatrom warszawskim. I któż jeszcze może zaprzeczyć, że Rosya nie proteguje sztuki polskiej?

Pogarda, której pełna jest święta Rosya dla zgniłego Zachodu,

nie przeszkadza, że z jednej strony boi go się ona niepomiernie, z drugiej dba w wysokim stopniu o jego opinie. Przeciwko napływowi „fałszywych myśli“ do kraju, ma ona dwa sposoby. Jednym z nich jest t. zw. czarny gabinet, w którym podejrzane listy są otwierane, czytane i stosownie do treści wysyłane dalej lub wstrzymywane; drugim, równie czarna... smoła, którą pendzel cenzora zasmarowuje niemiłe ustępy w dziennikach zagranicznych. W celu zaś zamydlenia oczu narodom europejskim posługuje się Rosya za granicą po części własnemi organami, jak w Brukseli wychodzącym *Le Nord,* a po części korzysta z przekupnych dzienników, których nie brak w europejskich stolicach, i umieszcza w nich swe zdania i artykuły. Pośredniczą zwykle w tego rodzaju manipulacyach nieoficyalni agenci polityczni, których Rosya we wszystkich ważniejszych punktach Europy utrzymuje. Dowiadujemy się, że pomiędzy nimi są także damy, jak np. słynna pani Nowikowa, przyjaciółka Gladstona, najżarliwsza opiekunka uciśnionych Irlandczyków, a równocześnie nieprzyjaciółka szczęśliwych i wolnych, a jednak niezadowolonych Polaków.

Opieka ta nad opinią publiczną za granicą, oddaje Rosyi czasem rzeczywiste usługi. Kiedy Jacobsohn ogłosił tajne dokumenta, pochodzące z rosyjskiego poselstwa w Bukareszcie, i między innemi wykryto, że suma 100.000 rubli, którą car z własnej kasy jako prezent Al. Battenbergowi posyłał, utonęła w rękach dygnitarzy pośredniczących w tej sprawie: natenczas kilka z najpoczytniejszych gazet europejskich faktu tego wprawdzie zaprzeczyć nie mogło, ale pominęło go zupełnem milczeniem.

Tyle o prasie jawnej, wychodzącej pod okiem władzy; ale jest i istnieje szeroko rozgałęziona prasa nielegalna, socyalistyczna lub nihilistyczna, której charakter oczywiście całkiem jest odmienny. W podziemnych drukarniach niema cenzury, niema też bizantyńskich wykrętów i zdań między liniami. Tam myśl i słowo wolne aż do szaleństwa, szlachetne utopie pomieszane ze zbrodniczemi zamiarami, chaos pojęć zupełny.

Tak więc u góry jak i w dole, w prasie oficyalnej jak i w nihilistycznych pamfletach: wszędzie widać skutki despotyzmu, który jest wykwitem zepsutych stosunków społecznych. Wszystko wysuszające tchnienie prawosławia utrzymuje kraj i ludzi w śnie magnetycznym, z którego się budzą, nie do pracy społecznej i cywilizacyjnej, lecz do dzikich wybuchów stłumionego i skrzywionego pojęcia wolności.

Przyszłość Rosyi widzi autor w upadku tych czynników, które ją dziś charakteryzują, tj. czynownictwa i propagandy rusyfikacyjnej, a w przyjęciu austryackiego systemu narodowej autonomii dla polskich lub niemieckich części państwa.

Autor, choć rosyjskie nosi lub przybiera nazwisko, dla nas dosyć sympatycznie jest usposobiony; powołuje się on nawet w wielu miejscach na znakomite dzieło O. Stanisława Załęskiego o „Nihilizmie w Rosyi".

Po tem wszystkiem zamykamy jego książkę z uczuciem przygnębienia. Obraz, który nam daje o Rosyi, jest tak ponury, że — bodaj tylko zmienić nazwiska — a przenosi nas myślą w gorsze czasy rzymskiego imperyum.

F. Morawski.

Le livre d'or de Jeanne d'Arc. Bibliographie raisonnée et analytique des ouvrages relatifs à Jeanne d'Arc... depuis le quinzième siècle jusque à nos jous, par *Pierre Lanéry d'Arc.* Paris. Techener. Aix, 1894. (In 4^0, p. XXVIII, 1008 et 170 gravures. Tiré à petit nombre). Prix: 30 fr.

Niedawno dopiero ucichły we Francyi pełne radosnego uniesienia uroczystości z powodu wdrożenia sprawy beatyfikacyjnej Dziewicy Orleańskiej, a już coraz to nowem echem w malarstwie, rzeźbie i literaturze różnych narodów odbija się prześliczna postać „Oswobodzicielki" uciśnionej Francyi. Bynajmniej nie dziwimy się temu objawowi, i owszem — dziwić się i bolećby należało, gdyby inaczej było; przecież, jak długo patryotyzm i szlachetne uczucia nie zamarły w sercach, a narody w pomrocznych dniach niedoli umieją jeszcze patrzeć w przewodnią gwiazdę Opatrzności: ideały takie z porywającym czarem cisną się zawsze i na usta i pod pióro, pod pendzel i dłuto artysty.

Oczywiście, w danym wypadku żaden naród nie przewyższy Francuzów w apoteozie dziewiczej ich bohaterki z Dom Remy. Istny to *embarras de richesse* chcieć zebrać wszystko, co napisano i co się pisze o niej; by atoli jakie takie czytelnikom dać o tem wyobrażenie, przytoczymy bodaj niektóre tylko publikacye o tym przedmiocie:

Studya historyczne i monografie: *Jeanne d'Arc telle qu'elle est,* par Jules Doinel. „Dziewica Orleańska", przez Karola Libelta. *Les procès de Jehanne la Pucelle,* par André du Bois de la Villerabel. *Jeanne d'Arc,* par Paul Corbani. *Jeanne d'Arc,* par Henri Blaze de Bury. *Jeanne d'Arc in der Geschichte, Legende, Dichtung,* von Richard Mahrenholtz, i t. d. i t. d.

Apologie: *La paysanne et l'inspirée*, d'après ses aveux, les témoins oculaires et la libre pensée, par le P. Ayroles S. J. *La Pucelle devant l'Eglise de son temps*, tegoż autora. *Mémoires et consultation en faveur de Jeanne d'Arc... d'après les manuscrits authentiques* publiés pour la première fois par Lanéry d'Arc. *La Vierge lorraine Jeanne d'Arc, son histoire an point de vue de l'héroisme, de la sainteté et du Martyre*, par M. de Chabannes. *Les apparitions et la mission divine de Jeanne d'Arc devant la critique rationaliste*, par l'Abbé Hatte i t. d.

Ze stanowiska narodowościowego i geograficznego: *Recherches sur la nationalité de Jeanne d'Arc*, par l'Abbé Noilot. *Jeanne d'Arc et le sentiment national* (1412—1431, 1870—18**), par Charles Lemire. *Jeanne d'Arc considérée an point de vue franco-champenois*, par Et. Georges. *Etude géographique sur Dom Remy*, pays de Jeanne d'Arc, par J. Ch. Chapellier. *Jeanne d'Arc restauratice de l'unité française*, par J. Lemann.

Ze stanowiska strategii: *L'art militaire dans la première partie du quinzième siècle. Jeanne d'Arc tacticien et stratégiste*, par Paul Marin.

Ze stanowiska poezyi i sztuki: *Jeanne d'Arc*, drame par J. Fabre. *Die Jungfrau von Orleans*, von Schiller. *Jeanne d'Arc au théatre* (1439—1890), par Le Comte de Puymaigre. *Le Mystère du Siège d'Orleans*, par A. d'Avril. *La Jeanne d'Arc de Foyatier*, drame lyrique par J. Loiseteur. *Jehanne d'Arc*, chronique rimée par Baron F. de Barghon. *Jeanne d'Arc*, poëme héroi-épique en 12 chants par F. P. Polydore — i t. d. i t. d.

Jest to tylko nieznaczna odrobina, wyrwana z tego, co nam na 30 stronicach ogłasza w świeżo wydanem swem dziele *(Livre d'or de Jeanne d'Arc)* pan Lanéry d'Arc. Już sama osoba autora zaciekawia: bo jeśli do osobliwości liczymy potomka Paleologów albo Krzysztofa Kolumba, to nie co innego powiedzieć wypada o prawdziwym krewnym Joanny d'Arc, jakim właśnie jest p. Lanéry d'Arc. Prócz tego tak się zdarzyło, że druk tego obszernego dzieła o Dziewicy Orleańskiej (jak czytamy na ostatniej stronie) w tym samym dniu się zakończył (27-go stycznia 1894 r.), kiedy sprawę beatyfikacyi zaczęto w Rzymie urzędowo traktować.

Autor nazywa swe dzieło katalogiem metodycznym, opisowym i krytycznym: jest to atoli coś więcej; jest to i dzieło historyczne, i pomnik artystyczny, i zbiór literacki, a cenny. Co zrobił dla uczczenia Dantego Carlo del Balzo rozpoczęciem olbrzymiej publikacyi: „Poezye tysiąca autorów o Dancie Aligheri", to zrobił dla uwiecznienia Joanny d'Arc p. Lanéry d'Arc. Cokolwiek pisano dotąd w tych kilku stuleciach (1429 — 1894) o chwalebnej *Pucelle d'Orléans*, odszukał, wspomniał, należycie sklasyfikował i ocenił.

Livre d'or dzieli się na dwie części: „Joanna d'Arc w histo-

ryi“ i „Joanna d'Arc w poezyi, muzyce i dramaturgii“; pierwsza zaś część ma dwa podporządkowane działy: dzieje w ogólności i monografie... Oto pobieżny rzut oka na treść dzieła: 1600 studyów historycznych, 46 epicznych poematów, 410 rozmaitych poematów lirycznych, 205 dramatów wierszem lub prozą, 18 dramatów lirycznych, 21 oper i t. d. i t. d. Co prawda, to trzeba przyznać, że praca to nietylko olbrzymia, ale uskuteczniona na podstawie zdrowej krytyki i dobrego smaku, a pełna rzetelnej zasługi wobec tylu racyonalistycznych potwarców i tuzinkowych piśmideł, co chcą zedrzeć wszelką nadprzyrodzoną aureolę z czoła tej wybranej dziewicy. Dodajmy, że 170 zajmujących ilustracyj zdobi to wytworne dzieło.

Ks. Władysław Czencz.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Crispi i Carducci. — Rocznica zajęcia Rzymu. — Pojedynki w armii austryackiej. — Mowa kardynała Vaughana. — Kościół katolicki w Danii.

CRISPI I CARDUCCI. Neapolitańska mowa Crispiego — o której pisaliśmy już w poprzednim zeszycie — dużo narobiła wrzawy, wielu włoskim dziennikarzom popsuła humory; innych, praktycznych skutków, jak dotąd przynajmniej, nie przyniosła. Na niespodziewany ten zwrot, choć nie w czynach, to przynajmniej w słowach, wiele złożyło się przyczyn; wchodzi tu w grę bojaźń przed możliwem zbliżeniem się Niemiec do Francyi; wchodzi w grę niepewność, jaki obrót weźmie papieska polityka po przyszłem *conclave;* decydującą rolę odgrywa zbyt usprawiedliwiony strach przed rosnącemi z dnia na dzień w liczbę i siłę stronnictwami, dążącemi do fundamentalnego politycznego i socyalnego przewrotu. Dawniej już zwierzył się Crispi w prywatnej rozmowie jednemu z przyjaciół: „Do wyjścia z niebezpiecznej choroby, która nas dręczy, trzech nam potrzeba warunków: reorganizacyi finansów, zbliżenia się do Paryża, pokoju z Papieżem". Bardzo słusznie, — ale warunków tych nie zdobędzie się, katolików się nie pozyska i nie poprowadzi do urny kilku, choćby najszumniejszemi frazesami; innych na to trzeba gwarancyj, a tych znowu

Crispi, dawny niewolnik sekty, dać nie chce, i podobno nie może. Dlatego neapolitańska przemowa jest tylko jednym epizodem więcej, epizodem ciekawym, ale bez praktycznego znaczenia, w smutnej historyi stosunków państwa do Kościoła we Włoszech.

Drugim takim epizodem, ściśle z pierwszym złączonym, jest mowa, którą głośny autor „Hymnu na cześć szatana", Jozue Carducci, wygłosił w San Marino. „Piewca szatana", jak Carducci'ego we Włoszech nazywają, był zawsze wiernym, aż do śmieszności wiernym satelitą Crispiego. W młodości Crispi opiewał Przen. Sakrament i św. Rozalię, Carducci układał wiersze na uroczystość Bożego Ciała; później Crispi przywdziewał kolejno togę republikanina i monarchistyczny mundur, Carducci obstalowywał sobie w tej samej kolei te same stroje: z piewcy rzeczypospolitej przedzierzgnął się w nadwornego poetę królowej; Crispi uderzył czołem w Palermo przed boginią rozumu, Carducci powtórzył ten sam pokłon w Bolonii; konsekwentnie i teraz, gdy Crispi zawołał w Neapolu: „Z Bogiem i królem za ojczyznę!", carducciowskie echo odezwało się w San Marino. I tu znowu, wśród niezmiernego zdziwienia słuchaczy, padły słowa o Bogu, o konieczności skupiania się pod sztandarem wyższych ideałów w walce przeciw barbarzyństwu, które usiłuje zalać społeczeństwo, zniszczyć cywilizacyę. Mgliste to jeszcze słowo, lecz niemniej charakterystyczne w ustach Crispich, Carduccich, a wszystkie okoliczności na uwagę wziąwszy, humorystycznym jest dziękczynny telegram Crispiego do san-marińskiego mówcy:

Męskie twe słowa dodają mi otuchy w chwili, w której szalone nauki dążą do osuszenia serc i doprowadzenia społeczeństwa do bezprzykładnego barbarzyństwa. Dziękuję z całej duszy.

ROCZNICA ZAJĘCIA RZYMU. Czy Crispi pomyślał, czy zdaje sobie sprawę, kto właśnie najusilniej włoskie społeczeństwo do barbarzyństwa prowadzi? Urządzane rokrocznie manifestacye w rocznicę zajęcia Rzymu, 20 września, przybierają coraz wyraźniej wszystkie cechy nieudanej farsy. Tego roku farsa ta wzbudziła

niesmak nawet u najzagorzalszych zwolenników zjednoczonych Włoch.

„Jakże miłemby nam było, — ubolewa *l'Italie* — gdybyśmy mogli nakreślić entuzyastyczny artykuł o dzisiejszej pamiętnej rocznicy; niestety! sumienie nam na to nie pozwala. Nieudolność, czy złośliwość tych, których obowiązkiem byćby powinno bronić i opiekować się Rzymem; nieudolność, umysłowa ciasnota rządu, który nigdy zrozumieć nie umiał, jakie znaczenie ma Rzym, stolica Włoch; zachęcał zawsze wszystkie błędy a stawiał zapory mądrym, godności miasta odpowiadającym usiłowaniom — wytworzyły ostatecznie takie położenie, że nawet najświetniejsze patryotyczne rocznice przechodzą w milczeniu, niezauważone. Rzym jeden, jedyny między większemi miastami włoskiemi, zostaje w zapomnieniu, zaniedbaniu, powiedziećby można: w pogardzie; nikt nie zważa na straszne jego cierpienia. Od czasu do czasu rzuca mu się zdawkową monetę słów górnobrzmiących, ale nie prowadzących do niczego; wzgardzony żebrak mści się za to swą obojętnością w dniach uprzytomniających najbardziej pamiętne zdarzenia naszej historyi. Ma do tego wszelkie prawo; i nie odważylibyśmy się brać mu tego za złe“...

POJEDYNKI W ARMII AUSTRYACKIEJ.

Przed paru miesiącami poruszyło bardzo żywo opinię w całej Austryi, a w szczególności w Tyrolu, nagłe przeniesienie kapelana wojskowego Skacela z Insbruku do Bośnii. Przeniesienie to uważano powszechnie jako karę, nałożoną na ks. Skacela za to, że odmówił stanowczo wziąć udział w pogrzebie doktora wojskowego Wagnera, który padł w pojedynku. Wątpić nie można było na chwilę, że ks. Skacel postąpił sobie ściśle tak, jak mu przepisy kościelne i sumienie nakazywały; co więcej, biskup polowy, ks. Belopotoczky, oświadczył publicznie, że insbrucki kapelan zastosował się tylko do wyraźnego jego polecenia; wobec tego nagłe owe przeniesienie do Bośnii musiało wywrzeć tem dziwniejsze i przykrzejsze wrażenie. Zainterpelowany w tym względzie w delegacyach minister von Krieghammer, wystąpił przeciw mniemaniu, jakoby przeniesienie do Bośnii uważanem być mogło za jakąkolwiek

karę; wprost zaprzeczył, jakoby zamierzał ukarać ks. Skacela za jego postępowanie. Oświadczenie to przecięło naturalnie dalszą dyskusyę o pojedyńczym tym wypadku; ale sprawa ks. Skacela dostarczyła pożądanej okazyi do ogólnego poruszenia na nowo, nieraz już dotykanej, nigdy naprawdę nie rozwiązanej kwestyi pojedynków w armii. Opat Treninfels przedłożył tę kwestyę w długim, bardzo spokojnym, a zarazem bardzo gruntownym wywodzie.

„Rzeczą jest powszechnie wiadomą, że oficer, który nie chce przyjąć pojedynku, a nawet w pewnych wypadkach nie chce go wydać, musi złożyć swą szarżę. Cóż to innego, jak systematyczny przymus pojedynkowy; przymus, przeciw któremu podnieść musimy jak najenergiczniejszy protest! Utrata oficerskiej szarży, to jedna z najsurowszych kar; jeśli kara, trzeba na nią zasłużyć, bo inaczej chwieją się sameż podstawy prawa i państwowego porządku. — A czyż nieprzyjęcie pojedynku jest czemś istotnie karygodnem? Czy pojedynek jest odpowiednim środkiem do naprawienia ujmy zadanej honorowi? Pojedynek nie zgadza się ani z rozumem, ani z przepisami moralności; wykracza przeciw prawu cywilnemu i wojskowemu, staje w jawnem przeciwieństwie z przepisami religii katolickiej. Zadaniem armii jest i być powinno stawać w obronie prawa i wywalczać dlań należne uznanie; jakże protegowanym ma być w niej przesąd, który z prawami, z rozumem stoi w sprzeczności? Ale może — zarzuci mi kto — zapatrujesz się na całą tę sprawę przez czarne, księże okulary? W odpowiedzi na ten zarzut pozwolę sobie przytoczyć zdanie, pochodzące nie z księżych kół, ale właśnie z wojskowych, i to najbardziej kompetentnych do wydania odpowiedniego sądu. Odpoczywający już dziś w pokoju arcyksiążę Karol pisał:

„Pojedynki uważam za pozostałość z owych dawnych, nie znających cywilizacyi wieków, w których każdy mniemał, że jest uprawnionym do wywalczania sobie siłą należnego prawa. Sprzeciwiają się one wręcz wszelkiemu porządkowi, i dlatego obowiązkiem jest władzy państwowej nie dopuszczać ich. Liczba pojedynków zwiększa się w armiach w tej samej mierze, w której

karność wojskowa się zmniejsza; im karność w jakim pułku bardziej rozluźniona, tem większa w nim liczba pojedynków. Wszelkiego rodzaju sprzeczki czy kłótnie powinienby załatwiać sąd honorowy, którego obowiązkiem byłoby starać się dla obrażonego o zadośćuczynienie i na winnego wymierzać karę; a kara ta w pewnych wypadkach mogłaby się rozciągać aż do wydalenia ze służby... Projekt ten nie zgadza się wprawdzie z niejednym przesądem, który uzyskał sobie prawo obywatelstwa; lecz czyż dość silny to wzgląd, aby odstraszyć władzę państwową od chwycenia się środków, których domaga się dobro powszechne, sprawiedliwość, społeczny postęp, walka z fałszywemi przesądami, karność wojskowa?"...

„Do tych słów nie mam nic do dodania. Pozwolę sobie tylko polecić najgoręcej całą tę sprawę J. E. Ministrowi wojny i poprosić go, aby ze swojej strony dołożył należnego starania i położył wreszcie koniec temu stanowi rzeczy, rzucającemu plamę na Austryę, bo rzeczą niegodną jest wypędzać oficera z wojska dlatego, że wyżej sobie ceni Boga, aniżeli nierozumny zabobon".

Co na to odpowiedzieć, czy i jak pojedynku w wojsku bronić, jak usprawiedliwić panujące w niem w tym kierunku „barbarzyńskie" zwyczaje? Kiedy w kwietniu b. r. podniesiono te same pytania w wiedeńskim rajchsracie, minister obrony krajowej, hr. Welsersheimb, przyznał bez ogródek, że interpelanci mają najzupełniejszą racyę, nazywając pojedynek nonsensem; ale zarazem dodał, że dopóki prawodawstwo i sameż społeczeństwo nie postara się o udzielenie innej jakiej odpowiedniej satysfakcyi obrażonemu honorowi, nonsens ten dalej bujnie krzewić się będzie i krzewić się musi. Na odpowiedź tę odwołał się obecnie minister wojny, br. von Krieghammer, przyjmując ją bez zastrzeżeń, jako wyraz własnych swych zapatrywań; a niebawem wygłosił ją znowu w nieco odmiennych wyrazach sprawozdawca zwyczajnego budżetu wojskowego, hr. Stanisław Badeni.

„Bez wątpienia — stwierdzał polski mówca — pragniemy wszyscy, aby jaskrawa sprzeczność, jaka zachodzi odnośnie do pojedynków między zwyczajem panującym w armii a przepisami

prawnemi i nakazami religii katolickiej, z dnia na dzień się zmniejszała; — inne pytanie, czy właściwą drogą do tego celu być może drastyczne wydobywanie na jaw tej sprzeczności w parlamentach. Rozwiązanie tej kwestyi nie zależy jedynie od zarządu wojskowego; całe społeczeństwo do tego rozwiązania musi się przyczynić. Dopokąd w pozawojskowem społeczeństwie sądzić będzie i wyroki wydawać bezimienny sąd honorowy, zowiący się opinią publiczną, i dopokąd sąd ten podpisuje wyrok potępienia na każdego, który wzbrania się zażądać lub udzielić rycerskiej satysfakcyi; dotąd nie można też słusznie domagać się od wojskowych sądów rozjemczych, ażeby ferowane przez nie wyroki brzmiały inaczej niż dotychczas. Głównie i przedewszystkiem trzeba postarać się dziś o zmianę istniejącego w społeczeństwie pojęcia o honorze i obowiązkach doń przywiązanych, a następnie dopiero można zwrócić się do kół wojskowych z żądaniem, aby i one ze swej strony zastosowały się do tego nowego punktu widzenia".

Wszyscy zatem mówcy, tak ci co przemawiają z poza rządowego stołu, jak występujący w imieniu ludności i poszczególnych jej warstw, zgadzają się, że „pojedynek w wojsku jest nonsensem"; ale obaj ministrowie, ale delegacyjny sprawozdawca dodają zaraz: „Na razie, ani myśleć nie można o usunięciu z armii tego nonsensu". Dlaczego? Bo pierwszy krok, bo walka z tym głupim przesądem — brzmi jednomyślna odpowiedź — należy nie do wojska, tylko do reszty społeczeństwa. A gdyby tak tę samą zasadę zastosować do innej materyi; gdyby np. ktoś wystąpił z teoryą, że pewnemu pułkowi, czy szwadronowi, niepodobna brać za złe kradzieży, lub grabieży, ponieważ stacyonuje w okolicy, gdzie kradzież i grabież należy do miejscowych zwyczajów; czy i wtedy zainterpelowani ministrowie broniliby się: „Poprawcie najprzód społeczeństwo, a później dopiero występujcie z pretensyami do wojska!"... Czy może właśnie przeciwnie, słusznieby od nich nie żądano i sami z naciskiemby nie żądali: „Wojsko ma świecić przykładem i dlatego zwierzchność wojskowa musi tem surowszemi karami od kradzieży odstraszać, im większa sposobność zarażenia się złym przykładem i utra-

cenia w tym kierunku moralnego zmysłu". Niedość na tem. Społeczeństwo wogóle hołduje pojedynkowemu przesądowi, i to zapewne jest nie dobrze; wojsko nietylko mu hołduje, ale do hołdu tego przymusza, a różnica to przecież znaczna. Charakterystycznem jest, że żaden z mówców, stających w obronie „zgubnej, nierozumnej, nieloicznej" — jak ją sami piętnowali — wojskowej praktyki pojedynkowej, nie odważył się na seryo z różnicą tą rozprawić, pomimo że ona właśnie była główną osią, koło której obracało się przemówienie ks. Treninfelsa. Dodajmy, że wojsko podlega daleko większej karności, niż społeczeństwo cywilne; w wojsku więc daleko łatwiej może być nakaz dany z góry i daleko skuteczniej uchylić praktykę, którą wszyscy uznają za zgubną. Trudniej jeszcze zrozumieć, dlaczego parlament czy delegacye nie miałyby być odpowiedniem forum do wydobywania na jaw, do naradzania się, jak zapobiedz takim „zgubnym", takim „nieloicznym", z religią, z istniejącemi prawami sprzecznym zwyczajom? Jakiż wtedy mają cel, jaką racyę bytu sejmy, parlamenty, delegacye? Chcieć zostawić samemu społeczeństwu inicyatywę, jest to odsyłać sprawę *ad calendas graecas*.

MOWA KARDYNAŁA VAUGHANA. Zwołany do Prestonu przez „Katolicki związek Prawdy" doroczny wiec angielskich katolików zagaił kardynał Vaughan ważną i ciekawą mową, która odbiła się żywem echem w całej angielskiej prasie, a spodziewać się można, że stanowczo wyjaśniając niejedno błędne pojęcie, dając odpowiedź na ze wszech stron poruszane pytania, przyspieszy i tak już dość żywy ruch ku katolicyzmowi. „Mówi się dziś wiele — tłumaczył kardynał — o zjednoczeniu wszystkich religij; pragnąć dążyć do takiego zjednoczenia, a pozostawiać na boku Kościół katolicki z należącymi doń 240 milionami wyznawców, byłoby niedorzecznością. Ale kiedy ludzie stojący poza obrębem Kościoła katolickiego mówią o powrocie do jednej owczarni, to mają nieraz na myśli przeróżne wzajemne koncesye i kompromisy. Kościół katolicki, choćby nawet nadal miał być w Anglii oskarżanym o despotyzm, pomawianym o nietolerancyę, wyznać

musi otwarcie, że ani na jednym punkcie dogmatycznym najmniejszego ustępstwa uczynić nie może i nie myśli, bo opiera się na dogmacie, jako na węgielnym swym kamieniu. Na co Kościół w pewnych okolicznościach, stosownie do potrzeb czasu i dla większego dobra dusz może się zgodzić, to, na pewne zmiany w swej dyscyplinie i kościelnem prawodawstwie. Tak np. Kościół ma najzupełniejszą władzę zaprowadzić pewne zmiany odnośnie do celibatu księży, komunii pod dwiema postaciami, liturgii, języka liturgicznego. Wzgląd więc na język, czy na liturgię, nie może powstrzymać kościoła anglikańskiego od zlania się z Kościołem powszechnym; nie powinien powstrzymywać tem bardziej, że anglikanizm nie ma w sobie warunków życia i fatalnie dąży do rozkładu. Dziś już zapomniał on o kilkudziesięciu artykułach dawnego swego symbolu; zapożyczyć sobie musiał od katolików cały szereg ceremonij, zaprowadzić w ich ślady mnóstwo, na nieszczęście wyłącznie zewnętrznych reform, aby przynajmniej uratować pozory; patrzeć musi, jak coraz to inne i inne sekty w łonie jego się tworzą. Jakże inaczej wygląda, jak odmienną jest historya i rozwój Kościoła katolickiego! Opatrzność prowadzi nas cudownie, prowadzi do połączenia się w jedność rozdwojonej braci; ale zjednoczenie to, o którem dziś tylu marzy, nie da się osiągnąć, jak tylko na gruncie katolicyzmu".

KOŚCIÓŁ KATOLICKI W DANII.

I w Danii, przez tak długie lata szczelnie zamkniętej dla katolickiej wiary, rozwija się ona powoli, ale bezustannie. Kiedy dzisiejszy wikaryusz apostolski przybył w r. 1860, jako dopiero co wyświęcony ksiądz, do Kopenhagi, zastał w całej Danii 4 księży i około 600 wiernych; dziś liczba katolików doszła do 6000, kapłanów pracuje około 30, z tych mniej więcej połowa księży świeckich, zajętych apostolską pracą po parafiach, a połowa Jezuitów, utrzymujących dwie szkoły: gimnazyum w Ordrup i szkołę realną w Kopenhadze. Rocznie pozyskuje Kościół katolicki około 300 konwertytów, między nimi wielu, którzy największych ofiar nie szczędzą, byle odpowiedzieć głosowi łaski. Największą część tych szczęśliwych stanowią, jak

zawsze i wszędzie, prostaczkowie, ubodzy; ale nie brak też ludzi zamożnych, wpływowych, uczonych. Tak np. w ostatnich latach przeszli na łono Kościoła: były przywódca opozycyi w parlamencie, hr. Holstein-Ledreborg z całą rodziną; duński poseł w Paryżu, hr. Moltke-Huitfeld; blizka krewna dzisiejszego prezesa ministrów, jenerałowa Bülow; siostra ministra oświaty, br. Stampe-Nysoe; baronowa Rosenoern-Lehn; hrabina Ahlefeldt-Kjaersgaard; Rantzau-Rosenfeld; baronowa Beaulieu i Wedell-Jarlsberg; liczni członkowie zaszczytnie znanych rodzin Scaveniusów, Hahnów, Hedemannów; uczony wydawca greckich Ojców Kościoła: Hoefding Muus, malarz Albert Küchler, rzeźbiarz Karol Hartmann, cała rodzina bardzo cenionego historyka prof. Troelsa Lunda i t. d. i t. d. Istniejący od 42 lat tygodnik przedstawia i broni katolickich interesów; na pismo codzienne dotąd duńscy katolicy zdobyć się jeszcze nie mogli, ale nie tracą nadziei, że niebawem się zdobędą.

Ks. Jan Badeni.

Katolickie stronnictwo ludowe w Szwajcaryi.

Coraz bardziej na porządku dziennym stoją rozmaite stowarzyszenia socyalno-katolickie, z któremi inne, mniej lub więcej im wrogie stronnictwa coraz więcej rachować się muszą. Myślą przewodnią takich stowarzyszeń jest skupianie się i łączenie w duchu chrześcijańskiej miłości, jak ogniwa jednego łańcucha, dla solidarnej obrony lub poparcia tego, co stanowi najwyższe wspólne dobro. Stowarzyszenia takie istnieją już od dawna w Niemczech i innych krajach. W Szwajcaryi od dawna już dawała się uczuwać potrzeba lepszej i ściślejszej organizacyi katolików. Niejednokrotnie też odzywały się tam głosy, domagające się ześrodkowania sił katolickich pod jednym wspólnym sztandarem. Wreszcie, jak to donoszą w ostatnim zeszycie *Historisch-politische Blätter*, dnia 12 sierpnia b. r. zebrało się w Lucernie 70-ciu delegatów z rozmaitych zakątków Szwajcaryi, którzy pod pięknem godłem: „Za prawdę, prawo i wolność“, utworzyli tak zwane „Katolickie ludowe stronnictwo“ z następującym statutem:

§ 1. Katolickie ludowe stronnictwo w Szwajcaryi jest zjednoczeniem kantonalnych konserwatywnych frakcyj w celu jednozgodnego działania w dziedzinie polityki wewnętrznej.

§ 2. Kantonalne frakcye stronnictwa zachowują wobec polityki kantonalnej stanowisko zupełnie niezależne; muszą one jednak nadać sobie pewną organizacyę i zawiadomić o niej komitet stronnictwa.

§ 3. Organami stronnictwa są: 1) Wiec stronnictwa i 2) Komitet stronnictwa.

§ 4. Wiec stronnictwa składa się:

1) Z członków frakcyi katolicko-konserwatywnej;
2) Z delegatów pojedyńczych kantonalnych frakcyj, które na każde 2000 członków wysyłają jednego delegata;
3) Z delegatów związków międzykantonalnych, których cel i działalność zgadza się najzupełniej z niniejszym statutem. Na każde 2000 członków tych związków wypada również jeden delegat. Pomniejsze związki, liczące 1000 i więcej członków, mają także prawo wysyłać jednego delegata.

§ 5. Wiec ma się odbywać zwyczajnie raz na rok, w miejscu i czasie oznaczonym przez komitet stronnictwa; nadzwyczajne zaś wiece mogą być zwoływane przez komitet albo z własnej jego inicyatywy, albo też na żądanie pięciu kantonalnych frakcyj stronnictwa.

Porządek dzienny wiecu ma być ogłaszany przynajmniej trzy tygodnie przed jego rozpoczęciem.

Na porządku dziennym wiecu zwyczajnego stoi przedewszystkiem przegląd statutu, wybór komitetu, oznaczenie kwoty zwykłych wkładek do kasy stronnictwa, jak również przyjęcie lub wykluczenie kantonalnych frakcyj stronnictwa i międzykantonalnych stowarzyszeń lub związków.

Wykluczenie frakcyj stronnictwa i międzykantonalnych związków może nastąpić wówczas, gdy te ostatnie wykroczą jawnie przeciw zasadom stronnictwa, albo uchwałom wiecu. W tym razie większość stanowią dwie trzecie głosów, w innych zaś wypadkach rozstrzyga na wiecu zwykła większość głosów.

Głównem zadaniem wiecu jest badanie kwestyj, będących na porządku dziennym, i powzięcie odpowiednich uchwał.

Wystąpienie ze stronnictwa jest najzupełniej zostawione do woli.

§ 6. Komitet stronnictwa składa się z członków komitetu frakcyi konserwatywnej Rady związkowej, tudzież z dziesięciu członków, wybranych przez wiec stronnictwa. Prezes frakcyi konserwatywnej jest zarazem prezesem komitetu stronnictwa. W innych rzeczach komitet organizuje się według woli stronnictwa.

§ 7. Prezes zwołuje posiedzenie komitetu w miarę potrzeby, lub też na żądanie pięciu członków.

§ 8. Komitet stronnictwa jest zarazem wykonawczym jego organem, głównem zaś jego zadaniem jest: utrzymywać w odpowiedni sposób ciągłe stosunki z kantonalnemi frakcyami stronnictwa i międzykantonalnemi związ-

kami, aby we wszystkich ważnych kwestyach polityki wewnętrznej osiągnąć jednozgodne działanie stronnictwa.

§ 9. Komitet stronnictwa ma stałego sekretarza, którego sam wybiera i określa jego obowiązki.

§ 10. Za organa prasowe stronnictwa będą uważane te dzienniki, które przez kantonalne frakcye stronnictwa i międzykantonalne związki za takie uznane zostaną. Dzienniki stronnictwa obowiązują się ogłaszać bezpłatnie wszelkie wiadomości przesyłane im z polecenia komitetu.

§ 11. Fundusz żelazny stronnictwa tworzy się: *a)* z dobroczynnych datków i *b)* z rocznych wkładek kantonalnych frakcyj stronnictwa. Wkładki te wynoszą 10 franków na każdy tysiąc członków. Wiec stronnictwa oznaczy wysokość sumy, do jakiej ma dojść fundusz żelazny; skoro zaś ta suma będzie osiągnięta, wówczas wkładki obowiązkowe ustaną.

§ 12. Kantonalne frakcye stronnictwa, jak również związki międzykantonalne, które bądź same wystąpiły ze stronnictwa, bądź też z niego wykluczone zostały, nie mają żadnego udziału w jego funduszach.

Jakeśmy to wyżej zaznaczyli, głównym celem katolicko-ludowego stronnictwa w Szwajcaryi, podobnie jak wszystkich tego rodzaju stowarzyszeń, jest zespolenie jednomyślnych katolickich żywiołów dla obrony praw i swobód wyznawanej przez nie religii. Potrzeba takiego stronnictwa tem bardziej w ostatnich czasach stała się nagląca, że w kołach liberalnych zaczęto coraz częściej poruszać kwestyę szkolną. Tak naprzykład na zjeździe szwajcarskich nauczycieli i nauczycielek, odbytym w dniach 1—3 lipca b. r. w Zurychu, niejaki Schenk postawił wniosek, aby się jak najgorliwiej starać uwolnić szkoły publiczne ludowe od wszelkiego kościelno-wyznaniowego wpływu. Wniosek ten, niestety, przyjęto oklaskami przez większą część uczestników zebrania. To też i katolicy szwajcarscy pragną łączyć swe siły, aby mogli toczyć walkę z bezwyznaniową szkołą ludową i odnieść w niej zwycięstwo.

Prócz tego, to stronnictwo katolicko-ludowe w Szwajcaryi będzie się starało tamować rozmaite szkodliwe i zgubne prądy, nurtujące wśród robotniczej warstwy ludności. Wielu skrajnych socyalistów, a nawet anarchistów, obrało sobie w Szwajcaryi stałe siedlisko i zaczęło tam krzewić propagandę czynu z dewizą: „Precz z tronem, ołtarzem i kapitałem!“ Nic przeto dziwnego, że ludzie trzeźwo na rzeczy patrzący, doszli do przekonania, że tak strasznej klęski społecznej, jaką jest anarchizm, nie zdołają zażegnać żadne najsurowsze nawet prawa, dopóki się nie zatamuje źródło tego zła. Ponieważ zaś źródłem anarchizmu jest niewiara, ateizm, dlatego stronnictwo katolików szwajcarskich postanawia pracować połączonemi siłami nad ugruntowaniem i utrzymaniem wiary w łonie swego społeczeństwa.

Wreszcie stronnictwo to postawiło sobie za zadanie dokładać wszelkich starań w celu polepszenia bytu robotników, występując w roli rozjemcy między nimi a pracodawcami. Sam początek swego istnienia zaznaczyło ono już nader energiczną i skuteczną akcyą w tym kierunku; wskutek bowiem starań jednego z katolickich posłów i członków tego stronnictwa w kantonie St. Gallen weszła w życie wzorowa uchwała, w której przyjęto za *maximum* pracy dziennej dziesięć godzin, oraz wyjednano wiele innych słusznych ulg dla robotników.

Nawiasem dodać możemy, że utworzenie się katolicko-ludowego stronnictwa w Szwajcaryi wywołało straszną wrzawę w obozie szwajcarskich protestantów i liberałów. Krzyczą oni, że to jest rzucenie rękawicy ze strony katolików, a twórców jego obrzucają w swych dziennikach wcale niepoetycznemi epitetami. W rzeczywistości zaś żadnemu z katolickich delegatów, zebranych w Lucernie, nie przyszło nawet na myśl zakłócać wyznaniowego spokoju w swej ojczyźnie, pragną tylko utrzymać solidarność w własnym swym obozie, a w kwestyach dotyczących spokoju i bezpieczeństwa publicznego nawet chcą iść ręka w rękę z konserwatywnymi protestantami. Obrona wyznaniowości szkół, utrwalenie religijnej samowiedzy wśród katolickiej ludności, oraz łagodzenie społecznych nieporozumień — oto jedyne hasło, jakie młode to stronnictwo katolicko-ludowe w Szwajcaryi wypisało na swoim sztandarze i któremu nietylko jak najgoręcej przyklasnąć, ale i naśladowaćby je u nas należało.

T. Sopodźko.

Echo z misyj zagranicznych.

Rodak nasz, lekarz, Krakowianin, przeniesiony ręką Opatrzności na dalekie Południe, stęskniony za krajem, donosi nam niektóre, współczucie i podziwienie obudzające szczegóły o sobie i o misyonarzach.

Suez, 30 września 1894.

...W drugiej połowie miesiąca sierpnia, wypadkiem spowodowany krwotok sprowadził mnie do szpitala francuskiego w Suezie, który to szpital pozostaje pod opieką Sióstr Dobrego Pasterza. Przez kilka dni zupełnie utracono nadzieję, tak iż zaopatrzono mnie śś. Sakramentami. Ze strony ks. Barnaby Meistermanna doznałem wiele a wiele dobrego. Był on w Suezie przeorem Franciszkanów, przedtem długie lata w Chi-

nach, w ostatnich dniach pobytu mego w szpitalu przeniesiono go do Port-Said, wielkiego portu (największego) w Egipcie, co za wielkie odznaczenie uważać należy, bo jest to jedna z pierwszych misyj apostolskich za granicą; ściślej się wyrażając, jest to misya Ziemi Świętej, bo Egipt do tejże należy.

Franciszkanie w Palestynie i Egipcie szeroką a skuteczną i wydatną mają pracę; do nich bowiem przeważnie należą probostwa katolickie, szkoły ludowe i zawodowe; prawie we wszystkich językach odprawiają misye; funkcyonują na miejscach, gdzie niema lekarzy, aptekarzy i t. d., jako tacy. Olbrzymie parafie w Kairze, Port-Said i Aleksandryi niemało pracy wymagają. W Suezie, który jest mały stosunkowo, bo na 18.000 mieszkańców, niewiele więcej nad 1000 Europejczyków posiada, potrzeba jednak aż w siedmiu językach słuchać spowiedzi, tj.: w francuskim, maltańskim, arabskim, angielskim, włoskim, niemieckim i słowiańskim (niestety, od lat w tymże języku nie), a w wielkich trzech wyżwspomnianych parafiach i kazać w tyluż językach należy. W Port-Said, i Hiszpan, Holenderczyk lub Portugalczyk, nie znający innego języka, nieraz się nadarzy. Miejsce to powierzono właśnie zacnemu Ojcu Barnabie — jest on Alzatczyk rodem; na jego miejsce przybył z Port-Said O. Placyd, rodem z Prus Królewskich, nieco i polski język znający, a mówi dziesięcioma dobrze. Ojciec Barnaba tyle mi dobrego wyświadczył, że nie mam słów na opisanie tego. Dwukrotnie dziennie przychodził, i to przez parę tygodni, niosąc mi pociechę i ulgę. Bo też widział, jak strasznie cierpię, gdyż sił żywotnych prawie całkiem byłem pozbawiony. Duszność nie do opisania mnie męczyła, a tu upały na dworze od 38—44° Cels. wówczas panowały. A izba ciasna, duszna; okiennic szczebelkowych otworzyć nie można, bo palące gorąco zaraz wpływało i jeszcze więcej męczyło. Ciągle mi wstrzykiwano to sól, to eter, morfinę, kłóto i kłóto. Znosiłem wszystko cierpliwie; zarówno ks. B. jak Siostry widziały, że przy tylu cierpieniach słowo skargi z ust mych nie wyszło. Po kilkotygodniowym pobycie w szpitalu, wróciłem do hotelu — świeższe tu bowiem powietrze i mniej kosztów. Mimo leczenia, nogi mi puchną, i kto wie, czy przyjdzie jeszcze jaki krótki okres, w którym będę mógł czasowo imać się pracy. Ufam jednak głęboko Stwórcy, że jeszcze na tyle stan mój się poprawi, że choć krótko pracować potrafię. To minęło... i nie skarżąc się, oczekuję co będzie...

S. B.

Listy australskie polskiego emigranta.

(Ciąg dalszy).

Sydney, 7 sierpnia 1890.

Bóg zapłać za list! Pisze w nim Mateczka: „myślą starą może już bardzo nudzę". Otóż proszę sobie ze mnie nie żartować; toż listy Mateczki są dla mnie potrzebniejsze niż chleb powszedni; poczta europejska, która mi listu od was nie przywozi, zawsze mię niepokoi...

Przerwał mi pisanie biedny Sypn....., niegdyś majętny obywatel, dziś tak biedny, obdarty i opuszczony, że aż smutno nań spojrzeć. Bieda czysta i schludna jest u mężczyzny pół-biedą, lecz jakże straszną jest ta brudna, naga bieda! Pomagam mu czem i jak mogę, lecz trudno dużo uczynić, bo on też nie jedyny z potrzebujących Polaków w Sydney, a wszyscy do mnie „jak w dym" (jakeśmy w szkole mówili). Pomoc, którą każdemu udzielić mogę, choć nieznacząca na razie, że z jednej zawsze kieszeni pochodzi, bardzo okrągłą sumkę stanowi, a odmówić nie umiem.

Starałem się wszelkiemi siłami założyć tu „Towarzystwo wzajemnej pomocy" dla Polaków; wszyscy z zapałem propozycyę przyjęli. Zwołałem walne zgromadzenie na 2 b. m. dla omówienia i spisania, a właściwie poprawienia napisanych przeze mnie statutów, lecz zajęty własnemi interesami, niespodzianie nie mogłem pójść zgromadzeniu przewodniczyć, i to się stało, iż obrazili się, że „inicyator" nie przyszedł, co było napisane podarli i rozeszli się. Tak to podobno wszędzie z naszemi: buta, duma; choć w nędzy, to się odzywa niezapomniane *liberum veto!* Drugi raz już próbować nie będę, boby mnie za moje dobre chęci jeszcze ogadano...

...Niech się Matula dobrego lekarza zaradzi, bo nam Jej tak potrzeba! Rozbiegliśmy się wszyscy i rzadko do siebie nawet pisujemy, wiemy jednak o sobie, bo drogą Matkę mamy, która nas wszystkich kocha. Co do mnie, to wam powiem, że dziś, co mam zarobione w uczciwej pracy, to dlatego tylko, że gdy z Europy wyjeżdżałem, Matkę miałem, którą chciałem kiedyś odwiedzić i ucieszyć, bo miałem Matkę kochającą i dobrą, która mi zawsze listami swemi otuchy dodawała, bo miałem Matkę, którą tak kocham, że doprawdy wyrazić nie potrafię!...

Sydney, 8 września 1890.

Dziś parę słów tylko, by was uścisnąć i powiedzieć, żem żyw i zdrów; zresztą źle się u nas dzieje. Strejk! Marynarze i oficerowie

okrętów międzykolonialnych przestali pracować; cały handel i przemysł krajowy powstrzymany; na jak długo? — nie wiadomo. Osobiście mi to nie szkodzi, lecz zaszkodzić może pośrednio, jeśli trwać będzie.

U nas wiosna; winorośli zaczynają zielenieć; trzeba nam tylko jeszcze parę dobrych deszczów, a Grodno da mi już w tym roku dochód — przynajmniej robociznę opłaci.

Sydney, 25 września 1890.

Zadziwił mię, lecz bardzo mało obszedł list p. X. Y. z odmową kredytu, który mi przedtem obiecał; zadziwił postępek niekupiecki, bo „słowo się rzekło, kobyłka u płotu“ — a niewiele obszedł, gdyż nigdy na nic z pewnością nie rachuję. Co dalej będzie? — nie wiem; w jedno tylko proszę wierzyć, że niema przeciwności, któraby mnie złamała; bardzo mi będzie przykro i smutno przez dni parę, lecz jak pies z wody, tak ja ze smutku otrząsnąć się umiem; nie jednem, to drugiem dorabiać się dalej będę.

U nas tu jeszcze bieda; strejki wciąż trwają i rozruchy. Około 60.000 ludzi przestało pracować, stagnacya zatem w handlu i przemyśle ogromna. Jest to, jak sądzę, kwestyą paru tygodni jeszcze, kwestyą — jak długo niepracujący bez zarobku wytrzymać będą mogli. Gdy wszystko do porządku i spokoju wróci, interesa lepiej pójść powinny, niż kiedykolwiek...

Sydney, 15 października 1890.

Pisałem już, że się tu u nas źle działo: strejki, rozruchy, bójki i t. d. Rząd, by spokój i porządek w kraju o ile możności utrzymać, powołał 2500 ludzi na ochotnika, z których 200 do kawaleryi; i ja się do niej przyłączyłem temu dwa miesiące. Nie pisałem o tem, by Matki nie trwożyć; dziś już wszystko w spokoju; strejk się jeszcze wprawdzie nie skończył, lecz rozruchów już nie będzie. Wojaczka mi w moich interesach nie przeszkodziła, bo nas z miasta nie wysyłają, a roboty biurowej było nie dużo.

Posyłam wam fotografię moją w mundurze wojskowym i z koniem. Konik niewielki, ale dobry i ładny, a tak śmiały, że w ogień czy w wodę na nim lecieć można. Wstąpiłem do wojska dla dwóch powodów: 1) bo wojaczkę lubię, 2) z widoku na przyszłość, czyli dla popularności, jeśli bowiem w kraju tym zostanę, a interesa pójdą — wstąpię do parlamentu, a przy kandydaturze to mi się grubo przyda; jestem przecież „obrońcą ojczyzny!“ Jest to farsa, potrzebna jednak. — Za tydzień lub dwa wojsko rozpuszczą.

Interesa idą i pójdą. Buhrow do tej pory kupił i już wysłał za 82.000 mrk. towarów, za które gotówką zapłacił. Oleje obecnie pobieramy z Hamburga.

Dostaliśmy agenturę jednego z największych domów Europy: Sidoux, Siber et C⁰. (Kaszmiry francuskie, tu dobrze już znane i cenione).

Chodziłem dziś oglądać skład, który wynająć mam dla naszego przyszłego domu; 180 ff. rocznie, to nie drogo; jeśli mi go na lat trzy dadzą, najmę.

Za 11 miesięcy selekcya moja będzie wolną. Rząd oszacował ulepszenia, tj. dom, winnicę i t. d. na 1918 ff., nie licząc w to oczywiście wartości ziemi. Rząd szacuje ulepszenia, gdyż te stanowią jeden z warunków, pod któremi ziemię kupić wolno. — Mieliśmy przed kilku dniami duży wicher, który mi wiele poszkodził, nałamał bowiem dużo młodziutkich gałązek winnych, przez to zmniejszy się zbiór tegoroczny. Jadę jutro do Grodna na dni kilka.

Sydney, 3 listopada 1890.

Sydney poczyna wracać do dawnego spokoju; strejk się kończy, ja ze służby wystąpiłem cały na ciele i umyśle. Dziś wyjeżdża z Marsylii Buhrow, z powrotem do Australii.

Wysyłam znowu dla Matki pieniądze, z żalem, iż nie mogę tego czynić większemi kwotami, lecz czas, co wszystko leczy, może i temu zaradzi.

Sól z Europy, wątpię, czy się opłaci; dostawałem ją z Aden, ta się nie opłacała z powodu frachtu. Sól sprzedaje się tu 3 ff. za tonnę wagi w workach; w tej sumie wliczone wszystko: cło i fracht (1 funt od tonny). Dziegcie możeby poszły, w każdym razie próbki nieduże wartoby dostać.

Sydney, 17 listopada 1890.

...Buhrow będzie tu za trzy tygodnie, tj. około 5 grudnia; przyjeżdża z częścią towarów, które w Europie kupił, reszta po jego przyjeździe nadpłynie. Potrzebujemy dużych składów; otóż, z tem mam biedę, bo odpowiedniego nic znaleść nie mogę: jedne za małe, drugie za drogie; dobry kosztuje 675 ff. rocznie; moglibyśmy dostać i tańszy, ale nie chcemy wychodzić z centrum miasta, od położenia bowiem wiele w obecnym fachu naszym zależy. Musimy koniecznie być w York Street, i mieć duży dom własny. Od 1 stycznia 1891 r. chcemy zacząć, tj. nasz dom handlowy otworzyć.

Piszę w biurze, ciągle mi przeszkadzają — myśli zebrać nie mogę; kończę więc, przesyłając wam najlepsze i najserdeczniejsze życzenia na Rok Nowy.

Sydney, 28 grudnia 1890.

Stara firma już nie egzystuje. Buhrow 5 b. m. powrócił i przystąpił do spółki ze mną. Widoki nasze są świetne; czy się ziszczą? — w górze napisano! Buhrow, widzę to teraz, kompletnie różnego ze mną temperamentu: ogromnie żywy, ruchliwy i często się myli wskutek prędkości; ja powolny i lubiący spokój.

Dziś niedziela; święta Bożego Narodzenia spędziłem z pp. Buhrow w Grodnie; do miasta zaś naumyślnie przyjechałem, by napisać list do was w biurze, w spokoju, na jutrzejszą pocztę; alem się co do spokoju omylił: Buhrow przyszedł i przerywa mi pisanie ciągłem gadaniem. Buhrowowi doskonale się w Europie powiodło; pozawiązywał stosunki z najpierwszemi tam domami handlowemi. Kredyt mamy u ojca i szwagra Buhrowa w Hamburgu. Towarów kupił za 7000 ff., temi zatem rozpoczynamy. Udało się nam dostać niedrogo śliczny skład przy jednej z pierwszorzędnych i najcelniejszych ulic Sydney'u. Zajmujemy cały dom trzypiętrowy. Do tej pory urządzaliśmy się, rozpakowywali, układali, obliczali i t. d. Od 1 stycznia 1891 r. publicznie wchodzimy w życie. Rozsyłamy do wszystkich klientów naszych dawnych cyrkularze.

Trudno mi dziś pisać, bo miałem wypadek — zaciąłem sobie dwa palce otwierając butelkę wina w czasie świąt. Gości moich przyjąłem jak mogłem najlepiej, było co najmniej — dobrze. Prócz Buhrowów byli u mnie przez święta pan i pani Ber..... z córką, bardzo ładną, według mnie przynajmniej. Dobrze się bawiono. Buhrow opowiadał mi, jak go Mateczka moja po królewsku przyjęła.

Jakbym ja to chciał, żebyście widzieć mogli nasze biura i składy: tak tu ładnie, tak tu swojsko i miło. Meble moje z O' Connell Street; nic nie dokupiliśmy prócz półek nowych i ładnej brązowej tablicy z nazwiskiem firmy. Dom budowany z ciosowego kamienia. Urzędników na początek nie będziemy więcej mieli nad dwóch z powodu wydatków, które trzymać chcemy jak można najniżej, lubo roboty jest na czterech co najmniej; to też zajęć masa, aż się w głowie nieraz mąci.

Sydney, 13 lutego 1891.

Za rok mam nadzieję przyjechać do was, lecz nie sam jeden: przywiozę Matuli synowę. Jestem zaręczony...

Nie mówiłem jeszcze Buhrowowi, że się chcę żenić; niech się sam o tem dowie; przekonany jestem, że się przestraszy, będzie się bał, aby nasze żony się nie pokłóciły.

Zrobiłem przed kilku tygodniami podanie o posadę konsula austryackiego w Sydney. Trzebaby było, aby kto podanie moje w ministeryum spraw zewnętrznych poparł, lecz że nie mam kogo o to prosić, prawdopodobnie posady nie dostanę, bo wiem, że kilku wpływowych ludzi o nią prosiło. Interesa firmy zaczynają iść bardzo dobrze.

Sydney, 2 maja 1891.

... Pracy mam dużo a dużo, i to ciągłej, nieustannej, bo praca w biurze i za biurem, dziś w Sydney, jutro w Melbourne, za parę dni może w Brysbane — tak idzie ciągle. Interesa zapowiadają się na przyszłość świetne, choć początki trudne, o jak trudne! Wyjazd mój stąd, dla interesów handlu naszego do Europy, o ile można stanowczo na koniec lutego 1892 r. postanowionym został. Zaczynam już dnie liczyć.

Odpowiedzi z ministeryum spraw zewnętrznych o konsulacie jeszcze nie było, i posada do tej pory nie obsadzona; niektórzy twierdzą, że mnieby to chybić nie powinno.

Sydney, 29 lipca 1891.

Znowu mijał tydzień po tygodniu, a ja na napisanie do was zebrać się nie mogłem, tak mi interesa czas zabierają. Przez ostatnie 6 tygodni nie byłem nawet w Grodnie, a obecność moja i tam potrzebna. Od 8-ej z rana do 11-tej wieczorem, a często i znacznie dłużej, jestem w biurze, w składzie, na wózku, kolei lub parowcu, to pracując nad książkami, to podróżując za interesami. Nadzieje na przyszłość dobre, lecz tymczasem, cóż za robota! Winą tego po części B., bo pracować nie umie; winienem i ja, bo aby w wydatkach jak można najbardziej oszczędzać, dwóch subjektów odprawiłem i ich teraz robotę robię. Powiedziawszy prawdę, żałuję teraz, żem się z B. złączył; dobry z niego człowiek, lubimy się nawet; jestem mu, jak powiada, do tego stopnia niezbędnym, że gdyby mi się chciało wystąpić z interesu, i onby go zwinął; lecz cóż, kiedy tak mi swoją nerwowością i roztrzepaniem życie zatruwa, że nieraz go reflektować muszę; wtedy on uszy spuści, a za chwilę przychodzi przepraszać, lecz na to tylko, by znowu nudzić, przez co robota cierpi i czasu w dzień brak. Firma nasza zastąpiła zwiniętą, istniejącą tu niegdyś firmę „Harnickel i Müller", którzy są obecnie w Hamburgu naszymi płatnymi agentami, z obo-

wiązkiem dopilnowania dokładnego wykonania rozkazów, które my z Sydney wysyłamy.

Pracujemy teraz z p. Otto Schütt z Hamburga (szwagier Buhrowa); jakie on śliczne ma zyski! Kapitał jego przez nas obracany przynosi mu w przecięciu przeszło 20—25%, i to bez ryzyka. Jedyne ryzyko jest nasza uczciwość, lecz w tę wierzy. Schütt lepsze robi interesa niż my, bo jego część zysków jest czystym zyskiem, a na naszej części (połowa) ciążą wydatki: biur, urzędników i t. d., na pokrycie których znacznego trzeba kapitału. Selekcya mi się kończy w przyszłym miesiącu; będę się starał część jej chociaż spieniężyć, wątpię jednak, czy mi się to teraz uda, gdyż z powodu strejków ludzie boją się kupować posiadłości, bo do nich trzeba robotnika.

W przyszłym tygodniu wyjeżdżam za interesami firmy, na północ (aż pod Queensland); zabawię tam około trzech tygodni, listy jednak dochodzić mię będą wszędzie.

Sydney, 2 listopada 1891.

Długo znowu nię pisałem — dlaczego?... odpowiedzieć nietrudno. Praca, podróże w głąb kraju, choroba (leżałem chory na bardzo silną influencę i jej skutki, w podłej mieścinie na północy kraju, Hilgrove, bez lekarza i lekarstw), ostatecznie końcowa procedura selekcyi, czas mi zabierały tak, że z jednego do drugiego tygodnia napisanie listu trzeba było odkładać, a czas mijał. Dziś, pomimo iż także robota nie skończona, siadłem, by choć paru słowy dać znak życia i powiedzieć wam, że ślub nasz ma się odbyć 21 t. m., w dzień Ofiarowania Matki Boskiej...

Staram się z Grodnem coś począć, lecz trudno teraz z powodu ciężkiego kryzysu finansowego w Australii i skutków zeszłorocznych strejków. Siedm banków zawiesiło wypłaty; wielka nędza dla wielu, a wszyscy mniej więcej przez to cierpimy. Interesa firmy naszej idą dobrze, i jeśli się coś nieprzewidzianego nie zdarzy, to w przyszłym roku stać będziemy świetnie. Kapitaliści, których pieniędzmi obracamy, grube mają zyski; do tej pory pieniądz obrócony przyniósł 30% netto. Zdaje się, iż to nieprzewidziane wisi w powietrzu. „Protekcya"! do tej pory Sydney było wolnym portem; nowy rząd Dibsa ma zamiar *ad valorum* cło nałożyć; to nam wielką krzywdę uczynić może, bo kapitaliści mogą się zechcieć wycofać!? Trzeba będzie znowu głową i konceptem ruszać, a tak mi się już to naprzykrzyło i tak trudno przy ciągłych zmianach w pierze uróść.

Co tu wam jeszcze powiedzieć w krótkich słowach? Pojutrze wyjeżdżam znowu na parę tygodni na północ ku Brysbane; dojadę prawdopodobnie do Tenterfield, skąd wrócę 18 t. m. Po ślubie udam się z żoną na jakiś czas do Grodna, poczem znów wracam do jarzma. W Grodnie byłem wczoraj; winnica śliczna, lecz niedużo owocu, zniszczona bowiem przez skoczki polne, których się było dużo pojawiło, więcej za to innych owoców. Kosztowałem u p. Frère wina z zeszłorocznych moich winogron — bardzo dobre, choć młode jeszcze, nadzwyczaj bogate w kolor; zrobione było przeważnie z grona zwanego *malbec*, w tym roku już i *hermitage* zaczyna rodzić. Mieszanina tych obu win daje wino *bordeaux (claret)*. Do kościoła wina dotąd dać nie mogłem, bo białe nie rodzi jeszcze. Kur i drobiu wogóle mam niewiele w tym roku, gdyż mi w winnicę właziły i grona objadały. Koniki ładne, pełno dla nich paszy, pomimo to muszę jednego sprzedać, bo mi w szkodę skacze przez wszystkie płoty, pętanie nóg nie powstrzymuje go nawet. Sprzedałem też za 50 ff. konika, którego fotografię macie, gdyż nie miałem dla niego roboty, będąc tak często w rozjazdach, a i pieniędzy gwałtem trzeba było.

...Najserdeczniejsze życzenia świąt wesołych i szczęśliwego Nowego Roku!...

(Dok. nast.).

Korespondencya Redakcyi.

Panu S. Ant. w Krakowie. Nie możemy się podjąć, bo wogóle nic nie wydajemy poza *Przeglądem*, oprócz własnych utworów.

CZWARTY WIECZÓR NAD LEMANEM.

Czwartego wieczora znowu komplet na terasie hotelowej; i znowu po obiedzie Bielski rozpoczyna dyskusyę:

— Bawiliście się podobno wczoraj panowie kwestyą pesymizmu. Szkoda, że mnie nie było; byłbym chętnie kruszył kopie czy po jednej czy po drugiej stronie — wszystko jedno. Zależy to od tego, jak człowiek przystosuje źrenicę, aby świat jaśniej lub ciemniej widział. A właściwie wczoraj byłbym pesymistą, bo było brzydko, i byłem nieswój.

SIEMIONOW.

Nie byłby to bardzo głęboki pesymizm.

MISS WILSON.

Ani ów optymizm, któryby w razie pogody zajaśniał, bardzo wysokimby nie był.

BIELSKI.

Miss uwzięła się, żeby mię prześladować. Ja nieszczęsny bronić się nie mogę na terenie tej kwestyi, gdyż nie słyszałem waszych dyskusyj; ale wracając do przedmiotu poprzedniej rozmowy, powiem co mi wpadło na myśl po naszem rozejściu się. Odgrodziliście panowie pole religii od pola nauki, nieprzebytym płotem...

KSIĄDZ.

Albo raczej uznaliśmy, że sfera religii jest ponad sferą zagadnień naukowych.

BIELSKI.

Mniejsza o to; dosyć, żeście odcięli obie sfery — a zapomnieliście, że dzisiejsza nauka już i samą religię jako taką objęła. Jest przecież nauka o religiach, która bada ich powstawanie i prawa ich rozwoju w ludzkości; kiedy ta nauka dorośnie, wówczas całe pole religij, z wszystkiemi dogmatami i objawieniami, zbadane będzie umiejętnie.

DEVILLE.

Nie zapomnieliśmy o tej nauce o religiach, kiedy jeszcze pierwszego dnia p. Hainberg o niej mówił. Ona jednak nic nie przesądza przeciwko naszemu rozgraniczeniu. Nauka ta obserwuje religie jako zjawiska empiryczne w ludzkości, bada doświadczalne prawa ich rozwoju; a swoją drogą religie prowadzą serca i umysły ludzkości w sferę absolutu, gdzie nauka wejść nie może. Zresztą nie zgodziłbym się żadną miarą na wciągnięcie chrystyanizmu w szereg innych religij, jakoby był naturalnym ich rozwoju produktem. Chrystyanizm jest z góry, moi panowie!

BIELSKI.

Ha! to łatwo powiedzieć: chrystyanizm jest z góry!... Szanuję tę affirmacyę jako wyraz subjektywnej wiary; ale zaznaczyć muszę, że ona w zupełnej stoi sprzeczności z wynikami nowożytnej nauki. Jeżeli co jest dziś naukowo udowodnione i powszechnie przyjęte, to ciągłość i jednolitość rozwoju religijnego, tak samo jak wszystkich innych rozwojów. Zaczęły się religie od fetyszyzmu: ile nowych zjawisk spostrzegano w naturze, tyle wyobrażano sobie duchów, które ze strachem czczono — czego po dziś dzień znajdujemy okazy u wielu dzikich plemion. Dalej, w miarę jak się wyobrażenia o naturze kształtowały, a myśl ludzka więcej się uogólniała, zlewały się te niezliczone fetysze w pewną liczbę bogów, męskich i żeń-

skich, dobrych i złych, tj. na wzór człowieka urobionych. Ustrój też polityczny ludów oddziałał na ich religie. W walce, którą narody swój byt zdobywały, każdy musiał mieć swego boga, którego czcił szczególnie, nie odmawiając jednak w zasadzie równej godności bogom sąsiednim. A że narody jedne drugie pożerały, i wytwarzały się wielkie państwa, jak Assyryjskie, które chwilami marzyły o powszechnem panowaniu, stąd, jak wykazał Renan w historyi Izraelitów, wykluła się idea jednego bóstwa panującego nad światem, monoteizm. Tę ideę, jako wyższą od form politeistycznych, rozniósł po świecie chrystyanizm. Sklecił on ją w jedną całość z przeróżnemi mitami Wschodu i wymysłami filozofii aleksandryjskiej: o wcieleniu, o trójcy, o logosie, o życiu zagrobowem; dodał jako stronę praktyczną zasady altruizmu, które również filozofia grecka już była sformułowała, oraz ryty, od żydowskich i pogańskich trochę prostsze, ale także od nich zapożyczone. Całość taka, mimo swych usterek i wewnętrznych kontradykcyj, była jednak ogromnym postępem wobec dawniejszych wrażeń, podawała ludziom przedmiot adoracyi idealniejszy i etykę wyższą, której bardzo potrzebowali. Ta potrzeba ludzkości, szczególnie podówczas w państwie rzymskiem uświadomiona, jest kluczem, który tłumaczy tak uformowanie się chrystyanizmu jak i szerokie jego rozprzestrzenienie.

DEVILLE.

To wszystko jest bardzo ładnie ułożoną fantazyą pozytywistów, której jednej tylko rzeczy niedostaje — tj. zgodności z pozytywnemi faktami. *A priori* takby się powinno układać, w myśl pozytywizmu, iżby religie w ludzkości poczynały się od fetyszyzmu, a kończyły swą ewolucyę na monoteizmie; ale jeśli zajrzymy do autentycznych pomników myśli ludzkiej, jakie dzisiejsza umiejętność z pod ziemi wygrzebała, to poważne znajdziemy powody sądzenia, że się działo wręcz odwrotnie. Idea monoteistyczna występuje w tych zabytkach jako najstarsza, a dopiero powoli, procesem rozkładowym, który do pewnego stopnia w samych pomnikach śledzić można, przeobraża się w politizme.

Egipt, ta macierz cywilizacyi greckiej, a pośrednio rzymskiej i naszej, najlepiej dziś znany ze starożytnych ludów, najwyraźniej ten rozkładowy proces przedstawia. „Księga Umarłych“ wymienia wprawdzie różnych bogów — ale także, zwłaszcza w swych częściach najstarszych, mówi o jednym Bogu, „któremu kłaniają się głęboko bogowie“, „który stworzył wszystkie bogi i dusze i świat“; tłumaczy, że imiona — które w późniejszych utworach znajdujemy na różne rozłożone bożyszcza — są Jego imionami; że niebo, że słońce są „obrazami Jego“, że On „jest jedynym odwiecznie żyjącym i pełnią życia“. Za czwartej jeszcze dynastyi śpiewano nad brzegami Nilu pieśni tym czystym monoteizmem natchnione. Później te symbole Bóstwa przeobrażają się nieznacznie w bogów; słońce, najpiękniejszy obraz Boga w stworzeniu, staje się samo bogiem, Ammon-Ra — i niebawem słońce wschodzące innym bogiem, a innym zachodzące — i jeszcze innym słońce, które w nocy pod ziemią przechodzi i krainę umarłych oświeca, pod nazwą Ozyrysa; planety słońcu towarzyszące stają się także z kolei bogami; ziemia, przez słońce użyźniana, boginią. I tak dalej i dalej, mnożą się symbole, i nieuchronnie, przynajmniej w kulcie ludowym, przemieniają się w bożki — coraz niższe, coraz dziwaczniejsze... Kiedy wreszcie po wielu wiekach przyszli Grecy, zastali Egipt z religią graniczącą z fetyszyzmem, i drwili z niego, że czcił jarzyny i płazy. I tak nas jeszcze uczono o religii Egipcyan w szkołach przed 40 laty.

W klinowych pomnikach Chaldei i Assyryi ślady tego samego odwrotnego rozwoju uderzają uczonych. Odczytano prastare pieśni, brzmiące wiarą w jednego Boga, twórcę natury, sędziego umarłych; i nawet w późniejszych czasach przebijają często jak gdyby reminiscencye pierwotnych pojęć o jedności Bóstwa. Ciekawym jest między innemi hymn do Hea, którego różne egzemplarze umiejętnie porównując, przekonano się, że kilka wierszy z politeistycznym sensem wtrąconych zostało do późniejszych odpisów, podczas gdy najstarsza część była czysto monoteistyczna. — U Persów wzniosły i czysty kult Ahuramazdy wychyla się z pomroki wieków jako najdawniejszy. Zoroa-

ster uchodzi tylko za reformatora, który tę starą religię od naleciałości oczyszcza; tę samą rolę przypisują sobie w znanych swych napisach Achemenidzi Kserkses i Daryusz. Dopiero Artakserkses Mnemon i jego następcy, z polityki względem podbitych ludów, wprowadzają posągi i kult bożków w religię Iranu.— U Indów monoteizm pierwotny nietylko wyraził się dobitnie w najstarszych wedyjskich pieśniach, ale nawet w rozgałęzionym dziś politeizmie ślady zostawił. Zarówno najlepsi indologowie europejscy, jak i dzisiejsi uczeni Indusi twierdzą, że religia Wedów daleką jest od wielobóstwa; nazwy wrzekomo różnych bogów pochodzić mają od różnych szczepów, które po swojemu Boga nazywały; czego dowodem jest między innemi, że przymioty i funkcye, jakie tym bogom stare pieśni przypisują, zawsze jednakowo Najwyższą Istotę wyrażają. Nawet imię jednego bóstwa daje się drugiemu. „Ja Indra — opiewa sławny hymn IV-ty — jestem Waruną". — W Chinach w ostatnich dopiero latach wykryli europejscy uczeni modlitwy do Najwyższej Istoty, które sam tylko cesarz w uroczystych dniach odprawia, a które niezawodnie są zabytkiem z najstarszych czasów, dziś przed ludem jako świętość ukrywane. Otóż te modlitwy tak czysty wyrażają monoteizm, że każdy chrześcijanin mógłby je z nabożeństwem odmawiać.

Słowem, gdziekolwiek nauka dociera do pierwocin starych cywilizacyj, gdzie nie na paru szczątkach kości ustawia hipotezy, ale same autentyczne pomniki myśli ludzkiej odkrywa i bada, tam zawsze, w najgłębszych niby pokładach, znajduje monoteizm, a wielobóstwo dopiero w wyższych i późniejszych. Ani jednego zaś niema okazu procederu odwrotnego, tj. wyraźnych dowodów, żeby jakiś szczep, jakiś naród oddawał się pierwotnie fetyszyzmowi i wielobóstwu, a potem samodzielnym rozwojem ku monoteizmowi postąpił. — O jednym Izraelu coś takiego wymyślił Renan, ale sam rozumnie przyznał w przedmowie, że całej tej konstrukcyi swojej za nic więcej nie uważał, jak tylko za domysł.

Musimy się więc, moi panowie, bądź co bądź liczyć z tym faktem — dziwnym ale prawdziwym — że ludzkość, która we wszyst-

kich innych kierunkach: w organizacyi państwowej, w ustawodawstwie, w nauce, przemyśle, sztuce, zwykła iść postępowo — w jednej religii szła wogóle odwrotnie.

MISS WILSON.

To nam każe wnosić, że w tym jednym względzie ludzkość inaczej jest uposażoną: że nie jest zdolna wytwarzać religii z siebie, jak wytwarza sztukę i naukę, ale oczekiwać jej winna z góry.

DEVILLE.

To jest właśnie wniosek, do którego przyjść chciałem.

HAINBERG.

Nie ulega wątpliwości, że szablon pozytywistyczny, jaki nam tu p. Bielski wyłożył, wobec dzisiejszych badań utrzymać się nie może. Pojąć nie mogę, jak Renan mógł się puścić na swoje nędzne tłumaczenie powstania monoteizmu u Żydów, przez wpływ politycznych ustrojów, albo — jak kiedyindziej przypuszcza, nie bardzo zgodnie z pierwszą hipotezą — przez wrzekomo właściwy semickim ludom „monoteistyczny instynkt“ — kiedy już wówczas dość powszechnie uznawany był fakt pierwotnego monoteizmu Egipcyan. W dziele Brugsch'a: *Religion und Mythologie der alten Aegypter*, czytać mógł długi szereg tekstów, wykazujący jak na dłoni, że pojęcie Boga, duchowego i nieskończenie doskonałego, ze wszystkiemi niemal atrybutami, jakie mu teologowie chrześcijańscy przypisują, dziwnie jasno było starym Egipcyanom znane. — Ale cóż stąd wynika? To jedno, że kwestya powstawania religij jest daleko zawikłańsza, niżeśmy to sobie do niedawna wystawiali; że może w obecnym stanie nauki nie potrafimy zupełnie ich genezy wyjaśnić. Szczegółową konstrukcyę pozytywistów porzucić musimy, lecz ogólnej filozoficznej myśli: że chrystyanizm jest jednorodny z innemi religiami, że z wspólnego idzie początku, żadną miarą, sądzę, porzucić nie potrzebujemy — i nie możemy nawet.

Dotychczas szedłem za rozwojem myśli p. Deville, i ukła-

dało mi się to jako tako w racyonalną całość, w której upatrywałem związek i jedność — a przynajmniej możność dojścia do jedności. Teraz pan w tej całości czynisz wyłom, wyjmując chrystyanizm z ogólnych praw świata. Już nie widzę, jakbym mógł iść za panem!

SIEMIONOW.

Chrystyanizm przewyższa niezawodnie inne współczesne religie, ale wiele mu jeszcze do tego brakuje, żeby był definitywną religią ludzkości. Idziemy ku temu, że chrystyanizm wypróżni się ze wszystkich dogmatów i sakramentów i zostanie czystym zakonem miłości.

LEROY.

Że chrystyanizm jest najlepszą i najwyższą z religij, jakie są na świecie, na to wszyscy się zgadzamy, i sądzę, że to zdanie jest czemś więcej niż subjektywnem naszem upodobaniem. My, ludzie z przedświtu XX. wieku, dosyć umiemy się uogólniać, aby módz przedmiotowo religie porównywać. — Ale w żaden sposób, w żadnem znaczeniu chrystyanizm nie jest w rodzaju religij unikatem. Owszem, dzisiejsze porównawcze badania, nic nie ujmując z zasług chrystyanizmu, coraz więcej jednak wykazują, że wszystko co jest w chrystyanizmie, to jest też w pewnym stopniu, w nieco innej formie, i w innych religiach. Chrystyanizm uważa się za dany od Boga, pokazuje Pismo święte — ale inne religie podobnie powołują się na objawienia, na cuda, mają święte księgi; chrystyanizm zawiera dogmata, których treść, jak słusznie powiedział p. Bielski, odnajduje się u Aleksandryjczyków, w braminizmie i w innych religiach; chrystyanizm uczy surowej moralności, zaparcia siebie, wytwarza ascetyzm — ale buddyzm tych samych rzeczy naucza i, rzecz dziwna, nawet monastery, które buddyzm w Tybecie wznieca, są uderzająco podobne do naszych klasztorów. Nie stawiam przez to buddyzmu na równi z chrystyanizmem, jak to niektórzy (dla sportu, sądzę) czynią; ale stawiam go razem z chrystyanizmem i z innemi religiami w jednej kategoryi.

KSIĄDZ.

Pozwolę sobie wtrącić uwagę, że nieraz pewne rzeczy wydają się podobne, jak długo się je ogląda z daleka; a przypatrzywszy się im z blizka, widzi się, że podobieństwo było tylko pozornem. Szron, który w zimie pokrywa szyby, przybiera nieraz kształty zupełnie podobne do pięknej wegetacyi; ale pod lupą złudzenie znika: zamiast układu komórkowego i życia, znajdują się tylko kryształki zewnętrznie posczepiane — i martwota. Tak samo wrzekome bramińskie trójce i wcielenia, oglądane z blizka, okazują się płytkiemi bredniami i tracą wszelki pozór podobieństwa z niezgłębionemi tajemnicami chrystyanizmu. To samo powiedzieć trzeba o wielu innych wierzeniach i praktykach pogańskich, które z daleka i przypadkowo coś chrześcijańskiego przypominają. Ale słuchajmy, co p. Deville na to wszystko odpowie.

DEVILLE.

Zarzut p. Hainberga: że chrystyanizm nie może być wyłomem z jedności wszechświata, szczególnie mię obchodzi. Rozumiem, że umysłowi filozoficznemu chce się koniecznie jedności...

LEROY.

A ta filozofia znajduje się na dnie każdego umysłu ludzkiego, choć tylko w niektórych w pełni się uświadamia.

DEVILLE.

Bardzo słusznie; to też uwzględniając ten zarzut powiem, że chrystyanizm nie jest istotnie wyłomem z jedności wszechświata — tylko tę jedność, w którą on wchodzi, trzeba pojąć szerzej i wyżej niż się zwykle czyni; i trzeba zrozumieć, że mogą istnieć szersze prawa wszechbytu, których rozwój naszego empirycznego świata byłby tylko fragmentem. Póki nauka nie wierzyła w aerolity spadające z nieba, o których lud opowiadał, póty każdy minerał znaleziony na ziemi uważała za wytwór geoliczny; gdy się przekonano, że aerolity spadają, nie zrobił się przez to wyłom w jedności nauki o ziemi, tylko rozszerzył

się jej pogląd: zrozumiano, że ziemia może otrzymywać odłamy astralnego pochodzenia. Otóż i chrystyanizm może nie wyrastać z umysłowej ewolucyi naszej planety, a jednak należeć ściśle, nie przypadkowo, do jedności wszechświata, wynikać z najwyższych praw, które rozwojem tej jedności kierują.

A jakież są te najwyższe prawa? Gdybyśmy byli ciasnymi materyalistami, moglibyśmy za takie uważać prawa, według których grawituje materya; mogłoby się nam zdawać, że ślepa mechanika atomów jest racyą dostateczną i tego, że sama istnieje, i wszystkiego co jest na świecie. Ale skoro stanęliśmy wyżej, skoro wiemy, czy wierzymy, że poza wirami atomów jest duch, a poza i ponad wszystkiem jest Bóg, absolut, czy jak go nazwać chcemy — to bezwarunkowo uznać musimy, że Bóg jest czynnikiem należącym do całości wszechbytu, a więc, że prawa jego mądrości i dobroci są właśnie najwyższemi wszechbytu prawami. — Z jakiegoż więc tytułu w takim razie odmówilibyśmy temu Bogu możności działania jak chce w wszechświecie?

Wydaje się nam może — według odziedziczonych po materyalizmie uprzedzeń — że wolne działanie Boga w świecie byłoby naruszeniem harmonii świata. — Ale tak nie jest. Naruszeniem harmonii i nonsensemby było, gdyby jakaś istota, sama, inaczej jak podług swojej natury działała; ale gdy w jej sferę wkracza inny, wyższy czynnik, z właściwem sobie działaniem, wtedy jest to rzeczą prostą, z logiką i prawami wszechbytu zgodną, że rezultat działania będzie inny i wyższy. Przychodzi ogrodnik do głogu i zaszczepia na nim różę. To co się z głogiem dzieje, przewyższa jego własną naturę — głóg sobie zostawiony nigdyby do czegoś podobnego nie przyszedł — ale nie przekracza to wcale praw przyrody ogólnych, bo i człowiek, który szczepi, do tej przyrody należy. Otóż do całości wszechbytu należy Bóg; — dlaczegóż więc, pytam, nie mógłby Bóg zbliżyć się do człowieka i wpoić mu wyższą religię?... Jeżeli to uczyni, będzie to przechodziło naturę człowieka — lecz nie naturę Boga, nie prawa jego mądrości i dobroci; nie będzie to wyłomem w jedności wszechbytu. Przeciwnie, wyłomem najdowodniejszym w tej jedności i harmonii wszechrzeczy byłoby odmówienie

Bogu możności podania ręki niższej istocie — kiedy tej możności ani człowiekowi nie odmawiamy.

Ale chrystyanizm — zarzucacie jeszcze panowie — podobny jest do innych religij, z ludzkości wychodzących! — Sądzę, że odpowiedź Księdza: iż to podobieństwo jest tylko pozorne, co do wielu punktów zupełnie jest słuszna; w innych jednak punktach jest podobieństwo rzeczywiste. Ale co stąd wynika? Podobieństwo może być znakiem pokrewieństwa, wspólnego początku — to prawda — ale może też zupełnie z czego innego pochodzić. Dwie rzeczy dla podobnych celów zrobione mogą być podobne, choć całkiem co do pochodzenia niezależne; tem bardziej podobnemi będą rzeczy, z których jedna służy za wzór drugiej, jak Madonna sykstyńska i jej kopie, złoto prawdziwe i tak zwane złoto talmi. Czy który z tych rodzajów podobieństwa nie może mieć miejsca między religią z nieba daną a religiami ziemskiemi? Uważmy.

Jeżeli Bóg — zostawiając ludziom wszystko inne do zdobycia własnemi siłami — religię jednak, jako wyjątkowo ważną a niedoścignią, chciał dać z góry, wprost od siebie — to pewnie chciał ją dać odpowiednią do serca i umysłu ludzkiego, które stworzył...

KSIĄDZ.

Albo stworzył serca i umysły odpowiednie do religii, którą im podać zamierzał.

DEVILLE.

Niech i tak będzie; w każdym razie łatwo zrozumieć, że między taką religią z góry daną, a potrzebami i aspiracyami duszy ludzkiej z dołu, znajdzie się pewna kongruencya — gdyż jedno dla drugiego stworzone. Łatwo zrozumieć dalej, że póki ta dusza nie otrzyma lub nie odnajdzie tej boskiej religii, póty wydobywać będzie z siebie rozmaite niby religie, dla zaspokojenia swych aspiracyj — podobnie jak organizm, pozbawiony przypadkiem potrzebnej cząstki, wytwarza sobie o ile może jakiś nowotwór zastępczy, *ein Aftergebilde*, jak mówią Niemcy, który ma analogię z właściwym organem, ale nim nie jest. — Już wczoraj Ksiądz,

jeżeli się nie mylę, dotknął tej myśli. — Wytworzyć się w takim razie musi w ludzkości, obok religii prawdziwej, pewna liczba pseudo-religij, i te muszą mieć z prawdziwą wiele punktów stycznych i podobieństwa — skoro wynikają z tych samych potrzeb i dążeń duszy niezaspokojonych, dla których prawdziwego zaspokojenia Bóg swą religię daje.

LEROY.

Jest to, niema co mówić, jakieś tłumaczenie, i piękne tłumaczenie podobieństwa między chrystyanizmem a innemi religiami. Żeby się jednak na nie zgodzić, trzebaby jeszcze widzieć drugą stronę, tj. istotną między niemi różnicę. Złoto talmi musi się chemicznie różnić od prawdziwego złota.

DEVILLE.

Naturalnie, że istotna różnica powinna się dać widzieć, i to tem wyraźniej, im się głębiej rzecz bada. Ale tej różnicy nie potrzeba daleko szukać. Proszę uważyć np., jak się religie zaczynają. Powstają zwykle w pomroce dziejów, często na krańcach cywilizacyi, w mgle, która dozwala wyobraźni swobodnie bujać; — chrystyanizm jawi się w chwili najwyższego rozkwitu przedchrześcijańskiej cywilizacyi, w samym środku ówczesnego świata, w łonie ludności pozytywnej, umiejącej czytać i pisać — i krytykować. Jeśli chciał światła dla swoich początków, to nie mógł lepszego wybrać miejsca ni czasu. — Jawi się nie niespodzianie, ale zapowiedziany proroctwami, których uderzająca kongruencya z faktami jego założenia zdobywała przekonania współczesnych. Wyraża się w księgach, które, nie po wiekach dopiero powstały — jak w buddyźmie i tylu innych religiach — ale zaraz w pierwszem po Chrystusie pokoleniu (co i najsurowsza krytyka uznała), a które uderzają taką trzeźwością, prostotą i takim szczerym akcentem prawdy, że i wrogo nastrojeni ludzie ulegają temu wrażeniu. — I ta cała wzniosłość dogmatów chrześcijańskich i ta cała idealna doskonałość jego życiowej nauki, której od dwudziestu wieków nie możemy się

dosyć nadziwić ani do dna zgłębić — znalazła się od razu w tych księgach zawarta.

A w sposobie szerzenia się jaka różnica! Z innych religij na świecie, jeden buddyzm a drugi mahometanizm pewną siłę ekspansywną i prozelityzm objawiają. Ale buddyzm wszędzie paktuje z miejscowemi religiami; gdziekolwiek przeszedł, tam znajdujemy Buddę, siedzącego pogodnie wśród grona krajowych bogów. Zamiast bogów zgładzić, jak pono zamierzał, Budda sam stał się wszędzie jednym bożkiem więcej. Mahometanizm znowu wszędzie paktuje z namiętnościami. Podając duszy szczytne pojęcie Boga i modlitwy, pochwycone z chrystyanizmu, ciału schlebia on nizkim poziomem wymagań moralnych. Pierwszym środkiem zwycięża poganizm, drugim zastawia się przeciw chrystyanizmowi. Wiarą w fatalizm i hallucynacyą zmysłowego nieba fanatyzuje tłumy, i tym fanatyzmem, przy pomocy miecza, szerzy się pożogą po świecie. — Co tu podobnego do rozszerzenia się chrystyanizmu? do tej rzeki ducha, która tryska od razu z tą przezroczystą doskonałością, odzwierciedlającą się w Ewangelii i w listach Pawłowych, i rozpływa się na wsze strony potężną falą; rozrywa zapory, któremi w samym początku stłumić ją chce synagoga; przesadza groble rzymskiej prepotencyi; unosi, sprząta bogi, świątynie, filozofie, igrzyska, rozpusty — i rozlewa się po całej kuli ziemskiej, roznosząc wszędzie posiew duchowego odrodzenia i cnót heroicznych?

BIELSKI.

Co tu mówić o zwycięstwie przeszkód? Właśnie te przeszkody i prześladowania spowodowały ten wzrost i zwycięstwo chrystyanizmu.

KSIĄDZ.

Przepraszam; jest to frazes, którym się często szermuje, ale który wymaga wyjaśnień i ograniczeń, aby nie być absurdem. Przeszkoda nie może sama przez się ani stworzyć, ani pomnożyć sił; tem mniej może to zrobić potrzeba, której pan przedtem przypisywałeś założenie chrystyanizmu. Przeszkoda czy po-

trzeba pobudzić tylko może działacza do wydobycia z siebie zasobu sił, jaki posiada. Jeśli ten zasób wewnętrzny nie istnieje, albo jeśli nie większy jest od przeszkód, to nieuchronna następuje zagłada, a o zwycięstwie mowy być nie może. Kiedy radżowie indyjscy poczęli prześladować buddyzm, to wyginął buddyzm w Indyach; kiedy rzymscy cesarze ochrzczeni zaczęli lekko cisnąć na pogaństwo, wkrótce resztki pogaństwa znikły z imperyum, i ani jednego nie wydały męczennika. Jedyny w całej historyi świata chrystyanizm posiadał w sobie taki nieprzebrany zasób ducha i żywotności, że wszelkiego rodzaju zapory i uciski jakby igrając zwyciężał. — Na śmierć i męki prowadził swych wyznawców, nie przez jedną chwilę szału, ale przez długie trzy wieki — w których mieli czas wytrzeźwieć i obejrzeć się, czy są pewni tego, za co się zabijać dają. A nietylko brutalną siłę chrystyanizm pokonał: równie zwycięsko przeszedł on niebezpieczną próbę tryumfu i panowania — i również niebezpieczny kontakt z grecką filozofią, która zdolna była do szczętu go roztworzyć i przeobrazić, gdyby nie był pierwiastkiem niespożytym — przebył też wewnętrzne rozterki, które wszystkie inne instytucye gubią — wytrzymał nagłe wpłynienie do swego łona półdzikich plemion, które groziło zatopieniem go w barbaryi tak, jak rzymską cywilizacyę istotnie zatopiło — wytrzymał dużo niebezpieczniejszy, bo zalotny uścisk odradzającej się pogańskiej kultury — i dziś wytrzymuje szturmy krytycznego rozumu i upojonej swem powodzeniem nauki. Na to ostatnie p. Bielski głową kiwa, ale to, co nam przedwczoraj wykładał p. Deville, jest w tym względzie przekonywające. — Otóż tego rodzaju żywotności i odporności nic na świecie nie pokazało, oprócz samego chrystyanizmu.

MISS WILSON.

Mnie się zdaje, że też jedyny chrystyanizm nawraca narody.

LEROY.

O ile znamy historyę świata, moja pani, niezawodnie chrystyanizm pod tym względem prym trzyma; ale nie widzę, dla-

czegobyśmy mieli innym religiom całkiem odmówić prozelityzmu. Wszak przyznał go przed chwilą p. Deville buddyzmowi i mahometanizmowi.

MISS WILSON.

Tak, ale to co innego, to nie jest prawdziwe nawracanie.

KSIĄDZ.

Ma pani zupełną racyę. Misyonarze nasi, którzy z blizka patrzą na ludy Wschodu, z żalem się przekonują, że ich buddyzm nic od pogaństwa nie wyróżnił. A mahometanizm gdzie przeszedł — są miejsca, gdzie świeżo za naszej pamięci się rozszerzył — tam uczynił ludzi gorszymi i okrutniejszymi niż byli.

HAINBERG.

To prawda; konstatują to niemieccy podróżnicy między Murzynami Afryki, którzy w ostatnim pół-wieku mahometanizm przyjęli. Co do krajów, gdzie od dawna islam panuje — tego szerokiego pasu, ciągnącego się przez północną Afrykę i południową Azyę — to jest dziwna rzecz, jak one pod Koranem wyjałowiały i wymarły! W pierwszej chwili podbój mahometański wzniecał nawet pewną cywilizacyę — może dlatego, że podbój bywał zupełny i przywracał pokój, pozwalający rasie rozwinąć swe zdolności, ale dziwnie prędko przychodził fatalny marazm. I krainy, które były niegdyś najżyźniejsze i najludniejsze w świecie, które oświecały resztę ludzkości promieniami swej kultury, dziś są pustynią najeżoną ruinami, gdzie ledwo garstki drzewek w pobliżu rzadkich mieszkań ludzkich utrzymać się mogą. Zawsze mię uderzało w moich podróżach to zjawisko wymarcia w krajach przez mahometanizm zupełnie opanowanych; i doszedłem do wniosku, że powód tego musi chyba tkwić w religii Koranu; musi ona powoli wyciskać na charakterach ludów jakieś ujemne znamię, którebym sformułował w dwóch słowach: pozioma żądza używania tego co jest dzisiaj, z rezygnacyą wobec tego czego brak, bez myślenia o jutrze i bez chęci wysiłku gwoli polepszenia losu.

KSIĄDZ.

Tak jest w rzeczy samej; chrystyanizm zaś przeciwnie, podając ludom ideał niedościgniony, wzwyczaja je do szukania ideałów; co z religijnej sfery oddziaływa na całą sferę życiową i zaszczepia w ludach zbawienny niepokój, wiecznie prący do postępu.

LEROY.

Jabym tę różnicę między chrześcijańskimi a mahometańskimi ludami raczej rasie, może klimatowi przypisał, a nie religii. Przecież i przed chrystyanizmem, grecko-rzymski świat znakomicie się cywilizował. Musi to leżeć we krwi łacińskiego szczepu.

KSIĄDZ.

Przyznaję, że i rasa i klimat coś znaczą w tej mierze; ale że i religia ma wielki wpływ, tego dowodzi, co p. Hainberg mówił: że te same ludy i te same kraje, gdzie kwitła dawniej cywilizacya, pod Koranem zapadły w martwotę.

Były zresztą oczywiście i przed chrystyanizmem i poza nim cywilizacye, ale były one, że tak powiem, li tylko formalne, powierzchowne, w tem znaczeniu, że tylko przyozdabiały życie górnej warstwy bogactwem i sztuką; w głębi zaś dusz pozostawały dzikość, nieludzkość dla słabszych, dla niewolnika, kobiety, chorego, ubogiego. — Chrystyanizm wniósł zupełnie nowy pierwiastek: miłość Boga i miłość wszystkich ludzi w Bogu przez Chrystusa; i to wewnętrzne przerobienie choć nie od razu przewracało ustalonych instytucyj Rzymu i nie od razu przetapiało grubych natur barbarzyńców, jednak od razu błogi swój wpływ objawiało, parło społeczeństwa ku ewangelicznym ideałom, zasiewało niwę ziemską kwiatami najpiękniejszych instytucyj i poświęceń: dla przytulania wszelkich nędz i chorób, dla bronienia słabych od krzywd, dla uczenia prostaków, dla karczowania puszcz i niesienia w nie pochodni wiary i oświaty. Tak chrystyanizm nawracał skostniałe państwo rzymskie, nawracał ludy barbarzyńskie — a tego żadna inna religia, tem mniej filozofia,

ani trochę nie czyniła. I w tem znaczeniu powiedzieć można za panią Wilson, że jedyny chrystyanizm nawraca.

HAINBERG.

Bardzo dobrze; ale nasza dyskusya rozstrzeliwa się na rozmaite kwestye i nie dajemy panu Deville dokończyć rozwoju swej myśli. A tego dokończenia jesteśmy przecież ciekawi.

DEVILLE.

Owszem, wszystko co się teraz mówiło, wchodziło w obręb mojej rzeczy. To wszystko razem prowadzi nas do wniosku, że pierwiastek życiowy chrystyanizmu jest czemś *sui generis*, innego gatunku, niż pierwiastki innych religij i instytucyj ludzkich. A to wszystko jest dopiero rzutem oka jakby na zewnętrzną stronę chrystyanizmu, na jego roztoczenie się pośród historyi ludzkości. Chciałoby się jeszcze teraz zaglądnąć do jego wnętrza, do jego wielkich dogmatów i płodnej w świętość etyki; ale boję się, żeby nas to za daleko nie zawiodło — i nie pokłóciło może. Poprzestanę więc na jednej i to zupełnie ogólnej uwadze co do tej treści chrystyanizmu. Pan Bielski i p. Leroy robili z tego zarzut, że chrystyanizm składa się z kawałków, które się po innych religiach odnajdują. Jużem powiedział, skąd mogło powstać częściowe podobieństwo; ale teraz dodam, że w tym właśnie charakterze, którybym nazwał komprehenzywnością chrystyanizmu, widzę jeden dowód więcej, że on jest religią absolutną. Chrystyanizm przy bliższem obejrzeniu przedstawia się, nie jako zlepek, ale jako całość jednolita i doskonała, mieszcząca w sobie wszystko co jest szlachetnego wśród piasku i błota ludzkich religij, jako kres, ku któremu one się widocznie zapędzają, nie dosięgając go nigdy; — i, co za tem idzie: jako religia odpowiadająca doskonale całości potrzeb i wymagań duszy ludzkiej.

Ot np. ostatni wyraz geniuszu Indyj, buddyzm, dosięga prawdy połowicznej: że świat widzialny nie jest absolutnem dobrem i prawdą — skąd czyni on dalszy wniosek fałszywy: że absolutem jest nicość. Spekulacya ta odbija się w czynie praktyką połowicznie dobrą: martwieniem ciała, ascetyzmem,

który podobny jest do chrześcijańskiego, o ile uwalnia ducha z niewoli zmysłów; ale wpada w nieznane chrześcijanom ekscesa i szały — bo związany jest z rozpaczliwą wiarą w Nirwanę. Dalej już sięga geniusz Grecyi, który poza złudą rzeczy znikomych odgaduje istnienie absolutnego dobra i piękna. Ale i on w pół drogi zostaje: zamiast wywnioskować stosunek do absolutu życiowy, obowiązki człowieka względem niego, on spekuluje o nim abstrakcyjnie, a życie zapełnia bawieniem się jego odblaskami w piękności stworzeń. „Poznawszy Boga — mówi o nich Paweł — nie jako Boga chwalili". — A nietylko te wzloty filozofii i nietylko pierwotne ludzkości religie, o których mówiliśmy przedtem, ale nawet ów poziomy politeizm, który ludy po największej części opanował, w podobnym do chrystyanizmu znajduje się stosunku. Sama myśl mnożenia bogów zdaje się pochodzić z trudności pojęcia Bóstwa jako istoty samotnej, niepłodnej; jest w tem jakby głuche przeczucie tajemnicy Boskiej Trójcy, którą chrystyanizm miał ogłosić, i która tę trudność rozwiązać miała. Antropomorfizm, teofanje, zstępywania bogów na ziemię, są jakby wyrazami tęsknoty, błagania ludzkości, by się Bóstwo do niej przybliżyło, by się stało jej przystępnem — inaczej mówiąc: są aspiracyami do Wcielenia Słowa. Kult umarłych, przy wszystkich swych zabobonach i niedorzecznościach, zawiera przecież pierwiastek wzniosły, a ten jest okruchem wspaniałego dogmatu naszego o życiu zagrobowem. Nawet ofiary krwawe, nawet ofiary z krwi ludzkiej są wyrazem głucho przez ludzkość odczutego, a może z pierwotnych podań mglisto zapamiętanego stanu upadku, i potrzeby Odkupienia.

Teraz bierzcie, panowie, te wszystkie religie, z ich okruchami prawdy i piękna, zmieszanemi z mnóstwem nieprzebranem błędów i baśni, brudów i brzydot uświęconych; zestawcie je z chrystyanizmem, z jego etyką miłości, nieskalaną i uświęcającą, z jego dogmatami o Ojcu Przedwiecznym, nieskończenie doskonałym, a jednak przystępnym rozumowi i sercu, bo osobowym; o człowieku, przeznaczonym do wieczności szczęścia, i wolnemi czynami zdobywającym tę wieczność; o Chrystusie, przedziwnej łączni Boga z ludzkością, który Boga przybliża

a ludzi ponad ziemię podnosi... i osądźcie, czy ten chrystyanizm tak wygląda między owemi religiami, jako jedna z nich, choćby najlepsza? — czy też jako pierwowzór obok złych kopij? jako prawdziwe złoto obok fałszywego? Słowem, czy nie tak wygląda, jak wyglądać powinna religia, którąby sam Bóg chciał użyczyć ludzkości?

MISS WILSON.

Niewątpliwie chrystyanizm jest tem, czego dusza szuka.

DEVILLE.

U starożytnych był ten piękny zwyczaj, że kiedy zawierali przyjaźń, przełamywali kamienną tabliczkę, *tessera* zwaną; a gdy się im zdarzało po długich latach niewidzenia znowu się spotkać, składali odłamy, które każdy chował, i po ich doskonałem przystawaniu do siebie poznawali, że są druhami. Taka właśnie kongruencya, moi panowie, jest między duszą ludzką a chrystyanizmem. Szukała ona przez wieki takiej religii, takiego rozwiązania najwyższych zagadnień i nawiązania stosunków z Bóstwem, któreby jej istotnie odpowiadało; chwytała się różnych wierzeń, praktyk, filozofij... jedna nie dogadzała jej żądzy prawdy, druga raziła jej zmysł moralny... żadna nie przystawała do niej zupełnie. Pamiętacie, panowie, tę prześliczną Psyche w muzeum neapolitańskiem: piękna, ale nieskończenie smutna, patrzy w ziemię, poszarpana, potłuczona... to jest dusza ludzka w starożytności. Dopiero gdy jej chrystyanizm dano, uczuła, że odpowiada jej sercu, jej rozumowi, jej moralnemu zmysłowi, jej uczuciom, jej ideałom piękna i dobra, słowem, że przystaje do niej doskonale — dowód, że jest drugą połową tej samej tessery, z ręki jednego twórcy wychodzącą. I rzuciła się ku niemu całą siłą swej istoty, i doznała w nim zachwytu i szczęścia, jakiego nie znała nigdy. Patrzcie na nią teraz, na freskach katakumbowych, jak stoi ta *Orans* z podniesionemi rękami, pogodnie zapatrzona w niebo — jakby ulatująca! — Taką się odmalowała, po znalezieniu chrystyanizmu.

Z tego przystawania chrystyanizmu do duszy ludzkiej wy-

nika właściwa jemu samemu zdolność do powszechności. On jeden między wszystkiemi religiami i filozofiami odpowiada wszystkim czasom i wszystkim krajom i stopniom kultury. On był przystępny niewolnikom, i pociągał wyrafinowane umysły arystokracyi rzymskiej, i podbijał równocześnie serca barbarzyńców, ciągnących z Północy na zagładę Rzymu. On jest zrozumiały dla Kafrów, dla Mongołów, i w podziw wprawia ludzi najwyżej wykształconych w przeddzień XX. wieku...

LEROY.

Czego dowodem nasza obecna rozmowa.

DEVILLE.

Dwadzieścia wieków, to może dla religii niedługie jeszcze trwanie; ale chrystyanizm w tym czasie tyle przeżył odmian na świecie, tyle przeróżnych stopni barbaryi i cywilizacyi spotkał i dziś jeszcze spotyka między ludźmi, do których przemawia, że dostateczne już złożył dowody swej uniwersalności. Ta zaś uniwersalność potencyonalna, pochodząca, jak już wiemy, z jego kongruencyi z istotą duszy, spodziewać się każe, że kiedyś aktualnie, jak nam wczoraj Ksiądz wykładał, chrystyanizm będzie powszechną świata religią.

BIELSKI.

A czemuż tak wielu ludzi nie wierzy, jeżeli chrystyanizm tak bardzo do duszy przystaje?

DEVILLE.

Bo są, mój panie, w duszach potrzeby, aspiracye naturalne, a tem samem ogólno-ludzkie — i są wymagania, przywidzenia, zachcianki jednostek lub gron ludzi, wynikające po części z warunków otoczenia, w jakich się przypadkowo znajdują. Pierwszym, religia od Boga dana musi odpowiadać — bo jest drugą połową jednej tessery; drugim w całości odpowiadać nie potrzebuje i nie może, dla tej prostej przyczyny, że te dowolne rozmaitych ludzi wymagania i poglądy są sprzeczne między sobą; niepodobna, żeby

jedna prawda do nich wszystkich przystawała. Im więcej potrafimy wejść w głąb swej natury rozumnej, a uwolnić się od uprzedzeń chwili i naleciałości otoczenia, tem bardziej przekonamy się, jak dalece chrystyanizm przystaje do całej duszy — do serca i do rozumu.

LEROY.

Do serca, zgoda — ale do rozumu, to bądź co bądź za wiele. Albo raczej, powiedziałbym, że w pewnym sensie chrystyanizm trafia do rozumu, a w pewnym go odraża. Chrystyanizm zdumiewa rozum swoją duchową potęgą, zachwyca go skutkami, jakie wywarł w świecie, między których ogromem a małością środków, żadnej nie widać proporcyi. Ale kiedy rozum, zdumiony i zachwycony, zbliża się do dogmatów, w które mu chrystyanizm wierzyć każe, wtedy nieprzepartej doznaje odrazy. I zapewnie też każdy wierzący a wykształcony człowiek przyzna, że z trudem niemałym zaprzeć się musi rozumu, aby módz wierzyć.

KSIĄDZ.

Nie, panie; nie chce Bóg, żeby się człowiek zaparł rozumu, ale chce, żeby go ukorzył przed Nim. U Pitagorejczyków ostatnią racyą we wszelkich dyskusyach było: tak mistrz powiedział, αὐτὸς ἔφα. Jest to piękny okaz czci, jaką mieli uczniowie dla geniusza mistrza, ale przesadzony. Człowiekowi żadnemu nie należy się ten pokłon rozumu — ale Bogu się należy. Bo Bóg jest absolutną inteligencyą i prawdą. Może rozum ludzki szukać, badać rozumowo, c z y Bóg nauczał; ale czynić to winien z pokorną gotowością wierzenia bez krytyki wszystkiemu, coby Bóg objawić raczył. Otóż zdarza się — a w naszym wieku zdarza bardzo często — że rozum idzie odwrotną drogą: spotykając się z dogmatem, o którym mu mówią, że jest od Boga objawiony, chce najprzód go poddać swej krytyce, przyłożyć do niego miarę swoich poglądów i upodobań, i podług tego chce sądzić, czy taki dogmat mógł być od Boga objawiony. To postępowanie

wywraca widocznie stosunek stworzenia do Stwórcy; więc oddalić tylko może człowieka od Boga i Boga od człowieka.

Mówisz pan, że chrystyanizm zdumiewa rozum swemi skutkami: to jest właśnie ten blask nadprzyrodzonych znamion, otaczający jakby aureolą naukę chrześcijańską, zdolny racyonalnie przekonać rozum, że ta nauka jest od Boga. Mówisz pan przytem, że sam dogmat odraża; – tak jest, jeżeli rozum poczyna źle od krytyki dogmatu; — nie, jeżeli rozum gotów jest jak powinien do przyjęcia z pokorą wszystkiego, coby Bóg do wierzenia podał. Wtedy owszem wszystko dziwnie jasnem się staje i dusza doznaje owego zachwytu, o którym mówiliśmy. Według teologii, jest w tem wszystkiem czynna łaska Boża; ale to nie przeszkadza, że ten pochód rozumu jest zupełnie racyonalnym, tak samo jak, w potocznem życiu, wierzenie słowom jakiejś osoby, o której wiarogodności jesteśmy dowodnie przekonani.

To poddanie rozumu Bogu wymaga wysiłku, wtedy mianowicie, kiedy rozum choruje na pychę. Ta zaś choroba, jakeście panowie w poprzednich rozmowach zauważyli, jest szczególnem znamieniem naszego wieku. Ale cóż stąd? W każdym wieku przyjęcie lub zachowanie wiary coś kosztowało; Bóg żądał zawsze pewnej ofiary: za czasów Dyoklecyana, aby być chrześcijaninem, trzeba było nietylko uprzedzenia złożyć, ale mienie i życie ryzykować; dzisiaj, w wieku pychy rozumu — jak mówiła przedwczoraj miss Wilson — trzeba rozum ukorzyć Bogu.

MISS WILSON.

Zaczynam już wierzyć, szanowny Księże, w możliwość zgody rozumu z sercem w sprawie religii. Ale czy jedynie rozumem można się o czemś przekonać, a sercem nie? Ot, roztrząsamy teraz kwestyę: czy chrystyanizm jest od Boga objawiony; wyłożył p. Deville rozumowe racye, które wszyscy pewnie, choć w nierównym może stopniu, za bardzo dobre uznajemy; — lecz obróćmy teraz tę samą kwestyę w stronę serca; postawmy ją tak: czy jest pożądanem, aby nam Bóg religię objawił?

Zdaje mi się, że po tem wszystkiem, cośmy w tych paru dniach słyszeli o tej ślepocie i nędzocie plemienia ludzkiego pod

względem religijnym, o tych wiecznie ponawianych i wiecznie bezskutecznych wysileniach, jakie czyniło, aby się wydźwignąć moralnie, aby znaleść omackiem Boga — zdaje mi się, mówię, że już odpowiedź jest niewątpliwa: nic pożądańszego dla ludzkości być nie może, jak żeby ją Bóg o religii pouczył.

A teraz pytam znowu: czy możemy przypuścić, czy serce pozwala nam myśleć, żeby Bóg patrzał na tę biedną ludzkość, której jest ojcem, widział jak się błąka w szukaniu go — i nie chciał jej ręki podać i prawdy o sobie objawić?... Mnie się zdaje, że postawienie tej kwestyi już jest jej rozwiązaniem. Powiedzcież, moi panowie, co sądzicie?

KSIĄDZ.

Sądzimy, żeś pani, idąc za sercem, doskonale prawdę wywnioskowała. A jest to nietylko wniosek serca, jak pani myśli, lecz i rozumu; bo rozum każe przyznać Bogu serce — inaczej, skądbyśmy serca mieli?

I dalej idąc powiem, że Bóg objawiając ludziom religię, jedną tylko religię mógł objawić: bo tylko prawda może od Boga wychodzić, a prawda może być tylko jedna. Mógł Pan Bóg tę prawdę podawać stopniowo, zsyłając od czasu do czasu nowe natchnienia, aż pełnię tej prawdy zesłał przez Chrystusa; nie było to jednak daniem różnych religij, tylko stopniowem jednej religii rozwijaniem. — Mogły znów religie pogańskie, mogły filozofie zachować na dnie jakieś okruchy z tej pierwszej dawki prawdy objawionej, jaką ludzkość na początku otrzymała. Okruchy te zdają się w nich świecić, jak żyłki złota w bryłach podłego kwarcu, i one jeszcze są dobrodziejstwem dla biednych pogańskich ludów. Ale są to tylko okruchy jednej prawdziwej boskiej religii; mnogich religij od Boga danych niema, i być nie może: bo to co je od prawdy wyróżnia, fałszem być musi. — A stąd wypływa ogromnie ważna konkluzya.

W wspaniałym obrazie, który skreślił przed nami p. Deville, przedstawił się nam chrystyanizm pośród wszystkich innych religij, jako coś powierzchownie podobnego, ale istoty całkiem odrębnej — co nie z ludzkości się rozwija, ale dane jest z góry —

i nosi wszystkie cechy swego górnego pochodzenia — i niemi porywa duszę. Jeżeli kogoś ten widok niedosyć jeszcze przekonywa o transcendentalności chrystyanizmu, to wystarcza mu przynajmniej, aby uznał bez wahania chrystyanizm za względnie najlepszą z religij, jakie są na świecie...

HAINBERG.

Oczywiście.

KSIĄDZ.

Otóż, ponieważ skądinąd — jak wymownie pokazała miss Wilson — wątpić nie można, wobec faktycznych warunków, w jakich się ludzkość znajduje, że Bóg miłościwy religię jej objawił; a z drugiej strony, jak dopiero pokazałem, ani myśleć nie można, żeby był więcej niż jedną objawił religię; więc pewnie najlepsza z istniejących religij musi być tą jedyną objawioną religią; — więc ostatecznie i ci nawet, którzy tylko względną wyższość chrystyanizmu nad inne religie drogą porównawczą postrzegają, winni mu koniecznie przyznać, że jest absolutną i boską religią.

I stąd wkońcu wynika, że przypuszczać nie można, aby z biegiem wieków nowe, wyższe religie po chrystyanizmie nastąpić miały, albo żeby sam chrystyanizm co do istoty się przemienił, wyzuł z dogmatów, jak mówił p. Siemionow. Prawda od Boga dana, nie może się przeobrażać. Nie w chrystyanizmie, jeno w ludzkości odmian spodziewać się można. A ja się spodziewam, jak już panom wiadomo, że ona coraz lepiej chrystyanizm zrozumie, pokocha i coraz więcej na jego modłę się przeobrazi.

Co panowie na to?

HAINBERG.

Ja zwracam honor panu Deville, co do wyłomu w jedności świata, który mu zarzucałem. Rozumiem, że i teistyczny i chrześcijański pogląd na świat przedstawia piękną jedność, którą radbym jeszcze więcej zgłębić.

SIEMIONOW.

Ja zaś myślę, że chcąc dowodzić boskości chrystyanizmu, zamiast tych wszystkich rzeczy, któreście panowie wytoczyli, należało mówić o Chrystusie.

MISS WILSON.

Prawda, prawda! Jakżeśmy mogli o tem nie myśleć?

LEROY.

Długo milczał p. Siemionow, ale bardzo mądrze się odezwał.

HAINBERG.

I to, cośmy dziś przedyskutowali, ma swoją prawdziwą wartość, i rzecz o Chrystusie będzie interesująca. Ale dziś już jest tak późno, że nie warto tej rzeczy zaczynać; radzę odłożyć ją do jutra.

MISS WILSON.

Dobrze; do jutra, moi panowie!

Ks. Maryan Morawski.

INDUKCYA U ARYSTOTELESA I PERYPATETYKÓW.

(Ciąg dalszy).

Jak Arystoteles odmiennie od Platona szukał źródła prawd pierwotnych?

Jeżeli w księdze przyrody nie czytamy prawd pierwotnych, w takim razie oglądać je musimy albo wyłącznie w naszym umyśle, albo w pierwowzorze wszelkiej prawdy, w Bogu. Platon nie uważał żadnej prawdy za wyłączny wytwór myśli ludzkiej, ani nie przyjmował rozumu ludzkiego za źródło wiedzy bezprzedmiotowej: stąd wskazywał myśli boże za źródło wiedzy pierwotnej.

Arystoteles przyznawał, że księga przyrody nie dostarcza nam gotowych i wykończonych prawd pierwotnych, ale zaprzeczał temu, że w niej nie znajdujemy nawet zawiązku tych prawd; twierdził, że rozum zdoła wnosić te prawdy z wiedzy doświadczalnej i wykazywał źródło pierwotnych prawd naukowych nie w widoku myśli odwiecznych Bóstwa, tylko w indukcyi.

Długą i mozolną walkę Arystoteles z nauką Platona stoczył głównie w księgach metafizycznych, ale trudno śledzić zawiły przebieg tej walki całej i rozbierać szczegółowo dowody, czerpane z pojęć dziś mało znanych. Dość tutaj rozebrać krótki ustęp z 2-giej księgi ΑΝΑΛ. ΠΡΟΤ. (r. [XXI] XXIII), gdzie Arystoteles odrzuca naukę Platona i pierwszy raz występuje z własną nauką o indukcyi. Prawda, że tylko potrąca o nią jakby mimochodem w tem miejscu, a potem dopiero wyłoży, jak w indukcyi widzi drogę do prawd pierwotnych; ale te słowa już dość jasno

nadmieniają, za co Arystoteles uważał indukcyę, a wypada na te słowa zwrócić uwagę, bo Arystoteles dodaje do nich bardzo dobitny przykład indukcyi, przez którą ze szczegółowego przypadku dochodzimy do jednej z pierwotnych prawd matematycznych.

Najprzód zwraca uwagę na następstwa, jakie podług niego płynęłyby z nauki Platona: mianowicie musielibyśmy we własnej duszy słyszeć głos, któryby zdradzał, że zawsze posiadaliśmy w naszej wiedzy, chociażby mglistą i jakby zatartą prawdę pierwotną o przedmiotach, których jeszcze nigdy nie spotkaliśmy w życiu. Tak, nim może przy nauce geometryi poznaliśmy pierwszy raz figurę, jaką tworzy średnica, i ramiona kąta w półkolu, nim umieliśmy sobie wyobrazić tę figurę, już spoczywałaby w naszej pamięci, przynajmniej zatarta, prawda pierwotna, że taka figura jest trójkątem. A nieraz zachodzi wypadek, że nauczyciel mniej żywo od ucznia pamięta prawdę jakąś, dawno już wyłożoną, i, zaledwo o niej ubocznie wspomni, już bystry uczeń wysnuwa z niej dalsze wnioski jaśniej, niżby to zdołał sam nauczyciel na razie. Stąd wypływałoby, według Arystotelesa, że musiał już niejeden z bystrzejszych uczniów od razu bez kątomierza powiedzieć, ile stopni wynosi suma kątów w figurze wyżej wspomnianej, jeżeli już przed wiekami, nim na świat przyszedł, oglądał prawdę, że taka figura jest trójkątem. Gdyby uczeń zbadał sumę kątów w tej figurze za pomocą kątomierza, w takim razie znalazłby na drodze czysto doświadczalnej prawdę może przypadkową, a nie zdawałby sobie z niej sprawy umiejętnie, nie rozumiałby w niej prawdy ogólnej, koniecznie spotykanej w każdej figurze. Dopiero wtenczas zna tę prawdę umiejętnie, kiedy dostrzega, że ją spotkać musi w każdej bez wyjątku figurze, ograniczonej średnicą i ramionami kąta w półkolu, zarówno w figurze, którą pierwszy raz w życiu widzi, jak w każdej innej możebnej. Więc już niejeden uczeń umiejętnie zdałby sprawę z prawdy o figurze, której do jego wyobraźni przedtem nie doniósł żaden zmysł; zamiast krok za krokiem przechodzić nową figurę, której przedtem nie wyobrażał sobie, zamiast ją rozpatrywać, jako nieznaną, mógłby od razu wypowiedzieć o niej prawdę, którą ogląd-

dał przed wiekami w Bogu, gdyby tylko tę prawdę dana figura odświeżyła w jego pamięci. Dlatego Arystoteles przeciwko Platonowi przywołuje na świadectwo głos ludzkiej duszy, który ani nam, ani żadnemu z najbystrzejszych myślicieli, nigdy nie donosi, że w ten sposób przy pierwszej figurze, jaką poznaliśmy, bez kątomierza od razu znaliśmy sumę kątów zawartych między jej bokami; słowem [1]: „nigdy nie zachodzi wypadek, żebyśmy pierwej posiadali umiejętnie prawdę co do poszczególnej jednostki, nim tę jednostkę pierwszy raz doświadczalnie poznamy".

Tą odpowiedzią Arystoteles nie zadowolniony, zaraz usiłuje wykryć, skąd mógł powstać błąd Platona i dodaje [2]: „tylko to czasem bywa, że razem i poznajemy poszczególną prawdę i przytem przez indukcyę poznajemy z niej prawdę naukową tak szybko, jak gdybyśmy napowrót poznawali prawdę, znaną już dawniej".

Więc Platon w tem zbłądził, że za zabytek wiedzy dawnej, bez trudu odnaleziony w pamięci, wziął nabytek nowy, tak łatwo odkryty przez indukcyę, jak gdyby ta uprzytomniała nam prawdę dawniej poznaną.

Arystoteles wyjaśnia te słowa przykładami takiej indukcyi łatwej i szybkiej, wziętemi z matematyki [3].

Niezwykle zwięzłe słowa, któremi Arystoteles narzuca te przykłady, potrzebują dłuższego rozbioru. Ale bez trudu je wyłoży, kto albo zdaje sobie sprawę z własnego toku myśli, albo pamięta przebieg wykładu nauczyciela, kiedy poznawał na figurze dowolnie obranej jakąś prawdę matematyczną, np. tę, o której Arystoteles wspomina, że figura utworzona przez średnicę

[1] Οὐδαμοῦ γὰρ συμβαίνεται προεπίστασθαι τὸ ἕκαστον.

[2] ἀλλ' ἅμα (συμβαίνει) τῇ ἐπαγωγῇ λαμβάνειν τὴν κατὰ μέρος ἐπιστήμην, ὥρπερ ἀναγνωρίζαντες.

[3] Ἔνια γὰρ εὐθὺς ἴσμεν, οἷον ὅτι δύο ὀρθαῖς, ἐὰν εἰδῶμεν, ὅτι τρίγωνον. Ὁμοίως δὲ καὶ ἐπὶ τῶν ἄλλων. Także ΑΝΑΛ. ΥΣΤ. ks. 1, r. 1: Ἔστι δὲ γνωρίξειν, τὰ μὲν πρότερον γνωρίζοντα, τῶν δὲ καὶ ἅμα λαμβάνοντα τὴν γνῶσιν, οἷον ὅσα τυγχάνει ὄντα ὑπὸ τὸ καθόλου, ὧν ἔχει τὴν γνῶσιν. Ὅτι μὲν γὰρ πᾶν τρίγωνον ἔχει δυσὶν ὀρθαῖς ἴσας, προῄδει· ὅτι δὲ τόδε τὸ ἐν τῷ ἡμικυκλίῳ τρίγωνόν ἐστι, ἅμα ἐπαγόμενος ἐγνώρισεν. Ἐνίων γὰρ τοῦτον τὸν τρόπον ἡ μάθησίς ἐστι, καὶ οὐ διὰ τοῦ μέσου τὸ ἔσχατον γνωρίζεται, ὅσα ἤδη τῶν καθ' ἕκαστα τυγχάνει ὄντα καὶ μὴ καθ' ὑποκειμένου τινός.

i oba ramiona kąta w półkolu, zawiera trzy kąty, których suma wynosi dwa proste.

Nauczyciel mógł oprzeć dowód na zasadzie, poprzednio wyłożonej uczniom, że trójkąt zawiera trzy kąty, których suma wynosi dwa proste. Żeby zastosować tę prawdę do figury ograniczonej średnicą i dwoma ramionami kąta w półkolu, wystarczy zauważyć, że ta figura jest trójkątem: w świetle tych dwóch prawd ze sobą zestawionych, uczeń miarkuje oczywiście, ile prostych wyniosą kąty figury, którą bada. Tym sposobem pojęcie trójkąta rzuca światło na związek między podmiotem: figura ograniczona średnicą i dwoma ramionami kąta w półkolu, a orzeczeniem: zawiera trzy kąty, których suma wynosi dwa proste.

Gdzież tutaj występuje indukcya? Przebieg myśli w tym dowodzie nosi na sobie znamienne piętna dedukcyi czyli syllogizmu, przeciwstawianego zawsze indukcyi. Według samego Arystotelesa syllogizm służy do tego, żeby w zdanie, zwane wynikiem, związać dwa pojęcia, porównywane kolejno z trzeciem, pojęciem pomocniczem, w którego świetle dwa pierwsze wykazują swój związek, a to z przyczyny, którą trzeba tutaj przypomnieć, żeby zrozumieć właściwą siłę syllogizmu i odróżnić od niej dowodną siłę indukcyi.

Każde pojęcie ogólne odpowiada licznym jednostkom poszczególnym, tem liczniejszym, im ono ogólniejsze. Liczba tych jednostek stanowi tak zwany z a k r e s pojęcia ogólnego (u perypatetyków nowszych *extensio*, u starszych *ambitus*). Syllogizm wykazuje związek między podmiotem a orzeczeniem wyniku za pomocą pojęcia ogólniejszego od podmiotu, a mniej ogólnego od orzeczenia; innemi słowami: w syllogizmie podmiot wyniku obejmuje zakres jednostek najmniej rozległy, cząstkę zakresu, ogarniętego pojęciem pomocniczem, a tego zakres znów obejmuje ledwo cząstkę jednostek, którym odpowiada orzeczenie wyniku. Dlatego to Arystoteles nazwał pojęciami „skrajnemi" podmiot wyniku, pojęcie o najciaśniejszym zakresie, i orzeczenie wyniku, pojęcie o najszerszym zakresie; pojęcie pomocnicze przy syllogizmie nosi z tego powodu miano pojęcia „średniego".

Stąd właśnie syllogizm czerpie siłę dowodną: mianowicie

wykazuje, że jakakolwiek jednostka wchodzi w zakres „średniego", tej jednostce odpowiada orzeczenie wyniku; a każda jednostka, wyrażona podmiotem wyniku, wchodzi w zakres „średniego": stąd płynie wynik, że każdej jednostce, wyrażonej przez podmiot, odpowiada orzeczenie.

Algebraicznie tak można przedstawić syllogizm, jeżeli głoska $Ś$ oznacza zakres pojęcia średniego, P zakres podmiotu, O zakres orzeczenia:

$$\begin{aligned} Ś &< O \\ P &< Ś \\ P &< O \end{aligned}$$

czyli: średnie zawarte w orzeczeniu;
a podmiot zawarty w średniem:
więc podmiot zawarty w orzeczeniu.

Otóż na taki właśnie wzór musiał nauczyciel ułożyć trzy pojęcia, o których rozumował, kiedy dowodził, że suma kątów badanej figury = 2d.

Mógł np. tak ustawić dowód:

Każdy trójkąt zawiera trzy kąty o sumie 180°;
Figura ograniczona średnicą i obu ramionami kąta w półkolu jest trójkątem:
Figura ta zawiera trzy kąty o sumie 180°.

I wszystkie piętna dedukcyi tu przychodzą. Rzeczywiście orzeczenie: zawiera trzy kąty i t. d., odpowiada liczniejszym jednostkom, niż pojęcie pomocnicze: każdy trójkąt, bo oprócz trójkąta można kreślić inne bez końca wieloboki, z których każdy także posiada jakieś trzy kąty o sumie 180°. Więc orzeczenie obejmuje zakres ogólniejszy od pojęcia pomocniczego. Dalej: liczniejszym jednostkom odpowiada pojęcie pomocnicze: trójkąt, aniżeli podmiot: figura ograniczona średnicą i ramionami kąta w półkolu, bo nie każdy trójkąt stanowi taką figurę. Więc pojęcie pomocnicze mieści w swoim zakresie więcej jednostek, niż podmiot wyniku.

Stąd w pojęciach podmiotu i orzeczenia w tym dowodzie znajdujemy pojęcia skrajne, w pomocniczem średnie, wszystkie ustawione na wzór syllogizmu: dlatego w przebiegu dowodu

znajdujemy wszystkie znamiona drogi dedukcyjnej i za taką perypatetycy z Arystotelesem uważali podobne dowody matematyczne [1].

Dlaczegóż Arystoteles przywiódł takie dowody, żeby przykładami wyjaśnić naukę o tej indukcyi, której przebieg szybki i łatwy wprowadził w błąd Platona, bo daje tak doraźnie spostrzedz naukową prawdę pierwotną, jakby ją tylko przypominał?

Oczywiście nie w wyniku dowodu syllogistycznego Arystoteles pokazuje prawdę poznaną indukcyjnie, tylko w którejś z prawd zawartych w poprzedniku. Wynik zawierać musi prawdę pośrednią, która łączy z orzeczeniem podmiot w niem zawarty. Do poprzednika wchodzą prawdy pierwotne, które łączą podmiot z orzeczeniem w nim zawartem. Przy dowodzie, że w danej figurze suma 3-ch kątów = 2d, trzeba wykryć w istotnych znamionach tej figury jakieś pojęcie przydatne do tego, żeby wykazać związek podmiotu z orzeczeniem. Żeby je wykryć, nauczyciel kreśli figurę, na której uczeń spostrzega poszukiwane znamię pomocnicze, poznaje w danej figurze trójkąt, ale uczeń zarazem spostrzega, że dana figura uwydatnia to znamię, nie jako d a n a f i g u r a p o s z c z e g ó l n a, ale jako jakabądź figura; jak mówi Arystoteles w osobie uczniów: „poznajemy, że to trójkąt" (εἰδῶμεν ὅτι τρίγωνον); i znowu: „że to trójkąt, od razu indukcyjnie widać" (ὅτι δὲ τόδε τὸ ἐν τῷ ἡμικυκλίῳ τρίγωνόν ἐστι, ἅμα ἐπαγόμενος ἐγνώρισεν). Uczeń widzi myślą w danej figurze coś więcej, aniżeli oczyma w niej ogląda; uważa, że nauczyciel dowolnie obrał figurę t a k wykreśloną i mógł ją wykreślić i n a c z e j, czy t a k, czy o w a k, i przedstawić w niej j a k ą b ą d ź figurę możebną, byle ją tworzyła średnica z ramionami kąta w półkolu. Słowem: dana figura, na razie wykreślona, o t a k i c h kątach i bokach, zastępuje przy wykładzie wszystkie inne i n a c z e j stawiane

[1] ΠΕΡ. ΦΥΣ. ks. II, r. 9: Ἔστι δὲ τὸ ἀναγκαῖον ἔν τε τοῖς μαθήμασι καὶ ἐν τοῖς κατὰ φύσιν τρόπον τινὰ παραπλησίως· ἐπεὶ γὰρ τὸ εὐθὺ τοδὶ ἐστιν, ἀνάγκη τὸ τρίγωνον δύο ὀρθαῖς ἴσας ἔχειν Na to św. Tomasz (lect. 14): „Invenitur enim in scientiis demonstrativis necessarium a priori, sicut si dicamus quod, quia definitio recti anguli est talis, necesse triangulum esse talem, scilicet habere tres angulos aequales duobus rectis".

figury ze średnicy i ramion kąta w półkolu. Kiedy uczeń pojmie, że w j e d n e j figurze danej poznał przedstawicielkę wszystkich figur, ograniczonych średnicą i ramionami kąta w półkolu, wtenczas może wyrazić swoją myśl słowami: „dana figura jest jakąbądź figurą, ograniczoną średnicą i ramionami kąta w półkolu"; przez to rozumie, że dana figura uczy prawdy, nie jako figura k o n i e c z n i e t a k a a n i e i n n a, ale że jako jakabądź figura tego samego rodzaju uwydatnia poszukiwane znamię: „jest trójkątem". Tem samem uczeń wnosi, że każda figura, jakby nie kreślona, byle należała do tego rodzaju, zawsze posiędzie to znamię, czyli uczeń wnosi prawdę ogólną, że każda figura tego rodzaju posiada owe znamię.

Tak zdobył uczeń prawdę pierwotną; bez dowodu pośredniego zrozumiał ją od razu, kiedy przeniknął na danej figurze pojęcie trójkąta i związał z nią jej znamię istotne.

W syllogizmie z ogólniejszych prawd wynika bardziej szczegółowa: wprost przeciwnie rozumuje uczeń, kiedy z jednej figury wnosi o wszystkich figurach jednorodnych: i tu używa wykazu bezpośredniego, już nie syllogizmu, tylko indukcyi [1].

W ten sposób, według Arystotelesa, indukcya z prawd doświadczalnych, z jestestw poszczególnych i przypadkowych zja-

[1] W nowszych podręcznikach filozofii nieraz daje się czuć brak zrozumienia indukcyi. Np. jeden z nich (Institut. Philosophiae S. T. Logica nr. 218, 2°, b) przyznaje: „quaedam attributa conveniunt singulis partibus ex ipsorum essentia et natura, sine ullo respectu ad partis rationem. Et haec tum de singulis, tum de omnibus simul affirmantur. Quare legitimae sunt hae consecutiones", i nazywa je „illationes i m m e d i a t a e". Tenże sam dalej nie widzi, że powyższemi słowami opisał indukcyę, którą określił sam jako: „transitus omnis a singularibus ad universale" (nr. 303), i twierdzi (nr. 307, 1): „liquet inductionem non esse argumentationum a syllogismo diversam", (2°) „manifestum est inductionem incompletam non posse dici syllogismum sine medio". A jednak znowu przyznaje (nr. 309): „Inductiva argumentatio propositiones syntheticas universales facit". Jakżeż to możebne, jeżeli indukcya używa pojęcia średniego? Jakże może pośrednie pojęcie razem przewyższać swoim zakresem podmiot wyniku i posiadać zakres mniejszy od niego? A musi przewyższać, jeżeli mowa o syllogizmie, musi mniejszy posiadać zakres, gdzie występuje indukcya. Tak dalece ów pisarz nie spostrzega przeciwieństw ze sobą samym, że otwarcie wyznaje zaraz: „Notandum est autem, propositiones quoque analyticas posse, ac

wisk prowadzi umysł do pierwotnych prawd naukowych, powszechnych i koniecznych w każdem miejscu i czasie.

Jak na tem miejscu, przy wzmiance o indukcyi uczył o jej pożytku, tak samo, gdziekolwiek o niej czy wspomina pobieżnie, czy głębiej bada, zawsze w niej widzi drogę, która z wiedzy doświadczalnej i jednostek zmysłami poznawalnych, prowadzi do pierwotnych prawd naukowych, nabytków pracy umysłowej [1].

Wszędzie to samo powtarza. Czy rozbiera, jak winien rozumować myśliciel, czy jak trzeba rozprawiać wobec sądu, jak wykładać w uczelni, albo popierać wnioski na radzie: zawsze wywodzi, że mówca czy nauczyciel usiłuje słuchaczom wykazać prawdę, jeszcze im nieznaną, na tle innych, już im nie obcych. Ta prawda, słuchaczowi już znana, może być albo ogólną, naukową, oderwaną, albo poszczególną, doświadczalną, uchwytną.

---

non raro solere inductione probari sive completa sive incompleta, nisi quod in his singulae tum observatione et experientia, tum demonstratione a priori probari possunt. Inductionis in hoc genere completae suppetunt passim exempla apud geometras, imo in quibusvis scientiis. Incompletae per observationem algebra praesertim exempla praebet, quum vel formulas generales, vel formularum indefinitarum leges constituit".

[1] ΑΝΑΛ. ΠΡ ks. II, r. [23] 25: Ἅπαντα γὰρ πιστεύομεν ἢ διὰ συλλογισμοῦ, ἢ ἐξ ἐπαγωγῆς. ΑΝΑΛ. ΥΣΤ. ks. I, r. 1: Ὁμοίως δὲ καὶ περὶ τοὺς λόγους, οἱ τε διὰ συλλογισμῶν, καὶ οἱ δι' ἐπαγωγῆς· ἀμφώτεροι γὰρ διὰ προγινοσκομένων ποιοῦσι τὴν διδασκαλίαν, οἱ μὲν λαμβάνοντες ὡς παρὰ ξυνιέντων, οἱ δὲ δεικνύντες τὸ καθόλου διὰ τὸ δῆλον εἶναι τὸ καθ' ἕκαστον. Tamże r. 18: εἴπερ μανθάνομεν ἢ ἐπαγωγῇ, ἢ ἀποδείξει. Ἔστι δ' ἡ μὲν ἀπόδειξις ἐκ τῶν καθόλου, ἡ δ' ἐπαγωγὴ ἐκ τῶν κατὰ μέρος. ΤΟΠΙΚ. ks. I, r. [6] 7: μία μὲν πίστις ἡ διὰ τῆς ἐπαγωγῆς, ...Ἄλλη δὲ πίστις ἡ διὰ συλλογισμοῦ. Tamże r. [10] 12: Χρὴ διελέσθαι πόσα τῶν λόγων εἴδη τῶν διαλεκτικῶν. Ἔστι δὲ τὸ μὲν ἐπαγωγή, τὸ δὲ συλλογισμός... ἐπαγωγὴ δὲ ἡ ἀπὸ τῶν παθ' ἕκαστον ἐπὶ τὰ καθόλου ἔφοδος. Tamże ks. VIII, r. 1: Ἡ λὰρ διὰ συλλογισμοῦ, ἢ δι' ἐπαγωγῆς τὰς ἀναγκαίας προτάσεις ληπτέον... ἐπάγοντα μὲν ἀπὸ τῶν καθ' ἕκαστον ἐπὶ τὸ καθόλου καὶ τῶν γνωρίμων ἐπὶ τὰ ἄγνωστα· γνώριμα δὲ μᾶλλον τὰ κατὰ τὴν αἴσθησιν. ΡΗΤΟΡ. ks. I, r, 2: Ὅλως ἀνάγκη συλλογιζόμενον ἢ ἐπάγοντα δεικνύναι ὅτιοῦν ἢ ὄντ.νοῦν. Δῆλον δ' ἡμῖν ἐκ τῶν ΑΝΑΛ. — ΗΘΙΚ. ks. VI, r. 3: Ἐκ προγιγνωσκομένων δὲ πᾶσα διδασκαλία, ὥςπερ ἐν τοῖς ΑΝΑΛ. λέγομεν· ἡ μὲν γὰν δι' ἐπαγωγῆς, ἡ δὲ συλλογισμῷ. Ἡ μὲν δὴ ἐπαγωγὴ ἀρχή καὶ τοῦ καθόλου· ΠΕΡ. Τ. ΖΩΑ. ks. I, r. 6: οὕτω γὰρ κατὰ φύσιν ἔστι ποιεῖσθαι τὴν μέθοδον, ὑπαρχούσης τῆς ὑστορίας τῆς περὶ ἕκαστον· περὶ ὧν τε γὰρ καὶ ἐξ ὧν εἶναι δεῖ τὴν ἀπόδειξιν ἐκ τούτων γίνεται φανερόν. ΠΕΡ. ΖΩΩΝ ΚΙΝ. r. 1: Περὶ δὲ κινήσεως τῆς τῶν ζῴων.. δεῖ.. μὴ μόνον τῷ λόγῳ καθόλου λαβεῖν, ἀλλὰ καὶ ἐπὶ τῶν καθ' ἕκαστα καὶ τῶν αἰσθητῶν, δι' ἅπερ καὶ τοὺς καθόλου ζητοῦμεν λόγους, καὶ ἐφ' ὧν ἐφαρμόττειν οἰόμεθα δεῖν αὐτούς.

Kiedy wyłuszczamy wynik z prawd ogólnych, wtenczas używamy pośredniego dowodu, zwanego syllogizmem. Kiedy odkrywamy ogólną prawdę w świetle wiedzy poszczególnej, wtenczas używamy wykazu bezpośredniego, zwanego ἐπαγωγή po grecku, a Cycero nazwał to po łacinie *inductio*. Syllogizm czerpie wynik z prawd umysłowych, jaśniejszych od wyniku; indukcya służy do prawd pierwotnych, nad które nic nie rozumiemy jaśniej; tylko zmysłami doświadczona wiedza może nam prędzej wpadać w oczy od pierwotnych prawd umysłowych, więc z tej wiedzy najoczywistszej wnosimy prawdy pierwotne. Syllogizm zastosowuje prawdę ogólną, myśl mglistą, do nowych szczegółów, i przez to wzbogaca treść naszej wiedzy. Indukcya podnosi jądro prawd poszczególnych na stanowisko ogólne, wyraża powszechne prawo całej istoty i przez to rozszerza zakres naszych poglądów. Syllogizm potrzebuje pewnego zasobu wiedzy naukowej już nabytej poprzednio; indukcya dostarcza tych pierwiastków syllogizmu. Nim złożymy z prawd ogólnych syllogizm w pracy naukowej, z przyrody umysłu naszego musimy użyć pierwej metody, która zbiera szczegóły. W nauce nie można poprzestawać na raz zdobytych poglądach ogólnych, trzeba ciągle uważać na poszczególne i doświadczalne zjawiska, w których to wynajdujemy prawdy ogólne i według których mierzymy naukową zdobycz, żeby ją sprawdzić.

Temi słowami Arystoteles dość określił drogę, jaką wytknął z wiedzy doświadczalnej do prawd naukowych, zamiast czerpać te prawdy z platońskiego źródła, z widoku myśli odwiecznych w Bogu. Do tego samego miała służyć indukcya według szkoły perypatetycznej, która ze świętym Tomaszem zgodnie rozumiała naukę swojego założyciela [1].

[1] In Anal. Post. libr. I, lect. 15: „Sciendum est autem, quod, quia demonstratio non est corruptibilium, sed sempiternorum, nec deffinitio, Plato fuit coactus ponere ideas. Quum enim ista sensibilia sint corruptibilia, videbatur, quod eorum non possit esse demonstratio, neque deffinitio. Et ideo videbatur, quod oporteret ponere quasdam substantias incorruptibiles, de quibus demonstrationes et definitiones darentur. Et hac sempiternas substantias vocat species vel ideas. Et huic opinioni occurrit Aristoteles“... Gdzieindziej (De Veritate q. XI, a. 1, c.): „Quidam... dicunt, quod addiscere

Najobszerniej tę naukę wyłożył Arystoteles, a za nim św. Tomasz i inni, kiedy szukają odpowiedzi na pytanie, czy ślepy zdoła pojąć jaką naukę o barwach, albo głuchy prawidła śpiewu. Arystoteles przeznaczył na rozbiór tego pytania cały 13-ty rozdział księgi pierwszej ΑΝΑΛ. ΥΣΤ., a ten ustęp wyjaśniony wykładem św. Tomasza (lect. 29) nie pozwala wątpić o ich poglądzie na indukcyę i jej użytku. Twierdzą, że „gdyby można bez indukcyi rozumieć pierwotne prawdy ogólne, z których układamy syllogizm, w takim razie możnaby nabyć wiedzy o przedmiotach, do których nam brakuje zmysłu. A nie można oglądać ogólnych prawd inaczej, jak przez indukcyę (ἀδύνατον δὲ τὰ καθόλου θεωρῆσαι μὴ δι' ἐπαγωγῆς), i to bardzo widoczne co do prawd przyrodniczych, o przedmiotach zmysłowych, bo nie poznajemy ich praw ogólnych, póki nie spostrzeżemy zjawisk poszczególnych, poznawalnych przez zmysły; ale może to wątpliwe co do nauk, zwanych oderwanemi, jak matematyka, bo mógłby ktoś nie rozumieć, jak zmysły nasuwają nam prawdy oderwane. Otóż, żeby nie zostawić nic nierozstrzygniętego, Arystoteles dodaje uwagę, że przez indukcyę trzeba wykazywać nawet prawdy, zwane oderwanemi, bo w każdej dziedzinie prawd oderwanych spotykamy

---

nihil aliud est, quam reminisci... Secundum doctrinam Aristotelis... dicendum est de scientiae acquisitione, quod praeexistunt in nobis quaedam scientiarum semina, scilicet primae conceptiones intellectus, quae statim lumine intellectus agentis cognoscuntur per species a sensibilibus abstractas, sive sint complexa, ut dignitates, (tak św. Tomasz oddał po łacinie grecki wyraz ἀξιώματα, czasem używa wyrazu maximae), sive incomplexa, sicut ratio entis... in istis autem principiis universalibus omnia principia includuntur, sicut in quibusdam rationibus seminalibus". Tamże q. x, art. 13 c.: „principiorum autem cognitio a sensibus ortum habet, ut patet II. Post." In I. sentent. prol. q. I, a. 5, c.: „intellectus principiorum naturaliter insitorum determinatur per sensibilia accepta". Tamże, dist. 3, q. I, a. 2. c.: „ea, quae per se nobis nota sunt, efficiuntur nota statim per sensum, sicut visis toto et parte statim cognoscimus, quod omne totum est majus sua parte". Także, Super Boetium de Trin. q. 3, a. 1. 4-m: „quae exterius proponuntur... haec se habent ad cognitionem fidei, sicut accepta per sensum ad cognitionem principiorum, quia utrisque fit aliqua cognitionis determinatio. Unde sicut cognitio principiorum accipitur a sensu, et tamen lumen, quo principia cognoscuntur, est innatum, ita fides est ex auditu, et tamen habitus fidei est infusus".

na wstępie poszczególne jednostki i zmysłowe zjawiska, i te, chociaż rzeczywiście nie istnieją nigdy jako o d e r w a n e, jako przedmioty wprost poznawalne umysłowo, przecież nastręczają umysłowi oderwane pojęcia i ogólne prawdy. Tak w oderwanej rozprawie rozumujemy o linii matematycznej, ale pierwej musieliśmy spotkać w przyrodzie poszczególne linie uchwytne okiem i rzeczywiście istniejące w świecie materyalnym, jako jednostki przywiązane do czasu i miejsca... A nigdzie indziej nie odkrywamy prawd oderwanych, używanych w nauce do syllogizmu, jak tylko w zjawiskach i wypadkach poszczególnych i dostępnych zmysłami. Dajmy na to, kiedy zmysły przedstawią nam całkowitą jednostkę poszczególną, wtenczas urabiamy oderwane pojęcia całości i części; także wnosimy, że wszelka całość jest większą od części, kiedy spostrzeżemy to w różnych wypadkach. Więc bez indukcyi nie mamy drogi do pierwotnych prawd syllogizmu, ani indukcyi bez zmysłów, bo komu brak zmysłu, ten nie zna prawd poszczególnych, ani nie pozna ich znikąd: bez indukcyi nie pozna ich z prawd ogólnych, nie pozna przez indukcyę bez zmysłów".

Ależ między prawdami pierwotnemi spotykamy niektóre pewniki tak łatwo zrozumiałe, że nieokrzesanemu prostaczkowi, a nawet dziecku zapytanemu o nie, wystarczy zrozumieć pojedyńcze wyrazy pytania, żeby spostrzedz ich związek. Do takich pewników należą przedewszystkiem te prawdy pierwotne, bez których nie może nikt kroku postawić na drodze naukowej; mianowicie każdy myśliciel musi przyznać to troje: że istnieje, że zdoła poznać prawdę, że nie można istnieć razem i nie istnieć. Czyż i o takich pewnikach myślał albo wiedział Arystoteles, kiedy żądał dla prawd pierwotnych wykazu przez indukcyę?

Na to pytanie dają jasną odpowiedź pisma Arystotelesa i zgodne ich wykłady, zostawione przez ogół perypatetyków, uczniów św. Tomasza. Od nich odstąpił w tej mierze któryś ze średniowiecznych perypatetyków ze szkoły arabskiej i znalazł zwolenników w Melanchtonie, pisarzach zwanych *Conimbricenses,* Suarezie, Gratrym i jemu współczesnych filozofach. Prócz tych wyjątków, ogół pisarzy z wieków XVI. i XVII., wymienionych z początku niniejszej pracy, zgodnie stał przy nauce, którą przy-

znawał Arystotelesowi; najdłużej powtarzali ją bez zmiany filozofowie z Zakonu Kaznodziejskiego, za przywództwem kardynała Tom. de Vio Cajetano.

Żeby poznać odpowiedź Arystotelesa, trzeba wiedzieć, że właśnie od niego to przyjęli perypatetycy, a za nimi inni filozofowie, podział prawd pierwotnych na najogólniejsze p e w n i k i (ἀξιώματα), znane każdemu, nawet dziecku, i na ogólne z a s a d y *principia*, nie od razu oczywiste temu, kto nie posiada nauki [1].

Z tego ustępu nauki Arystotelesa jasno zdaje sprawę św. Tomasz (lect. 4): „Ten podział widoczny stąd, że pierwotną i przez się znaną jest każda prawda, w której samo pojęcie podmiotu w treści swojej zawiera orzeczenie. Otóż niejedną z takich prawd wyrażamy słowami, zrozumiałemi dla każdego, jak byt, jednostka i inne, które oznaczają najogólniej każdy byt. Bo „byt" stanowi pierwsze pojęcie rozumu. Stąd musimy uważać takie prawdy za oczywiste przez się nietylko same w sobie, ale także dla każdego rozumu; do nich należy to, że nie można istnieć razem i nie istnieć, że większa całość od części, i inne pewniki... Innych prawd, oczywistych przez się, nie oddajemy słowami, zrozumiałemi dla każdego: więc choć w nich także pojęcie podmiotu w treści swojej zawiera orzeczenie, jednak niekoniecznie każdy umie określić podmiot, dlatego nie każdy musi rozumieć te prawdy".

Najpierwszym pewnikiem nazwał Arystoteles prawdę, że nie można istnieć razem i nie istnieć [2].

Jakżeż, według niego, poznajemy tę prawdę? tę właśnie prawdę, w której, jak mówi, „niemożebny jest błąd, bo jej nabędzie, ktokolwiek pojmie co bądź, i z nabytym tym pewnikiem przystępuje do każdej nauki, i umie już tę prawdę, kto zdoła tylko coś umieć".

---

[1] ΑΝΑΛ. ΥΣΤ. ks. I, r. 1: Ἀμέσου δ' ἀρχῆς συλλογιστικῆς ἐξ ἀθέτων μὲν λέγω, ἣν μὴ ἔστι δεῖξαι, μηδ' ἀνάγκη ἔχειν τὸν μαθεσόμενόν τι· ἣν δ' ἀνάγκη ἔχειν τὸν ὁτιοῦν μαθησόμενον, ἀξίωμα.

[2] Μ. Τ. ΦΥΣ. ks. IV, r. 3: Βεβαιοτάτη δ' ἀρχὴ πασῶν, περὶ ἣν διαψευσθῆναι ἀδύνατον... Ἦν γὰρ ἀναγκαῖον ἔχειν τὸν ὁτιοῦν ξυνιέντα τῶν ὄντων.. ὁ δὲ γνωρίζειν ἀναγκαῖον τῷ ὁτιοῦν γνωρίζοντι, καὶ ἥκειν ἔχοντα ἀναγκαῖον.

W wykładzie powyższych słów (lect. [4]6) odpowiada św. Tomasz: „znamieniem jej jest, że nie nabywamy jej syllogizmem ani żadnym innym dowodem, ale, kto ją posiada, przychodzi do niej z przyrody rzeczy, jakby z nią zrodzony nie nabywał jej nigdy. Bo w samem świetle wrodzonem rozumu czynnego *(intellectus agentis)* widzimy pierwsze pewniki, ani nie rozumujemy, żeby ich nabyć, tylko znamy je tem samem, że rozumiemy wyrazy, które je oddają. Otóż pochodzi to stąd, że ze spostrzeżonych zmysłami zjawisk zostaje pamięć, a z pamięci doświadczenie, a z doświadczenia znamy wyrazy, a kiedy pojmiemy, co znaczą, rozumiemy prawdy ogólne, pierwiastki nauk i przemysłu. Stąd oczywiście takim musi być ten pewnik najpierwotniejszy".

Tak opisuje przebieg myśli, którym poznajemy pierwszy pewnik, zarówno jak inne prawdy pierwotne; następnie śledzi wykazy, jakiemi Arystoteles broni tego pewnika przeciw Heraklitowi, i bada siłę różnych indukcyj, użytych przez Arystotelesa. Tę samą myśl streszcza gdzieindziej, i stanowczo twierdzi, że przez indukcyę Arystoteles wykazuje prawdę pierwszego pewnika[1].

Tak wygląda u perypatetyków źródło, z którego zdobywamy pierwszy pewnik. Ale tylko o nim mówi Arystoteles tak obszernie. Ani sam, ani średniowieczna jego szkoła niewiele wspominała o dwóch innych prawdach, na które Dekart dopiero zwrócił uwagę, jako na zasadnicze pewniki, o których wie każdy myśliciel: że istnieje, i że zdoła poznać prawdę. O tych prawdach mało pisali dawni perypatetycy podobno dlatego, że od pewnika pierwotnego wymagali, żeby orzekał najogólniejszą prawdę o samym bycie albo jego znamionach. Możnaby wątpić, czy zaliczali „własne istnienie" albo „własną zdolność do poznania prawdy", do znamion bytu powszechnie znanych. W każdym razie, czy Arystoteles uważał te dwie prawdy za pewniki, czy tylko za zasady pierwotne, potrącił o nie w rozprawie o przyjaźni, gdzie

[1] Supra Boetium de Trin. q. 2, a. 2, 4-m: „defenduntur ab impugnantibus (sicut et philosophus 4 metaph. disputat contra negantes) principia et manifestantur... per inductionem, non autem ratione demonstrativa probantur".

razem o obu mówi, że je poznajemy także na drodze doświadczalnej [1].

„Kto widzi, bywa świadom tego, że używa wzroku; kto słyszy, spostrzega, że jego słuch działa prawidłowo; kto chodzi, czuje swój chód; i przy innych sprawach podobnie nie uchodzi to naszej uwagi, że przykładamy swoje władze do czynu; tak następnie możemy czuć, że doznajemy swego stanu i rozumieć, że myślimy; stąd nakoniec, że siebie samych czujemy i rozumiemy, czujemy także i rozumiemy, że istniejemy".

Na tych słowach oparty św. Tomasz pisze (Super Boetium de Trinitate q. 1, a. 3): „Światło rozumu, poznawcza siła naszego umysłu, nie stanowi pierwszego kresu naszej wiedzy. Ani jego istoty nie pojmujemy przedtem, nim urobimy sobie inne pojęcia, bo długo trzeba badać, nim określimy, na czem istotnie polega siła poznawcza rozumu; ani jej istnienia nie poznajemy przed innemi prawdami, bo póty nie spostrzeżemy, że posiadamy rozum, póki nie spostrzeżemy, że użyliśmy tej władzy, żeby coś zrozumieć, jak to widać z 9 ks. Etyki Filozofa. A nikt nie spostrzeże, że użył rozumu, nim zrozumie coś zrozumiałego. Stąd widać, że poprzednio poznajemy coś zrozumiałego, następnie poznajemy, że używamy rozumu, a nakoniec, że tę władzę posiadamy... Ponieważ umysłowa wiedza nasza cała wypływa ze świadectwa zmysłów (quum cognitio intellectus nostri tota derivetur a sensu), stąd pierwej wiemy o prawdach poznawalnych zmysłami, niż o prawdach zrozumiałych dla umysłu, to znaczy, najpierwej rozumiemy prawdy poszczególne czyli dostępne dla zmysłów".

W tym samym duchu pisze (10 q. de Verit. a. 8 c.): „w tem spostrzegamy swoją duszę i życie i istnienie, że spostrzegamy sprawy duszy poznawcze i żywotne, i kiedy je czujemy, rozumiemy, że istniejemy. A nikt nie spostrzeże w sobie poznawczych spraw rozumu, chyba, że zrozumiał jakąś prawdę, bo pierwej

[1] ΗΘΙΚ. ΝΙΚ. ks. IX, r. 28: Ὁ δ' ὁρῶν, ὅτι ὁρᾷ, αἰσθάνεται, καὶ ὁ ἀκούων, ὅτι ἀκούει, καὶ ὁ βαδίζων, ὅτι βαδίζει, καὶ ἐπὶ τῶν ἄλλων ὁμοίως ἔστι τι αἰσθανόμενον, ὅτι ἐνεργοῦμεν, ὥστε αἰσθανόμεθ' ἄν, ὅτι αἰσθανόμεθα, καὶ νοοῦμεν, ὅτί νοοῦμεν· τὸ δ' ὅτι αἰσθανόμεθα ἢ νοοῦμεν, ὅτι ἐσμεν.

musimy zdobyć coś rozumem, nim spostrzeżemy, że rozum nam przyświeca. I dlatego dusza nie dochodzi do rzeczywistej wiedzy o swojem istnieniu, nim doświadczy, że zdoła czuć albo rozumieć". Także (1, d. 3, q. 4, a. 5 c.): „dusza nieraz zostaje w stanie bezwiednym o sobie, bo do samowiedzy rzeczywistej nie wystarczą obecne w duszy sprawy, które świadczą o jej życiu i istnieniu: trzeba jeszcze o nich myśleć i zwrócić uwagę na ich świadectwo".

Taka nauka daleko odbiega od stanowiska podmiotowego, zajętego przez Dekarta i jego następców. Nie ze siebie wyłonił uczeń Arystotelesa myśl o świecie, nie do wnętrznych kategoryj umysłu dobierał treści ze świadectwa zmysłów, ale uważał swój umysł za pustą tablicę, na której nie napisana żadna prawda, nie zaznaczone żadne pojęcie (ΠΕΡΙ ΨΥΧΗΣ ks. III, r. 4): οὕτως ὥσπερ ἐν γραμματείῳ, ᾧ μηδὲν ὑπάρχει ἐντελεχείᾳ γεγραμμένον· ὅπερ συμβαίνει ἐπὶ τοῦ νοῦ, ani nawet samowiedza własna nie kreśli na tej tablicy znaków o sobie: rozum czeka bezwiednie, aż prawda poza nim istniejąca poruszy jego zmysły, wtenczas ocucony słucha głosów zewnętrznych i dopiero na tle zewnętrznych jestestw spostrzega swoje czyny, władze, i nakoniec istnienie. Zamiast tej wiedzy, zależnej ściśle od zewnętrznych przedmiotów, Dekart przyjął „wrodzone pojęcia i zasady"; pojęć wrodzonych nie zdołał wprowadzić do filozofii perypatetycznej, ale znalazł perypatetyków, skłonnych do ustępstw w nauce o zasadach pierwotnych. Wprawdzie nie prędko tego dokazał, że perypatetycy przestali wskazywać na indukcyę, jako na źródło prawd pierwotnych; za życia swojego spotykał zwykle przeciwników, którzy zarzucali, że „zasady wrodzone", jakich bronił, nie odpowiadają przyrodzie rozumu ludzkiego; uczyli, że umysł ludzki nie posiada żadnego nabytku wiedzy, któregoby nie zebrał na polu doświadczalnem za pośrednictwem zmysłów. Sam Dekart świadczy o perypatetykach, że wogóle za jego czasów niczego nie upatrywali w rozumie, coby do niego nie doszło przez zmysły (discours s. l. méth. 4): „les philosophes tiennent pour maxime, dans les écoles, nihil esse in intellectu, quod non prius fuerit in sensu". Ale z biegiem czasu pisma perypatetyków z dwóch

wieków ostatnich coraz bliżej zachodzą na tor kartezyański w nauce o pierwotnych pewnikach i zasadach: z naciskiem wspominają już tylko o tych znamionach prawdy pierwotnej, na które i Arystoteles przystawał i Plato i Dekart, mianowicie: że w tych prawdach podmiot zawiera w sobie orzeczenie, i że związek tych pojęć widnieje przez się, jako oczywisty dla każdego, kto rozumie, co znaczy w tych prawdach podmiot i orzeczenie. Na tem poprzestawali; jak Dekart uważał to za dostateczną rękojmię prawdy, że ją poznał oczywiście, jak zaniechał dalszych kroków, żeby dojść do przedmiotowego piętna oczywistej prawdy: tak późniejsi perypatetycy nie poszli dalej za Arystotelesem, żeby odpowiedzieć idealistom, jak rozum wyczytuje w księdze przyrody związek pojęć, zestawionych w prawdzie pierwotnej? Skąd wiemy o tym związku, jeżeli o nim zmysły nie świadczą nic, a poddają rozumowi tylko jasne pojęcie podmiotu i orzeczenia, w takim razie czemu wiemy więcej o stosunku jasnych pojęć w prawdach pierwotnych, aniżeli o związku także jasnych pojęć w prawdach pośrednich? Skąd do rozumu dochodzi przedmiotowa prawda, która nie przeszła przez zmysły? Na to pytanie odpowiada jeden z tegowiecznych neoperypatetyków: „ani Arystoteles, ani żaden z jego uczniów znakomitszych pewnie tego nie wypowiedział, żeby nic nie miało być w rozumie, czego nie było już w zmysłach (Psych. l. 3, c. 6, a. 1, n. 361, 12°): „pronuntiatum illud, nihil est intellectu, quod non fuerit in sensu, certe nec apud Aristotelem, nec apud aristotelicos, saltem alicujus nominis, reperitur“. Choćby nie takiemi właśnie słowami, łatwo przecie znaleść dobitnie wyrażoną tę naukę w wielu pismach najsłynniejszych perypatetyków, jak św. Tomasza, który np. uczy, że w wiedzy ludzkiej podwaliną i źródłem jest zmysł [1].

[1] De princ. individ. c. 1: „in cognitione humana fundamentum et origo est sensus“. Niemniej wyraźnie Aryst. ΠΕΡ. ΨΥΧ. ks. III, r. 8: ἐν τοῖς εἴδεσι τοῖς αἰσθητοῖς τὰ νοητά ἐστι... Καὶ διὰ τοῦτο οὔτε μὴ αἰσθανόμενος μηδὲν οὐδὲν ἂν μάθοι.

Ale i tych właśnie słów także używa św. Tomasz, kiedy wykłada różnicę między wiedzą czystego ducha a naszą [1].

Niemniej św. Bonawentura zajął poważne stanowisko między perypatetykami, a zna te słowa i wykłada, co znaczą [2].

I nie dopiero ci perypatetycy wyczytali tę zasadę w pismach Arystotelesa. Themistius, jeden z najdawniejszych uczniów tej szkoły, przy wykładzie Arystotelesa ks. I, ΠΕΡ. ΨΤΧΗΣ, tekst 42, mówi: „intellectio tota a sensibus pendet, quia sine visis et imaginibus non perficitur". Tę myśl Arystotelesa, po jego uczniach starożytnych, odziedziczyli perypatetycy tą samą drogą, którą dostali jego całą naukę: głównie przez Arabów; i od nich także słyszeli to samo. Tak Awerroes pod koniec wykładu księgi ΠΕΡ. ΑΙΣΘ. ΚΑΙ ΑΙΣΘ r. 6, do słów Arystotelesa: τίνι.. ταῦτα γνωσόμεθα; ἢ τῷ νῷ; ἀλλ' οὐ νοητὰ, οὐδὲ νοεῖ ὁ νοῦς τὰ ἐκτὸς μὴ μετ' αἰσθήσεως ὄντα, dodaje: „każdy zmysł w właściwym zakresie toruje człowiekowi drogę do pierwiastków wiedzy w tym zakresie, przedewszystkiem słuch i wzrok". Podobnie pisze Jan Głogowczyk (Lib. Post. Anal Lips. 1499, str. 189): „notitia intellectiva praesupponit cognitionem sensitivam. Unde et dicitur III. de anima: nihil est" etc.

Jednak w najnowszych czasach nastąpił pośród uczniów Arystotelesa wyraźny zwrot ku pierwotnej jego nauce o potrzebie indukcyi do prawd pierwotnych. Nie inaczej zaczynają przedstawiać indukcyę u Arystotelesa świeżsi badacze dziejów filozofii. Do tego zwrotu dodał silnego bodźca sam Leon XIII., kiedy w encyklice *Aeterni Patris*, nie zaniedbał zwrócić uwagi na naukę św. Tomasza o drodze doświadczalnej, bez której nie znajdziemy dostępu do prawd oderwanych [3].

[1] De Ver. q. 2, a. 3, 19-m: „oportet, ut quod est in intellectu nostro, prius in sensu fuerit... verbum illud nihil est in intellectu, quod non sit prius in sensu est intelligendum de intellectu nostro".

[2] Lib. II, Sent. dist. 39, a. 1. q. 2: „quod nihil est in intellectu, quod prius non fuerit in sensu, et quod omnis cognitio ortum habeat a sensu, intelligendum est de illis, quae quidem habent esse in anima per similitudinem abstractam".

[3] ...„et illud monere juvat, non nisi per summam injuriam eidem philosophiae vitio verti, quod naturalium scientiarum profectui et incremento

Ten głos sprawił, że perypatetycy, którzy wydali najnowsze podręczniki filozofii, *Urráburu* i *de Maria*, poświęcają baczną uwagę na związek wiedzy doświadczalnej z metafizyką i na potrzebę indukcyi. Ich poglądy w tej mierze mniej walczą przeciw Stuartowi Millowi, aniżeli stają w przeciwieństwie z idealizmem Dekarta. Podobnie o Arystotelesie Cajetan wykazuje, w wykładzie Summy św. Tomasza (1 p. q. 84, a. 6), że w rozprawie o źródłach naszej wiedzy przenosił nieraz naukę Demokryta nad poglądy Platona. Sam nawet Arystoteles otwarcie wyznaje, że przekłada drogę doświadczalną, na której Demokryt i Leucyp badali prawdę, od drogi idealnej, którą obrał Platon [1].

Mistrzowi swojemu zarzuca Arystoteles, że niedostatecznie badał przyrodę, i że wogóle nikt o niej nie mówił, chyba powierzchownie, z wyjątkiem jednego Demokryta, który badał wszystko rozsądnie. Potwierdza ten sąd poglądami Platona, porównanemi z zasadami Demokryta. Mówi, że jeżeli ciała fizyczne powstają ze składników niepodzielnych, w takim razie rozsądniej o tych składnikach uczył Demokryt, aniżeli Plato. Demokryt uważał te składniki za niepodzielne ciała, Platon za powierzchnie, a według Arystotelesa, rozumniejsza nauka Demokryta zdaje

adversetur. Quum enim Scholastici, sanctorum Patrum sententiam secuti, in anthropologia passim tradiderint, humanam intelligentiam non nisi e rebus sensibilibus ad noscendas res corpore materiaque carentes evehi, sponte sua intellexerunt, nihil esse philosopho utilius, quam naturae arcana diligenter investigare, et in rerum physicarum studio diu multumque versari. Quod et facto suo confirmarunt"...

[1] ΠΕΡ. ΓΕΝ. ΚΑΙ ΦΘ. ks. 1, r. 2: Πλάτων μὲν οὖν μόνον περὶ γενέσεως ἐσκέψατο καὶ φθορᾶς ...Ὅλως δὲ παρὰ τὰ ἐπιπολῆς περὶ οὐδενὸς οὐδεὶς ἐπέστησεν ἔξω Δημοκρίτου. Οὗτος δ'ἔοικε περὶ πάντων φροντίσαι... Ἀρχὴ δὲ τούτων πάντων, πότερον... Καὶ πάλιν, εἰ μεγέθη, πότερον ὡς Δημόκριτος καὶ Λεύκιππος, σώματα ταῦτ' ἐστίν, ἢ ὥσπερ ἐν τῷ Τιμαίῳ, ἐπίπεδα; Τοῦτο μὲν οὖν αὐτό... ἄλογον μέχρι ἐπιπέδων διαλῦσαι. Διὸ μᾶλλον εὔλογον σώματα εἶναι ἀδιαίρετα.. τούταις ἀλλοίωσιν καὶ γένεσιν ἐνδέχεται ποιεῖν.. ὅπερ ποιεῖ Δημόκριτος... Τοῖς δ'εἰς ἐπίπεδα διαιροῦσιν ουκέτι.. Αἴτιον δὲ τοῦ ἐπ'ἔλαττον δύνασθαι τὰ ὁμολογούμενα συνορᾶν ἡ ἀπειρία. Διὸ ὅσοι ἐνῳκήκασι μᾶλλον τοῖς φυσικοῖς, μᾶλλον δύνανται ὑποτίθεσται τοιαύτας ἀρχὰς αἳ ἐπὶ πολὺ δύνανται συνείρειν· οἱ δ'ἐκ τῶν πολλῶν λόγων ἀθεώρητοι τῶν ὑπαρχόντων ὄντες, πρὸς ὀλίγα βλέψαντες, ὑποφαίνονται ῥᾳον. Ἴδοι δ'ἄν τις καὶ ἐκ τούτων ὅσον διαφέρουσι οἱ φυσικῶς καὶ λογικῶς· περὶ γὰρ τοῦ ἄτομα εἶναι μεγέθη οἱ μέν φασι ὅτι τὸ αὐτοτρίγωνον πολλὰ ἔσται, Δημόκριτος δ'ἂν φανείη οἰκείοις καὶ φυσικοῖς λόγοις πεπεῖσθαι. Por. św. Tomasza wykład tego ustępu lect. 3.

sprawę z istotnych przemian w ciałach, bo wyznacza ich przyczynę w obrocie niepodzielnych cząstek ciała, które zajmują coraz inne miejsce względem siebie, w innym porządku przybierają inną postać i wydają nowe jestestwa. A żadnej przyczyny tych zmian nie podają Platończycy, kiedy rozkładają ciała na powierzchnie. Dalej Arystoteles zwraca uwagę na źródło mylnych poglądów Platona i wskazuje je w braku wiedzy doświadczalnej, bo Platon zamyślony nad prawdami umysłowemi, mniej dbał o świat zmysłom dostępny, z którego czerpiemy prawdę doświadczalną. „I dlatego — dodaje — filozofowie bieglejsi w naukach przyrodniczych, łatwiej mogą odkryć zasady, zgodne z biegiem zjawisk; a ci, co wiele rozumują a nie spoglądają na świat rzeczywisty, mało co widzą a prędko sądzą. Stąd widać — kończy — różnicę między badaczem przyrodniczym a rozumowym: Plato uciekł do samoistnej powierzchni trójkąta, żeby zrozumieć, składniki ciał, Demokryt wydaje się przekonany dowodami właściwemi i przyrodniczemi".

Czy Arystoteles naśladował sam Demokryta, którego chwali za dobrze użytą drogę doświadczalną?

Uważny czytelnik pism Arystotelesa musi przyznać, że znajduje w nich niezliczone indukcye, które wykazują pierwotne prawdy z każdego działu filozofii. Wiedzieli o tem dobrze perypatetycy. Może nieraz uderzało nas, co znaczy zwrot, często używany u św. Tomasza: Filozof o tym przedmiocie mówi na tem albo owem miejscu... I zawsze św. Tomasz przytacza jedno miejsce, chociaż Arystoteles w samej rzeczy nie raz tylko, ale często wspomina o tym przedmiocie. Bliższa uwaga na miejsce, przytaczane przez św. Tomasza, odkrywa, czemu do niego odsyła św. Tomasz, a nie do wielu innych tej samej treści. W miejscu przytoczonem znaleść właśnie możemy indukcyę, przynajmniej narzuconą, choćby nie rozwiniętą prawidłowo, podobnie jak rzadko znajdujemy u Arystotelesa syllogizmy zupełnie rozwinięte. Za daleko i bez potrzeby zawiódłby nas rozbiór tych miejsc wszystkich, w których Arystoteles wierny własnym zasadom, używa indukcyi, żeby wykazywać prawdy pierwotne, w różnych działach filozofii zarówno, jak w księgach przyrodni-

czych i dziełach o krasomówstwie albo poezyi. Dość wspomnieć o zasadach bardzo oderwanych i na pozór wcale odmiennych od prawdy doświadczalnej, które jednak występują u Arystotelesa jako wniosek z indukcyi. Czy można tę samą prawdę znać z rozbioru pojęć i z dowodu pośredniego?[1] Ilorako można w syllogizmie zbłądzić, jeżeli w nim tkwi ukryty dwuznacznik?[2] Na czem polega różnica między bytem potencyonalnym (τῇ δυνάμει) a aktualnym (τῇ ἐνεργείᾳ)?[3] Czy można działać fizycznie na przedmiot odległy?[4] Jakie zachodzi przeciwieństwo między dobrem a złem?[5] Czy w postępkach wspaniałomyślnych trzeba widzieć cnotę?[6] Odpowiedzi na pytania takie i podobne, należą, według przeciwników Arystotelesa, do zasad, które weszły do jego filozofii, jako bezpodstawne ogólniki, po to, żeby filozof mógł o wszystkiem rozprawiać a gardzić wiedzą doświadczalną. Nie tu miejsce na spór, czy szczęśliwie wywiódł Arystoteles te zasady; dość, że z indukcyi czerpał je, jako ze źródła prawdy pierwotnej.

Tem bardziej używał indukcyi w dziełach przyrodniczych, i gani pisarzy, niepomnych na jej nieodzowną potrzebę. Przestrzega ich, żeby pierwej zbierali zjawiska (τὰ φαινόμενα), potem myśleli o ich przyczynie[7]; przestrzegał, że nie można jeszcze polegać na zjawiskach spostrzeżonych przypadkiem, że badacz powinien sam wywoływać stosowne zjawiska, żeby znaleść osnowę do zasady ogólnej; żądał nietylko spostrzeżeń (obserwacyj), ale także naukowych doświadczeń (eksperymentów). Sam wspomina o własnych doświadczeniach, któremi badał prawa przyrody; najczęściej przytacza je w pismach meteorologicznych i zoologicznych. Nieraz lekceważy a nawet wyśmiewa ogólniki, nie oparte na podstawie doświadczalnej, a wprowadzone do nauki

[1] ΑΝΑΛ. ΥΣΤ. ks. II, r. 3.
[2] ΠΕΡ. ΣΟΦ. ΕΛ. r. 4.
[3] ΜΕΤ. Τ. ΦΥΣ. ks. VIII, r. 6.
[4] ΠΕΡ. ΦΥΣ. ΑΚΡ. ks. VII, r. 2.
[5] ΚΑΤΗΓ. r. 8.
[6] ΝΘ. ΜΕΓ. ks. I, r. 1.
[7] ΠΕΡ. ΖΩΩΝ. ΜΟΡ. ks. I, r. 1.

dla obrony przesądów, domysłów albo uporu przy własnym poglądzie [1].

Tak znajdujemy u Arystotelesa naganę dla filozofów, co więcej ufali dowodom oderwanym, aniżeli wypadkom doświadczalnym. Spotykamy nawet zarzut z powodu tej właśnie wady, którą potępiał tak surowo Bakon u uczniów Arystotelesa, kiedy zarzucał im troskę jedynie o to, żeby odpowiedzieć przeciwnikowi, z oczyma zamkniętemi, na świadectwo samej przyrody o prawdzie rzetelnej.

Cóż więc nowego odkrył Bakon, kiedy w słowach pełnych pogardy dla Arystotelesa i jego szkoły, wskazał indukcyę jako prawdziwą drogę do prawdy? „Wynalazca“ drogi doświadczalnej sam zadał sobie to pytanie (Nov. org. ks. I, 125): „Niejeden podobno pomyśli, że przecież nie przedsiębiorę nic nowego: i starzy nie szli inną drogą od mojej. Uważa kto pewnie, że po wielu zachodach i zapowiedziach na niczem innem nie skończę, jak na którymś z dawnych poglądów filozoficznych. I tamte stawiały sobie za podstawę rozmyślań liczne przykłady i szczegóły i zbierały je podług nazw i rodzajów: stąd powstawała ich nauka i układ pojęć, potwierdzany później wypadkami lepiej spostrzeganemi i ogłoszony w księgach uczonych. Te pisma, wydawane dla ogółu, przytaczały takie przykłady, które wyjaśniały naukę i popierały wnioski, ale uchodziło to za rzecz zbyteczną i nudną ogłaszać zapiski dokładne i obszerne każdego szczegółu, na którym spoczywały poglądy. Więc mieli ten sam zwyczaj, co murarze, kiedy po skończonej budowie usuwają drabiny i rusztowania“.

---

[1] ΠΕΡ. ΖΩΩΝ. ΓΕΝ. ks. III, r. 10: οὐ μὲν εἴληπταί γε τὰ συμβαίνοντα ἱκανῶς, ἀλλ' ἐάν ποτε ληφθῇ, τότε τῇ αἰσθήσει μᾶλλον τῶν λόγων πιστευτέον, καὶ τοῖς λόγοις, ἐὰν ὁμολογούμενα δεικνύωσι τοῖς φαινομένοις. ΠΕΡ. ΟΥΡ. ks. III, r. 7: Συμβαίνει δὲ περὶ τῶν φαινομένων λέγουσι μὴ ὁμολογούμενα λέγειν τοῖς φαινομένοις. Τούτου δ'αἴτιον τὸ μὴ καλῶς λαβεῖν τὰς πρώτας ἀρχάς, ἀλλὰ πάντα βουλεύεσθαι πρός τινας δόξας ὡρισμένας ἀνάγειν. Tamże ks. II, r. 13: Πᾶσι γὰρ ἡμῖν τοῦτο σύνηθες, μὴ πρὸς τὸ πρᾶγμα ποιεῖσθαι τὴν ζήτησιν, ἀλλὰ πρὸς τὸν τἀναντία λέγοντα· καὶ γὰρ αὐτὸς ἐν αὐτῷ ζητεῖ μέχρι περ ἂν οὗ μηκέτι ἔχῃ ἀντιλέγειν αὐτὸς αὑτῷ. Διὸ δεῖ τὸν μέλλοντα καλῶς ζητήσειν ἐναστατικὸν εἶναι διὰ τῶν οἰκείων ἐναστάσεων τῷ γένει. Por. św. Tomasza wykład tego ustępu, lect. 22.

Cóż na to Bakon? Na odpowiedź przywiódł prawdę niezbitą (tamże): „nie znali jeszcze dostatecznie przyrody, i nie mieli tylu spostrzeżeń, ile trzeba“. Niezawodnie z tej prawdy niewątpliwej wynika, że postęp nauk przyrodniczych mógł wykrywać słabe strony poglądów perypatetycznych; ale czyż stąd wynika, że cała metoda Arystotelesa i jego szkoły nie lepsza od wytartej miotły, jak dosadnie twierdzi Bakon? (Tamże 82). Czy trzeba było pocieszać świat naukowy, żeby nie wpadał w rozpacz na widok pomroki, jaką na umysły zaciągnęła metoda perypatetyczna, i pisać (tamże 113): „Tuszę sobie, że mogę swoim własnym przykładem obudzić nadzieję w ludzkości, a nie mówię tego dla przechwałki, tylko dlatego, że uważam to za potrzebne. Kto może wątpi, niech uważa, jak ja... pierwszy krzewiciel nowej myśli, nie znalazłem poprzednika, którego śladami mógłbym iść, nie szukałem rady u nikogo na świecie, tylko wytrwale szedłem właściwą drogą, i poddałem rozum wskazówkom przyrody, przecież, jeżeli się nie mylę, dokonałem już pewnych postępów“.

Niestety, Liebig zadał sobie pracę, żeby roztrząsnąć rzekome postępy Bakona w dziedzinie przyrodnictwa: i nie mógł jego prac za nic więcej chwalić, jak za dobre chęci. Tak samo pisma Arystotelesa i jego uczniów, rzucają światło na zasługę Bakona w rzekomym wynalazku indukcyi, i nie pozwalają w nim sławić krzewiciela nowej myśli. To jednak bynajmniej nie zmniejsza zasługi Bakona, że krzewił myśl znakomitą, choć starą. Mylnie osądził perypatetyków: mógłby zmienić wyrok na nich rzucony, gdyby właśnie zasięgnął wskazówek u tych, co bliżej znali dzieje filozofii; ale oczywiście prawdę o sobie przyznał, że „nie szukał rady u nikogo na świecie“. Tak samo mógł prawdę zupełną napisać o poszczególnych perypatetykach, których znał osobiście, że ich własna metoda i wykłady daleko zboczyły z drogi prawdziwej. Księgi współczesnych Bakonowi perypatetyków rzeczywiście zaczynają coraz opieszalej obrabiać naukę o indukcyi; a te księgi wyszły z pod pióra bądź co bądź zdolniejszych uczniów Arystotelesa. Inni, jeszcze mniej uzdolnieni, mogli zasługiwać na cierpkie zarzuty Bakona. Jeżeli ten

błąd przybrał szerokie rozmiary po uczelniach perypatetycznych. wiele zawdzięczamy Bakonowi, że bez ogródki wypowiedział sąd i zwrócił myśl na księgę przyrody zaniedbaną.

Ale może przynajmniej na sławę wynalazcy zasłużył Bakon przez nowe prawidła indukcyi, lepsze od tych, w które indukcyę ujął Arystoteles, a za nim jego uczniowie? Źródła przytoczone w pierwszej części tej pracy, odpowiedzieć mogą na to pytanie.

(Dok. nast.).

Ks. K. Czaykowski.

Czeskie stowarzyszenie „Vlast'",

jego czasopisma i działalność.

Kto zna stosunki literatury czeskiej dawnej i obecnej, zdziwi się bardzo, że taka nastąpiła w nich zmiana. Gdy dawniej powszechnie za zaszczyt sobie uważano szydzić publicznie w pismach z wiary i religii katolickiej (prawie do r. 1850) i nikogo nie było, ktoby się temu energicznie oparł, obecnie objawia się akcya przeciwna ówczesnemu prądowi. *Czasopismo duchowieństwa katolickiego, Blahowiest'*, oraz inne miesięczniki przygotowywały grunt dla dziennika katolickiego, który też r. 1860 pod nazwą *Čech* ujrzał światło dzienne i jedyny prawie oparł się owemu liberalnemu i masońskiemu sposobowi traktowania w literaturze religii katolickiej. Szczęśliwy początek pociągnął za sobą znaczną liczbę literackich sił z katolickiego obozu, które utorowały drogę obecnej, prawdziwie literackiej twierdzy katolickiej pod nazwą „Vlast".

Początki tego stowarzyszenia były bardzo trudne. Założyciel i organizator jego, ks. Tomasz Škrdle, katecheta, który powziął myśl, ażeby rozproszone katolickie siły literackie zorganizować i złączyć w jedno ognisko, ażeby przy stałej pomocy materyalnej utworzyć stały hufiec obronny przeciwko nieprzyjacielowi, zdawał się wszystkim, którzy tę samą myśl w sercu nosili, niewystarczającym, nieznacznym. Tak samo jak apostoł św. Piotr, nie miał on ani pieniędzy, ani opinii literata. Naturalną więc rzeczą było, że gdy zapukał do drzwi niejednego z przy-

jaciół tej samej idei, bardzo często doznawał nieufności. Jednakże ponieważ Bóg przez tak nieudolne na pozór narzędzie urzeczywistnił tak wielką ideę, nie od rzeczy będzie dowiedzieć się, w jaki sposób się to stało.

„W r. 1883 — pisze sam T. Škrdle — choroba gardła, na jaką już dłuższy czas cierpiałem, zmusiła mię zrzec się stanowiska katechety i udać się na kuracyę. Otrzymawszy miejsce kapelana zamkowego u J. O. ks. Windischgrätza w Alpach, myślałem w wolnych chwilach, przechadzając się po olbrzymich lasach, nad założeniem czasopisma *Vlast* i stowarzyszenia tejże nazwy. Pisałem tu i ówdzie, wykładając swój program i prosząc o pomoc materyalną i moralną. Pisałem i do najd. biskupa w Litomierzycach, d-ra Em. Schöbla, który przez swojego sekretarza raczył mi odpowiedzieć, że myśl moją pochwala... Inni również ją pochwalali, lecz często z dodatkiem „ale". Wogóle więcej znalazłem takich, którzy raczej mi odradzali niż pochwalali mój zamiar"...

Lecz ks. Škrdle nie dał się zrazić tak trudnym początkiem. Wróciwszy do Pragi, rozpisał odezwy do różnych czasopism i zaczął swoje plany wprowadzać w życie. Pierwszą rzeczą było, pozyskać członków dla nowego katolickiego stowarzyszenia, ażeby z ich pomocą wydawać katolicki miesięcznik. Udało mu się ich zebrać, ale bardzo niewielu. Sam Kardynał-arcybiskup praski odradzał mu to; skoro jednak przeczytał odezwy w gazetach i otrzymał od ks. Škrdlego list, w którym tenże, przepraszając go, prosił o błogosławieństwo, nietylko udzielił mu takowego, lecz zarazem dał mu pozwolenie, ażeby mógł stale zamieszkać w Pradze i poświęcić się swojemu dziełu.

Wskutek tego zwołał ks. Škrdle, dnia 23 lipca r. 1884, swoich znajomych i przyjaciół, z pomiędzy których najwięcej mu się przysłużył obecny główny redaktor dziennika *Čech*, i zawiązawszy komitet, obradowali, przez przeciąg 5 godzin, nad programem przyszłego stowarzyszenia „Vlast" i jego organu. W sierpniu tego samego roku c. k. Namiestnictwo zatwierdziło statuta; zaczem zwołano walne zgromadzenie i z wrześniem r. 1884 zaczęto wydawnictwo miesięcznika *Vlast*.

Jeśli trudne były początki, to dalszy rozwój stowarzyszenia był jeszcze trudniejszy. Wydrukowano z początku 3000 egzemplarzy, choć abonentów było tylko 1400. Niechętni podejrzywali redaktora (ks. Skrdle), że albo jest narzędziem w cudzym ręku, albo chce żyć bez pracy obcym kosztem. I tej potwarzy nie uląkł się ks. Škrdle; wyjechał do czeskich miast, buntując, że tak powiem, wszystko dla swojej idei; pozyskiwał sobie księży, korzystając z każdej sposobności, czy to na odpustach, czy to na konferencyach pastoralnych, ażeby tylko zjednywać sobie nowych członków. Pracę jego Bóg błogosławił. Liczba abonentów i członków rosła z każdym rokiem. Z postępem czasu, coraz bardziej wzmacniało się i powiększało nowe stowarzyszenie przystępowaniem nowych a znakomitych członków, jak np. ks. Pohunka, który przez swoje artykuły w *Vlasti*, umieszczane pod tytułem: *Různé bejli z českého parnasu* (Kąkol z czeskiego parnasu), zwrócił niejednego uwagę na *Vlast*. W ten sposób pismo to doszło do takiego rozwoju, że mogło ostatecznie stawić opór liberalnym prądom. Dziesięć już lat istnieje to stowarzyszenie, a przez ten krótki stosunkowo czas znakomicie wzrosło i sił nabrało. Obecnie do nowego stowarzyszenia należy cały episkopat czeski, znaczna liczba szlachty, większa część duchowieństwa, liczni nauczyciele i nauczycielki, oraz ludzie z różnych innych stanów. Stowarzyszenie podzielono na członków fundatorów, którzy złożą 50 złr., i wspierających, którzy co roku składają 3 złr. Obecnie stowarzyszenie liczy 1902 fundatorów i paruset członków wspierających, co wszystko przedstawia kapitał przeszło 100.000 złr.

Oto krótka historya stowarzyszenia. Jeszcze parę słów o jego organizacyi wewnętrznej. Stowarzyszenie na walnem corocznem zgromadzeniu obiera sobie przez głosowanie wydział, wydział zaś prezesa i urzędników. Prawie co miesiąc wydział odbywa narady i załatwia sprawy bieżące. Od lat pięciu duszą wydziału i stowarzyszenia jest prezes ks. dr. Rudolf Horský, wikaryusz w jednej wsi w pobliżu Pragi, kapłan stojący na wysokim stopniu wykształcenia, szlachetnego i wspaniałego ducha. Choć zachęcano go, ażeby zmienił swoje stanowisko, choć nietrudnoby mu było otrzymać dobrą posadę w Pradze, szlachetny

ten kapłan ani o tem myśli, a stara się tylko o to, jakby mógł życie i wszystkie siły swoje poświęcić wielkiemu zadaniu „Vlasti“. Ks. Škrdle zaś pozostał tylko kasyerem tego drużstwa i redaktorem czasopisma. Co rok trzech rewizorów, przez wydział zaproszonych, przegląda jego rachunki i przedkłada sprawozdanie na walnem zgromadzeniu. Inną wybitną osobistością w wydziale jest wiceprezes p. Karol Ulrich, c. k. oficyał pocztowy. Za jego to staraniem otrzymało drużstwo od Ojca św. przez kard. Rampollę błogosławieństwo (r. 1890). Stowarzyszenie ofiarowało za to Kardynałowi jeden rocznik *Vlasti*, w ślicznej oprawie. On też w r. 1892 wręczył Ojcu św. adres robotników czeskich (12.000), na podziękowanie za encyklikę *Rerum novarum*, i poinformował go o ruchu robotniczym w Czechach i o środkach, jakich strona katolicka w drużstwie „Vlast“ przeciwko socyalizmowi międzynarodowemu używa; a słowa i błogosławieństwo Ojca św., które drużstwu przywiózł, wlało nową otuchę w członków stowarzyszenia i całej partyi chrześcijańsko-socyalnej. Duszą zaś drużstwa był i jest ks. Škrdle, który żadnej sposobności nie zaniedbuje, ażeby pozyskać kogoś dla swego dzieła, żadnych trudności się nie lęka, i nawet w chwilach najkrytyczniejszych nigdy nie traci ducha; i jeżeli drużstwo swój rozwój winno znakomitym siłom literackim i wybitnym mówcom jakich pozyskało, to istnienie swoje zawdzięczać musi Škrdlemu. Nazwisko tego kapłana pozostanie w dziejach literatury czeskiej.

Lecz ażeby ocenić znaczenie drużstwa, trzeba koniecznie zapoznać się z jego działalnością.

Pierwszem, najważniejszem jego dziełem jest miesięcznik *Vlast*. Pismo to miało być początkiem działalności drużstwa; miało bronić wiary katolickiej w beletrystyce przez dobre, estetyczne, na tle religijnem opracowane powieści, przez piękną, duchem katolickim owianą poezyę, w sztuce przez piętnowanie wszystkiego, co obraża oko katolika, w nauce, a w szczególności w historyi przez zbijanie historycznych kłamstw i błędów, które w Czechach, głównie po katastrofie „białohorskiej“, wszędzie wzięły górę — oraz przez dostarczanie naukowego, pozytywnego materyału czeskiemu piśmiennictwu. Przypatrzmy się,

o ile to czasopismo spełniło swoje zadanie. Przyzna nam szanowny redaktor, że pierwsze roczniki nie były tak bogate w treść jak późniejsze; ależ każdy to wybaczy, bo początek był trudny. Jednak całość przedstawia się imponująco.

Oto niektóre działy:

a) Biografia. Część ta zawiera przeważnie życiorysy znakomitych mężów z historyi czeskiej, szczególnie zaś z duchowieństwa. Jest tam piękna autobiografia słynnego powieściopisarza ks. Fr. Prawdy; zarys działalności znakomitego czeskiego biskupa J. Waleryana Jirsika i t. p. Szczęśliwy to pomysł *Vlasti*, że narodowi czeskiemu przedstawia mężów z duchowieństwa, którzy jeżeli nie większe, to pewnie takie same położyli dla niego zasługi, jak okrzyczeni koryfeusze czescy z obozu antykatolickiego. Do tej części słusznie także zaliczona jest rozprawa historyczna o ks. Gel. Dobner'ze, zwanym ojcem czeskiej historyi.

b) Nauka. Z tej części na największe uznanie zasługują artykuły historyczne i apologetyczne, opracowane na tle czeskiem. Z historycznych, największą wagę przykładamy do badań ks. J. Swobody T. J., który za cel sobie obrał oczyścić podręczniki i poważne dzieła z historyi czeskiej, w duchu protestanckim i liberalnym napisane, od błędów historycznych oraz zarzutów, jakie katolikom stawiano przy każdej niemal sposobności. Lecz o tem wspomnimy jeszcze na innem miejscu. Nie możemy też pominąć prac innych autorów, jak K. Konrada, który „Czeskich Braci" i czeskich humanistów przedstawia nam takimi jak byli, jak siebie samych opisali. — O historyi Kościoła też nie zapomniano.

Z artykułów apologetycznych genialnością i gruntownością odznaczają się bardzo na czasie będące uwagi ks. Fil. Konecznego o Husie, tak niesłusznie przez nieprzyjaciół Kościoła chwalonym, tak wysoko sławionym. Artykuły te są jedną z największych zasług, jakie sobie *Vlast* zdobyła. To też narobiły one bardzo wiele niepokoju i zamieszania w literaturze przeciwnej i przyczyniły się do rozpowszechnienia pisma tak, że ci, którzy *Vlast* ignorowali, z ciekawości się nią zajmować poczęli. Zdolne pióro tego samego autora dotknęło się pola filozofii, zbijając

wybryki teoryj T. Masaryka (prof. uniw. w Pradze), przeciwne nauce i wierze katolickiej. Prace jego w tym kierunku wychodziły jako osobny dodatek do *Vlasti*, a dziś stanowią obszerne dzieło i są niejako basztą obronną przeciwko teoryom materyalizmu i kancyanizmu naleciałego do Czech, wywołując podziw w świecie literackim. Prof. Masaryk musiał im uledz, mimo wszystkich replik i drwinek, któremi dotąd jeszcze wojuje.

Trzecią kategoryę w tym dziale n a u k i stanowią uwagi ks. Pohunka. Jedna serya tych uwag obejmuje rozprawy o czeskiej poezyi i nosi wspomniany już wyżej nagłówek: „Kąkol z czeskiego parnasu“. Jest to prawdziwa nić Aryadny dla każdego, kto w tym labiryncie poezyi nie chce zbłądzić. Jak wielka była potrzeba podobnej pracy, świadczy to, że opinia z wielkim entuzyazmem rozprawy te przyjęła i że wszyscy wdzięczność swoją oświadczyli redakcyi i autorowi, że miał odwagę wystąpić stanowczo przeciwko zuchwalstwu poetów, z jakiem szydzili z wiary i nauki katolickiej, i że oddał sprawiedliwość dziełom klasycznym i nieklasycznym i wypowiedział otwarcie, które z nich zasługują na pochwałę, jaka ich wartość, a które i dlaczego są potępienia godne. Druga serya dotyczy znanego tematu: „wolność i swawola“. Bardzo trafnym sposobem a sarkastycznym tonem z wielkim spokojem tłumaczy nam autor, co to jest prawdziwa wolność i gdzie jej szukać, dowodząc oraz, że poza obrębem nauki katolickiej wpada się w niewolę ludzi, którzy sami prawdziwą wolność ducha zatracili. Trzecia serya poświęcona jest głównie sprawom czeskim, ale i do innych krajów zastosować ją można; roztrząsa bowiem ogólnego znaczenia kwestyę: „jaka jest prawdziwa miłość ojczyzny?“ Kwestya to wprawdzie nie nowa, ale potrzeba nakazywała o niej mówić, gdyż w bezwstydny sposób zarzucano duchowieństwu czeskiemu, że ojczyzna je nic nie obchodzi, że jego ojczyzną jest Rzym tylko. Ks. Pohunek zwalczając te zarzuty, zakorzenione szczególnie w czeskiej inteligencyi, trudnego wprawdzie podjął się zadania, ale też stanął zupełnie na jego wysokości. Czy odniosło to pożądany skutek czy też nie, mniejsza o to; pewna jednak, że autor dostatecznie dowiódł, iż czeska inteligencya nie ma prawa

brać w jakiś wyłączny monopol prawdziwą miłość ojczyzny, a wykluczać zeń stan duchowny; przeciwnie, duchowieństwo zajmowało zawsze i zajmuje w Czechach pierwsze miejsce pomiędzy prawdziwymi obrońcami i miłośnikami ojczyzny. Pięknej tej pracy autor jeszcze nie ukończył. Treścią i tendencyą podobne są artykuły nauczyciela Flekáčka o zasługach duchowieństwa czeskiego w literaturze i nauce. Szereg tych artykułów, zajmujący kilka roczników i jeszcze dotąd nie ukończony, pięknie ilustruje pracę ks. Pohunka; stanowi jednak osobne, starannie opracowane kulturno-historyczne dzieło, któremu gładkie pióro autora dodaje niemałego uroku.

Prócz tych artykułów oryginalnych, zastosowanych do potrzeb czeskich, spotykamy tutaj kilka filozoficznych rozpraw, jak np.: „Co jest piękno?" (przez prof. uniw. Kadeřávka), „Suggestya i hypnotyzm w świetle wiary i nauki" (Horáček). Z apologetyki zaś: rozbiór smutnej sławy dzieła: *Geschichte der Konflikte zwischen Religion und Wissenschaft* (Jan Pauly), „Nauka katolicka o paleniu trupów" (Horáček), „Czy wszyscy ludzie pochodzą od jednych rodziców?" (Kadeřávek).

Znajdujemy jeszcze kilka innych, wcale dobrych artykułów naukowych, które jednak dla krótkości pomijamy milczeniem.

c) Następuje dział p o w i e ś c i oraz p o e z y i. Szczególnego, co prawda, *Vlast* w tym względzie (jak jej to słusznie zarzucano) nic nie uczyniła, bo też nie miała dostatecznych sił. Dopiero wyrabiać sobie musiała i musi więcej młodych talentów, bo naszym geniuszom powieściopisarskim, jak wiadomo, nie chce się pracować na tle katolickiem. Jednakowoż to co *Vlast* uczyniła jest dobre, oryginalne, czyta się z przyjemnością, nietylko bawi ale i poucza; a co najważniejsze, nie obudza w czytelniku myśli pesymistycznych, lecz zachęca do pracy, do szlachetnych ideałów chrześcijańskich. Oto przewodnie myśli romansów i powieści umieszczonych w *Vlasti*, które już przez to samo zasługują na uznanie; nadto sposób opowiadania ma wiele zalet, język jest piękny, styl lekki i urozmaicony.

d) C h r z e ś c i j a ń s k i s o c y a l i z m znalazł dzielnych obrońców; prawa pracującej klasy wykazano tam dosadnie. Ale

za to socyalizm międzynarodowy rozmiażdżony został pod ciosami fachowych znawców w tym kierunku, jakimi są: T. J. Jiroušek (obecny redaktor *Gazety robotniczej),* ks. Rudolf Vrba i ks. Fr. Vaněček. Zwłaszcza Jiroušek (mechanik) doskonale poodkrywał kręte drogi, któremi chodzi międzynarodowa prasa austryacka; ks. Vrba zaś, który już sześć znakomitych dzieł tego rodzaju wydał, rozbił w puch teorye antychrześcijańskie i objaśnił, jakie prawa posiada robotnik i że nie są one w sprzeczności z nauką Kościoła.

e) Przegląd piśmiennictwa jest obszerny. Nietylko daje oceny dzieł krajowych i zagranicznych z różnych gałęzi nauki, ale też ma stałą rubrykę dla obszernych referatów o piśmiennictwie słowiańskiem (Słoweńców, Serbów, Chorwatów i Słowaków). Głównie młody utalentowany kapłan Fr. Štingl poświęcił wolny swój czas studyom piśmiennictwa słowiańskiego, a jego prace są nieocenione. Pracuje już w tym kierunku lat kilka i coraz to z lepszem powodzeniem. Jego artykuły stanowić będą wielkie, bardzo cenne dzieło. Co się tyczy pojedyńczych dzieł, wystarczy powiedzieć, że oceny wyszły z piór wypróbowanych znawców. Głównie zwracano uwagę na dzieła liberalne, antykatolickie, oraz na wszystko co szkodzi dobrym obyczajom. Do ósmego rocznika włącznie podała *Vlasť* kilkaset ocen. Od dziewiątego począwszy, część piśmiennicza rozszerzyła się w ten sposób, że uzyskawszy osobnych recenzentów literatur pozakrajowych mogła dawać referaty z literatury angielskiej, bułgarskiej, czeskiej, francuskiej, kroackiej, chorwackiej, słowackiej, włoskiej, niemieckiej, polskiej, rosyjskiej i słoweńskiej. Z rocznikiem jedenastym, tj. od 1 października 1894, zyskała *Vlasť* jeszcze dwóch referentów, jednego dla literatury hiszpańskiej, drugiego dla flamandzkiej. A nie sądźmy, że to tylko tytuły, a pod niemi nic. Weźmy tylko do rąk *Vlasť,* a przekonamy się, że oceniła ona np. prawie wszystkie znaczniejsze dzieła polskie. *Przegląd Powszechny* i *Polski* otrzymały już między innemi dwa razy sprawiedliwe uznanie.

f) Wiele hałasu w obozie nieprzyjacielskim narobiły artykuły o sztuce. Profesor Flekáček, fachowy referent o tea-

trze, który od dawnego czasu poświęcił się temu studyum, rozebrał anatomicznie cały repertuar *Národního divadla* (teatru narodowego w Pradze). Z wielką znajomością i gruntownością rzeczy — *sine ira et odio* — wydał wyrok o każdej sztuce, a powiedział zawsze tylko szczerą prawdę. Dyrekcya teatru z początku wszystko ignorowała, potem się tu i ówdzie broniła, ale nareszcie uległa sprawiedliwym żądaniom i głosowi publiczności tak, że niektóre sztuki zagrażające moralności z repertuaru wykreśliła, a co do innych zaczęła się oglądać na referaty *Vlasti*. Obecnie dział ten jest rozszerzony studyami nad sztuką kościelną.

Dodajmy nakoniec, że czasopismo, jako organ stowarzyszenia, podaje wszystkie wiadomości dotyczące drużstwa, oraz mnóstwo innych, zwłaszcza z życia katolickiego — a będziemy mieli pojęcie o jego treści. Dla uzupełnienia całości wspomnieć jeszcze wypada, że sama ilość egzemplarzy, w jakiej się rozchodzi, wykazuje, jak czasopismo to należy oceniać, posiada ono bowiem 4000 prenumeratorów.

Drugie dzieło drużstwa, to założony w r. 1888 fundusz biblioteczny, celem fundowania bibliotek w miejscowościach czeskich, zagrożonych pod względem narodowości albo religii. Z dobrowolnych datków — przeważnie w książkach — fundusz ten założył już 60 bibliotek na Morawii, w Czechach, na Szląsku austryackim i w Ameryce.

W roku następnym dnia 13 marca założono drugi fundusz, dla katolickich pisarzy, aby wspierać uboższych, chorych albo z powodu starości do pracy już niezdolnych, rozpisywać konkursy na prace literackie do *Vlasti*, udzielać stypendyów na podróże naukowe, wspierać i wynagradzać siły literackie — słowem starać się, by drużstwo miało na zawołanie znaczną legię fachowych, wszechstronnie wykształconych pisarzy. Jak myśl ta była na czasie, o tem nikt nie wątpi. W Czechach bez tego absolutnie obejść się nie można. Katolickich pisarzy niema, a więc katolicy muszą dopiero ich tworzyć. Bez pieniędzy uskutecznić się to nie da. Fundament tego funduszu stanowi 150 członków fundatorów, którzy dali po 100 złr., razem 15.000 złr., oraz znaczna liczba członków wspierających, którzy płacą rocznie 2 złr.; nie

brakuje też dobrodziejów, tak że egzystencya tego dzieła jest już zapewniona.

Czwartem dziełem jest ukonstytuowana dnia 16 stycznia r. 1890 osobna komisya książkowa, dla badania książek już wyszłych treści beletrystycznej, aby było wiadomo, jakie dzieła można bezpiecznie dawać ludowi do rąk i do bibliotek ludowych sprowadzać. Pracy tej podjęło się czterech płatnych referentów, którzy kilkaset dzieł przeczytali, ocenili i przez prezesa komisyi książkowej przedłożyli do rewizyi. Następnie ogłaszano zawsze w czasopiśmie *Vlasť* dzieła zatwierdzone. W pracy tej komisya nie ustaje.

Tego samego miesiąca dnia 30, r. 1890, weszło w życie dawno pożądane kółko historyczne. Czasopismo *Vlasť* nie wystarczało, aby umieszczać wszystkie badania katolickich historyków, którzy wkoło drużstwa się gromadzili, aby oczyścić Kościół katolicki od zarzutów, przez historyków czeskich czynionych. Niezmordowany na tem polu ks. J. Swoboda T. J., rozwinął swój program, pokazał drogę i jej cel, mianowicie: przedstawiać tych mężów katolików i kapłanów, którzy walczyli przeciwko husytyzmowi, luteranizmowi i masonii, a których historycy czescy albo milczeniem pomijają albo niesłuszne podejrzenia na nich rzucają. Myśl podana wszystkim się podobała. Kilku ludzi na tem polu pracujących, skupiło się w mocny hufiec, ułożyli sobie statuta i obrali prezesem ks. Swobodę. Każdego roku urządzają pięć albo sześć publicznych odczytów, wydali trzy tomy badań historycznych, i jednę broszurę polemiczną. Odczyty bardzo licznie publiczność nawiedza, nieraz uczestniczy w nich sam arcypasterz kard. Schönborn. Kółko historyczne wyda wkrótce olbrzymie rezultaty.

Szóste z kolei dzieło drużstwa, to dawno przygotowywane, a nareszcie r. 1891 przyszłe do skutku kółko socyalne. Początek dał mu sam fundator drużstwa ks. Škrdle, otrzymawszy od dziennika *Čech* pozwolenie na osobny dodatek, dołączany co dwa tygodnie do tegoż pisma pod tytułem: „Niedzielny dodatek dla robotników“. Podziwiać należy, z jaką pilnością i gorliwością — pomimo tylu zajęć — czytał wszystkie pisma socyalistyczne i zbijał je, i ile zrobił dobrego dla robotniczo-chrześcijańskiego

ruchu. Roku 1891 dojrzał owoc jego pracy, bo ukonstytuowało się osobne kółko socyalne, które za cel sobie postawiło rozstrzygać kwestyę socyalną na zasadach katolickich, bronić wiary i Kościoła od napaści socyalizmu międzynarodowego słowem, pismem i przykładem, założyć osobną gazetę dla robotników; po miastach i miasteczkach miewać odczyty, ażeby tylko stawić opór mowom podburzającym socyalistów. Gazeta robotnicza, założona w końcu r. 1891, liczy obecnie 3500 prenumeratorów. Liczba wprawdzie niewielka, ale wobec tak licznych pism socyalistycznych czeskich i wobec rozjątrzenia, jakie zapanowało w ludzie roboczym, liczba to znaczna. Redaktorowie pisma — dwóch wykształconych robotników — prowadzą gazetę jak najlepiej. Niema kwestyi na polu socyalnem, którejby nie poruszyli, niema zarzutu socyalistów, któregoby nie zwalczyli. Współpracownicy pisma są liczni i tak dalece w tym kierunku wykształceni, że cieszyć się i dziwić trzeba głębokiej ich znajomości przedmiotu i jasnemu pojęciu problemów socyalnych. Oby Bóg dał, żeby to pismo więcej było rozpowszechnione, co dałoby się, jak sądzimy, prędzej osiągnąć, gdyby było mniejsze i tańsze, ale częściej wychodziło; prawda, że toby wymagało większej ofiary pieniężnej, ale przecież dziś drużstwo posiada już znacznie powiększony kapitał, a procentu lepiej użyć nie może jak na cel taki. Zresztą i ofiary do kółka socyalnego wpływają dosyć obficie, więc trzeba tylko iść naprzód bez obawy. Oprócz czasopisma, redaktor i prezes drużstwa wyjeżdżają za odczytami do Czech i Morawii, co też wielkie przynosi pożytki.

Siódmem i ostatniem na teraz dziełem drużstwa, jest pismo pedagogiczne *Vychovatel*, które w roku 1891 *Vlast* przyjęła we własny zarząd redakcyjny i administracyjny. Wielka była potrzeba takiego pisma, bo właśnie w tych latach szkoła katolicka stała się kamieniem obrazy dla liberalnego nauczycielstwa. Na zjazdach nauczycieli, mówcy publicznie wyśmiewali dawne instytucye katolickie i wszystko, co Kościół dla szkoły uczynił; wykluczali ze szkoły powagę kościelną a swoją stawiali na miejscu Boga. Drużstwo „Vlast" pojęło w krótkim czasie potrzebę i znaczenie pisma pedagogicznego, i oddawszy je w doświadczone

i zdolne ręce ks. Pohunka, nie zawiodło się na nim. Kto przejrzy cztery roczniki tego pisma, musi przyznać, że zadanie swoje spełnia ono sumiennie i doskonale. Kwestye pedagogiczne wykładają się tutaj w duchu katolickim z taką precyzyą i przekonaniem, że i młodoczeski nauczyciel musi się nad tem zastanowić.

Skreśliliśmy w krótkim zarysie działalność drużstwa „Vlast". Każdy nieuprzedzony musi przyznać, że może ono stanowić epokę w kulturze Czech, a w każdym razie godne jest podziwu i naśladowania. *Non est propheta sine honore nisi in patria* — sprawdziło się atoli i o „Vlasti". Stronnictwo katolickie nie dowierzało początkom, stronnictwo liberalne starało się rozwiniętą akcyę ignorować. Ale wszystko ma swój czas! Gdy na początku roku 1893 umarł bezwyznaniowy ale sławny czeski pisarz Neruda i wszystkie liberalne pisma napełniły się jego panegirykami, *Vlasť* również podniosła głos i wydała wyrok sprawiedliwy co do pism nieboszczyka; przyznała im piękność formy, ale potępiła treść i sposób, w jaki Neruda traktował Kościół katolicki. Wywołało to wielki krzyk i wrzawę wśród czeskich literatów obozu liberalnego, był to niejako sygnał, na który czekano, by przypuścić szturm i zniszczyć tak mocną twierdzę. Dnia 2 lutego o 4 godzinie popołudniu zebrał się przed domem drużstwa na Žižkowie w Pradze, zastęp różnego kalibru socyalistów i powybijał redaktorowi wszystkie szyby w oknach. Na szczęście nie było go wtedy w domu. Niedługo potem zjawiły się we wszystkich prawie młodoczeskich pismach, tak dziennikach jak miesięcznikach, odezwy do narodu czeskiego, podpisane przez 70 czeskich literatów, aby wspólnie z nimi potępił kierunek *Vlasti* i sposób, w jaki traktuje zasłużonych mężów, jak np. Nerudę. Odezwa nie była bezskuteczna; nastąpiło po niej we wszystkich czytelniach młodoczeskich ryczałtowe wyrzucenie miesięcznika, przez co ubyło *Vlasti* kilkudziesięciu abonentów. Ale atak się nie udał, owszem zamiast szkodę przynieść drużstwu, podniósł go u duchowieństwa, u katolików, otworzyły się oczy tym, którzy dotąd drzemali, i skupili się oni teraz bliżej i mocniej koło drużstwa. Przybyło mu więc członków a pismu przedpłacicieli; siedzibę

swoją przeniosło drużstwo z przedmieścia do samego miasta, a obecnie traktuje o zakupno własnego domu. Ofiary popłynęły obficiej tytułem „na naprawę potłuczonych okien", a redaktor otrzymał liczne oświadczenia zaufania — słowem, cała burda tak uliczna jak gazeciarska zrobiła wielkie *fiasco*, a drużstwo się wzmocniło i utwierdziło w przekonaniu, że praca jego nie pójdzie na marne [1].

Oby Bóg i nadal pracom jego zaczętym, zamierzonym, błogosławił.

P. Fr. Sadok Werberger
Ord. Praed.

[1] Obszerną historyę drużstwa „Vlasť" opisał ks. T. Škrdle w kalendarzu, który drużstwo wydało r. 1893, str. 223—253.

LISTY Z PODRÓŻY PO AZYI.

(Część II.: Chiny i Japonia. C. d.).

Na pokładzie „Tsuruga-Maru", między Kobe a Szimoniseki, 8 czerwca 1889 r.

Wypisałem dokładnie skąd piszę, by tym sposobem dokumentnie dowieść, że jestem w drodze z powrotem do domu. Bogu dzięki, że mogę nareszcie tak napisać; zdawało mi się bowiem, że już nigdy z Japonii się nie ruszę. Bo też doprawdy trudno się wydobyć z tego ślicznego kraju, trudno się oderwać od tylu pięknych, miłych rzeczy i ludzi. Poczciwy Biegeleben, najgrzeczniejszy i najuczynniejszy z ludzi baron Siebold, sekretarz naszej legacyi w Tokio, całe dziesiątki uprzejmych, uczynnych, najmilszych Japończyków — oto węzły, których starganie jest przykre, nawet smutne; zwłaszcza kiedy się ma przed sobą tyle tysięcy mil do przebycia między wrogimi Chińczykami, brudnymi Tatarami — i wkońcu między Moskaluszkami. W chwili gdy to piszę, *alea jacta est*, płynę *via* Korea wprost do Tientsin; bilet mam w kieszeni aż do Tien-tsinu. W Pekinie zatrzymam się krótko i ruszam dalej. Dotąd mi wszyscy bez wyjątku, których spotkałem, odradzali podróż przez Syberyę; co mi powiedzą w Pekinie, nie wiem, tyle tylko pewnem jest, że tam się ostatecznie zdecyduję, czy jadę przez Sybir, czy też przez Amerykę. Gdyby miano dowieść w Pekinie, że droga zbyt nudna przez Sybir, wówczas jestem zdecydowany wrócić do Szanghaju

i stamtąd statkiem *direct* przez Amerykę, bez zatrzymywania się, wrócić do domu. Jeżeli Bóg pozwoli, zatelegrafuję z Pekinu, by się dowiedzieć, co w domu słychać? i o sobie dać znać. Przepraszam za ohydne pismo; piszę na pokładzie (ciepło znaczne, już 8 czerwca dzisiaj); wiatr dość silny wieje; jestem zmuszony bazgrać; dalej piszę ołówkiem, bo rzeczywiście niesposób parasol trzymać, na atrament uważać — pierwszą stronę mi już i tak wicher zamazał.

Z Tokio ruszyłem 2 czerwca, w towarzystwie barona Siebolda, koleją ku Tokaido, czyli ku prastaremu szlakowi od odwiecznych czasów z Tokio do Kioto, ze stolicy sajgunów do stolicy mikadów prowadzącemu. Dziś tymże samym szlakiem prowadzi kolej! Czas mieliśmy cudowny, bo po dniu dżdżystym pyszny zachód słońca, powietrze jak z kryształu, wonie i zapachy doprawdy niebiańskie. Pierwsza stacya — nocleg w Jumoto. Opuszczamy wagon w Kodzu; wieczór wpół do ósmej jeszcze jasnawo; pociąg dalej nie idzie, wszystko co żyje wysiada, chwila ścisku, ruchu, Japończyki kłapią sandałkami drewnianemi. Po kilku minutach wszystko odeszło; kolejowi urzędnicy coprędzej w nogi, by kolacye zjadać. Zostajemy sami, cisza niesłychana wkoło nas; nad nami na pagórkach plantacye pomarańcz japońskich, wszystko w kwiecie! Kto był w Sorrento, niech wspomni, jak tam pachnie i ze mną w pamięci użyje tego idealnego zapachu. Przed nami kilka japońskich hotelików jak pudełeczka, dalej kilkanaście pysznych prastarych *matsu* (sosen japońskich), koszlawych, pokręconych a tak estetycznych; za niemi morze, a w dali ledwie widoczne kontury obustronnych wybrzeży zatoki! Idealne!

Nawąchawszy się, nasłuchawszy, idziemy do pierwszego *inna*, hoteliku japońskiego; kolacya; Siebolda wszędzie znają, witają ukłonami do ziemi, grzecznemi słowami, najlepszą strawą, najnadobniejsze *mussumé* nam usługują. Około 10-tej stajemy we właściwem miejscu noclegu: Jumoto. Znowu przywitania niesłychane, radość, że Siebold tam zawitać raczył. W ślicznych pokoikach, jak kabiny ładnego parowca, będziemy nocować; najpierw jednak kąpiel. Nic podobnego w życiu już zapewne nie zobaczę! Naturalne termy o nader miłej temperaturze; woda

płynąca w wannach z najśliczniejszego drzewa białego. Cała kabina kąpielowa od stóp do głowy, od sufitu do podłogi z podobnego drzewa naturalnej barwy kawowej, wykładana misternie bambusem. Większej czystości ani wymarzyć nie można jak w tych kabinach; nie zapomnę ich nigdy.

Nazajutrz oglądamy drogę prowadzącą do Mijanoszta, owego przez Europejczyków tak sławionego miejsca kąpielowego. Widok drogi tam prowadzącej wystarcza — bo śliczna; samego Mijanoszta nie będziemy zwiedzać, za wielu tam Europejczyków! ich widok psuje najpiękniejsze widoki, więc uciekajmy tam, gdzie jesteśmy pewni nie spotkać białych. Po drodze ku kolei, zwiedzamy ruiny zamku w Odowara — niegdyś niezmiernej wagi forteca graniczna między prowincyą, w bezpośredniem posiadaniu sajgunów będącą, a zachodniemi księstwami. Z fortecy, z zamku, tylko otaczające mury pozostały potężne, jak wszędzie świadczą o niezdobytej sile tego zamczyska. W miejscu gdzie stał pałac mieszkalny książęcia, dziś okoliczni wieśniacy dzisiejszemu właścicielowi, ministerstwu wojny, czynsz dzierżawny płacąc, sieją i orzą! Z Odowara napowrót do Kodzu; stąd koleją do Szidznoka; to istna pielgrzymka dwóch admiratorów rodu Tokugawów! Szidznoka, to siedziba ostatniego sajguna; kilka stacyj przed Szidznoka opuszczamy pociąg, odsyłamy służbę z kuframi dalej koleją, a sami „riksami“ najpierw do Kunosan, potem do Szidznoka na nocleg pojedziemy. Droga śliczna, wciąż między polami, wioskami, wreszcie nad brzegiem morza. Po niespełna $1^1/_2$ godziny stajemy w Kunosan, wysiadamy z wózków, i pieszo ku świątyniom. Przed nami niebotyczna skała; tam u szczytu cel naszej pielgrzymki, tam u szczytu grób wielkiego Jejasu, pierwszego z rodu Tokugawów sajguna, sławnego prześladowcy katolicyzmu! U stóp skały chwilę wypoczniemy; przed nami, jak wysoko okiem sięgniesz, w zygzak prowadzą kamienne schody. Cicho tu i spokojnie; upał tu dokumentny, ale schody ocienione starannie wiekowemi sosnami, co jak straże, w najdziwaczniejszych pozach wzdłuż schodów siedzą, widocznie się dziwią, bo tu biali rzadkim gościem. Idziemy w górę powoli, bo gorąco, ale bo i widok coraz piękniejszy. Nareszcie je-

steśmy u szczytu. Brama jak zwykle z naturalnego drzewa drogocennej sosny, zszarzałego wiekiem. Przed bramą między krzewami ukryty domek, siedziba wartowników i sług świątyni. Nad przepaścią kilkusetmetrową wisi istotnie kilkusetletni *matsu*, pochylony ku przepaści, konarami ledwie się trzyma, pokrzywiony, zgarbiony, a taki piękny! Dwóch sług świątyni, niezbyt naszym widokiem uradowanych, jak zawsze jednak grzecznych i uprzejmych, prowadzi nas w górę, bo świątynia jeszcze wyżej.

Rozkład zupełnie Nikko przypomina, a raczej powiedzmy Nikko tę świątynię przypomina, bo ona mu za model służyła. Wśród pysznych drzew, tak misternie, z takim gustem rozsadzonych, tak nieregularnie, a jednak tak cudowną całość zieloności tworzących, brama główna świątyni; za nią, jak w Nikko, dwa *campanile* stały — dziś już tylko jeden, bo owi reformatorzy Japonii, którzy sajgunów obalili, chcąc wszędzie i we wszystkiem swą władzę a ich upadek zadokumentować, świątynię z buddyjskiej na szintoicką przerobili, i twierdząc, że ów *campanile*, co po lewej stronie wejścia stał, nie jest w stylu dość czystym Szinto, z ziemią go zrównali. Pobożna jakaś ręka w miejscu, gdzie stał *campanile*, zasadziła piękną palmę. Sługa, co nas tu prowadzi, z wyrazem smutku i nienawiści wspomina o tem barbarzyństwie i dodaje: to była najpiękniejsza ozdoba świątyni.

Chodźmy dalej. Po kilkunastu schodach kamiennych, stajemy przed samą świątynią. Jej *cella*, z pięknemi, acz nader skromnemi rzeźbami w drzewie, zamknięta; środkowe jej wrota nie dla takich jak my się otwierają. Jeden ze sług znika, my czekamy. Po chwili słychać kroki wewnątrz ogrodzenia, otwierają się boczne drzwiczki; wchodzimy do dziedzińczyka przed świątynią, gdzie obuwie zostawiamy. Świątynia skromna, ciekawa licznemi portretami sajgunów i książąt rodu Tokugawów — niestety przed laty 50-ciu odnawianiem popsute. Napatrzywszy się, idziemy dalej; znowu boczne drzwi się otwierają, wchodzimy na skromne, choć szerokością imponujące schody kamienne. Coraz starsze, coraz piękniejsze drzewa. Nasz pierwotny przewodnik został przed bramą świątyni; teraz prowadzi nas staruszek, co życie swe na usługach Tokugawów strawił. Schody

skręcają się w prawo; wchodzimy na platformę, u jej końca stoi grób! Nasz starowina idzie sam naprzód, dochodzi aż do baryery kamiennej okalającej grób, pada na kolana, i chwilę się modli. Grób sam formy zwykłej, przypominał nieco pagody o spiczastych a łukowato wygiętych dachach; wszystko kamienne. W środku wieżyczki grobowej widać drzwiczki niewielkie, przed nią dwa wazony kamienne, w nich wiecznie zielone krzewy; przed baryerą grobu na prawo studnia bezdenna. Tak mniej więcej wygląda grób jednego z najpotężniejszych władców Azyi, najznakomitszego władcy Japonii. A jednak jakiż majestat w tej prostocie! Wieki kamień tak omszyły, że z obawą stąpasz, by nie urazić tego pięknego dywanu, którym natura kamień przyoblekła. Co za drzewa, co za cisza! W dali słychać morze; nad głowami raz po raz zakwili jakaś ptaszyna; czasem liść suchy spadnie — słusznie Siebold powiedział — jak łza cicha, uroniona przez tych prastarych druhów nieboszczyka, jedynych wiernych nawet po śmierci!

W takiem miejscu doprawdy musi być miło zostać pochowanym, takie miejsce na wieczny spoczynek dobrze obrane. Tu nic z hałasu, gwaru świata nie dolatuje. Nasz stary samuraj widocznie ujęty naszem skupieniem, prawie smutkiem, ujęty tą dziwną poezyą tego cudownego miejsca, opowiadając, wiele wieków i burz nad tym grobem przeleciało, dodał ze smutkiem ale i dumą: „Moi przodkowie z nim niegdyś walczyli — ja mu grobu strzegę!“ I znowu żałowałem, że nie było między nami kogoś, ktoby pięknem słowem, wierszem spisał cośmy widzieli, przelał na papier tych uczuć morze, które mimowoli wobec martwej wielkości, potęgi, minionej świetności, w duszy się budzą. Nie tracę nadziei, że przynajmniej fotografię tych pięknych miejsc gdzieś znajdę. Choć cóż po fotografii? — odda ona kontury, i to niewyraźnie; tej ciszy, tego majestatu, tych złotych słońca promieni, co się przekradały cichutko, nieśmiało przez sklepienie zieleni, jak w obawie, by snu wielkiego władcy nie przerwać — tego kwilenia ptasząt, szelestu liści, szumu dalekiego morza, woni ziół leśnych — tego ni fotografia, ni obraz najlepszy nie jest w stanie oddać. Jakaż to szkoda, że niema jeszcze sposobu

przechowywania wrażeń, uczuć, i przelewania ich w całości w uszy, oczy, serce, duszę drugich.

Po długiej chwili dumania, jak ze snu zbudzeni, ruszyliśmy powoli z powrotem. Po drodze chwilka rozmowy ze staruszkami, świątyni i grobu sługami. Gdy im Siebold opowiedział, że przed paru dniami widzieliśmy w Tokio księcia Akitane Tokugawę, twarze się rozjaśniły, języki rozwiązały. Miłą gawędkę słońce, chowając się za góry, przerwało. Nam czas w drogę; raz jeszcze przed siebie, raz za siebie spoglądnąwszy, raz jeszcze tego cudnego widoku zażywszy — ruszamy. Późno wieczorem stajemy w Szidznoka. Hotel doskonały, napół-europejski. Ponieważ przybycie nasze zapowiedziała służba, która nas z pakunkiem wyprzedziła, przeto hotel oświetlony lampionami *al giorno*, liczna gromada ludu czeka u wejścia, chcąc zażyć widoku białego książęcia, co tu przybywa. — Znowu pyszna kąpiel, doskonały obiad, przez milutkie *mussumé* podany. Śpimy jak kamienie; ze wschodem słońca, na nogach. Warto też było: Szidznoka ślicznie leży wśród pagórków i gór lesistych; z jednej strony morze, z drugiej wspanialszy dziś niż kiedy Fudzi-jama horyzont zamyka; widocznie mnie na pożegnanie wychylił z chmur i mgły swą śnieżną głowę, wśród tej cudnej niebiesko-liliowej atmosfery.

Około 10-tej, w odpowiednio eleganckich riksach, każdy ciągniony, względnie popychany przez dwóch krzepkich chłopaków, jedziemy próbować szczęścia u wrót eks-sajguna. Mieszkanie napół-europejskie, skromne, otoczone skromnym, na czarno malowanym parkanem, nie zdradza zupełnie ni stanu, ni bogactw swego pana. — Po długiej chwili czekania odpowiadają nam, że sajguna w domu niema! Zostawiamy więc karty i odjeżdżamy! Niestety, tego się należało spodziewać, bo było wiadomem, że sajgun nikogo nie przyjmuje, tem mniej Europejczyków, a już wcale nie członków obcych poselstw. Biedak musi się słusznie obawiać podejrzliwości swych wrogów, dziś u steru stojących. — Rzucamy więc ledwie okiem do wnętrza tego *atrium*, gdzie dziś, skromniej niż lada gubernator lub urzędniczek, mieszka pan, co lat temu jeszcze 24, rządził samowładnie czterdziestoma milionami dusz, przed którego skinieniem palca drżały miliony,

o którego łaskę ubiegali się dumni a możni książęta Japonii... i zwiedzamy sąsiednią świątynię, fundowaną również przez Tokugawów — choć liczne herby rozmaitych familij widocznie świadczą, że rozmaici na utrzymanie i ozdobienie świątyni się składali. — Bez kwestyi: najpiękniejsze to w całej Japonii rzeźby w drzewie; nic równego nie widziałem; nie pamiętam, bym był coś piękniejszego gdzieindziej spotkał — taka tu precyzya rysunku, lekkość, wykończenie.

Wpołudnie ruszamy ku dworcowi. W pierwszej klasie siedzi p. Lanckoroński; jedzie do Nagoja, my wprost do Nagahama. Nazajutrz raniutko puszczamy się riksami do Hikone; w półtorej godziny przebiegają ci ludzie odległość 4 *ris* japońskich, tj. 2 mil austryackie! Powietrze cudowne, zaczyna być coraz cieplej. W Hikone, na pagórku, nad czy raczej wśród jeziora „Riva“ (liva), stary zamek, forteca nader dobrze zachowana, dziwnym trafem uszła niszczącej ręki reformatorów z roku 1868. W dole dom letni, *buon retico,* księcia, otoczony jednym z najpiękniejszych ogrodów, jakie można spotkać. Tu bogatsi Japończycy wynajmują mieszkania na lato. Właścicielom, jako potomkom „dajmia“, nie wolno stale poza Tokio przemieszkiwać.

Z Hikone ruszamy stateczkiem parowym w poprzek jeziora Riwa do Otsu. Popołudniu około piątej zajeżdżamy nareszcie do Kioto. Cóż za szczęście, znowu to kochane Kioto oglądać! W świecie tylko Japonia, w Japonii tylko Kioto! Jakież piękne położenie tego miasta, ileż pięknych i ciekawych rzeczy, jakże mili, uprzejmi mieszkańcy! ile typu i charakteru w każdym domu, w każdej uliczce tej dawnej stolicy! Dla mnie dziś przy pożegnaniu podwójna przyjemność. Do Kioto zajeżdżamy pomiędzy samych dawnych, dobrych znajomych; każdą świątynię znam, każdą ulicę pamiętam; mnóstwo po sklepach znajomych; w hotelu witają mnie jak swego. Niestety, ledwo dni parę tego szczęścia używać będzie można. Ósmego trzeba ruszać na dobre z Japonii. Na drugi dzień naszego pobytu, Siebold wraz z dwoma szczególnie zaufanymi Japończykami urządzają nam wieczorek *à la Japonaise.* Około 6-tej wiozą nas gdzieś hen daleko; po dwudziestu minutach jazdy stajemy nareszcie w odległym *thee-house*

japońskim nad brzegiem rzeki. Przy ściąganiu butów, Lanckoroński zaklął z lekka — potem, wśród niezliczonych ukłonów, *kombamona (bon soir),* wchodzimy do wielkiej stosunkowo sali, pięknie wysokiemi lichtarzami oświetlonej. Tu siedzą na ziemi, jak paciorki japońskiego różańca, malutkie tancerki; na znak dany, jak jedna palą wielki ukłon, czołem bijąc o ziemię. Śliczne rzeczywiście te laleczki 13—14 letnie, wypudrowane, pachniące, wystrojone, jakby pospadały gdzieś z półek. Chciałoby się wziąć parkę takich laleczek i postawić je na etażerce. Po chwili przychodzą inne, *guecha* zwane, nieco większe; tamte są tylko od tańca, te śpiewnej muzie hołdują. Dziewczątka te tak ślicznie, bujno-barwnie ubrane, doprawdy coś z kotki, coś z motyla przypominają — tak zabawnie widzieć te młodziuchne stworzenia, skaczące, śpiewające, śmiejące się ciągle — nagle seryo, poważnie, bo taniec ma się zacząć! — to święty taniec, przed świątynią niegdyś tylko tańczony, więc te dzieci przybierają miny poważne i w takt śpiewu i muzyki *geszy* tańczą pełne gracyi i powagi; ledwie się to skończy, wszystkie nosami do ziemi chórem dziękują widzom, że patrzeć raczyli! Kolacya niezmiernie ładnie podana, krótka, ale nadzwyczajna: same tylko ryby, ale *non plus ultra;* jemy naturalnie patyczkami, ponieważ w samem sednie Japonii się znajdujemy. Wśród śpiewu i tańcu, mnogich kieliszków *sake* i piwa, wesołości powszechnej i ciągłych fars naszego przyjaciela Japończyka, czas leci jak strzała; nie wiedzieć kiedy północ, 1-sza i 2-ga godzina minęła. Śliczna feta z pełnym charakterem japońskim, wielkiej wesołości a zawsze niewinnie i przyzwoicie.

Obecnie już to wszystko znikło niepowrotnie! Siedzę teraz na tej nieszczęsnej *Tsuruga-Maru,* która mi w niezbyt miły sposób przypomina ów okręcik, którym przed dwoma miesiącami do Riukiu się tłukłem! List ten rzucę zapewne jutro na pocztę, nie czekając wrażeń nowych; pobyt w Japonii musi bowiem całość dla siebie stanowić. Istotnie, jeżeli Bóg pozwoli, że szczęśliwie z tej imprezy do domu powrócę, będę znał wschód Azyi, owe trzy wielkie plemiona tenże zamieszkujące. Trzeba będzie koniecznie coś napisać — choć nieco się z naszą biedną pu-

blicznością podzielić, choć co prawda nie wiem czy warto? czy kto u nas interesuje się tem, co poza granicami kraju się dzieje? Lanckoroński wraca 23 b. m. wprost na Amerykę do Galicyi; spieszno mu, bo dzieło jego ma wyjść z Nowym Rokiem, i to od razu w trzech językach: po polsku, francusku i niemiecku. Z niecierpliwością czekam chwili, kiedy znowu stanę na tym samym z moimi rodzicami kontynencie.

Dziś minęliśmy Szimonoseki, więc ostatni raz widziałem główną wyspę Japonii — Nippon. Czyż ostatni? — pytałem się mimowoli — czyż nie zobaczę już nigdy w życiu tego ślicznego kraju, gdzie tyle miłych chwil spędziłem? Bóg jeden wie; może teraz, może kiedyś jeszcze powrócę? Wyjazd a raczej wjazd do cieśnicy Szimonoseki, tylokrotnie zapisanej w historyi tego kraju, śliczny. Najprzód otwarta zatoka ogromna, szeroka, dziś zasiana mnóstwem mniejszych i większych żaglowców japońskich, czółen rybackich; ozłocona pysznem słońcem, zieleniejąca się, śmiejąca się prawie; okolona tak ze wszech stron wieńcem skał i pagórków, że wjeżdżającemu zdaje się być zupełnie zamkniętą. W tem miejscu Nippon i Kiusziu tak blizko się schodzą, że na odległości 1000 kroków zupełnie zdać sobie sprawy nie można, którędy się z tej zatoki wypłynie? Ogólna teza brzmi, że jeszcze przed 1000 lat dwie te wyspy jedno tworzyły, że tędy przeszli przodkowie Japończyków, zdobywając ten kraj. Hipoteza bardzo do prawdy podobna.

W chwili, gdy to piszę, przede mną najcudowniejszy zachód słońca, trzeba powiedzieć: odgrywa się, bo to istotnie jest scena, i to długa — dziś godzinę trwała. Nad samym horyzontem grube, ciemno-fioletowe mgły, za nie zapada tarcza złota słońca. Chwilę trwa przejście między światłem dziennem a światłem zachodu. Po chwili poczynają chmurki, chmureczki, mgły przezroczyste jak najcieńsza gaza różowieć, palić się; tło nad horyzontem jasno-zielone, dalej niebieskawe, na firmamencie szafirowe, ale tak ciepłe w łonie, takie przezroczyste! Podnoszę głowę mimowolnie w górę i trudno mi wstrzymać okrzyku zachwytu: w tem ciepłem cudownem otoczeniu, na tle lazurowem wobec złota i purpury co słońce rozlewa, na firmamencie błyszczy

jak dyament biały, lśniący, spokojny, cichy księżyc, przysłoniony jasno-różową chmurką, która popchnięta przez zazdrosne słońce, że musi miejsca księżycowi ustąpić, przysłania księżyc; ale młodziuchna, wstydliwa — raczka lekkiego spiekła. Idealne! szkoda, że tylko przeze mnie widziane, szkoda, że minęło.

Tak jest; płakać mi się chce ciągle, że sam tych cudów zażywam, że ich istotnie uchwycić nie można, schować i potem się niemi dzielić, odnawiać, odtwarzać w domu!

Fusan (w Korei), 12 czerwca.

Zawinęliśmy do portu Nangasaki 9-go czerwca. Miejscowość cudowna, pełna wspomnień zwłaszcza dla Europejczyków: boć to ów port, gdzie wszyscy, w te dalekie strony zapuszczający się, czy misyonarze, czy podróżnicy, najprzód lądowali; to port, który pierwszy zwykle oglądano, opisywano. Tu srożyło się prześladowanie katolików z największą wściekłością i zażartością; wzgórza tutejsze, to istotne Golgoty Japonii. Tu też przez kilkaset lat zamknięci na malutkiej wysepce przesiadywali Holendrzy, jedyni przez cały peryod zamknięcia Japonii Europejczycy, których pozostawiono niby na terytoryum japońskiem, naturalnie bez pozwolenia lądowania! Nangasaki, to pierwszy port, który białym otworzono. W Nangasaki wreszcie odgrywa się cała owa idyotycznie głupia historyjka, którą z blagą prawdziwie francuską, udekorowawszy ślicznemi ilustracyami, ów wielki blagier, znany w literaturze kolejowo-dworcowej pod imieniem Piotra Loti, wydał pod nęcącym i wiele obiecującym tytułem: *Madame Chrysanthème*. Nangasaki opisywano już przynajmniej pół miliona razy; niechże mi więc wolno będzie odwołać się na owych, mniej lub więcej zręcznych poprzedników, i zaniechać opisu. Raniutko poleciałem na ląd, spodziewając się, że zastanę jak dotąd wszędzie miłych i gościom radych misyonarzy, którzy mi pomogą w zwiedzaniu miasta i okolicy, a zwłaszcza — tego byłem najciekawszy — owych gmin katolickich, które od prześladowań i zamknięcia Japonii w XVII. stuleciu, względnie w końcu XVI., do połowy naszego wieku przetrwały w wierze

bez księży, bez żadnej z zewnątrz pomocy — istny cud! Niestety, rachuba moja omyliła mnie; zastałem tylko proboszcza, widocznie niesłychanie zajętego, który w czasie mej wizyty ledwie na stołku mógł wysiedzieć. Biskupa Msgr. Causin wcale nie widziałem — i ten rzekomo nadzwyczajnie zajęty.

Wskazano mi przynajmniej miejscowość Jama-zato, o godzinkę odległości od Nangasaki, gdzie miałem zobaczyć jedną z tych dawnych gmin chrześcijańskich. Chwytam pierwszą nadarzającą się riksę, walę co siły do Jama-zato. Przyjeżdżam — zastaję misyonarza w złym widocznie humorze. Nie mam szczęścia! Jedynie ciekawy kościół ich w Jama-zato, przerobiony z dawnego domu, w którym wszystkie badania i męki się odbywały, w którego podłodze do dziś dnia znajduje się znak krzyża, który kazano ludowi deptać nogami. Takich miejsc w Japonii było więcej; np. w Riukiu umieszczono krzyż w kamieniu stanowiącym stopień schodów, prowadzących przez most. Tamtędy, podobnie jak w Nangasaki, przeprowadzano nietylko lud miejscowy, ale i Holendrów protestantów, którzy dla zysku, dlatego, by ich nie wypędzono z Japonii — dobrowolnie deptali znak krzyża. Po takim czynie już nic dziwnego, że ci sami Holendrzy wspólnie z japońskimi sołdatami gnietli i prześladowali nieszczęsnych katolików w Nangasaki aż do rozpaczy i powstania! Nic więc ciekawszego, jak ów kościołek w Jama-zato. Zwykły to większy dom japoński, w którym powyjmowano ściany i utworzono w ten sposób dość znaczną salę. Zamierzają misyonarze tu budować nowy kościół; niestety ten stary zabytek nie wystarcza na potrzebę miejscowej ludności katolickiej, wynoszącej około trzech do czterech tysięcy dusz. Poczciwi misyonarze palną sobie znowu jakąś straszną szatrę pod nazwą kościoła — licho naśladującą europejskie style — a tę starą, niezmiernie charakterystyczną świątnicę, zburzą. Jest to, trzeba przyznać, najsłabsza strona misyj katolickich, ta strona dobrego smaku. Zdają się mieć awersyę do piękna! A kochane siostry zakonnice wszelkiego gatunku, pierwsze pod tym względem zajmują miejsce! Nie wiem jakby się do tego trzeba wziąć,

aby zwrócić uwagę sfer kompetentnych w Kościele na ten smutny fakt: ci ludzie, którzy są powołani do rozkrzewiania wiary, światła, miłości — słowem najszczytniejszej na niebie i ziemi instytucyi, tj. wiary Chrystusowej; ci ludzie, którzy zresztą do wysokości tego szczytnego powołania w najliczniejszych wypadkach dorośli moralnie — ci sami ludzie, te kobiety, są równocześnie rozkrzewicielami tego, co w potocznej mowie nazywamy złym gustem. Jest to na pozór, ale tylko na pozór, małostka. Weźmy za przykład Japonię. Poczciwe siostry św. Pawła z Chartres, św. Dziecięctwa i t. p. mają szkoły, szkółki, ochronki, pensyonaty; w tychże uczą szyć, haftować — *notabene* na całym Wschodzie, zwłaszcza w Chinach i Japonii wyłącznie mężczyźni haftują i szyją, nigdy kobiety; tak, że siostry muszą swoje dziewczęta, nieraz 15 i 18 lat, uczyć tych robótek. — Czemuż nieszczęsne te stworzenia, wzrosłe wśród najwyrafinowańszego społeczeństwa, wśród społeczeństwa stojącego pod względem prostoty smaku, szlachetności gustu, może dziś najwyżej — czemuż, pytam, właśnie od sióstr katolickich mają się uczyć brzydoty form, gustu i stylu *barocco* w najgorszem tego słowa znaczeniu — tego, cobym nazwał stylem firaneczek, wstążeczek, kokardek??? Przecież pielęgnowanie sztuki jest w tradycyach katolickiego Kościoła, tej matki cywilizacyi naszej! Czyż nie mogliby jego zwierzchnicy przeszkadzać tym herezyom przeciw sztuce, i tej propagandzie zepsutego gustu?

Koło domku, w którym mieszka tymczasowo misyonarz (mówię tymczasowo, bo rząd japoński ciągłe robi trudności co do pobytu misyonarzy w głębi kraju); domku, gdzie przed 200 laty odbywały się śledztwa przeciw katolikom — pokazują mi starą śliwę, wiekiem pochyloną, skręconą, koszlawą, do której, według tradycyi, przywiązywano chrześcijan i bito bambusami, celem wydobycia zeznań. Zresztą nie widziałem tu żadnych pamiątek ni relikwij.

Popołudnie pierwszego dnia w Nangasaki spędziłem na spacerze i w teatrze japońskim. Nazajutrz o drugiej z południa odpływamy — tą razą wprost do Fusanu, pierwszego portu w Korei, do którego mamy zawinąć po siedmnastu godzinach żeglugi.

Siedmnaście godzin powolnej żeglugi morskiej, toć odległość żadna; ze szczytu gór koreańskich widać dokładnie wyspę Tsuszima, a w dnie pogodne zapewne widać i ląd głównej wyspy Nippon; odległość więc fizyczna minimalna. Jakaż jednak otchłań dzieli te dwa kraje, te dwie rasy? Dzień i noc, Japonia i Korea! Już sama konfiguracya lądu: Japonia pagórkowata, zielona, wesoła, mnóstwo drzew, mnóstwo ładniutkich ogrodów, świątyń, gaików; Korea górzysta, wejrzenie surowe, ponure, góry nagie, lub nizkim krzewem pokryte, gajów i gaików niema; mieszkania ludzkie nizkie, brzydkie, brudne; budowle publiczne opuszczone, zaniedbane, prymitywne. Ludność tam mała, ale zwinna, ruchliwa, wesoła, śmiejąca się; tu wprawdzie chłopy jak dęby, ale wszystko, nie ponure może, lecz i nie wesołe, zapatrzone takie jakieś, jakby całe życie o niebieskich migdałach myślało; a w istocie nie myśli o niczem. Lud, o rysach zupełnie od japońskich odmiennych, na pierwszy rzut oka przypomina dziwnie Riukianów. Korea, to państwo lenistwa bezgranicznego!

Położenie Fusanu dość piękne. Jest to jeden z portów otwartych, w myśl ostatnich traktatów. W skutku pertraktacyj z roku 1876 między Japonią a Koreą, w Fusanie oddano część wybrzeża na użytek i własność Japończyków. Miasteczko japońskie, to istotnie jedyna osada; ani Chińczycy ani Europejczycy tu się nie osiedlili dotąd. Dwóch Anglików i dwóch Niemców, jeden Włoch, oto cała kolonia europejska. Handel prawie żaden; chwilowo teraz nieco więcej ruchu, bo nasz statek zabiera setki worów z kartoflami i ryżem do Czi-fu w północnych Chinach, gdzie straszna w tym roku nędza i klęska głodowa srożyć ma się. Sam Fusan nie przedstawia wielkiego interesu; nawet stare miasto, odległe o pięć do sześciu mil angielskich w głąb zatoki ku wschodo-północy, choć otoczone jeszcze dawnym murem, choć ma kilka zabytków starych, niezbyt mnie zainteresowało, bo nadto tu znać wpływy japońskie. Już od sławnej zwycięskiej wyprawy cesarzowej Zingo-Kogu, tj. od III. wieku naszej ery, ekspedycye Japończyków do Korei ponawiają się ciągle w biegu ich historyi — nic więc dziwnego, że tutaj, w punkcie najbardziej do Japonii zbliżonym, najwidoczniejszy jest wpływ

japoński. Co do pytania, czy to wpływ japoński w Korei widoczny, czy przeciwnie, w Japonii wpływ koreański — trudno mi naturalnie na nie odpowiedzieć. Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że Korea wielką w historyi cywilizacyi japońskiej odgrywała rolę, zwłaszcza jako pośredniczka, za pomocą której cywilizacya chińska przechodziła do Japonii. Dotychczas mogę skonstatować tylko fakt następujący: mury, okalające dawny Fusan, niczem Japonii nie przypominają, muszą być czysto chińskim wymysłem, czysto w chińskim stylu. W Japonii miast nie otaczano murem, otaczano tylko zamki, i to murami zupełnie innej konstrukcyi. Mury japońskie, to raczej wały ziemne ogromnych rozmiarów wszerz i na wysokość, pokryte z zewnątrz wielkiemi bryłami kamiennemi. Mur koreański, to mur w zwykłem słowa tego znaczeniu, górą blankowany i opatrzony strzelnicami; tylko w bezpośredniem pobliżu bram miasta widoczne są wały, nieco Japonię przypominające.

Zabudowania publiczne, więc świątynie, a raczej powiedzmy kaplice, bramy miejskie, mieszkania oficyalnych osobistości, przypominają nieco japońskie. Łatwo można przypuścić, że ten sposób budowania, ta ornamentyka, prymitywna jeszcze, uboga i prosta, przyszła stąd do Japonii. To, co w Japonii najczęściej rzeźbiono w drzewie lub kamieniu, to tutaj malowano na drzewie w niezmiernie barwnych kolorach. Mieszkania prywatne także nieco japońskie przypominają, ale tylko o tyle, o ile np. kościół św. Piotra w Krakowie przypomina rzymską bazylikę, i to jeszcze niedostateczne porównanie. Dom japoński, ów szczyt szyku i czystości, szczyt tego, co w niemieckiem *niedlich* nazywamy, jest po największej części dwa lub trzy razy wyższy, okazalszy, dachówką kryty; dom koreański w zasadzie nieco podobny do japońskiego, przynajmniej zewnętrznie: ten sam system okien, ten sam system siedzenia na słomianych matach, brak komina, brak tajemnicy w domu, bo go z jednej strony na drugą z ulicy przejrzeć można. Ale dom koreański, z wyjątkiem kilku, kryty słomą, niziutki (nie ma więcej nad trzy metry wraz z dachem), zakopany, schowany zupełnie w ziemi; okienka tak nizkie, że właścicielów nogi zdradzają, czy jest pan w domu. Pod-

łogi naturalnie w domach tych ani śladu; rodzaj klepiska ją zastępuje. Młócenie zboża odbywa się na dworze, i to na środku ulicy, tak że przechodząc, trzeba niezmiernie uważać, by cepem po głowie nie dostać. Młocka zupełnie już inna, niż w Japonii: tam zboże trą, szarpią grzebieniami, biją pojedyńcze snopy o rodzaj grabi; tu już młocka prawdziwa: cepy bambusowe, u których końca zamiast drzewa, jak u nas, jest rodzaj rózgi z trzciny uwiązany.

Wczoraj wszędzie prawie zastałem żniwo i młockę. W Japonii już po największej części żniwa zbożowe skończone. Lud, jak powiedziałem, chłop w chłopa. Wszystko biało ubrane, co niezmiernie dziwi i uderza po trzymiesięcznym pobycie w Japonii, kraju ciemno-niebieskiej farby. Na głowach noszą bogatsi kapelusze nader dziwne, o okrągłych krysach, z włosienia końskiego, lub bambusu niezmiernie cieniutko krajanego, tak iż kapelusze te są jak wuale przezroczyste. Ubożsi po prostu kawałkiem szmaty, w formie turbana, bogatą grzywę przewięzują. Włosy długie, kruczo czarne, związane u żonatych w szypełek u czubka głowy — czem niezmiernie Riukianów przypominają; nieżonaci noszą bujne, szerokie warkocze, daleko od chińskich piękniejsze, bo krótsze a bogatsze. Ponieważ jednak wszyscy, nie wyjmując bab i dziadów, są zupełnie biało ubrani w szerokie bufiaste kaftany (troszkę do żupana podobne) i pludry nader obfite w materyał, przeto niema często sposobu zoryentować się, czy się widzi kobietę, czy chłopa. Panie noszą ogromnie szerokie, odstające (jakby na krynolinie leżały) spódniczki bieluchne. Do tego pas bardzo szeroki z tej samej materyi, i staniczek z rękawami, pierś tylko do pół przykrywający, również z tej samej materyi. Na głowie białe chusty, formą przypominające nieco czepce, za czasów Zygmunta I. noszone. Włosy związane w rodzaj warkocza wokoło głowy, i z boku po lewej stronie twarzy po prostu w guzeł zawiązane.

Twarze obu płci brzydkie. Mężczyźni jeszcze przystojniejsi niż damy. Wrażenie pierwsze, jakiego doznałem, bardzo korzystne; wydaje się to poczciwy, łagodny lud — niesłychanie leniwy. Nic w tem dziwnego: wskutek wpływu Chin, i tu panuje

system mandarynów, i tu zatem każdy się stara być, a przynajmniej uchodzić za nędzarza. Wszak wszystko, coby miał nad pewną minimalną miarę, to wszystko *rapax bestia* mandaryn w tej samej chwili zabrałby; więc pocóż mieć więcej, niż konieczna potrzeba? poco pracować na więcej? System straszny! Mimowoli życzyłoby się tym biedakom, by choć na lat kilkadziesiąt dostali się pod panowanie obce, zwłaszcza angielskie.

Na tem na dziś kończę. Jutro, skoro świt, mamy stanąć w Czimel-pu, czyli Jim-san, port stolicy Korei: Seul. Myśląc o panu Włodzimierzu, kupiłem wczoraj bardzo stary garnek koreański.

Paweł Sapieha.

KSIĄDZ KAROL ANTONIEWICZ.

VIII.

Życie tułacze.

(Dok.).

Wyjazd ze Stanisławowa przyspieszył bolesny, rodzinny, a zarazem publiczny wypadek. Wacław Zaleski, niezmordowany pracownik jak na politycznem, tak na literackiem polu, lepiej na tem ostatniem znany jako Wacław z Oleska, umarł 24 lutego w Wiedniu, gdzie po złożeniu gubernialnych rządów w Galicyi, objął ważny posterunek w ministeryum oświaty. Cały kraj żywo odczuł stratę męża, który — jak pisał świeżo powstały, ale bardzo poważny już w tej chwili dziennik [1] — „jeden był w stanie pozamykać szerokie blizny kraju i zaszczepić owoce przyszłej pomyślności". Kraków na pierwszą wieść o śmierci Zaleskiego, któremu zawdzięczał „najlepsze swe instytucye" [2], postarał się za niego o wspaniałe nabożeństwo; za Krakowem i Lwów poczuł się do obowiązku okazania zmarłemu swej wdzięczności. Urządzający smutną tę uroczystość zwrócili się do Antoniewicza, aby jako słynny już mówca, jako blizko z byłym gubernatorem

[1] *Czas* z 5 marca 1849 r.

[2] W szczególności zaprowadzenie rady administracyjnej w miejsce dawnego urzędu cyrkułowego, obsadzenie jej prawymi Polakami i ożywienie gasnącego na niemczyznę i umysłową anemię Uniwersytetu Jagiellońskiego.

spowinowacony[1], uczcił go żałobną przemową. Jakże było odmówić? — 15 marca przybył nasz Karol do Lwowa; w trzy tygodnie później stał na ambonie katedralnego kościoła i rzewnemi słowami malował tak niezwykły dla oczu współczesnych obraz: dobrego, zasłużonego w służbie religii i ojczyzny urzędnika-Polaka:

„Niedawnośmy go żegnali — w boleści, że go tracimy; w nadziei, że wpływu i prac jego błogich doznamy owoców... Te łzy, które dziś płyną nad grobem jego... głośno świadczą, ile to oczekiwań i pięknych nadziei z nim razem do tej trumny wstąpiło... O biedna Polsko! — zostałaś dziś tą matką grabarką, która kopie groby dla dzieci swoich... Czyż już nie dość tych grobów, czyż cała ziemia nasza ma się w jeden wielki przemienić cmentarz?... Wacław, polskiej ziemi dziecko, nigdy się tego ani słowem, ani czynem nie wypierał, bo podłe to dziecko, co się wyrzeka matki swojej. Kochał ją, ale ta miłość nie była szałem zaślepienia, aby nie widział błędów jej i grzechów i nad niemi nie płakał! Myśmy to serce zawsze rozumieli, pojmowali, kochali: w Wacławie z Oleska, w Wacławie rządcy kraju!“...

Nie! nie było jeszcze dość grobów. W kilkanaście dni po oddaniu ostatniej, chrześcijańskiej posługi Zaleskiemu, nadeszła do Lwowa przewidywana już od kilku miesięcy, ale niemniej — jak wyraził się Antoniewicz — „posępna i bolesna nowina“ o śmierci Słowackiego. Jeżeli poeta za życia i w pieśniach i w czynach zapominał czasem, że jest synem Kościoła i jego rycerzem być powinien; to śmierć otwarła mu szeroko oczy na marność wszystkiego co ziemskie, na jedynie prawdziwą wielkość chrześcijańskich, bożych ideałów; nauczyła go, że „wszystko to głupstwo“, jak mówił w przeddzień śmierci, wskazując na swe wiersze: wznieciła pragnienie, wyrażone w ostatnich słowach, które posłyszeć zdołano: „Niechże już zrzucę ten płaszcz lichy, co mię więził, i pójdę tam!“... Budujące te szczegóły, opowiedziane Anto-

[1] Wacław Zaleski ożeniony był z Antoniną, córką Wincentego Antoniewicza, brata stryjecznego ks. Karola.

niewiczowi przez bawiącego we Lwowie wuja poety [1], wstrząsnęły do żywego czułem jego sercem: „Jaka to była śmierć! — wołał pod świeżem wrażeniem [2] — nie mogłem nie zapłakać i Bogu nie podziękować". Chętnie też przyjął zaproszenie kilku przyjaciół i wielbicieli zmarłego wieszcza i poświęcił mu kilka serdecznych, poetycznych słów [3] — jak nad grobem poety przystało — w czasie urządzanego za jego duszę w karmelitańskim kościele żałobnego nabożeństwa.

„Mowa ta — szkicuje lwowski korespondent *Czasu* myśl jej przewodnie i opisuje, sam widocznie zachwycony, wywołany nią zachwyt [4] — wszystkich przytomnych do głębi serca i łez poruszyła... Należy ona do najszczytniejszych, jaką kiedykolwiek wygłosiły usta jego. Okoliczność wielka: wieszcz narodowy — piękna dusza bolejąca na ziemi — serce oddane na cierpienia całego narodu — stąd szamotanie się ze sobą i ze światem całą potęgą geniuszu, wytrwała walka wielkiego syna ojczyzny, krzyżowa droga po ziemi, nagroda odbytej walki: pociecha, jakiej świat nie da, powrót do Boga, skąd źródło natchnień bożych dla geniusza płynie, powrót na łono Kościoła, skąd pociecha wiary dla ziemi przyświeca... Cudownym był obraz bożego wieszcza i męża dobrego posiewu, obok obrazu fałszywych proroków dzisiejszego wieku. ‚Wieszcz boży jest jak ów dzwon srebrny zawieszony między niebem a ziemią, przemawiający potężnym głosem słowa bożego do narodu swego'. Cała rzecz była głęboko pomyślana w duchu religijnym i surowo pojęta w duchu Kościoła rzymskiego, a przeprowadzona w natchnieniu bożego wieszcza; przytem był charakter i geniusz Juliusza Słowackiego dziwnie odgadnięty i z właściwego oceniony stanowiska".

---

[1] Teofila Januszewskiego, który znowu zawdzięczał je obszernemu listowi Szczęsnego Felińskiego, późniejszego arcybiskupa warszawskiego. List ten wydrukowany został w *Dzwonku,* tom I, str. 55 i nast.

[2] Do ks. Sapieżyny. W maju 1849.

[3] Mamy w ręku tylko krótkie, niedokładne, pospiesznie pisane notatki z tej mowy, wypowiedzianej 16 kwietnia. Powstały w pierwszej chwili projekt wydania jej w zbiorowej książce, poświęconej czci Słowackiego, nie przyszedł do skutku.

[4] *Czas* z 26 kwietnia 1849 r.

Od świeżych, kwieciem słowa swego przyozdobionych mogił dwóch poetów, szedł misyonarz-poeta wzmacniać i cieszyć żywych, nieść chleb, podawać leki dla duszy i dla ciała chorym, biednym, aby znowu, zbyt częstym w skołatanem swem życiu nawrotem ku cmentarzowi, ku innym, nowo wyrastającym grobom podążyć.

Miłosierna pani, która tyle łez dnia każdego ocierała, sama w tej chwili bardzo potrzebowała pociechy. „Księżna Jadwiga — donosił Antoniewicz jednemu z zakonnych towarzyszów[1] — z konającem prawie dzieckiem, Władysiem, bo doktorowie już żadnej nie robią nadziei, a więc nie miała nic do stracenia, wyjechała do Gräfenberga“. Niebawem nadszedł od księżnej list z zawiadomieniem o strasznym ciosie, tem straszniejszym, że zdawało się na chwilę, już odwróconym, jakim Bóg dotknął ją 19 marca na drodze do Krakowa; z gorącą prośbą: „Pociesz siostry Władysia, napisz do biednego Adasia — mnie słów brakuje“. W kilka godzin po odebraniu tego listu, późnym wieczorem, pisał prawdziwie serdeczny przyjaciel, sam zbolały, do bawiącego w Anglii księcia Adama:

„Ofiarowałem Bogu życie moje za życie Władysia, ale Bóg Władysia zanadto kochał, aby taką zamianę przyjął. Władyś nic nie stracił, wszystko pozyskał. Utracił ziemię, pozyskał niebo; utracił świat, a zyskał Boga; utracił krzyż, a zyskał chwałę... Tak mi okropnie ciężko na sercu i duszy i na myśli, a chciałem rozkaz Twej matki jak najspieszniej wypełnić... Książę łaskawy! niech Cię Bóg pocieszy w tym smutku Twoim. Szczęśliwy, kto za młodu pozna, że życie nasze nie jest igraszką, ale krwawą pracą! Szczęśliwszy, kto tego poznać nie potrzebuje, jak nasz święty Władyś! Ach! onby już pewnie po drugi raz na świat wrócić nie chciał!“

„Nie chciałem Ci — rozwija po paru tygodniach te same myśli — wspominać w tym liście o Władysiu, aby nie odnawiać boleści serca Twego, ale czemuż o nim nie mówić, kiedy to tak

[1] Do O. Ant. Kurowskiego. W marcu.

jakoś dobrze w duszy się robi! Wszakże on nas, a my jego kochać nie przestali; tylko, że my tak kochać nie umiemy, jak on, bo my biedni, nędzni ludzie, a on — Anioł. Wszakże w wzajemnym dusz stosunku nic się nie zmieniło! Oczy, uszy, ręce nasze go utraciły, ale serce nasze nie, a myśmy go sercem kochali. Nie szukajmy go już na ziemi, ale w niebie. W wczorajszej Ewangelii czytamy te słowa, które wyrzekł Anioł do niewiast płaczących, które przyszły odwiedzić grób Jezusa: ‚Nie lękajcie się, Jezusa szukacie, niemasz Go tu, zmartwychwstał, uprzedzi was do Galilei, tam Go oglądać będziecie!' Niemasz Władysia tu, zmartwychwstał, uprzedził nas do nieba, tam go oglądać będziecie".

Rzewniejsze — jeśli możliwa — z tego samego niewyczerpanego źródła silnej wiary, całe strumienie pociech w serce przelewające, szły jeden za drugim listy do biednej matki, najprzód ze Lwowa, później w szybkich odstępach czasu datowane z Uherska, Stanisławowa, Krakowa, Staniątek. Cztery trumienki czterech przedwcześnie zgasłych dzieci, stały już w krasiczyńskich podziemiach; stanęła obok nich piąta ze zwłokami Władysia; niedługo czekać, staną dwie nowe, a dwie prześlicznie rozkwitające dziewczynki: Zosia i Terenia, za ukochanym bratem podążą. Teraz już wątłe ich zdrowie dawało do myślenia; dla nich też głównie księżna bólem przyciśnięta, ale nie złamana, nie zmieniła poprzedniego, za życia syna powziętego planu, i na dni kilka tylko zawróciwszy z drogi dla oddania ukochanemu zmarłemu ostatniej posługi, pociągnęła do Gräfenberga.

1-go czerwca wjeżdżał i Antoniewicz między dobrze sobie znane freiwaldaudzkie domy i domki.

„Przyjechałem do Freiwaldau w piątek wieczorem [1] i prosto wysiadłszy z powozu pobiegłem do Was... Na pół drogi gräfenbergskiej, na ustroniu leży domek zupełnie samotny: *das stille Haus* zwany; w tym to domku mieszka matka i siostry Twoje!... Mieszkam niedaleko Was; matka Twoja karmi mię i tak mi to dobrze jeść chleb Wasz"...

[1] Do ks. Adama Sapiehy. W pierwszych dniach czerwca.

„My tu — donosił w miesiąc później Sewerynowi Morawskiemu [1] — mamy kapliczkę na kolonii gräfenbergskiej. To jest, księżna Jadwiga wystarała się o pozwolenie u biskupa mieć w pokoju Mszę św.; na ten cel najęła dwa piękne pokoiki, któreśmy na kapliczkę zmienili — bardzo piękną. Codziennie Msze św. się odprawiają, gromadka ludzi się zbiera, a nie uwierzysz, jakiej wewnętrznej pociechy doznaję, widząc w tym zakątku chwałę Boga, gdzie go tyle, tyle obrażają"...

Mieszkańcy „cichego domku" łączyli się rano przy Mszy św. w skromniutkiej kapliczce; wieczorem łączyli się tam znowu we wspólnej, serdecznej modlitwie. Biedna matka, ciężko stroskana stratą ukochanego dziecięcia, znajdowała tu, u stóp miłosiernego Zbawiciela, najlepszą i jedynie prawdziwą pociechę; stąd brała ten hart duszy, któremu dziwili się i bliżsi i dalsi. Ale, choć dusza zahartowana w ogniu cierpienia i modlitwy, nie zdradzała na zewnątrz dojmującego bólu; choć jasny promień wiary i miłości przenikał do najgłębszych jej tajników i łagodził siłę boleści, niemniej uginała się czasem pod jej ciężarem, czasem zdawało jej się, jakby temu ciężarowi siły jej sprostać nie mogły. W takiem bolesnem usposobieniu znajdowała się właśnie księżna, kiedy wstawszy od rannej modlitwy — w dzień św. Wawrzyńca, 10 sierpnia — znalazła na biurku, pod portretem opłakiwanego syna, małą kartkę, szczelnie dobrze sobie znanem pismem O. Karola wypełnioną, w której syn jej, jakby z nieba do matki list przesyłając, cieszył ją w smutku i wybłagane u Boga błogosławieństwo przesyłał. Odtąd dzień w dzień, przez dwa przeszło miesiące [2], nowy taki liścik do rąk matki

[1] 2 lipca 1849 r.

[2] Wszystkich listów było 70, wliczając już dwa, napisane w parę miesięcy później, w uroczystość Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Z tych wyszło drukiem w zbiorku: „Listy w duchu Bożym do przyjaciół", najprzód 65 (Kraków 1850), a w następnem wydaniu (Kraków 1857) tylko 62, pod ogólnym tytułem: „Poselstwo Aniołka w niebie do matki na ziemi". Jak w jednem tak w drugiem wydaniu opuszczone są pewne, zbyt osobiste ustępy. Ks. A. Vivier T. J., Francuz, który lat kilka przebył w Galicyi i dobrze języka polskiego się poduczył, wydał te listy w przekładzie francuskim: *Un petit Ange du ciel à sa mère ici-bas.* Librairie de Périsse Frères, str. x, 132.

się dostawał, wlewając w jej serce balsam niewypowiedzianej pociechy.

Trzeba było serca ojca, który tyle z kolei mogiłek dzieciom swym usypał; trzeba było zarazem serca kapłana, które tak dobrze obeznać się miało sposobność z różnorodnemi bólami tylu, tylu dusz stroskanych, złamanych; — aby tak odczuć, co płaczącej matce największą ulgę przynieść może; delikatną ręką świeżej rany dotykając, goić ją, nie drażnić; — aby być samemu prawdziwym aniołem, prowadzącym przez boleść do Boga, uczącym, jak łzami niebo sobie i innym kupować. Streszczać tych listów niepodobna. Nie były one pisane wedle pewnego, z góry usnutego planu, lecz wypływały dzień po dniu naturalnie ze serca, to nawiązując się do przypadającej w tym właśnie dniu wesołej lub smutnej rocznicy, do jakiegoś zdarzenia, wypadku z ostatnich kilkunastu godzin; to wprost i od razu w niebo duszę unosząc, roztaczając przed okiem pociechy z wiary zaczerpnięte; to znowu wzywając — w imię Władysia — do dalszej mężnej pracy, do szerzenia na ziemi chwały wielkiego Pana, któremu drogi, z ziemi zabrany aniołek, w niebie pieśni pochwalne śpiewa.

„Czemu tak smutna jesteś? — pytał w jednym z pierwszych swych posełstw aniołek w niebie płaczącą matkę na ziemi. Dobrze mi tu z Jezusem i Maryą — i siostrzyczkami memi i z aniołami i ze wszystkimi Świętymi! Gdybyś mnie była ujrzała na waszej ziemi, w wielkiem życia niebezpieczeństwie i nie mogąc mię obronić, o jakżebyś wdzięczną była temu, coby mię w pewną wziął opiekę i byłabyś rzekła do niego: ‚Weź mego Władysia, wolę go jakiś czas nie widzieć, byleś mi go, jak przeminie niebezpieczeństwo, oddał zdrowego!‘ Mamo droga! Bóg przewidział, jakie niebezpieczeństwa, wśród zepsucia świata, groziły duszy mojej — od których i rozum i serce twoje nie byłyby mnie ochroniły — i wziął mię do siebie, aby ci oddać dziecko twoje w czasie, który On jeden wie. Mamo! jeśli narzekasz za siebie, to przynajmniej dziękuj za nie! Ale nie! — ty nie narzekasz, tyś nigdy nie narzekała, bo kochasz Boga i chcesz i będziesz

Go zawsze kochać... Jeśli zapłaczesz, to nie obraź tylko Boga żadną łzą twoją".

Uroczystość Wniebowzięcia N. Panny naturalnie do niebieskiego tronu Maryi prowadzi:

„O jaka dziś radość i wesele w niebie!... O Mamo, ty się złącz ze mną, cześć i chwałę Maryi oddając! Bo tyś matką i Ona jest matką Władysia — bo Ona i ty mnie kochacie — bo ja i ty ją kochamy. O! nie mów: Ja się cieszyć nie mogę! Ciesz się łzą i boleścią, ale ta łza niech nie będzie zimna, ta boleść niech nie będzie twarda! Ciesz się łzą i boleścią Maryi pod krzyżem — aby ta boleść nie przeszła w odrętwiałość i obojętność, aby ta boleść na boleści się nie kończyła, ale była początkiem wniebowzięcia myśli i serca twego"...

Pełne serdecznego wdzięku, umysł i serce krzepiące listy, dostawały się regularnie do rąk księżnej dzień po dniu; wyjątek stanowiło kilka dni wrześniowych, w których cała polska kolonia, osiadła w Gräfenbergu, wyruszyła w pobożnej pielgrzymce do odległego o trzy mile, szczególnemi łaskami Matki Bożej wsławionego Zuckmantlu. Pątników zebrało się około dwudziestu. Wczesnym rankiem odprawił dla nich O. Karol Mszę św. w „cichym domku", poczem razem podążyli naprzód leśnemi dróżkami, odmawiając różaniec, pieśni pobożne śpiewając, aż przy zachodzącem już słońcu powitali wieże zuckmantelskiej świątyni. Nazajutrz — w oktawę Narodzenia Matki Boskiej — pomodlili się przed cudownym obrazem; zaśpiewali Maryi pieśń w starej kapliczce, z której przed latami rozszedł się po raz pierwszy rozgłos łask przez Bogarodzicę na tem miejscu tak szczodrze udzielanych.

„Kościołek na wierzchołku góry [1], w głębi lasu jodłowego, stał otworem, i ludek tłumnie zebrany klęczał przed obrazem cudownym, dzieci pod płaszcz opieki Matki swej się garnęły, i dobrze mi było, i rzewno mi było — jasna chwila w ciężkich życia godzinach... Pielgrzym, odprawiłem drogę krzyżową, nim

[1] Do p. Konopczyny (?).

się dostałem do szczytu góry, nim przed obrazem Maryi uklęknąłem".

Wrażenia i uczucia, które się w duszy w czasie tej pielgrzymki niezatartemi głoskami wycisnęły, odmalował Antoniewicz w osobnej, szczerą poezyą, gorącą pobożnością tchnącej broszurce [1]. Droga krzyżowa, o której w liście swym wspomina, dała mu znów pochop do streszczenia mianych przy stacyach nauczek [2]. Za temi poszedł cały szereg innych prac; nigdy i przedtem i później nie pracował O. Karol tyle piórem, nie pracował z takiem zamiłowaniem i łatwością, co w czasie tych kilku cichych miesięcy w cichym domku. Tu w poufnem kółku najbliższych, zrodziła się, nie wiedzieć przez kogo najprzód podsunięta myśl wydawania peryodycznego pisma dla młodzieży; myśl, jeśli najprzód powzięta, to żywo pochwycona przez księżnę Leonową, która czasu nie tracąc, energicznie zakrzątnęła się koło pozyskania dla nowego wydawnictwa jak najliczniejszego, najpoważniejszego koła współpracowników. Jednym z pierwszych musiał być oczywiście drogi gräfenberski gość; nie dał się on też długo prosić; — każdy niemal tomik *Dzwonka* — jak nowe pismo nazwano — ozdabiał to ślicznemi wierszykami, to może jeszcze ślicznieszą, może stosunkowo jeszcze poetyczniejszą prozą. Wspomnienia z własnego życia dawniejszego, obecnego, dostarczyły najwięcej materyału; obok nich znalazło miejsce kilka poważnych listów o powołaniu kobiety; parę wierszem osnutych, znać z każdej strofy z jaką czcią i miłością, legend o polskich patronach. Przed kilku miesiącami złożył u stóp krzyża wonny „wianuszek z kwiateczków na krzyżowej drodze życia zebranych" — kilkanaście pieśni wzywających do krzyża, wielbiących tajemnicę krzyża; złożył u stóp Maryi „Wianuszek majowy" — „Kilka piosenek majowych dla tych, którzy Maryę kochają, którzy z Maryą pod krzyżem stoją"; — do tych wieńców przyłączyły się teraz nowe, z równie pięknych, wonnych, choć nierymowanych słów uwite, ofiarowane w dani patronowi

[1] „Pielgrzymka do cudownego obrazu Najśw. Boga-Rodzicy Mariahilf w Zuckmantel". Lwów 1849, str. 32.

[2] „Droga krzyżowa". Lwów. U Pillera 1849, str. 15.

„braci wieśniaków“: św. Izydorowi; poświęcone krakowskim grobom polskich Świętych [1].

Coraz zimniejsza i posępniejsza jesień rozpędzać zaczęła jednych po drugich prysznicowskich gości; kogo szron i deszcz wypędzićby może nie zdołał, tego do ucieczki skłaniał blady strach cholery, co wędrując z kraju do kraju, zapuszczać już zaczynała zagony w szląskie prowincye. W pierwszych dniach listopada wybiegł Antoniewicz na kilka dni do Staniątek, a napracowawszy się do syta w kościele i na ambonie, powrócił jeszcze na kilka dni do „cichego domku“, pożegnać pozostałych, bardzo nielicznych już przyjaciół, pożegnać kapliczkę, z której tyle łez i modlitw do nieba popłynęło. „Rozebrałem ze łzami — pisał z piekarskiego klasztorku [2] — kapliczkę naszą, gdziem przez pięć miesięcy Mszę świętą odprawiał, gdzieśmy w małem kółku codziennie Boga chwalili. Kto wie, na co ten pokoik obrócą? Tam gdzie się modlili, tam może bluźnić będą; miejsce Boga może zajmie szatan... Pani Paulina [3] miała ze mną jechać, ale dla gwałtownej cholery, która w Opawie panuje, pozostała w Freiwaldau. Ja sam pojechałem, chociaż wszyscy tak łaskawi, że mnie z bojaźni cholery puścić nie chcieli. Ale i ja umiem czasami mieć wolę swoją — choć to bardzo rzadko się wydarza. Bawiłem więc u biskupa Skórkowskiego przez trzy dni; potem na Raciborz udałem się do Piekar“.

„W Piekarach [4] zastałem sześciu braci moich zakonnych, którzy z tą miłością, jaka żyje w zakonie naszym, tak się uradowali przybyciem mojem!... Dziś rano miałem Mszę św. w tym tak prawdziwie czarującym oko i serce kościele... Dobrze mi tu z braćmi mymi. Dawne wspomnienia życia naszego wskrzeszają krótką, ale piękną przeszłość życia zakonnego... Stąd myślę

[1] Obszerniej o pieśniach tych i pismach pomówimy w osobnym rozdziale, poświęconym literackiej działalności Antoniewicza.

[2] Do Stef. Konopczyny. 14 listopada 1849.

[3] Margrabina Wielopolska, z którą Antoniewicz bliżej w Gräfenbergu się zapoznał i prowadził z nią odtąd ożywioną korespondencyę.

[4] Do ks. Sapieżyny. Z Piekar.

wyjechać do Mysłowic, gdzie także dzień zabawię; potem do Krakowa. Jak mnie taka ciągła włóczęga męczy moralnie, nie uwierzysz! Tak mi czasem smutno nad wszelki wyraz, a jednak okoliczności tak się dziwnie składają. Niech i to Bóg przyjąć raczy!"

Biskup Skórkowski pragnął zatrzymać ukochanego misyonarza w Opawie, gdzie dość licznie zebrane grono Polaków nasycić się nie mogło jego słowem i na ambonie i w prywatnej rozmowie. Przekonawszy się, że projekt ten nazbyt wiele przeszkód musiałby napotkać, udał się z listowną prośbą do jenerała zakonu O. Roothana, aby polecił Antoniewiczowi osiedlić się stale w Krakowie, gdzie wpływ jego i praca bardzo były potrzebne i mogły przynieść zbawienne owoce. Antoniewicz wiedział o tym kroku wygnanego krakowskiego biskupa; przeszkodzić mu nie mógł, ale z drugiej strony wpływać sam w niczem nie chciał na postanowienia swych przełożonych, choć z pewnością stała praca w ukochanym Krakowie bardzo go do siebie ciągnęła. Krakowscy przyjaciele i znajomi nie przestawali też zaklinać: Zostań u nas!

„Gwałtem chcą mię tu zatrzymać — donosi sam o tych zabiegach z jednej strony, o przeszkodach jakie mu stawiano z drugiej [1]. — Tu w Krakowie całą siłą nalegają na mnie, abym pozostał, spodziewając się, że będę mógł dużo dobrego zrobić. Kilku księży także na to nastaje, ale większa część duchowieństwa — jak mi sami księża mówią — będzie temu bardzo przeciwna. Ja, jak we wszystkiem, tak i w tem biernie się trzymam, wiedząc, że jeśli taka wola boska, to Bóg te trudności ułatwi. Musiałem więc obiecać, że jak będę miał wolne pole do pracy, to na wiosnę na dłuższy pobyt tu zjadę".

Skąd ta niechęć, ta bojaźń pewnej części duchowieństwa? Przyczyna była bardzo prosta, a dla każdego, znającego nieco lepiej naturę ludzką, łatwo zrozumiała. Krakowscy księża, jak w tym czasie wszyscy galicyjscy, przyzwyczajeni od młodości odczytywać kazania z własnych, a bywało, że i nie z własnych

[1] Do ks. Sapieżyny. 17 listopada.

skryptów, czasami i z książek; spoglądali z nieufnością i z pewnego rodzaju przerażeniem na kaznodzieję mówiącego zawsze z pamięci, z nieznaną siłą, z głębi serca; ciągnącego do stóp ambony tysiące słuchaczów i porywającego ich za sobą czarem wymowy. Stara, jerozolimska piosnka z czasów Chrystusowych: „Wszyscy za nim idą“, odezwała się naprzód przytłumionem, potem głośniejszem echem w Krakowie; jak zawsze w podobnych wypadkach, nie zabrakło na pozornych racyach, przemawiających za starą, wygodną tradycyą, występujących przeciw „nieroztropnej gorliwości“, a racye te znalazły odgłos, na chwilę przynajmniej, i w gronie kapituły. Niewiele brakowało, a wymowny kaznodzieja — dlatego, że był wymownym — dostałby urzędową, lub półurzędową wskazówkę: „Dla uspokojenia umysłów wyjedź raczej z Krakowa“; ale „znajomi i nieznajomi — jak Antoniewicz paru słowami przebieg tej niemiłej sprawy zanotowuje[1] — z taką miłością zażądali, abym między nimi pozostał, tak oburzyli się na kapitułę, że mi w tej mierze trudności czyni, że dziś administrator kapitularny przed wyjazdem moim widział się ze mną i jak najgrzeczniej zapraszał, abym został: a gdym odmówił, nalegał, abym dał słowo powrotu na wiosnę — ale do wiosny daleko jeszcze“.

Lato spędził nasz Karol w gościnnym, niezapomnianym „cichym domku“ gräfenberskim; zimę przepędzić miał w równie gościnnym, równie cichym krasiczyńskim zamku. Księstwo Leonowie tak serdecznie zapraszali go do siebie; tak wymownie a poczciwie przedstawiali, jak mu u siebie spokojny klasztorek urządzą, w którym bez przeszkody będzie mógł modlić się, pisać, Bogu dusze pozyskiwać i żywem i pisanem słowem; taki nęcący przedstawiali obraz, ile to dobrego w Krasiczynie zrobić trzeba, zrobić będzie można — że biedny, ciężko doświadczony tułacz, przed którym teraz znowu bramy Krakowa zamykano, nie mógł zaproszeniu temu odmówić. On tak bardzo potrzebował otwartych dla siebie, żywo kochających serc; wiedział, że takie serca dla niego w Krasiczynie biją; ciągnął też tam, jak się

[1] Do ks. Sapieżyny. Ze Staniątek 18 listopada.

niejednokrotnie wyrażał: „jak dziecko na wakacye“ — „szczęśliwy, że pracować będę mógł, szczęśliwy, że na coś przydam się jeszcze“.

Po drodze wstąpił na kilkanaście dni do staniąteckiego klasztoru, na parę dni do Nagoszyna. „Tu — powtarza w szeregu listów, wysyłanych ze Staniątek to do Nagoszyna, to do Piekar, to do Krasiczyna[1] — bardzo ciche, spokojne prowadzę życie; jeśli nie w kościele, to w izdebce mojej siedzę i piszę i czytam i modlę się... Chciałem parę nauczek napisać dla Krasiczyna, a stąd przyszła mi myśl napisania: ‚Czytania świąteczne dla ludu‘ na każde uroczyste święto w ciągu roku... Tej myśli chwyciłem się, bo zdaje mi się, że jest zbawienną i pożyteczną. Takich czytań trzeba będzie ze dwadzieścia napisać... Chciałbym choć coś pożytecznego uczynić i zostawić po sobie, a zdaje mi się, że trzeba się spieszyć, bo czuję, że słońce moje już się ma ku zachodowi — oby przynajmniej przy zachodzie mile Bogu zajaśnieć mogło!“...

...„Miałem wielką biedę z dobremi zakonnicami, które mię tu gwałtem na cały Adwent zatrzymać chciały... Tu już taka zima, zawierucha, wiatr, śnieg — wszystko duszę rozstraja. Tyle przynajmniej, że mam swój kącik i w tę rozstrojoną duszę nikt nie wgląda tylko Bóg — a ten Bóg tyle ma miłosierdzia“...

Następny list datowany z Tarnowa[2]:

„Dziś rano kilkusążnisty wóz po zapas masła i innych prowiantów dla klasztoru wyruszył do Tarnowa — a na tym wozie ja z braciszkiem Schmidem, który teraz jest piekarzem klasztornym, przebijaliśmy się przez wszystkie zamiecie, góry śnieżne“...

„Słuchałem spowiedzi w nagoszyńskim kościołku[3]. O! jak dla mnie ten kościołek jest miły i ten lud; zdaje mi się, że i on miłem na mnie patrzy okiem — a to tak błogo! Jak drogie są dla serca te miejsca, gdzieśmy wiernie Bogu służyli, i gdzie Bóg najpotężniejszy chciał w dobroci swojej użyć lichych sił

[1] Do p. Konopczyny; Wojciechów Morawskich, bawiących przez dłuższy czas w Piekarach — i do ks. Leonowej Sapieżyny.

[2] Do ks. Sapieżyny.

[3] Do ks. Sapieżyny. Nagoszyn. Niedziela pierwsza Adwentu.

naszych, abyśmy uczynili cokolwiek dla chwały Jego!... Jak dobry gospodarz i po żniwach zbiera nikłe kłoski, aby marnie nie ginęły — tak i my na tej roli życia, zbierajmy, gdzie możem, choćby najmniejsze zasługi — i z nich nawiąże się snopek... Przez ten czas napisałem jedną naukę dla ludu, jakem postanowił codziennie, kiedy w drodze nie jestem, uczynić"...

„Jest tu ołtarzyk nasz nowicyacki ze statuą Matki Boskiej [1]... Ta statua z drzewa lipowego, własną sławnego Łęczyckiego ręką wyrobiona, była od przeszło dwustu lat jednym z najdroższych skarbów zakonu naszego. Pod jej opieką rozwijał się nasz biedny zakon... Przed tą statuą przez dwa lata modliłem się, codziennie odprawiałem rozmyślanie i nieraz walczyłem i popłakałem gorzką łzą, nie łzą żalu za światem, ale łzą żalu za grzechy, któremi tyle, tyle Boga obrażałem! I jakby tę samą kapliczkę, i tę statuę zastałem tu, i śpię i piszę jakby u stóp jej, i przed nią codziennie, pod szary wieczór z panią Stefanią i ludźmi domowymi odmawiamy koronkę!"...

W parę dni później zdaje relacyę nagoszyńskiej pani z przyjazdu do Krasiczyna [2]:

„Najętemi podwódkami goniłem za tym nieszczęśliwym *Eilwagenem* i tak dojechałem do Krasiczyna... Nie potrzebuję pisać, jak mi tu błogo i dobrze wśród takich osób, jak Księżna i jej mąż; jak kocham ich dzieci. Za nich Bogu z całego serca dziękuję. Ach! kiedy człowiek sam ladaco, to przynajmniej ma pociechę widzieć innych tak dobrych"...

W towarzystwie owych „dobrych", „świętych"; na poczciwej pracy w kościele, przytykającym do zamkowego ogrodu, szybko przeminęły dwa „święte, bolesne zimowe miesiące w drogim, kochanym Krasiczynie". Rozpoczęły się wesoło przy łamaniu wigilijnego opłatka; smutno się zakończyły. Szesnastoletnia córka księstwa Leonów, Zosia Sapieżanka, prawdziwie

[1] Statuetka ta, o której poprzednio już wspomnieliśmy (por. rozdział IV.), przeniesioną została po ogłoszeniu dekretu, rozpędzającego zakon w Austryi, ze Starejwsi do nagoszyńskiego dworu aby uchronić ją od możliwej profanacyi.

[2] Do p. Konopczyny.

„dziecko boże“, aby użyć ulubionego wyrażenia O. Karola, Bogu i ludziom miłe, zapadła na piersiową chorobę, a zapadła tak ciężko, że już po paru tygodniach doktorzy o uzdrowieniu jej zwątpili. „Oprócz Boga — pisał Antoniewicz w szóstym tygodniu choroby[1] — cała nadzieja w wodnej kuracyi w Gräfenbergu. Krótki był odpoczynek Księżnej na tej ciężkiej, krzyżowej drodze, którą Bóg ją prowadzi; — i znów musi się rozłączyć z mężem i synem i opuścić ten Krasiczyn, gdzie tyle, tyle dobrego rozwijać się już zaczęło“.

Istotnie księżna wyjechała z chorem dzieckiem, sama kuracyi potrzebująca, do Gräfenberga; Antoniewicz do Lwowa, skąd niebawem zamyślał puścić się do Stanisławowa. Bóg inaczej pokierował. „Byłem we Lwowie — donosił O. Karol z Krakowa[2] — ale tylko pięć dni. Byłem już na *Eilwagenie* i na rogatce — wywołano mię do jednej chorej. Nie człowiek, ale Bóg mię wywołał, bo mnie chciał posłać nie do Stanisławowa, ale do Krakowa; bo tegoż dnia wieczór nadeszła wiadomość o przejściu Zosi z ziemi do nieba i na drugi dzień z Księciem pojechaliśmy do Krakowa. Bóg mię powołał tu nie na to, abym dał pociechę, ale abym był świadkiem miłosierdzia boskiego nad sercem, które go kocha... Ile Bóg brzemieniem krzyża swego przygniótł serce Księżnej do ziemi, tyle łaską swoją podniósł je do nieba“...

W drugiej połowie Wielkiego Postu nawiązywał znów nasz misyonarz tyle razy, z tak różnych przyczyn przerywaną pracę nad duszami we Lwowie. „Zatrudnienia różne mnożą się codzień[3], że jestem jak wół w ciągłej robocie: po północy idę spać, a rano do konfesyonału wołają. Dzięki Bogu! — ale jak wół bata potrzebuje, tak ja potrzebuję krzyża, i Bóg dobry zawsze go dla mnie znajdzie“.

Krzyżem tym były obecnie trudności, stawiane w apostolskiej pracy; potwarze, oszczerstwa, któremi mu tę pracę nagradzano. „Tu we Lwowie — zdaje sam sprawę i z pierwszych

[1] Do p. Konopczyny. Krasiczyn w lutym 1850 r.
[2] Do p. Konopczyny. Kraków 27 lutego.
[3] Do ks. Sapieżyny. W marcu.

i z drugich [1] — wybierają się z prośbą do ks. Arcybiskupa (Baranieckiego), abym miał majowe nabożeństwo w kościele Karmelitów, ale nie wiem czy się uda. Ja się nie wymawiam ani się bynajmniej nie przyczyniam do tego. Moje położenie jest tu z rozmaitych przyczyn ciężkie i przykre. Niech i to będzie na chwałę Bożą. Jak to dobrze, tam i tak cierpieć, że Bóg jeden o tem wie. Nie wiem jak dalej ze mną będzie i nie troszczę się tem. Mam nadzieję w miłosierdziu boskiem, że mnie nigdy nie opuści, bom Go zawsze pragnął kochać"...

„Ja teraz bardzo samotnie żyję. Krzyczeli na mnie, że to z mojej przyczyny zamknięto księgarnię Łukaszewicza w Krakowie [2], że paraliżuję rozwinięcie się narodowej literatury, bom chodził do Gołuchowskiego, przestrzegając go, żeby zabronił pisma Leszka Borkowskiego [3] — a ja nigdy jeszcze nie byłem krokiem u Gołuchowskiego; od czasu mego powrotu słówkam z nim nie mówił. Gdy mnie w jednej kompanii zapytano, czy to prawda? rzekłem, że nie mam do tego, aby wstrzymać rozszerzanie tych pism, żadnej ani władzy, ani mocy; ale żebym miał, tobym to pewnie uczynił. W Pradze wydrukowano cały romans o jednym Jezuicie w Gräfenbergu, który w 1848 r. struł ostatniego potomka domu Lubomirskich i wydarł mu czteromilionowy majątek [4] i t. d. i t. d. Jak mi to wszystko dziś obojętnem się stało, sąd i gadanie ludzkie! ale pomimowolnie napełnić nas musi wstręt, wzniecony kłamstwem i złą wiarą. Ale to jest tylko odraza od świata, ale, uchowaj Boże od ludzi! Jeśli przyjdzie do majowego nabożeństwa, to takie rzeczy nie odrażają, ale dodają odwagi i miłości".

[1] Do ks. Sapieżyny. W kwietniu.

[2] Księgarnia ta zamkniętą została po rewizyi, w czasie której znaleziono w niej zakazane pisma, przesłane przez wersalską centralizacyę.

[3] Głośny autor, który niestety zmarnował niezaprzeczenie wielkie zdolności przesadą posuwającą się do potwarzy. Nieumiarkowaną krytyką społeczeństwa, zwłaszcza w bardzo w swym czasie czytanej i szeroko omawianej książce „Parafiańszczyzna", wszystkich oburzył, nikogo nie nauczył i nie poprawił.

[4] Dokładnego tytułu tego pamfletu, wymierzonego wprost przeciw Antoniewiczowi, a tem bardziej samegoż pamfletu odszukać nie mogliśmy.

Zewsząd zapewniano, że „do majowego nabożeństwa przyjdzie“, przyjść musi; sam Antoniewicz, mimo poważnych w pierwszej chwili wątpliwości, zapewnieniom uwierzył, i odłożywszy na bok spory stos ćwiartek, na których nakreślił *con gran amore* szereg rzewnych, pouczających „Obrazków z życia ludu wiejskiego“, zabrał się do przygotowywania majowych nauczek, w których „jasno, bez ogródek“ wyłożyć pragnął wszystkie prawdy wiary [1]. Arcybiskup nie widział również żadnych w tym względzie trudności; dla większego jednak bezpieczeństwa przedłożył na sesyi konsystorskiej pytanie, czy poruczenie majowych kazań Jezuicie, a w dodatku tak wybitnemu patryocie, nie będzie może rządowi mniej przyjemne i jakich przykrości nie ściągnie?

„Na sesyi tej — opowiada O. Karol w liście tego samego jeszcze dnia pisanym [2] — po wielu debatach i naradach... uradzono, iż niebezpiecznie pozwolić mi mówić — i odmówiono... Stąd wiele krzyku w mieście; a mnie to tak przykro, chociaż ja się do tego nic a nic nie mieszał; i nie pytając się mnie — w pewnej nadziei że nie odmówię — urgowano o to. Niech i tak będzie. Ja co do mojej osoby tego nie żałuję, bo dzięki Bogu, nie tym, to innym sposobem mogę coś pracować na boską i Maryi chwałę; ale żebym był pierwej wiedział, tobym się był może do Krakowa zebrał na maj. Alem nie chciał opuścić tego Lwowa, do którego tyle wiąże mnie pamiątek, co na mnie rodzaj obowiązku wkładają dania mu w lichych pracach moich pierwszeństwa. Tu grób poczciwej Zosi i matki i siostry i dziecka! Tu pierwsza łaska boska przemówiła do serca mego. Tum grzeszył, tum za pomocą boską zaczął pokutę życia, wyrzeczeniem się świata. Ale kiedy mi nie dadzą pracować, trzeba otrząść nogi z prochu i powędrować dalej i może bardzo dalej. Żal mi jednak bardzo konfesyonału, który tu jest bardzo ważny... Jak to boli porzucać ludzi, którzy są na pół drogi już do dobrego, ale potrzebują jeszcze pomocnej ręki! Znajdą wielu lepszych do tej pomocy, ale cóż kiedy Pan Bóg czasem chce przez najnędzniejsze stworzenie

[1] Nauczki te zaginęły. Antoniewicz pożyczył je komuś z przyjaciół; ale komu, sam sobie później przypomnieć nie mógł.

[2] Do ks. Sapieżyny. W kwietniu.

pokazać miłosierdzie swoje. To są dziwne rządy Opatrzności boskiej, że Pan Bóg nieraz lepszego przez gorszego prowadzi, a to dla nauczenia jednego i drugiego pokory... W maju mam ślub dać[1]. Nie chcę też sposobności opuścić, aby (bo kto wie czy i kiedy do Lwowa powrócę?) jeszcze raz słowo boże do miasta tego wyrzec, o świętej wierze naszej, słowo potężne prawdą i gorącą miłością. Potem wyjadę do Stanisławowa, bo już muszę tam być, a to oprócz tego, żebym zanadto zmartwił poczciwą Alinę, gdybym ją i teraz ominął — mam także i interes, to jest całe moje utrzymanie. Chociaż mało potrzebuję, jednak w podróży bez grosza obejść się nie można, i mam biednych moich, dla których muszę myśleć i starać się...

„Wczoraj przedstawiano nowy dramat: ‚Wielka inkwizycya'. Usadzono się hańbić i znieważać ze sceny Kościół Chrystusowy... O szkaradny świat! Naturalnie, że się nie obeszło i bez nas na scenie! Jak to miło kochać ludzi, kiedy się w nagrodę za serce swoje i dobre chęci, tylko zapoznanie i zniewagi odbiera. To tak zdrowo dla duszy, chociaż czasem tego zdrowia aż zanadto"!...

„Potężne prawdą, gorące miłością słowo boże", o którem w liście swym wspomina, rzucił Antoniewicz Lwowianom w ormiańskim kościele w dzień Wniebowstąpienia Pańskiego; wytłumaczył, czem jest Kościół, jakie jego powołanie i urząd; powstał z siłą przeciw tym, którzy Boga, którzy Kościół „przykroićby chcieli do potrzeb postępowych naszego wieku", którzy okuwają go w kajdany i nie dozwalają rozwinąć zbawczej jego działalności. Słuchacze wyszli z kościoła głęboko poruszeni, a jeden z nich pospieszył wysłać co prędzej do krakowskiego *Czasu* obszerne streszczenie tej przemowy, która „również swą treścią, jak sposobem wysłowienia się, nie była podobna do tych, które słyszeć nawykliśmy"[2]. I policyjni agenci, wysyłani regularnie na kazania głośnego mówcy, zrobili tę samą uwagę. Przerażeni zuchwalstwem kaznodziei odstępującego od ubitych szlaków, nie zrozumiawszy, przekręciwszy kilka jego wyrażeń o wolności.

[1] Ciotecznej siostrze, Zofii Jędrzejowiczównie, wychodzącej za Juliusza Czermińskiego.

[2] *Czas* z 20 maja. „Dodatek literacki".

więzieniu, kajdanach, wystąpili z formalnem oskarżeniem przeciw zbyt wymownemu i wpływowemu księdzu. Gołuchowski zanadto był rozumny, aby oskarżenia te i donosy brać zbyt na seryo; pragnął wszakże zapobiedz możliwym, dalszym nieprzyjemnościom, uspokoić opinię wzburzoną fałszywemi pogłoskami, płynącemi z dwóch wręcz przeciwnych sobie źródeł, ultra-lojalnego i ultra-radykalnego, i dlatego poradził poufnie prowincyałowi Baworowskiemu, aby kazał Antoniewiczowi na pewien, choć krótki czas ze Lwowa wyjechać.

Rada ta w niczem nie psuła poprzednio już ułożonych planów; i bez niej miał Antoniewicz wybrać się na kilka dni do Rawy Ruskiej, gdzie zapraszano go na czterdziestogodzinne nabożeństwo, a potem odwiedzić siostrę w Stanisławowie. Ubogi reformacki klasztorek, w którym w Rawie zamieszkał, odżywił z nową siłą klasztorne, ukochane wspomnienia.

„Miesiąc cały — opisuje tę misyonarsko-wakacyjną wędrówkę [1] — przepróżnowałem, ale przepróżnowałem *in charitate Christi* [2], a takie próżnowanie, ja nie wiem, ale być może, że lepsze od niejednej pracy... Żebyś jednak nie myślał, żem zupełnie próżnował, donoszę ci, żem jeździł do Truskawca, skąd w burzę i deszcz pojechałem do Sambora i Spasa, gdzie Księżna z dziećmi używa żętycowej kuracyi... Stąd odwiedziłem ów sławny bazyliański klasztor w Ławrowie, erygowany w dwunastym jeszcze wieku przez Lwa, księcia ruskiego. Dziś jest tu pięciu tylko księży i rodzaj konwiktu i szkółek dla biednych dziatek tych gór. Żeby tak w pewnych przestrzeniach, przez całe to pasmo gór karpackich były takie klasztory, toby był jedyny sposób ucywilizowania ludu wedle Boga... Odwiedziłem też siostrę Zosi mojej. Trzy dni spędziłem z nią w poufnej i serdecznej rozmowie i modlitwie. Co rano jeździliśmy do poblizkich kościołów: w Sąsiadowicach, gdzie jest cudowny obraz św. Anny, wyorany w tem miejscu, gdzie dziś stoi klasztor i kościół OO. Karmelitów, tak tu przykładnych i tak szanowanych powszechnie;

[1] Do W. Morawskiego (?). Ze Lwowa, 7 lipca.
[2] W miłości Chrystusowej.

w Fulsztynie odwieczny kościół z bardzo zajmującemi pomnikami rodziny Herburtów. Trzeciego dnia byłem w Drohobyczu, gdzie jest starożytny i pamiątkowy kościół z kaplicą, w której spoczywają kości wymordowanej w niej przez Tatarów szlachty polskiej; w tym to kościele jest także bardzo zajmujący pomnik ks. Laterny, misyonarza i męczennika *Societatis Jesu*...

„Przed pięcioma dniami wróciłem do Lwowa. Z nowin literackich i kościelnych nie mogłem się nic jeszcze dowiedzieć, bo cały dzień zajęty jestem to w domu, to w konfesyonale. Drugi tom *Dzwonka* wyjdzie temi dniami, i drugi zeszyt moich ‚Obrazków dla ludu', które, mówiąc w nawiasie, czytane tu są bardzo skwapliwie. Moja dość spora książka ‚O świętach Matki Boskiej' jest już w cenzurze. Teraz zacznę drugi tom ‚Czytań świątecznych' i ‚Obrazków' ciąg dalszy"...

Nie próżnował więc, jak widzimy, nasz Karol i w tych latach tułaczki, która nim bez przerwy z miejsca na miejsce rzucała. Gdyby nawet na ambonie, w konfesyonale, w poufnych prywatnych rozmowach, w setkach na wszystkie strony Polski rozsyłanych listów, tyle dobrego nie działał, to spisywane i wydawane w tym czasie książki i książeczki, mogłyby, zdawałoby się, zająć dostatecznie czas człowieka płonącego mniej gorącem pragnieniem pracowania na większą chwałę bożą. Antoniewiczowi to nie wystarczało, nie było dostatecznem do dania sobie uspokajającej odpowiedzi na wciąż wracające pytanie: Czy dość, czy dobrze, czy w należytym kierunku pracuję? Wyrzucony siłą wypadków z regularnego klasztornego życia; pozbawiony steru codziennego posłuszeństwa, tak cennego dla każdego, tem cenniejszego dla z natury mniej zdecydowanego, do marzeń, do poezyi skłonnego charakteru; biedny „rozbitek", jak tylokrotnie sam się o sobie wyrażał — jeśli czego z całego serca pragnął, o co do Boga się modlił i do przełożonych swych kołatał, to aby jakieś przez posłuszeństwo nałożone stałe zajęcie położyło raz wreszcie kres zbyt długo trwającemu kołowaniu między Gräfenbergiem, Lwowem, Krakowem, krasiczyńskim zamkiem, dworami i dworkami licznych przyjaciół i krewnych. Mogło to tułacze życie mieć pewien powab; mogło być dobrze i bardzo dobrze

w gościnnych domach, w których dzielono się z nim codziennym chlebem nie jak z gościem, ale jak z bratem i ojcem; można w nich było, za chleb codzienny, chlebem duchownym się odpłacając, wiele i wiele dobrego zdziałać; ale bądź co bądź Antoniewicz zbyt był wykształconym duchowo ascetą, zbyt dobrym zakonnikiem, aby nie czuć i nie wiedzieć, że taki tryb życia, siłą zewnętrznych okoliczności nałożony, nie może zupełnie odpowiadać zakonnemu powołaniu, nie zgadza się, zwłaszcza gdy zbyt długo przeciągnięty, z klasztornemi ideałami. Z tego przeświadczenia wypłynęła zeszłego roku myśl o „przeprawieniu łódki swej przez morze“; to samo przeświadczenie, to samo „znużenie ludźmi“ a „dotkliwy brak zakonnej celki“, podsunęły mu obecnie ponownie myśl opuszczenia na pewien czas kraju i przeniesienia się do jednego z klasztorów francuskich, w których wielu z jego młodszych polskich współbraci znalazło już serdeczną gościnność. Pobudki, które go do tego kroku nagliły, korzyści, jakich z niego się spodziewał, wyłożył w obszernym liście do prowincyała, ułożonym „po namyśle w Bogu“ w znanym nam dobrze zacisznym Nagoszynie:

„W rozproszeniu naszem, tak nad wszelki wyraz bolesnem, chciałem zaraz pożegnać kraj nasz i w dalekie przenieść się strony, bo tak ciężko, tak ciężko było żyć wśród świata, widzieć się na nowo wrzuconym w świat ten, w którym tyle przeżyłem i przecierpiałem. Ale Przew. Ojciec nie raczył przyjąć prośby mojej i w posłuszeństwie nie śmiałem nalegać na wypełnienie onej; a gdy inni z braci, za granicę wysłani, przenieśli się w mury zakonne, aby pod posłuszeństwem i opieką starszych swoich pracować nad zbawieniem własnem i innych — mała garstka Naszych Ojców pozostała w tym kraju, pracując wedle sił i możności. I ja między tymi zostałem i słabych sił moich użyłem, aby choć odrobinę dobrego uczynić, a Bóg miłosierny nie raz jeden pobłogosławił lichym pracom moim.

„Dwa lata odtąd minęło, a w sercu coraz puściej i tęskniej, i w przeciągu tych dwóch lat parę razy odnawiałem prośbę moją, ale nigdy od Ojca Prowincyała przyjętą nie była. Dzisiaj ją ponawiam, ale już w tej pewności, że wysłuchaną będzie, bo

i od ks. Jenerała zostawiona Naszym wolność wyjechania. Dlaczego o to proszę? Dlatego, że kocham zakon nasz, że kocham nad życie powołanie moje. Tęskno, smutno żyć tak jak żyję, bez ciągu i ładu w pracach moich, i w tym tak rozerwanym prac ciągu napotykam na przeszkody, które nie paraliżując chęci, paraliżują czyn, i widzę, że coraz bardziej ścieśnia się sfera działania mego.

„Niech Przew. Ojciec nie sądzi, że to jest pycha z mojej strony. Przeciwnie — ja tutaj tak mało, tak nic nie robię; mniej robię jak każdy inny z nas; a jednak tak łaskawie jestem przyjęty, daleko, daleko lepiej, niżlibym przy największej pracy mógł na to zasłużyć. Za granicą zaś wśród największej pracy będę zawsze obcy, nieznany żyć i umierać. Wstyd mi tyle dobroci i względów doznawać, a czuć się tego zupełnie niegodnym. Żebym wiedział, że mogę coś dobrego dla kraju uczynić, tobym chętnie pozostał. Ale ci, co tak mówią, są zwykle ludzie tak umocnieni w łasce Boga, że im się zdaje, że jestem dla nich potrzebny, bo to, co sam Bóg dla nich czyni, oni w pokorze serca sądzą, że to ja. Nie wiem, czy się kto ode mnie czego dobrego nauczył. Czuję się moralnie bardzo zmęczonym tem życiem tak wygodnem, jakie prowadzę, żadnej biedy i niedostatku nie doznając; czuję biedę i niedostatek duszy mojej.

„Tęskno mi za ubóstwem, tęskno za posłuszeństwem, tęskno za dzwonkiem klasztornym. Chcę dla świata pracować, ale wśród świata żyć nie mogę; kogo Bóg do życia światowego powołał, ten wśród świata żyć musi; mnie Bóg w miłosierdziu swojem powołał do życia zakonnego i tylko w klasztorze mogę wypełnić to powołanie...

„Mam jakieś wewnętrzne przekonanie, że nie będąc w kraju, dla kraju w interesie zbawienia będę mógł wiele uczynić. Mając więcej czasu i zasobów i pomocy, będę pisał szczerze i nie leniwo dla ludu naszego, korzystając ze wszystkiego co jest we Francyi dobre.

„Tu jeszcze kilka dni zabawię, a stąd jadę do Krakowa przez Staniątki“...

Na liście tym położył Antoniewicz datę 18 lipca. Nie prze-

czuwał, że w tym samym właśnie dniu zaświeciła nad Krakowem olbrzymia łuna pożaru, który zamieniając dawną stolicę Polski w jedną wielką ruinę, wskazać miał żądnemu pracy kapłanowi, gdzie ma pracować i poświęcać się, gdzie i kogo podnosić na duchu, krzepić, komu łzy ocierać. Wobec nowych obowiązków, sprowadzonych narodowem tem nieszczęściem; wobec wielkiego pola misyjnego, otwierającego się zwolna na Szląsku, w Poznańskiem, projekt wyjechania do Francyi niejako sam z siebie upaść musiał. Do tem pewniejszego pogrzebania go przyczyniły się jeszcze gorące listy biskupa Skórkowskiego do jenerała zakonu, w których zaklinał go, aby nie dozwalał z takiem błogosławieństwem bożem pracującemu żeńcowi opuszczać ojczystego zagonu.

Antoniewicz, jak zapowiadał w liście do prowincyała, wyjechał do Krakowa. Nie domyślał się, żegnając się z Nagoszynem, że pobyt jego pod Wawelem przeciągnie się nie na dnie, ale na miesiące; nie przewidywał, nie wyobrażał sobie, jaki to Kraków ujrzy, i jaką rolę Bóg mu w nim wyznacza.

Ks. Jan Badeni.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Rzecz o roku 1863. Przez *Stanisława Koźmiana*. Kraków 1894. Tom I. (Str. 254).

„Mam opowiedzieć i zastanowić się nad klęską wszystkich, błędami wszystkich sprowadzoną“ — pisze autor „Rzeczy o roku 1863“ w przedmowie. Nie historya to, bo rok 1863 będzie miał historyków, „lecz historyi swej mieć nie będzie“; nie pamiętnik to nawet „wypadków oraz smutnego wspomnienia o własnym w nich udziale“, ale „wyznania“, coś nakształt *Confessiones S. Augustini*. Ale celem tych „wyznań“ — wytłumaczenie postępowania partyi konserwatywnej w Galicyi, zwanej zrazu „gronem krakowskiem“, a potem „partyą Stańczyków“ nazwanej, która zrazu opierała się powstaniu 1863 r., potem doń przystąpiła sama i czynny wzięła udział, i wkońcu znów się zwróciła przeciw niemu, potępiła je i potępia po dziś dzień jako wielkie nieszczęście narodowe, źródło niewypowiedzianie twardej doli naszej, pod rządem zwłaszcza Rosyi.

Istotnie, postępowanie tak na oko zmienne może nieznającym wszystkich czynników, które poruszały się pod temi wypadkami, wydawać się chwiejnością i bezradnością nie do darowania. Dobrze więc zrobił autor, który osobiście w sprawie żywy brał udział, że zdjął z niej zasłonę (jeżeli wogóle zasłona była) i opowiedział wszystko co się działo i dlaczego się działo, przyznając się w niejednej rzeczy do winy ze swą partyą — przez co na tem większą zasłużył sobie wiarę, oraz ułatwił to partyi przeciwnej, aby i ona swoje *mea culpa* zrobiła.

Wiadomo, że twórcą powstania 1863 roku była partya ruchu w Warszawie, że była „spiskiem“, który siecią swych „ław“ a później „komitetów“ zarzucił Królestwo, Litwę i Galicyę. Wiadomo, że powstanie, wbrew woli organizatorów, wybuchło przedwcześnie, kiedy właściwie nic jeszcze nie było uorganizowanego gruntownie, nie było ani broni, ani wojska, ani komendy, ani intendentury, ani pieniędzy, ani uznanego przez cały naród rządu. Szaleństwem więc, i nic więcej jak szaleństwem był ten ruch wrzekomo zbrojny, a w gruncie bezbronny przeciw potędze caratu. „Grono krakowskie“ i koło konserwatystów galicyjskich przez organ swój *Czas* śledziło roboty spisku i ruchu warszawskiego. *Czas* w latach 1860—63 sprzyjał niestety tym robotom; najdzielniejszy jego redaktor, Mann, usunął się od redakcyi; miejsce jego *de facto* zajął nasz autor już w chwili wybuchu powstania. Powstanie zaskoczyło ich wszystkich nieprzygotowanych. Co robić? Wrzało wtenczas na Zachodzie od ruchów rewolucyjnych, warszawscy spiskowcy wyedukowali się tam niemal wszyscy. Napoleon III., wywiesiwszy sztandar „narodowości“, dzierżył jeszcze hegemonię polityczną w Europie; w samej wreszcie Rosyi, dzięki reformom „liberalnego“ Aleksandra II., nurtowały prądy rewolucyjne nawet w szeregach czynownictwa i armii. Na te więc okoliczności liczyli spiskowcy warszawscy, „czerwieńcami“ zwani; wmawiali w siebie, wmawiali w drugich, że skoro powstanie wybuchnie, zachodnia i rosyjska rewolucya przyjdzie mu w pomoc; liczyli też coś i na interwencyę dyplomatyczną Europy. Galicyjscy konserwatyści, a z nimi nasz autor, rozumieli to dobrze, że powstanie bez pomocy Napoleona III. upaść musi. On tymczasem był całkiem obcy ruchowi polskiemu, bo ten psuł mu jego politykę na Wschodzie, „sprawiał mu ambaras“. Dlatego „grono krakowskie“ przeciwne było powstaniu w samych jego początkach, idąc za radą ojca autora, bawiącego podówczas w Paryżu, i księcia Czartoryskiego (hotel Lambert), usiłowali je stłumić, a przynajmniej nie dopuścić, aby Galicya czynnie się doń wmieszała. Aliści w Paryżu zawiał wiatr inny. Nowe instrukcye z hotelu Lambert wzywały do przetrzymywania powstania jak można najdłużej, gdyż Napoleon III., dowiedziawszy się o sekretnej konwencyi Prus z Rosyą 8 lutego, postanowił rozwinąć wraz z Austryą i Anglią potężną akcyę dyplomatyczną na korzyść Polski. Prasa dziennikarska Zachodu na całej linii przemówiła za sprawą naszą. Wtenczas „grono krakowskie“ i konserwatyści galicyjscy, z nader małemi wyjątkami, przystąpili licznie do powstania. *Czas* ze swojem „biurem krakowskiem“ (Koźmian, St. Tarnowski, Ludwik

Wodzicki) oświadczył się stanowczo za powstaniem, i jak długo tlała najsłabsza iskierka nadziei interwencyi Napoleona III., nawoływał nawet i kłamanemi telegramami „z pola bitwy“ do jego przetrzymywania. „Popełniło ono (Grono krakowskie) błąd w błędzie, tj. w tym błędzie, jakim było powstanie. Jego pomyłka była następstwem ówczesnych wyobrażeń, że Europa Polskę odbuduje, bo jest to jej pierwszorzędnym interesem, a, jak mniemali dobroduszniejsi od innych, obowiązkiem“ (str. 69). Tymczasem car Aleksander II., uprzedzając wszelką akcyę dyplomatyczną, ogłosił amnestyę pod warunkiem złożenia broni przed dniem 1/13 maja. „Grono krakowskie“, otrzymawszy z Paryża depeszę: „noty mocarstw (Francyi, Anglii i Austryi) odeszły do Petersburga“, zadecydowało nie przyjmować amnestyi; za niem poszło konserwatywne stronnictwo; partya ruchu słyszeć o amnestyi nie chciała. Na owe noty kanclerz, książę Gorczakow, odpowiedział uprzejmie ale wymijająco, na drugie noty, wysłane w czerwcu, odpowiedział zuchwale (notą 13 lipca): sprawa polska nie jest europejską, ale wewnętrzną sprawą Rosyi, do której nikt nie ma prawa się mieszać — i niebawem we wrześniu zerwał dalszą akcyę, przyjmując na Rosyę „odpowiedzialność za następstwa przedłużenia niepokojów w Polsce“. Poza notami mocarstw nie stały armie, „interwencya dyplomatyczna pozostawszy bezskuteczną wyzuła Rosyę z wszelkich obaw, względów i wstydu wobec zagranicy w swem względem Polaków postępowaniu, nadając mu znamiona patryotyzmu, odwagi i godności narodowej“ (str. 130). Należało przynajmniej wtenczas zatrąbić do odwrotu. Ale Napoleon III. i hotel Lambert nie dali do tego rozkazu; pierwszy zwlekał, łudził obietnicami, bo czuł w tem własną porażkę, drugi upewniał, że Napoleon o Polsce myśli i przecie coś wymyśli. „Szliśmy zatem drogą, na którą zostaliśmy wepchnięci z tem przykrem uczuciem, iż rozszerzamy klęski każdego dnia, podczas gdy dzień żaden nie przynosił spodziewanej pomocy i zbawienia. Spisek 1860—63 i powstanie 1863 r. były potwornemi bliźniętami, które urodziła społeczność polska. Poród tych bliźniąt naraził życie matki. Dobijaliśmy ją wszyscy, chcąc ją ratować“ (str. 132).

Uporne milczenie Napoleona III. w sprawie Polski niecierpliwiło, niepokoiło nad wszelki wyraz. W gorączce oczekiwania skombinowano snać w „gronie krakowskiem“ plan ogłoszenia powstania za stronę wojującą, odsądzenia Rosyi od praw do Polski, zajęcia wojskowo Królestwa Polskiego przez Austryę. Naturalnie, że „mocarstwa“ nic z tego uczynić nie chciały i nie mogły, zdecydowane z góry nie wydobywać

oręża dla sprawy Polski, a tylko wojną powyższa rachuba dawała się urzeczywistnić. Wreszcie w listopadzie wystąpił Napoleon III. z projektem zwołania kongresu mocarstw do Paryża. Mocarstwa, z wyjątkiem Prus, odmówiły; Austrya, idąc na rękę Rosyi, ogłosiła w Galicyi stan oblężenia 4 lutego 1864 roku. Rosya tępiła powstanie i brutalną ręką „przywracała porządek w stolicy i kraju". Napoleon 18 kwietnia 1864 r. oświadczył księciu Czartoryskiemu, „że wszystko w sprawie polskiej skończone i wyraźnie a stanowczo zalecił zaniechanie powstania" (str. 243). Wtenczas dopiero „oświadczyliśmy, że do dalszego przedłużania powstania ręki nie przyłożymy" — pisze p. Koźmian. „Zaniechanie nieszczęsnego działania, nie zmniejszyło dla nas okropności położenia. Usposobienie nasze ówczesne, tylko wyrazem ‚rozpacz' da się określić... Ale nasz, tj. mój i moich przyjaciół udział w winie ogólnej znajduje jeżeli nie usprawiedliwienie, to wytłumaczenie w zbiegu okoliczności, w naszych stosunkach ówczesnych i w winach i błędach innych... Postępowanie nasze nie było bezmyślne, ani, że się tak wyrażę, nasza pomyłka bezpodstawną, bo następstwem tylko pomyłki innych, o których sądzić mogliśmy, iż pomylić się nie powinni... Bezrozumu nie popełniliśmy; przypuszczając, że z niego da się coś rozumnego wydobyć, dopuściliśmy się błędu i znacznie przyczyniliśmy się do szkody ogólnej; dlatego twierdzę: skutek stał się nietylko wyrokiem, ale i nauką. Niech pierwszy zostanie nieodwołalnym, byle druga straconą nie została... Osobistych widoków w naszem zachowaniu się nie było" (str. 248). Sam autor wyznaje o sobie, że do udziału w powstaniu gnała go także: „obawa pozostania poza działaniem narodowem, sposobność odznaczenia się w służbie ojczystej, brak odwagi śmiało i stanowczo zajrzeć prawdzie w oczy, odłączać się od przyjaciół, rozstać się nawet z ułudami" (str. 240).

Książka zawiera jeszcze wiele szczegółów o organizacyi powstania w Galicyi, o Rządzie Narodowym i o walce „Grona krakowskiego" z szaleństwami tego ciekawego rządu, który był „spiskiem", a rządził „jawnem" powstaniem. Ale co najważniejsze i najcenniejsze w tej książce, to jest, jak mówiliśmy na początku, to szczere wyspowiadanie się przed publicznością.

Sądzimy, że ta książka powinna się przyczynić do zakończenia fatalnych niesnasek, które dzielą opinię naszego kraju odnośnie do tego roku 1863. Wszyscy, czy należymy do jakiej partyi, czy do żadnej, cześć oddajemy najczystszym zamiarom i poświęceniom wielu ludzi z różnych stanów i stronnictw, którzy bez targu krew i mienie za oj-

czyznę łożyli; ale wszyscy dziś, po skutkach przynajmniej, widzimy, że się w rzeczy ciężko pomylili. Zachowajmy tę cześć dla zacnych ludzi, ale nie pielęgnujmy ołtarzyka i nie palmy kadzidła dla błędu.

Ks. St. Załęski.

Seminarium Praeceptorum w Halli nad Saalą. *Dr. Franciszek Majchrowicz.* Lwów 1894.

Jednym z najciekawszych zakładów naukowych w Europie jest zakład im. Aug. Herm. Franckego w Halli nad Saalą (Francke'sche Stiftungen). Zakład ten powstał około roku 1694. W XVIII. wieku słynny znawca Homera, Fryderyk August Wolf, nadał sławę temu zakładowi. Od śmierci Wolfa do 1890 roku smutne koleje przechodziło seminaryum Franckego. Dopiero w roku 1890 minister pruski, Gossler, „stwarzając instytucyę seminaryów gimnazyalnych, obrał dla nich za wzór *Seminarium Praeceptorum* w Hali", reformując je równocześnie.

Członkiem tego seminaryum może zostać tylko ukwalifikowany kandydat stanu nauczycielskiego, lub ten, kto stopień doktora filozofii posiada. Kurs trwa dwa lata i obejmuje część *a)* teoretyczną i *b)* praktyczną. „Dyrektor seminaryum wykłada raz w tygodniu dydaktykę ogólną i szczegółową metodykę tych przedmiotów, w których jest fachowym". Członkowie seminaryum przedstawiają zaś podczas posiedzeń tygodniowych piśmienne referaty, poświęcane rozwiązywaniu żywotnych kwestyj z zakresu pedagogii, metodyki i dydaktyki. Odpowiednio uposażona biblioteka daje możność należytego opracowania teoretycznie stawianych tez, a przestudyowanie Zillera: *Grundlegung zur Lehre vom erziehenden Unterricht,* jest świętym obowiązkiem każdego członka halleńskiego seminaryum. „W czasie posiedzeń urzędowych, odbywanych przez dwie godziny tygodniowo, omawiają kandydaci pod kierunkiem dyrektora wszystkie swe spostrzeżenia, uczynione podczas hospitacyi lekcyj starszych profesorów i dyrektorów (t. zw. *Musterlection)* i lekcyj próbnych swych kolegów *(Probelectionen).* Główny referat obejmuje jeden z seminarzystów i drugi korreferat", dyskusya bywa zawsze niemal ożywiona i przynosząca rezultaty, ostatni zabiera głos dyrektor lub profesor fachowy.

Nader ciekawem jest spostrzeżenie prof. Majchrowicza, o którem pisze na 9-tej stronicy swej pracy: „Dyrektorowie wszystkich niemal seminaryów nauczycielskich (gimnazyalnych), które miałem sposobność poznać ... prowadzą swych kandydatów przedewszystkiem,

a kandydatów początkujących prawie wyłącznie, na lekcye wzorowych pedagogów, uczących w szkołach ludowych". Autor przekonał się „niejednokrotnie, że lekcye nauczycieli szkół ludowych, pod względem wyboru przedmiotu, jego opracowania metodycznego, zastosowania wszelkich wymagań racyonalnej dydaktyki, prześcigały lekcye znakomitych zresztą pedagogów w gimnazyach".

Spostrzeżenie to wywołało też nader bystre u autora refleksye i podyktowało mu ustęp tak trafny, że chociaż zbyt on długi, ośmielę się go jednak mimo to w całości przytoczyć: „Nauczycielstwo szkół wyższych, tracąc związek ścisły ze szkołami ludowemi, nie dbając o łączność z niemi pod względem metody nauczania, nietylko pozbawia się samochcąc należnego mu z natury rzeczy przodownictwa w sprawach pedagogicznych i dydaktycznych, ale, co nierównie ważniejsza, traci czynnik bardzo ważny, mogący uprościć i ułatwić naukę w gimnazyach. Nauka zwłaszcza t. zw. realnych przedmiotów, jak geografii, rachunków, języków nowożytnych w klasach niższych gimnazyalnych, powinna i może z bardzo dobrym skutkiem być podawaną podług metody używanej w szkole ludowej. Wobec faktu, że nasze szkoły ludowe, dzięki nieustannej a troskliwej opiece, jaką je sejm nasz i władze szkolne otaczają, dzięki zapobiegliwości towarzystwa pedagogicznego około ich podniesienia, nie mają powodu lękać się porównania ze szkołami ludowemi zagranicy, byłoby rzeczą bardzo wskazaną, by kandydaci nasi, dla szkół wyższych, obowiązani byli z urzędu do słuchania lekcyj wzorowych pedagogów w szkole ludowej przez kilka tygodni, zanim rozpoczną swą pracę w gimnazyum lub w szkole realnej".

Jakie korzyści wprowadzenie w życie tego projektu przyniesćby mogło, potrafi ocenić każdy, kto, jak podpisany, znalazłszy się na stanowisku nauczyciela, przez wiele prób przejść musiał, zanim sobie zdołał stworzyć sposób postępowania z młodzieżą, gdyż z uniwersytetu, jak wszyscy niemal tak i piszący te słowa, żadnego przygotowania do zawodu nauczycielskiego nie wyniósł. A lepszym byłby nawet szablon, do któregoby się nagięli kandydaci na nauczycieli gimnazyalnych, niż szukanie nowych dróg, i błędne koła, zataczane przez młodych adeptów pedagogii, ze szkodą ich uczniów. Wspomniałem o szablonie, bo przeciwnicy niemieckich seminaryów zazwyczaj — jak pisze dr. M. — „twierdzą, że wytwarzają one rutynę i szablon bezduszny". Panowie ci zapominają o tem, że członkami tych seminaryów bywają tylko „ludzie ze studyami ukończonemi, z zupełną kwalifikacyą *pro facultate docendi*, że wielu z nich ma już stopnie akademickie, że są to ludzie z wyro-

bionym na sprawy poglądem, których nie tak łatwo nagiąć do rutyny i szablonu"...

Kończąc swą cenną pracę, przypomina dr. M., że podobne do dzisiejszego halleńskiego *Seminarium Praeceptorum* instytucye „istniały u nas w Polsce, za czasów Komisyi edukacyjnej w Krakowie do r. 1794, w Wilnie do r. 1831, tudzież za margrabi Wielopolskiego przy szkole głównej w Warszawie do r. 1862". Dzisiaj niestety w Krakowie mamy dopiero początek podobnej instytucyi; we Lwowie zaś mimo to, iż prof. dr. Skórski od lat kilku zajmującemi swemi wykładami zwabia liczne do swej sali audytoryum słuchaczy i kandydatów stanu nauczycielskiego, którzy z prawdziwem zajęciem i natężoną uwagą przysłuchują się wykładom tegoż profesora, nie słychać wcale, by miano założyć podobne seminaryum, przynajmniej w niedalekim czasie

L. M. Dziama.

Emancypantki. Powieść w 4-ch tomach. *Bolesław Prus (Aleksander Głowacki).* Warszawa 1894. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Myliłby się bardzo, ktoby z tytułu powieści chciał wnosić, że „Emancypantki" przedstawią na tle stosunków warszawskich genezę i losy emancypacyi kobiet w naukowem, polityczno-socyalnem tego słowa znaczeniu. Prusa bowiem emancypantki biretów doktorskich nie zdobywają, ani konkurencyi mężczyznom na polu stanowisk społecznych nie robią. To raczej dyletantki, bawiące się w emancypacyę do czasu — dopóki męża nie znajdą. Taką jest Ada Solska, sierota, panna bogata, zdolna i dobroczynna, przytem mocno dziwaczna i niezbyt religijna, która z obawy, że „jej nikt kochać nie może" (natura bowiem odmówiła jej wdzięków), oddaje się studyom przyrodniczym; odwiedza uniwersytety zagraniczne; bałamuci sobie głowę wykładami Haeckla i spirytyzmem; aż wreszcie sama się oświadcza z długo tajoną miłością wykwintnemu nicponiowi Norskiemu i — naturalnie wychodzi zamąż.

Taką jest także nauczycielka Howardówna, indywiduum pretensyonalne i śmieszne w wysokim stopniu, „zapalczywa apostołka praw kobiecych", która swym uczennicom z predylekcyą wykłada historyę „samodzielności" kobiecej, wywodząc jej początki aż od „mitycznej Ewy"; głosi wszem wobec i każdemu z osobna, że kobieta powinna być równie wykształconą i odważną, jak mężczyzna; „kataplazmuje" czasopisma warszawskie artykułami „o nieprawych dzieciach" (którym społeczeństwo powinno — jej zdaniem — zapewnić utrzymanie i nazwi-

sko, bo w tem właśnie leży — także jej zdaniem — punkt rozwiązania kwestyi kobiecej); zakłada stowarzyszenie (podtrzymywane zresztą dobroczynnością bogatej Ady), mające na celu wzajemną pomoc pracy kobiet, w którem sama figuruje jako „członek założyciel“ i umie innym (w części śmiesznym, a wogóle biednym i litość wzbudzającym) „członkom“ dość absolutnie narzucać swą wolę; rozprawia głośno o pogardzie należnej całemu rodzajowi męskiemu, co jednak jej nie przeszkadza kochać się po cichu (i do tego bez wzajemności) w „rozczochranym“ studencie medycyny, pomagającym jej w robieniu korekty, a wkońcu wyjść zamąż za „wyjątkowo miłego“ p. Mydełkę, „o zezowatych oczach i krzywych nogach“.

Takiemi są wreszcie dwie najzwyklejsze, samolubne kokietki, Helena Norska, warszawianka, i małomiasteczkowa panna Femcia. Pierwsza, na zasadzie emancypacyi, domaga się dla kobiet nieograniczonej wolności „flirtu“; a druga, zaliczająca się sama do emancypantek „radykalnych“, modli się w kościele z *Pensées sur la religion* Pascala i — poluje wiecznie na męża, kokietując równocześnie kilku naraz. Obydwie — mniejsza o to, czy pomimo swych teoryj, czy właśnie wskutek nich — wychodzą wreszcie zamąż.

Oto, ze zwykłym p. Prusowi humorem nakreślone, sylwetki dyletantek w emancypacyi, raz po raz w całej powieści występujące. Resztę emancypantek, z któremi się poznajemy na sesyi stowarzyszenia wzajemnej pomocy kobiet, kreśli autor, jakby mimochodem, dowcipnie, trochę za karykaturalnie, kilkoma ciągami pióra. Są to albo biedne (modniarki, introligatorki i t. p.), o emancypacyi teoretycznej pojęcia nie mające, wyrobnice, albo śmieszne i wykolejone istoty, z których np. jedna „kształci się samodzielnie“, ucząc się na pamięć „większej encyklopedyi“ Orgelbranda.

Aby pokazać różnicę bawienia się w emancypacyę od koniecznej nieraz walki o chleb w wyjątkowych położeniach społecznych, jakiemi są owdowienie, niemożność wyjścia zamąż i t. p., wprowadza autor na scenę dwie kobiety, panią Latterową i pannę Malinowską, które nie mają czasu do zaprzątania sobie głowy pretensyonalnemi mrzonkami daleko idącej emancypacyi, a pragną tylko zdobyć możliwość życia dla siebie i swych blizkich. Pierwsza z nich, pani Latterowa, — której dokładny obraz i dzieje, może nawet w stosunku do całości za obszernie, kreśli nam p. Prus w tomie I. — ginie w tej „walce o byt“, a ginie przez swą nieporadność: bo, wychowawszy w swym pensyonacie całe szeregi dzieci cudzych, swych własnych dwojga wychować

nie umiała, nie dając im podstaw religijnych, a przyuczając je w dodatku, ze źle zrozumianej miłości macierzyńskiej, do życia nad stan. Natomiast pannę Malinowską, energiczną kierowniczkę pensyonatu dla panien, umiejącą się doskonale przystosować do potrzeb czasu, można uważać za antytezę pani Latterowej.

Zupełnie inną, jakby czemś pośredniem między kobietą dawnego pokroju, a kobietą dążącą do emancypacyi, jest Madzia Brzeska, bohaterka powieści. Na niej *con amore* przeprowadza Prus subtelne studyum psychologiczne w celu wykazania, że emancypacya jako zasada jest mrzonką, a w praktyce, ze względów realnych, leżących w samej naturze kobiety, niemożliwą.

Madzia, to aż do najdelikatniejszych szczegółów, we wszystkich fazach rozwoju, wycieniowany obraz niewinnej duszy dziewczęcej, patrzącej na świat i ludzi przez optymistyczny pryzmat naiwności; charakter nawskróś kobiecy, o usposobieniu żywem, sangwinicznem, idącem w każdej chwili za pierwszym popędem dobrego serca; cichy, skromny, nic o wartości swojej nie wiedzący „geniusz uczucia", zdolny wpływem swej słodyczy innych do dobrego pociągnąć; typ altruizmu chrześcijańskiego, co wszędzie umie wnieść z sobą wesele, koić cierpienia, łzy nieszczęśliwych ocierać — słowem, żywy, oczywisty dowód, jak szerokim i pięknym jest zakres działalności kobiecej — poza granicami emancypacyi. A choć się ciągle obraca wśród nowych prądów; choć słyszy często, że ją emancypantką zowią: owszem, sama się nawet w swej naiwności za nią uważa — jednak dziewicza jej dusza umie oddychać w atmosferze nowych pojęć i dążeń tylko po swojemu, nie zacierając w sobie tego, co poeta nazwał *das ewig Weibliche*, tj. nie wychodząc poza granicę, którą Stwórca nakreślił kobiecie w życiu rodzinnem, towarzyskiem i społeczno-politycznem. Taką jest Madzia jako „dama klasowa" w pensyonacie pani Latter; taką w domu rodzicielskim w Iksinowie; taką jako nauczycielka u (znakomicie scharakteryzowanych) Korkowiczów i w towarzystwie swej dziwacznej przyjaciółki, Ady: taką wreszcie przy łożu umierającego na suchoty brata i w klasztorze Sióstr Miłosierdzia. Niektóre obserwacye psychologiczne z tych epok życiowych Madzi skreślił pan Prus prawdziwie po mistrzowsku, z głęboką znajomością serca ludzkiego i duszy kobiecej, że nadmienimy tylko o jej stosunku w pensyonacie do pani Latter, do koleżanek i, niezawsze szczerych, przyjaciółek, wreszcie do pensyonarek (których charakterystyka jest, nawiasowo mówiąc, wyborna). Doskonałe są także refleksye Madzi nad sobą i otaczającym światem (a zwłaszcza rachunek

sumienia przed spowiedzią i skrupuły po spowiedzi). W tem wszystkiem przebija subtelnie podpatrzony i oddany, dziwnie swojski i za serce chwytający, odcień dziewiczej naiwności.

Nie wszędzie jednak był autor pod tym względem równie szczęśliwym. Śmiemy np. wątpić o objektywności niektórych obserwacyj, nie dlatego, że są niemożliwe wogóle, ale dlatego, że są w szczególności psychologiczną zagadką, powiedziałbym niemożliwością, w Madzi takiej, jak ją nam p. Prus przedstawia. I tak, nie przeczymy wprawdzie, że mogła ona, w swej naiwności, czas jakiś mieszkać sama, bez żadnej opieki; pojmujemy i to, że, dobrocią serca wiedziona, odwiedziła w miejscu, narażającem sławę panienki na podejrzenie, moralnie upadłą, blizką śmierci aktorkę — ale pojąć niepodobna, jak mogła, mieszkając sama, przyjmować wizyty mężczyzn, wychodzić na przechadzkę do publicznego ogrodu z młodym Norskim, siadać z nim samnasam na ławeczce w pustej alei i dać mu się „całować bez pamięci". W takiej, jak Madzia, panience nie usprawiedliwia tego ani bezradna dystrakcya, wywołana chwilowym rozstrojem duszy, ani też naiwność, nie przeczuwająca niebezpieczeństwa; dziewiczość bowiem ma sobie wrodzoną pewną ochronną odrazę, wskazującą instynktowo, co może, nie mówię już, grozić samej cnocie, ale choćby przyćmić jej sławę w tym względzie. Nie będziemy też sprzeczać się o to, czy kilka pustych frazesów, wyjętych z katechizmu materyalistycznego, zdoła niedość religijną dziewczynę zachwiać w wierze; w Madzi takiej, jak ją autor przedstawia, wydaje nam się i to nieprawdopodobnem. Musielibyśmy chyba przypuścić, że Madzia — która, jak sama wyznaje, „czytała anatomię i to bardzo nieprzyzwoitą" — nie czytała lub nie słyszała o zasadach materyalizmu tyle nawet, ile jej ów wyperfumowany urwisz, Norski, powiedział. Domyślamy się wprawdzie, że p. Prus, stawiając bohaterkę swej powieści w tak dwuznacznych sytuacyach, chciał unaocznić w niej fazę rozczarowań i poznania świata; z tem wszystkiem jednak czujemy tu pewien dyssonans, kwestyonujący dokładność i rzetelny realizm obserwacyi.

Niech ta krótka charakterystyka rzeczywistych, czy wrzekomych przedstawicielek emancypacyi zastąpi samą fabułę powieści, z której streszczeniem w krótkości uporać się trudno — jużto z powodu zbyt wielkiej liczby osób wprowadzonych na scenę, a stanowiących poniekąd bohaterów i bohaterki odrębnych nowel, jużteż dlatego, że p. Prus (zapewne wskutek pisania tej powieści z długiemi nieraz przerwami) oddawał swe pióro na usługi szczegółów (zasługujących na traktowanie

epizodyczne) tak gorliwie, jak gdyby chciał w „Emancypantkach“ wszystko pomieścić. Stąd pochodzi, że szczegóły, wykonane jako takie z prawdziwym nieraz artyzmem — w stosunku do całości idą w znacznej części rozbieżnie. Ucierpiały na tem nietylko same „Emancypantki“ — któreby się dało bez trudności, i nie bez korzyści dla sławy ich autora, podzielić na kilka osobnych powieści, a przynajmniej nowel, i kilka popularnych rozpraw naukowych — ale ucierpiała szczególnie kwestya emancypacyi. Pan Prus porusza w „Emancypantkach“ kwestyę o samobójstwie i pojedynku; każe nam słuchać długich wykładów profesora Dębickiego o możliwości powszechnego potopu, o godzeniu hipotez geologicznych z dniami stworzenia Genezy, o duchowości i nieśmiertelności duszy ludzkiej, o stosunku zła moralnego do rządów Opatrzności, a wreszcie o zadaniu kobiety w ogólnem, najszerszem tego słowa znaczeniu. Stąd daje nam najzupełniejsze prawo do postawienia pytania: czemu, jeśli nie w ten sam sposób, to przynajmniej ściślej i konkretniej, nie traktuje w „Emancypantkach“ o emancypacyi? Czyż tego rodzaju kwestya, naukowo wzięta, mniejby się nadawała do powieści, aniżeli jej metafizyczne siostry?

Że p. Prus zwolennikiem emancypacyi nie jest, tego mu za złe brać nie możemy; nie mamy też do niego pretensyi o to, że nie zamienił swej powieści na traktat socyalnej ekonomii; śmiemy tylko twierdzić, że stan kwestyi i jej rozwiązanie zyskałyby stanowczo, gdyby — zamiast zatrzymywać nas zbyt długo na pensyi p. Latter, w Iksinowie, w pałacu Solskich i t. d. — przedstawił nam autor barwnem swem piórem np. życie Polek-studentek, kuszących się o zdobywanie doktoratów na uniwersytetach zagranicznych, i wprowadził nas do jednej z fabryk krajowych, gdzie pracuje tysiące kobiet i dziewcząt — pokazując konkretnie, na faktach, rezultaty owych wysiłków, czy stanów anormalnych, ze względu na moralność, pojęcia religijne, zdrowie, korzyści, czy niekorzyści, dla rodziny i społeczeństwa. Słowem — kto położył na swej książce (choćby ona tylko powieścią była) tytuł „Emancypantki“, a więc chce mówić o pewnym odłamie kwestyi socyalnej: ten ją powinien dzisiaj gruntowniej traktować, podając bliższe i dalsze powody jej genezy, wpływ czynników zagranicznych i miejscowych, a zwłaszcza żydowskich, jej środowiska i rozliczne objawy.

Pan Prus opiera swe dowody przeciw emancypacyi na analizie natury kobiecej. Metoda najzupełniej właściwa; lecz żeby się stała przekonywającą, trzeba jej dać za tło syntezę wielostronną — czego właśnie w „Emancypantkach“ brak — rozmaitych wyjątkowych położeń

społecznych, w których kobieta, nie widząc na razie wyjścia, ulega nowym prądom i walczy o zdobycie stanowisk poza obrębem, dotychczas — lub wogóle — jej przyznawanym. Inaczej dowodzenie — w kwestyi natury praktycznej — wygląda zanadto apriorystycznie, a konkluzyę — skądinąd prawdziwą — może spotkać zarzut jednostronności. To też myślę, że nasze „doktory-kobiety", laureatki nauk przyrodniczych, medycznych i społecznych, chlubić się mogą po przeczytaniu „Emancypantek", że p. Prus wyśmiał wprawdzie z dowcipem pewne pretensye emancypacyjne starej daty, samej jednak emancypacyi — choć zapewne zamierzał — obalić nie zdołał.

Nie wywodzilibyśmy tak długich żalów na pana Prusa, gdyby skądinąd nie było widocznem, że chciał — pod innym przynajmniej względem — zrobić z „Emancypantek" powieść naukową. Czy wogóle wprowadzanie do powieści *in extenso* tez naukowych, zwłaszcza metafizycznych, tak dla niej samej jak i dla nauki, jest korzystnem, to inne pytanie. W każdym razie, kto się na taki krok odważył, powinien się ściśle stosować do wymagań nauki. Pan Prus, nawracając, za pośrednictwem profesora Dębickiego, dogorywającego na suchoty Zdzisława (brata Madzi), udowadnia mu duchowość i nieśmiertelność duszy osobowej. I tu jednak, choć okazał wiele dobrej woli, niezawsze był szczęśliwym. Łatwo się widzi, że jego prelegent, profesor matematyki, niezbyt jest ścisłym na polu metafizyki. Gdyby — zacny skądinąd — prof. Dębicki więcej czasu poświęcił psychologii, byłby bez trudności spostrzegł, że przypuszczenie, jakoby eter nieczułym z siebie atomom mózgowym mógł dać czucie, wobec danych, jakie mamy z nauk przyrodniczych, grzeszy zupełną dowolnością, a w świetle metafizyki — sprzecznością; byłby też niezawodnie zauważył, że rozkazując owemu nieszczęsnemu eterowi stanowić duszę osobową i unieśmiertelniać w przestrzeni nawet akty wolnej woli, obala poprzednie swe rozumowania, wpadając w ten sam materyalizm, który zbić zamierzał; byłby też nie przyjmował dowolnie powszechnej duchowości świata, na którą żadnych dowodów nie podał i podać nie mógł; a tem bardziej byłby nie utożsamiał duchowości powszechnej z osobową.

To też winszując autorowi, że się spostrzegł na niepozytywności pozytywizmu i usiłuje zrzucić z siebie więzy materyalizmu, życzymy mu na przyszłość z całego serca, *ne iuret in verba*... profesora Dębickiego, poddając raz jeszcze bezstronnej a sumiennej krytyce jego fizyczno-metafizyczne hipotezy o istocie i naturze duszy ludzkiej.

Na zakończenie postawimy p. Prusowi małe pytanie: czy ze

względu na tłuste dowcipy, które pokutują w jego powieści, dałby ją do czytania takiej np. pannie, jak bohaterka „Emancypantek", Madzia? Nam się przynajmniej wydaje, że w towarzystwie najpoważniejszych zagadnień życiowych i wzniosłych zdań Tomasza à Kempis, rażą one bardzo niemile...

Ks. E. Hełczyński.

Kilka słów o genezie „Mindowego". *Wiktor Hahn.* Lwów 1894.
Studyum nad genezą „Lilli Wenedy", tragedyi Juliusza Słowackiego. *Tenże.* Lwów 1894.

W krótkim czasie, bo w przeciągu niecałego roku, ogłasza p. Hahn trzecią pracę, poświęconą wyjaśnieniu genezy dramatów Juliusza Słowackiego. Jak praca o „Maryi Stuart", tak i tych kilka słów o genezie „Mindowego" zasługuje na nazwę studyum literackiego niepośledniej wartości, pracy gruntownej, wyjaśniającej wiele ciemnych dotychczas kwestyj twórczości Juliusza Słowackiego.

Pierwszą myśl napisania „Mindowego" zrodził w głowie Juliusza dramat ojca jego Euzebiusza p. t.: „Mendog, król litewski", tragedya w pięciu aktach. Za ojcem swoim nie poszedł jednak Juliusz niewolniczo, lecz utwór swój, dzięki temu że już wówczas poczynał się rozczytywać w „Kronikach litewskich", osnuł na szerszem tle dziejowem. Prócz „Kronik litewskich" znał już wówczas Słowacki „Historyę Karamzina", w której się z przyjemnością rozczytywał. Przypiski Mickiewicza do Grażyny (wyszła po raz pierwszy z druku w Wilnie r. 1822/3) przypomniały najprawdopodobniej Słowackiemu postać Mendoga. Przypiski te również nauczyły Juliusza korzystać ze Stryjkowskiego „Ksiąg ośmiu" i poradziły zmienić imię bohaterskiego króla litewskiego na „Mindowe". Ze Stryjkowskiego również wziął Słowacki postać historyczną Hejdewricza, „armakońskiego przedtem biskupa, a natenczas kulmieńskiego lub chełmieńskiego".

Jak za ojcem, tak i za Stryjkowskim nie szedł poeta krok za krokiem; zaczerpnął z niego charakterystykę bohatera swego dramatu, lecz porządek zdarzeń historycznych zmienił, powodując się techniką dramatu. Wogóle naginał Juliusz Słowacki i przemieniał opowiadanie Stryjkowskiego prawie tylko o tyle, o ile je zmienił ojciec jego, wzorując swą tragedyę „Mendog" wedle arcydzieł ówczesnych francuskich dramaturgów. O ile trafną wydaje się być hipoteza p. H., iż Mickiewicza przypiski do Grażyny przypomniały Słowackiemu Mindowego, o tyle mniej przekonywającem, a może tylko mniej umotywo-

wanem wydaje się nam mniemanie autora, że „Juliusz Słowacki przejął imię Aldony“, ponieważ „Mickiewicz użył tej samej nazwy w ‚Konradzie Wallenrodzie‘“. Dostatecznym powodem przejęcia tego imienia była ta okoliczność, że Euzebiusz Słowacki nadał również swej bohaterce imię pierwszej żony Kazimierza Wielkiego; zmieniać go nie miał Juliusz Słowacki chyba żadnej przyczyny, było ono w każdym razie historyczne i brzmiało wcale poetycznie.

Jak na każdem dziele Juliusza, tak i na „Mindowem“ znać wpływ Szekspira. Wpływ ten trafnie scharakteryzował p. Hahn. „Polega“ on „nie na naśladownictwie zwrotów i myśli, lecz tylko na zapożyczaniu się w sytuacye i pomysły“. Reminiscencye z Szekspira, dające się wykazać w „Mindowem“, pochodzą z „Makbeta“, „Hamleta“ i „Ryszarda III.“. O co przed czternastu laty W. Gasztowt natrącił, to p. H. obecnie dokładnie wykazał, a mianowicie podobieństwo niektórych scen w Racina „Brytanicus“ i w Słowackiego „Mindowem“.

Genezie „Mindowego“ poświęcił p. Hahn tylko „kilka słów“, „Lilli Wenedzie“ natomiast obszerniejsze, a również jak poprzednie prace gruntowne studyum. Jedna z najlepszych tragedyj polskich zasługiwała i czekała na to od dawna, gdyż cenne uwagi Małeckiego, Tarnowskiego i Nehringa, wypowiedziane przed kilkunastu jeszcze laty, po większej części niestety zatarły się już w pamięci czytającej publiczności; nowe materyały, nagromadzone w ostatnich czasach, dopominały się wreszcie zużytkowania.

Rzecz dziwna, że dotychczas tak mało zwracano uwagi na Słowackiego „List drugi do autora Iridiona“, służący „Lilli Wenedzie“ za przedmowę. P. Hahn, poddawszy ten list sumiennemu rozbiorowi, doszedł, jak zobaczymy, do nader cennych rezultatów. Te też tylko, chcąc być o ile możności zwięzłym, przedstawię, odsyłając szanownych czytelników *Przeglądu Powszechnego* do samej rozprawy, gdyby byli ciekawi dowiedzieć się, w jaki sposób autor do nich doszedł. Myśl napisania „Lilli Wenedy“ wzbudziło w poecie rozczytywanie się w Byrona *Child Harold's pilgrimage*, gdzie w trzeciej części poematu rozczula się angielski poeta z powodu (apograficznego) napisu grobowego nieszczęśliwej Julii Alpinuli; powstała zaś „Lilla Weneda“, zdaniem p. H., „dopiero w r. 1840, w czasie stosunkowo niedługim, być może, że w marcu t. r.“. Pięć więc lat minęło, zanim nieistniejąca nigdy w rzeczywistości nieszczęśliwa kapłanka awentyńska przedzierzgnęła się w powiewną, a również niehistoryczną polską Lillę Wenedę, chcącą

jak tamta uwolnić ojca swego z niewoli, umierającą prawie równocześnie ze swym ojcem. Bezskuteczność błagań nieszczęśliwej Lilli o życie Derwida przejął Juliusz z szwajcarskiej legendy o Julii Alpinuli, przerabiając ją jednak stosownie do planu swojej tragedyi. Jak wiele zawdzięczał poeta Byronowi, dowodem tego, że i myśl wybawienia ojca od śmierci, podaniem mu lilij wodnych do wyssania, ma także swe źródło w dziele Byrona, jest ten pomysł jeno zlokalizowanym; nie własną piersią karmi Lilla Weneda swego ojca, jak Rzymianka legendowa, jeno jej „wieniec biały“ z lilij staje się ojcu „zdziecinniałemu piersią matki“. „Rosa Weneda nie jest — jak wykazał p. H. — niczem innem jak Velledą z *Les Martyrs* Chateaubriand'a“. Derwid i dwunastu harfiarzy wendyjskich, to celtyccy Druidowie, „przeniesieni prawie żywcem z utworu Chateaubriand'a do Lilli Wenedy“. Derwid „oznacza w narzeczu wallijskiem Druida“. Chateaubriand'owi też należy zawdzięczyć tę okoliczność, że Słowacki w „Lilli Wenedzie“ zasiał Polskę kamieniami druidycznemi, że akcyę przeniósł w czasy zaprowadzania wiary chrześcijańskiej. Również za przykładem zdaje się autora *Les Martyrs* powziął był Słowacki myśl przedstawienia walki dwu narodów, w której słabszy musi zupełnej niemal uledz zagładzie, chociaż w tej mierze przeważną zapewne rolę odegrały wspomnienia niedawnych wówczas a nieszczęsnych zapasów Polski z jej ciemiężcami. Genezę mniej zrozumiałych postaci Lelum Polelum, rozjaśnił autor wskazując na VI. księgę *Les Martyrs*. Znowu na str. 37 do 41, znachodzimy pierwsze dokładne zestawienie odpowiednich scen z „Lilli Wenedy“ ze scenami z Szyllera „Wilhelma Tella“. Dalsze zdobycze p. H., to wykazanie pokrewieństwa postaci Gwinony z Szekspira Małgorzatą, żoną Henryka VI., Derwida z królem Lirem, a nie z Ryszardem, jak chciał p. Monat. Prawdziwie nowem i przez nikogo dotychczas ani słowem jednem nie wskazanem jest wykrycie pochodzenia Ślaza; przypomina on z Calderona: *El Alcaide de se mismo*, postać wieśniaka Benita. Nawet pomysł wprowadzenia św. Gwalberta, choć ten święty żył w XI. w. we Włoszech, a akcya „Lilli Wenedy“ ma się w w. VI. rozgrywać, uzasadnił p. Hahn przypominając, iż Słowacki zwiedził w r. 1837 Wallumbrozę, a w niej klasztor, założony przez św. Gwalberta, i jak sam Słowacki pisze, że na nim „podróż ta melancholiczne zrobiła wrażenie“. Pracę swą zamyka p. H. wskazaniem na Eddę, jako źródło, z którego poeta wziął pomysł do aktu trzeciego, fakt czarowania wężów muzyką.

Sprawozdania mojego nie zamknę aż nazbyt zużytem poleceniem

tej pracy do czytania. Nie wykazałem braków żadnych tego studyum, które w psychologiczne motywa powstania „Lilli Wenedy“ nie wnikało zbyt głęboko, gdyż nie było próbą analizowania uczuć przenikających duszę poety między r. 1835 a 1840, ale wykazało nader sumiennie związek „Lilli Wenedy“ z utworami innych dramaturgów. Że wykazało ten związek sumiennie, dowodem tego najlepszym są streszczone przeze mnie rezultaty tego studyum.

L. M. Dziama.

Poezye. Przez *El...y*. Tom czwarty. Kraków. Nakładem wydawnictwa *Nowej Reformy*. 1894.

Poczyna się ten tom od wiersza: „W dwudziestopięcioletnią rocznicę powstania 1863 roku“. O formie tego i następnych wierszy nie wspominamy, piękność jej i doskonałość zbyt jest znana, oceniono ją dawno. W początkowych strofach wspomnienia, poświęconego ostatniemu powstaniu, jest poeta niesprawiedliwy, kiedy rozumne i rozsądne, przedmiotowe osądzenie tego „nieszczęścia roku“ nazywa urąganiem, plwaniem, przekleństwem, odzieraniem ze czci, samobójstwem ducha...; w następnych zwrotkach rozwija się przed nami obraz ówczesnych myśli i marzeń, geneza wypadków roku 1863. Koniec wiersza piękny i harmonijny: „gasnące pokolenie“ młodemu niesie życzenia:

Idźcie! jak światła przystoi czcicielom,
Oświecać drogi ludzkiego pochodu!
Ku coraz wyższym i jaśniejszym celom.
Szukajcie prawdy dla swego narodu,
Ażeby przez nią posiąść mógł Helota
Stracone piękno i dobro żywota.

„Orfeusz i Bachantki“, to wiersz o nastroju pesymistycznym, usprawiedliwiający zgubę i zniszczenie dawnych ideałów i ich apostołów, aby na ich ruinach i trupach mogło powstać nowe życie. Domyślać się można, że autor z tem prawem postępu, prawem okrutnem i samolubnem, godzi się ze smutkiem; może on i siebie uważa za Orfeusza, który w rozpaczy za drogą, ukochaną, niepowrotną przeszłością, nie potrafi, nie zdolen śpiewać nowemu pokoleniu, nowym bogom, nowemu życiu. Interpretacyę mitu o Orfeuszu, rozerwanym przez Bachantki, w ten sposób przeprowadzoną, musimy nazwać bardzo zręczną i bardzo piękną.

Następują po tych dwóch: „Pigmalion“, „Wobec Sfinksa“, „Prolog

na otwarcie teatru krakowskiego", „Bez odpowiedzi", z których głębokością myśli, przepięknem obrobieniem podoba się nam najwięcej „Wobec Sfinksa", poświęcony Józefowi Rostafińskiemu.

„Wśród Przełomu" charakteryzuje nowe czasy, nadchodzącą rewolucyę społeczną, burzącą istniejący porządek.

„Album Pieśni" składa się z dwudziestu wierszy okolicznościowych, z których podnieść należy: „W noc czerwcową", „Zmierzch melodyi", „Choć pól i łąk"... Wśród nich „Świat się ogniami zapala", porusza te same myśli, mówi o tem samem, co „Wśród Przełomu".

W trzydziestu sonetach pod ogólnym napisem: „Nad głębiami", zastanawia się poeta nad zagadką bytu, życia, jego prawami i celem. Cztery pierwsze dosyć jednostajne, o tej samej myśli, z małemi waryantami; piąty z prześlicznem porównaniem wiedzy do światła, za którem ciemności jeszcze głębsze, jeszcze czarniejsze...

Wraz z blaskiem wiedzy zdobytej płomienia,
W miarę jak widzeń krąg się rozprzestrzenia,
Wciąż obszar mroków nieprzebytych rośnie...

I to, co dostrzedz możemy, jest niczem,
Przed tem nieznanem, skrytem, tajemniczem,
Co nam mrok wieczny zasłania zazdrośnie.

Doskonałością formy, chociaż nie nowością myśli i spostrzeżeń, odznaczają się sonety: IX., X., XXIX.

W „Przyjściu Mesyasza", podobnie jak w niektórych sonetach poprzednich, wlewa w nas poeta swą głęboką otuchę i nadzieję w zmartwychwstanie i odrodzenie się Polski — nie będzie ona taką, jaką była, ale powstanie, powstać musi.

„Memnon" mówi również o Polsce i daje nam w końcu nie nową, lecz głęboką naukę:

Trzeba w grobie zdobyć nową moc ducha,
Chcąc do życia znów powrócić bram.

Śliczny wiersz poświęcony jest I. Kollarowi, piękny, chociaż marzycielski, utopijny, kiedy poeta śpiewa:

I Sławiańszczyzna cała, silna, młoda,
Przy bratniej uczcie ręce sobie poda.

Satyra „Dzień wczorajszy" autorowi się nie udała; przypomina bardzo utwory p. Rodocia; brak jej subtelności, wykwintnego dowcipu...

Bardzo niesprawiedliwy a nawet niesmaczny jest wiersz: „Historyczna nowa szkoła“. Któż ze szkoły historycznej krakowskiej powiedział:

... Kościuszko to był waryat,
Co buntował proletaryat!

Zręcznym i dowcipnym epigramem jest: „Wielkiemu człowiekowi“:

Więc i ty, kiedy schodzisz w towarzystwo ludzi,
Nie bierz ze sobą gromu, który postrach budzi,
Nie przynoś orlich spojrzeń, tytanicznych postaw,
Lecz wielkość z kaloszami w przedpokoju zostaw!

Kończy się tom tłumaczeniami: „Chmury“ i „Ozymandyas“ Schelley'a, i przedrukiem „Kiejstuta“.

Nie uważamy za potrzebne na podstawie tego nowego tomu poezyj znanego poety wyprowadzać jakichś ogólniejszych wniosków, dawać charakterystykę przekonań i wierzeń autora, bo zbiór ten nie przynosi nic nowego, nie zaznacza ani postępu ani cofania się w twórczości Asnyka. To co o nim powiedziała krytyka, to co o nim wie publiczność z poprzednich poezyj, to pozostaje niezmienione po wydaniu tomu IV., którego połowę stanowi oceniony dawno „Kiejstut“.

Dr. A. M. Kurpiel.

Melodye biblijne *Kornela Ujejskiego.* Wydanie trzecie pomnożone.
Wiersze różne *Kornela Ujejskiego.* Drugie wydanie pomnożone.
Tłumaczenia Szopena i Beethovena *Kornela Ujejskiego.* Wydanie drugie pomnożone.
Przemówienia *Kornela Ujejskiego.* 1863—1893. Trzecie wydanie uzupełnione.

Te cztery tomiki wyszły w Przemyślu, nakładem księgarni Jelenia i Langa 1893 roku.

Podobnie, jak przy poprzednich tomikach poezyj Ujejskiego, wydanych przez tę samą firmę, ograniczyć nam się wypada do suchej wzmianki bibliograficznej, bo niepotrzebnem nam się wydaje — wobec licznych odczytów, pracy p. Bądzkiewicza, wobec tych wiadomości, jakie każdy wynosi o Ujejskim ze szkoły — omawiać twórczość autora „Choralu“. Zwracamy tu tylko uwagę na mało znane młodemu pokoleniu „Przemówienia“ z lat od 1863 do 1880, jako przyczyniające się znakomicie do zrozumienia i zdania sobie sprawy z przekonań

społeczno-politycznych poety. Usprawiedliwić tu także musimy firmę, wydającą te utwory, przed zarzutem, jaki jej zrobił mój poprzednik, piszący o pierwszych tomikach tego wydawnictwa. Poezye Ujejskiego dlatego nie są ponumerowane jako tomy, dlatego wychodzą jako odrębne dziełka, że dawny układ autora z firmą Brockhausa na wydanie poezyj w formie jednolitego dzieła nie pozwala.

Dr. A. M. Kurpiel.

Wielki Kalendarz Maryański dla ludu katolickiego na rok Pański 1895. Wydawca *ks. Władysław Sarna*, pleban szebieński. Nakładem J. Steinbrennera, właściciela katolickiego zakładu naukowego i drukarni w Winterberdze. Główny skład: Dla Galicyi i Bukowiny księgarnia J. A. Pelara (H. Czerny) w Rzeszowie — dla Ks. Poznańskiego i Szląska F. Hucha księgarnia (H. Musshoff) w Nisie (Neisse). (W 4-ce str. 112). Cena 40 ct.

Dobrą służbę odsłużył ks. Proboszcz szebieński Matce Boskiej, przyswajając Polakom Jej kalendarz. Wprawdzie milejby nam było, gdyby nie my od innych, ale inni od nas objawy czci i miłości Maryi przejmowali; ale bądźmy i w tym względzie pokorni i wyznajmy, że nas jeszcze na to nie stać. Obyśmy tylko zawsze dobre od innych przejmowali, a nie złe!

Dwie wielkie, a z okładką trzy, chromolitografie zdobią ten kalendarz, prócz mnóstwa bardzo dobrych rycin. Prawda, że treść niektórych i sposób przedstawienia nie wyglądają dość swojsko, co też i o opowiadaniach, których są ilustracyami, można powiedzieć; ale trzeba pamiętać, że to jest kalendarz przyswojony, a nie oryginalnie dla Polaków pisany. Owszem, i tak bardzo dużo swojskiego i bardzo dobrego elementu szan. wydawca tam wprowadził. Zwłaszcza podnieść należy znakomity sposób popularyzowania rzeczy ojczystych — mianowicie przez podawanie wyjątków z dzieł historycznych i innych klasycznych. Jaki to np. pradziwie patryotyczny artykuł: „Bitwa pod Obertynem“, lub „Smutna rocznica“ z Historyi polskiej Henryka Szmitta.

W dziale ogłoszeń życzyćby należało, żeby się znalazły i firmy krajowe, a niektóre wiedeńskie, niedość moralne, aby zupełnie usunięte zostały. Za to ogłoszenia firmy Steinbrennera w Winterberdze i innych sześciu miastach — bardzo godne uwagi. Firma ta wydaje katolickie książki do nabożeństwa w czternastu językach, między któremi jest sześć słowiańskich.

Polecamy więc gorąco ten kalendarz wszystkim czcicielom Maryi

na rok 1895, a jeszcze goręcej na lata następne, bo jesteśmy pewni, że będzie on coraz bardziej przybierał nasz narodowo-ludowy charakter.

Ks. H. P.

Ustalenie chronologii biskupów włocławskich. Opracował *ks. dr. Jan Fijałek*, docent c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Kraków 1894 (Odbitka z *Przewodnika naukowego i literackiego*, styczeń—październik 1894 r.). Nakładem autora. (W 8-ce, str. 110).

„Katalog biskupów włocławskich", ułożony przez Długosza, głównie na podstawie „Katalogu wolborskiego", zawiera liczne omyłki i niedokładności co do chronologicznego następstwa i lat rządów biskupów kujawskich, tak, iż historyk na nim wyłącznie polegać nie może, lecz każdą z osobna datę najprzód sprawdzać musi na podstawie innych źródeł. Przy coraz bardziej wzrastającem w ostatnich lat dziesiątkach zainteresowaniu się dziejami Kościoła polskiego, coraz też dotkliwiej niedogodność tę uczuwano.

Pobudzony zapewne przykładem ks. Likowskiego, który przed laty 14 krytycznie rozebrał i objaśnił Długosza „Katalog biskupów poznańskich", autor podjął się zmudnej pracy ustalenia chronologii biskupów włocławskich, sprostowania błędnych dat podanych przez Długosza, a oprócz tego zestawienia wszystkich wogóle dat chronologicznych, odnoszących się do pojedyńczych pasterzy dyecezyi kujawskiej, o ile ich nam dostarcza przechowany materyał źródłowy.

Część krytyczna, oryginalna pracy autora sięga do r. 1600; wszyscy późniejsi biskupi włocławscy aż do czasów najnowszych, wyliczeni są w osobnym sumarycznym katalogu, umieszczonym na końcu rozprawy.

Jakkolwiek rzecz cała wydaje nam się zbyt ciężko napisaną, nie wątpimy jednak, że każdy pracujący w zakresie historyi Kościoła polskiego w wiekach średnich, chętnie będzie zaglądał do monografii ks. d-ra Fijałka i korzystał z rezultatów skrzętnych i sumiennych jego dociekań krytycznych.

H. L.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Zur Entstehungsgeschichte der ständigen Nunziaturen. Von *dr. Pieper.* 1893.

W księgarni Herdera we Fryburgu wyszła w roku ubiegłym książka d-ra Piepera, prywatnego docenta król. Akademii w Monasterze: *Zur Entstehungsgeschichte der ständigen Nunziaturen.* Jest to studyum stosunków dyplomacyi papieskiej z drugiej połowy XV. i pierwszej połowy XVI. wieku, oparte na badaniach źródeł znajdujących się w archiwach i bibliotekach rzymskich, z których autor przytacza w zbiorze materyałów, umieszczonym na końcu książki, liczne kopie instrukcyj, dawanych przez Stolicę świętą zwyczajnym i nadzwyczajnym wysłannikom swoim na dworze Niemiec, Francyi i Hiszpanii.

Rzecz bardzo interesująca, bo zawiera wiele szczegółów, rzucających światło na ową epokę bogatą w zdarzenia polityczne pierwszorzędnego znaczenia. Zadanie przedstawicieli dworu rzymskiego dotyczyło zwykle albo zamierzanej wyprawy państw chrześcijańskich przeciwko półksiężycowi, albo w późniejszych czasach sporów religijnych w Niemczech, lub załagodzenia długich sporów i zakończenia wojen między Karolem V. i Franciszkiem I., albo też zwołania powszechnego soboru, lub wreszcie (za Pawła III. i poprzednio za Klemensa VII.) spraw więcej domowej polityki Farnezych i Medyceuszów dotyczących.

Zajmujące są szczegóły, które podaje autor odnośnie do organizacyi kancelaryi papieskiej i wytworzenia się dzisiejszego sekretaryatu stanu, podlegającego kardynałowi *ad hoc* przeznaczonemu. Pierwotnie atrybucye tego urzędu wykonywali prywatni sekretarze papiescy. Od nich to wychodziły instrukcye i wszelkie inne akta, które otrzymywał każdy za granicę wyjeżdżający poseł.

Ale odnośnie do szczegółów, dotyczących rzeczonych wysłanników, pozwolimy sobie zauważyć, że plan dzieła i myśl przewodnia autora mieszczą w sobie dosyć ważny błąd, tj. iż z jednej strony zajmuje się on może zanadto wiele drobnemi szczegółami czysto formalnemi, a z drugiej sili się zanadto i zupełnie bez szczęśliwego skutku na to, ażeby udowodnić, iż Stolica święta miała w owym czasie swoich stałych reprezentantów czyli zwyczajnych nuncyuszów na wzmiankowanych dworach. Ażeby tego dowieść, wdaje się w tłumaczenie szczegółowe różnicy zachodzącej między stałym, zwyczajnym nuncyuszem, a nadzwyczajnym. Określenie to wypada mu dosyć trudno.

albowiem przyznaje, że stałe nuncyatury nie zostały ustanowione żadnym aktem *ad hoc*, a najważniejsza cecha stałości, tj. iż po odwołaniu jednego nuncyusza przychodzi zaraz inny, który zajmuje jego miejsce, także nie zawsze mu dopisuje, gdyż sam spostrzega luki, przez dłuższy czas trwające. Dowód swojej tezy zdaje się więc głównie opierać na sposobie stylizowania listów uwierzytelniających, ten zaś, jako rzecz więcej formalna, wydaje nam się być trochę niedostatecznym. Zresztą obok tych stałych czyli zwyczajnych nuncyuszów wymienia równocześnie tylu innych wysłanników Stolicy św., którzy jako *legati a latere*, lub nuncyusze nadzwyczajni mieli polecone traktowanie zupełnie specyalnych spraw, i nieraz prawie równocześnie po dwóch lub trzech wyjeżdżali do jednego i tego samego kraju — że bierze ochota zapytać, co, obok tych nadzwyczajnych posłów papieskich, pozostawało do czynienia zwyczajnemu jego przedstawicielowi? My pozwolimy sobie przypuszczać, że jakkolwiek niejeden z nuncyuszów ówczesnych nosił tytuł wysłannika zwyczajnego, to działo się to może tak samo, jak dzisiaj, przy rzeczywiście uregulowanych stosunkach dyplomatycznych i stałych poselstwach, bardzo wielu z tych stale rezydujących ambasadorów i posłów nosi tytuł: *ambassadeur extraordinaire, envoyé extraordinaire*, z któregoby pozornie wnosić można, że jego misya jest chwilową, przemijającą, chociaż w rzeczy samej nikt nie wątpi, iż jest on stale akredytowanym posłem. Tego rodzaju pozorne sprzeczności nie są rzadkie w rządach, a zwłaszcza w dyplomatycznych stosunkach międzynarodowych, ale są to rzeczy formalne, nie mające bardzo doniosłego znaczenia. Charakter stałości, który, wbrew tytułowi samego posła, mają dzisiejsze poselstwa, wynika z ustalonych stosunków politycznych i administracyjnych tegoczesnych rządów. W wieku, którym się zajmuje autor, stosunki te miały zupełnie inną cechę: stolica państwa nie była zawsze stałą rezydencyą monarchy; dwór francuski przenosił się bardzo często z miejsca na miejsce, w Niemczech sejmy zbierały się nie zawsze w tych samych miastach, cesarze i książęta Rzeszy musieli więc częstokroć zmieniać miejsca pobytu: Karol V. przejeżdżał się bardzo często z niemieckich krajów do Hiszpanii, to znowu do Niderlandów, a wysłannicy obcych dworów, jeżeli mieli dobrze spełniać przeznaczone sobie zadanie, byli zmuszeni towarzyszyć panującym w tych ich przejażdżkach. Wobec tego trudno przypuścić, ażeby ich misye miały charakter zupełnie stały. Nie przeczymy, że urząd t. zw. kollektorów w Hiszpanii, o którym autor mówi, był posadą stałą, ale to stanowisko, jak sam to przy-

znaje, jako istniejące dla dochodów z wakujących beneficyów, nie było dyplomatyczne.

Ostatecznie niech mi wolno będzie zauważyć, że, czy istnieli czy nie istnieli na dworach ówczesnych stali nuncyusze papiescy, to jest rzecz małego znaczenia dla poznania ówczesnych stosunków politycznych. Faktem jest, że pomiędzy Stolicą świętą a rządami dużo, bardzo dużo było różnorodnych układów międzynarodowych, i że wysłanników delegowanych przez jedną i przez drugą stronę nie brakowało, że więc stosunki dyplomatyczne istniały i były ożywione. Pytanie, czy ci wysłannicy mieli charakter posłów zwyczajnych i stałych, wydaje nam się być dosyć podrzędnem. Szkoda, że autor nie zajmował się niem tylko incydentalnie, tj. mimochodem, i nie położył tej sprawy na drugim planie, a nie zużył bogatego materyału historycznego, przez siebie zebranego, do wyjaśnienia np. jakiego zdarzenia historycznego, lub epizodu dziejowego dotychczas mniej znanego, lub do opisania charakteru jakiejś wybitnej osobistości i roli przez nią odegranej. Dzieło całe byłoby wiele na tem zyskało; wyliczanie nuncyuszów jednego po drugim bez obszerniejszego opisu ich misyi i stosunków, wśród których ją odbywali, jest nieco suchem i jednostajnem. Tem większa zaś szkoda, że tak jest, albowiem znać, iż autorowi nie brak talentu do pisania w sposób więcej żywy i barwny; dowodzi tego ostatni ustęp IV-tej, ostatniej części książki, poświęcony legatom i nadzwyczajnym nuncyuszom Pawła III. Ten ustęp różni się nieco od reszty dziełka, albowiem zawiera więcej szczegółów dotyczących tak posłów samych, jak i ich misyi i różnorodnych faktów historycznych owego czasu.

Pomimo tych usterek, które ośmieliliśmy się wytknąć, musimy wyznać, że praca ta, z powodu bogatego materyału historycznego i z powodu innych swoich zalet, może znakomite oddać usługi badaniom historycznym owej epoki i nie wątpimy, że nie będzie ostatnią, którą zechce autor wzbogacić już i tak na polu historycznem bogatą literaturę swojej ojczyzny.

Ks. Fr. Starowieyski.

Feldbriefe. Von *Georg Heinrich Rindfleisch.* (1870—1871). Dritte Auflage. Göttingen.

Nie było trzeba długo czekać po ucichnięciu huku dział i wrzawy bitew francusko-niemieckiej wojny, a zaraz rozpoczęła się kampania — historyków, jużto francuskich, jużto niemieckich, którzy w żywych ko-

lorach malując grozę minionych wypadków, naciągali jak mogli chwałę wojenną na swą stronę, i jak mogli potępiali przeciwników. Był to atoli zawsze ogólny tylko obraz w tych opisach, choć tu i ówdzie dotykał pojedyńczych wypadków lub okoliczności. Zupełnie inaczej wyglądają te „Listy z obozu“, o których chcemy pomówić.

Jest to formalny pamiętnik, jaki powstał z raz po raz pisanych listów, kart korespondencyjnych i telegramów jużto do żony, jużto do krewnych i przyjaciół. Ten, co go pisał w ten sposób, nieraz na stole w chłopskiej chacie, nieraz na tornistrze lub ścianie, ani myślał pisać pamiętnika: dlatego właśnie pisany on z serca i przekonania, i dlatego chwyta za serce. Że zaś nie pisał tych spostrzeżeń pierwszy lepszy oficer, ale nadradca sądowy, przedzierzgnięty w zażartego oficera, przeto wieje w tych listach, oprócz nieprzymuszonej a prawdziwie niemieckiej wesołości, często i szerszy pogląd na sprawy wojny i polityki, i wyższy ton towarzyskiej ogłady.

Doprawdy niepodobna powstrzymać nieraz mimowoli cisnącego się uśmiechu, kiedy się czyta te sprawozdania o ludziach i rzeczach, wyznania o swych chęciach lub kłopotach, i tysiączne a z fotograficzną niemal wiernością przeprowadzone opisy wielkich, małych i najmniejszych wypadków zaszłych w armii, w korpusie, w batalionie, w kompanii, a wreszcie na własnej skórze. Czytelnik — a zwłaszcza Niemiec — czuje się żywcem przeniesiony, wraz z wesołym a zamaszystym porucznikiem, i do jego biwaku i w szeregi jego kompanii i na pole walki. Na wszystkie strony tryska humor IMCi Pana Chryzostoma Paska, posolony tym samym szowinizmem, jaki piszącemu wydaje się nieznośny we Francuzach. I to jest właśnie, co razi bezstronnego czytelnika, tak samo jak nieubłagana nienawiść ku Francuzom i pragnienie zemsty za wojnę trzydziestoletnią... Choć się tę zemstę do pewnego stopnia pojmuje, ale przecież, jeśli się Niemcem nie jest, czyta się takie wyrazy ze wstrętem. Wreszcie i Niemcowi wpaść to musi w oczy, że niesprawiedliwą jest rzeczą potępiać kogo za coś, kiedy się to samo popełnia. A tak robi p. Rindfleisch, jak np. przy zdobyciu wzgórza pod Le Mans, gdzie tyralierom jen. Chanzy'ego daje nazwę *Schufte* za to, że ustąpili przed pruskiem natarciem, a za chwilę opowiada, jak wnet potem przed nimi na czworakach uciekał w głębokim śniegu, wraz ze swym batalionem. W Niemczech rozchwytują każde nowe wydanie tych listów, jako pismo bardzo zajmujące a najbardziej patryotyczne; to też nawet sama oprawa iście pruska, bo czarna z białem i z wyciśniętym żelaznym krzyżem pruskim, już na-

przód mówi, że w tej książce — choć bardzo zajmujący, ale przecież — Prusak siedzi.

Nie dziwmy się atoli. Gdyby w analogicznych wypadkach napisał był to Polak, byłby może w podobnym tonie napisał i podobnie Polaków zachwycał.

Ks. Władysław Czencz.

Der Einfluss deutschen Geistes auf die französische Litteratur des XIX. Jahrhunderts bis 1870. Von *Dr. Fritz Meissner*. Leipzig 1893. Renger'sche Buchhandlung.

Pierwszy rzut oka na tytuł książki wywołać musiał w duszy pytanie: Jaka myśl leżała na dnie duszy autora, gdy się zabierał do tej pracy? Czy po orężnym pogromie odwiecznych rywalów chciał ze swej strony postawić także i literacki *Siegesdenkmal*, mający świadczyć o duchowej wielkości a może i wyższości Niemców? Czy ponad przepaścią, wykopaną wypadkami r. 1870, bodaj w ten sposób chciał dłoń podać do jakiegokolwiek pojednania lub do wspólnej pracy?

Na to sam autor odpowiada na końcu przedmowy. „Pragnął — jak mówi — poznać i dać poznać wpływ niemieckiego życia umysłowego na literaturę francuską nie dla prostej ciekawości, ale ze względów moralnych i umiejętnościowych. Niemiecki geniusz dochodzi przez takie badanie do lepszego poznania siebie, swoich zalet i słabostek, a sąd, jaki obcy naród o nim wydaje, tak do tego pomaga, jak pomaga do poznania rzeczywistego swego oblicza zwierciadło, odmienne od tego, w które zawsze patrzymy". Drugą pobudką, jaka autorowi stała w tej pracy przed oczyma, była także i chęć zbliżenia jakkolwiek do siebie dwóch tak wielkich a tak poważnionych ludów; co gdyby się i w maleńkiej cząstce powiodło, byłoby bez wątpienia największem powodzeniem, jakiego sobie życzyć można.

Gdzie od IX. wieku (bo w nim to dopiero zaznaczają się wyraźnie te, jużto narodowościowe, jużto cywilizacyjne różnice, jakby jaka odmienna forma krystalizacyjna) — gdzie, mówię, tak dawno sąsiadują ze sobą dwa takie narody, jak Francya i Niemcy, tam niepodobna, by się nie odbił różnorodnie ten wpływ wzajemny, potężny a konieczny.

Gdyby nietylko rasowa niechęć, ale i odwieczne interesa polityczne chciały dwa te ludy chińskim oddzielić murem, toby się przecież mimo to przedostał przezeń i handel i przemysł, a za nim prąd umysłowego ruchu. Z jednej i z drugiej strony wnikałby on górą i dołem jak rzeka, co wpadając do morza lub jego zatoki, choć zrazu

dla silnego prądu zachowuje całą swą właściwość, to przecież w dalszym biegu wymienia ją z morzem, dając swoje a biorąc jego przymioty.

Autor pomija milczeniem wpływ francuski, który bez wątpienia jest nierównie większy i to zwłaszcza od czasów Ludwika XIV.; ale za to z lubością, choć — przyznajmy mu to — bez przechwałki i trzeźwo zajmuje się tym wpływem, jaki „duch niemiecki“ wywarł na literaturę francuską dziewiętnastego stulecia. Nie tak łatwe to zadanie: czy się też autorowi udało?

Doprawdy, gdy się okiem rzuci na ogromny obszar tego wszystkiego, co autor chciał zamknąć w ramy „literatury“, i na rozmiary tego, co z przedziwną elastycznością zowie autor „duchem niemieckim“; gdy się obliczy te mnogie punkta styczne, jakby arterye, któremi krąży i udziela się umysłowe życie: to mimowoli przychodzą na myśl słowa poety:

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy?...

To też autor radzi sobie, jak może... Z tytułu dzieła wolnoby się spodziewać, że nam odsłoni wielką arenę ducha, gdzie chodzą w zapasy geniusze i „na ostre gonią“; że roztoczy przed nami te niekrwawe walki myśli, słowa i pióra, z których wracać mają w tryumfie wnuki dawnych Germanów. Ale spotyka nas zawód. Autor nie podaje nam ani miary tego wpływu (z wyjątkiem kilku ustępów), ani śledzi za jego skutkami, tylko przechodzi z wielką pracowitością wszystkie ważniejsze publikacye francuskie, które od schyłku ubiegłego stulecia aż po rok 1870 zajmowały się piśmiennictwem niemieckiem i jego przedstawicielami. Oczywiście wartość dzieła traci bardzo wiele na takiem przeprowadzeniu założenia, i owszem, traci to, co z samego już tytułu najwięcej musiało zaciekawiać... Nie przeszkadza to bynajmniej, byśmy mimo to nie mieli znaleść wiele kart zajmujących.

Autor podzielił swe dzieło na trzy części. W pierwszej przechodzi pierwszych piętnaście lat bieżącego stulecia aż do występu romantyków; w drugiej omawia właściwe czasy romantyzmu w Niemczech; w trzeciej zastanawia się nad latami od 1831—1870 roku.

Kto zna bliżej nietylko dzieje powszechne XVII. i XVIII. wieku, ale i charakterystykę życia tak politycznego jak i umysłowego owych czasów we Francyi i w Niemczech, ten musi przyznać, że jeżeli do całokształtu ówczesnego wychowania szlachetnej młodzi niemieckiej należały podróże i obeznanie się z zagranicą: to przedewszystkiem tyczyło się to Francyi i Rzymu. Rozpływano się nad wszystkiem co

francuskie, tak jak nad językiem, literaturą i modą. Ale bynajmniej nie wynika stąd, by i Francuzi poczytywali sobie byli za obowiązek poznać tak samo Niemcy, ich język i literaturę. Ta ostatnia dla nich nieomal jakby nie istniała: to też rzeczywiście uderzać musi ta nadzwyczajna zmiana, gdy się teraz czyta, co napisał rodowity Francuz, Lerminier:

Il est naturel de demander à l'Allemagne des renseignements, de s'enquérir et de profiter de ses travaux, dût-on encourir le reproche de germanisme.

Jakżeby się był zgorszył tem w swoim czasie Wolter — on, co mógł sobie żartować, że wypadałoby życzyć Niemcom „więcej dowcipu a mniej spółgłosek!“...

G. Pellissier tedy, podając charakterystykę francuskiej literatury naszego stulecia [1], słusznie mówi, że „aż po wiek dziewiętnasty Niemcy były dla Francuzów prawie nieznane... Jeżeli jakie głośniejsze imiona tu i ówdzie doszły ich uszu: to uszedł zupełnie ich uwagi ów ruch umysłowy, który się wytworzył poza sferą francuskiego wpływu, a nawet w kierunku wprost przeciwnym francuskim tradycyom“.

Że to nie są słowa przesady, na dowód tego można z literatury niemieckiej przytoczyć niemal to wszystko, co przy schyłku XVIII. stulecia zwróciło na się uwagę we Francyi. Nasamprzód przełożone zostały na język francuski „Bajki“ Lessinga w roku 1764, a w r. 1770 jego „Dramaturgia hamburgska“; następnie „Idylle“ Lessinga (1768), które najwięcej znalazły uznania. Przekładał je w wolnych chwilach głośny Turgot, minister finansów, a poeta Chênedollé (1769—1833) pisze w swojej autobiografii: „Wspominam sobie zawsze z prawdziwą przyjemnością ów słoneczny a mroźny styczeń roku 1789, kiedym na dworze czytał sobie Gessnera. W zacisznym kąciku, który mnie od wiatru zasłaniał, przesiedziałem całe dwie godziny zatopiony w pasterskie te sceny *(Hirtengeschichten)*. Niewiele chwil miałem w życiu, któreby mi większą sprawiły radość i bardziej czarujący urok; krótko mówiąc — miałem w tem poczucie poezyi w najwyższym stopniu“.

Potem zjawił się w przekładzie francuskim *Werther* Getego (1776), *Oberon* Wielanda (1784), a *Musarion* aż po trzykroć (1769, 1799 i 1800); „Zbójcy“ Szyllera (1785) p. t.: *Voleurs*, a w r. 1793 przedstawiono ich nawet w *Théatre du Marais* p. t.: *Robert, chef des brigands*. Ten sam zaszczyt dostał się i Getego *Clavigo*'wi, chociaż

[1] G. Pellissier, *Le Mouvement litéraire au 19. Siècle*, 1889.

Beaumarchais postawił warunek, że nazwisko Getego należy albo przemilczeć, albo zastąpić je jakim pseudonimem. Za to nie znalazł Gete widocznie względów u Zgromadzenia Narodowego, które nadając honorowe obywatelstwo Waszyngtonowi, Klopstockowi, Szyllerowi, Pestalozzi'emu i innym, o Getem zupełnie przemilczało. A przecież, jak się „Stary Weimarczyk" serdecznie cieszył, gdy się widział tłumaczonym na język francuski, świadkiem jest charakterystyczny jego wierszyk:

„Jüngst pflückt' ich einen Wiesenstrauss,
Trug ihn gedankenvoll nach Haus;
Da hatten von der warmen Hand
Die Kronen sich zur Erd' gewandt.
Ich setzte sie in frisches Glas;
Und welch' ein Wunder war mir das!
Die Köpfchen hoben sich empor,
Die Blätterstengel im grünen Flor;
Und allzusammen so gesund,
Als stünden sie auf Muttergrund.

So war mir's, als ich wundersam,
Mein Lied in fremder Sprach' vernahm".

Najbardziej zajmujące karty w omawianem dziele są te, które nam podają dowcipne a często trafne sądy francuskich pisarzy o dziełach, ludziach i typowych właściwościach niemieckich.

I tak np. sławną była w swoim czasie (1810) książka pani de Staël p. t.: *De l'Allemagne.* Niemcy zachwycali się nią po prostu, Gete nazwał ją „potężną artyleryą", a Napoleon i jego policya wypowiedzieli jej wojnę, oświadczając wraz z wyrokiem wygnania przez usta księcia Rovigo, że Francuzi jeszcze tak nizko nie upadli, by szukać sobie mieli wzorów u narodu, który oni podziwiają... Podajemy tutaj bodaj urywek z tego, co autor ze wspomnianego dzieła pani Staël przytacza o swych rodakach:

„Niemcy — pisze ona — są otwarci, wierni, pracowici, myślą wiele, mają szczególne zamiłowanie do literatury, filozofii i muzyki, a kwiaty, pielęgnowane przed każdem oknem na wsi, zdradzają dobroduszność i dużo uczucia. Ale... arystokracya za mało myśli, a uczeni mają za mało praktycznego zmysłu. Obok najczystszego entuzyazmu spotyka się najprostsze obyczaje. U kobiet obok skromności i wykształcenia razi brak talentu do konwersacyi. Kiedy Francuz potrafi mówić, choćby żadnych nie miał idei, to Niemiec zawsze więcej ma idei w głowie, niż ich wysłowić potrafi. Można się szczerze ubawić z Fran-

cuzem, choćby żadnego nie miał wykształcenia, bo swobodnie opowiadać będzie, gdzie był, co widział i co robił: Niemiec zaś, który nie myśli, nic nie mówi; co najwięcej — plącze się w formach grzeczności i wprawia w kłopotliwe położenie tak siebie jak i drugich. Jeśli Francuzowi jest co ciemne albo zawiłe, to przeskakuje, i sprawa ubita; w Niemczech wstydziłby się przeciętny śmiertelnik, gdyby się nie wydrapał aż do wysokości pomysłów jakiego sławnego pisarza. Im ani na myśl nie przychodzi, żeby go krytykować, ale raczej starają się zostać jego uczniami. We Francyi można rozprawiać o każdym przedmiocie w tak rozmaity sposób, że i najprostszy człowiek potrafi dłuższy czas znośnie o tem mówić: w Niemczech żaden prostaczek nie śmie ust otworzyć, tylko uczonym wolno mówić. A prawdziwe upodobanie mają w ciemnościach i taki wstręt czują przed prostym i zwykłym sposobem wyrażania się, że kiedy się co takiego trafia, umyślnie otaczają je mgłą metafizyczną, by miała pozór czegoś niezwykłego... We Francyi opinia publiczna rządzi pisarzami, a w Niemczech pisarze kierują opinią... Francuzi myślą i żyją przez drugich, choć tylko z próżności, i można z większej części ich dzieł wyciągnąć wniosek, że głównym ich celem nie jest przedmiot, o którym piszą, ale wrażenie, jakie nim wywołują: dlatego też wiele więcej starają się o styl, niż o rzecz samą... Stąd wynika, że Francuzi więcej na tem zyskują, gdy w niemieckiego ducha wnikają, niż Niemcy, gdy ulegają francuskiemu smakowi"... Jużto doprawdy nie możnaby tego powiedzieć o pani Staël, co Paweł Albert napisał o Al. Vinecie: *Il parlait notre langue, sans parler notre langage.*

Niektóre francuskie przekłady z Getego, Szyllera albo Rückerta, jakie nam autor przytacza, są tak piękne, że prawdziwy żal nas zbiera, iż miejsce nie pozwala nam na ich powtórzenie. Za to nie wchodzimy w ocenę filozoficznych pojęć ani literackich zapatrywań krytyków francuskich, a najlepiej może będzie zrobić to samo i z religijnemi poglądami autora, który — jak to widać z lekceważącego wyrażenia się (na str. 180) o św. szacie Chrystusowej w Trewirze — albo starokatolikiem jest, albo protestantem, albo Żydem.

Ks. Władysław Czencz.

Les républiques Hispano-Américaines. Par *Théodore Child.* Ouvrage illustré de 151 gravures et de 8 cartes. Paris. A la librairie illustrée.

Z tytułu książki już widzimy, że pięć rzeczypospolitych południowej Ameryki, o których autor zamierza mówić, wydała z łona

swojego stara Hiszpania. Dzieliły też one losy matki-ojczyzny aż do czasu, kiedy sprzykrzywszy sobie jej macosze rządy, w naszem stuleciu już, oderwały się ostatecznie. Historyę tych walk wplata p. Child w barwne opowiadanie swojej podróży po Ameryce południowej; zwiedzając z nim Buenos-Ayres, Mendogę i t. d., przedzieramy się przez łańcuch niebotycznych Andów, równających się malowniczością z odeptanemi przez naszych turystów Alpami. Podróżnik nasz przebywa je w części koleją żelazną, w części konno, dając nam opisy bardzo dokładne budującej się drogi żelaznej, przy której roboty postępują z iście amerykańską chyżością. W 1873 r. dopiero uzyskana została koncesya przez niejakiego Clarke na drogę mającą łączyć wschodnie wybrzeże Ameryki z Oceanem Spokojnym, a choć Clarke tego ogromnego przedsiębiorstwa nie dokonał, wkrótce kilka kompanij amerykańskich i angielskich podjęło tę Syzyfową chyba pracę, dając nadzieję, że niezadługo błyskawiczny pociąg będzie łączyć oba oceany i przebiegać kraje niezbadane dotąd przez przyrodników, ani wpisane z całą ścisłością naukową w karty geograficzne świata.

Linia ta kolejowa, wzniesiona do 4000 metrów nad poziom morza, przy powtarzających się licznie tunelach, nie mniejszym będzie cudem świata, jak europejski św. Gotard; pod względem zaś handlowym znaczenie jej będzie bardzo doniosłe: bo połączy porty argentyńskie z rolniczem Chili, nazwanem przez wieki ubiegłe „Ogrodem świata“, produkującym wszystkie gatunki zbóż i doskonałe wina. Nietylko jednak w rolnictwie leży bogactwo tego kraju; nasz podróżnik prowadzi nas do mnogich kopalń, jak np. węgla, dających dziennie do 3000 ton. Dalej idziemy za nim na pustynię Tarapaca, słynną z eksploatacyi saletry, której bogaty pokład kryje się u podnóża Kordylierów-Andów. Głębokość pokładu sięga w wielu miejscach do 1500 metrów, stanowiąc nieprzebrane bogactwo wobec zapotrzebowania saletry na wszystkich europejskich rynkach, do fabrykacyi prochu i sztucznych nawozów, używanych z każdym dniem więcej.

Cyfry wskazują, jak znacznie się zwiększa wywóz tych produktów; z każdym rokiem podwaja się niemal, a w r. 1889 dosięga niżej podanych sum. Za saletrę 3,158.799 dolarów w złocie, za sodę 30,403.515, za jod 191.117.

Peru znacznie już mniej jest uposażone. Plantacye jego potrzebują sztucznego nawodnienia, bo to kraj, gdzie deszcz nigdy nie pada; kopalnie zaś po ostatnich wojnach w znacznej części odpadły do Chili.

Nie jest to jednak kraj ubogi, a rozwój cywilizacyi jest w nim tak szybki, że współzawodniczyć może z ościennym krajem.

Podróżnik w eleganckim salonowym wagonie dojeżdża do Limy: widzi piękne panie w strojach paryskich, patrzy przez szyby magazynów na zbytkowne cacka europejskie, na uginające się półki księgarskie pod romansami Zoli, Daudeta i Ohneta, i zapomniećby mógł, że jest w południowej części nowego świata, gdyby wzrok jego nie raziły na każdym kroku gmachy, służące jakoby ku ozdobie miasta, na wzór gotyku lub maurytańskiego stylu zbudowane, najczęściej z drzewa oblepionego glinianemi ozdobami, nużącemi tylko oko nawykłe do wykwintniejszego smaku. Francuski i angielski język panują prawie wyłącznie wśród dystyngowańszych warstw towarzystwa, dzienniki jednak tak w Peru, Chili, jak i Buenos-Ayres, wychodzą przeważnie po hiszpańsku; dodajmy, że poczet ich nie jest mały, chociaż miewają niektóre po 20.000 abonentów. Ze zdziwieniem widzimy w nich korespondencye, specyalnie dla tego lub owego dziennika pisane przez takiego Jules Simon, Claretie lub Pawła Foucher z Paryża, Castelara z Madrytu i wielu innych. Francuskich pisarzy czytają w tłumaczeniu i w oryginałach, język ten bowiem przyswoił się zupełnie w wyższych sferach towarzyskich, jak angielski w przemysłowych. Dużo też widzimy angielskich przemysłowców rozsianych po wszystkich tych krajach: ubiegają się oni o zyski z tubylcami, w których krew hiszpańska płynie; o tych ostatnich mówi autor, że dla nich przekonania polityczne, miłość nawet ojczyzny, to tylko jeden sposób więcej dla wzbogacenia się i nagromadzenia więcej skarbów, złota i drogich kamieni, które to plemię płci obojga lubi namiętnie.

Najwięcej malowniczym rozdziałem książki p. Child jest opis przejazdu przez kanał Smytha i cieśninę Magellana. Dzika natura mało znanych wybrzeży, spotkanie z Indyanami, ostatnimi potomkami dawnych tubylców, których niknące plemię jeszcze w nielicznych osobnikach żyje, wegetując dziko na tem zimnem południu, gdzie lodowce i wiecznym śniegiem okryte góry dodają grozy tym krainom, nie nęcącym najśmielszych europejskich wychodźców.

Okoliwszy tak południowy cypel Ameryki, znowu powraca nasz podróżnik na wschodnie wybrzeże i zawija do portu stolicy argentyńskiej, do Buenos-Ayres. Tym razem przypatruje mu się bliżej i robi porównanie z widzianemi już krajami. Wzrost ludności bardzo go zajmuje, a w Buenos-Ayres jest on zadziwiający, zestawiając rok 1869,

w którym ludność miasta obliczoną była na 187.000, i rok 1889, w którym już liczy około 500.000.

Po dłuższych uwagach nad kolonizacyą Argentyny i wychodźtwem z Europy do republik południowej Ameryki, zajmuje się p. Child w książce swojej i historyą amerykańskich rzeczypospolitych, wymienia prezydentów z nowszych czasów, porównywa ich despotyzm nieraz z despotyzmem carów, zaznacza wszystkie przewroty polityczne, zwracając uwagę i na to, że najmniej odczuł je Paragwaj, gdzie długie wpływy hiszpańskich Jezuitów zbawienne zostawiły skutki. Paragwaj odzyskuje swobodę, wywalczoną przez ościenne kraje, i korzysta z niej pracując nad wewnętrznem swojem urządzeniem i dobrobytem.

Do książki, obejmującej około 500 stronic *in folio*, dodaje jeszcze autor epilog, w którym doprowadza historyę tych krajów do dni dzisiejszych, historyę interesującą nas szczególnie dzisiaj, kiedy tak często zwracamy oczy nasze ku temu nowemu światu, mającemu jeszcze dużo chleba do rozdania między upośledzonych w starej naszej Europie. Piękne ilustracye ukazują malownicze widoki, gmachy przypominające bodaj na pozór nasze pomniki starej cywilizacyi, teatra, giełdy i kościoły, a obok tego różnorodnych, mniej lub więcej cywilizacyą Europy naznaczonych mieszkańców.

M. S.

Szkice i obrazki z życia stołecznego. Przez *Jana Wazowa*. Sofia 1894. (Драски и Шаркн. Очерки изъ столичния животъ отъ Иванъ Вазовъ).

Nie obce jest czytelnikom *Przeglądu* nazwisko p. Wazowa, bo już w roku ubiegłym zaznajomiliśmy ich z treścią lirycznych jego poezyj pod tytułem: „Dźwięki“ (Звукове), które nader korzystne rzucają światło na poetyckie jego zdolności [1]. Dziś w *Draskach* i *Szarkach* p. Wazow staje przed nami już nie z lutnią poety, ale z ciętem piórem powieściopisarza-satyryka, który wybornie umie podchwytywać ujemne strony swego społeczeństwa, a zwłaszcza mieszkańców bułgarskiej stolicy.

Książka ta, to cały szereg obrazków, w których pod lekką beletrystyczną formą wiele głębszych ukrywa się myśli, obrazków dochodzących niekiedy do karykatury, ale pełnych werwy, humoru i życia. Przed wzrokiem naszym przesuwają się kolejno najróżnorodniejsze po-

[1] Porów. *Przegląd Pow.*, zeszyt sierpniowy 1893.

stacie: dygnitarze państwowi, nie mogący dać sobie rady z najprostrzemi domowemi sprawami; właściciele domów, którzy w ciągłej walce z bankiem, towarzystwem ubezpieczeń, budowniczymi, robotnikami, lokatorami. a zwłaszcza z komisarzem podatkowym, tracą powoli cały zasób wrodzonej energii; sofijscy dżentelmenowie, szlifujący bruki, płytcy, bezmyślni a zarozumiali, prawnicy aż do zbytku wierni zasadzie „ręka rękę myje“ — słowem, cała galerya typów mniej lub więcej komicznych i niezbyt wielką budzących w nas sympatyę. Tu i ówdzie tylko obok tych charakterów ujemnych występują dla kontrastu postacie jaśniejsze, jak naprzykład dwojga staruszków w noweli „Nowe przenosiny“ (Ново преселение). Staruszkowie ci skutkiem rozmaitych przewrotów państwowych tracą całe mienie i muszą się tułać po bułgarskich mieścinach, ale pomimo wielu zmarszczek na czole, nie tracą odwagi i rąk nie opuszczają, bo „człowiek dopiero na Orlandowcach (sofijskim cmentarzu) ma prawo odpocząć“. Pokrewną tej noweli pod względem treści jest inna, pod tytułem: „Stracony wieczór“ (Една изгубена вечеръ), gdzie autor wprowadza nas do grona artystów, uśmiechających się na scenie, choć w domu głód panuje.

Dotychczas mówiliśmy o postaciach, że się tak wyrazimy, ogólnieludzkich, napotykanych pod każdą geograficzną szerokością; w utworach jednak p. Wazowa nie braknie również postaci, które chyba tylko w bułgarskiem społeczeństwie, z powodu wyjątkowych nieco, miejscowych stosunków, mogły znaleść swój prototyp. Takimi naprzykład są dwaj redaktorowie w nowelach „Pustodimski“ (Пустодимски) i „Paragraf 33“ (Членъ 33). Pustodimski uważa dziennikarstwo za niezbyt uciążliwe *gagne-pain*, bez żadnych wyższych celów i szerszych aspiracyj, a wreszcie zawiesza wydawnictwo własnego dziennika i zostaje agentem, zbierającym na prowincyi prenumeratę dla innych gazet. Co do redaktora Isajewa w drugiej przytoczonej powyżej noweli, to umiejąc zaledwie czytać i podpisać swe nazwisko, służy on po prostu za firmę dla skrajnego opozycyjnego dziennika, za co pobiera pewne honoraryum, w razie zaś przekroczenia ustaw prasowych przez istotnych redaktorów, kryjących się za nim jak za parawanem, musi sam, jako redaktor odpowiedzialny, odsiadywać karę. Typ ten, nieprawdopodobny na pierwszy rzut oka, jest jednak zupełnie prawdziwy, czego dowodzi ciekawe sprawozdanie z procesu, wytoczonego w Sofii takiemu fikcyjnemu redaktorowi na początku roku bieżącego [1].

[1] Por. dziennik Свобода, rok 1894, nr. 1322.

Sylwetki kobiece wypadły niezbyt korzystnie, gdyż mężatki u p. Wazowa są przeważnie lekkomyślne, samolubne i zalotne: „Żałoba“ (Трауръ) i „Dramat“ (Драма); matki nie pojmują swoich obowiązków, sędziwe zaś i zamożne wdowy zamykają całą treść życia w trzech wyrazach: „Jedz, pij i śpij!“ (Яжды, пиій и спи!). Sympatyczna jest tylko postać młodego dziewczęcia, zmuszonego żyć w otoczeniu niezbyt moralnemi przesiąkłem zasadami, a jednak wzdrygającego się mimowoli przed wszystkiem, co złe i brzydkie. Miłe także, chociaż smutne wrażenie wywiera postać ubogiej kobiety, „Bazylowa“ (Василица), pełnej poświęcenia, wytrwałości i zaparcia się siebie.

Pod względem cech zewnętrznych *Draski* i *Szarki* odznaczają się barwnym i pięknym stylem, dyalogi przeprowadzone w nich są zręcznie i bardzo zajmująco, oraz okraszane niekiedy narodowemi bułgarskiemi przysłowiami, co im wiele dodaje uroku, całość zaś tętni życiem i prawdą. Wogóle więc książka ta daje nam poznać swego autora jako wielce utalentowanego satyrycznego pisarza, który choć surowo, ale sprawiedliwie i bez zjadliwej ironii sądzi swe społeczeństwo, karci je i upomina, lecz nie szydzi i nie obryzguje błotem; słowem, że użyjemy wyrażenia jednego z naszych poetów:

Boga nie bada, lecz przy świetle wiary
W ojczyźnie szuka woli Jego dróg,
Zna błędy ojców, zna braci przywary,
Lecz jak brat tylko, jak syn, nie jak wróg.

Tytus Sopodźko.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Antykościelne ustawy węgierskie. — Socyalizm we Włoszech. — Kurs socyalny we Fryburgu. — Protestancka nietolerancya. — *Nowa Reforma* o kardynale Koppie.

ANTYKOŚCIELNE USTAWY WĘGIERSKIE.

Parlamentarna walka podjęta przeciw kościołowi we Węgrzech, doprowadziła, niestety! do niemal kompletnego tryumfu antychrześcijańskich, skrajnych żywiołów, które, nie wiedzieć z jakiej racyi i na jakiej podstawie, mianują się „liberalnymi“. Izba magnatów, po której spodziewano się powszechnie, że potrafi stawić czoło kossuthowsko-wekerlowskim programom, ustąpiła niechwalebnie z pola, bo kilka drobniejszych poprawek poczynionych w projekcie rządowym w grę wchodzić nie może; parę przy pierwszem głosowaniu odrzuconych ustaw, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, wedle zwyczajowego prawa, któremu węgierscy magnaci w ostatnim czasie się poddali, będzie przyjętych przy drugiem, w najlepszym razie przy trzeciem. Ostatnia i jedyna nadzieja, co prawda, dość słaba nadzieja, w odmówieniu sankcyi monarszej. Biskupi węgierscy wręczyli cesarzowi adres, w którym zaklinają go, aby skorzystał z przysługującego sobie prawa i sankcyi odmówił. „Król węgierski, argumentują dzienniki katolickie, może tem łatwiej odpowiedzieć życzeniom węgierskiego episkopatu, że przyjęte osta-

tecznie przez parlament prawa różnią się w niejednym punkcie od przedłożonego pierwotnie przez rząd projektu". — „Królewska sankcya — upominają i straszą liberalno-radykalne organa — powinna być udzieloną jak najprędzej, aby rząd załatwiwszy się nakoniec z kościelnem prawodawstwem, zwrócić mógł całą uwagę na antydynastyczne agitacye, które w ostatnich czasach niemało się rozwielmożniły". Niezbyt lojalne to upomnienia, choć lojalnym szychem, jak na żarty, świecą; ale rząd Wekerlego przyzwyczaił już nas, w czasie całej antykościelnej kampanii do wyobrażania sobie zupełnie inaczej ministeryalnej i parlamentarnej lojalności w Peszcie, niż ją sobie wyobrażamy w Wiedniu.

Katolicy przegrali; na szczęście rąk nie opuszczają, nie oddają się zwątpieniu, lecz widząc i przyznając: „W niejednem zbłądziliśmy, niejednego nie dopilnowaliśmy", usiłują z przegranej jakąś przynajmniej korzyść na przyszłość dla siebie wyciągnąć; naprawić, co się jeszcze naprawić da. Wodzem w tej akcyi, nie nęcącej ku sobie wawrzynami świetnych zwycięstw, ale niemniej niezbędnej, jest mężny i wytrwały przywódca węgierskich katolików, w ostatnich rycerskich, choć nieszczęśliwych dla dobrej sprawy, zapasach, hr. Ferdynand Zichy. Odnajdujemy go na każdym zagrożonym posterunku; słyszymy energiczne jego słowa wszędzie, gdzie potrzeba zachęty, rady. To w publicznej odezwie, w prasie ogłoszonej, przygotowuje już dziś teren do przyszłych wyborów; to w innej odezwie wykazuje naocznie fatalne następstwa, które musiałoby za sobą pociągnąć wprowadzenie w życie uchwalonych antykościelnych praw; to w ognistej przemowie wygłoszonej na zebraniu komitetu gotującego walny wiec katolicki w Bielihradzie (Stuhlweissenburg) zagrzewa do walki i poucza, jakiej taktyki w niej się trzymać.

„Walki się nie lękamy — woła i pisze hr. Zichy. — Owszem, walka jest nam pożądaną, bo wzmacnia wiarę naszą i jest jej kamieniem probierczym. Ale z drugiej strony uważamy i uważać musimy za święty obowiązek uczynić wszystko, co tylko leży w naszej mocy, aby zapobiedz zgubie tylu dusz, usunąć rozgoryczenie szerzące się po kraju, zabezpieczyć wewnętrzny pokój i szczęście drogiej ojczyzny. Katolickie kluby, katolickie stowa-

rzyszenia uważać muszą obecnie za główne swe zadanie występować otwarcie i stanowczo przeciw ponownemu wyborowi nieprzyjaźnie dla Kościoła usposobionych posłów; później, gdy własnych postawimy kandydatów, powinny ich wszelkiemi siłami popierać. Wrogów Kościoła napiętnować należy z imienia i nazwiska; nie dopuszczać ich do wywierania żadnego wpływu, do sprawowania żadnej władzy. Namyślimy się jeszcze nad tem' kogo w szczególności przy przyszłych wyborach mamy do Pesztu wysłać; to nie podlega już dziś wątpliwości, że nikogo z tych, którzy głosowali za małżeństwami cywilnemi, którzy wprowadzając recepcyę Żydów, odjęli Węgrom charakter chrześcijańskiego państwa, lub gardłując za bezwyznaniowością wypowiedzieli wprost wojnę chrześcijaństwu. Niech Bóg przebaczy im popełnione zbrodnie, ale my ani chcemy, ani możemy stać się współwinnymi ich zbrodni".

Wespół z hr. Ferd. Zichym walczy niemniej śmiało i wytrwale w obronie chrześcijańskiej sprawy hr. Maurycy Esterhazy, założyciel i prezes katolickiego klubu w Budapeszcie. Klub ten, za którego inicyatywą i pomocą powstają z dnia na dzień coraz nowe katolickie stowarzyszenia po całych Węgrzech, jest cierniem w oku liberalnemu rządowi; przed kilku tygodniami uznał minister Szilagyi za odpowiednie wystąpić w Pressburgu z gwałtowną mową ostrzegającą o grożącem Węgrom niebezpieczeństwie ze strony wybornie zorganizowanych, ciągle w liczbę i siłę rosnących katolickich stowarzyszeń. Piękniejszej pochwały nie mogły się bezwątpienia stowarzyszenia te doczekać; gorące wyrazy uznania przesyłane ze wszech stron, przez miasta, korporacye, wiece — świeżo znów przez katolicki wiec dolno-austryacki, — walecznym, chrześcijańskim rycerzom, hr. Maurycemu Esterhazemu i Ferd. Zichemu, blednieją wobec tego uznania, złożonego przez najzaciętszego, jeśli nie najsprytniejszego wroga Kościoła katolickiego w Węgrzech.

SOCYALIZM WE WŁOSZECH. Długo szerzył się, wzrastał socyalizm we Włoszech bez żadnej trudności; przeciwnie zdawaćby się nieraz mogło, że kolejno zmieniające się rządy, zostają z nim w mniej

lub bardziej ścisłem, ale nieustającem porozumieniu; w każdym razie wątpliwości nie mogło ulegać, że pędziły wodę na jego koła, ciągłem prześladowaniem religii, zniesieniem setek klasztorów, konfiskatami dóbr kościelnych, z których na pierwszem miejscu uboższa ludność korzystała; niemożliwemi wydatkami na wojsko, na utrzymanie zewnętrznego blasku „Zjednoczonych Włoch“. Nagle, i pozornie przynajmniej bez żadnej bezpośredniej przyczyny, wydał Crispi dekret rozwiązujący wszystkie socyalistyczne stowarzyszenia w całych Włoszech. Dekret wykonano jednocześnie 22 października, przed godziną siódmą wieczorem; dotkniętych nim zostało 271 związków; w samym tylko Medyolanie 51. — Dawny rewolucyonista, trzymający dziś w ręku ster włoskiej nawy, użył przeciw dawnym, powiedzieć wolno, przeciw wczorajszym swym sojusznikom, prawdziwie rewolucyjnej broni; pytanie, na jak długo i w jakiej mierze skuteczną się ona okaże? Na pierwszą wieść o dekrecie Crispiego zawiązało się nowe stowarzyszenie „obrony wolności“, do którego odrazu przystąpiło kilku deputowanych. Stowarzyszenie to po dziś dzień nie jest bezwątpienia strasznem; zresztą rozwiązawszy jednego dnia 271 stowarzyszeń nie trudno będzie i to jedno jeszcze rozwiązać, — ale czy w ten sposób zerwie się łeb hydrze? Crispi, który z własnego doświadczenia wie, czem są, kiedy powstają i jakie mają znaczenie t a j n e stowarzyszenia, nie może chyba w tym względzie żywić illuzyi. Prawda, że kto sam chrześcijańskie zasady podkopuje, kto życie swe poświęcił systematycznemu niszczeniu wszystkiego, co zasady te dla dobra krajów i społeczeństw, dla ulżenia losu nieszczęśliwych, w życie wprowadziły, temu w walce z partyami przewrotu, pozostaje tylko — brutalna siła. Skuteczna to czasem broń, ale zawsze niebezpieczna; wyprowadzając ją w pole, nigdy wiedzieć, przewidzieć nie można, przeciw komu dziś jeszcze się zwróci.

KURS SOCYALNY WE FRYBURGU.

Ludzie, znający zasady chrześcijańskie i niemi przejęci, innemi drogami dążą do rozwiązania kwestyi socyalnej. Jak przed paru miesiącami w Wiedniu, tak obecnie, odbył się we Fryburgu (badeńskim) „praktyczny kurs socyalny“, ma-

jący na celu zapoznać szersze koła z rozumnym i nierozumnym, ze zdrowym i niezdrowym socyalnym ruchem, wskazać istotnie potrzebne w dziedzinie socyalnej reformy, zastanowić się nad bezpiecznemi — nie karkołomnemi — drogami i ścieżkami wiodącemi do tych reform. Między prelegentami na „ludowym uniwersytecie“, jak kursa socyalne powszechnie w Niemczech nazywają, znaleźli się najznakomitsi katoliccy socyolodzy; liczba uczestników doszła do 800. Główne idee przewodnie „kursu“ streścił prof. dr. Schaedler w programowym wykładzie wygłoszonym na zwołanem z okazyi „kursu“ wieczornem zebraniu „Katolicko-niemieckiego, ludowego związku“:

„Dzisiejsze nasze zgromadzenie dowodzi, że cesarskie hasło: ‚Dalej do walki z partyami przewrotu!‘ dobrze, gruntownie rozumiemy; co prawda, nie od dziś do walki tej jużeśmy wyruszyli, dawno, dawno temu, kiedy Windhorst hasła wydał, przeciw nieprzyjacielowi nas prowadził. W pewnych kołach nie rozumieją, nie chcą, właściwiej mówiąc, rozumieć nic innego pod tem hasłem, jedno hecę przeciw Polakom i prawa wyjątkowe. Najwyższy ten wynik mądrości w całej swej bezsilności, wystąpił na narodowo-liberalnym wiecu we Frankfurcie. Co się nas tyczy, jesteśmy przeciwnikami wszelkich praw wyjątkowych. Dyktatura kwestyi tej nie rozwiąże; na nic się nie zda wyprowadzać prawa wyjątkowe do boju przeciw ideom. Żądamy wolności dla wszystkich pułków stojących w służbie porządku, w szczególności dla zakonów... Głównem źródłem socyalistycznego nieszczęścia są materyalistyczne i ateistyczne zasady; dlatego kto na seryo walczyć chce przeciw przewrotowi, powiedzieć sobie musi: „Precz z liberalizmem, precz z fałszywą wolnością, która kładzie Boga na drugim planie, aby módz myśleć, czynić, używać, jak i co się podoba... Religia nie ku temu ma służyć, aby zastępować żandarmów, i chodzić na warcie koło napełnionych pieniędzmi worków bogaczy. Obowiązkiem religii bronić sprawiedliwości, bronić biednych; obowiązkiem nas wszystkich gruntownie rozważyć potrzeby i żądania robotników, nie targować się małodusznie, ale kiedy i o ile są słuszne, w zupełności im zadośćuczynić!“

Bardzo ważnym i praktycznym był wykład dr. Heinera, rozbierający niezmiernie aktualną i u nas kwestyę, w jaki sposób duchowieństwo może i powinno przeciwdziałać przeciw agitacyi socyalistycznej. Krzyki, łajania, obrzucanie błotem, mniejsza o to, socyalistów czy bankierów, robotników nie pozyskają i nie przekonają. Trzeba ich przedewszystkiem zapoznać z wiarą, o której mają najdziwaczniejsze wyobrażenia; trzeba z równą jasnością i śmiałością przekładać pracującym, jak pracodawcom ciężące na nich obowiązki. Już dzieci w szkole obwarowywać należy przeciw błędom socyalistów i rzucanym przez nich zarzutom. Obcowanie z robotnikami musi być ciągłe a pełne miłości, zwłaszcza w robotniczych stowarzyszeniach, które dziś są z natury rzeczy, może nie najgłówniejszem, ale z pewnością, nadzwyczaj ważnem polem kapłańskiej działalności. Dziś nie wolno już gorliwemu katolickiemu księdzu, stowarzyszeń takich nie zakładać, w posiedzeniach ich nie uczestniczyć, losem ich całem sercem się nie zajmować. Wrogowie nasi proszą nas i zaklinają: Ograniczcie działalność waszą w czterech kościelnych ścianach. Otóż właśnie wręcz przeciwnie czynić będziemy, idąc za rozkazami, za przykładem panującego nam dziś papieża. Iść za niemi będziemy, iść musimy, aby zwyciężyć w ostatecznej walce, jaka poniekąd już się rozgrywa, a niezadługo stanowczo się rozegra między katolicyzmem a socyalizmem".

PROTESTANCKA NIETOLERANCYA.

Jeden z fryburgskich prelegentów oddał niemałe pochwały „wewnętrznej misyi" protestanckiej, a nawet postawił ją do pewnego stopnia za wzór dla katolików. Wątpić nie chcemy, że pochwały to słuszne; cieszymy się, że katolicki mówca nie zawahał się z niemi wystąpić, bo dla katolika nie może być lepszej taktyki wojennej, jak we wszystkiem i ściśle ścisłej prawdy się trzymać; — co smutna, to, że protestanci nie idą za danym sobie przykładem, i nawet wobec wspólnego, całemu chrześcijaństwu grożącego niebezpieczeństwa, przezwyciężyć i utaić nie mogą zawiści względem katolickiego Kościoła. Tak np. obradujący w Berlinie w pierwszych tygodniach listopada „generalny synod ewangelicki" wytoczył działa najcięższego kalibru,

nie przeciw socyalistom, nie przeciw religijnej obojętności, spoganieniu całych warstw społecznych, i najwyższych i najniższych, — ale przeciw — Jezuitom. Zgromadzeni oświadczyli głęboką swą radość z powodu odrzucenia wniosku domagającego się zniesienia banicyi, rzuconej na zakon Jezuitów, ponieważ „zakon ten samą już swą wyzywającą nazwą zasiać może w umysłach niepokój, i ponieważ i bez Jezuitów aż zawiele sił protestanckich zużytkowuje się w toczonych obecnie bojach z Kościołem rzymskim; w razie zaś powrotu Jezuitów boje te wzmódzby się musiały, co wyszłoby jedynie na korzyść niewiary i społecznej anarchii".

Berliński synod nie zdaje sobie sprawy, pytać nie chce, czy lęka się, kto pierwszy niewierze wrota otworzył, kto ojcem jest grożącej światu społecznej anarchii. Poucza o tem protestantów nieco złośliwie, lecz zaprzeczyć nie można, że logicznie, główny organ niemieckiego socyalizmu, berliński *Vorwärts:*

„Dziś obchodzi brandenburski protestantyzm rocznicę wprowadzenia reformacyi i sekularyzacyi katolickich dóbr kościelnych przed 355 latami. Sekularyzacya nie oznacza nic innego, jak zmianę stosunków własności, jak przemianę pewnej, społeczeństwu szkodliwej formy posiadania w inną dla publicznej sprawy pożyteczną. Wszystkie władze nasze państwowe wielbią dziś te przemiany jako czyn zbawczy; śpiewają na ich cześć hymny pochwalne, a w tejże samej chwili zbroją się do walki na życie i śmierć ze socyalną demokracyą, właśnie dlatego ponieważ dąży do sekularyzacyi. O święto naiwności! O logiko, gdzieżeś się ukryła?! A może bardziej to jest rewolucyjnem, bardziej przewrotowi pomagającem, przeprowadzić zmianę własności kapitalistycznej na własność powszechną całego ludu, niż przemienić własność kościelną we własność książęcą lub państwową? Czy to zbrodnią, dążyć do sekularyzacyi w interesie, nie dynastycznym, ale powszechnym? Czy panegiryści reformacyi nie pojmują, że przewrotowi składają swe hołdy; przewrotowi, w słowa tego najbardziej krańcowem znaczeniu. Czy nie wiedzą, że Ludwik Blanc rozpoczął od Lutra i od reformacyi historyę wielkiej francuskiej rewolucyi?"...

„NOWA REFORMA" O KARDYNALE KOPPIE.

Cieszyński — nie wiemy stały, czy przygodny — korespondent krakowskiej *Nowej Reformy*, uznał za stosowne, i dla polskiej sprawy na Szląsku austryackim pożyteczne, odmalować kardynała wrocławskiego ks. Koppa, jako zaciekłego germanizatora, którego jedyną myślą dusić żywioł polski; którego wszystkie czyny i kroki, nawet wizytacye biskupie, „agitacyjne podróże" — jak je korespondent nazywa — do tego zmierzają celu [1]. Nic więc innego nie pozostaje — kończy cieszyński pisarz swe wywody — jak „odłączyć austryacką część dyecezyi wrocławskiej i albo utworzyć z niej samoistne biskupstwo, albo przyłączyć ją do dyecezyi krakowskiej; gdyby zaś to wszystko okazywało się do przeprowadzenia niemożebnem, istnieje zamiar, aby przynajmniej w Cieszynie mógł być biskup sufragan, a nie jak teraz tylko generalny wikaryusz, w najwyższym stopniu zależny od biskupa wrocławskiego".

Ani chcemy, ani możemy wdawać się w roztrząsanie pytania, jakiemi przedmiotowemi czy raczej podmiotowemi powodami kierował się anonimowy korespondent w swej brutalnej napaści, o której krótkie nasze streszczenie blade tylko wyobrażenie dać może. Co słusznie dziwi, to że *Nowa Reforma* otworzyła dlu niej swe łamy. Wszak choćby nawet pewna część zarzutów, podniesionych przez rozirytowanego korespondenta, odpowiadała rzeczywistości, to jeszcze zastanowić się należało, czy ogłaszanie ich w piśmie krakowskiem i to w takiej formie, w takim tonie, sytuacyi znacznie nie pogorszy; redakcya *Reformy* nie jest przecież z pewnością tak zabawnie naiwną, jak jej korespondent, który wierzy, czy może tylko wierzyć nam każe, że jego artykuły „onieśmieliły w wysokim stopniu ks. kardynała". — Ale czy odpowiadają rzeczywistości; czy redakcya *Nowej Reformy* jest o tem przekonaną; czy zna dość gruntownie, wszechstronnie szląskie stosunki, aby módz o tem być przekonaną? A jeśli nie zna, co właśnie najdosadniej jej artykuły stwierdzają; jeżeli tylko *jurat in verba* swego korespondenta, czy zastanowiła się, jak nieocenioną szkodę wyrządza właśnie tym, których do-

[1] *Nowa Reforma* z 28 października, nr. 247.

bra — chętnie to wierzymy — z serca pragnie, zniechęcając do Polaków ludzi, którzy nietylko dobra ich pragną, ale mogą się do niego w znacznym stopniu przyczynić, którzy dotąd z pewnością sto razy więcej dobrego dla Polaków na Szląsku zdziałali, niż nie jedna, ale dziesięć *Reform* zdziałaćby kiedykolwiek miały możność i sposobność. Niechętne nam gazety niemieckie na Szląsku pochwyciły w lot te smutne elukubracye i tryumfują: „Oto, za jakich ludzi zastawiacie się, walczycie, narażacie się na niechęć rządu“. Polscy księża publicznie protestują przeciw „kłamliwym i złośliwym oszczerstwom“, przeciw „perfidyi pamflecisty“ i „podłym jego zarzutom“.

„Mamy — pisze ‚polski ksiądz‘ ze Szląska w wychodzącym w Freiwaldau *Mährisch-Schlesischer-Volksfreund* — i przytoczyć możemy nie jeden, ale sto silnych dowodów, okazujących, że nasz ksiądz kardynał jest przyjacielem Polaków. Lękać się jednak słusznie musimy, aby nawet przy najlepszej woli, ciągle z niewdzięcznością się spotykając, uczuć swych dla nas nie zmienił... Żywimy nadzieję, że J. Eminencya karać nie będzie całej trzody dla jednej parszywej owcy“...

W następnych i poprzednich ustępach wykazuje „polski ksiądz“ po szczególe fałszywość przesłanych do *Reformy* oskarżeń; wyśmiewa projekt rozdziału wrocławskiej dyecezyi, zastanawia się nad życzeniem wyrażonem przez kardynała, aby kler nie mieszał się do narodowościowych sporów. I biskup Polak inaczej uczyć i działaćby nie mógł.

Szkoda — powtórzmy raz jeszcze z naszej strony — szkoda prawdziwa, że *Nowa Reforma* zmusza polskich księży na Szląsku do takich protestów; nieoceniona szkoda, że tak delikatne sprawy, traktuje z widoczną nieznajomością, niezrozumieniem ludzi, prądów, stosunków; szkoda, że służąc — nie przeczymy, że dotychczas z dobrą wiarą — animozyi jednego człowieka, podaje i ostrzy broń na własnych, i bez tego dość biednych rodaków!...

Ks. Jan Badeni

List z Poznania.

9-go listopada 1894 r.

Przesilenie w ministeryum berlińskiem. — Znaczenie jego dla nas. — Stronnictwo ludowe. — Sprawozdanie Banku ziemskiego. — Heca antypolska. — Wystawa w Poznaniu.

Oczy wszystkich poddanych Jego Ces. i Król. Mości Wilhelma II. zwrócone są dziś na Berlin z takiem natężeniem i ciekawością, że prawie bez wrażenia przebrzmiały dzwony pogrzebowe na dalekim Wschodzie, których dźwięki żałobne z Liwadyi ponure echo po całym roznosi świecie. Zwykłą ludzkich losów koleją, tam skonał w sile wieku męczennik idei przeżytych i martwych haseł; tu młody monarcha o liberalnych poglądach a potężnej indywidualności, spostrzegłszy nagle, że doradcy jego nie posiadają zaufania narodu, że obce im ważne zagadnienia, jakie w czasie najbliższym rozwiązać koniecznie potrzeba, z szybką decyzyą, z energią nieco febryczną, jaka cechuje działalność jego, postanowił zastąpić ich innymi. Wykonanie nie zabrało więcej czasu aniżeli postanowienie. Hohenlohe przejął urzędy kanclerza Rzeszy i prezydenta pruskich ministrów, zajęte wczoraj przez Capriviego i Eulenburga. Zdumienie było ogólne; dzienniki wszelkich stronnictw i odcieni zapełniają łamy bez końca, starając się dać odpowiedź na pytanie, co wywołało nagłe te dymisye. Rozwiązanie zagadki nie leży naszem zdaniem w żadnym szczególe, których codziennie nowych prasa przytacza setki; leży ono li tylko w usposobieniu cesarza i jego polityce.

Znana jest czytelnikom *Przeglądu* historya ustawy szkolnej hr. Zedlitza i tegoż nagłe usunięcie — coś podobnego zaszło i teraz. Projekt Zedlitza, zwracający szkolnictwo niemieckie na tory czysto wyznaniowe i szczerze konserwatywne, podobał się cesarzowi, spostrzegł jednak, że wprowadzając go w życie, zerwie ze stronnictwem liberalnem i tem samem zagrodzi drogę przyjęciu traktatów handlowych, których potrzebował dla polityki zewnętrznej przedewszystkiem. Z oportunistycznych więc względów nie wahał się poświęcić ustawy uznanej za dobrą, zdolnego ministra; w ostatniej chwili projekt został cofnięty, a hr. Zedlitz podał się do dymisyi; zastąpiono go bezbarwnym p. Bosse. Pozostały kanclerz, jenerał Caprivi, który, jak sam się wyraził, urząd swój uważał za posterunek wojskowy, „na którym pozostaje do dalszych rozkazów“, przeprowadził z wielkim mozołem i trudem traktaty

handlowe. *Ich nehme das Gute wo ich es finde*, czyli po polsku: „wszelkie żywioły przyjmuję do mojej parlamentarnej większości, bo inaczej sobie poradzić nie umiem“, — oto jeden z motywów tego *sui generis* ministra-żołnierza. Szczególne też były te większości byłego kanclerza — socyaliści, wolnomyślni, Polacy, część nacyonal-liberałów i część *Centrum*, głosując za projektami rządowemi, przeforsowali traktaty, ale konserwatyści ostatecznie zrażeni byli do hr. Capriviego. Jasnem było, że ta przypadkowa a dziwacznie złożona większość, dla żadnych innych projektów rządowych pozyskać się nie da, że po prostu najbliższego budżetu nie uchwali. Katastrofa była nieunikniona, a czas uchodził. Cesarz próbował nastraszyć konserwatystów, groził niełaską — nic nie pomagało — organa „Związku rolników“ i *Krzyżowa gazeta* coraz to zjadliwiej zaczepiały kanclerza, czasami, choć nieśmiało, uderzały wyżej; jasnem było, że tak dalej nie pójdzie. Aby zrozumieć, do jakiego stopnia doszło było ogólne naprężenie stosunków, dość wspomnieć, że spokojnych obywateli flegmatycznego Berlina, gdzie nawet socyalistów i anarchistów odznacza *ein Anstrich von Gemütlichkeit*, dochodziły w *Stamm-Kneip*'ach i przerażały groźne, a jak się pokazało uzasadnione pogłoski o projektowanym zamachu stanu. Najniespodziewaniej po mowie toruńskiej, niezrozumiałej dotąd pomimo licznych komentarzy, oświadcza cesarz w Królewcu, że opozycya szlachty pruskiej jedynie wtedy jest uprawniona, gdy ma króla na czele, że jego programem jest walka z partyą przewrotu i że wzywa do niej przedewszystkiem konserwatystów, których skarg każdej chwili wysłuchać gotów. Prawie bezpośrednio po tej mowie, także nieco enigmatycznej, mianowicie co do kwestyi, przeciw komu właściwie ma się skierować „opozycya“ szlachty z królem na czele, następują dymisye Capriviego, Eulenburga, skompromitowanego zdaje się projektem zamachu stanu, i Heydena, ministra dla rolnictwa. Równocześnie cesarz przyjmuje łaskawie deputacyę związku rolników. Czy hr. Caprivi uczynił dobrze, przyjmując pomoc stronnictw, których polityczne zasady musiały mu być podejrzane, o tem wątpimy: czy cesarz Wilhelm nie bawi się w grę niebezpieczną, poświęcając z oportunistycznych względów bez wahania ludzi i zasady, historya kiedyś osądzi: nam liczyć się wypada z faktem dokonanym i z charakterem cesarza, po którym i w przyszłości spodziewać się można zmian podobnych jak te, które spowodowały kolejno nagłe dymisye Bismarka, Zedlitza i Capriviego.

A teraz, co nam przyniósł kurs Capriviego, co nam przyniesie Hohenlohe? Kwestya polska w Poznańskiem, egzystencya naszego ży-

wiołu, jest kwestyą polityczną ras i nią zajmują się wszyscy; wszyscy o niej wiedzą i mówią jak daleko sięgały granice dawnej Polski. Położeniem ekonomicznem Księstwa zaczęła się zajmować Polska dopiero od lat niewielu, bo od założenia Banku ziemskiego w Poznaniu, i wielu ziomków naszych, pod zaborem rosyjskim i austryackim, do dziś dnia położenia naszego ekonomicznego po prostu nie zna, albo nie rozumie, w każdym razie jedno i drugie bardzo niedostatecznie. Otóż pod względem politycznym zawdzięczamy hr. Capriviemu niewątpliwie, choć w zasadzie nieznaczne, ale w praktyce namacalne ulgi. Jakoto: zamianowanie ks. d-ra Stablewskiego na stolicę arcybiskupią, reskrypta językowe Zedlitza i Bossego — choć całkiem niedostateczne, ale jednak ważne jako pierwszy wyłom w systemie bezwzględnej germanizacyi — wreszcie i wogóle zmianę tonu i usposobienia dla nas w sferach rządzących. Natomiast nie zdobył się Caprivi na zniesienie żadnej z ustaw, których tyle przeciwko nam ukuła ślepa nienawiść jego żelaznego poprzednika. Komisya kolonizacyjna funkcyonuje nadal, a Polacy, wstępujący z konieczności do służby rządowej, jeśli chcą pozostać w kraju, zadawalniać się muszą posadami woźnych, tłumaczów lub listonoszów, chcąc zaś wyższych dopiąć zaszczytów, zgodzić im się trzeba *im Interesse des Dienstes* na translokacyę za Łabę lub Ren, osłabiając tem żywioł miejscowy, dla którego przepadają bezpowrotnie. W kwestyi ekonomicznej Caprivi wyrządził nam nieobliczone szkody; uważał on Niemcy za państwo przemysłowe, *Industriestaat*, i na tej zasadzie, z gruntu fałszywej, opierając system swój ekonomiczny, popełniał w tej mierze błąd po błędzie, a kryzys rolniczą, której co prawda nie wywołał, zaognił jednakowoż niebezpiecznie. Nieobeznany zupełnie z położeniem rolnictwa w Niemczech, pomimo woli i wiedzy podkopał tegoż rolnictwa byt, a zarazem i dobrobyt ludności wiejskiej i właścicieli ziemskich. Błędy te uczuć się dały najmocniej tam, gdzie kraj najwyłączniej rolniczy, przemysł najmniej rozwinięty, a zatem najwięcej w prowincyach wschodnich, a mianowicie w Poznańskiem. Nasi współobywatele niemieccy ucierpieli na tem w równej mierze jak i my, chociaż te przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe, jakie są w Księstwie, w ich jeszcze przeważnie znajdują się ręku, chociaż dla nich otwarte wszelkie karyery i urzędy. Ludność polska w Księstwie wyłącznie prawie z rolnictwa żyjąca, przemysł polski i handel, że tak powiem w powijakach, skazany na odbiorców i konsumentów rolników, najciężej odczuły błędy polityki wolnohandlowej byłego kanclerza, za które oby długo nam jeszcze pokutować nie trzeba. Rozwój nasz ekonomiczny

znajduje się w stanie rozpaczliwego po prostu zastoju, i gdyby tak dalej trwać miało, jeśli wielka własność polska, jaka jeszcze jest, nie zdoła się utrzymać tak długo przynajmniej, dopóki żywioł włościański ziemi jej odkupić nie będzie w możności, a przemysł polski i stan średni na własnych nie stanie nogach — to społeczeństwo polskie w naszej dzielnicy, które przetrwało szczęśliwie i z chwałą narodowe powstania, niebezpieczne i drażliwe przesilenie usamowolnienia włościan, wreszcie erę bismarkowskiej przemocy, będzie miało koniec prozaiczny, po prostu ekonomicznie zbankrutuje.

Nowy kanclerz, książę Hohenlohe-Schillingsfürst, powołany na swój wysoki urząd, aby przejednać partyę konserwatywną, zapewne według orzeczenia ministra Miquela zajmie się poprawą stosunków niemieckiego rolnictwa. Jeśli mu się to uda, to *eo ipso* może także niechcący narodowości naszej wielką odda przysługę. Pod względem politycznym książę, starzec przeszło siedmdziesięcioletni, wielki pan w całem tego wyrazu znaczenia, chłodny katolik i dyplomata z zawodu, będzie kanclerzem wcale przyzwoitym, bardzo wygodnym i niemniej od swego poprzednika wiernym zasadzie: „co pan każe, sługa musi". Sam wiek jego podeszły zdaje się zapowiadać wkrótce nowe przesilenia i nowe dekoracye... tego samego kursu. W społeczeństwie też naszem nadzieje jakichkolwiek zmian na lepsze czy gorsze, mało wywierają wrażenia, i za zwołaniem izb szukać będziemy oznak usposobienia rządu dla nas, śledząc czy mniej lub więcej zaproszeń na mniej lub więcej oficyalne obiady odebrał pan Kościelski.

W Poznaniu tymczasem t. zw. stronnictwo ludowe niemało narobiło hałasu; rozbiło zebranie zwołane w celu wybrania nowego komitetu wyborczego. O ile się zdaje, miała lista komitetu ludowego większość zapewnioną — tymczasem poznański *plebs* — przepraszam — szanowni wyborcy — straszną wszczęli wrzawę, nie wiadomo dlaczego, chyba z przyzwyczajenia. Pankracy w krześle prezydyalnem pomagał ile gardła starczyło, przerywał mówcom, głos odbierał bez żadnego powodu — dość, że zanim zdołano obliczyć, po której stronie większość, policya rozwiązała zebranie i lud poszedł do domu z kwitkiem, zostawiając u steru dawny komitet, bo nowego nie wybrał. *Przegląd Poznański*, który dotąd partyę ludową brał nieraz w obronę, a którego redaktor był także ławnikiem na owem niefortunnem zebraniu, zamieścił o niem artykuł p. t. „Samobójstwo polityczne". Opisane tam dość bezstronnie taktyczne błędy obu stronnictw poznańskich, ale pewne przebija zdziwienie, że Pankracy nie opanował tłumów. Chcielibyśmy

autorowi przypomnieć, że tłumy roznamiętnione, podobne do tych duchów z *Zauberlehrling*'a, o których mówi poeta: *Die Geister die du rauf beschworen, die wirst du jetzt nicht los* — z tą różnicą, że na nie żadna czarnoksięska nie pomoże formułka. Nie życzymy sobie wcale, aby partya ludowa popełniła samobójstwo, nie mamy nic przeciw temu, aby na zebraniach poznańskich miała przewagę i wybierała swoich, pragnęlibyśmy tylko, aby doszła do wyrobienia politycznego o tyle, aby nie wydawać zwierzęcych wrzasków tam, gdzie ma prawo mówić, aby starała się przegłosować przeciwników zamiast zebrania rozbijać, jednem słowem, aby stanowiła siłę polskiego żywiołu, a nie jego zakałę i piętę Achillesową.

W trudnem naszem położeniu, w którem rzadko spotkać nam się zdarzâ z objawem dodatnim, każdy objaw taki budzi tem większą i uzasadnioną radość. Takim zaś objawem jest niewątpliwie sprawozdanie Banku ziemskiego za rok obrachunkowy 1893—1894. Przekonywamy się z niego, że Bank w przeciągu lat pięciu swego istnienia, przy szczupłych stosunkowo funduszach, pomimo trudności prawnych, z jakiemi miał do walczenia, osobliwie w początkach, rozparcelował około 40.000 morgów magdeburskich, przedstawiających wartość 6 milionów marek przeszło, a zatem znacznie więcej aniżeli komisya kolonizacyjna ze swym stumilionowym aparatem. Dowód, że instytucya to niesłychanie żywotna i koniecznie potrzebna, powtóre że prowadzona równie umiejętnie jak szczęśliwie, kiedy właścicielom udziałów dawała przez cały ten czas dywidendę w wysokości 4 od sta, a fundusze rezerwowe podwoiła. Społeczeństwo poznańskie śledzi z najwyższem zajęciem czynności i postępy Banku, ale, niestety, zbyt jest ubogie, aby dostarczyć mu odpowiednich funduszów; nowa też emisya bankowa, rozpisana już od roku, pokryta jest w tak drobnej cząstce, iż żadnej prawie niema nadziei, aby do ostatniego grudnia roku przyszłego do skutku doprowadzoną być mogła. Jeśli więc kapitały z innych dzielnic nie przyjdą nam do tego czasu w pomoc, to najużyteczniejsza z naszych instytucyj nie podoła ani w części swemu zadaniu i skazaną będzie, jeśli nie na całkowitą bezczynność, to w każdym razie na działalność bardzo powolną i ograniczoną w stosunku do ogromnego pola pracy, jakie przedstawia dzisiejsze Księstwo.

Nie wiadomo, czy przeczytawszy sprawozdanie Banku ziemskiego, czy statystykę ludności, wykazującą szybsze rozrastania się ludności polskiej aniżeli niemieckiej — jednem słowem, nie wiadomo, z jakiego powodu dawny nasz przyjaciel i dobroczyńca, żelazny niegdyś książę

wojewoda lanenburski, dziś starzec zgryźliwy i zdziecinniały, uznał nas za godnych zaszczytu nowej hecy antypolskiej, której zorganizowaniem osobiście zająć się raczył. Pierwsze zaczepne kroki rozpoczął syn znanego berlińskiego bankiera a gorącego przyjaciela i wielbiciela księcia eks-kanclerza. Młodzieniec ten, znudziwszy się snać piękną willegiaturą w Poznańskiem, dla odświeżenia umysłu pojechał do Friedrichsruh i stamtąd powróciwszy, wypalił do *Deutsches Wochenblatt* artykuł przeciwko nam skierowany, równie siarczysty jak niedorzeczny, pełen historycznych fałszów i pseudo-politycznych, szumnych a niedowarzonych frazesów. Napad ten wywołał ogólne zdziwienie, a pisma poznańskie poświęciły mu wzmianki dość lekceważące, dające się streścić mniej więcej nie nowem *si tacuisses*. Nikt nie przypuszczał wówczas, że to prolog do farsy równie niesmacznej jak bezcelowej, której punktem kulminacyjnym — defilada w szyku bojowym z parasolami przed *Reichs-Köter*'em Tyrasem i jego panem w Warcinie. Znana już w całej Europie mowa, z której przekonaliśmy się, że pustelnik z Friedrichsruh w samotności niewiele zapomniał, a niczego się nie nauczył. W tych przydługich wywodach niegdyś męża stanu, nie znajdujemy jednej świeżej, zdrowej myśli, przebija w nich bezsilna nienawiść starca-gaduły, którego ostatnią i jedyną pociechą jest: wylewać żółć na najsłabszych swych dawnych antagonistów — bo silniejszych zaczepiać już nie śmie. Toby wszystko niczem było, gdyż niedołężnym starcom i nieletnim dzieciom jednaka należy się pobłażliwość; gorszym symptomem, to gotowość, z jaką za głosem Bismarka współobywatele nasi niemieccy, bez najmniejszego z naszej strony powodu, rozwinęli wrogą żywiołowi naszemu agitacyę z podeptaniem nietylko poczucia sprawiedliwości, ale zasad prostego taktu. Biorąc na uwagę, że to właśnie przedstawiciele szlachty niemieckiej i wielkiej własności odznaczają się w iście cyrkowej tej hecy najkrzykliwszym animuszem w chwili, gdy ekonomiczna ich egzystencya podcięta i zagrożona, w chwili, gdy król i cesarz wzywa do zjednoczenia wszystkich sił, by bronić tronu i ołtarzy, podmywanych falą socyalnej rewolucyi — możnaby doprawdy dojść do przekonania, że wszystkie definicye pruskiego junkra, jakie w izbach berlińskich z upodobaniem kreślą Richter, Rickert i inni, żadną nie grzeszą przesadą, i dziwnego nabrać wyobrażenia o rozwoju uczuć etycznych i władz intelektualnych reprezentantów niemieckiej partyi konserwatywnej, która, jako taka, przedewszystkiem odznaczać się winna arystokratycznym spokojem i umiarkowaniem politycznem. Tak źle jednak nie jest, a wytłumaczenie owego zjawiska znajdziemy, przejrzawszy imiona przywód-

ców ruchu, szlacheckie wprawdzie, ale nieznane nietylko historyi, lecz i heraldyce, szukające więc sposobności, by rozgłosem politycznej zasługi uświetnić... miliony zdobyte na Wielkopolskiej ziemi i tarcze herbowe, rażące niemile swą zbytnią świeżością. Należałoby pomyśleć: *habeant sibi*, nie zwracając uwagi na te wybryki, wyzyskane już należycie przez pisma humorystyczne i dowcipne pamflety, rozrzucane po ulicach Poznania w formie cyrkowych afiszów. Lekceważyć możnaby je nawet, tem więcej, że rząd dotychczas najzupełniej ignoruje takowe — gdyby nie oddziaływały one fatalnie na prace organiczne w dzielnicy, w której do zrobienia jest najwięcej, zadanie wskutek różnic językowych najtrudniejsze, a wszelki postęp koniecznie wymaga wspólnej, zgodnej pracy obu zamieszkujących ją narodowości.

Wobec tych stosunków projektowana w roku przyszłym wystawa w Poznaniu wypaść musi nadzwyczaj blado. Z początku zdawało się, że Polacy całkiem odmówią swego udziału, ponieważ — specyalny to objaw krzyżackiego taktu — do komitetu powołano przewodniczącego komisyi kolonizacyjnej. Później polskie przemysłowe firmy w Poznaniu ze względów finansowych zdecydowały się, pomimo to, wystawić okazy swoich wyrobów. W każdym jednak razie przewidzieć nietrudno, że liczba wystawców i zwiedzających w nader umiarkowanych pozostanie granicach. Rzecz cała nosić będzie cechę czysto niemiecką, urzędową, z odcieniem demonstracyi antypolskiej, kiedy w zarządzie zasiada prezes antypolskiej komisyi. Uczucie jeszcze więcej bolesne dla tych z pomiędzy nas, którzy szczęście mieli zwiedzić tyle piękną i miłą tegoroczną wystawę lwowską.

A. Ż.

Wybory w Belgii.

Znakomity socyolog hiszpański, Donoso Cortès, wyrzekł przed pół-wiekiem pamiętne słowa, że gdy katolicy i socyaliści zaczną między sobą roztrząsać wielkie interesa ludzkości, liberalni będą między nimi stratowani. Zdanie to wygłoszone w chwili największego rozkwitu liberalizmu, mogło wówczas uchodzić za utopię; dziś stwierdzają je fakta, a najdobitniej może świeży wynik wyborów w Belgii, tej niegdyś ziemi obiecanej liberalizmu, gdzie wszystkie jego programy polityczne, religijne i ekonomiczne, najzupełniej były uiszczone. Mały

ten kraik jest dla Europy niejako probierczem polem, na którem odgrywają się zmiany ważne i najdonioślejsze przeobrażenia ducha czasu.

Sprawa reformy wyborczej poruszała tam umysły od dawna, bo od roku 1870, a lat temu trzy, dojrzała tak dalece, że na wniosek deputowanego Pawła Janson, który jako najgwałtowniejszy prowodyr radykalnego skrzydła lewicy, zasłużył sobie na zaszczytny przydomek *l'homme boulet*, zgodziła się w dniu 20 maja 1891 r. wybrana *ad hoc* komisya parlamentarna w zasadzie na zmianę dotychczasowej konstytucyi. Po długich sporach rozpisano wreszcie 23 maja roku następnego nowe wybory do parlamentu, mającego zmiany te przeprowadzić, a stąd nazwanego *Constituante*. 22 czerwca wybory były dokonane, a wyszło z nich 92 katolików i 60 liberałów do Izby deputowanych, 46 katolików i 30 liberałów do senatu. Wynik ten był nader ważny, i dziś odejmuje liberałom ostatnią ich broń zwalania na katolików odpowiedzialności za skutki nowego prawa wyborczego. Jak wiadomo bowiem, do zmian konstytucyi potrzebną jest w Belgii, tak jak zresztą prawie wszędzie, większość dwóch trzecich głosów. Większość tę posiadali katolicy w parlamencie z r. 1891, ale utracili ją w *Constituante*, w której przeciwnie liberalni 14 nowych mandatów zyskali. Zgromadzenie ustawodawcze otwarte zostało w dniu 8 listopada 1892 r. Zapowiadało się burzliwie. Na króla, który konno z pałacu do Izby wyjeżdżał, rzucono deszcz różnokolorowych kartek z napisem: „prawo wyborcze", a w następnych miesiącach tak w stolicy jak i na prowincyi stały się codziennem zjawiskiem nieporządki i zaburzenia socyalistyczne, którym partya liberalna nie była obcą. Tymczasem komisye pracowały nad zmianą artykułów dotyczących prawa wyborczego. Podług dawnej konstytucyi z 7 lutego 1831 r., która zapewniła krajowi 60 lat spokojnego rozwoju, posiadał prawo głosowania każdy, kto płacił 42 fr. 32 centimy bezpośrednich podatków i liczył 21 lat. Osoba wybranego nie podlegała żadnym ograniczeniom podatkowym. Do senatu, wybieranego przez tych samych wyborców, wymagano 40 lat i opłacania 2000 fr. podatków. — Zarysowały się od razu dwie tendencye. Jedna za prawem wyborczem bez zastrzeżeń, a kierunek ten przedstawiał pomiędzy radykałami Janson, pomiędzy katolikami Nothomb — druga za różnemi ograniczeniami, np. nizkiem *census* podatkowem, reprezentowana przez katolickiego prezesa ministrów pana Beernaert i ze strony liberalnej przez p. Frère-Orban, byłego ministra i patryarchę liberalnego doktrynerysmu w Belgii. Zdania ścierały się ostro, a echo dyskusyj parlamentarnych odzywało się i poza Izbą na zgromadzeniach ludowych,

które kilkakrotnie do poważnych doprowadziły rozruchów. Wreszcie, z powodzi różnych wniosków i propozycyj, wyłonił się projekt posła Nyssens, który wniósł w kwietniu 1893 r. ustanowienie t. zw. systemu pluralnego, mocą którego każdy pełnoletni mieszkaniec i poddany belgijski posiadać miał jeden głos, niektórzy zaś wyborcy, po dwa lub trzy głosy, a mianowicie ojcowie rodzin, właściciele nieruchomości, których wartość przewyższa 2000 fr., dalej posiadacze takichże wkładek w kasach oszczędności, a wreszcie ci wszycy, którzy uzyskali świadectwo dojrzałości w szkołach średnich. Projekt ten zrazu spotkał się z gwałtowną opozycyą. Zarzucono mu niekonsekwencyę np., że wdowiec mający dzieci, miał posiadać dwa głosy, a wdowiec bezdzietny tylko jeden. Ale wkońcu, głównie dzięki taktownemu zachowaniu się rządu, prawo Nyssens'a zostało przyjęte i tym sposobem częściowa, choć niezupełna, równowaga między różnemi klasami wyborców osiągnięta. We wrześniu tego samego roku zgodzono się także na zasady, podług których następować miały wybory do senatu, przyczem uwzględniając z jednej strony prawo powszechnego głosowania, zatrzymano z drugiej dla kandydatów warunek płacenia 1200 fr. rocznych podatków. Na tem jednakże nie skończyła się sprawa reformy wyborczej. Tak katolicy jak i przeciwnicy ich starali się dodatkowemi paragrafami, stosownie do swych zapatrywań, złagodzić lub zaostrzyć skutek uchwalonych już praw. Wśród walki coraz widoczniejszą się stawała zależność liberałów od ich radykalnych sprzymierzeńców, stwierdzająca wymownie, że liberalizm jest tylko stanem przejściowym, początkiem drogi prowadzącej na lewo przez radykalizm dalej jeszcze do socyalizmu. Między innemi przeszło prawo przymusu wyborczego, naznaczające karę za dobrowolne usunięcie się od wyborów. Mniej powodzenia miał projekt p. Beernaerta, dotyczący proporcyonalnej reprezentacyi mniejszości. Pan Frère-Orban, występując w imieniu całej lewicy, zwalczał go namiętnie. W broszurze swej: *La révision constitutionelle en Belgique,* gromi on *ex cathedra* katolików i rząd w imię liberalnej doktryny, która, zdaniem jego, jedyna jest krajową i narodową. Wobec takiego oporu, a nadto ponieważ i w obozie katolickim odezwały się głosy uznające, że wyżwspomniana kwestya nie jest na czasie, postanowił p. Beernaert po 10-letniej pracy usunąć się z prezydyum ministrów i w marcu b. r. zastąpił go w nowym gabinecie, którego skład zresztą prawie niezmienionym pozostał, p. de Burlet.

W świecie parlamentarnym zapanował względny spokój, przerywany tylko od czasu do czasu echem ulicznych wybryków socya-

listów i anarchistów, którzy wciąż podniecani z Francyi, bardzo śmiało nieraz występowali. Wszystkie partye gotowały się do walnej rozprawy, mającej nastąpić w październiku pod postacią wyborów dokonanych na podstawie nowych praw. — Prawa te zaprowadziły takie zmiany w organizacyi wyborczej, że trudno było przewidzieć skutek. Nietylko, że ze 138.000 wyborców wzrosła ich liczba do przeszło 1,300.000, a dzięki systemowi pluralnemu, liczba uprawnionych głosów dochodziła cyfry przeszło dwóch milionów, ale nadto przymus wyborczy zapewniał jak najliczniejszy udział w wyborach. Zwycięstwa spodziewały się wszystkie partye. Wielką pewność siebie okazywali przedewszystkiem liberalni, których główne organa: *Indépendance Belge* i *Etoile Belge*, szumnemi frazesami świetne zapowiadały zwycięstwo. To samo czyniły organa radykalne, a poza niemi, mniej polegając na słowach a więcej na czynnej i gorliwej agitacyi, przygotowywali teren socyaliści. Sypały się broszury, mowy, zgromadzenia przedwyborcze, odbywały narady i zawiązywały kompromisy pomiędzy przywódcami wymienionych trzech partyj, w których pomimo całej swej buty, liberalni progresistom, a ci znowu socyalistom rękę do wspólnego sojuszu przeciw katolikom podawali, nie bacząc, że tem samem abdykują z całej swej tradycyi politycznej w ręce partyi przewrotu. — Naprzeciw gotowali się do walki katolicy. Spokojnie i z godnością, nie szukając żadnych kompromisów i biorąc za podstawę własne tylko siły, zwracali się oni szczerze i otwarcie do ludu, wykluczając z góry wszelkie poparcie, którego warunkiem byłoby odstąpienie od zasad Kościoła. W obozie katolickim starano się mianowicie o zgodę i jedność w postępowaniu. Piękny jej przykład dał jeden z filarów partyi, p. Woeste, który w parlamencie niejednokrotnie polemizował z p. Beernaertem, umieszczając w przededniu wyborów w poważnym katolickim miesięczniku, *Revue générale*, znakomity artykuł, w którym oświadcza, że ludzi, których łączy wiara w życie przyszłe, a zasady w życiu doczesnem, nie powinna rozdwajać kwestya mechaniki wyborczej. Za to u liberałów w ostatniej chwili objawiła się chwiejność i niesnaski. Jedni obstawali przy doktrynie, drudzy uważali ją za broń zużytą, którą należało jak najprędzej odłożyć do zabytków przeszłości. W rezultacie woleli oni wyborcom swoim wydać hasło popierania w okręgach wątpliwych zawsze raczej socyalisty niż katolika, spodziewając się z trudną do uwierzenia naiwnością nawzajem poparcia socyalistów.

Rzuciwszy okiem na stanowisko i czynność przygotowawczą ludzi będących u steru nawy wyborczej, spojrzmy teraz na teren, na którym

ich działalność się rozwijała. Belgia cała, choć jest krajem niewielkim, gdyż liczącym niespełna 30.000 kilom. kw., ma jednak prawie półsiodma miliona mieszkańców i dzieli się na dwa odrębne szczepy, walloński i flamandzki, równoważące się mniej więcej co do ilości i co do zamieszkałego obszaru. Pierwszy panuje prawie wyłącznie w południowych i wschodnich prowincyach: Hennegau, Namur, Liège i Luksemburg, drugi w północno-zachodnich, a więc Antwerpii, obu Flandryach i Limburgu. Mieszaną jest Brabancya, w której dwie trzecie flamandzkiej ludności wiejskiej mieszkają obok wallońskiej, a raczej francuskiej jednej trzeciej, reprezentowanej przez mieszkańców półmilionowej Brukseli. Prowincye flamandzkie należą przeważnie do partyi katolickiej, wallońskie zaś z dawien dawna były polem popisu partyi liberalnej a wreszcie w ostatnich dziesiątkach lat socyalistycznej. Językiem i plemiennem pokrewieństwem, a zresztą i pozycyą geograficzną do Francyi zbliżone, ulegają one niezdrowym prądom, przychodzącym od potężnej sąsiadki, a idea republikańska, poza którą ukrywa się grawitacya ku politycznemu połączeniu z Francyą, liczy tam wielu zwolenników. Obok Brukseli, Leodyum i Liège, głównych kwater liberalizmu i radykalizmu, ustanowili socyaliści swe centrum operacyi w Charleroi i okolicznym dystrykcie fabryczno-hutniczym t. zw. *borinage*. W części flamandzkiej kraju liczyła lewica na pewne zwycięstwo w Antwerpii. Wielkie to miasto handlowe, liczące 300.000 mieszkańców, a wybierające razem z przedmieściami 5 senatorów i 10 deputowanych, jest stolicą prowincyi tego samego nazwiska, zamieszkałej przez $^9/_{10}$ ludności flamandzkiej a $^1/_{10}$ wallońskiej, i skłania się wogóle ku stronnictwu katolickiemu.. W tym wypadku jednakże kwestya zaprowadzenia ceł ochronnych, oczywiście niepopularnych w tej metropolii importu, wprowadzającej rocznie za przeszło miliard franków obcych towarów, zdawała się być niebezpiecznem narzędziem w ręku liberałów.

Takie było położenie, gdy temu dwa miesiące rozpisano wybory. Zawrzało w całym kraju. Pojedyńcze obozy, w szyku bojowym czekające hasła, zstąpiły do walki. Na czele szli przywódcy. Katolicy, pod dowództwem takich mężów stanu jak Woeste, Beernaert i hr. Merode, wystąpili solidarnie, usunęli na drugi plan kwestye jątrzące, np. reprezentacyi mniejszości, i postawili swych kandydatów we wszystkich 152 okręgach wyborczych. Jedyną secesyę w obozie katolickim, i to bardzo przykrą, choć nie dość silną, by znacznie szkodzić mogła, stanowiła partya t. zw. chrześcijańskich demokratów, która chrześcijańskie swe posłannictwo pojmuje w ten sposób, że jeden z jej przywódców,

ks. Pottier z Leodyum, otwarcie godzi się na zaniedbywanie praktyk religijnych, drugiemu zaś, ks. Daens, zmuszonym był biskup Gandawy zakazać odprawiania Mszy św. Pominąwszy jednak tę jedną słabą stronę, istniała w obozie katolickim zupełna jedność. Inaczej wyglądało w obozie liberalnym. Tu zaraz w pierwszych chwilach ruchu wyborczego zapanowała bezradność. Pan Frère-Orban, od pół wieku członek parlamentu i który pięciokrotnie pomiędzy latami 1847 a 1884 dzierżył w swych rękach ministeryalne teki, dalej p. Bara, znany mówca, który jako minister sprawiedliwości w r. 1865 przeprowadził słynną *loi de spoliation*, ograniczającą swobody katolickich zakładów naukowych, a tak samo pp. de Graux, Buls i t. d., zanadto byli popadli w zależność od swych skrajnych sprzymierzeńców, by bez ich pomocy się obyć. Wprawdzie w przededniu wyborów p. Frère-Orban na licznem zgromadzeniu wygłosił mowę, w której podnosi wartość religii, ale słowa te nie zamieniły się w czyn, i zamiast zbliżyć się szczerze ku partyi katolickiej, z którą przecież łączyły go niektóre wspólne zasady, np. monarchii i własności osobistej, nie chciał, lub też nie mógł już jarzma radykalno-socyalistycznego przymierza z siebie zrzucić. Jarzmo to dla liberałów starej daty musiało być szczególnie niemiłem. Więc narzucali się najpierw radykali, jak bezwzględny i rubaszny Janson, albo Féron, z którymi na jednej liście figurowali w Brukseli liberalni, a dalej za nimi podnosiło się czarne tło olbrzymiej socyalistycznej masy, na czele której z czerwonemi pochodniami w ręku szli do boju wprawni i doświadczeni wodzowie. Najbardziej znanymi z nich są bracia Defuisseaux. Leon, urodzony w r. 1841 w Mons, od r. 1863 adwokat w Brukseli, a później przez lat jedenaście aż do r. 1881 radykalny członek Izby poselskiej — i wybitniejszy jeszcze brat jego Alfred, autor bezbożnego *Catéchisme du peuple*, który swego czasu za udział w spisku na 10-letnie więzienie zaocznie skazany, schronił się do Francyi i dopiero teraz przed samemi wyborami powrócił do Mons, gdzie w więzieniu rezultatu wyborów oczekiwał. Obok nich wystąpił p. Denis, eks-rektor wolnej wszechnicy brukselskiej, który za popieranie wykładów uczonego anarchisty Reclusa został na początku bieżącego roku usunięty z posady; dalej podobny mu profesor ateista Demblon, i dwóch socyalistów bogaczy: pp. Picard, adwokat milioner z Brukseli, i Vandervelde, uczeń Denisa również z Brukseli. Jako ważni przywódcy stronnictwa socyalistycznego występowali też p. Callevaert, naczelnik związku rycerzy pracy, liczącego kilkadziesiąt tysięcy członków, i p. Anseele.

Ruch wyborczy przybrał od razu wielkie rozmiary. Pomimo, że podług ustaw belgijskich każda kandydatura musi być popartą przez legalizowane podpisy conajmniej 100 wyborców, stanęło do walki prawie 400 kandydatów. Katolicy, jak już powiedzieliśmy, wystąpili we wszystkich okręgach wyborczych. Socyaliści postawili aż 80 własnych kandydatów, nie licząc pokrewnych im radykałów, których doprawdy od nich nieraz trudno jest rozróżnić. Po większych miastach agitacya była największa. I tak np. w stolicy kraju, wybierającej 18 posłów, postawiono 6 oficyalnych list kandydatów, między innemi listę wolności prasy, w której występuje policyjnie karany handlarz niemoralnych książek. Socyaliści postawili w Brukseli aż 18 kandydatów, między którymi jednakże było tylko 3 robotników, reszta zaś należała do inteligencyi, a po części nawet do świata finansowego, jak milioner Picard. W Antwerpii list wyborczych pojawiło się 4, a w sąsiedniej Gandawie 5. W pierwszej na czele partyi katolickiej figurował Flamandczyk adwokat Cooremans, w drugiej minister de Smet de Neyer.

Pierwszy epizod walki odegrał się w niedzielę 14 października. W obawie kary, grożącej w razie uchylenia się od wyborów, zebrali się licznie obywatele belgijscy w oznaczonych lokalach. Napływ wyborców był tak olbrzymi, że nawet tam, gdzie wybory odbywały się w obszernych salach, jednak przed drzwiami stały tłumy czekające na swą kolej w głosowaniu. Abstynencye zdawały się być wykluczone, choć, jak się później pokazało, nie oddano 300.000 głosów. Zawsze jednak prawie piąta część całej ludności kraju rzeczywiście przed urną stanęła.

Rezultat był doniosły. Na mocy doniesień telegraficznych wiedziano w Brukseli już w nocy, że zwycięstwo katolików przewyższyło najśmielsze przewidywania, że od razu w pierwszem głosowaniu wybrano siedmdziesięciu kilku posłów katolickich, że klęska liberałów była zupełna, że upadły główne ich filary, Frère-Orban i Bara. W dniach następnych nadeszły urzędowe sprawozdania wyborcze. Świadczyły one, jak zaciętą była walka. Liberałów wybrano zaledwie kilku, za to kilkunastu socyalistów. Wybory ściślejsze, mające rozstrzygnąć o sześćdziesięciu mandatach, mogły tę lub ową partyę wzmocnić, ale pewną już była absolutna większość katolików w Izbie, przebytą ogniowa próba belgijskiego katolicyzmu, oczywistemi silne korzenie, które on zapuścił w narodzie. Swoją drogą wypadło i katolikom zapisać w swym bilansie ciężką stratę. Był nią upadek p. Woestego, którego w Alost zwyciężył kandydat t. zw. chrześcijańsko-demokratyczny, ks. Daens.

Wogóle od razu uderzał fakt, że stronnictwo katolickie zwyciężyło prawie wszędzie w prowincyach flamandzkich, pomimo że się tu socyaliści z liberałami połączyli. Nawet tak bardzo zagrożona Antwerpia wybrała katolickich posłów. W niektórych mniejszych okręgach nie było zupełnie innej listy, jak katolicka, ta więc od razu bez walki zwyciężyła. Nawet w Ostendzie, która do roku 1892 jeszcze wybierała posłów liberalnych, przeszli tym razem katolicy. Mniej świetnym, choć także imponującym, był rezultat w prowincyach wallońskich. Tu, gdzie wszystko się sprzysięgło przeciw katolikom, i zakorzeniony wpływ liberalizmu i narodowy antagonizm względem Flamandczyków i wreszcie okoliczność, że właśnie w wallońskich prowincyach leżą główne ogniska fabryczne, będące z natury rzeczy najlepszem polem agitacyi dla socyalistycznych trybunów — wszystko to nie przeszkodziło jednak, że w kilku okręgach katolicy przeszli od razu, a w wielu innych liczba oddanych głosów katolickich była tak znaczna, że dopiero wybory ściślejsze o reprezentacyi dotyczących okręgów rozstrzygnąć miały. Zostały one naznaczone na niedzielę 21 października, w tydzień po pierwszem głosowaniu. Wobec względnego powodzenia socyalistów, wobec własnej porażki a widocznego zaufania większości wyborców do partyi katolickiej, otwierała się liberalnym jedna tylko droga wyjścia, a mianowicie stanowcze zbliżenie się do katolików i, w niemożności przeprowadzenia własnych kandydatów, popieranie swemi głosami kandydatów katolickich przeciw socyalistom. Ze strony katolickiej przemawiał w tym duchu p. Beernaert, ale nadaremnie. Liberalizm, zaprzęgnięty w rydwan partyi przewrotu, nie miał już dość siły, by się na racyonalne postępowanie zdobyć. Panowie Frère-Orban i Bara zadowolnili się gołosłownem potępieniem socyalizmu, ale do czynnej walki przeciw niemu wystąpić nie śmieli. Praktyczniejszymi okazali się radykalni. Ci, mając do wyboru albo zniknięcie z politycznej widowni, albo popieranie socyalistów, wybrali rezolutnie to ostatnie, tak że dziś prawie o różnicy między temi dwoma partyami mówić nie można, jak to zresztą stwierdził niedawno Paweł Janson w mowie przedwyborczej, którą miał w Verviers.

I stało się to, co się stać musiało. Wybory ściślejsze potwierdziły rezultat wyborów pierwszych. Znowu, a tym razem jeszcze dobitniej, zamanifestowały się dwa wielkie prądy, nurtujące w kraju. Jeden — wiary i porządku, widzący w obozie katolickim podstawę zdrowego rozwoju państwa; drugi — niewiary i socyalizmu, wchłaniający w siebie wszystkie elementa katolicyzmowi przeciwne. — Do Izby weszło

104 katolików, tj. większość dwóch trzecich, mogąca nawet zmiany w konstytucyi przeprowadzać. Socyalistów wybrano 33, a garstka kilkunastu liberalnych, bez swych głównych przywódców, przestaje być czynnikiem politycznym, i może zawołać razem z głównym organem wiedeńskiego liberalizmu, omawiającym z goryczą upadek swych przyjaciół politycznych: *fuimus Troes*. Równie dobitnem było zwycięstwo katolików w senacie, gdzie rozporządzają oni 52 mandatami przeciw 24. Jak dalece socyaliści wyzyskali na swą korzyść sojusz z liberalnymi, dowodzi najlepiej rezultat wyborów w Charleroi. Tu w pierwszem głosowaniu przeszedł tylko jeden socyalista, a siedmiu dopiero przy wyborach ściślejszych, i to jedynie dzięki poparciu wyborców liberalnych, tak że dziś Charleroi wyłącznie przez socyalistów jest reprezentowane. Przez ostatnie wybory Belgia wstąpiła w nową erę. Z jednej strony prawo powszechnego głosowania zamiast spełnić nadzieje liberalnych i zniweczyć partyę katolicką, przeciwnie, wzmocniło ją i powierzyło jej nadal ster państwa; z drugiej na gruzach i z winy zbankrutowanego liberalizmu powstała siła groźna, będąca negacyą najświętszych praw każdego cywilizowanego człowieka. Jedyną zaporą przeciw niej jest katolicyzm. Stanął on w Belgii silnie i oparty na rdzennych warstwach ludności, a choć czasy nie są spokojne i przyszłość zapowiada niejedną walkę, ufać nam wolno, że będzie ona zwycięską dla tych, których podporą krzyż i wiara w daną obietnicę: *in hoc signo vinces*.

F. M.

Gawęda polskiego pielgrzyma.

W niewielkiej, sklepionej, zda mi się, celi jednego z najstarszych klasztorów krakowskich, spotkałem temi dniami ciekawego gościa: polskiego pielgrzyma, co świeżo z Jerozolimy przybył, a obecnie wędruje do Rzymu. Bardzo skromny, ale czysty, szczególnej uwagi nie wzniecający szary jego strój; czarny, hebanowy włos dziwnie odbija od pomarszczonej, liczne ślady przebytych prac i cierpień noszącej twarzy; opodal leży nieodstępna towarzyszka drogi, spora torba, z różnemi świętościami, pamiątkami z Jerozolimy, z najniezbędniejszemi podróżnemi zapasami. Usiadł na kraju krzesła, ręce jak do modlitwy złożył, i na wezwanie gwardyana, który go już od kilku dni polskiem, franciszkańskiem sercem w klasztorze swym gościł, rozpoczął zupełnie czystym,

bardzo poprawnym, dźwięcznym językiem opowiadać swe przygody, koleje, projekta. W rzeczywiste, doznane przygody wplątywały się czasem zasłyszane, z ust do ust podawane fantastyczne baśnie; nie mniej je nasz pielgrzym niż doznane przez samego siebie przygody za pewne uważał; nie mniej one od prawdziwych tych przygód ciekawe, bo rzucają ciekawe światło na to, co wieśniak, co drobny mieszczanin pod rosyjskim rządem sobie opowiada, co myśli, co czuje.

„Maszynistą byłem kolejowym. Długiem lata i wiernie służył, kontenci ze mnie byli — nigdy skargi, żałoby, broń Boże! Aż tu nagle, skąd, jak, czy ja wiem — mego szwagra ze służby wypędzają. Źle, myślę — aż tu i do mnie dekret przychodzi: ‚Od tego a tego dnia służyć nie będziesz'.

— Com zrobił? — pytam.

— Ano! trudno! — odpowiadają — Polak jesteś, katolik jesteś!

„Nie mogłem być maszynistą, tak byłem pisarzem gminnym. A potem myślę: Dał ci Bóg czas, dał ci Bóg zdrowie: idź do Ziemi świętej. I poszedłem. Mówili niektórzy ludzie: Jak ty tam zajdziesz, kiedy pieniędzy nie masz, języków różnych nie umiesz. A inni, ruscy, to mi znowu mówili tak: ‚Po co ty do Jeruzalem idziesz? tam waszego, katolickiego nic niema, tam samo ruskie nabożeństwo'. Mnie to strasznie męczyło, że Moskale tak w Ziemi świętej królują, ale dzięki Bogu odstraszyć się nie dałem i tak źle znowu nie jest, chociaż źle jest. Na Wielkanoc zeszło się 4500 ruskiego, prawosławnego narodu do Jerozolimy, a ‚rzymskich' okropnie mało, bo ‚ruski' nie puszcza. W seminaryum greckiem będzie do 200 sztuk — jak maku! Ale choć ich tam dużo, to ich tam niema, bo nic zrobić nie mogą; przyjdą, pobędą, pokłony wybiją, ale nie dają im niteczki na palcu obwinąć. Żeby tak do czego przyszło, toby Araby poszły na ruskich, bo ich nie lubią.

„U nas, serce się kraje, ani religii, ani księdza, ani kazania. A w Jerozolimie nauka po nauce, i Msza po Mszy, i kazanie po polsku; prawda, że ludzi mało było. Rozmówić się też mogłem, bo po klasztorach spotykałem polskich braciszków zakonnych. Jeden przy Grobie św. z wileńskiej gubernii i strasznie go się Turcy boją. I w Jerozolimie i w Betleemie braciszki odważni, i muszą być odważni, bo Grecy bardzo łapczywi i gdyby im pozwolić, toby wszystko zabrali. Ale muszą być spokojni, bo kabasów się boją. Stoi kabas z batem w ręku i nie pyta, tylko bije.

„Serce się radowało, jak w Jerozolimie słyszałem polskie kazanie: ale dopiero z powrotem w Podkamieniu słyszałem kazanie — co to było

za kazanie! A u nas słowa bożego niema. Teraz księdza z Żytomierza na 12 miesięcy wysłali. Za to, że jeden ksiądz w przejeździe miał wotywę, a nie cichą mszę, zażądali, żeby biskup księdza ukarał, że on śpiewał, a nie czytał. Jak kapłan na ambonę wejdzie, to pod amboną stanie zaraz dwóch żandarmów i słuchają, pilnie słuchają. Ja nie wiem, dlaczego cesarze rzymsko-katoliccy pozwalają tak się nad nami znęcać!

Dawniej w Warszawie było 48 klasztorów — Boże mój! Dziś jedna biedna seminarya u św. Jana. Kapłanów niema. Dziś bogacz umarł, czy jakiby nie był, jeden księżysko idzie. Szewcy, krawcy, garbarze straszni miłośnicy i odważni za religię swą; ale co pomoże, kiedy ruski silniejszy.

„Rusinom tu w Galicyi nieraz powiadam: Wy niewdzięczni, że narzekacie. Wam się nie spodobał austryacki cesarz wyznania polskiego, a nam się musi wszystko podobać. W Dedyrkałach dali księżom kapelusz, parasol, i idź precz! Kościelne rzeczy brali. Klucze gubernator wziął i powiedział: ‚Róbcie co chcecie!'

„Popom naszym prawosławnym śmiało powiadam: Wasze nabożeństwo całe na dzwonach, pokłonach, *ałłełujach!* Jak wy chcecie, aby my nasze piękne katolickie nabożeństwo opuścili, a wasze wzięli! Ludzie się dziwią, że ja popom tak śmiało mówię — ale czegóż się mam bać? Pop gościnny, na nocleg do niego zajdę, to przyjmie, poczęstuje ale ja mu prawdę mówię: ‚Byłem w Ziemi świętej, to wiem, że wy tam nic nie znaczycie'.

„Oj! Ojcowie, Księża Dobrodzieje Przewielebni! źle się u nas dzieje i będzie gorzej, i Pan Bóg będzie karał. Popi chcieli dwa miesiące temu struć cesarza. Kucharzowi naznaczyli 40.000 rubli, żeby cesarza otruł. On, niegłupi, powiada: Dajcie połowę naprzód, a jak otruję, czarną flagę wywieszę. Kucharz powiedział wszystko cesarzowi i raz flagę czarną wywiesza. Popi przychodzą, aż dopiero wojsko ukryte się pokazało i wszystkich wyłapało...

„Cztery lata temu metropolita otruć chciał cesarza w komunikancie; ale protodyakon ocalił. Kazał śpiewać śpiewakom: *Wiecznaja pamiat'!* Car się zdziwił, zrozumiał co to ma znaczyć, i sołdatów zawołał...

„Może Pan Bóg dozwoli, że później lepiej będzie, bo o ‚następniku' mówią tacy, co go znają, że to będzie drugi Mikołaj Pawłowicz. Dobrzeby to było, bo to tamten był dobry.

„Teraz do Rzymu się wybrałem. Był już w Rzymie jeden od

nas; tam szedł piechotą, napowrót jechał. Ja tam i napowrót piechotą, bo nawet jechać nie miałbym za co. Musiałem z Jerozolimy do Rosyi wracać, żeby sobie do Rzymu paszport wziąć. Do Lwowa od Odessy piechotą na Podkamień szedłem; czasem dobrzy ludzie na furkę przyjęli, podwieźli kawałek, ale w Galicyi mi się to nie trafiło. Różnie bywa, pogoda, niepogoda: wszystko niech będzie Bogu na cześć i chwałę... Ze Lwowa do Krakowa koleją przyjechałem, ale dalej piechotą pójdę...

„Pragnąłem duszą całą być w Krakowie, bo wiedziałem, że to część Królestwa Polskiego. Ono rozszczypane, ale my jedni. A co pragnąłem, to być na kazaniu, na Mszy...

„I teraz, da Pan Bóg Wszechmogący szczęśliwie z Rzymu powrócić, tego tylko pragnę, aby umrzeć pod dłonią chrześcijańską, przy świątyni. Żeby u nas były klasztory, jak dawniej, tobym nie pielgrzymował; może mię później do jakiego klasztoru tutaj przyjmą, a jeśli nie przyjmą, to raz jeszcze pójdę do Ziemi świętej. Niech to będzie Bogu na chwałę!

„Nie bardzo ja jeszcze stary, silne ręce mam, włosy czarne; przydaćbym się na co mógł. Tylko zmartwienie mię męczy z tego co się u nas dzieje — ale niech i to będzie Bogu na chwałę!“...

Ks. Jan Badeni.

Druk ukończony 28 listopada 1894 r.

Z powodu 300-letniej rocznicy kanonizacyi.

HYMN CERVANTESA NA CZEŚĆ ŚW. JACKA.

Miguel Cervantes nietylko napisał „Don Kiszota“. Chwile wolne od niemiłych zajęć, przywiązanych do urzędu poborcy podatkowego, poświęcał kreśleniu krótszych powiastek, a nieraz i poezyi. Rok 1594 był dla biedaka wyjątkowo ciężki — trzeba mu bowiem było jeździć z miejsca na miejsce, wymuszając na zarządach miast znaczne, od kilku lat zalegające kwoty, za które on i żona jego całkowitym własnym odpowiadali majątkiem... Poeta w nim jednak przebijał co chwila z poza suchej surowości urzędnika. „Pod ten czas — pisze w dziejach jego życia Navarrete — papież Klemens VIII. kanonizował św. Jacka za wstawieniem się króla polskiego, a z tego słusznego powodu klasztor Dominikanów w Saragossie wyprawił wielkie uroczystości, na które rozpisano siedm konkursów poetycznych po całem królestwie Aragońskiem, ogłaszając je również w znaczniejszych miastach półwyspu, a zwłaszcza po uniwersytetach w Salamance i Alcali. Drugi konkurs polegał na skomponowaniu glosy według przepisanej redondilli *(Rondeau)* na cześć Świętego, i za pierwszą nagrodę obiecywał trzy łyżki srebrne, za drugą dwa łokcie materyi jedwabnej, za trzecią książkę do nabożeństwa o pozłacanych brzegach. Utwory kwapiących się o te i o inne nagrody miały być złożone w sobotę, 29 kwietnia 1595, ponieważ w dniu następnym rozpoczynały się uroczystości; byli już zamianowani sędziowie do ocenienia wierszy, które miano czytać publicznie w kościele tegoż klasztoru. Cervantes obrał sobie drugi konkurs; 2 maja po nieszporach przeczytano z ambony

przysłane utwory, a jego otrzymał pierwszą nagrodę; co, nie chwaląc go, świadczy jak nędzne były inne, współzawodniczące kompozycye. Sędziowie, ogłosiwszy wierszem w niedzielę (7 maja) wynik konkursu i nazwisko zwycięscy, oznajmiali, iż ten poeta, jako drugi Apollo, czyli syn Latony, ma przybyć z wielkiej ojczystej Delos, czyli Sewilli, dla odebrania wieńca nagrody. Nazwali go misternym, zgrabnym i wdzięcznym, w czem tylko potwierdzali sławę, jaką już był sobie zdobył po świecie. Relacya tych uroczystości, opisana i urządzona przez Hieronima Martel, obywatela miasta Saragossy a później kronikarza królestwa Aragońskiego, była drukowana w temże mieście przez Lorenza Robles, tegoż 1595 roku". Cervantes tymczasem odebrawszy swoje trzy łyżki, wymuszał dalej podatki, usiłując wypełnić wielki niedobór w swoich urzędowych rachunkach i zażegnać wynikające stąd dla siebie nieskończone przykrości...

Oto podana na konkurs redondilla i rozszerzająca ją glosa twórcy „Don Kiszota", w której gra słów: *Jacinto, Hyacinto,* tj. Jacenty czyli Jacek, zbyt ważną odgrywa rolę:

Redondilla [1].

Niebo dzisiaj śle w darze dla ziemi
Klejnot drogi z barwy cudownemi,
Co w wieczystej wpleciony koronie
Pana niebios, żywym blaskiem płonie.

Glosa Cervantesa.

Kiedy w święte uzbrojon natchnienie
Kościół niebu wzniósł pierwsze swe dary,
Niezagasłej miłości płomienie:
Lecz do żywych pomników ofiary,
Jęły nowe wyrastać kamienie.

[1] **Redondilla.**

El cielo a la Iglesia ofrece,
Hoy una piedra tan fina
Que en la corona divina
Del mismo Dios resplandece.

Glosa de Miguel de Cervantes.

Tras los dones primitivos
Que en el fervor de su celo
Ofreció la Iglesia al cielo,
A sus edificios vivos
Dió nuevas piedras el suelo.

Bóg je przyjął i cieszy się niemi,
Skoro zdobiąc skroń Oblubienicy
Z nieprzebranej swych bogactw skarbnicy
Hyacynt drogi z barwy cudownemi
Niebo dzisiaj śle w darze dla ziemi.

Człowiek słaby, zbyt często ułomny,
W grzech od bożej odwraca się łaski —
Lecz Hyacynt tak cudny i skromny,
Że Bóg wpatrzon w jego słodkie blaski,
Gniew swój koi, obrazy niepomny.

Więc przez samą litość nad biednemi
Skarb ten dał nam dziś za pośrednika,
Gdyż mądrością co wszystko przenika,
Poznał jak jest potrzebny dla ziemi
Klejnot drogi z barwy tak cudnemi.

Taka tego klejnotu potęga,
Że kto spojrzy w Hyacyntu promienie,
A ma chore ciało lub sumienie,
Wnet go Boża łaskawość dosięga:
Zyska zdrowie, i duszy zbawienie.

Niechaj wzrasta, niech świeci wśród chwały
Owa gwiazda, w której ogniach tonie

Estos dones agradece
A su esposa, y la ennoblece;
Pues del parte del esposo
Un hyacinto el mas precioso
El cielo á la tierra ofrece.

Porque el hombre de su gracia
Tantas veces se retira,
Y el hyacinto al quale mira,
Es tan grande su eficacia,
Que le sosiega la ira:

Su misma piedad lo inclina
A darlo por medicina:
Que en su juicio profundo
Ve que ha menester el mundo
Hoy una piedra tan fina.

Obró tanto esta virtud
Viviendo Hyacinto en él,
Que á los vivos rayos dél
En una y otra salud
Se restituyo por él.

Crezca gloriosa la mina
Que de su luz hyacintina

Całe niebo i nasz świat ten cały,
Odkąd boskie wyroki jej dały
Być w wieczystej wplecioną koronie.

Tam on świeci w obliczu samego
Boga, twórcy swej chwały przeczystej,
Wśród zwycięstwa zdobyczy złocistej,
Wspomnień walk, łez i pokus do złego
I obecnej radości wieczystej!

Jeśli wszystkie światła ziemi gasną
Kiedy słońca wielka jasność wionie,
Ileż bardziej ten przyświeca jasno
Co choć w źródłach światłości, przy tronie
Pana niebios — żywym blaskiem płonie!

Tak to przed laty śpiewali Hiszpanie o naszym słodkim Świętym, tak chwała jego brzmiała w całym katolickim świecie, tem bardziej zjednoczonym bratnim węzłem miłości, im więcej bolał nad świeżem rozdarciem swojego ciała. Polskę wówczas z Hiszpanią częste bardzo łączyły stosunki; na tronach obu narodów miały zasiąść niebawem dwie siostry rodzone, małżonki dwóch równej gorliwości w wierze monarchów. Nadchodził czas wielkich umizgów hiszpańskiego dworu do Polski, uważanej za cennego na Północy sprzymierzeńca, czas wielkich wzajemnych grzeczności dyplomatów obu narodów. Jakżeż to dawno!... Dziś my równie gorącem sercem, jak wtedy, obchodzimy kanonizacyę św. Jacka, ale już nikt zapewne o nim nie pamięta na Iberyjskim półwyspie, który przed trzystu laty cały się rozśpiewał na jego pochwałę.

Tiene el cielo y tierra llenos;
Pues no mereció estarmenos
Que en la corona divina.

Allá luce antes los ojos
Del mismo autor de su gloria,
Y acá en gloriosa memoria
De los triumfos y despojos
Que sacó de la Victoria:

Pues si otra luz desfallece
Cuando el sol la suya ofrece,
Qué mas viva y rutilante
Será aquesta, si delante
Del mismo Dios resplandece?

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronica.

Słowo o wystawie lwowskiej. Przez *Franciszka Morawskiego* 1

Żydzi polsko-rosyjscy w Londynie. Przez *Marka Łzę.* 201

Czeskie stowarzyszenie „Vlast'", jego czasopisma i działalność. Przez *O. Sadoka Werbergera Ord. Praed.* 360

Artykuły naukowe i literackie.

Przebieg pojęć religijnych u Chińczyków. Przez *ks. W. Zaborskiego T. J.*:

II. Tło religijne ludów rasy czarnej 23

III. Obecny stan religii w Chinach 222

Ksiądz Karol Antoniewicz. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.*:

VIII. Życie tułacze 44 183 389

Listy z podróży po Azyi. (Część II.: Chiny i Japonia. C. d.). Przez *księcia Pawła Sapiehę* 62 373

Z archiwum Karmelitów Bosych na Czernej. (Dok.). Przez *d-ra K. Krotoskiego* 76

Indukcya u Arystotelesa i Perypatetyków. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 161 337

Cudowny krzyż trybunalski w katedrze lubelskiej, według współczesnego rękopisu. Przez *K. Rawicza.* 250

Czwarty wieczór nad Lemanem. Przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.* 313

Przegląd piśmiennictwa.

Stronica.

Z piśmiennictwa krajowego:

Studya historyczno-krytyczne. Szymon Askenazy. *(Dr. A. M. Kurpiel)* 101

Dzieje powszechne ilustrowane. Na podstawie najnowszych badań i dzieł historycznych opracowali przystępnie: prof. Czesław Pieniążek, dr. Henryk Sawczyński, Alfred Szczepański. Pod kierunkiem prof. d-ra Ludwika Kubali. Tom I. Czasów starożytnych część I. Od czasów najdawniejszych aż do zawiązków historyi greckiej. Według wydawnictwa Spamera opracował prof. Czesław Pieniążek. Z przeszło 200 ilustracyami i 22 kartonami. *(H. Libiński)* 108

Krótka historya rozwoju partyi socyalistycznej w Galicyi (od 1 maja 1890 do 1 maja 1894). Z dodatkiem dziejów t. zw. „niezawisłych“ lwowskich. Napisał Żegota 112

Zrzędzenia. Przez Henryka Glińskiego. Wiązanka pierwsza. *(B.)*. 113

Z dziejów Warszawy. Grobowiec Carów Szujskich. A Przez *(H. L.)* 114

Odrodzenie Szląska. Sylwetka pracy narodowej na Szląsku Cieszyńskim, oraz programu na przyszłość... Skreślił B. K. Świda 262

Dzieła dramatyczne Williama Shakespeare. W dwunastu tomach. Przekład L. Ulricha, z objaśnieniami J. I. Kraszewskiego. Tom I. Wydanie nowe. *(B)*. 263

Kościuszko. Życiorys z dokumentów wysnuty przez K. (Odbitka z tomu IV. „Albumu Muzeum Narodowego w Rapperswylu“). *(A. Szarłowski)*. 264

Kornel Ujejski. Zarys biograficzno-krytyczny. Napisał Antoni Bądzkiewicz. *(Dr. A. M. Kurpiel)*. 269

Rys dziejów gospodarstwa krajowego w zestawieniu z obyczajami narodu. Skreślił A. J. Tom I. *(Witold Koszutski)*. 274

Modlitewnik Nawojki. Studyum językowe. Dr. Franciszek Kŕcek. *(L. M. Dziama)* 279

Przygotowanie do pierwszej spowiedzi dzieci do szkoły nieuczęszczających, zawarte w 24-ch katechezach. Zebrał i ułożył ks. Władysław Sarna, pleban szebieński. *(Ks. H. P.)*. 280

Rzecz o roku 1863. Przez Stanisława Koźmiana. Tom I. *(Ks. Stanisław Załęski T. J.)* 412

Seminarium Praeceptorum w Halli nad Saalą. Dr. Franciszek Majchrowicz. *(L. M. Dziama)* 416

Emancypantki. Powieść w 4-ch tomach. Bolesław Prus (Aleksander Głowacki). *(Ks. E. Hełczyński T. J.)* 418

Kilka słów o genezie „Mindowego“. Wiktor Hahn. — Studyum nad genezą „Lilli Wenedy“, tragedyi Juliusza Słowackiego. Tenże. *(L. M. Dziama)* 424

Poezye. Przez El...y. Tom czwarty. *(Dr. A. M. Kurpiel)* . . 427

Melodye biblijne Kornela Ujejskiego. — Wiersze różne Kornela Ujejskiego. — Tłumaczenia Szopena i Beethovena Kornela Ujejskiego. — Przemówienia Kornela Ujejskiego. 1863—1893. *(Dr. A. M. Kurpiel)* 429

Stronica.

Wielki Kalendarz Maryański dla ludu katolickiego na rok Pański 1895. Wydawca ks. Władysław Sarna, pleban szebieński. *(Ks. H. P.)* 430

Ustalenie chronologii biskupów włocławskich. Opracował ks. dr. Jan Fijałek, docent c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. (Odbitka z *Przewodnika naukowego i literackiego,* styczeń—październik 1894 r.). *(H. L.)* 431

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Lourdes. Par Emile Zola. *(Ks. M. Morawski T. J.)* 115

En famille. Par Hector Malot. *(M.).* 121

West-Grinstead et les Caryll. Étude historique et religieuse sur le comté de Sussex en Angleterre, par Max de Trenqualéon. *(N.).* 123

La bas du pavé parisien. Par Guy Tomel, avec de nombreuses illustrations. *(Ks. J. B.)* 125

Der Einfluss des tonischen Accentes auf die melodische u. rhythmische Structur der gregorianischen Psalmodie. Von den Benedictinern zu Solesmes 126

Russische Censur und Presse. J. W. Nagradow. *(F. Morawski).* 281

Le livre d'or de Jeanne d'Arc. Bibliographie raisonnée et analytique des ouvrages relatifs à Jeanne d'Arc... depuis le quinzième siècle jusque à nos jours, par Pierre Lanéry d'Arc. *(Ks. Władysław Czencz T. J.)* 290

Zur Entstehungsgeschichte der ständigen Nunziaturen. Von Dr. Pieper. *(Ks. Fr. Starowieyski)* 432

Feldbriefe. Von Georg Heinrich Rindfleisch. (1870—1871). *(Ks. Władysław Czencz T. J.)* 434

Der Einfluss deutschen Geistes auf die französische Litteratur des XIX. Jahrhunderts bis 1870. Von Dr. Fritz Meissner. *(Ks. Władysław Czencz T. J.)* 436

Les républiques Hispano-Américaines. Par Théodore Child. Ouvrage illustré de 151 gravures et de 8 cartes. *(M. S.).* 440

Szkice i obrazki z życia stołecznego. Przez Jana Wazowa. (Драски и Шарки. Очерки изъ столичния животъ отъ Иванъ Вазовъ). *(Tytus Sopodźko)* 443

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

PAŹDZIERNIK.

Sprawy Kościoła: Kongres katolików niemieckich w Kolonii.— Wiec starokatolicki. — Skandal w Cempuis. — Neapolitańska mowa Crispiego. — „Polsko-amerykański kościół niezależny". Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 127

Z życia kościelnego w Rosyi. Przez *A. Szarłowskiego* 136

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków: W poprzek transformizmu. Przez *J. Nuckowskiego T. J.* 151

Jubileusz ks. Józefa Dąbrowskiego w Detroit. Przez *ks. H. P.* 159

Stroncia.

LISTOPAD.

Sprawy Kościoła: Crispi i Carducci. — Rocznica zajęcia Rzymu. — Pojedynki w armii austryackiej. — Mowa kardynała Vaughana. — Kościół katolicki w Danii. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 293

Katolickie stronnictwo ludowe w Szwajcaryi. Przez *T. Sopodźkę* 301

Echo z misyj zagranicznych. Przez *S. B.* 304

Listy australskie polskiego emigranta. (Ciąg dalszy). . . . 306

Korespondencya Redakcyi 312

GRUDZIEŃ.

Sprawy Kościoła: Antykościelne ustawy węgierskie. — Socyalizm we Włoszech. — Kurs socyalny we Fryburgu. — Protestancka nietolerancya. — *Nowa Reforma* o kardynale Koppie. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 446

List z Poznania: Przesilenie w ministeryum berlińskiem. — Znaczenie jego dla nas. — Stronnictwo ludowe. — Sprawozdanie Banku ziemskiego. — Heca antypolska. — Wystawa w Poznaniu. Przez *A. Ż.* 455

Wybory w Belgii. Przez *F. Morawskiego.* 461

Gawęda polskiego pielgrzyma. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 469

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.